

Tomasz Hildebrandt

# DOTYK

The image is a book cover for 'Dotyk' by Tomasz Hildebrandt. The background is a textured, painterly blue and green. In the center, a matchstick is lit, with a bright yellow and orange flame. The word 'DOTYK' is written in large, white, serif capital letters across the middle of the flame. At the bottom, there is a silhouette of a cityscape with a prominent church spire, set against a dark, hazy sky.

MROCZNY, WSTRZĄSAJĄCY, OKRUTNY THRILLER  
O CZASACH, KTÓRE JUŻ SĄ I O TYCH,  
KTÓRE LEPIEJ, ŻEBY NIGDY NIE NADESZŁY

Dotyk

Tomasz Hildebrandt

*Zwęgleni ludzie. Zło się szerzy. Cała planeta stoi w ogniu.*

*Za późno. Piekło.*

Jean-Claude Izzo, *Solea*[1]

**I**

W głębi mieszkania trzasnęły drzwiczki od lodówki. Buty o twardej podeszwie zastukały o drewnianą posadzkę, zapiszczały na zakręcie w progu salonu. Zbliżyły się do skórzanej sofy o szarej barwie przyprószonej cieniami. Stojąca w rogu lampa na metalowej nóżce tworzyła w pomieszczeniu atmosferę nieśmiałej randki. Barwiła ściany pomarańczową poświatą szklanego klosza.

Mężczyzna usiadł w fotelu, uprzątnął biurko i położył na nim styropianowy pojemnik. Wyprostował się, przecesał palcami włosy, których siwe, cienkie kosmyki układały się jak namoczone w wodzie. Poprawił okulary w połączonych oprawkach i zapatrzył się w swoje odbicie w ekranie monitora. Czerń była tak głęboka, jakby otwierała się w trzecim wymiarze, zapraszając do wewnątrz. Przez to jego ociężała sylwetka zdawała się zasysana do środka, lekko napęczniała i zniekształcona.

Zdjął okulary i odłożył je na stolik, soczewkami w swoim kierunku, jakby zapragnął zmierzyć się z nimi wzrokiem. Strzepnął z rękawów marynarki niewidzialny kurz, lekko uniósł się i poprawił spodnie, zaprasowane na żyłkę kanty układając dokładnie na środku kolan. Nachylił się i przetarł czubki wyglancowanych, ręcznie szytych trzewików, ściągnął białą nitkę, która wzięła się nie wiadomo skąd i przylgnęła do czarnej skóry. Wyciągnął spod rękawów mankiety białej koszuli z połączanymi spinkami, poprawił krawat w płochliwe bordowe zygzaki. Wyglądał na emerytowanego księgowego, popularnego prawnika lub bardzo dystyngowanego urzędnika wyższego szczebla. Każdy z nich musiałby się jednak wybierać na pogrzeb: mężczyzna miał na sobie nieskazitelnie czarny garnitur. Przybrał przy tym śmiertelnie poważną minę.

Przymknął oczy i zamarł, jakby na chwilę przysnął. Gałki oczne wierciły się jednak i pulsowały pod powiekami niczym oznaki obcego życia. Przez głowę przepływały mu zapewne rzeki obrazów, z których próbował wyłowić te najważniejsze. Najciekawsze wspomnienia, najpiękniejsze chwile, migawki zdjęć i klisze pourywanym scenek. Uszy poruszyły się nieznacznie, dostrajając do rozbrzmiewających w głowie dźwięków. Minimalnie podniosły się kąciaki ust, ale zaraz opadły. Mógł to być tik nerwowy lub cień przelatującego przy lampie owada. Poza tym pomarszczona twarz pozostawała bez ruchu. Jeśli nie kamienna, to z wosku. Bezbarwna i zimna.

Mężczyzna ocknął się po kilkunastu minutach, jednocześnie otworzył oczy i usta, nabierając do płuc powietrza. Wypuścił je przez nos z cichym świstem. Nerwowym ruchem zdjął marynarkę i odpiął mankiety koszuli, podwinął rękaw do wysokości łokcia. Zaciśnął pięść i drugą dłonią kilka razy poklepał przedramię. Opuszką palca wymacał żyłę. Jego gesty nabierały prędkości, jakby się spieszył. Gonił coś lub przed czymś uciekał.

Zdjął wieczko styropianowego pojemnika i wyciągnął z wyżłobienia niewielką strzykawkę. Cienka strużka herbacianego płynu wystrzeliła w powietrze i opadła na blat stołu kilkoma lśniącymi kroplami. Przytaknął swojemu odbiciu w ekranie komputera i wkłuł cienką jak włos igłę w nabrzmiałą żyłę. Centymetr sześcienny bursztynowej substancji znikł w organizmie w ciągu sekundy. Strzykawka wylądowała na stole, otwarta dłoń zwiśla pomiędzy nogami. Plecy mężczyzny zaokrągliły się, sylwetka straciła pion i przesunęła się w prawo, załamała w połowie pleców.

Przez chwilę oddychał szybciej, jego ciałem wstrząsnęły dreszcze. Uspokoił się, szepcząc niezrozumiałe słowa, sobie tylko znaną modlitwę, w której jak refren padało kobiece imię. Zrobił, co musiał. Wymagały tego okoliczności. Sytuacja wymknęła się spod kontroli. Zrobił to dla siebie, ale przede wszystkim dla bliskich. Dla dobra innych.

Zanim zapadł w sen, dostrzegł stojącego w drzwiach salonu wysokiego, szczupłego mężczyznę. Oświetlony od tyłu światłem wpadającym z holu przypominał sylwetkę wyciętą

z czarnego papieru, fragment scenografii z teatru. Oczy zamknęły się i otwarły, postać znikła i pojawiła się w nieco zmienionej, rozmazanej formie. Demon, który pojawia się pośród żywych na znak nadchodzącego nieszczęścia. Zmaterializowany lęk.

W zapadłej nagle ciszy potoczyła się puszcza.

Kilka sekund wcześniej z równoległej ulicy z piskiem opon wystartował jakiś rozklekotany samochód. Grat stukał blachami, jakby uciekał złomowiskowemu hyclowi. Gdyby nie to, że między jednym dźwiękiem a drugim powstała nienaturalna pauza, Piffre – Grubas połączyłyby oba hałasy w jedno: ze startującego auta odpadł kołpak lub kawał karoserii. Ale to musiało być coś innego.

Przystanął, obejrzał się za siebie. Kot? Szczury? Możliwe, cała okolica wyglądała jak jedno wielkie śmietnisko. Zawiani gówniarze grający puszką w piłkę nożną? W takim przypadku byłoby słycać krzyki i piski, przekleństwa. Już szybciej natknąłby się w tym miejscu na dilerów i ćpunów. Stare magazyny portowe aż prosiły się o towarzystwo zakapiorów. Dziwne, że jeszcze nikt nie nagryzmolił sprejem na murze stosownego napisu. Niegłupi pomysł, stwierdził Piffre, może udałoby się ściągnąć tu młodociane męty z centrum. Niech wprowadzą sobie w dokach nawet stan wojenny, żeby tylko resztę miasta zostawili w spokoju.

Wzruszył ramionami i przyspieszył kroku. Do domu został mu jeszcze kawał drogi, chociaż szedł na skróty. Gdyby te gnidy zaanektowały kwartał, musiałby drałować naokoło, jak frajer. Piętnaście minut dłużej w jedną stronę, pół godziny w dwie. Kawał czasu, zważywszy, że i tak większość dnia spędzał w robocie. I nocy. W domu tylko żarł, srał i kimał, a i to w pośpiechu. Chętnie cofnąłby się choćby z piętnaście lat. Wtedy za połowę dzisiejszej harówki płacili prawie tak samo. Legalnie, z pocałowaniem w dupę. Pomyśleć, że im kiedyś tak chętnie ją do tego wystawiał, wypinał się, krytykował i narzekał. Teraz bez zastanowienia posłałby pocałunek w drugą stronę, gdyby miał taką okazję. Nie miał. Francja coraz bardziej schodziła na psy.

Minął betonowe ogrodzenie porośnięte szczeciną stalowych prętów, skręcił w prawo i wszedł w ciasny przesmyk między halą magazynową a pawilonami biurowymi. Jedno i drugie wymarłe i zdezelowane. O betonowe nabrzeże klaskała woda, wybijając nierówny rytm, przypominający niepewną owację zde gustowanej widowni. Zalatywało zgnitymi rybami i szambem.

Puszcza potoczyła się znowu. Piffre przystanął, spojrzął za siebie.

– Jest tam kto? – rzucił w przestrzeń niepotrzebne pytanie.

Odpowiedział mu świst powietrza, jakiś obiekt przeleciał mu tuż obok głowy i z trzaskiem rozbił się o mur hali.

– Hej! – krzyknął, próbując dodać sobie odwagi.

Już raz zatrzymały go debilne wygłupy jakichś smarkaczy. Ryknął i prysnęli, w powietrzu został po nich tylko hipnotyzujący zapach shitu. W końcu nieprzypadkowo nazywano go Piffre – Grubasem. Prawie sto czterdzieści kilo przy stu osiemdziesięciu centymetrach wzrostu robiło wrażenie. Przesunął torbę na plecy i przybrał bojową postawę, zacisnął pięści.

– Jak jesteś taki chojrak, to pokaż mordę, żebym mógł w nią trzepnąć. A jak cię tchórz obleciał, to spierdalaj!

Odczekał chwilę, w której nic się nie wydarzyło, i ruszył dalej. Spokojnie, równym rytmem, żeby opanować pędzący oddech. Od dziecka musiał znosić głupie kawały. Szczerze ich nienawidził. Reagował agresją, siłą. Tylko w ten sposób był w stanie wywalczyć sobie pozycję i szacunek. Miał świadomość, że i tak już na wieki zostanie tłuściochem. Ale przynajmniej takim, z którym nikt nie zadziera.

Kolejna butelka zafurkotała i tym razem trafiła. Piffre jęknął i odruchowo zasłonił się

ręką. Odwrócił się, wyężając wzrok. To, co przez sekundę wydawało mu się przywidzeniem, zamieniło się w ruchomą białą plamę. Ktoś biegiem zmierzał w jego kierunku. Dwóch, dwie jasne plamy nabierające konturów. Bez zastanowienia wyrwał z miejsca z impetem, na jaki pozwalały mu gabaryty ciała, nabierał prędkości. Ci dwaj, kimkolwiek byli, na pewno nie mieli dobrych zamiarów. I mogli mieć broń. Era uczciwych pojedynków na pięści skończyła się lata temu. Nie ryzykował, gnał ku otwartej przestrzeni. Ku światłu.

Wpadł zza zakrętu i stanął jak wryty. Światło uderzyło go z siłą pięści, przymknął oczy. Znajomy widok zatańczył mozaiką barwnych krążków. Piffre zasłonił się łokciem. Przez zmrużone powieki dojrzał snopy samochodowych reflektorów. Ludzkie postacie przesuwały się w nich jak cienie, jak przybysze z obcej planety. Duchy, zmaterializowane lęki. Co jest?! – próbował krzyknąć, ale w ustach zabrakło mu wilgoci. Z chropowatej krtani wyrwał się tylko bełkot.

W powietrze wzbily się przedmioty podobne do ptaków oglądanych pod słońce, czarne punkty. Coś trafiło go w bark, kamień potoczył się tuż przy nodze. Piffre cofnął się, stracił równowagę i upadł. Ziemia pod ścianą hali zawalona była połamanymi deskami i paletami w ilości, jakiej tam jeszcze nigdy nie widział. Jakby ktoś naznosił sobie drewna na opał. Podniósł się i wdrapał na stos z nadzieją, że dosięgnie któregoś z okien. Zachwiał się i przytrzymał ściany, podskoczył. Ręka trafiła na ramę najeżoną zębami wytłuczonej szyby, z przeoranej skóry trysnęła krew.

- Skurwysyny! Wezwę policję!
- Za późno, śmieciu! – usłyszał od strony światła. – Lepiej się módl!
- Co? – Spróbował zmierzyć się z reflektorami aut.
- To, brudzie!

Jeden z reflektorów rozpalil się prawdziwym ogniem, wzbil się w powietrze. Po nim dwa kolejne. Zapachniało olejem. Butelki z benzyną eksplodowały niemal równocześnie. Piffre rozdziawił usta, ale nie zdołał krzyknąć. Ze zdziwieniem przyjrzał się swoim płonącym nogom, ogień na twarzy zdał się delikatnym swędzeniem. Dokładnie widział pęczniącą i pękającą jak wrzody skórę rąk. Ból przyszedł równocześnie ze ślepotą, gałki oczne wyparowały mu niczym meduzy na słońcu, tylko dużo szybciej. Wciągnął ogniste powietrze do płuc, ryknął. Rzucił się do ucieczki, ale źle obrał kierunek, trafił w ścianę. Upadł na deski, prosto w szalejącą pożogę. Podniósł się jeszcze na rękach, zastygł w tej pozycji na długie sekundy. Zwalił się w żar razem z pękającymi paletami.

Biegł.

Słabo oświetlone zaułki nocnego miasta szatowane przez reflektory i lampy uliczne zwały mu się w jedno, rozbiły na cząstki i łączyły w najdziwniejszych konstelacjach. Układanka kalejdoskopu przelewała się z lewa na prawo, kaskadą opadała w dół, by nagłą erupcją powędrować w górę. Julian potykał się i przewracał, potraçał ludzi, obijał się o krawędzie budynków. Bez określonego kierunku i celu biegł, byle szybciej i dalej od tego przekłętego miejsca. Od tego piekła.

Od dziecka wierzył w dobro i zło, anioły i diabły, niebiańskie ogrody i ognie piekielne. Grzesznicy smażyli się w smole, posłuszni i bogobojni doznawali zaszczytu zbawienia. Dokładnie zapamiętał słowa duchownego, u którego służył jako dziecko do mszy. „Ostatni będą pierwszymi”. Julian zawsze był ostatni, na szarym końcu w nauce, sporcie i w kolejce do dziewczyn. Po śmierci matki także do jedzenia. Dla takich jak on nie ma pracy, znał to stwierdzenie na pamięć. Ledwo zasługuje na życie, jak kilka razy zdarzyło mu się usłyszeć. Po prostu wegetował gdzieś na obrzeżach ludzkości, gryzoń żywiący się resztkami po innych. Mech porastający mury porzuconych budynków.

Dlatego nie miał wątpliwości, że doświadczył zła w czystej postaci. Do kuksańców i wyzwisk przywykł już dawno. Gówniarze wracający ze szkoły robili sobie z niego spluwaczkę, schlane wyrostki pisuar, jeśli akurat miał pecha leżeć pod niewłaściwą ścianą. Nieraz oberwał butelką czy kamieniem, na przyzwoite lanie nie zasługiwał, był nic nieznaczącym nikim. Marne życie takich jak on, bezdomnych cieni z ulicznych rynsztoków i osiedlowych śmietnisk, po prostu znika, nie zasługuje na tyle uwagi, by poświęcić mu energię nieopanowanej agresji. Zawinionej czymś nienawiści. Bezlitosnej tortury i śmierci.

Nie zatrzymywał się. Pędem wypadł z nieoświetlonej wąskiej uliczki i wylądował prosto na masce przejeżdżającego auta. Zawyły klaksony, przenikliwie pisnęły hamulce. Podcięty zderzakiem wpadł ślizgiem na przednią szybę zielonego peugeot, zajrzał głęboko w oczy pasażerki o czarnych jak węgiel włosach z krótką grzywką przyklejoną do czoła. Stoczył się na jezdnię, podniósł i znowu pognął do przodu. Najpierw chodnikiem, slalomem omijając ludzi, którzy przystanęli na widok wypadku. Po stu metrach skręcił w zacieniony zaułek, zniknął w ciemności zaaferowanym i zde gustowanym gapiom.

Utykał. Ból w kolanie nie przyszedł natychmiast, odczuł go dopiero po kilku minutach. Zatrzymał się pod obrośniętym chwastami murem, nachylił, by uspokoić oddech. Z ust ściekała mu gęsta ślina, z oczu kapąły łzy. Nie tylko przez nie świat zamienił się w pofałdowane szkło. Julian był krótkowidzem, a ostatnią parę okularów zgubił kilka lat temu. Odmówili mu nowych, więc dalej nie prosił. Nie rozumiał, że w fundacji zabrakło pieniędzy. „Nie” oznaczało dla niego wyłącznie „nie”, słowo „tak” słyszał tak rzadko, że nie znajdował w nim żadnej treści. Słowa nigdy nie miały zrozumiałego znaczenia, więc niewiele mówił. Prawie nigdy do obcych, czasami tylko do siebie. I głównie szeptem, jak teraz.

– Co tam? – Ze schowanego w mroku kąta najbliższej bramy oderwała się czyjaś postać.  
– Co mówisz?

Julian rzucił się do ucieczki, ale zdołał wykonać zaledwie trzy kroki. Syknął z bólu i ukląkł.

– Spokojnie, brachu, nic ci nie zrobię. Nie masz przypadkiem ognia? Nie? To po chuj mi cię tutaj diabli nadali?

Postać wykonała nieokreślony ruch dłońmi, zgarbiła się, strzelił mechanizm zapalniczki. Strzelał raz za razem. Na twarz obcego mężczyzny skakały mikroskopijne iskry, nadając dziobatym, śródziemnomorskim rysom diaboliczny blask. Nagły płomień wyskoczył na wysokość męskiego palca, prawie wypalił mu oko.

– *Fils de pute!* – syknął, rzucając zapalniczkę przed siebie. Głośno zaciągnął się papierosem. W oknie przeciwległej kamienicy rozbłysło światło, zalewając ich bladą poświatą.

– Jezu, chłopie, wyglądasz jak trup. I cuchniesz, jakbyś co najmniej tydzień gnił w ziemi. Spierdoliłeś z własnego pogrzebu czy co? Czegoś się tak wystraszył, świętego Piotra? Szatana?

Julian zadrżał. Widok ludzkiej pochodni przykleił mu się do powiek od środka i nie chciał zniknąć. Ryk gasnącego życia wciąż rozbrzmiewał w uszach z tą samą siłą, nie chciał zgasnąć. Swąd palonego mięsa wżarł się w wewnętrzne ścianki nosa i język. Smakował palonymi przez młodocianych przestępców bezdomnymi kotami i psami, wywoływał torsje. Julian splunął z obrzydzeniem i wybełkotał niezrozumiałe słowo.

– Co mówisz, kumplu?

– Demony.

Mężczyzna parsknął śmiechem, ale kiedy zajrzał Julianowi w oczy, wykrzywił twarz i cofnął się na powrót do bramy, której pilnował. Jeszcze nigdy nie widział w niczyim spojrzeniu tak skondensowanego przerażenia. I tyle prawdy.

*Wody Morza Śródziemnego wzbierają, wrą. Pofałdowana powierzchnia przypomina*



wzgórza spiętrzone tektoniczną mocą kreacji. Fale powstają z głębin jak kraken, jedna za drugą, całe rzędy, oddziały potworów. Tsunami osiągnęło już brzegi, truchlejemy z lęku przed utonięciem w głębinach.

Céline poirytowana pokręciła głową, nacisnęła klawisz `backspace` i wymazała pierwsze zdania. Nocą znów popadała w melancholijny nastrój, myśli układały się w zbyt poetyckie frazy. Powinna zacząć pisać książki, ale brakowało jej cierpliwości. Nigdy nie wychodziła poza kilkanaście stron, raz napisała pięćdziesiąt. Bała się nadmiaru słów jak wody. Kąpiąc się w morzu, nie odchodziła zbyt daleko od brzegu. Od razu traciła perspektywę, a w przypadku książek dodatkowo sens plecenia tkaniny zdań, która rzadko spełniała przewidywany cel. Preferowała konkret, dokument, realną informację konstruowaną dla określonego odbiorcy. Forma felietonu dawała jej wystarczającą wolność, żeby mieszać prawdę z własnymi domysłami. Praktykowała też pisanie klasycznych artykułów, w szczególności dotyczących ważkich społecznie spraw. Niekiedy rzucała się w wir śledztw, jeśli uznała, że są warte jej pasji. Dziennikarstwo nie było dla niej po prostu zawodem, było życiową misją.

*Katakлизм zbliża się wielkimi krokami, dopadnie nas w ogłupiałym półśnie, jeśli się w porę nie ockniemy. Dajemy się otumanić kłamstwami, słyszymy je i powtarzamy gromko, żeby zagłuszyć głosy zdrowego rozsądku. Bardziej niż zagłady zdajemy się bać samych siebie. Nie dopuszczamy nawet pojedynczej myśli o zmianie, w kategoriach rozumowania nie różnimy się wiele od starożytnych Rzymian, którzy z identycznym fatalizmem i niemocą oczekiwali najazdu hord barbarzyńców.*

Ciągle nie to. Nie potrafiła pisać o sprawach uchodźców bez emocjonalnego zaangażowania. Za dużo było w mediach przekłamań i mitów, sączenia bezpodstawnego lęku i szkicowania profetycznych wizji. Histerię najbardziej podsyczał internet, ale telewizja i prasa nie pozostawały w tyle. Obcinane głowy, strumienie krwi, gwałty i zamachowcy samobójcy. Uchodźcy zjedzą nasze jedzenie, odbiorą nam pracę, zapłodnią kobiety, skażą naszą krystaliczną kulturę, zbrukają rasę. Przestaniemy istnieć – zamienimy się w nich! Biada nam, biada!

*Merde!* Céline wstała z fotela i przeszła się po ciemnym pokoju. Przetarła oczy, rozmasowała kark. Stanęła przy oknie i przez szparę w roletce obserwowała skąpaną w pomarańczowym świetle latarni ulicę. Bruk mienił się jak tafla skamieniałego jeziora. Z jednego z zaparkowanych wzdłuż chodnika aut płynęła muzyka dyskotekowa. Jakaś kobieta wyłoniła się zza rogu, niepewnym krokiem sunęła wzdłuż przeciwległych kamienic. Kiedy znalazła się dokładnie naprzeciwko, uniosła głowę, wycelowała spojrzenie w okno mieszkania Céline, jakby wyczuła śledzący ją wzrok. Céline odskoczyła, przylgnęła do ściany pokoju. Bała się ludzkich spojrzeń, miała ku temu powody.

Incydent otrzeźwił ją, wróciła do biurka.

*Wzorem starożytnych Rzymian to my realizujemy doktrynę zderzenia kultur. Niszczymy każdą, którą uznajemy za niższą. Jeśli się nie da dyplomacją i metodami miękkimi, spuszczaemy bomby, palimy domy. Kiedy obcy zaczynają uciekać w naszym kierunku, z trwogą stwierdzamy, że są jednak prawdziwymi ludźmi, nie doniesieniami prasowymi. Zbyt głośno domagają się prawa do życia zamiast po cichu zdychać w obozach. Nie atakują, lecz poddają się. Nie mordują, ale błagają o litość. My jednak nie chcemy ich biedy i strachu, mamy dość własnych.*

Zawiesiła dłonie nad klawiaturą. Przebiegła wzrokiem po kilku ostatnich wersach i przygryzła wargę. Jak daleko powinna się tym razem zapędzić? Granica między akceptowalnym a niedozwolonym stawała się coraz węższa. Jeśli ją przekroczy, wydawca nie opublikuje felietonu, będzie zmuszona zamilknąć. Czytelnicy nie wybaczą jej jednak konformizmu, jeśli wyczują, że klęka przed redakcyjną cenzurą. Nie zechcą jej czytać. Tak czy siak straci głos, przestanie uczestniczyć w debacie.

Odepchnęła się od biurka, fotel na kółkach odjechał na metr, siedzenie wykonało półobrót wokół własnej osi. Wstała, znów podeszła do okna. Muzyka zamilkła. W nocnej ciszy jej gołe stopy klaskały o podłogę. Letni skwar ciągle wisiał w mieszkaniu, wyciskając pot z każdego kawałka skóry.

Kobieta zniknęła, więc Céline odważnie podniosła rolety i cała przejrzała się w szybie. Nocna Marsylia wyglądała normalnie. Odległe blokowiska roily się rozświetlonymi oknami, światła zatoki zlewały się w żółty półksiężyc z trójkątnym grotem przystani wdzierającym się w głąb miasta, prawie do samej bazyliki. Zamek d'If zamienił się w kupkę otoczonego mrokiem księżycowego blasku. Pozorny spokój, zwodząca harmonia. Céline doskonale wiedziała, co czyha w czarnych zaułkach, w niewidocznych dzielnicach. Tkanka miasta przeistaczała się, żeby przez noc nabrać nowej struktury, zaskoczyć mieszkańców nową postacią.

O tym powinna pisać – o zagrożeniu, które mieszkańcy Marsylii mają pod nosem. Nawet nie zauważają, jak z samego rana niedostrzegalne palce zacisną im się na gardle. W samozadowoleniu z krótkotrwałego zwycięstwa będą się klepać po plecach, z wyższością spoglądając na tych, którzy ciągle pozostają w nieznaczonej mniejszości, przez co muszą przegrywać. Demokracja potrafi być nieubłaganym narzędziem cywilizowanego terroru. Tym razem uderzyła w tradycje przybyszów z arabskiego świata, zakazując im eksponowania religijnych symboli, zakrywania twarzy i głowy.

Céline objęła swoją chudą szyję kościstymi palcami, ścisnęła. Zaczęła liczyć. Przy sześćdziesięciu pięciu wyrwała się z samobójczego uścisku, głośno nabrała powietrza i zakaszła. Podusza się, była tego pewna. Z żarłoczności, pychy i nienawiści do wydumanego wroga. Z ludzkiej, niemającej końca głupoty.

Wróciła do komputera. Jest Kasandrą, która przynosi najgorsze wieści, ogłasza nadchodzącą zagładę.

*Urzędowo nakazując odkrywać głowy i twarze, skazujemy się jednocześnie na obnażenie naszego prawdziwego oblicza. Gęb faszystowskich demonów, które zapuściły w nas swoje korzenie i ponownie kiełkują. A tego chwastu nie da się łatwo wyplenić.*

Przedpokój tonął w ciemności.

Mrok wydawał się aż gęsty, jakby utworzony z substancji nieprzepuszczającej światła. Pachniało perfumowanym mydłem i damskim szamponem, w powietrzu unosiła się wilgoć po niedawnej kąpiel.

W sypialni zapaliła się lampa. Cienki jak papier sztylet światła przeciął przedpokój w połowie, wyznaczył kierunek. Claude ruszył w tę stronę zwabiony jak owad. Bezszelestnie zbliżył się do drzwi i przez mikroskopijną szparę zajrzał do środka. Dostrzegł wycinek przestrzeni z kawałkiem sosnowej toaletki i bordową zasłoną w tle. Czekał. Po kilkunastu sekundach przy toalecie usiadła kobieta. Widział jej szczupły profil do połowy przykryty wodospadem włosów. Były lekko kręcone, lśniące od wody, o niemal czarnym kolorze, który, gdy włosy wyschną, nabierze aksamitnego odcienia. Claude wiedział to, bo znał tę kobietę. Do niej tu przyszedł.

Delikatnie napał barkiem na drzwi, otworzyły się bez najmniejszego dźwięku. Teraz mógł przyjrzeć się plecami o wyraźnie zarysowanej linii kręgosłupa, które kończyły się okrągłymi pośladkami o głębokim, tajemniczym wycięciu. Tego właśnie pragnął, zgłębić tę tajemnicę. Rozłupać ten tyłek niczym skorupkę jajka, dobrać się do jej wnętrza. Kobieta nachyliła się i podrapała w prawą kostkę, włosy zaszeleściły na gołych ramionach. Odrzuciła je, na chwilę odkrywając twarz. Rzęsy zakręcone jak na obrazku.

Nie usłyszała go, kiedy się skradał. Robił to umiejętnie, miał wprawę. Operacje planował z odpowiednim wyprzedzeniem, dokładnie analizował możliwości i warianty. W wyobraźni

dziesiątki razy przebywał wyznaczoną drogę do celu, opracowywał ruchy i przygotowywał moment zaskoczenia. Traktował tę grę wyjątkowo poważnie. Nie zamierzał zdradzić swojej obecności przedwcześnie, dać jej czasu na reakcję. Ułożył sobie wszystko w wyobraźni i tak właśnie miało być. Nie tolerował żadnych odstępstw, nie przyjmował półśrodków. Zrobił to w myślach w pracy, pomiędzy jednym telefonem a drugim. Teraz odegra tę scenę naprawdę.

Lustro na toalecie stało pod kątem, nie mogła go widzieć. Była zresztą tak skoncentrowana na sobie, że odseparowała się od całego świata. Nie dziwił się, była doskonała. Piękna pod każdym względem, niezależnie od standardów i gustów. Gdyby sam miał być kobietą, to właśnie taką. Tworzącą mężczyzn i niszczącą ich jednym spojrzeniem. Samym swoim istnieniem udowadniająca boskość świata. Zdawała się bardziej stanem energii, zjawiskiem niż żywą istotą.

A on miał ją zaraz osiąść.

Staął tuż za nią. Powąchał jej włosy, po czym płynnym ruchem objął ją ramionami, lewą dłoń przyciskając do piersi, prawą oplatając na szyi. Pragnął tego dotyku jak niczego na świecie, żywił się samą myślą, że pod palcami poczuje cudze życie. Serce kobiety na chwilę stanęło, by zaraz zatrzepotać, jakby dostało skrzydeł i wzbiło się do ucieczki. Drobne ciało wygięło się w łuk i zastygło. Nachylił się i z góry spojrzał jej w oczy, błękitne źrenice rozlały jej się na białka, po czym wypełniły pół twarzy. Tonął w nich, więc zacisnął palce na krtani, przytrzymał się jej, by nie pójść na dno. Krew płynęła podskórnym potokiem, wystarczyło naprężyć mięśnie i odpowiednio długo przytrzymać. Nie miałyby szans, zabrałby sobie jej życie na zawsze, ukrył w sobie, wchłonął.

Poprawił ucisk i nabrał powietrza jak do wielkiego wysiłku.

– Będiesz moja na zawsze – wyszeptał.



Wciąż czuł jej skórę pod koniuszkami palców. Mógłby ją dotykać całymi godzinami, głaskać, muskać i pieścić. Zanurzać się w oczach, oddychać włosami, opalać się blaskiem jej skóry. Pieprzyć, jak gdyby dopiero co się poznali i nigdy już nie mieli zobaczyć ponownie.

Wyciągnął dłoń i dotknął jej zdjęcia, obrysował kontur jej ramion i twarzy. Stuknął delikatnie w głowę synka, jakby mu dawał kuksańca, potargał czuprynę córeczki. Dzieciaki obejmowały jego żonę za uda, sięgały jej ledwo do pasa. Wszyscy roześmiani, skąpani w słońcu w jednej z zatok Calanques na północ od Marsylii, dokąd dostać się można tylko łodzią. Nie pamiętał już której, ale w pamięci utkwiła mu chwila, kiedy pstrykał zdjęcie. Ten kawałek wybrzeża zamknięty skalistymi ścianami mógłby pozostać ich domem. Światem wielkości ramki na biurko, gdzie mieściłaby się tylko ich czwórka.

Za przeszkłonymi drzwiami gabinetu wybuchła kłótnia. Dwaj podlegli mu oficerowie ostro gestykulowali, jeden z nich czytał coś ze złożonej gazety. Claude skrzywił się i odsunął zdjęcie rodziny na swoje miejsce na biurku, między przybornikiem z wypisanymi długopisami a stosem plastikowych pojemników zawalonych makulaturą. Przysuwał plik kartek z raportami z weekendu, kiedy któryś z jego podwładnych trafił w szybę, która gruchnęła, jakby miała wylecieć. Wybiegł zza biurka i szarpnął za klamkę.

– Odjebało wam od samego rana?!

Kibicujący porucznikom podkomendni rozpięzchli się do swoich biurek, Rais Taider skrzyżował ramiona na piersi, a Armand Douis przytknął gazetę Claude'owi pod nos. Był szerszy niż wyższy, przez co musiał wysoko zadzierać głowę, żeby dosięgnąć pułapu swoich wysokich kolegów. Wyglądał trochę jak furgonetka zaparkowana przy palmach. Z okularami niby przyciemniane szyby założonymi na wysokie czoło.

– „Urzędowo nakazując odkrywać głowy i twarze, skazujemy się jednocześnie na obnażenie naszego prawdziwego oblicza. Gęb faszystowskich demonów, które zapuściły w nas swoje korzenie i ponownie kielkują. A tego chwastu nie da się łatwo wyplenić” – wyrecytował z pamięci, jakby uczył się tekstu w drodze do pracy. – Kogo oni nazywają faszystami, nas? Wyglądam na cholernego faszystę?

Claude spojrzał na Raisa, który uciekł wzrokiem w kąt. Odpowiedź i tak można było wyczytać z jego sępiej, arabskiej twarzy. Oczywiście twierdzącą, z wykrzyknikiem, którego kształt przyjęła jego chuda sylwetka.

– W życiu, Armand, jesteś jak zdjęty z plakatu Partii Komunistycznej. Żywcem!

Jeden z młodszych policjantów zarechotał zza biurka, ale natychmiast schował nos w dokumentach, gdy Douis spiorunował go wzrokiem. Armand zachnął się i podreptał do swojego boksu, po czym ciężko opadł na fotel. Z dumą zadarł podbródek, tworząc karykaturę Mussoliniego. Claude spojrzeniem nakazał Taiderowi wejść do swojego gabinetu i zamknąć za sobą drzwi. Zaatakował, zanim podwładny zajął wskazane miejsce.

– Odwała ci, Rais. Zachciało ci się awantur z Duce? Zapomniałeś, że dostał się do zarządu związków? Będę musiał go za chwilę w dupę całować, a ty mi jeszcze wyskakujesz z takim numerem!

– Nic nie mówiłem, tylko...

– To teraz też stul pysk! – Claude pochylił się w jego stronę i spojrzał na drzwi, czy nikt nie podsłuchuje. – Chcą wypierdolić ze służby niepewny element, jak to oni określają, kolorowy, podejrzany światopoglądowo. Ciebie na przykład, może i mnie. Więc weź się lepiej do roboty i przestań rzucać im się w oczy. Sprawy same się jakoś ułożą, jak zwykle. Zrozumiano? – zapytał podniesionym głosem, jakby upewniał się, że podwładny przyjął polecenie służbowe. Na wypadek, gdyby ktoś jednak podsłuchiwał.

Rais przez chwilę wpatrywał się w okno, po czym uśmiechnął się i pokręcił głową.

– *Jawohl, Herr Kapitan!* – mruknął, przecząc swojemu poprzedniemu gestowi. Wstał z krzesła i bez słowa opuścił gabinet.

Claude odchylił głowę do tyłu, przeczesał włosy. Gdyby nie czynnik ludzki, uwielbiałby tę robotę. Mimo polityki sięgającej swoimi brudnymi łapskami coraz głębiej w policyjne szeregi. Mimo ciągłego obcowania ze śmiercią, psycholami i bandziorami, którym wszystko jest obojętne. Z rozrzewnieniem wspominał czasy, kiedy zajmował się jedynie trupami i procedurą śledczą. Był w tym dobry. Za dobry, jeśli dali mu awans, choć nie miał odpowiednio obstawionych znajomymi pleców i flank. Bez względu na koniunkturę i rozdanie partyjne ktoś musiał zapieprzać, żeby inni mogli prężyć mięśnie. Teraz więcej czasu spędzał za biurkiem niż w polu. A pod sobą miał bandę idiotów, których na przemian albo gonił do roboty, albo ze sobą godził. Liceum dla panienek, nie zespół do spraw przestępstw specjalnych.

Otworzył laptop i wyszukał internetowe wydanie „Le Méditerranéen”, którego wersja papierową chwalił się Duce. Swoją drogą ciekawe, skąd je wytrzasnął. Prawdziwi Francuzi z Frontu Narodowego brzydzą się lewicowymi pismami. Pewnie obserwowali konkurencję, badali grunt. Żeby wiedzieć, komu w następnej kolejności wpierdolić.

Claude prześledził wzrokiem linijki artykułu Céline Dumerc, poczytnej lokalnej blogerki i felietonistki. Dziwił się, że puścili tekst w takiej formie. Zupełnie jakby nadstawiali drugi policzek. Minął niecały miesiąc, odkąd jeden z ich dziennikarzy śledczych dostał bity pod swoim domem. Nie rozpoznał sprawców, co było w takich sytuacjach oczywiste. Facet ma przecież rodzinę, dzieci. Można być chojrakiem do czasu, później już tylko egoistycznym dupkiem. Claude zachowałby się na jego miejscu tak samo, to nie podlegało dyskusji.

Nie kontrowersyjny artykuł najbardziej zaniepokoił kapitana, ale komentarze pod spodem. Wojna rozgorzała w internecie już dawno. Tam nie patrzy się przeciwnikowi w oczy, można bezkarnie rzygać całą zawartością żołądka. Gdyby groźby i zapowiedzi forumowiczów zostały zrealizowane choćby w połowie, ze świata już dawno zostałaby chmura radioaktywnej pary, orbitującej gdzieś między Wenus a Marsem niby komecia kity. Nienawiść rasowa chyba nigdy nie była większa, nawet za rządów Vichy. Emocje sięgnęły zenitu, kiedy rada miejska wprowadziła zakaz noszenia hidżabów, burek i innych muzułmańskich szmat zakrywających twarz i głowę. Rząd nie odrzucił uchwały, a sąd jej nie zdelegalizował. W mieście, bądź co bądź, o największej w Europie mniejszości o arabskich korzeniach. Marsylia stała się laboratorium eksperymentalnym na skalę europejską. Kolejnym krokiem w kulturowej batalii między Zachodem a Bliskim Wschodem.

Wstydem dla wszystkich szanujących się ludzi.

Claude wyraźnie słyszał tykanie zegara zapalnika tej bomby, na której siedzieli. Logika polityków prawicy była zadziwiająca: tłący się żar niepokojów gasili benzyną. Nastroje wśród mniejszości etnicznych i tak były bojowe, a radni wręcz prześcigali się w ich podsycaniu, jakby prowadzili konkurs na najgorszego nazistę. Niejeden z nich byłby doskonałym kapo w obozie koncentracyjnym, z pasją przekraczającym normy krematoryjne. Pieców co prawda brakowało, ale obozy już były. Getta dzielnic północnych odgradzały od miasta coraz wyższe mury, coraz ostrzejsze zwoje drutu żyłkowego.

Bum! – i wszyscy wylecimy w powietrze.

Z trzaskiem zamknął laptop i wrócił do raportów. Przeklął, kiedy zadzwonił służbowy telefon. W ten sposób nigdy nie przebrnie przez te linijki ludzkiego cierpienia i bólu.

– Eryan! – W słuchawce zabrzmiał głos Louisa Tigany’ego, szefa. – Mój gabinet, i to zaraz!

Claude wrzucił papiery do przepelnionego pojemnika. Bezpośredni telefon od szefa oznaczał złe wieści. Przeszedł kilkanaście metrów korytarzem komendy. Gabinet komisarza

znajdował się po prawej stronie, za przeszkłonymi ścianami, przez które roztaczał się widok na całe piętro. W razie gdyby mu się nudziło i postanowi poobserwować podwładnych, ruszających się w zalewie roboty jak muchy w smole. Jeśli nie ogłoszono wyraźnego alarmu, w *hôtel de police*[2] nikomu nigdzie się nie spieszyło.

– Nawet nie podchodź do biurka, Aryan, ciebie tutaj już nie ma.

Tylko szef pozwalał sobie na oficjalne używanie tego przezwiska. Rzucił nim, jakby spluwał w twarz. Arianin, jakby Claude miał coś z tymi palantami wspólnego. Właściwie to miał, wyglądał jak model z faszystowskiego podręcznika. Doskonały przykład rasy aryjskiej, w szeregach NSDAP zrobiłby pewnie niezłą karierę. Teraz też, gdyby tylko zadawał się z odpowiednimi ludźmi. Front brzydził go jednak bardziej niż uliczni handlarze shitem, trzymał się od niego z daleka. I teraz miał za to słono zapłacić. Spodziewał się co prawda zwolnienia, ale nie aż tak szybko.

– Coś zrobił taką minę? Nie moja wina, że to miasto coraz bardziej schodzi na psy.

Louis Tigany zarżał i poprawił się w swoim skórzanym fotelu. Tronie, na którym całymi dniami odparzał sobie jaśniepańską dupę, co chwila zmieniając pozycję, żeby nie dostać odleżyn. Claude błyskawicznie rozważył opcje. Na zwolnienie lekarskie za późno. Do podstawowej, minimalnej emerytury zostało mu pięć lat, a przynależna odprawa to jakieś trzy, cztery pensje. W oczy zajrzała mu wizja biedy.

Usiadł i spuścił wzrok. Gdyby siedział przed nim ktoś inny, z całą pewnością w tej sytuacji wybiłby mu zęby, nie miał już przecież nic do stracenia. Uczynił to czterem innym facetom, którzy do tej pory w oczy nazwali go Arianinem. Pierwszy miał dwanaście lat, jeszcze w podstawówce. Drugi szesnaście, Claude musiał zdzielić go drągiem, bo był więcej niż o głowę wyższy i ćwiczył boks. Trzeci po drugiej stronie Starego Portu, kiedy odprowadzał pewną dziewczynę. Beur próbował w ten sposób bronić honoru sąsiadki, bez powodzenia. Czwarty oberwał najmocniej, Claude najbardziej się o to postarał. Kolega z jednostki, gdy jeszcze obaj deptali ulice. Pęknięta szczęka, wytluczone górne jedynki i dolna dwójka, do dzisiaj uśmiech mu lśni implantami. Człowiek od tego czasu zwany Mâchoire – Szczęką, kapitan Karim Giroud z wydziału spraw wewnętrznych, kumpel Armanda Douisa z Solidarité Police, pravicowych związków zawodowych.

Czyżby próbowali się teraz odegrać?

Zacisnął pięść, w wyobraźni przymierzył ją do pomarszczonej gęby gryziopórka ze sztabu, który podsunął komendantowi decyzję do podpisania. Nie wątpił, że pasuje jak ulał.

– Zdaje pan sobie sprawę, szefie, że nie puszcę im tego płazem?

Chciał kontynuować groźbę, ale zawiesił głos, bo właściwie nie wiedział, co zamierza powiedzieć. Nie miał pojęcia, na kim miałyby się niby zemścić. I za co.

Zazwyczaj leniwy Tigany z zadziwiającą sprężystością skoczył na nogi. Filmowy Fabio Montale w całej okazałości, choć do Alaina Delona było mu ciągle daleko. Też reagował na swoje przezwisko jak byk na czerwonej szmatę. Z tą różnicą, że wyłącznie ze służbowego obowiązku, w końcu był szefem, a Claude jego podwładnym.

– *Merde*, Eryan, mam ci wpierdolić naganę? Co ci odbiło? Nie dosyć masz tutaj kłopotów? Nie ma cię tu, bo bierzesz ostatnie zgłoszenie z doków, zapieprzasz w teren. Żartowałem. Ale – zawiesił głos, wycelowawszy w podwładnego palec – na szóstą masz się stawić w biurze wewnętrznych, czegoś od ciebie chcą.

Akurat to było pewne jak rata kredytu. Rzeczywiście musiało mu odbić, żeby nie wyczytać z ust szefa ironii. Kto jak kto, ale Montale mu źle nie życzył, jako jeden z niewielu. Właściwie był panem i władcą jego marnego życia, gdyby nie jego cierpliwość i upór, Claude już dawno wylądowałby w dzielnicowym komisariacie w Bigotte albo na jeszcze większym zadupiu.

Wyglądał się, ta sytuacja z Duce wytrąciła go z równowagi. Ale w jednym miał rację, po komendzie węszyły już psy. Zaczęło się.

– Przepraszam – bąknął, wycofując się tyłem do drzwi.

– Po prostu spierdalaj, Claude. Po południu chcę mieć na biurku raport.

W ostatnim zdaniu zmiękł. Gdzieś w głębi był dobrym człowiekiem. To lata spędzone na pierwszej linii walki z brudem Marsylii uczyniły go gruboskórnym draniem. Za wszelką cenę próbował dotrzeć do pełnej emerytury, co samo w sobie nie było niczym niezwykłym. Starał się jakoś przeżyć, jak każdy.

Claude odebrał z rąk sekretarki zgłoszenie i zawołał Raisa Taidera. Wyruszali na front. W miasto.

Émilie wskoczyła do wagonu w ostatniej chwili, kleszcze zamykających się drzwi przytrzasnęły jej łokieć. Wyciągniętą z torebki chusteczką otarła skórę, choć guma nie zostawiła żadnego śladu. Poza nieprzyjemnym wrażeniem dotyku obcego, mechanicznego ciała, od którego przeszły ją dreszcze.

Zerknęła na zegarek, minęło wpół do dziewiątej. Znowu będzie spóźniona. Jakkolwiek by wcześniej wstała, i tak nie potrafiła się wyrobić na czas. Zwłaszcza w poniedziałek, po burzliwym weekendzie. Choć ten był wyjątkowo spokojny, prawie całą niedzielę spędziła z rodziną znajomej. Wypad na plażę, grill i opowieści z przeszłości. Połowę ekipy stanowili seniorzy, a w ich przypadku zawsze się to tak kończy. Potrafią tylko żyć młodością, dlatego tak chętnie otaczają się dziećmi i przywołują zamierzchłe czasy. Jeszcze parę lat temu dostawała od tego wysypki. Teraz przestało ją to tak bardzo razić. To musiały być pierwsze objawy starzenia. Nic dziwnego, przed kilkoma miesiącami skończyła trzydziestkę.

Oficjalnie stała się więc singielką. W najgorszym tego słowa znaczeniu. Kiedyś używało się zwrotu „stara panna”. Broniła się przed krytyką ciągle tym samym argumentem: to jej wybór. Ale sama przestawała w to wierzyć. Wciąż uwielbiała imprezy i przeskakiwanie z kwiatka na kwiatek. W swoich najlepszych latach potrafiła cały tydzień spędzić w obcych łóżkach, w wynajmowanym mieszkaniu pojawiając się tylko po ciuchy na zmianę. Żartowała, że powinna się urodzić facetem. Bo miejsce, w którym się wychowała, pozostawało wciąż trochę konserwatywne. Przesiąkła nim tak bardzo, że zawsze potrzebowała pretekstów lub wymówek, by samą siebie oszukiwać. Jedną z nich było właśnie stwierdzenie, że ma w sobie duszę faceta. Dzięki temu czuła się usprawiedliwiona. Szalała więc dalej.

Dyskretnie zerknęła w lusterko. Poprawiła włosy, rozczochrane, jakby dopiero co wyszła z łóżka. Swojego łóżka – od dłuższego czasu nie miała partnera. Ostatniego wykopała po tym, jak zapuścił brodę i zaczął przebąkiwać o Allachu. A ten, który dobierał się do niej w sobotnią noc, cuchnął potem. Zaczęła przyciągać do siebie freaków, pojebów i brudasów. Bridget Jones w ekstremalnym wydaniu.

W przedziale panowała atmosfera przerwane snu i rozdrażnienia. Jakaś parka szeptem sprzeczała się o niewyciągnięte z pralki gacie. Przystojny chłopak w garniturze wydłubywał ukradkiem spod paznokci brud, jakby przez cały weekend grzebał w ziemi. Otyła kobieta pod pięćdziesiątkę sapała jak miech, przy każdym oddechu pod ciasną bluzką rysowały jej się brzegi stanika, w których nie mieściły się płynne piersi. Z kilku stron dolatywała muzyka, czarnoskóry budowlaniec w ogrodniczkach dygał w rytm rapu, podstarzały rockman ze zmrużonymi oczami kontemlował piskliwe akordy jazzu, a dziewczyna w absurdalnie wysokich szpilkach przebierała palcami, markując kroki tańca latynoamerykańskiego.

Émilie nie wyobrażała sobie, żeby coś takiego włożyć do pracy. Może zdołał ją przeżreć korporacyjny sznyt albo tak bardzo przyswoiła sobie lekcje z młodości. Do matki na obiad ładna, kwiecista sukienka i sandaalki, do pracy sukienka ciemna tuż przed kolano lub kostium i czółenka,



na wieczornego drinka kolorowa bluzka i trampki, do dyskoteki wszystko, co jednoznacznie kojarzy się ludziom z kurewstwem. Popatrzyła na swój pięciocentymetrowy obcasik, obciągnęła spódnice. Taki podział ról jej najbardziej odpowiadał, dzięki niemu funkcjonowała w kilku postaciach naraz. Występowała w różnych rolach, a zawsze marzyła o karierze aktorki.

Z drugiego końca przedziału dobiegł ją nagle męski głos. Podniesiony, jakby wybuchła kłótnia. Nic na to jednak nie wskazywało, facet po prostu wstał i zaczął gadać. Szary garnitur, okulary w drucianych oprawkach, siwe włosy mocno przerzedzone na czubku głowy. Typowy urzędnik lub księgowy. W jednej ręce trzymał otwartą teczkę, drugą wznosił w górę, ściskając w dłoni jakąś książkę. Dobrą chwilę zajęło jej rozpoznanie słów, które wygłaszał.

– „Upadł, upadł Babilon... bo winem zapalczywości swojego nierządu napoił wszystkie narody”[3]!

Najbliżej stojący odsunęli się od mężczyzny, tworząc półkole o promieniu dwóch metrów. Siedzący odwrócili głowy w przeciwnym kierunku, kobieta w czerwonym żakiecie przesunęła się cała, z obrzydzeniem odwracając bokiem. Uliczny kaznodzieja nic sobie nie robił z ludzkiej niechęci, perorował dalej. Ktoś wulgarnie kazał mu się zamknąć, grupka nastolatków zaczęła się śmiać. Sensacja jednak szybko minęła, ludziom w poniedziałkowy poranek ledwo chciało się odezwać, znosili monolog mężczyzny z pełnym rezygnacji spokojem. Większość przymknęła powieki, jakby w ten sposób próbując obronić się przed natarczywymi słowami.

Przejechali kolejne dwa przystanki, Émilie miała wysiąść na następnym. Obwieszony złotem chłopak w błyszczących dresach, który już raz próbował uspokoić kaznodzieję, nie wytrzymał. Przez chwilę wygłaszał komentarze równoległe z cytatami z Biblii, w końcu jednak zerwał się i chwycił faceta za poły szarego garniaka. Kilka zdań wypowiedzieli, patrząc sobie z bliska w oczy, jakby próbowali napluć jeden drugiemu do ust. Wreszcie dresiarz szarpnął mężczyznę, pchnął w stronę drzwi. Kazał spierdalać na najbliższym przystanku. Nastąpiła upragniona przez wszystkich cisza.

Pociąg zaczął hamować, w oknach mignęły światła peronu. Drzwi syknęły, Émilie ustawiła się w kolejce do wyjścia. Nagle poczuła na rękę uścisk. Odskokzyła wystraszona, ale dłonie ulicznego kaznodziei trzymały mocno. Wczepił się w nią, jakby była boją na środku morza, a on tonął. Z ust wypływała mu strużka śliny, z zasnutych mgłą oczu wyzierało szaleństwo.

– „Padnijcie na nas i zakryjcie nas przed obliczem Zasiadającego na tronie i przed gniewem Baranka, bo nadszedł Wielki Dzień Jego gniewu, a któż zdoła się ostać?”[4]

Wyrwała się, o mało nie upadła, wybiegając na peron. Kątem oka dostrzegła, jak chłopak w dresie wywleka faceta z Biblią z pociągu, unosi i opuszcza rękę. Świat zawirował jej przed oczami, sylwetki mijających ją ludzi zlały się w jedną smugę. Na pamięć odnalazła kierunek. Nie zważając na to, że odbija się od pleców i barków przechodniów, parła do przodu. Dopiero po wyjściu z tunelu nabrała oddechu. Oparła się o murek, przez chwilę walczyła z mdłościami.

Na prawym ramieniu wciąż czuła uścisk tego mężczyzny. Skóra zaczerwieniła się w miejscach, gdzie wbił w nią palce. Nie bolało, ale świadomość tego dotyku na sobie napawała ją obrzydzeniem. Wyciągnęła z torebki chusteczkę i zaczęła trzeć ramię, czyścić je z niewidocznego brudu. Z obcych zarazków. Poczuła na sobie czyjś wzrok, spojrzała w kierunku wejścia do metra. Za wysokim, eleganckim mężczyzną w kapeluszu stał kaznodzieja i wwiercał w nią swoje zamglone źrenice.

Dziewczyna wydała mu się znajoma.

Wpatrywał się w nią przez całą drogę, lecz nie skojarzył podobieństwa. Roztrzepane blond włosy gryzły się z eleganckim strojem i rogowymi okularami w czarnych oprawkach. Pracownica biurowa, jakich tysiące jeżdżą każdego dnia o tej samej porze do pracy. Pszczoły

robotnice wciśnięte w identyczne stroje, wykonujące podobne czynności w plastrach podzielonych na ciasne komory biurowców, wszystkie wyposażone w komputer, telefon, śmietnik i pluszową maskotkę.

Zadziwiła go radość, z jaką młodzi ludzie lgnęli do tych cel katorżniczej pracy. Nie potrafił zrozumieć, jak młodzież z pełnymi ustami sloganów o indywidualizmie i wolności potrafi tak szybko przesiąknąć syndromem korporacyjnego niewolnika. Ochoczo wchodzili w labirynt narzuconych schematów, jakby na końcu czekała na nich jakaś wyjątkowa nagroda. A chodzi w tym przecież wyłącznie o konieczność przeżycia. Adaptacja nie powinna jednak oznaczać afirmacji.

To było dla niego niewyobrażalne. Pragnienia tych ludzi ograniczały się do sfer wegetatywnych. Chcieli jeść, pić, mieszkać, korzystać z rozrywki. Kochać się, rodzić dzieci. Niczego ponad to, czego od nas wymaga natura, konieczność zachowania gatunku. Synonimem szczęścia stała się wegetacja, dążeniem zarabianie pieniędzy. Kapitał był celem, ludzkość jedynie środkiem. Za jego czasów były jeszcze idee. I nawet kiedy przestał wierzyć w ich realizację, wciąż uznawał ich wzniosłość, nadrzędność. Bo jeśli ma być tylko praca i życie, nasz gatunek nie różni się niczym od innych. W takim przypadku ewolucja nie miałaby jakiegokolwiek sensu. Nie prowadziła do niczego.

Dziewczyna wybiegła i znikła w tłumie. Nie został po niej nawet ślad. Nie wyróżniała się niczym, była kawałkiem ciasta oderwanym od bezkształtnej masy zalegającej w garnku. Podobny zapach, podobna postać, podobny ubiór, ten sam sposób myślenia. Kobiety, które dzwoniły do niego z ofertami usług, brzmiały dokładnie tak samo. Od pewnego czasu zastanawiał się, czy przypadkiem po drugiej stronie nie siedzi maszyna. Sprawdził, raz siedziała. Za drugim razem nie, a to przeraziło go jeszcze bardziej. Usta stały się syntezatorami mowy. Uniformizacja przeszła na poziom cybernetyczny.

Dziewczyny, które podrywali w młodości z Gustavem i Hugonem, były inne. Jak kwiaty, kolorowe ptaki. Wołali na nie młode mewki, gapiąc się, jak wychodzą z wody. Wtedy jeszcze można się było kąpać tuż przy nabrzeżu w Starym Porcie. Pływali, a później wylegiwali się na betonowych konstrukcjach, wchłaniając promienie słońca. Opaleni, rozmarzeni, wolni. Kochali się w tych samych dziewczynach, rywalizowali o nie jak psy. A jednocześnie odczuwali miłość do siebie nawzajem. Byli nierozłączni, nierozzerwalni. Od rana do nocy patrolowali zaułki Panier, swojej dzielnicy, zapuszczając się aż do portu. Przy placu Lorette ojciec Hugona prowadził knajpkę, wpadali tam na posiłek. Figatelli i kartofle z natką, to lubił najbardziej, w wykonaniu matki Hugona były wspaniałe. Tam poznał swoją pierwszą poważną miłość. Tam pierwszy raz schlał się pastisem. Stare dzieje. Piękne historie.

Usiadł na ławce. Kaznodzieja zbierał się z posadzki peronu, na klęczkach pakując do teczeki porozsypywane szpargały. Wyświechtana Biblia leżała obok grzbietem do góry, z połączanymi napisami wyglądała jak model architektoniczny kopuły kościoła. Mężczyzna wsunął ją do teczki i wstał, otrząpął spodnie. Oparł się o kolumnę w poszukiwaniu minimum intymności, poprawił na nosie okulary, oblizał pękniętą wargę, z której krew zbierała się w kącikach ust. Obserwował otoczenie spode łba, spodziewając się kolejnego ataku. Było coś dziwnego w jego wyglądzie, szczególnie w twarzy. Jakby była obleczona warstwą pajęczyn. Szaleństwo zdawało się przybierać w nim formę choroby skóry, wylażyło na zewnątrz gorączką, ułomnością psychiczną infekowało tkankę, zakazało.

Kaznodzieja wstał, obaj ruszyli w stronę, w którą wcześniej pobiegła dziewczyna. Mignęła im przy wyjściu z metra, zanim zmieszała się z tłumem. Starszy mężczyzna cofnął się, wybrał tunel prowadzący do przeciwległego peronu. W oczekiwaniu na pociąg ponownie dostrzegł kaznodzieję wybierającego nowe miejsce wygłaszania swoich profetycznych kazań.

Obu czekało tego dnia jeszcze dużo pracy, żaden nie zamierzał zmarnować ani minuty. Ustawiony na określoną godzinę zegar zaczął odliczać czas. Musieli się spieszyć.

– Kurwa, jak gorąco!

Mundurowy policjant pilnujący miejsca zdarzenia zdjął czapkę i starł z czoła krople potu, które wielkością przypominały bąble pooparzeniowe. Nie było pewne, czy ma na myśli pogodę, czy pogorzelnisko, przy którym stróżował.

Claude stanął kilka metrów od taśmy, rozejrzał się dookoła. Słońce rozpałało betonowy krajobraz do czerwoności. Wybebeszone hale magazynowe chwiały się, powyginane pręty zbrojeniowe zdawały się topić, nad placem unosiła się kilkunastocentymetrowa mgielka rozgrzanego powietrza, falowała niezależnie od wiatru, płynęła. Śmieci nurkowały w niej niczym ryby, ludzie tonęli do kolan, a ci najdalej stojący do pasa. Przemykająca pomiędzy fundamentami suwnic postać rozpływała się niczym plamka rtęci.

– Zabezpieczyliście teren? – zapytał przysadzistą kobietę sięgającą mu ledwie do ramion.

– No. Czemu pytasz?

– A tamten to co, fatamorgana? – Wskazał błakającego się między halami obdartego mężczyznę. Odwrócił się od wytrzeszczającej wzrok kobiety i przywołał skinieniem ręki porucznika Taidera. – Rais, zrób tutaj najpierw porządek, bo zaraz się wkurwię. Nikt nie wchodzi na teren, a jak już tu jest, to z niego nie wychodzi, zatrzymujemy wszystkich do wyjaśnienia. Przy okazji weź naszych chłopaków i rozejrzyjcie się. Założę się, że te pataluchy przeoczyły świniaka.

Ruszył wzdłuż taśmy policyjnej do wejścia na teren, gdzie operowali technicy kryminalistyczni. W swoich białych kombinezonach prezentowali się na tle czarnych zgliszczy jak w kraterze wypalonego wulkanu. Do kolan i łokci umazani byli w popiele, podmuchy wiatru co chwila wzbijały w powietrze tumany sadzy. Z pogorzelniska sterczały druty i niedopalone deski, płomienie wymalowały na ścianie budynku krajobraz kosmicznych gór zbudowanych z czystego węgla.

Po metalowej platformie dostał się do miejsca, gdzie znaleziono zwłoki. Denat był tak czarny i pokurczony, że Claude'owi stanęły przed oczami zdjęcia ofiar afrykańskiego głodu, ludzkie szkielety obleczone cienką warstwą chropowatego materiału, który tylko z przyzwyczajenia nazywano skórą. W niektórych miejscach pozostały resztki ubrania, w innych pojawiły się plamy rozlanej substancji, która wtopiła się w ludzkie szczątki.

– Szkło?

Technik pucujący na klęczkach zwłoki szczoteczką podniósł na niego wściekle spojrzenie.

– Jeszcze nie skończyliśmy, Eryan, nie zwracaj nam dupy!

Benzema, szef techników, podszedł do Claude'a i ściągnął maskę na szyję. Wygrzebał spod kombinezonu wodę i wypił ją duszkiem. Butelkę zaprezentował policjantowi jak eksponat.

– Plastik i guma – odniósł się do poprzedniego pytania. – Szkło topi się w temperaturze powyżej tysiąca stopni Celsjusza, potrzebowałbyś pieca hutniczego. Tutaj było w ciągu kilku minut po wszystkim, kilkunastu, licząc dogasanie żaru.

– Facetowi starczyło.

– Benzyna. – Wskazał jedną z tabliczek, jakimi oznaczono dowody.

Podeszli bliżej. Claude ukląkł i przyjrzał się odłamanej szyjce od butelki z płatkami czarnego popiołu.

– Butelka z benzyną?

Taką broń stosuje się podczas ulicznych rozruchów, ewentualnie starć piłkarskich kiboli. Ale w opuszczonych dokach, wobec jednego człowieka? Trening albo nowa metoda załatwiania

spraw między gangami.

– Jesteśmy w stanie zidentyfikować ofiarę?

– Na razie nie. Wygrzebaliśmy coś, co kiedyś mogło być torbą. Jeśli to jego, może uda się wyskrobać jakieś wskazówki w laboratorium. Ale nie ma gwarancji, tu była kupa śmieci.

Więc ktoś musiał ją usypać. Claude rozejrzał się po placu, ale w zasięgu wzroku nie było zbyt wielu walających się gratów, raczej pojedyncze okazy reklamówek, puszek po piwie i niezidentyfikowanych kształtów przypominających podeptane kartony. Rachityczna roślinność popromiennego miasta.

– Coś jeszcze czy będziesz się teraz oddawać zadumie?

Claude nie dał się sprowokować, technicy uwielbiali wszczynać awantury i kłótnie. Jajogłowi, którzy z powodu swojego kalectwa znienawidzili świat. Podeszedł do trupa. Ze względu na wybudowaną wokół ciała platformę miejsce zdarzenia przypominało stanowisko paleontologiczne, a oni badaczy dawno wymarłych form życia. Tak właśnie wyglądał denat, jak istota z obcego czasu lub miejsca. A pracujący nad nim technik w kombinezonie nie lepiej, obaj byli nie z tego wymiaru.

– A te kawałki blachy przy stopach? Jego?

Kosmita tym razem nawet nie pofatygował się, żeby podnieść głowę. Ponownie wyręczył go szef ekipy.

– *Stahlstiefel*. Obuwie ochronne lub broń ofensywna, w zależności od zastosowania.

Robol albo nazista, bo tylko te dwie kategorie były w stanie wytrzymać w taki upał w glanach. Postawiłby na tych drugich, bojówki faszystowskie były coraz liczniejsze i bardziej aktywne. Problem był jednak taki, że należeli raczej to kategorii drapieżników niż ofiar. Dopadł go któryś z muzułmańskich gangów z północnych dzielnic?

– Kapitanie!

Taider machał do niego zza rogu hali, przy której wzniecono pożar. W roztopionym powietrzu zdawał się zapadać w podłoże, tonąć w płynnym betonie. Claude dał znak, że zaraz do niego przyjdzie, i odszukał wzrokiem Benzemę, żeby mu podziękować. Już go nie było, dołączył do swojej ekipy ufoludków. U jajogłowych nie istniały takie słowa jak „proszę”, „dziękuję” czy „przepraszam”. Zastępowały je przekleństwa lub pogardliwe milczenie.

Porucznik wskazał mu wejście do hali magazynowej. W sięgających dachu wrotach ktoś wyłamał część prawego skrzydła. Drzwi dla krasnali, obaj policjanci musieli się schylić, żeby wejść do środka. We wnętrzu panował półmrok. W powietrzu migotały drobiny kurzu, pęknięcia w blaszanym dachu składały się w dziwne wzory, jakby ktoś próbował wygrawerować napis w jakimś wymarłym języku.

– Tam, w rogu. Wygląda na to, że magazyny miały nielegalnego mieszkańca.

Podeszli do ściany, za którą w nocy szalał pożar. Z drugiej strony, gdzie nie było widać nawet śladu ognia, pomiędzy dwiema kolumnami leżał materac i kilka tobołków w reklamówkach z Carrefoura. Wózek z tabliczką Auchan pełen był skarbów niewiadomego pochodzenia i zastosowania. Podstawowy zestaw każdego kłozarda. Obok legowiska stała butelka zsiadłego mleka. Kilka zwiłków folii aluminiowej było otwartych, wypadały z nich kości, skórki od chleba i jakieś warzywa. Resztki po resztkach z ludzkich stołów.

– Musiał stąd uciec w pośpiechu, inaczej nie zostawiłby swojego dobytku.

– Świadek?

– Może nawet sprawca. Albo po prostu wystraszył się hałasów i krzyków i zwiął.

Nadzieja i pogrzebanie nadziei. Każde policyjne śledztwo to rachunek tyłu prawdopodobieństw i niemożliwych, że trudno cokolwiek stwierdzić na pewno. Nawet w przypadku zabójstw w afekcie, kiedy skruszony mąż ze szczegółami relacjonuje akt

pozbywania się żony. Bo zawsze są jakieś okoliczności łagodzące, motywy, a po zestawieniu zebranych w toku dochodzenia materiałów okazuje się, że tak naprawdę ofiarą był sprawca. Dlatego lepiej nigdy nie doszukiwać się dobra lub zła. Świat stanąłby wtedy na głowie.

– Damy radę go odnaleźć?

Wzruszenie ramion. Claude znał te historie: brak dowodu osobistego, brak miejsca zamieszkania, brak rodziny będącej w stanie potwierdzić tożsamość. Często uzależnienie od alkoholu lub narkotyków, na dodatek choroba psychiczna w różnym stadium. Wiarygodność tak mała, że nie opłaca się trudzić. Chyba że ma się do czynienia z takim brutalnym morderstwem.

– Spróbujmy. I sprawdź zgłoszenia o zaginięciach z ostatnich dni. Jak nikt się po smolucha nie zgłosi, nie damy rady go zidentyfikować.

– Jak źle to wygląda?

– Zapomniałeś kiedyś wyciągnąć na czas kurczaka z piekarnika? Właśnie tak. Z tą różnicą, że kurczak aż tak nie śmierdzi.

Śwąd spalonego ciała wpadał przez okna do środka i dolatywał do miejsca, gdzie stali. Claude przesunął się i stanął w świetle. Dopiero wtedy zauważył, że do ubrania przylgnęły mu czarne paprochy popiołu, a sadza osiadła w zgięciach skóry. Miał na sobie popioły trupa. I wrażenie, że odór śmierci wżarł mu się w ciało i nie da się usunąć.

Dziecko zaczęło płakać. Isabelle ciężko westchnęła, pogłaskała je po główce. Objęła i silniej przytuliła do piersi. Płacz ustał, ale zaraz wybuchnął na nowo. Przypominał czkawkę, szloch przerywany milczeniem, jakby dziewczynka zastanawiała się nad powodem swojego smutku.

– Co się stało, kochanie? Zły sen?

Mała podniosła głowę. Widząc matkę, ze zdziwieniem zmrużyła oczka. Skrzywiła usta w próbie uśmiechu, ale spod powiek wyciekły dwie strużki łez. Isabelle usiadła na łóżku, posadziła córeczkę na kolanach i wtuliła ją w szyję, zamykając pomiędzy policzkiem a barkiem. Na skórze poczuła wilgoć.

– Nie bój się, Ivonne, jesteś w swoim domku, z mamusią. Nie płacz...

Były teraz całością, jednym organizmem, jakby dziecko nigdy nie opuściło jej ciała. Poniekąd tak było. Związek, który łączy matkę z potomstwem, nie zanika. Zanim ograniczy się do uczuciowego impulsu, przybiera formy typowo fizyczne. Noworodek, który w pierwszych chwilach swojego życia nie poczuje dotyku, umiera. Czułość jest podstawą ludzkiego współistnienia, Isabelle wiedziała o tym doskonale. Wierzyła, że sama umarłaby również, gdyby przestała czuć bliskość kochanych ciał. Mąż, syn, córka i ona często zamykali się w objęciach niczym w kokonie rodzinnego ciepła. Potrafili spędzić we wspólnym uścisku długie godziny. Leniwe rodzinne wieczory, niedzielne popołudnia.

– No chodź, słońce, damy ci jeść. A później pójdziemy na spacer. Co, kwiatku, chciałabyś pójść na spacer?

Dziecko wciąż nie zerwało łączności ze snem, przelewało się matce przez ręce. Isabelle najchętniej przecięłaby ten metafizyczny pomost nożyczkami, siłą wyrwałaby swoją pociechę ze szpon tego koszmaru. Co lęgnie się w podświadomości takich małych, niewinnych istot? Duchy, drapieżniki, źli ludzie? Ivonne nie miała jak na razie do czynienia z żadnym z tych zjawisk. Poza zwierzętami, ale nigdy w morderczej furii, zawsze jako futerka i pieszczochy.

– Co to było, malutka, czego się wystraszyłaś?

– Tatus – szepnęła w odpowiedzi córeczka.

– Kochanie, tatuś jest w pracy, wiesz o tym. Przyjdzie do nas wieczorem, pobawi się z tobą lalkami...

– Ale ja nie chcę. Ja się bałam tatusia.

Isabelle zamarła. Oczywiście bzdura, ile to razy snią się irracjonalne rzeczy. Dokładnie pamiętała senne sceny seksu ze swoim najbliższym kuzynem, po których nie potrafiła mu spojrzeć w oczy przez długie tygodnie. Widziadła nocne to wciąż niezbadany fenomen, odprysk ewolucyjny niewiadomego pochodzenia.

Zabrała się do ubierania dziecka. Dziewczynka obudziła się na dobre i zaczęła skubać jej rozpuszczone włosy i ciągnąć łańcuszek z serduszkim, który dostała od męża na pierwszą rocznicę ślubu. Przy jedzeniu mała rozgadała się na dobre, kontynuowała bajkę, którą układali wspólnie z braciszkiem. Cyberopowieść o gangu smartfonów, który uwielbiał psocić ekipie tabletów. Rozmowy prowadzili, telefonując do siebie, wspólnymi zabawami były gry w sieci. A gdzie pluszowe misie, żołnierzyki czy bajki? Isabelle wychowała się na gumisiach i smerfach, więc miała wrażenie obcowania z kompletnie niezrozumiałym światem. Obcym, do którego już nigdy nie będzie miała dostępu.

Słowa Ivonne wciąż kołatały jej w głowie. Zalęgły się w niej jak cierń, utrudniały chodzenie. Nie potrafiła powstrzymać absurdalnych myśli, które pojawiały się znikąd i natychmiast znikwały. Przypomniały jej się książki i artykuły, które czytała, przygotowując się do roli matki. Wszędzie subtelnie informowano o zagrożeniach związanych z dorosłymi mężczyznami i dziećmi. Pedofilia była chyba najgorszym słowem, które mogła wyobrazić sobie kobieta. Już nie gwałt ani morderstwo, jak kiedyś. Pedofilia.

Poczuła zimne dreszcze, a zaraz po nich zalała ją fala gorąca. Strach i wstyd. Jak w ogóle mógł jej przyjść do głowy choćby cień takiego podejrzenia? Roześmiała się głośno, by dodać sobie animuszu, głosem przepędzić nieme, tchórzliwe domysły. Oczywiście według wszystkowiedzących mądrali z babskich gazet każdy facet to potencjalny zboczeniec i seksualny drapieżnik. Baczne przypatrywanie się ojcowskim reakcjom przy kąpeli potomstwa lub zmianie pieluch miało być zwykłą ostrożnością. Mężczyźni sami najczęściej nie wiedzą, co w nich drzemie. Do czego są zdolni.

– Chodź, małpko, idziemy!

Dziewczynka podbiegła do niej w podskokach, nucąc piosenkę Laurie Berkner o ptaszkach. Wyszły na klatkę, następnie schodami na parter. Ivonne uwielbiała skakać na stopniach, więc unikały windy. Odbijała się obiema nóżkami i lądowała o stopień niżej, aż na sam dół. Matce na początku zamierało serce przy każdym schodku, ale zdołała się przyzwyczaić. Rzadkie lądowania na tyłku były niegroźne, więc nie zamierzała wariować ze strachu. W mądrych książkach o tym także pisali: nadopiekuńczość upośledza samodzielność i zmysł strachu, co w konsekwencji może okazać się dla dziecka fatalne.

Plac zabaw znajdował się na rozległym podwórku pomiędzy czterema apartamentowcami, z których składał się ich kompleks mieszkalny. Osiedle było niezłe, choć nie luksusowe. Nawet gdyby było ich stać na luksusy, unikaliby tego dla dobra dzieci i własnego sumienia. Szczególnie Claude – Isabelle z upływem czasu zaczęła po cichu zmieniać zdanie. Nigdy za wiele poczucia bezpieczeństwa, twierdziła, a zamknięte, ochraniane osiedla zwiększały komfort emocjonalny. Pozornie, Claude miał rację. Ale w realny, namacalny sposób wyraźnie zaznaczona murami i bramą granica między domem a światem zewnętrznym uspokajała. A że nie było to zbyt demokratyczne? I tak nikt już nie mówił o demokracji. Społeczne idee przegnał podsycany medialnie lęk przed obcymi.

Już z daleka widać było, że na placu zabaw coś się dzieje. Było dużo więcej osób niż zwykle i wszyscy stali. Wyglądało to na zbiegowisko. Popatrzyła na córkę, która w tej chwili wyrwała się z uścisku jej dłoni i pewnym krokiem ruszyła w kierunku huśtawek. Isabelle nie miała innego wyjścia, jak pójść za nią. Poza tym sama była ciekawa, co się wydarzyło. Wypadek?

Kiedy podeszły do tłumu, wzięła Ivonne na rękę. Na placu zabaw były głównie kobiety i dzieci, jak zwykle. Dołączyło paru emerytów, jakiś mężczyzna w garniturze obserwował zajście zza płotu. Nikt się nie bawił, matki trzymały dzieci blisko przy sobie, w milczeniu przyglądając się kłótni. Bo tak to wyglądało, jak kłótnia. Jedna z kobiet intensywnie wymachiwała prawą ręką, wygłaszając jakieś kazanie drugiej, która stała w pozie obronnej, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Synek obejmował ją za nogi, co chwila rzucając wystraszone spojrzenia.

Isabelle przedostała się bliżej.

– To jest moje obywatelskie prawo! Ja nie pozwolę! Zabraniam! – krzyczała ta agresywna.

Miała włosy ścięte na chłopca i starczą zmarszczkę złości na czole. Druga zadarła brodę i z dumą wpatrywała się tamtej w oczy. Isabelle знаła obie z widzenia, miały dzieci w tym samym wieku.

– Co się stało? – zapytała najbliższej kobiety.

– Nie widzisz? Wyszła z domu w hidżabie. Mnie to tam obojętne, ale niektórym widocznie przeszkadza.

– Przeszkadza czy nie, od dzisiaj zabrania tego prawo – dorzuciła druga. – Nie wolno i koniec.

– A ja tego w ogóle nie pojmuję – zaskrzeczała staruszka. – Mają wreszcie wolność od tych chustek, to się buntują. Nie dogodzi im, zawsze to powtarzałam!

– No i co się tak gapisz?! – kontynuowała ta z krótkimi włosami. – Nikt cię tu nie chce, to won do domu! Albo się dostosujesz, albo do widzenia! Pasać kozy, czy z czego wy tam u was żyjecie.

Dziewczyna w hidżabie przeciągnęła wzrokiem po zbiegowisku. Kilka kobiet wytrzymało jej spojrzenie, niemo popierając koleżankę. Reszta zwiesiła głowy. Isabelle poczuła, że coś kipi jej w brzuchu i próbuje wydostać się ustami na zewnątrz, ale zacisnęła szczękę. Nie wyłamała się ze wspólnoty.

– Nienawidzę was! – wykrzyknęła muzułmanka.

Szarpnęła synka za rękę i poprowadziła do furtki. Zbiegowisko rozpadło się na dwie części, rozstało przed nią jak Morze Czerwone w trakcie ucieczki Żydów przed prześladowaniem Egipcjan. Odprowadziły ją pełne pogardy spojrzenia. Kiedy nie patrzyła w oczy, nikt nie bał się już wyrazić swojego zdania. Najpierw szeptem, a kiedy zniknęła za rzędem samochodów, na głos. Harmider komentarzy brzmiał jak bzyczenie stada szerszeni.

Z powodu Ivonne Isabelle nie wróciła natychmiast do domu. Gdyby nie zaskoczenie, stanęłaby po stronie szykanowanej, z pewnością nie byłaby sama. Gdyby nie nowe prawo, nie czułaby się taka bezsilna. Mogłaby być tylko za albo przeciw. Z nami albo przeciwko nam. A ona chciała po prostu w spokoju żyć, wychowywać dzieci. Dlatego nie miała wyboru.

Kiedy Céline weszła do redakcji, przywitał ją oburzony wzrok sekretarki. Nigdy za nią nie przepadała, traktowała ją z góry, tak jak większość pięknych kobiet czujących wyższość nad tymi brzydkimi. Teraz miała jeszcze jeden argument na swoją korzyść. Céline była zakutana w tkaninę jak muzułmanka.

– Nie wolno zakrywać twarzy w miejscach publicznych! – poinformowała w odpowiedzi na przyjazne „*Salut!*” Céline, która bez zbędnych dyskusji ruszyła w głąb korytarza prowadzącego do gabinetów dyrekcji. – Szef nie ma w tej chwili czasu!

Za późno, Céline znikła za przeszklonym wejściem. Minęła kilkoro drzwi z miedzianymi tabliczkami i przystanęła przy tych z napisem „Redaktor Naczelny”. Zapukała i zakołysała się na piętach w oczekiwaniu na głos z wewnątrz. Po kilku sekundach dobiegło ją tłumione warknięcie. Weszła.

Zastała szefa schowanego za stosem papierów. Mimo możliwości i udogodnień nowoczesnej technologii wciąż nie potrafił się obejść bez zwyczajnego wydruku. Wszystkie artykuły czytał na kartkach. Był bardzo niski, a na widok Céline ubyło mu jeszcze kilka centymetrów wzrostu. Przybyło zarazem w szerokości, jakby zmienił kształt, ale nie objętość. Tkwił w swoim olbrzymim fotelu jak worek grochu pozostawiony tam przez przypadek.

– Cholera jasna, Céline, jak ty wyglądasz? Musisz... – Zdanie dokończył machnięciem ręki, którą zakręcił aureolę wokół swojej łysej głowy. Z miną Louisa de Funèsa, choć bardziej przypominał kieszonkowy model Gérarda Depardieu.

– A chciałbyś mnie zobaczyć bez? – Sięgnęła do chustki, ale naczelny natychmiast jej przerwał.

Z rezygnacją zwiesił ramiona.

– W czym mogę ci pomóc?

Céline usiadła na krześle dla gości, założyła nogę na nogę, przy czym materiał sukni zaszeleścił jak rozdmuchiwany piasek.

– Nie masz czasu na takie podchody, Patricku, to po co zaczynasz? Dobrze wiesz, po co tu przyszedłam. I twoja wina, że musiałam wyjść z domu. Jeśli mi się coś stanie, pójdzie na twoje konto.

– Przestań! Niby co mogłoby ci się stać? Ale w razie czego weź taksówkę, zapłacę rachunek.

– Tak szybko się mnie stąd nie pozbędziesz, Patricku. Najpierw rozmowa.

– Rozmowa! A o czym tu gadać? Chcesz sobie poczytać?

Chwycił w dłoń garść kartek ze sporej kupki i rzucił nimi w jej stronę. Kilka zjechało z biurka i rozsypało się na podłodze. Céline podniosła najbliższą, przeczytała:

– „Jeśli nie przestaniecie szkalować Francuzów, to do was przyjdziemy. Pamiętacie «Charlie Hebdo»? Będzie to samo, tylko z innego źródła. A nasze kulki zabijają tak samo”...

– Podniosła oczy znad tekstu. Na tle chustki w duże kwiaty wyglądały jak skrzydła niebieskiego motyla. – Powiadomiłeś policję?

– A co mi tutaj pomoże policja? Połowa z nich sama by nas chętnie zamknęła. A ryzyko zamachu do idealny powód. Troska o dobro publiczne!

– Więc co, zamierzasz się poddać? Sam mnie namawiałeś do pisania tych tekstów, tylko dzięki takiej strategii przez lata utrzymywałeś się na rynku. Pamiętasz wiece poparcia? Skandowali twoje nazwisko, jakbyś był ostatnią nadzieją republiki.

Machnął ręką i usiadł bokiem, jak nastolatka, która udowadnia, że nikt nie potrafi się bardziej obrazić. Céline dotknęła czułego miejsca, wiedziała o tym. „Le Méditerranéen” było ostatnią ostoją wolnej myśli, krytyki społecznej. „La Provence” po liberalnym epizodzie powróciła na łono skrajnego konserwatyzmu, kontynuując najgorsze praktyki byłej „La Méridional”, „La Marseille” poddała się dawno temu. Jeśli oni skapitulują, debatę publiczną w pełni opanuje jedność prawicowych poglądów. Politycy Frontu z zadowoleniem potrą swe kwadratowe szczęki.

– Grożą pracownikom i ich rodzinom. Nie mogę brać za to odpowiedzialności. Co później powiem, że idee są cenniejsze od życia? Przecież my tutaj bronimy przegranej, nie widzisz?

Widziała. Tak samo jak dostrzegała ślepa uliczkę, po której kroczą. Dojdą do ściany i już nie będzie wyjścia. W identyczny sposób poddawali się dobrzy ludzie w nazistowskich Niemczech, przez co automatycznie stawali się zli. Odpowiedzialność w narodzie jest wspólna, nie indywidualna.

– Będę już grzeczna, Patricku, obiecuję. Mocniejsze teksty wstawię na blog, dla ciebie przygotuję jakieś popłuczyny, zapchajdziury. Tylko mnie nie odstawiaj na bok. Zgoda?



Zagrała skruczę, nisko zwieszając głowę. On miał rację i ona miała rację, oboje siłowali się z własnymi sumieniami i sobą nawzajem. Miała nadzieję, że przeważą rodzicielskie uczucia, które zdawał się do niej niekiedy żywić. A przede wszystkim litość. Miał zbyt dobre serce, żeby nie próbować zrekompensować jej tego, czego pożałowało jej życie.

– *Merde*, Céline! Niech ci będzie, ale jeszcze jeden taki numer i wylatujesz!

Kolejny raz udało jej się go przechytrzyć. Kolumny w „Le Méditerranéen” potrzebowała, by zwabiać ludzi na łamy własnego bloga. To właśnie tam w pełni rozwijała swoją działalność publicystyczną. W najlepszych momentach miała prawie tyle samo odsłon, ile dziennik nakładu. Ostatnio ta liczba zaczęła drastycznie spadać, dlatego potrzebowała reklamy. Po przeforsowaniu uchwały o zakazie noszenia szat religijnych poniosła druzgoczącą porażkę. Wielu czytelników straciło zainteresowanie jej artykułami z bezsilności, inni z deficytu wiary. Zawsze trudno jest wspierać przegraną sprawę.

Rzuciłaby się naczelnemu na szyję, ale nauczyła się powstrzymywać takie reakcje. Dla siebie, żeby nie czuć później doskwierającego wstydu. Lecz przede wszystkim dla innych. Niewielu nie cofnęłoby się przed nią z odrazą. Oprócz nieżyjących rodziców pewnie nikt inny. Tylko oni byli jej w stanie dotykać. I ona ich.

Podziękowała motylimi oczami.

W okienku komputera wyświetlił się numer telefonu, łączono kolejnego klienta.

– Mówi Émilie Gomiz, doradca klienta. W trosce o świadczenie usług możliwie najwyższej jakości wszystkie rozmowy są nagrywane. Jeśli nie zgadza się pan na ten warunek, uprzejmie proszę o zakończenie rozmowy.

Pierwsze zdania wygłosiła automatycznie, jakby klepała tabliczkę mnożenia obudzona w środku nocy przez ojca. Metody wychowawcze rodziców przyniosły nadzwyczajne efekty, w półsennym amoku potrafiła funkcjonować nie gorzej niż na jawie. Efekt ograniczonej świadomości był zbawienny, dzięki niemu potrafiła przetrwać niekończące się serie pytań i odpowiedzi bez większego uszczerbku na zdrowiu. Inaczej już dawno wylądowałaby w psychiatryku. Który, czego była niemal pewna, nie mógł wiele się różnić od call center, gdzie pracowała. Co najwyżej nazywaniem rzeczy po imieniu.

Klient bąknął coś na zgodę, więc zadeklarowała pomoc.

– Prąd mnie kopnął.

Chyba naprawdę śniła.

– Słucham, czy mógłby pan powtórzyć zdanie?

– Kopnął mnie prąd. Odłączałem telefon i trzask, poszło mi po prawej stronie. Aż mi się włosy najeżyły na rękę. Na plecach chyba też, ale nie widziałem.

Nie tylko sen, ale na dodatek koszmar.

– Obawiam się, że w tej kwestii nie jestem w stanie panu pomóc. Sugeruję kontakt z lekarzem i wezwanie autoryzowanego serwisu elektrycznego.

Ostatnie zdanie było wyraźnym odstępstwem od norm, w których zezwalano jej się poruszać. Rysujące się na ekranie monitora drzewko odpowiedzi nie przewidywało takich opcji. Dostanie upomnienie, a może nawet regulaminowy opierdół.

– No przecież dzwonię. – Głos klienta przybrał nerwowy ton. – Chyba jesteście firmą elektryczną, czy nie? Przecież wam płacę za prąd, pięćdziesiąt cholernych euro miesięcznie. To mało?

Średnio, Émilie płaciła sześćdziesiąt. Na szczęście na taką ewentualność program komputerowy przewidział gotową odpowiedź. Przeczytała ją z ulgą.

– Uprzejmie informuję, że Électricité Réseau Distribution France jest korporacją energetyczną i nie świadczy detalicznego serwisu elektrycznego. W celu zapoznania się ze

szczegółowym profilem naszej firmy zapraszamy na stronę internetową. Czy mogę w czymś jeszcze pomóc?

– Prawie mnie, kurwa, zabiło, a ty tam pieprzysz od rzeczy!

– Dziękuję za kontakt z naszym centrum obsługi klienta i zapraszam ponownie. Życzę miłego dnia.

– Pizda!

Na szczęście trzasnęła słuchawką. Jako korporacyjna służka nie miała prawa pierwsza zakończyć rozmowy. Nieraz wsłuchiwała się w wymyślne wiązanki, powarkiwania i sapania klientów w oczekiwaniu na to, że wreszcie raczą uciąć rozmowę. Raz babka zapomniała wcisnąć czerwony przycisk w komórce i Émilie towarzyszyła jej w wyprawie do kibla. Zdążyła poprosić o interwencję superwizora, zanim pierwsze syki z odbytu zamieniły się w gromy.

– Émilie! – usłyszała za sobą głos szefa. Zawsze mówił oznajmiającym tonem, nawet gdy zadawał pytania lub czemuś zaprzeczał, jeśli zachodziła potrzeba. – Czy mógłbym cię poprosić do siebie?

Był szybszy od myśli, bo jeszcze nie zdążyło jej przyjść do głowy, że naprawdę wezwie ją do siebie z powodu tamtego idioty. Odepchnęła się od biurka i wstała z fotela. Przeszła tropem swojego menedżera pomiędzy identycznymi boksami bliźniaczych stanowisk pracy, odprowadzona przez dziwnie obojętny wzrok kolegów. Tylko Eveline, z którą w przerwach plotkowały w kantine, zwiesiła dolną wargę w komicznie wyrażonym zdziwieniu.

Jak tylko skręcili w boczną alejkę, zrobiło jej się niedobrze. Zupełnie jakby rzuciło ją na zakręcie, a kiszki doznały ataku choroby morskiej. Może z powodu falistych ruchów idącego przodem mężczyzny, którego regularnie marszcząca się na plecach koszula przypominała wodę. Niebieską, przesiąkniętą chlorem taflę odkrytego basenu. Przytrzymując usta, cofnęła się i wbiegła do toalety. Przez szum w uszach ledwo dosłyszała szefa, wołającego ją z korytarza swoim oznajmiającym tonem podniesionym o kilka oktaw, ale wciąż płaskim jak cykanie zegara.

Puściła pawia. Szum w uszach przeszedł w huk, opadła na klęczki i przytrzymała się sedesu, żeby nie spłynąć na kafle podłogi. Przeszły ją dreszcze. Usiadła i oparła głowę o spłuczkę. Atak przeszedł prawie tak samo nagle, jak się pojawił. Wciąż pływała, ale teraz mogła przynajmniej utrzymać się na wodzie, popłynąć w dowolnym kierunku. Wybrała umywalkę i lustro. Umyła twarz i ręce, wypłukała usta, wyczyściła porcelanową powierzchnię z obrzydliwych resztek zawartości żołądka. Poczowała wstyd. A zaraz po nim lęk.

Ciąża? Błyskawicznie obliczyła czas, jaki minął od ostatniego stosunku, umiejscowiła w kalendarzu miesiączkę. Raczej się nie spóźniła, choć nieregularności były u niej regułą. To mógłby być czarny tancerz z dyskoteki Vive!, ten o brzuchu jak tarka do ogórków. Nie bardzo pamiętała, czy ją przeleciał, czy tylko próbował, ale mu nie wyszło. To było jakieś trzy, cztery tygodnie temu, nawet by się zgadzało.

Jeszcze tego jej brakowało!

W toalecie rozbrzmiało pukanie do drzwi.

– Wszystko w porządku, Émilie?

W jednostajnym głosie menedżera nie było nawet cienia troski. Jeśli tak samo proponuje seks swojej żonie, to pewnie ją rżnie jak materac.

– Tak, już idę. Proszę na mnie poczekać w biurze!

Kilka razy głośno odetchnęła i dokładnie przejrzała się w lustrze. Jej wzrok wciąż zezował w kierunku brzucha. Płaskiego jak ton wypowiedzi szefa. Postanowiła po drodze do domu wpaść do apteki i kupić test. Odszukała w pamięci słowa modlitwy, którymi zamierzała przebłagać los. Miała na to jeszcze parę godzin, do zakończenia pracy.

Podeszła do drzwi i chwyciła klamkę, przystanąła w połowie kroku. Coś mignęło jej

w lustrze, czego tam nie powinno być. Cofnęła się, zbliżyła do lustra bokiem.

Na ramieniu wykwitł jej wielki bordowy siniak. Dokładnie w miejscu, gdzie rano ścisnął ją wariat z Biblią. Poczwała ten dotyk jeszcze raz. Sięgał w głąb ciała, do samej kości. Ohyda!

Kafejka u Hassana na rue d'Endoume była zapchana niczym nadmorska autostrada. Nikomu nie chciało się wieczorami siedzieć w domu, tym bardziej że dawno nie było tylu spraw do obgadania, a marsylczycy uwielbiali politykę, zwłaszcza ci starsi. Zmiany polityczne w ciągu paru lat były tak radykalne, że gdyby złożyć do kupy małe kroczki, którymi postępowały, wyglądałoby to na rewolucję. A raczej kontrrewolucję, jak tłumaczyli weterani związków zawodowych i partii komunistycznej. W ich twierdzeniach, że wracamy do Europy podziałów, było sporo racji. Podkreślana analogia z latami przedwojennymi wydawała się wyraźna, wróg zewnętrzny czaił się u granic, wróg wewnętrzny atakował od środka. Zawsze musi istnieć jakiś nieprzyjaciel i obcy, żeby było kogo się bać i nienawidzić. Zastraszoną społecznością łatwiej steruje, ten powtarzany od dekad banał nie traci na aktualności.

Fontanna sikała z trzech oczek, czwarte musiało być zapchane lub poszedł zawór. Na chodniku parkowały w ciasnym rzędzie różnokolorowe skutery, prawie wszystkie poobijane i obdrapane. Przypominały trochę slajdy z projektora, który Claude dostał kiedyś na gwiazdkę. Zastłaniał okna, siadali po ciemku na podłodze i bawili się z kolegami w kino. Niekiedy pojawiał się kuzyn Maurice i czytał im teksty bajek, a robił to znakomicie. Miał wyjątkowy talent aktorski, ale też skłonności homoseksualne, co w tamtych czasach ciągle było traktowane jak zaraza. Ojciec wygnał go z domu, a po kilku miesiącach znaleziono chłopaka ze strzykawką w rękę, przedawkował. Tak miało być, przytakiwali sobie członkowie rodziny, był słaby. A biedne dzielnice Marsylii nigdy nie były dla słabych. Ani dla utalentowanych. W tych zapyziałych kamienicach z odpadającym tynkiem marnował się każdy.

Mimo dużego ruchu szklanka z aperitifem pojawiła się przed Claude'em niemal natychmiast. Hassan przyniósł mu ją osobiście, Claude był jego stałym klientem. Nawet nie musiał zamawiać, zawsze dostawał któreś ze swoich ulubionych dań, to, które było najświeższe. Tego dnia morskie jeże z gotowanymi ziemniakami. I naburmuszona mina Hassana jako dodatek. Mogłoby się odechcieć jeść, gdyby tak dobrze nie znał tego staruszka. Był wściekły na to, co wyrabiał Front Narodowy. Jak niemal wszyscy jego starzy znajomi. Związkowcy i komuniści, którzy nieraz mieli do czynienia ze zbrojną ręką władzy państwowej, nie byli szczęśliwi, że Claude postanowił zostać gliniarzem.

– Coś będzie nie tak, nie spodoba się im, to każą ci nas aresztować, albo nawet i strzelać. Co wtedy zrobisz, nie posłuchasz rozkazu? – przypominał mu któryś co jakiś czas.

Mieli rację, pilnowanie porządku mieściło w sobie nieusuwalne sprzeczności. Chronił dobrych ludzi przed złymi, ale w każdej chwili mógł dostać polecenie, by chronić złych przed dobrymi. To polityka państwowa definiowała dobro i zło, nie etyka.

Obok ogródka przeszła wyjątkowo zadbana kobieta pod sześćdziesiątkę, trzymając się sztywno jak kij. Wyglądała w tym miejscu jak zagubiona turystka. On zresztą też i pewnie dlatego przyjrzał mu się z takim zdziwieniem. Mógł to wziąć za oznakę zainteresowania, ale dobrze wiedział, że było inaczej. Wyróżniał się spomiędzy klientów knajpki jak czarna owca w stadzie. A raczej biała, wszyscy inni mieli ciemną karnację. Metekowie, imigranci z Włoch albo krajów Maghrebu i ich potomkowie Beurowie. On był jednym z niewielu rodowitych Francuzów, którzy się tam wychowali. Wtedy to nie miało większego znaczenia. Dzisiaj było w wyjątkowo złym guście.

Zadzwoił Rais z wieczornym meldunkiem. Zaczęli szukać bezdomnego, wciąż próbowali zidentyfikować ofiarę. Lista potencjalnych sprawców się nie zmieniła, łatwiej byłoby im, gdyby znali tożsamość trupa. Z laboratorium jeszcze nic nie wpłynęło, a typy zwinięte na

miejscu zdarzenia trzęsły się ze strachu i braku lekarstwa, dwóch alkoholików i ćpun. Wiedzieli o świecie mniej więcej tyle samo, co sami o sobie. Wyjątkowo niewiele. Kazał Raisowi rozpuścić ekipę i samemu jechać do domu, zrobili tego dnia wystarczająco dużo.

– Kosa czy gnat? – zainteresował się Pietro, łypiąc chytrze jedynym okiem. Uwielbiał tego typu sensacje. – No już, detektywie, opowiedz staruszkowi coś na dobranoc.

– Nie będziesz mógł spać, Pietro, lepiej nie.

– I tak nie śpię, co za różnica? No dalej, prędzej dam ci w pysk, niż będę cię prosić.

Szklane oko Włocha od długiego użytkowania starło się i zmatowiało, przypominało zasrzoną szybę z brudem brązowej źrenicy. Siwy zarost wyglądał jak śnieg. Pomarszczona, surowa twarz spracowanego robotnika. Był dokerem, swego czasu stanowili w Marsylii siłę nie do pobicia. Złamani restrukturyzacją już się nie podźwignęli. Teraz nie mieli nawet w sobie tyle energii, żeby z odpowiednią pasją grać w bule.

– Obrzucili człowieka butelkami z benzyną, wypalił się miejscami do kości.

– Brodaci?

Pytanie zaskoczyło Claude'a. Automatyczne kojarzenie aktów bestialstwa z muzułmanami było do tej pory domeną prawicowych bigotów, nie starych komunistów. Medialna pralnia zrobiła swoje, niewielu uniknęło prania mózgu. Tak dobry wynik Frontu w wyborach przestał być nagle zagadką. Krucjata przeciw niewiernym rozgrzeszała nawet z najbardziej karygodnych sojuszków.

– Wiesz, ile wykryto w ubiegłym roku zabójstw na tle religijnym, Pietro? Dwadzieścia sześć, czyli niecałe pięć procent wszystkich zabójstw. A ile z nich zostało popełnionych przez brodatych? No, Pietro, zgadnij!

– Daj spokój, Claude, co ci odbiło?

– Trzy, Pietro! Reszta to sprawka łysych i innych neonazistowskich zębów!

– Gówniarz!

Staruszek machnął ręką, wstał i odszedł w stronę baru, o mało nie wpadając pod koła skutera, kiedy przekraczał ulicę. Claude duszkiem wypił kieliszek białego wina, który jakimś cudem pojawił się tymczasem na stole. Wkurzył się i teraz tego żałował. Nie miał najmniejszego prawa w ten sposób traktować swoich byłych sąsiadów. Nie ich wina, że myślą, co im się każe myśleć. Po prostu się boją, jak wszyscy.

– Relatywizm kulturowy, Claude. Już dawno powinieneś się tego nauczyć. – Jean-Jacques zawisł nad stołem, przysłaniając smugę światła, która przeciskała się pomiędzy platanowcami i rysowała na blacie bukiet słonecznych liści. – Dobre te jeże? Zgłodniałem, chętnie zamówię. Coś do picia?

Zanim Claude zareagował, mężczyzna złożył zamówienie i usiadł na miejscu zwolnionym przez Pietra. Claude jeszcze się nie odezwał, a już czuł się winny. Każda rozmowa z teściem wywoływała w nim wyrzuty sumienia, jakby zdradzał żonę. Nie potrafił jednak zmusić się, żeby tego człowieka nie lubić. Starał się, ale efekt był zgoła odwrotny, czuł do niego wyjątkową sympatię. Może i teść był fiutem, ale daleko mu było do drani, których spotykał na co dzień.

– Jak mnie tutaj znalazłeś? – zaczął opryskliwie, zgodnie z tradycją.

– A co za różnica? Nie trzeba do tego śledczego, Claude, uwierz mi. Jesteś przewidywalny jak stolec, zawsze potrzebujesz swojego czasu i miejsca. Coś nowego, jakaś ciekawa sprawa?

Claude przyjrzał mu się dokładniej. Wyglądał dziwnie, inaczej. Cyniczny uśmieszek starego satyra odkleił się od ust i wpadł do środka, pozostawiając po sobie żalodne wspomnienie. Ledwo skrywany smutek.

– Jak zwykle, Jean-Jacques, źli ludzie zabijają dobrych.

– Ciągłe jesteś słaby z logiki, Claude. Żli zabijają złych, dobrzy dobrych, dobrzy złych i źli dobrych. Etyka nie ma ze śmiercią nic wspólnego.

W takich chwilach inspektor nie znosił wszystkowiedzącego teścia. Przemądrzały, zarozumiały profesorek, który posiadał na własność wielki kwantyfikikator. Ale miał rację.

– Przyszedłeś się wymądrzać czy pogadać?

– A na co masz czas?

– Właściwie na nic, czeka mnie jeszcze przyjemność z wydziałem wewnętrznym.

Dopijam drinka i znikam.

Jean-Jacques wbił wzrok w spód szklanki, jakby szukał tam drugiego dna. Z nisko zwieszoną głową i starczo ściekającymi z kości policzkami przypominał starego charta o przetrąconym karku.

– Coś się stało?

Teść pokręcił wolno głową.

– Nie chce mnie widzieć – wyszeptał, przecząc wykonanemu gestowi, jakby robił to sobie na przekór.

Zamieszał whisky, próbując utopić w niej słowa.

Oczywiście, że nie chce, nadęty frajerze, skomentował w myślach kapitan. Zostawiłeś je dla innej babki i nie odzywałeś się przez długie lata, dopóki nie znudziła ci się ta druga.

– To nic nowego, powinienes dać sobie spokój. Znasz ją, wiesz, że ci nie odpuści.

Jean-Jacques wykonał ten sam ruch głową. Sprawiał wrażenie człowieka, który usłyszał wyrok, ale nie może się z nim pogodzić. Okłamuje sam siebie.

– Porozmawiaj z nią. – Podniósł błagalne spojrzenie. – Może ciebie posłucha.

Claude prychnął i wstał od stołu. Isabelle nie słuchała nawet samej siebie, jeśli sobie to postawiła za cel. Pomachał Hassanowi i dał znak, żeby wpisać mu obiad i drinki na rachunek.

– Na razie, Jean-Jacques, miło cię było zobaczyć.

Starszy mężczyzna z niezwykłą szybkością zerwał się z miejsca. Prawa ręka wystrzeliła w kierunku zięcia, lecz zatrzymała się kilka centymetrów od muskularnego ramienia, prawie z tą samą szybkością znikła za wychudzonymi plecami. Claude odsunął się krok do tyłu, na wszelki wypadek przygotował się do odparcia ataku. Odbiło mu? Wbrew desperacji malującej się na twarzy teścia zebrało mu się na śmiech, który powstrzymał wyłącznie współczuciem.

Jean-Jacques wyglądał jak początkujący żebrak, który nie nauczył się jeszcze błagać o drobne.

Oparł się o chropowatą ścianę budynku. Nagrzany tynk palił w plecy, jakby w ciągu dnia wchłonał wszystkie promienie słońca i teraz je hojnie rozdawał. Na chwilę się odkleił, ale przyłgnął znowu. Miał kłopoty, żeby utrzymać się w pionie. Marsz od przystanku autobusowego zmęczył go. Powinien był wziąć taksówkę.

Wchodząca do klatki schodowej młoda kobieta posłała mu pytające spojrzenie, przytrzymując drzwi. Z zamienionym w grymas uśmiechem wdzięczności przyjął jej zaproszenie, wszedł do środka. Oboje stanęli przy windzie. Zapanowało ciężkie milczenie, pełne skrywanych pytań i niewyartykułowanych zdań wymuszonego dialogu, który nie wiadomo, jak zacząć. Drzwi otworzyły się z cichym szelestem, zamknęły ich w ciasnej, metalowej kabinie. Klaustrofobicznej klatce, gdzie strach przed kontaktem z obcymi przybiera wręcz histeryczne formy maskowane kurtuazyjną gadką o niczym. Na szczęście wysiadł, zanim padło jakiegokolwiek zbędne słowo.

Niepewnie skierował się w prawo, po numeracji drzwi szukając właściwego adresu. Numery malały, więc musiał się cofnąć w kierunku schodów. Ostatnie drzwi na prawo, apartament z widokiem na środek gigantycznego podwórka otoczonego czterema kłocami niskich

bloków o fasadach imitujących wysmakowany modernizm. Zbyt chłodny jak na jego gust. Preferował śródziemnomorskie kamieniczki w centrum. Podobne blokowisko mogłoby powstać gdziekolwiek. Architektura starej Marsylii była charakterystyczna, jedyna w swoim rodzaju. Piękna swoją unikatową szpetotą.

Podniósł ramię i zwinął dłoń w pięść. Zamierzał zapukać, ale zrezygnował na korzyść dzwonka ukrytego w geometrycznych ozdobach ściany. Zawahał się. Dokładnie przyjrzał się drzwiom, jakby jednolity dębowy brąz drewna z wyraźnymi słojami miał odpowiedzieć mu na jakieś pytania. Przeszedł dalej, do schodów, z jękiem usiadł na najwyższym stopniu. Oparł się bokiem o ścianę, wciąż mając w pamięci rozpalony mur na zewnątrz budynku. Ściana nie była ani gorąca, ani zimna. Gdyby nie to, że wyraźnie rozpoznawał jej twardość, uznałby, że stracił czucie w ramieniu.

Czuł, i to za wiele. Emocje narastały proporcjonalnie do upływu lat. Kiedyś się nimi bawił, teraz one bawiły się nim. Był piłeczką flippera krążącą po labiryncie przeszkód. W każdej chwili mógł przekroczyć niepewne bariery na końcu drogi, wpaść w otchłań.

Nie mógł się teraz wycofać, tchórzył przez całe życie. Dźwignął się ze stopnia schodów, ponownie stanął przed dębowymi drzwiami. Naciskając dzwonek, przymknął oczy. Wewnątrz rozległ się gong. I nic poza tym, kompletna cisza. Policzył do piętnastu i jeszcze raz wcisnął przycisk. Gong wydał się trochę bardziej odległy, jakby gdzieś się oddalił. Kiedy nic się nie wydarzyło, zapukał.

– Halo, jesteś w domu? Isabelle, kochanie, otwórz!

Milczała. Jakiś głos podpowiadał mu jednak szeptem, że tam jest, tylko go nie chce wpuścić. Stała jak on przy drzwiach i wsłuchuje się w dźwięki po drugiej stronie. Udaje, że jej nie ma. Przedziwne: on nie istnieje dla niej w zewnętrznym świecie, a w tym wewnętrznym, rodzinnym, nie ma dla niego jej. W żadnym wypadku nie uda im się ze sobą spotkać. Najprostsza fizyka ciał.

– Wiem, że tam jesteś, Isabelle. Jeśli nie chcesz mnie wpuścić, to przynajmniej wysłuchaj. Kiedyś uwielbiałaś mnie słuchać, pamiętasz? Ja byłem wielkim kłamczuchem i wymyślałem bajki. Ty małą kłamczuszką i udawałaś, że jeszcze ich nie znasz. A wszystkie i tak były do siebie podobne...

Oparł głowę o drzwi. Były chłodne, jakby transmitowały chłód panujący w mieszkaniu. Negatywne emocje, nienazwane zagrożenie, ukryte niebezpieczeństwo.

– Musimy porozmawiać, Isabelle, dzieje się coś bardzo złego...

Złego, złego, złego... – szeptem przedrzeźniało go echo, którego tam przedtem nie słyszał. Dziewczęcym głosem jego siedmioletniej córki, która naśmiewała się z jego pomyłki w opowiadanej bajce. Odskoczył od drzwi, z lękiem rozejrzał się po klatce schodowej. Cisza przerwana po paru sekundach warkotem uruchamianego na parkingu silnika.

– Co ty, psiakrew, najlepszego wyrabiasz? – zapytał samego siebie na głos.

Na chwilę odzyskał dawną dostojałość, wyprostował się i zmierzył wzrokiem drzwi mieszkania z protekcyjnym dystansem, jakby to one się do niego dobijały, nie on do nich. Zachnął się i zadziwiająco sprężystym krokiem ruszył do windy. Dopiero kiedy wyszedł z budynku i uderzyło go słońce, stracił chwilową pewność siebie. Zadał do góry głowę i wyszukał okna apartamentu córki. Wyobraził sobie, że z czarnych niczym zwierciadło szyb wpatrują się w niego jej oczy.

– Kocham cię, córeczko... – powiedział cicho, a echo jej dziecinnego głosu dotarło do niego tym samym szeptem.

Claude zajął miejsce za stołem w sali przesłuchań, pierwszy raz od czasów młodości po niewłaściwej stronie. Pamięć trudnych lat ożyła. Wtedy też czuł ten sam wstyd wymieszany ze

złością na samego siebie. Nie za to, że złamał prawo, ale że dał się złapać. Gdyby poprzestał na drobnych kradzieżach i włamaniach, prawdopodobnie nigdy nie wylądowałby w areszcie, na takich jak on gliniarzom nie chciało się nawet wypełniać kwitów. Miał jednak ambicje, rozumował skalą. Zwinęli z kumplem dzienny utarg z Carrefoura. Kumpel odegrał rolę kowboja i strzelił z pukawki. W sufit, ale to wystarczyło. W ciągu jednego dnia zidentyfikowano broń i diler, który ją sprzedał. Kumpel dostał sześć lat za napad z bronią w rękę, w takich przypadkach nie ma taryfy ulgowej. Claude propozycję wstąpienia do wojska w zamian za anulowanie odsiadki. Właściwie żaden wybór, ale i tak najlepszy, jakiego w życiu dokonał. Inaczej zostałyby zawodowym zbójem.

Zza niedomkniętych drzwi dochodził rozbawiony głos Karima Szczęki Giroud, gadającego przez telefon z jakąś piskliwą babką. Kapitan wyobraził sobie po drugiej stronie linii hienę, bo dokładnie tak brzmiał chichot ze słuchawki komórki. To byłaby idealnie dobrana para, państwo Parszywi vel Szujowaci. Nadstawił ucha – Szczęka mruczał jak kocur, panna zdawała się autentycznie rozbawiona. Kto mógłby polecieć na taką mendę? Z pewnością nikt warty najmniejszego szacunku.

Szczęka cmoknął w słuchawkę i zakończył rozmowę czułym „*Je t'aime*”. Przypadkowemu świadkowi mogłoby nawet zmięknąć serce, ale Claude'owi zwiotczał żołądek, podchodząc wysoko do gardła. Oblesnie napalona mina agenta zmieniła się w ciągu sekundy w żarłoczną, zęby się wyostriły, dziąsła nabiegły krwią. Tylko na krótką sekundę obnażył swoje prawdziwe oblicze ludzkiej pijawki. Zajmując miejsce przy stole, zastygł odlewem z brązu o nieudanej, asymetrycznej twarzy. Pamiętce po bijatyce z Claude'em.

– I kto by pomyślał, Aryan, że spotkamy się w takich okolicznościach, nie? Wiem, wiem, za Arianina to ty lejesz po mordzie. Oj, przyjebałbyś mi, widzę ten błysk w oku, tę nieopanowaną chętkę...

– Jeśli to gra wstępna, Giroud, to niestety, mnie takie historyjki nie kręcą. Musiałbyś zamruczeć jak kocur. – Wskazał brodą leżący po przeciwległej stronie stołu telefon.

Uśmiechnął się szczerze, na co funkcjonariusz wydziału wewnętrznego ściągnął wargi i zadarł nos, próbując patrzeć na przesłuchiwanego z góry. Brakowało mu dwudziestu centymetrów, więc tylko chrząknął i otworzył teczkę z kwitami. Posłuchał kapitana i zaczął bez gry wstępnej, od razu z dużego kalibru.

– Dnia szesnastego czerwca bieżącego roku dostaliśmy informację, że otrzymałeś znaczną ilość środków pieniężnych z podejrzanego źródła.

Claude znieruchomiał. Nie potrafił powstrzymać cienia, który na krótką chwilę przykrył mu twarz. Fala paniki przeląła się przez niego wiązką prądu, od której zadrżały mu policzki, dłonie splotły się w uścisku głośno wyłamującym stawy. Nie spodziewał się tego. Przygotował się na odparowanie zarzutów o nadmierne użycie siły, czym odgrażali się prawnicy niedawno aresztowanego jubilera, który próbował przerobić żonę na kocię z klejnotów kobiecej urody. Podejrzenie korupcji nawet mu nie przeszło przez głowę.

– Co, coś nie tak? – Szczęka wykrzywił się w małpim uśmiechu. – Poprosić o szklanke wody?

– Donos.

– Donos? Masz wymagania, Eryan, nie jestem pewien, czy to mamy w menu.

– To się nazywa donos, Giroud, a takie pomówienie powinno zaraz wylądować w koszu. Nudzi się wam? Jak nie masz się komu dobrać do dupy, proponuję rendez-vous z cizią.

– Ponownie wskazał na komórkę, której Szczęka przed momentem wyznał miłość. – Chyba że ja mam ładniejszy zad, to już kwestia twojego gustu.

Nie wyszedł mu uśmiech, a puszczone oczko przypominało tik nerwowy. Giroud zaśmiał

się sucho.

– Też tak myślałem, Eryan, co będę sobie roboty dodawał. Bo co jak co, ale taki czyścioch jak ty nie wzięłby do ręki niczego brudnego, nie? Ale wiesz, mam młodych głodomorów w wydziale, nienażarci jak nie wiem co, ciągle im mało sukcesów. Osobiście bym nawet na coś takiego nie spojrział, już choćby ze względu na starą przyjaźń – pomasował się po zuchwie złamanej kilka lat temu pięścią kapitana – ale co zrobić, wzięli cię w obroty za moimi plecami. I patrz, nigdy bym nie pomyślał!

Pchnął w stronę przesłuchiwanego fragment raportu z adresami banków, rzędami numerów kont i kwotą o pięciu zerach. Claude'owi zaschło w gardle, zbyt głośno przełknął lepka ślinę.

– Mówię: nie, co za bzdura! Zostawcie lepiej chłopca w spokoju, uciulał trochę grosza, to ma. Może sobie dorabia po godzinach w jakimś klubie na bramce, kawał dziada jest, to i mu nieźle płacą. Albo się interesami zajął, że ma takie mięśnie, nie znaczy jeszcze, że nie może mieć i łba. Przelewy z zagranicznej spółki handlowej, to pewnie jakieś geszefty robi. Nie mam racji?

Claude nawet nie drgnął. Klębek ognia w żołądku rósł, wylał się z gagą do ust i zaczął ogrzewać czaszkę, wyciskając z niej krople potu. Szczęka promieniał, kontynuował swoją tyradę.

– Zacząłem więc pytać tu i tam, żeby mi potwierdzono twoją wieczną niewinność. No i ślepy traf! Wpadłem na jednego z poruczników w twoim wydziale, a kto wie o nas więcej niż kumple z pracy? Oczywiście to dobry chłopak, nie chciałby nikomu zaszkodzić, wrabiać w gówno, ale słyszał od pewnego szpicla, że jakiś gość rozpowiadał po pijaku, że zna typa ze Środowiska, który ma ponoć wtyki w wydziale. I wiesz, jak to jest, Eryan, po nitce do kłębka.

Zademonstrował zwijanie wełny gestem, który skojarzył się Claude'owi z zacieraniem rąk z powodu ubicia dobrego targu. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że to on stanowił przedmiot transakcji. Poznał już kupującego, brakowało tylko sprzedawcy. Zainkasował serię ciosów i histerycznie próbował wyprowadzić kontratak, ale nie mógł pozbierać myśli. Szczęka trzymał go w narożniku, brakowało tylko nokautu.

– Nie wciśniesz mi takiego badziewia, Giroud, doskonale wiesz, że to bujda.

Wyprowadził cios, ale trafił w gardę. Agent wyszczerzył zęby jeszcze bardziej, znowu zaczęła z niego wylać pijawka.

– No i to samo mówiłem, że który szanujący się oficer policji trzymałby się z taką gnidą z rynsztoka. Ale wypuściłem chłopaków w teren, powęszyli, poniuchali. No i znaleźli. Ma się tych starych znajomych z podwórka, nie?

Szczęka promieniał jak słoneczko z dziecięcego obrazka. Claude'owi stanęło przed oczami parę twarzy z młodości, któryś ze starych kumpli mógłby go pewnie skompromitować. Kogo jednak obchodzą stare dzieje?

– Widzę, że chyba nie bardzo mi wierzysz. To nic, mam tutaj kogoś gotowego potwierdzić zeznaniami nasze domysły. – Wcisnął przycisk interkomu i polecił wprowadzić świadka.

Po kilkunastu sekundach do sali przesłuchań wszedł Armand Douis. Claude dostał sierpowym w podbródek. Zawisł na linach.

Julian odrobinę zbyt długo wpatrywał się w zachód słońca, które rozlało się nad morzem krwawą poświatą. Woda zapłonęła.

Ogień. Julian zasłonił twarz łokciem, jakby płomienie miały wykipieć, wzburzoną falą wylec na brzeg. Zatopić miasto. Za późno przymknął powieki. Żar wdarł się do oczu i zaczął parzyć źrenice, piec. Stłumiony dziennym światłem lęk wrócił, uderzył ponownie. Powalony na ziemię przeczołgał się w krzaki porastające ruiny konstrukcji bez kształtu i śladów dawnego przeznaczenia. Schronienie bezdomnych kotów i psów, nora dla szczurów.



Skulił się, głowę przycisnął do kolan. Języki ognia wciąż lizały powieki, pożar przygasał dla nabrania oddechu i wybuchał na nowo. Czerwień przechodziła w pomarańcz poprzez całą paletę barw, sepia zamieniała się w negatywy i pozytywy klisz filmu, którego nikt nie był w stanie wyłączyć. Równoległe z obrazem pojawił się dźwięk, wrzask bólu i przerażenia, jęki konającego. Próbując go przekrzyczeć, mężczyzna wydarł z siebie chrapliwy, zwierzęcy pomruk. Przyłożył do twarzy dłoń i zaczął drapać, zdzierać z siebie niechciane zdjęcia, które przyłgnęły do skóry jak brud, jak wżarte głęboko w tkankę liszaje.

Zawył z bólu, kiedy długie pazury przeorały mu czoło i policzki, pozostawiając po sobie krwawe smugi. Krew pociekła, zbierając się w głębokich zmarszczkach, wsiąkała w skołtunioną brodę. Strach został na chwilę wyparty przez ból, zatrważające obrazy znikły.

W ciszy rozległy się obce głosy. Prawdziwe, to nie był film, który zastąpił mężczyźnie zdolność odbioru rzeczywistości. Urywane słowa, a po nich śmiech. Ludzkie parsknięcia, charkanie i plucie. Ludzkie poszukiwanie wrażeń.

– Tu coś jest, patrz, jakiś kundel!

Juliana oślepił strumień latarki, który ciemność zaułka ponownie zamienił w rzekę ognia. Wcisnął się głębiej między odłamki gruzu, zamienił się w kupkę szmat.

– To nie pies, to człowiek!

– Człowiek?

Głosy zamieniły się w śmiech, piskliwy rechot nastoletnich chłopców przechodzących mutację. Ogień latarki przesunął się w bok, mężczyzna dostrzegł przed sobą trzy szczupłe sylwetki. Bezgłowe demony w spiczastych kapturach. Duchy.

– Chyba nie żyje.

– Kurwa, cuchnie, jakby tu zgnił. Padlina.

– Poczekaj!

W świetle latarki pojawiła się sucha gałąź, jeden z chłopców zaczął nią kłuć leżącego mężczyznę, jakby badał wyrzuconą na brzeg rybę.

– Cholera wie, tak jakby się ruszał.

– Odsuń się!

W kierunku mężczyzny poleciał kamień i trafił dokładnie w odsłoniętą część głowy. Julian jęknął, co chłopcy skwitowali kolejną salwą śmiechu. Dwie postacie na chwilę połączyły się w jedną, szeptem ustalając szczegóły jakiegoś planu. Snop światła przesunął się po nich, wyrывая z ciemności kolory ich stroju. Jasne i ciemne. Mężczyzna nie rozpoznawał barw, a tylko tęczową smugę. Dokładnie jednak dostrzegł błysk iskier w butelkach, które im wystawały z kieszeni. Nie mógł mieć wątpliwości – to były ludzkie potwory z jego koszmarów.

– To jakiś bezdomny łach, na dodatek czarny.

– Ty, ale obczaj, jak syf pasuje do czarnej skóry.

– Nie musisz się myć, co, bo i tak nic nie widać?

Głosy nagle przeszły w niezrozumiały szept, który na końcu wybuchnął tłumionym śmiechem. Julian skulił się w sobie jeszcze bardziej, zamienił w gigantyczny embrion z jednym jedynym pragnieniem – na powrót wdrzeć się w łono matki, pozostać tam już na wieki. W niej żyć i z nią umrzeć, w ciepłe nieskończonej pieśczoży, w ciszy ciągłego bezpieczeństwa.

Wokół zapanowała cisza. Poczucie obcej obecności rozmyło się w szeleście fal i śpiewie świerszczy. Odeszli, zostawili go wreszcie w spokoju? Odsłonił głowę, żeby rozejrzeć się dookoła, sprawdzić teren.

Strumienie żółtawej cieczy chlusnęły mu w twarz, zamieniając wzrok w akwarelową farbę, rozmytą mieszankę nocy i odchodzącego dnia. Znikającego świata. Wrzasnął, zakrztusił się płynem trafiającym w rozwarte usta i nos, zaniósł się spazmatycznym kaszlem. Dźwignął się

na rękach, wstał, na oślep próbując znaleźć drogę ucieczki. Wykonał kilka niepewnych kroków, potknął się o wystający pręt i upadł na twarz. Podniósł głowę w reakcji na trzask rozpalanych zapalek. Przerazenie odebrało mu resztkę rozsądku, wyobraźnia rozpalila się morzem ognia, zakapturzone demony wyrastały spomiędzy liści płomieni smugami białego dymu, roztańczonymi cieniami. Dopadły go, żywcem zamierzały zawlec do piekła.

Równolegle z jego gardłowymi wrzaskami rozbrzmiewał chichot chłopców. Ze śmiechu złożeni w pół nie byli w stanie zapiąć rozporków, z obwisłych członków skapywały jeszcze kropelki moczu. Wypluwając z płuc resztki śmiechu, zapalili papierosy. Upuszczone zapalaki zgasły na kamienistej ziemi niczym przetrącone świetliki. Odeszli zadowoleni z kawału. Julian został, zwijając się w rozpadlinie muru w wymyślonej agonii. W stanie umierania bez nadziei na nadejście prawdziwej śmierci.

Tym razem obserwował ją dłużej. Schował się w cieniu, źrenice odbijały światło wylewające się stożkiem z sypialni. Patrzył.

Po chwili zauważył w jej twarzy jakąś zmianę, niespodziewane napięcie. Skóra naprężyła się, nakreślając kilka długich, pionowych zmarszczek. Oczy zwęziły się na widok obrazu, który pojawił się w głowie. Palce wykonały serię nerwowych ruchów, jakby poszukiwały w powietrzu strun nieistniejącego instrumentu. Ból? Strach? Intuicyjne wyczucie nadchodzącego zagrożenia?

Znikła w drzwiach garderoby, a po kilku sekundach wyłoniła się z niej zupełnie nago. W głębokim zamyśleniu zapomniała narzucić podomkę czy prowokowała? Zwinęła włosy w koński ogon i opuściła je na piersi, odsłaniając ramiona i plecy. Korale kręgosłupa wiły się przy każdym ruchu, łopatki przeżyły się niczym skrzydła do lotu. Usiadła na łóżku i nachyliła się nad stolikiem nocnym, gdzie leżał włączony laptop. Włosy przysłoniły monitor.

To była jego chwila. Kilka kroków – i znalazł się w sypialni. Bezszelestnie okrążył łóżko. Z rozwartymi dłońmi zawisł nad obnażonym ciałem. Szyja wydawała się cienka jak źdźbło trawy, nienaturalnie długa jak w obrazach Modiglianiego. Blask komputera przypudrował jej twarz trupa sinizną. Wzdrygnął się na myśl, że mogłaby być martwa, a bijące z niej ciepło to efekt sztucznego zasilania. To jednak nie ostudziło w nim pożądania. Pragnął jej w jakiegokolwiek postaci, w każdej formie. Kochałby nawet jej falsyfikat, trupa, cień, który rzuca. Relikwie z najmniejszej drobinę kości.

Wyciągnął ramiona, zacisnął palce na jej kruchej szyi, przywarł ustami do skóry w miejscu, gdzie pulsowała tętnica. Wyczuł jej podwyższone tętno językiem.

– Claude! – krzyknęła, wrywając się z jego uścisku.

Udami trąciła komputer, który ześlizgnął się z blatu nocnego stolika.

Rzucili się na ratunek oboje. Mężczyzna był szybszy, ale to ona pewniej chwyciła obudowę, gwałtownym ruchem zatrasnęła monitor i przycisnęła urządzenie do piersi.

– Co cię ugryzło? Przecież ci go nie zwinę. Czatujesz z kochankiem? – Claude próbował pokryć irytację żartem, choć właśnie to przyszło mu natychmiast do głowy. Naga, wyeksponowana przed elektronicznym okiem cyberprzestrzeni, spłoszona.

– Oduczysz się wreszcie tych durnych podchodów? Prawie wyskoczyło mi serce!

– Zareagowała krzykiem, przesuając ciężar winy w jego stronę.

– Przecież to zawsze lubiaś, co z tobą?

Przyciśnięty do piersi komputer odciskał na skórze lodowatą pieczęć. Zmaterializowany wyrzut sumienia.

– Coś się stało, Is? Cała się trzęsiesz.

– Wystraszyłeś mnie, cholera jasna! Prawie zepsułeś komputer, nie możesz uważać?

– Wyciągnęła go przed siebie jak dowód.

Zdawała się wręcz żałować, że maszyna nie spadła na podłogę, nie uległa awarii.

Awantura mogłaby wybuchnąć pełną siłą, co pozwoliłoby zatuszować jej przewinienie, przejść z pozycji obronnej do kontrataku. Stojący przed nią mężczyzna górował nad nią wzrostem i masą ciała, a przede wszystkim nieskazitelną moralnością. Mogła z nim rywalizować tylko na poziomie emocji. Nieważne, o co toczyła się bitwa. Byle była głośna i intensywna, byle argumenty zagubiły się w wykrzykniczkach i kropkach. Jedynie w takich okolicznościach mogła być górą.

– Jezu, przepraszam! Chciałem cię dotknąć...

Odłożyła komputer i przyłgnęła do niego, silnie oplatając jego ramiona rękami. Zawahał się, zanim odwzajemnił ten uścisk. Taka huśtawka nastrojów nie była normalna, nawet dla niej. Nabroiła albo zamierzała o coś oskarżyć jego. Zanim zdołał zadać pytanie, na piersi poczuł gorącą wilgoć. Łzy.

– Boję się, Claude – wyszlochała. – Dzisiaj z placu zabaw przegoniono dziewczynę w hidzabie. Te same kobiety, które jeszcze w piątek plotkowały z nią o kosmetykach i modzie.

– To nie twoja wina, Is, nic na to nie możesz poradzić.

– Mogę! – Wyrwała mu się z uścisku. – Mogłam coś powiedzieć, stanąć po jej stronie. Nie potrafiłam. Milczałam. Czy tak teraz to będzie wyglądało, Claude? Będziemy się po prostu milcząco przyglądać?

Nie odpowiedział, zbyt późno uświadamiając sobie, że w ten sposób przyznaje jej rację. Właśnie tak będzie to od tej chwili wyglądało. Nie byli po stronie ofiar, więc automatycznie zajęli miejsce prześladowujących.

– Dzisiaj znaleźliśmy zwęglone zwłoki. Egzekucja, spalono człowieka żywcem. Jeszcze teraz czuję w powietrzu swąd piekącego się mięsa. Jak po wizycie w krematorium.

Podniosła na niego przerażone spojrzenie. Natychmiast pożałował tych słów. Przed ślubem zawarli niepisaną umowę, że jego praca pozostaje za murami ich domu. Śmierci, którą się zajmuje, nigdy nie będzie wnosił do środka, ani jako niewidocznego nalotu na skórce, ani naznaczonych złem opowieści. Upiory nie będą za nim wkraczały do ich wspólnego życia, kałały wyidealizowanego świata, w który wierzyli, piętnowały poczucia szczęścia.

– Przepraszam, Is, nie chciałem. Chodźmy do łóżka.

Nie chciał, ale nie potrafił zatrzymać wylewającej się skargi. A teraz czuł, że coś pękło. Tama, która siłuje się z milionami ton płynnej udręki powstrzymywanej o jeden dzień za długo. To żona była do tej pory spoiną tej konstrukcji, wypełnieniem żelbetowego szkieletu. Nie potrafił znieść samotności, jaką odczuwał w codziennym obcowaniu z ludzkimi zbrodniami. Taplał się w społecznych odchodach i zaczynało mu brakować oddechu. Lecz każde słowo lamentu, nawet niewyartykułowanej do końca sugestii, stanowiło kolejne pęknięcie. Jego koledzy z pracy prędzej czy później uciekali w alkohol lub narkotyki, stawali się karykaturą człowieka, wypchanymi zwłokami. On trzymał się dzięki rodzinie, umiejętności odgroźnienia dwóch światów. Panicznie bał się przekraczać granice, ale równie mocno przerażała go toń śmierci. Wir, który ciągle próbował go wciągnąć. Jeśli zaporą runie, porwie ze sobą ich wszystkich. Zatopi, zniszczy.

– Nie chciałem, kochanie. To już się nie powtórzy, obiecuję – wyszeptał wbrew sobie.

Kolejny raz zaklął rzeczywistość, wracając do ich wyidealizowanej części świata, gdzie rację bytu miało jedynie dobro. Położyli się, Isabelle zgasła światło. Oparła mu głowę na piersi, oplótła go nogami.

– Powiedz mi, Claude, że ci politycy nie zwariowali, że to ich nowe prawo nie wywoła burzy, że ludzie nie rzucą się sobie do gardeł. Boję się.

Wpatrywał się w nieokreślonego kształtu cień, jaki rzucały na sufit uliczne lampy. Pomarańczowy, o rozmazanych krawędziach przenikających ciemność.

– Nie, Is, nie przejmuj się. Nic złego się nie wydarzy.

Skłamał, a ona udała, że wierzy. Przyłgnęła do niego jeszcze mocniej, a dotyk jej gorącego ciała utwierdził go w słuszności kłamstw, które kreują sztuczną prawdę.

Leżał na środku stolika kawowego jak jakaś dziwaczna modernistyczna ozdoba. Dzieło sztuki, bo Émilie wpatrywała się w jego obły kształt jak w obrazek. Z wyrazem radości podszytym nieokreślonym strachem. Jeśli nie ciąży, to co?

Nic. Zwyczajny stres lub przemęczenie organizmu. Trudy weekendu wciąż czuła w kościach, ponaciągane ścięgna w kolanach i udach piekły, w mięśniach mrowiły lodowate igiełki zakwasów. Właściwie nie miała się więc czego bać. Poranne nudności minęły, siniak na ramieniu prawie znikł, pozostawiając po sobie jedynie nieprzyjemne uczucie obcego dotyku, od którego wciąż przechodziły ją ciarki. A przede wszystkim nie wpadła. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Przeszła do łazienki i wygrzebała z szafki paczkę tabletek antykoncepcyjnych. Sprawdziła datę ważności, a następnie kalendarz. Wszystkie przegródki były opróżnione w odpowiednim porządku, nie zapomniała połknąć pastylki. Oparła się o umywalkę, z bliska spojrzała w lustro. Spróbowała uśmiechnąć się promiennie do swojego odbicia, odsłaniając dwa rzędy białych zębów, idealnie równych jak u modelki. Zwinęła wargi w ryjek, po kolei podniosła każdą z brwi w kokieteryjnym zdziwieniu. Potargała włosy, kilka kosmyków przykleiło się do policzków w kontrolowanym nieładzie. Z zadowoleniem posłała swojemu odbiciu całusa. Wyglądała nieźle, nie było się czym przejmować.

Położyła się na nowiutkiej skórzanej sofie, którą kilka tygodni temu kupiła w sklepie internetowym. Pięćdziesiąt procent obniżki, a i tak nie mogła sobie na nią pozwolić. Obie karty kredytowe były już zadłużone, w banku też nie miała co liczyć na pożyczkę. Nie potrafiła się jednak opanować. Lśniąca, miękka czerwona skóra opinająca modne graniaste kształty wyglądała na zdjęciu tak ponętnie, chodziła za nią, zagadywała, ciągle zastępowała drogę i w najmniej spodziewanych momentach łaskotała po plecach. Émilie nie potrafiła oprzeć się pięknym przedmiotom. Wyrobiła sobie kolejną kartę kredytową i natychmiast ją zadłużyła. Nieważne, że była na coraz większym minusie. Leżała na upragnionej sofie.

Sięgnęła po laptop i położyła go sobie na brzuchu. Prześledziła Facebook, kliknęła kilka lajków pod spóźnionymi zdjęciami z sobotnich imprez, skomentowała uśmiechem zwierzenia znajomej z podstawówki, jak to łatwo pomylić po pijaku chłopaka z przypadkowym znajomym. Zerknęła na Instagram, nie znalazła niczego ciekawego i zaczęła przeglądać ulubione blogi. Na dłużej zatrzymała się na *Falszywych prorokach* Céline Dumerc. Jej wpisy były zbyt ciężkie jak na gust Émilie, za bardzo polityczne i kąśliwe, momentami wręcz obciachowe ze swoim przywiązaniem do dawno niemodnych wartości, ale uwielbiała hipnotyczne spojrzenie oczu blogerki, zasysających uwagę tęczy w nieokreślonym kolorze jasnego brązu i szarości przechodzącej na rozmytych krawędziach w błękit.

Tym razem ciarki nie przeszły jej od tego spojrzenia, a od komentarzy przelewających się jak kaskada cybernetycznych szyfrów w okienku po prawej stronie ekranu. Pomimo późnej pory nie ustawały, jakby hejterzy nigdy nie kładli się spać. Gdyby komentarze były bombami, zrównano by z ziemią nie tylko Marsylię, ale całe południe Francji. A jeśli życzenia śmierci miałyby się spełnić choć w połowie, wybiłyby co najmniej jedną dzielnicę.

Émilie zamknęła stronę, nie wgłębiając się w treść komentowanego artykułu. Nie znosiła polityki, nie zamierzała taplać się w bagnie, które stworzyli politycy, opluwając się wzajemnie hektolitrami śliny. Brzydziła się tym językiem, bała się go. I powoli zaczynała zapominać czasy, kiedy było normalnie. Jeszcze kilka lat temu nie czuła tej nieokreślonej obawy przez brodatymi mężczyznami o ciemnej karnacji, choć wcale nie było ich mniej niż teraz. A na kobiety w czadorach spoglądała z lekkim współczuciem, ale nigdy z niechęcią nie odwracała głowy, jak

robi to teraz. Dawała się ponieść fali, płynęła w tym samym kierunku co wszyscy. I choćby nie wiedzieć jak bardzo się starała, nie udało jej się oprzeć naporowi tej masy.

Weszła na portal informacyjny Marseille.24. Na głównym zdjęciu muzułmanin w czapeczce kufi z twarzą wykrzywioną wściekłością ciskał kamień w przejeżdżający radiowóz. W tle buchały tumany dymu, jakby wzniecono pożar. Podpis tryumfalnie ogłaszał, że w dzielnicach północnych zaczęły się już zamieszki. Émilie przewinęła stronę w dół i zatrzymała się na komunikacie o dochodzeniu w sprawie zwłok spalonego mężczyzny, pierwszej ofierze nowej fali islamskiej przemocy. Sprawcę określono mianem Inkwizytora. Powiększyła promujące artykuł zdjęcie wysokiego policjanta w cywilu.

Claude Eryan. Dotknęła ekranu laptopa, palcem prześledziła zarys sylwetki, pogłaskała twarz i założyła za ucho niewidoczny kosmyk przydługich loków. Wciąż pamiętała czasy, kiedy nosił jasne, lekko kręcone włosy do ramion. Chodził w skórze i glanach, słuchał metalu. Po kryjomu częstował ją blantami i wykradał rodzicom na koncerty rockowe. Duży, kochany kuzyn. Starszy brat i największa miłość jej życia. Pomimo upływu lat czuła charakterystyczny uścisk w piersi, ilekroć na niego patrzyła. Kiedy uświadomiła sobie, że nigdy nie będą mogli być razem, połknęła całe pudełko środków nasennych, które matka naiwnie chowała w swojej bieliźnie, żeby nikt się nie domyślił, że ich zażywa. Paradoksalnie uratował ją Claude, wpadając jak zwykle z niezapowiedzianą wizytą. Odebrał jej jedno życie, by podarować jej drugie. Tak naprawdę była jego własnością. Mógłby ją posiadać jak przedmiot. Gdyby to tylko było możliwe.

Nagły przypływ tęsknoty odebrał jej oddech, zacisnął ją w gigantycznej dłoni i puścił dopiero po chwili. Pozostawił bezwolną i miękką. Włączyła telefon i wyszukała jego numer. Wpatrywała się w rząd cyfr, jakby je pożerała wzrokiem. Zapragnęła go tak bardzo, że wylizałaby jego zdjęcie z ekranu do ostatniego piksela, połknęłaby numer telefonu. Uruchomiła połączenie, ale je natychmiast przerwała. Wcisnęła zieloną i czerwoną słuchawkę ponownie, bawiła się tak przez kilka minut. Było za późno, spał lub kochał się z żoną. Isabelle jej nie znosiła, jakby się czegoś domyślała. Claude się jej bał. Praktycznie została więc wykreślona z ich rodzinnego życia.

Napisała wiadomość, ale jej nie wysłała. „Kocham Cię i każdy dzień bez Twojego dotyku odbiera mi miesiąc życia”. Wymazała ją, po chwili wahania upuściła telefon na podłogę. Wyszukała na Facebooku profil kuzyna, jedno z tych martwych miejsc, gdzie nic się nie dzieje, a zamiast zdjęcia widnieje białe popiersie ducha. Otworzyła okienko poczty i po namyśle wstawiła emotikon z uśmiechem i machającą na powitanie dłonią. Wysłała. Najbardziej neutralnie, jak to tylko możliwe, wykrzyknęła tęsknotę i pożądanie. Po kilku sekundach dopisała: „Pamiętaj, że pamiętam”.

Zabrzmiało to niczym ostrzeżenie, z czego doskonale zdawała sobie sprawę. Mieli wspólne sekrety, które wiązały ich ze sobą na zawsze. Tworzyły namiastkę związku, przysięgi małżeńskiej. Przy czym ona wiedziała o nim więcej, przez co równowaga pomiędzy nimi była bardzo krucha. W przypadku konfliktu wygrałaby więcej bitew. Między innymi wiedziała, że Claude nigdy nie powinien zakładać rodziny i mieć dzieci.

Znała jego najciemniejsze sekrety.

Struga gnojówki trysnęła z ekranu monitora prosto na twarz, rozprysła się po biurku, podłodze i ścianach. Cuchnęła nienawiścią, lepiała się nieopanowaną furią. Zawierała resztki niestrawnej rzeczywistości, infekowała zemstą.

Céline odsunęła komputer i z uśmiechem niedowierzania śledziła inwektywy pod swoim adresem. Jeszcze nigdy nie było ich tak wiele, nie zawierały takich emocji. Osiemset sześćdziesiąt komentarzy w ciągu ostatnich dwóch godzin, 12250 odsłon. Dwa razy więcej niż zwykle przez cały następny dzień po publikacji kolejnego postu. A takiej liczby komentarzy nie

miewała nawet przez miesiąc. Czytelnicy są zbyt leniwi, by pisać. Zupełnie jakby do ataku ruszyły oddziały internetowego wojska. Widziała je dokładnie: kilometrowa hala z setkami mikroskopijnych boksów – stanowisk bojowych. Oświetlone diaboliczną poświatą ekranów twarze zacięte w tępych szale. W bojowym amoku.

Po drugiej stronie cybernetycznego pola bitwy ona. Sama. Czterdzieści trzy kilogramy kostek i mysich mięśni obciążonych półprzezroczystą skórą delikatną jak błona śluzowa. Rozgnietliby ją na wióry niczym paczkę chipsów, z cichym trzaskiem miazdzonych wnętrzości. Świadomość dysproporcji sił rozbawiła ją jeszcze bardziej. Miała do dyspozycji wyłącznie dziesięć chudziutkich palców, zwoje mózgowe o nieokreślonej gęstości i łącze internetowe, a mogła wywołać prawdziwą wojnę.

Po prostu wyliczyła ofiary konfliktu kulturowego pomiędzy Zachodem a tak zwanym światem islamskim, cokolwiek oba określenia miały oznaczać. Nie naciągała faktów, wykorzystwała oficjalne statystyki ONZ, Lekarzy bez Granic i Ligi Arabskiej. W zaokrągleniu półtora miliona w ciągu ostatnich dziesięciu lat przy dokładnie 7568 na niekorzyść Zachodu. Jaka byłaby proporcja, gdyby zajrzała głębiej w przeszłość? Wojny krzyżowe, era kolonializmu, konflikty niepodległościowe. Stosy anonimowych ofiar sięgałyby kolejnych milionów, pięły się w niebo jak góry. Oczywiście ludzie to Europejczycy i Amerykanie, reszta świata to *collateral damage*[5]. Zniszczenia uboczne pozostające poza kadrami serwisów informacyjnych.

Uśmiech na twarzy Céline zamienił się w grymas, kiedy z ulicy dobiegł ją ryk alarmu samochodowego. Zerwała się z miejsca, zamknęła okna. Opuściła rolety, broniąc dostępu do swojego mieszkania widokom nocnego miasta. Upstrzonym gwiazdami i galaktykami starej Marsylii, krajobrazu, który tak bardzo kochała. Cofnęła się na środek pokoju, na pamięć wymacała za sobą fotel, usiadła. Podkurczyła kolana, objęła je roztrzęsionymi rękami. Tak miało to od tej pory wyglądać, miała się odseparować od tej resztki świata, jaka jej jeszcze została?

Zagrożenie nie było tylko teoretyczną figurą obrazowo nakreśloną jej przez Patricka. Jakkolwiek by się tego wypierała, strach zagnieździł się w niej już na dobre. Niechętnie spojrzenia pasażerów autobusu miejskiego, przypadkowych przechodniów. Otwarte groźby pod jej adresem w listach do redakcji i w internecie. Po raz pierwszy uświadomiła sobie, że ktoś może przecież znać jej adres. Zarówno mieszkania, jak i IP komputera. Pewnie już dawno ją zlokalizowano, może już jest obserwowana i śledzona. Zniknie i nikt po niej nie zapłaci. Wielu się za to się ucieszy, kilku odetchnie z ulgą. Pierwszy raz na serio rozważyła zawieszenie bloga.

Zamknęła laptop i weszła do łazienki. Rozebrała się, stanęła w brodziku i odkręciła wodę. Ostre strużki uderzyły ją w twarz, odebrały oddech. Potrzebowała tego, siły będącej w stanie zmyć brud, który przyłgnał do niej w ciągu całego dnia. Płwociny, gówno i mocz, jakie wylewali na nią prawicowi hejterzy. Wzrok przypadkowych ludzi gotowych publicznie zgnoić ją za ukrywanie swojego oblicza. Aby przez chwilę móc poczuć, że są silniejsi i lepsi. Złała się mydłem w płynie i szorowała zawzięcie całe ciało. Czuła się skalana samą przynależnością do gatunku ludzkiego, naznaczona tym jak pierwotnym grzechem. Była jedną z nich i nic nie mogła na to poradzić.

Zakręciła wodę. Para ulotniła się, pozostawiając po sobie matowy osad na kaflach i ściennym lustrze. Podeszła do jego mlecznej powierzchni, dłonią wytarła plamę, w której zmieściła się twarz. Zygzakiem odsłoniła odbicie prawego ramienia, drobnej piersi o męskim sutku, płaskiego brzucha i wystającego biodra. Z bielą kontrastowała kępka przystrzyżonych czarnych włosów łonowych. Céline doskonale знаła ten widok od dziecka, ale za każdym razem napawał ją obrzydzeniem. Była odrażającą anomalią przyrody.

Ośloniła się ręcznikiem i wyszła z łazienki. Usiadła przed komputerem, zamknęła blog i uruchomiła stronę randkową. Zakładka dla poszukujących ostrych doznań. Nieśmiały i oferm,

ukrywających się zbrojeńców lub freaków jej pokroju, których należy trzymać z daleka od wzroku ludzkiego.

Przyjrzała się dostępnym profilom, większość z nich znała na pamięć. Najbardziej interesowali ją przypadkowi goście. Po kolei klikała na awatary, oglądając prezentowane zdjęcia. Dłużej zatrzymała się przy mężczyźnie o hebanowej skórze i mięśniach jak Hulk Hogan. Wysłała zaproszenie na priv, po kilku sekundach otworzyło się okienko z nieproporcjonalnie wielką głową i białymi jak mleko ślepiami. Wstała i wyciągnęła z szafy czador, zarzuciła na siebie czarną tkaninę, dokładnie zasłaniając nią twarz. Włączyła kamerę.

Grała nastoletnią muzulmankę, którą wydano za mąż w wieku dwunastu lat, a mąż zaniedbuje ją, bo wziął sobie młodszą żonę. Przez seks w młodym wieku nabawiła się nimfomanią i wariuje z nieopanowanej chuci. Historia ta doprowadzała facetów do obłądzenia. Większość marzyła o małych kochankach, więc wyjątkowo ochoczo utożsamiali się z jej czterdziestoletnim facetem, różnym od niej, zanim zaczęły jej rosnąć cycki. Najczęściej nawet nie nastawali zbyt silnie na pokazywanie nagiego ciała, czador jeszcze bardziej rozpałał ich wyobraźnię. Jak tylko wkładała sobie między nogi wibrator z wypustką analną, oczy zachodziły im mgłą. Gdy zaczynała się wyginać i jęczeć, większość z nich strzelała stojącymi fiutami w oczko kamery. Zawstydzeni zbyt szybkim spełnieniem błyskawicznie zrywali połączenie. Dochodziła więc w samotności, po skończeniu zalewając się łzami.

Ten był wyjątkowo wytrzymały, dokonała doskonałego wyboru. Pierwszy raz szczytowała z jego zachęcającymi szeptami w tle, zupełnie jakby znajdował się tuż obok i ją obejmował. Jakby to on penetrował jej wnętrze, a nie plastikowy wibrator. Za drugim razem idealnie wpisał się w tempo, przeżyli orgazm jednocześnie. Tak przy tym krzyczał, że zaniósł się śmiechem. Śmiali się oboje, jakby jedno zrobiło drugiemu niezły kawał. Zakończył połączenie, a w mieszkaniu Céline zapanowała taka cisza, jakby znalazła się na dnie studni, a na górze ktoś właśnie przykrywał wieko.

Zdarła z siebie zniechęconą czarną szmatę, łzy posypały się na blat biurka. Objęła się ramionami, ale prawie natychmiast puściła. Brzydziła się sobie tak samo, jak wszyscy inni, którzy widzieli ją nago. Jak każdy potencjalny kochanek. Gdyby mogła, gdyby tylko wierzyła w Boga, zdarłaby z siebie całą skórę i poprosiła o nową. Kupiła, gdyby takie towary były dostępne w sklepach. Ukradła, bez cienia skrępowań obdzierając ze skóry inne ciało. Była przekonana, że potrafiłaby zabić. Dokonać holokaustu połowy gatunku ludzkiego, jeśli to miałyby zapewnić jej nową powłokę.

Dać nowe oblicze.

Ciemność w jego przypadku nigdy nie ustępowała. Urodził się w mroku i w mroku żył. Różnica między nocą a dniem była dla niego taką samą abstrakcją, jak między kolorami. Znał ich nazwy, matka w prosty sposób próbowała mu wytłumaczyć, dlaczego każdy jest inny. Czerwony jak syrop z wiśni, gęsty i lepki. Niebieski jak niebo przenikające przez kostki lodu, mroźne i świeże. Zielone jak liście drzew, delikatne i cierpkie w smaku.

Dzień rozpoznawał po promieniach słońca. Noc po chłodzie i ciszy. I właśnie nocą najchętniej wybierał się na spacer. Chodniki były puste, ruch na ulicach niewielki. W powietrzu pachniało morzem i oddającymi pachnące ciepło dzikimi kwiatami porastającymi górzyste okolice Marsylii. Już w dzieciństwie nauczył się patrzeć węchem. Po zapachu rozpoznawał ludzi, przedmioty, odległości i nastroje. Choć ten lepiej dzięki energii, którą kumulowały emocje. Niskie fale emitowane przez gniew, wysokie przez radość. Smutek wibrował jak struna gitary, a niechęć łaskotała w kolanach. Właściwie ludzie nie musieliby mówić, na jego potrzeby wystarczyłyby reakcje ciała.

Jak teraz. Stężała wokół niego energia utrudniała oddech. Zupełnie jakby niewidzialne

ramiona krępowały go w mocarnym uścisku. Dusiły. Zatrzymał się i nerwowo zbadął łaską chodnik przed sobą, jakiś szmer umknął przed tym stalowym dotykem, ale nie udało mu się go zidentyfikować. Foliowy woreczek? Papierowa torebka? Przesuwająca się stopa? Cofnął się o kilka kroków, wymacał za sobą słup lampy ulicznej, który minął przed kilkunastoma sekundami, odwrócił się i ruszył w przeciwnym kierunku. Za plecami usłyszał jeszcze jeden szelest, tym razem wyraźny. Miękkie, sportowe buty. Co najmniej dwie pary.

Zapach. A raczej smród, podmuch powietrza przyniósł ze sobą odór potu, jaki ciało wydaje przy wysokiej gorączce lub ze strachu. Jeden ze stojących przed nim ludzi się bał, ale inni emanowali podnieceniem i siłą. Testosteron wirował jak kurz, aż kręcił w nosie. Podniesiona łaska napotkała miękki opór, z trzech pewnych dotknięć wyłoniło się ludzkie ciało. Czterech, pięciu? Zapachy mieszały się ze sobą skąpane w mdławej woni spalin samochodowych. Mężczyzna zaczął tracić orientację, panikować. Nigdy nie czuł się pewnie poza murami domu, najmniejsze anomalie wywoływały w nim stres, nieznane przeszkody ataki lęku. Nauczył się spodziewać czyjejs pomocy tak samo jak ukradkowego szyderstwa, zdystansowanej pogardy i rzadziej, ale tym bardziej boleśnie, podszytej okrucieństwem złośliwości. Był skazany na ludzką łaskę, jego życie i śmierć w pełni zależały od innych. W takich chwilach wiedział o tym najlepiej.

Potrącona łaska wypadła mu z dłoni i potoczyła się z tępym trzaskiem po płytach chodnika. Wyciągnął do przodu rękę, przez chwilę próbując wymacać obiekt przed sobą. Wymierzony z rozpędu kopniak wgniół mu klatkę piersiową i pozbawił go tchu. Zupełnie jak negatywna energia, tylko w gigantycznym stężeniu. Odbił się plecami od ściany budynku i upadł na ziemię. Ukląkł, wyciągając ramiona z niemym błaganem. Nie był w stanie wydusić z siebie żadnego dźwięku, prosił więc o litość w myślach. W tym momencie zależał od łaski ludzi bardziej niż zwykle.

Ktoś dźwignął go z ziemi i powlókł w kierunku ciemnego zaułka. W ciepłym powietrzu unosił się słodki zapach śmietnikowej zgnilizny. Siła ramion oderwała go od chodnika, z brzękiem blachy wpadł do kontenera na śmieci. Zagłębił się w porozrywanych workach, zanurzył w jeziorze nieczystości i brudu. Nadludzkiem wysiłkiem udało mu się nabrać cuchnącego powietrza. Poczul odurzającą woń płynu, który chlusnął mu w twarz. Skroplonych spalin samochodowych, płynnej fali zapachu paliwa, która wżerała się w nozdrza, ilekroć mijał pobliskiego Shella. Był zbyt spanikowany i zdezorientowany, by cokolwiek rozumieć. Machał ramionami, jakby próbował pływać, uczeplił się krawędzi kontenera i dobił do brzegu.

Ciągnąca za sobą płomień zapalniczka przeleciała mu tak blisko twarzy, że niemal ją zobaczył. Zmaterializowany w głowie obraz był prawdziwy jak zdjęcie, jak dostrzeżona nagle rzeczywistość. Być może przed śmiercią stał się cud i zaczął naprawdę widzieć. Zlana benzyną skrzynia eksplodowała kilkumetrowym płomieniem, płonący mężczyzna zdążył nabrać powietrza do krzyku, ale wydusił z siebie zaledwie jęk, żywiol w ciągu sekundy zwęglił mu struny głosowe i przełyk.

Ostatnie słowa, które usłyszał, musiały więc paść nieco wcześniej, ale mózg potrzebował czasu, by je przetworzyć na zrozumiałą mowę.

„Jaraj się w piekle, pogański śmieciu!”



### III

– Myśli pan, że śmieci mogą tu być jakąś symboliką? Wczoraj było podobnie, jakby ktoś wygłaszał w ten sposób komunikat.

Rais przysłonił oczy od słońca, którego promienie wykijały zza szczytu dachu najbliższego budynku. Kapitan Eryan bez słowa wpatrywał się w spopieliałe palce zaczezione o krawędź kontenera. Jakby zwęglone zwłoki próbowały wydostać się ze swojego grobu.

– Claude?

Komisarz ciągle nie reagował, więc porucznik wzruszył ramionami i zeskoczył z rusztowania. Podeszedł do lampy ulicznej, obok której technicy zabezpieczali łaskę niewidomego.

Stopione śmieci tworzyły na dnie kontenera lśniące zwierciadło, z którego gdzieniegdzie wystawały kanciaste kształty. Ofiara spalenia przypominała rachityczną, piekielną istotę przekraczającą granice świata umarłych i świata żywych. Smród spalenizny był jeszcze bardziej stężony niż na ostatnim miejscu zdarzenia, rozgrzewające się w słońcu ściany kontenera uwalniały toksyny, które zdawały się wisieć w nieruchomym powietrzu jak mgła. Paliły w nos i piekły w oczy.

– Jakież dane identyfikacyjne? – Claude usłyszał za sobą głos porucznika Taidera, usiłującego porozumieć się z androidami w białych kombinezonach.

Ale widocznie nie zaprogramowano ich na ludzką mowę, odpowiedni software zainstalowano wyłącznie u szefa. Ten rozmawiał jednak szeptem przez komórkę, nie zdjawszy nawet ochronnej maski.

– Nic tu po nas, Rais! – Claude przywołał podwładnego, machnięciem ręki dając do zrozumienia, że nie warto handryczyć się z technikami. – I tak jeszcze nic nie mają. Niech świeżaki przejdą się po okolicy i popytają o niewidomego mężczyznę, na pewno nie mieszkał daleko.

Przecisnęli się przez gromadkę gapiów. Kiedy zbliżyli się do służbowego peugeota, podbiegł do nich chłopiec mniej więcej czternastoletni o wielkich, niezdrowo podkrążonych oczach i cienkiej jak szkło skórze.

– Pan jest kapitanem?

Claude, który ścigał właśnie rękawiczki i ochraniacze na obuwiu, przytaknął.

– Bo ja wiem, co tutaj się stało.

– Czyżby?

Jeszcze raz przyjrzał się chłopcu. Pod badawczym wzrokiem wysokiego mężczyzny dzieciak zgarbił się i rzucił ukradkowe spojrzenie w tłum gapiów, skąd bacznie obserwowała ich otyła kobieta w bezkształtnej tunice. Założone ramiona ledwo podtrzymywały nierówno rozlany biust, jakby z prawej strony utworzył się obrzęk.

– A dostanę kapuchę?

– Pieniądze?

– No, chyba bulicie za informacje? Jak w filmie, informatorzy zawsze dostają kasiorę, nie?

– Bez szans, chłopcze, to nie Ameryka. Ale mogę ci za to wlepić karę za zatajanie informacji lub wprowadzanie policji w błąd. A raczej matce, ty jesteś za smarkaty. To jest twoja mama?

Kobieta musiała wyczuć, że o niej mowa, bo niespokojnie przestąpiła z nogi na nogę. Widząc wystraszoną minę syna, podeszła do radiowozu.

– To pani dziecko? Podobno wiecie coś na temat zdarzenia, chłopiec...

– A nawet jak wiemy, to co? Coś z tego będą miała?

Funkcjonariusze porozumieli się spojrzeniami i otworzyli drzwi auta, Rais usiadł za

kierownicą i uruchomił silnik. W prowadzonych śledztwach spotykali wszelkie kategorie świadków, od mitomanów począwszy, przez notorycznych kłamców, na drobnych cwaniaczkach kończąc. Sprawa niewarta była nawet kulturalnego pożegnania.

– Chociaż pięć euro, chłopak to widział na własne oczy. O, tam mieszkamy, z okna patrzył.

Claude podążył wzrokiem za tłustą ręką kobiety. Szereg kamienic wyglądał jak jedna całość, z identycznie obdrapanymi murami i mikroskopijnymi balkonikami mogącymi w każdej chwili odpaść od ściany. Rozciągnięte pomiędzy nimi linki z pstrokatym praniem kołysały się lekko w wiejącej od morza bryzie. Nad wskazanym oknem brakowało lewego gzymsu, jakby ktoś zgolił jedną brew, która już nie odrosła. Domy zaniedbane tak samo jak ich mieszkańcy, żyjący bez perspektyw i celu. Przekonanie o braku szans było pośród tych ludzi tak silne, że przestali już posyłać dzieci do szkoły. Sami się uczyli i nic im z tego nie przyszło. Nawet nie zgłaszali się do pośredniaka, a gdyby opieka społeczna nie odwiedzała ich w domu, z biernego lenistwa pozdychaliby z głodu.

– Dzieciak nie powinien przypadkiem być w szkole?

Kobieta sięgnęła po chłopca i przytuliła go do wiszącego brzucha.

– Wal się! – warknęła.

Wylęgarnia agresji i nienawiści. Claude rozumiał ich sytuację, ale nie potrafił wyzbyć się niechęci do tej kategorii ludzi, wręcz obrzydzenia. Teraz też przeszły go dreszcze.

– Jedziemy do biura, Rais.

Samochód ruszył, w ślad za nim chłopiec posłał ładunek śliny. Nieudolnie, opluwając sobie policzek i brodę. Matka troskliwie wytarła mu twarz i przytuliła mocniej. W nagrodę.

– Teoria porachunków między gangami raczej odpada – zagadnął porucznik, przystając na najbliższych światłach. Na przejściu dla pieszych pojawiła się półnaga Mulatka. W skupieniu odprowadzili ją wzrokiem do samych drzwi sklepu, za którymi znikła. – Po cholere miałoby mordować niewidomego. Widziałeś kiedyś ślepego w gangu?

Claude pokręcił głową, wyciągnął komórkę i zapisał coś w notatniku.

– Nie, Rais, nie widziałem. Co ja tam jednak wiem o tym ich świecie. To jakby inna planeta zamieszkała przez obcych.

– Z drugiej strony mogłaby to być zemsta zastępcza. Członek rodziny, przyjaciel...

Zadzwoiła komórka, wypełniając wnętrze peugeota orientalnymi nutami raï. Porucznik używał tej melodii celowo, drażniąc uszy kolegów z pracy. Zwłaszcza Armanda Douisa i jego prawicowych kumpli z Frontu. Jakby im sypał sól w oczy.

Odebrał, przez chwilę wsłuchiwał się w cichy głos z mikrofonu, co jakiś czas przytakując głową.

– Jak mnie zrobisz w chuja, skopię ci jajca! – zagroził, po czym przerwał rozmowę i odłożył telefon. – Informator z Bricarde. Skończona szuja, ale zdarza mu się coś wiedzieć. Mamy się z nim zobaczyć za dwie godziny.

Claude kiwnął głową, ale nie zdążył skomentować, tym razem zadzwonił jego telefon. Na ekranie wyświetlił się numer Duce.

– Mów, Armand.

– Przeprowadzamy najazd na slumsy przy starej rzeźni na rue du Cavalier. Chyba coś mamy, szefie.

Ze snu wyrwał go zbliżający się ryk. Jakby nadciągało stado gigantycznych skrzeczących przeraźliwie mew. Jazgot przybierał na sile i natężeniu, skrzydlate bestie musiały być tuż za ścianą. W każdej chwili mogły swymi mocarnymi dziobami rozbić rozklekotane drzwi i ledwo trzymające się okiennice z dziurawych desek. Wtargnąć do wnętrza i rozerwać jego ciało na

strzępy.

Przez nieszczelności w oknach i drzwiach wpadały smugi rannego słońca, nic przez nie jednak nie było widać. Julian mógł polegać wyłącznie na swoim słuchu, ale jego mózg zniekształcał dźwięki jeszcze bardziej niż obraz, wyobraźnia kreowała wizje rozgrywającego się na zewnątrz horroru. Kolaż z fragmentów zapamiętanych filmów, w których królowały potwory, mordercy i rozczłonkowane ofiary. I wciąż na nowo pojawiające się upiory zionące żywym ogniem.

Mimo paraliżującego strachu wstał z improwizowanego legowiska w kącie pomiędzy schodami a ścianą i zbliżył się do lewego okna. Niedomykająca się okiennica wisiała na wyrwanym ze ściany zawiasie, tworząc szeroką szparę. Julian ostrożnie wyjrzał przez nią na zewnątrz. Odskokzył, gdy tuż przed oczami mignęły mu głowy biegnących ludzi. Ciężkie buty zadudniły o chodnik, policyjne uniformy przemknęły ulicą jak cienie. Ptasi skrzek, który okazał się rykiem nadjeżdżających radiowozów, zgasł, zastąpiony przez krzyk oficerów wydających rozkazy. Krótkofalówki trzaskały i emitowały piskliwe komendy, biegający funkcjonariusze głośno dyszeli, co chwila podtrzymując zsuwające się czapki.

– Skopcie im te śmierdzące dupska, jeśli będzie trzeba! – tuż za drzwiami padło polecenie kierującego akcją oficera. – Mamy rzetelne informacje, że w nocy się tutaj kręcił. Jak go przeoczyście, kopniaki wylądują na waszych zadach. Moje!

Julian jeszcze raz wyjrzał przez szparę w oknie. Przed otwartymi drzwiami radiowozu stał przysadzisty mężczyzna o łysej, lśniącej od potu głowie. Kilka kropel spływało mu po policzkach i krótkiej szyi, przypominały łzy. Kwadratowa szczeka przybrudzona gęstym, czarnym jak węgiel zarostem poruszała się miarowo, jakby coś meł w ustach lub szeptał do siebie. Przyciągnięty wzrokiem Juliana spojrzał w kierunku jego kryjówki. Julian odczuł to spojrzenie głęboko w mózgu, mężczyzna przetrząsnął mu myśli niczym strony gazety. Mimo że ze swojego miejsca nie mógł go widzieć, intuicja lustrowała najbliższą przestrzeń lepiej niż rentgen, prześwietlając sypiące się mury. Jeszcze raz objął wzrokiem otoczony obszar starej rzeźni, po czym dokładniej przyjrzał się zabudowaniom po drugiej stronie ulicy. Gestem wydał polecenie grupce policjantów pozostających w odwodzie.

Pięści wylądowały na drzwiach wejściowych.

Julian oderwał się od okna i rzucił do tyłu. Potknął się na pierwszym schodku i wylądował na rękach, wspierał się na schody, jakby to była drabina, czepiając się zmurszałego drewna czterema kończynami. Skręcił w lewo i jeszcze bardziej przyspieszył, minął pierwsze piętro i drugie, już niemal nie dotykał stopni, lecz frunął, wzbijał się w górę niesiony paniką. Nawet nie zauważył drzwi, które nagle zatarasowały mu drogę. Wpadł w nie, wbijając się paznokciami w ich liszajowatą powierzchnię. Drapał, nie zważając na ostre łuski farby olejnej wchodzące mu pod paznokcie, szarpał kłamkę, ale poddasze było zamknięte na klucz. Julian głową uderzył w deski blokujące drogę ucieczki. Przyłgnął do nich wargami i zaczął gryźć, usta wypełniły mu wióry i obrzydliwe odłamki farby.

W momencie, gdy policjanci wylamali drzwi na parterze i z krzykiem wtargnęli do kamienicy, zamek ustąpił. Julian stracił równowagę i upadł. Nad nim stała zgarbiona staruszka w obwisłej sukience w wyblakłe kwiaty. Minął ją, pełznąć w głąb korytarza, zniknął za progiem najbliższych drzwi. Weisnął się w zakamarek pomiędzy ścianą a pozarywaną sofą, której środkową część przytrzymały książki. Okrył się rąbkiem zakurzonej zasłony, skulił i znieruchomiał.

Z dołu dobiegał huk wyważanych drzwi do pustych mieszkań i stukot butów na drewnianych podłogach i schodach. Policjanci nawoływali się nawzajem i wykrzykiwali polecenia nieistniejącym ludziom, których mieli nadzieję zastać. Wrzaski ucichły przed wejściem

na poddasze budynku.

- Czego się drzecie, nikogo tu nie ma! – zaskrzeczała staruszka.
- Poszukujemy bezdomnego przestępcy. Nie widziała pani tego mężczyzny?
- Co?!
- Mężczyzna na zdjęciu, tutaj. Nie widziała go pani?
- A bo co?
- Jest poszukiwany i niebezpieczny. To co, pomoże nam pani?
- Oszukiwany? Kto jest oszukiwany?

Z klatki schodowej dobiegło nerwowe chrząknięcie i stłumione przekleństwo.

Przedłużając się ciszę przerwał wybuch śmiechu.

– Jakby coś się pani przypomniało, proszę zadzwonić na naszą infolinię. Do widzenia.

Buty zadudniły na schodach, drzwi zamknęły się z cichym stuknięciem. Staruszka, zgrzytając o deski aluminiową laską, przykuśtykała do pokoju, w którym schował się Julian. Odsunęła firankę i przetarła szybę, której stare, grube szkło zniekształcało obraz jak krzywe zwierciadła w wesołym miasteczku. Przez kilka minut przypatrywała się policyjnej akcji. Kilkudziesięciu bezdomnych stłoczono na placu rzeźni i otoczono ciasnym kordonem. Opornych kopano i bito pałkami, skromny dobytek przeszukiwano i rzucano na kupę, która przypominała hałdę śmieci. Chuda postać o nieokreślonej płci oderwała się od reszty i rzuciła ratować swój majątek, sportową torbę pełną gałganów i kolorowych gazet, które wylały się na bruk niczym wnętrzności. Wymierzony z rozpędu cios policyjnym butem odrzucił tę postać na kilka metrów. Znieruchomiała, lecz po precyzyjnie wymierzonym policzku drgnęła, w obronnym geście wyciągając w górę ramiona. Zaciągnięto ją z powrotem na środek placu, tłum nędzarzy zassał ją i wchłonał, przemienił w bezkształtną, odczłowieczoną masę.

– Szmacciarze! – warknęła kobieta. Podeszła i nachyliła się nad zalegającym w kącie mężczyzną. Poprawiła okulary, żeby lepiej przyjrzeć się niespodziewanemu gościowi.

– Cuchniesz jak szacz w wojsku. I wyglądasz mi na tego bandziora ze zdjęcia. Coś im zrobił, że wysłali za tobą taką armię? Zrzygałeś się któremuś na buty?

Rozdziawiła usta w uśmiechu, demonstrując groteskowo wysuniętą do przodu sztuczną szczękę. Nagle zmrużyła oczy, a wargi zacisnęła w kreskę, żłoby głębokich zmarszczek ułożyły się jej w drapieżny wyraz. Dźgnęła go laską dwa razy w bok, po czym wycelowała w twarz.

– Wynocha mi stąd, śmierdząca łajzo! Jesteście zakałą miasta, Francji! Cholerne nieroby. Tfu! – Splunęła na gramolącego się ze swojego kąta Juliana. – I żebyś sobie nie wiem czego nie wyobrażał, brudasie! Nie pomogłam tobie, tylko zrobiłam na złość tym mundurowym wszarzom. A teraz won, już cię tu nie ma!

Julian pisnął pod razem laski, która dosięgła go, kiedy mijał staruszkę, i wybiegł z mieszkania. Zatrzymał się na półpiętrze niepewny, co robić dalej. Z okna widać było policjantów zajmujących się bezdomnymi, a mundurowych obawiał się bardziej niż wygłupiających się gnojników. Od śmierci matki zawsze był sam, ale nigdy nie doświadczył aż takiej samotności. Inni bezdomni odrzucali go, bo nawet w ich środowisku zajmował miejsce na samym dnie. Dzieci traktowały jak zwierzę, dorośli jak zanieczyszczone powietrze. Władze miasta jak toksyczny śmieć, którego trudno się pozbyć. A upiory upatrzyły go sobie na następną ofiarę.

Gdyby tylko mógł zgasnąć niczym zapalka. Dołączyć do ukochanej mamy.

Spod uchylonej maski wraku wypalonego samochodu sterczały resztki silnika. Pusta karoseria przypominała ludzką czaszkę wygrzebaną z popiołu i ze wstrętem rzuconą na skraj jezdni. A raczej polnej drogi, bo asfalt skończył się dobre sto metrów temu i zamienił w ubite gruzowisko zwietrzałych skał i nawianej nie wiadomo skąd suchej ziemi. Kaskady pyłu

z każdym porywem wiatru wznosiły się wysoko w górę, opadając, odsłaniały w oddali zarys przedmieść Marsylii, blokowisk, które odróżniały się od skalistych wzgórz ociosanymi kształtami mieszkalnych monolitów. Poza tym były tak samo martwe.

Złomowisko otaczał nowy, mocny płot z lśniącą siatki, co wydawało się dziwne, zważywszy na nędzę, do której dostępu bronił. Kupy wybebeszonych wraków aut piętrzyły się bez jakiegokolwiek ładu. Olbrzymie porzewiałe regały na części zamienne były niemal puste, wieszaki na felgi sterczały gołymi prętami. Niewielki dźwig, sam niewiele różniący się wyglądem od złomu, żałośnie skowytał kołyszącym się na ramieniu łańcuchem. Wtórował mu pies, który na przemian szczekał i piskliwie ujadął, co brzmiało jak wściekłość wymieszana ze skargą.

Starszy mężczyzna zawrócił i pozostawił samochód przed bramą, z maską skierowaną w stronę drogi. W razie gdyby został zmuszony do szybkiej ucieczki. Jeśli w ogóle udałoby mu się pokonać biegiem odległość dzielącą go od blaszaka właściciela przybytku. Naliczył czterdzieści kroków, czyli jakieś trzydzieści metrów. I daleko, i blisko, w zależności od kontekstu. Biorąc pod uwagę jego zwapniałe kości i umęczone serce, mógłby to się okazać dystans wręcz olimpijski. Śmiertelny.

Przystanął przed wejściem do dziwacznej konstrukcji z blachy falistej. Niepewnie zerknął na miotającego się na łańcuchu psa, z wyglądu owczarka niemieckiego skrzyżowanego z dzikiem. Sterczący z ziemi pal podejrzenie ruszał się przy każdym szarpnięciu. A czerwonawe spojrzenie bestii nie wymagało pytań. Łaknął krwi, jakby niczego nie pił od tygodnia. Obtłuczona miska wyrastała parę metrów od budy do góry dnem. Pewnie też od dawna nic nie żarł.

Mężczyzna uniósł rękę, by zapukać w drzwi, ale zawahał się w połowie ruchu. Nie znał obyczajów środowisk przestępczych, ich tajemnego kodu, manier. Gospodarz, jeśli był w domu, musiał obserwować go już od samego zjazdu z drogi. Jeżeli się jeszcze nie ujawnił, to tylko z ostrożności. Lub chamstwa, z jakim nieodmiennie kojarzą się zwykłym ludziom typy spod ciemnej gwiazdy. Dlatego mężczyzna cofnął się i spojrzał w okno, wyprostował, prezentując się w całej okazałości. Nie wyglądał ani na glinę, ani na bandziora z konkurencyjnej szajki. Nie wyglądał też na klienta, bardziej na zbłąkanego turystę. Jeśli ta rudera miałaby cokolwiek wspólnego z turystyczną atrakcją.

– Pysk! – wrzasnął właściciel złomowiska, wyłaniając się z ciemnego wnętrza budynku. Kundel zaskomlał i schował się w budzie. – Czego tu szukasz?!

Pytanie zostało zadane tym samym tonem, jakim zwracał się do psa. Nie żeby gość spodziewał się czegoś innego, ale przywykł do nieco wyższych standardów. Tym bardziej że przyjechał wydać pieniądze.

– Powinien w mojej sprawie dzwonić człowiek o imieniu Marco. Czy ksywie...  
– Gospodarz nie wykonał najmniejszego gestu, jakby pierwszy raz słyszał to słowo. – W każdym razie miałem się zgłosić i na niego powołać. Chciałbym nabyć, że tak powiem, pewien przedmiot... Powiedziano mi, że będzie pan wiedział, o co chodzi.

Właściciel posesji przyglądał mu się badawczo, skubiąc rzadką brodę, która porastała mu dolną część twarzy kępami sinych porostów. Bardziej opuchnięty niż gruby, jednocześnie sprawiający wrażenie silnego i schorowanego. Z wyblakłymi włosami wystającymi spod przepoconej żółtawej koszulki i łysą spłaszczoną głową. Typowy rzezimieszek z powieści Aleksandra Dumas. Taki, który nigdy nie wychodzi na prostą.

Bez słowa odwrócił się i zniknął w blaszaku. Gość nie zauważył żadnego gestu zachęty, więc pozostał na zewnątrz, starając się coś zrozumieć z absurdu tej sytuacji. Gdyby nie był tak zdesperowany, bez zastanowienia wróciłby do auta i zwał, więcej nawet o tym zadupiu nie

myśląc.

– Wchodzisz czy mam cię wnieść na rękach jak damę?! – Gospodarz zabalgotał z wnętrza mieszkania żabim rechotem, zadowolony z własnego dowcipu.

W środku cudaczna budowla była dokładnie taka sama, jaka wydawała się z zewnątrz. Garaż zbity naprędce z byle czego, żeby tylko nie kapało na głowę. Bajzel jak na podwórku, tylko graty były w mniejszej skali. A regały zawałone żelastwem o trudnym do zidentyfikowania pochodzeniu i zastosowaniu.

– Kasa!

Mężczyzna wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki kopertę z pieniędzmi, którą grubas zważył w dłoni i schował bez liczenia. Albo kontrahent wywarł na nim tak dobre wrażenie, albo bez cienia wątpliwości wierzył w lęk, który wzbudzał w swoich klientach. Ukłął przed wiadrem po smarze, zanurzył w nim ramię po sam łokieć i wyciągnął przedmiot szczelnie owinięty w folię. Czarny jak sadza olej ściekał mu z ręki niczym piekielna krew, płynna smoła. Wyprostował się i scyzorykiem naciął opakowanie, wyjął zawartość.

– O to chodziło?

Niespodziewanie rzucił przedmiotem w klienta, który automatycznie chwycił go, ale prawie natychmiast upuścił. Sprzedawca podniósł broń i zarechotał.

– Spokojnie, nienaładowany. Chyba nie miałeś zbyt często do czynienia z bronią, co, dziadku? PAMAS G1 z wyposażenia naszej armii. Brzydki jak noc, ale skuteczny. Dziewięć milimetrów, piętnaście naboji w magazynku. Wystarczy na małą armię, jeśli się dobrze celuje. Albo na piętnaście prób przy słabowitym wzroku. To już zresztą nie moja sprawa. Tak się wkłada magazynek, tak przeładowuje, tak odbezpiecza. I dobra rada – zawsze noś tę pukawkę zabezpieczoną. Chyba że ci już nie szkoda klejnotów, bo też poszły sobie na rentę.

Starszy mężczyzna wziął do ręki pistolet, powtórzył czynności zademonstrowane przez sprzedawcę i wycelował broń w jego płaską głowę. Rozbawienie na twarzy złomiarza zamieniło się w kpinę.

– Masz rację, koleżko, klejnoty odeszły już na emeryturę. Tak samo jak skrupuły, moralność, strach przed więzieniem i sumienie. Chętnie potrenowałbym strzelanie, a twoja ulana morda jest idealnym celem. Nawet pies by po tobie nie płakał, może przynajmniej naźarłby się tobą do syta, jakbym go spuścił z łańcucha. Choć jestem pewien, że smakujesz tak samo, jak śmierdzisz. Gównem.

– Stary cap! Musiałbyś mieć jaja jak dętki opon, żeby...

Huk strzału rozdarł zatęchłe powietrze baraku niczym przedziurawiony balon, przez długie sekundy blaszana puszką bębniła jak wnętrze dzwonu. Kpina spłynęła sprzedawcy z twarzy wraz z potem, zamieniając rzadką brodę w kilka sklejonnych kłaków. Grubas zamienił się w karykaturę przerażenia. Kula przeszła mu centymetr od głowy, musiał dokładnie czuć jej temperaturę, trajektorię lotu.

– Pu! – Starszy mężczyzna zamarkował kolejny strzał.

Grubas zwałił się na ziemię z miękkim plaśnięciem, a cień rysujący się na spodniach do złudzenia przypominał plamę moczu. Próbował sklecić jakieś zdanie, ale wybulgotał tylko ledwo zrozumiałe przekleństwo.

Gość przemierzył odliczone trzydzieści metrów do samochodu niespiesznym krokiem. Ryzyko, że złomiarz w ciągu tej minuty uniesie swój zafajdany tyłek, wygrzebie drugą giwerę, wyceluje drżącymi rękami i strzeli mu w plecy, wydało mu się znikome. Czuł tylko na sobie spojrzenie psa. Zwierzę patrzyło jednak bardziej z wyrzutem niż chęcią zemsty za upodlenie pana. Bo obiecał mu żarcie i wolność, a nie zrealizował obietnic.

Wsiadł do samochodu i odpalił silnik. Wzbijając tumany kurzu, wjechał na drogę.

Rozpędził się, ale po kilku kilometrach zatrzymał, parkując przy barierce punktu widokowego. Bywał już w tym miejscu, jego kochana Marsylia wyglądała stąd bajkowo. Niewinna i malownicza jak z dziecięcej kreskówki albo pocztówki dla naiwnych, dzianych turystów zza oceanu. Świadomie przyjmował to kłamstwo, inaczej nie dałoby się tego miasta kochać. Wyciągnął pistolet i wsadził sobie lufę do ust. Głęboko odetchnął. Nad sobą miał czyste, błękitne niebo, w dole rozpościerały się lazurowe wody zatoki. Budynki lśniły w słońcu jak wyrzeźbione w śniegu.

Właśnie w takiej scenerii pragnął umrzeć.

Słup czarnego tłustego dymu wskazywał im drogę, jak tylko zjechali z obwodnicy. Na tle błękitnego nieba i niemal białych skał wyglądał jak dorysowany węglem na fotografii z wakacji. Wyrastał pośród szarych pudeł wieżowców niczym futurystyczna roślina z apokaliptycznych wizji końca świata, wijąca się i wirująca w leniwym wietrze korona fantastycznego drzewa. Złowrogi znak nadchodzącego jutra.

– Kolejne spalenie?

Porucznik Taider pokręcił głową, choć nie mógł być tego do końca pewien. Spędził jednak dzieciństwo w dzielnicach północnych. Tego typu pożary były na porządku dziennym już wtedy. Sam kilka razy podłożył ogień pod kupę zalegających pod blokiem śmieci. Zabawa dzieci biedaków.

– Podjedziemy tam, zobaczymy. Moim zdaniem typowe wyglupy podrostków. Podobno śmieciarze odmówili serwisu na tym obszarze. Zrobiło się w ostatnich dniach zbyt niebezpiecznie.

– Śmieciarze? – Kapitan za późno ugryzł się w język.

Pracownicy zakładu oczyszczania miasta w przytłaczającej większości byli imigrantami, Murzynami i Metekami. Coraz trudniej było unikać konotacji etnicznych. Nawet Rais zaczął inaczej reagować na tego typu uwagi, mimo że do tej pory miał wyjątkowe poczucie humoru. Tym razem nawet się nie uśmiechnął.

– No właśnie, nawet imigranci zaczynają się dystansować od imigrantów. Zastanawiam się, kto w tej chwili tak naprawdę jest tym symbolicznym obcym. Jak się panu wydaje? Ludzie patrzą na siebie przez szyby stojących na światłach samochodów, w zatłoczonym wagonie w metrze, w kolejce do sracza i co myślą? Jeszcze niedawno było to: ale fajna lub jaka gówniana fura. Niezły lub beznadziejny tyłek, wystrzałowe cycki albo zupełna deska. Gdzie kto pracuje, ile zarabia. Jakiego ma fiuta, większego czy mniejszego ode mnie. Zawsze był jakiś określony kontekst, konkretna okoliczność. A teraz? Wszyscy wszystkich o coś podejrzewają. Wszyscy się wszystkich boją.

Kapitan milczał. Był podobnego zdania, ale nie chciał podejmować tematu. Nie w pracy, o czym Rais dokładnie wiedział. Dyskusje o polityce były akceptowalne prywatnie, ale nie służbowo. Nie w jego departamencie. Nie zdecydował się jednak na stosowną uwagę. Znow złapał się na tym, że mogłoby to być politycznie niepoprawne, uznane za potencjalną szykanę.

Na szczęście dojeżdżali do miejsca pożaru. Porucznik zwolnił. Dokładnie jak przewidział, płonąła sterta śmieci wielkości sporego domu. W bezpiecznej odległości stał radiowóz z dwójką policjantów opartych o dach, beznamietnie przyglądających się strażakom stojącym obok porozwijanych węzów. Chudych i płaskich, jakby kiedyś były prawdziwe i pozostawiły za sobą martwe skóry. Grupa wyrostków po drugiej stronie ogniska kibicowała płomieniom. Kilku z nich wykonywało jakiś dziki taniec, próbując pewnie sprowokować policjantów do akcji. Wina była ewidentna, ale i tak nie mieli dowodów. Na aresztowaniu wyraźnie bardziej zależało gówniarzom, zyskaliby krótkotrwały fejm. A mundurowi jedynie kłopot, którego się nauczyli unikać.



Rais przyspieszył. Minęli kilka identycznych kompleksów bloków, które różniły się od poprzedniego osiedla tym, że nie było pożarów. Jeszcze, bo stosy czarnych worków wszędzie tworzyły wokół śmietników potężne hałdy, stały już nawet przy klatkach schodowych, jak gdyby wychodziły z bloków pękniętymi czarnymi rzędami. Bricarde, Solidarité, Savine, Paternelle – dzielnice stagnacji i nędzy, slumsy Marsylii, zaludnione głównie przez Beurów, Cyganów i Malgaszy o złowieszczym, białym spojrzeniu. Wszędzie stały wypalone karoserie samochodów, a graffiti na ścianach nie budziły wątpliwości, do kogo należał ten teren. Co dziwne, hasła dużo rzadziej odwoływały się do Allacha niż do Olympique. Piłka nożna była miłością uniwersalną, równie silnie łączyła, jak potrafiła dzielić. Kiedyś święta wojna panowała pomiędzy kibicami rywalizujących klubów, teraz zamieniła się w bratobójczą walkę pomiędzy frakcjami jednego klubu. Linią podziałów nie były już barwy klubowe, lecz barwy skóry.

Stanęli przed jednym z bloków. Rais na styk wcisnął ich peugeota w zatoczkę między innymi autami. Postanowili, że spotka się z informatorem sam, co było zupełnie naturalne. Blond grzywa i skandynawska karnacja kapitana wyglądały w tym miejscu co najmniej podejrzanie, żeby nie powiedzieć prowokacyjnie. W końcu jednak przebywał w swoim mieście, a na dodatek był gliniarzem. Nie zamierzał chować się w samochodzie tylko dlatego, że komuś nie pasowały do układanki kolor i rysy jego twarzy.

Wyszedł i stanął na skraju boiska, gdzie kilkunastu chłopców biegało za piłką. Musiał przyznać, że byli niezli. Nic dziwnego, że ledwie połowa reprezentacji narodowej to rodowici Francuzi, choć tylko piętnaście procent populacji ma zagraniczne korzenie. Starali się, to było widać. Podobał mu się zwłaszcza niski chłopaczek z orlim nosem, który robił z piłką, co chciał. Kiedy okiwał obronę przeciwnika i puścił przepiękną bombę tuż pod poprzeczkę, nie dając bramkarzowi szans, Claude krzyknął z podziwu i zaklaskał, wznosząc ramiona nad głowę. Kolejny Henry, pomyślał, kiedy napastnik z radości wywinął salto, lądując kilka metrów od niego. Już otwierał usta, żeby posłać mu zasłużony komplement, ale chłopiec uprzedził go. Splunął, wykrzykując:

– *Va te faire foutre!*

Ku swojej chwale i ucieście kolegów.

Mógłby wyciągnąć odznakę, dopaść gnojka i aresztować go za obrazę władzy, dać mu na komisariacie nauczkę. Siłą wymusić szacunek, wzbudzić strach, którego tym szczeniakom widocznie brakowało. Bo właśnie tak kończyła większość wyróżniających się chłopców, z kartoteką od najmłodszych lat, bez szans na jakąkolwiek sensowną przyszłość. Nawet w sporcie – z wyrokiem nie przyjmowano do klubów.

Przełknął dumę i złość, wycofał się. Wrócił do radiowozu, który okazał się jedynym gościnnym skrawkiem tego terenu. Rais miał rację, wszyscy byli w tym mieście obcy. Dla innych i dla siebie samych. Pierwszy raz poważnie pomyślał o życiu gdzie indziej. W jakimś spokojniejszym miejscu, gdzie palące problemy świata nie parzyły tak bardzo skóry, były tylko odległą luną. Jakieś miasteczko w Alpach lub na granicy z Niemcami. Isabelle namawiała go do tego od dawna. Bronił się, ale znajdował coraz mniej argumentów. Praktycznie oboje nie mieli rodziny, a przyjaźnie stawały się z każdym dniem coraz luźniejsze. Podziały były już zbyt ewidentne, zbyt daleko idące. Dryfowali każdy na własnej desce, a fale polityki roznosiły ich w innych kierunkach. Niedługo każdy będzie rozbitkiem na swojej własnej bezludnej wyspie.

Żona i dzieci pozostawały jedyną stałą wartością, oparciem. Wyciągnął telefon i wybrał numer Isabelle. Odpowiedziała po czwartym sygnale. Właśnie wychodziła z domu, żeby odwiedzić koleżankę i pójść razem na spacer. W pierwszej chwili zamierzał zwierzyć się z przeżytego rozczarowania, ale uznał to za mieszanie pracy z życiem prywatnym. Zapytał więc o dzieci, a później szeptem o tyłek, czy nie bolał po nocnej zabawie. Isabelle zachichotała jak

nastolatka. Właśnie ten śmiech miał nadzieję usłyszeć. Zerknął na boisko, które nagle opustoszało. Przytłumiona odczuciem szczęścia intuicja zbyt późno wysłała mu sygnał ostrzegawczy.

Rozłączył rozmowę i rozejrzał się wkoło. Życie w promieniu stu metrów jakby zamarło. Na balkonach leniwie trzepotało pranie, za rogiem znikła sylwetka objuczonej zakupami Murzynki. Coś mignęło w powietrzu i zbliżyło się z dużą prędkością. Claude zdążył zasłonić łokciem twarz, kiedy boczna szyba eksplodowała kaskadą szklanych paciorków. Gdyby nie dostrzegł lecącego kamienia, uwierzyłyby w strzał z pistoletu, choć nie usłyszał huku. Reakcja w obu przypadkach byłaby jednak identyczna. Nie widział napastników, więc nie miał z kim walczyć. Pozostawała ucieczka.

Rzucił się na puste siedzenie kierowcy, przeklinając w duchu, że nie zajął tego miejsca od razu. Nie przygotował się na ewentualność ataku, ciągle zachowywał zbytnią ufność wobec ludzi. Drugi kamień wylądował na dachu, kiedy odpalał silnik. Zabębnił i potoczył się po asfaltowej jezdni. Trzeci uderzył w tylną szybę, zamieniając ją w mlecznobiałą mozaikę. A jeśli mają butelki z benzyną lub choćby modne pośród kiboli petardy? Eksplozja takiego czegoś w kabinie mogłaby uczynić z niego kalekę, a przy odpowiednio silnym ładunku rozerwać go na strzępy. Pomyślał o broni schowanej w kaburze, ale brakowało mu trzeciej ręki. Jedną zacisnął na kierownicy, drugą na drążku biegów. Wystartował do przodu, wbijając się w tył stojącego przed nim opla. Wycofał, z rozpędu masakrując przód czerwonego fiata. Kręcił kierownicą jak w szale, by jak najszybciej wyrwać się z żelaznego uścisku.

Wyskoczył na jezdnię akurat w chwili, kiedy kolejny kamień trafił go w przednią szybę. Pajęczyna rozpełzła się w ułamku sekundy, zabierając mu prawie całą widoczność. Wystarczyło jej jednak na tyle, żeby dostrzec grupkę uciekających dzieciaków. Tych samych, którzy przed chwilą grali w piłkę pod przewodnictwem agresywnego lidera. Ruszył w ich stronę, kiedy przeskakiwali ogrodzenie, zatrzymał się, wybiegł z auta. Wytrenowanym ruchem wyciągnął broń, przeładował i odbezpieczył, uniósł na wysokość oczu. Chłopiec o orlim nosie odwrócił się, a w jego rękę błysnął metalowy przedmiot. Claude błyskawicznie obrał cel i przyjął pozycję.

– Nieee! – usłyszał za sobą wrzask porucznika Taidera.

Chłopiec wywinął zgrabny piruet, metalowy obiekt wzbil się w powietrze i wylądował na ziemi metr od nóg kapitana. Kawalek żelastwa wyrwanego z wnętrza rozprutej pralki albo lodówki.

– Odbiło ci?!

Claude opuścił i zabezpieczył broń, wsunął pistolet do kabury. Unikał wzroku kolegi, w którym rysowało się oskarżenie.

– Nie strzeliłbym przecież. To tylko dzieci.

– Jasne, tylko dzieci. Tylko oliwkowi blokarsi.

– O co ci chodzi, Rais, masz jakiś problem? Skurwiele mnie zaatakowały, co miałem robić, błagać o litość? Ciesz się, że nie wezwałem rzeźników z RAID, ci dopiero rozpętałiby wojnę. Chcesz tutaj wojny?

Rais z niedowierzaniem pokręcił głową, odwrócił się i przez komórkę wezwał radiowóz z dzielnicowego komisariatu. Odszedł od kapitana na kilkanaście kroków, tworząc między nimi dystans, niewidzialną barierę. Eryan jeszcze raz spojrzął w miejsce, gdzie parę minut temu był chłopak. Jakies trzydzieści metrów, trafiłby z zamkniętymi oczami. Śmiertelnie, na strzelnicy z takiej odległości trafiał dziesiątki całymi seriami. Co gorsza, nie drgnęłaby mu przy tym nawet ręka.

Usiadł na krawężniku, przyciskając dłonie do skroni. Czuł pulsowanie przyspieszonego tętna, przepływającą przez głowę rzekę myśli. Rais miał rację, poniosło go. Wystarczył mały

incydent, a natychmiast stał się żołnierzem na pierwszej linii walki. Zachował się dokładnie tak, jak tego od niego oczekiwano. Nie wiedział, o co tak naprawdę toczył się bój, był jednak pewien, że nie stanął w nim po właściwej stronie. Gdyby miał rozpatrywać świat w dwóch prostych kategoriach dobra i zła, wcale nie byłoby takie pewne, że był jeszcze tym dobrym.

W słuchawce rozbrzmiało nagłe przekleństwo, po czym zapanowała cisza.

– Halo, Claude, jesteś tam? Halo?

Wyświetlacz komórki zgasł, pozostawiając po sobie wrażenie odchodzącego światła.

Jakby coś się gwałtownie skończyło lub niespodziewanie zaczynało. Isabelle poczuła narastający niepokój, wyszukała numer telefonu męża, ale po chwili wahania nie oddzwoniła. Był w pracy, w zupełnie innym świecie. Za niewidoczną ścianą oddzielającą normalność od krainy zła, w którą nie zamierzała wstępować. Tamten wymiar kierował się zupełnie innymi prawami, zdawał się składać z obcych części. Bała się go.

Wrzuciła komórkę do torby i przywołała dzieci, które bawiły się w berka między samochodami. Pomimo godzin pracy połowa miejsc parkingowych była zajęta. Karoserie lśniły w popołudniowym słońcu. Drugie lub trzecie auta w rodzinie, wykorzystywane na zakupy i dla przyjemności niepracujących kobiet. Gospodyń domowych jak ona, matek wychowujących małe dzieci. Ona co prawda nie miała swojego auta, choć spokojnie mogłoby je kupić. Doskonale radzili sobie z jednym. Claude dużo korzystał ze służbowego radiowozu, a w razie konieczności wystarczyło zaplanować dzień z lekkim wyprzedzeniem. Poza cotygodniowymi zakupami jej świat i tak ograniczał się do przestrzeni osiedla, gdzie dałoby się spędzić całe życie bez konieczności wychodzenia na zewnątrz. W bezpiecznej, silnie strzeżonej fortecy.

– Bruno, wystarczy, bądź grzeczny! – upomniała syna, który zataczał na chodniku ósemki, przy każdym okrążeniu zaczepiając Ivonne. Od jej przenikliwego krzyku przechodziły po plecach ciarki. – A ty przestań pisać, przecież to tylko zabawa!

– Ale ja nie chcę!

– Hej, Bruno, nie słyszałeś? Zatrzymaj się!

Chłopiec niespodziewanie przystanął i zwiesił głowę, z nagle nadąsaną miną wbijając wzrok w płytki chodnika. Isabelle nie rozumiała, skąd brały się u niego te zmiany nastroju. Broił jak każdy chłopiec, co było normalne. Niepokoiła ją jednak jego wrażliwość, za bardzo upodabniająca go do dziewczynki. Coraz częściej dało się u niego zaobserwować najgorsze cechy obu płci, z czym trudno było jej sobie poradzić.

– Bruno, podejdź tu, proszę – poleciła synkowi z groźbą w głosie. – Bruno... Stój!

Chłopiec wyrwał do przodu. Biegąc na oślep, przeciął jezdnię i wpadł między zaparkowane samochody. Na chwilę zniknął jej z oczu. Jego czarno-czerwona koszulka mignęła między rzędami aut i schowała się znowu. Isabelle wzięła Ivonne na ręce i ruszyła w pogoń. Próbuąc przewidzieć kierunek, w którym zmierzał syn, biegła wzdłuż najbliższego budynku. Już kilka razy reagował w ten sposób, w ataku nieopanowanej złości uciekając przed siebie.

Powietrze przeszył ryk klaksonu samochodowego, zaraz po nim do uszu wdarł się jazgotliwy pisk opon trących o rozgrzaną powierzchnię asfaltu. Odgłos uderzanego ciała, który usłyszała w głowie, był tak głośny, że rozbrzmiał powracającym echem w zamkniętej apartamentowcami przestrzeni osiedla, grzmiał w niej jak gong w ciasnym pokoju.

– Brunoo! – wrzasnęła histerycznie, wpadając na prostopadłą ulicę, skąd doszedł hałas hamującego auta.

Zostawiła córeczkę na chodniku, by dobiec w miejsce wypadku szybciej. Załzawione oczy rozmazały widok w słoneczną mozaikę, płytkie dno morza.

Trzasnęły drzwi, kierowca wyskoczył na jezdnię i uniósł ramiona w geście wściekłości. Krzyczał, ale do Isabelle docierało co drugie słowo:

– ...cholerne... pilnować... zwariowane... na szczęście... następnym razem...

Chłopiec stał dwa metry od maski starego golfu, patrząc mu w źrenice światła rozszerzonymi przerażeniem oczami. Matka porwała go z jezdni i przytuliła do piersi, zamknęła w rozedrganych ramionach, wpijając się ustami w potargane włosy.

– By jechał kto inny, pirat jaki, toby już było po małym! – komentował kierowca z silnym prowansalskim akcentem, ścierając rękawem pot z czoła. Z jego starczej łysiny podniosło się kilka grubych siwych kosmyków. – Jezu, chyba dostanę zawału! Niech go pani uwiąże na smyczy albo co, bo bieda będzie!

Isabelle przeszła na chodnik i stanęła pod ścianą. Bez jej chłodnego, stabilnego oparcia przewróciłaby się na jezdnię. Budynki wystąpiły z fundamentów i zatańczyły, zamykając ją w ciasnym kręgu. Nachyliły się nad nią. Zagarnęła ramieniem podbiegającą z płaczem córeczkę, objęła dzieci i przycisnęła z całej siły. Zapragnęła mieć je na powrót w sobie, otoczone jej kochającym ciałem, bezpieczne.

– Nigdy, nigdy więcej mi tego nie rób, rozumiesz? Rozumiesz?

Kilku przechodniów zatrzymało się i wdało w rozmowę z kierowcą. Jakaś kobieta zapytała, czy pomóc, z rysującą się na twarzy nadzieją, że nikt jej o tę pomoc nie będzie prosił. Po chwili ulica opustoszała, sensacja minęła. Chłopiec wciąż wpatrywał się w Isabelle przerażonymi oczami. Milczał, choć próbowała wycisnąć z niego potwierdzenie posłuszeństwa. Nie przestawała mówić, bo słowa dodawały jej otuchy, przekonywała samą siebie.

– Chce mi się siusiu, mamó!

Z krtani Isabelle wyrwał się gardłowy śmiech. Kochana, głupiutka córeczka. Najważniejsze, że nikomu nic się nie stało, że są cali i zdrowi. I znowu są sobą. Rozejrzała się, było dużo bliżej do mieszkania koleżanki, do której się wybierała, niż do swojego. Wizyta u Clare była teraz ostatnim, na co miała ochotę, ale też jedynym praktycznym rozwiązaniem, jeśli zamierzała uniknąć komedii z wysadzeniem dziecka pod cienką łodygą platana. Odkleiła się od ściany budynku i skierowała się do najbliższego apartamentowca. Udawała, że nie słyszy syczących z bólu dzieci. Ścisnęła im ręce z całej siły.

Koleżanka od razu wyczuła napięcie, bez słowa wysłuchiwała relacji z przebiegu wydarzeń, z niepokojem zerkając na swojego synka, jakby ten przez sam fakt przebywania w towarzystwie Brunona miał się zarazić jego zachowaniem. Bruno nie wykazywał już niemal śladu szoku. Zachęcony humorem kolegi coraz odważniej poczynił sobie w jego krainie zabawek.

– I wyobraź sobie, że akurat w tamtej chwili zastanawiałam się nad potrzebą posiadania drugiego auta. Zupełnie jakby ktoś próbował mi wysłać znak.

– Jasne, korporacja Renault z podświadomym przekazem: kup nasze najnowsze dziecko, bo my ci weźmiemy twoje.

– Mówię poważnie, Clare. Zamknęłabym go w blaszanej klatce i by przynajmniej nie uciekł.

– I co, będziesz do mnie jeździła, te całe pięćset osiemdziesiąt sześć metrów? Kup smarta, może uda się nim wjechać po schodach na piętro, wtedy w ogóle nie będziesz musiała wychodzić na dwór.

– Przestań, to nie jest zabawne!

Sięgnęły po talerzyki z kremowym ciastem i zagłębiły łyżeczki w jego leżącej się masie. Przez chwilę przypatrywały się zabawie dzieci. Chłopcy tradycyjnie wcielili się w policjantów ścigających złodziei, jedynej dziewczynce przydzielając rolę złooczyńcy. Ivonne przyjęła ją z wyniosłą zgodą, przejawiając wyjątkowo dojrzałą kobiecą wyrozumiałość.

– A po drugie, skąd wzięłabyś kasę na kolejną furę? Z policyjnej pensji?

Isabelle wzruszyła ramionami. Swoim magicznym kalkulatorem przerachowała w głowie

rodzinne aktywa. Bilans był wyjątkowo korzystny.

– Nie oczekuję luksusów, więc spokojnie dalibyśmy sobie radę.  
– Gratulacje. Eddy jest menedżerem w banku, a i tak ledwo ostatnio zapiemy. Nie ma to jak w policji, łapówki, te sprawy...

Puściła oczko i zachichotała. Isabelle uśmiechnęła się, poczuła jednak ukłucie w piersi. Zawsze łączyło się policję z korupcją, szczególnie w tym mieście. Jak polityków z kłamstwem albo prawników z oszustwem. Zazwyczaj jednak ogólnie, abstrakcyjnie, nie przytaczając przykładu konkretnej osoby.

– Pewnie, w ścianie trzymany sejf na te grube miliony, a w nam tylko znanej jaskini nad morzem zakopaliśmy skrzynię z działką od zrabowanych uczciwym jubilerom klejnotów.

Tym razem zaśmiały się obie. Isabelle nie chciała dać po sobie poznać, że przejęła się głupią uwagą przyjaciółki. Niepokój o syna zamienił się w niepokój o męża. Kolejne zestawienie przychodów z wydatkami nie było już tak przejrzyste jak poprzednie. Nie wyobrażała sobie, żeby Claude brał, ale oskarżenia o korupcję w policji były tak powszechne, a pokusa tak duża, że nigdy nie miało się zupełnej pewności. Tym bardziej że знаła jego priorytety: rodzina zawsze była dla niego najważniejsza. Dla rodziny zrobiłby wszystko.

Niepewność paliła ją niczym podlana octem rana. Pod pretekstem zmęczenia wywołanego wcześniejszymi przeżyciami wyszła od koleżanki wcześniej, niż planowały. Nie potrafiła pozbyć się wrażenia, że mąż tworzy na jej potrzeby sztuczną rzeczywistość. Rysuje na wodzie kreski i kółka, a ona mu dopinguje, udając, że nie znikają. Ale wszystko przecież było takie konkretne. Jego miłość, troskliwość, oddanie... A jeśli idiotyczny żart Clare okazałby się prawdą?

Kiedy weszła do mieszkania i zamknęła za sobą drzwi, poczuła, jakby budynek chwiał się niczym domek na kurzej stopce. Świadomość życia w wymyślonej przez kogoś innego bajce przeraziła ją. W internecie bez trudu odnalazła artykuł o trwającym postępowaniu wobec skorumpowanych funkcjonariuszy w marsylskiej policji.

Ze złym przeczuciem zabrała się do przeglądania rachunków.

Wybrała okrężną drogę. Ciągłe było zbyt widno, żeby paradować najbardziej uczęszczanymi ulicami w stroju, który miała na sobie. Boczne, zapyziałe uliczki dawały wrażenie cienia, kryjówek. Mniej ludzi oznaczało mniejsze zainteresowanie, co w konsekwencji ograniczało ryzyko problemów. Tylko przez chwilę rozważała korzystanie z serwisu dowozu zakupów pod wskazany adres. Idąc tym tokiem myślenia, musiałaby zacząć korzystać i z innych usług, na dobre zamykając się w domu. Wyalienować się kompletnie, zamknąć w wysokiej wieży, a klucz wyrzucić przez okno.

Nie była księżniczką. Nie była też typem odludka, wbrew pozorom uwielbiała towarzystwo. Gdyby nie jej skomplikowana sytuacja, pół życia spędzałaby na clubbingach, spotkaniach i najrozmaitszych imprezach. Okoliczności wymusiły na niej określony styl życia, więc przeniosła swoje działania do sieci. Tam potrafiła być duszą towarzystwa, obwoływano ją królową niejednego balu. Gwiazdą.

Minusem kluczenia w zakamarkach miasta był inny rodzaj zagrożenia. Mniej obawiała się policji i jej mandatów za ubiór, denuncjacji ze strony porządnych, zatroskanych obywateli i ostracyzmu. Bała się za to meneli i zwykłych lumpów, z nudów zaczepiających byle kogo. Im bardziej zagłębiłaby się we wnętrzości miasta, tym prostszych i nędźniejszych mieszkańców by napotkała. Tych, którzy są najbardziej podatni na populistyczne hasła i medialną nagonkę. Podręcznikowy motłoch, dający sobą kierować jak bydło. Zrozumienie, szacunek do tych ludzi nie wykluczał strachu przed nimi. Często odczuwała też najzwyczajszą niechęć.

Z ciemnych okien i drzwi wyzierały obojętne spojrzenia. Z głębokich bram słyszała przekleństwa, niekiedy pod swoim adresem. Z zaniedbanych kamienic opadał tynk,

demonstrując goliznę cegieł. Rynsztok dziwnie lśnił, jakby wciąż płynęła nim rzeka odchodów i nieczystości. Gdyby nagle przeniosła się w czasie i wylądowała ze dwieście lat wcześniej, nie odczułaby większej różnicy. Na linkach ciągle wisiałoby pranie, obcy wciąż byłiby niemile widziani.

Na placu obstawionym pustymi donicami kilku młodocianych potomków Espingoli czy Ritali urządziło sobie zabawę w rzucanie kamieniami do celu. Tarczę stanowił najgrubszy z nich, którego zapędzili w róg, z dużym zmysłem taktycznym odcinając mu drogę ucieczki. Grubasek zasłaniał twarz łokciami i po każdym trafionym rzucie podnosił do góry kolano. Spocony i z czerwonymi policzkami tkwił w wyznaczonym miejscu, jakby mu za to płacili. A raczej on im płacił swoją uległością, dzięki czemu choć w ten sposób mógł należeć do grupy. Jako ofiara.

Céline przeszła obok, ale po kilkunastu metrach się cofnęła. Chłopcy mieli po jedenaście, dwanaście lat, koszulki po starszym rodzeństwie i chude, jakby ciągnięte na kole członki. Była niewiele wyższa od nich, a największy pewnie naplułby jej na głowę. Musiała się bronić przez całe życie, więc potrafiła zachować się w stresujących sytuacjach. Opanowała psychologiczną technikę walki, umiała się bić na emocje i słowa. A co najważniejsze, nauczyła się z godnością przegrywać.

– Co on wam zrobił?

Jej pytanie zabrzmiało w zdezelowanych murach jak zgrzyt. Chłopcy spojrzeli na nią zdziwieni.

– Ten chłopiec, co wam zrobił? Musicie go męczyć?

Spojrzeli po sobie. Wyglądało to tak, jakby mówiła do nich w innym języku, a oni nie rozumieli ani jednego słowa.

– To grubas! – zakomunikował jeden.

– A tobie co do tego? – zaciekawiał się inny.

Céline przywołała ręką ofiarę bandy.

– Nie musisz im na to pozwalać. Zabieraj się stamtąd, idź do domu. Jak chcesz, mogę cię odprowadzić.

Grubasek opuścił ramiona i patrzył na nią z jeszcze większym zdziwieniem niż pozostali. W pucułowatej, rozdziawionej twarzy lśnił mokry język. Wykonał ruch, jakby zamierzał jej posłuchać, ale nagle do głowy przyszła mu inna myśl.

– To Arabka, obwiązała się chustą. Łamie prawo, kurwa! – poinformował swoich prześladowców.

Odważnie postąpił dwa kroki do przodu i uniósł rękę, w której kurczowo ścisnął kawałek tynku, do tej pory bojąc się go użyć. Zamachnął się i posłał pocisk w stronę kobiety. Jak na ofermę przystało, nie trafił. Prześladowcy natychmiast podchwycili pomysł, zachęcając go do ataku. Zjednoczyli się wobec wspólnego wroga, znaleźli jeszcze słabszą, bardziej niedopasowaną ofiarę.

– Dawaj, tłusciochu, pokaż, co potrafisz! – dopingowali. – Przypierdol jej!

Schylił się po kolejny kamień i ponownie nie trafił. Rozochocony zaczął się śmiać razem z nimi, na chwilę stali się równi.

Céline cofnęła się, bez słowa odwróciła i szybkim krokiem ruszyła w dół uliczki. Jakaś stara baba wychyliła się z okna, sugestywnie stukając palcem w głowę. Komunikowała brak rozsądku dziewczyny czy wskazywała na jej nakrycie? Pasowały oba warianty. Jeszcze jeden kamień świsnął w powietrzu, tym razem minął ją o parę centymetrów, chłopak nabierał wprawy. Céline przekleła swoją głupotę. Doskonale знаła syndrom ofiary, analizowała ten problem niejednokrotnie. Sama często pozwalała sobą pomiatać w młodości, byleby tylko mieć kontakt z rówieśnikami. Psychologia człowieka jest prosta jak cep, a wszelkie niuanse są tylko

wyobrażeniem akademików. Fantazją o ludzkim rodzaju.

Do domu dotarła niemal biegiem, uspokoiła się dopiero za zamkniętymi na klucz drzwiami. Rozpakowała zakupy i otworzyła wino. Pierwszy kieliszek wypła duszkiem, drugi małymi łykami. Trzeci postawiła przy komputerze i o nim zapomniała. Zaczęła pisać.

*Wyzwolenie to walka z samym sobą. Ofiary są z definicji słabe, stają się ofiarami właśnie z powodu swojej słabości. Dlatego nie potrafią wygrać tej walki. Wrogiem jest własne odbicie w oczach innych. Postrzeganie siebie z perspektywy innych, ocenianie się na podstawie ich wartości.*

*Wyzwolenie wymaga więc aktu łaski. Na urzędowym papierze, udekorowanego podpisami i pieczęciami wpływowych ludzi. Władców. Wymaga oficjalnej informacji w środkach masowego przekazu, uznania przez media. Jest aktem nadania.*

*Wyzwolono was więc, uciśnione masy Republiki Francji. Dekretem władzy państwowej wskazano wam kogoś słabszego. Nadano wam wolność zniewalania kogoś innego. Rzućcie ukrytym w dłoni kamieniem! Czyńcie swoją katowską powinność!*

Zamyślił się.

Obława Armanda na bezdomnych nie przyniosła żadnego efektu, a przysporzyła kilku dodatkowych problemów. Nagle aktywni stali się obrońcy praw człowieka, którzy podnieśli rwetes, że policja niewłaściwie traktuje mieszkańców Marsylii. I to ci pravicowi, dla których i prawo, i człowiek, i mieszkaniac stanowili wartości wysoce relatywne. Walutę, którą spekulowali w zależności od sytuacji na politycznej giełdzie. Zwykle uznawani przez nich za podludzi nagle zostali włączeni do świętej rasy narodu francuskiego, na równych prawach z resztą obywateli. Idealny pretekst do podkreślenia logiki faszystowskiej demagogii Frontu: nie stać nas na imigrantów, bo przecież musimy się zająć bezdomnymi.

Rais nie spisał się dużo lepiej. Jego tajemniczy informator chciał przede wszystkim zarobić pięć stów za wykablowanie sekretów marsylijskiego Środowiska, niewiele jednak miał do przehandlowania. Dostał kopniaka w tyłek i stówę na otarcie łez, bo jednak co nieco wiedział. Wsyłał kilku imamów prowadzących nieoficjalne komplety po piwnicach i nielegalnych klubach, gdzie pakowali do tępych brodatych łbów dżihadystycznych pozerów bzdury o kulturowej wyższości islamu i konieczności prowadzenia świętej wojny przeciwko niewiernym. Gdyby zgolić im łby i wybielić skórę, niewiele różniliby się od swoich przeciwników z neonazystowskich bojówek. Czyli sprzedał im to, co wiedzieli już wcześniej.

Poza nazwiskiem jednego z muzułmańskich duchownych, który niedawno pojawił się w mieście. Gruba ryba przysłana przez jeszcze grubszą, podobno emisariusz ISIS. Tyle że nie nauczał Koranu jak inni, nie werbował do armii Allacha. Groził i straszył, rozwijał przed słuchaczami wizje kataklizmu, który wisi nad miastem i może na nie spaść w każdej chwili. Był kolejnym schizofrenikiem religijnym w cwany sposób zgrywającym proroka albo rzeczywiście coś planował. Tego musieli się jak najszybciej dowiedzieć.

Claude poczuł na swojej ręce dłoń Émilie, gorące jak dotyk słońca palce z paznokciami w kolorze chabrow. Natychmiast przypomniał sobie tę samą dłoń na swoich udach, pośladkach i członku. Było to wiele lat temu, ale wciąż na wspomnienie jej pieszczot przechodził go dreszcz podniecenia. Nikt nigdy nie pragnął go tak jak ona. Nie oddawał mu się tak zupełnie, na własność.

Odsunął rękę zbyt późno, dając jej w ten sposób nadzieję, której nie było. Wstydził się tamtego okresu swojego życia, bał się prawdy, która mogła kiedyś wyjść na jaw. Lękał się tej dziewczyny, bo tylko ona знаła tę prawdę. I z nienawiścią myślał o tym, że w pewnej części ciągle należał do niej. Mogła sobie tę część odebrać, kiedy tylko przyszłaby jej na to ochota. W pewnym sensie była fundamentem jego szczęśliwego małżeństwa, jego rodziny. Nie potrafił

pozbyć się wrażenia, że od niej zależało w tej kwestii więcej niż od niego samego. Dlatego traktował ich comiesięczne spotkania jako zło konieczne. Ryzykował, ale przynajmniej sprawował nad tą sytuacją jakąś kontrolę.

– Coś cię trapi? Problemy w pracy, w domu?

Przy ostatnim słowie jej źrenice rozszerzyły się, jakby przewidywała spełnienie się dziecięcego marzenia. A może tylko to sobie ubzdurał, a w jej ślicznych oczach po prostu tańczyło słońce?

– Mógłbym zadać ci to samo pytanie, Émilie. Nie obraż się, ale wyglądasz jak topielica. Dobrze się czujesz?

Zdawał sobie sprawę, że takie uwagi ją boją, bo zawsze starała się być dla niego ponętna i piękna. Niekiedy robił to celowo, droczył się z nią, podkreślając łączącą ich więź rodzinną. Był dla niej starszym bratem, to wszystko. Gdyby jednak tak było, przeleciałby własną siostrę. Zgrzeszył.

Tym razem jednak wyglądała na chorą, odczuł autentyczny niepokój.

– Zdawało mi się, że wpadłam. No wiesz, że jestem w ciąży. Co się tak gapisz, przecież nie jestem zakonnicą!

Odgrywała się na nim czy mówiła poważnie? Nie potrafił tego odczytać z jej spojrzenia, ale wyczuwał w niej jakieś nietypowe napięcie.

– I co, jesteś?

– Obchodzi cię to? – parsknęła, jakby mu robiła wyrzuty. Prawie od razu się jednak zreflektowała, przeczesła włosy i zmieniła pozycję na krześle. Nierówny, poszatowany cień krawędzi parasola wyrysował jej na czole czubek liścia paproci. – Chyba nie, test wyszedł negatywnie. Ale czuję się ciągle parszywie. Mam wrażenie, że coś we mnie siedzi, w żyłach pulsuje mi jakieś obce życie. Wiesz, jakby we mnie pływało.

Nie wiedział. Émilie miała tendencje do paranoi, a na dodatek była nałogową kłamczuchą. Regularne spotkania pomagały mu orientować się w stanie jej ducha, miał nadzieję w ten sposób rozpoznać zbliżające się zagrożenie. I właśnie dostrzegł symptomy ryzyka.

– Bierzesz coś? Émilie, słyszysz mnie? Spójrz mi w oczy i powiedz, że nic nie bierzesz, że jesteś czysta. Bo inaczej...

– Inaczej co? – Spojrzała mu w oczy, jak sobie życzył. Zbyt głęboko i intensywnie, dosłownie go uderzyła wzrokiem.

Nie wytrzymał tego spojrzenia.

– Nic, po prostu się o ciebie martwię, dobrze o tym wiesz. Może powinnaś pójść do lekarza?

Zaśmiała się tym swoim chichotem na pograniczu pogardy i hysterii. Dokładnie w ten sam sposób zareagowała, kiedy ją poinformował, że dłużej nie mogą być razem. Wtedy po tym śmiechu dostała ataku szału. Minęło dziesięć lat, a on ciągle obawiał się powtórki.

– Mówię poważnie. Wiesz, że dla ciebie...

– Zrobiłbyś wszystko? Wiem, już to kiedyś zrobiłeś. Wszystko, co najgorsze. Wszystko zepsułeś, odebrałeś mi wszystko. Zostawiłeś wszystko.

Automatycznie zacisnął pięść na szklance, wlał do ust resztkę whisky i z trzaskiem odstawił naczynie.

– No właśnie, tracisz nad sobą kontrolę, gdy o tym mówię. Wychodzi z ciebie twoje prawdziwe oblicze wariata. Przedemną nie musisz udawać, nikt cię lepiej ode mnie nie zna. Nie nadajesz się ani na męża, ani na ojca. A już na pewno nie na gliniarza. Jak długo zamierzasz się oszukiwać, Claude? Wiem, że prędzej czy później wybuchniesz, a wtedy zostawisz po sobie tylko głęboki krater w ziemi i gruzy.

– Gówno wiesz!



Kiwnął do kelnera, dziękując za obsługę. Wsunął pod szklanę zmięty banknot wygrzebany z kieszeni i bez pożegnania odszedł od stołu. Uciekł.

Wskoczył do samochodu i trzasnął drzwiami, przekręcił kluczyk i wrzucił bieg. Jednak nie ruszył z miejsca. Oparł głowę o kierownicę, pozwalając pieścić się w czoło delikatnym drganiem pracującego silnika. Przesadził, nie powinien w ten sposób rozmawiać z Émilie, za dużo mogła. Nie chodziło jednak tylko o strach, ale i o szacunek. To on ją uwiódł, najzwyczajniej w świecie przeleciał, gdy miała szesnaście lat. Miał ją, kiedy tylko chciał, kiedy było mu to wygodne. A potem porzucił ją, bo przestała być już wygodna. Mimo że kochała go najczystszy uczuciem, jakim nikt nigdy już go nie będzie kochał. On czuł do niej raczej pożądanie niż miłość. Które mu nie przeszło do dzisiaj.

Poczuł piętrzące się w głowie warstwy problemów. Napięta sytuacja w mieście, brak tropów w prowadzonym dochodzeniu, a na dodatek sprawa tych cholernych łapówek. I jeszcze Émilie z jej nieustającą, trudną do zniesienia obecnością, ciągłym pozostawianiem w pobliżu.

Ale najbardziej zabolą go prawda. Życiowa rutyna krępowała mu ruchy niczym zbyt ciasne ubranie. Choć starał się, jak mógł, tylko udawał. Jak większość ludzi, lecz tylko on miał z tego powodu wyrzuty sumienia. Bo zdawał sobie sprawę, co w nim drzemie. Do czego zdolne są rozbudzone demony. Wkrótce miał się o tym przekonać. Dzięki kontaktom Fabia Montalego w wydziale wewnętrznym dostał cynk w związku z zarzutami o korupcję: dane tajemniczego gangstera, który rzekomo miał dawać mu w łapę.

Tej nocy zamierzał to sprawdzić.

La Coquille trudno było nazwać lokalem. Wchodziło się od podwórza zdezelowanej kamienicy, z której wielkimi łatami odpadał tynk. Przechodząc pod ścianą, należało zachować taką samą ostrożność jak w górach w miejscach zagrożeń lawinami. Zwłaszcza nocą, bo wejście do knajpy oświetlała tylko jedna mizerna lampa. Neon zachowany chyba tylko po to, żeby pochwalić się lepszymi czasami, zgasł jakieś piętnaście lat temu i straszyl swoim przyprószonym sadzą, wijącym się cielskiem niczym pełną piżawką.

Nikt przypadkowy tam nie zachodził, goście albo należeli do stałych bywalców, albo mieli do ubicia jakiś brudny interes. Oprócz złej sławy La Coquille cieszyła się jeszcze jedną cechą cenioną przez ludzi szczególnego pokroju: pełną dyskrecją. Pod tym względem była jak tradycyjna katolicka rodzina, która wszelkie przejawy religijno-obyczajowego zwyrodnienia przechowuje w szczelnym jak trumna zaciszu domowego ogniska.

Wejście niezbyt dyskretnie obserwowano dwóch drabów w markowych żonobijkach, które podkreślały żylaste mięśnie, o łysych czaszkach zabarwionych na pomarańczowo żarem papierosów. Gliniarza wyczuwali na odległość jak szczury niebezpieczeństwo, więc wiadomość o przybyciu Claude'a poprzedziła jego wejście do środka o kilkanaście sekund. Trafił w ciszę podkreśloną rytmicznym syczeniem i klekotaniem głośników wypluwających z siebie mieszanek improwizowanego jazzu i transu. Rozstrojone efekty świetlne gubiły rytm, puszczając na przemian czerwone, niebieskie i fioletowe oczka, przez co klienci zdawali się ruszać jak klatki w filmie. Błyszczeni złotem, wygolonymi glacami i lakierowanymi skórami od Diora. Śmierdzieli testosteronem i łatwą forszą.

Claude podszedł do baru i wskazał szkocką. Chudy szynkarz o twarzy tak pomarszczonej, jakby była poprzecinana bliznami, splunął pod ladę, ale napełnił szklanę.

– Powiedz Cipie, że jestem. Niech przegoni kurwy z zaplecza i poświęci mi parę minut, mam sprawę.

Oparł się tyłem o bar i popił whisky. Powoli przebiegł wzrokiem po obleganych stolikach. Klientela jak zwykle dopisywała, pomimo słabego oświetlenia rozpoznał kilka znajomych twarzy. Niektórych pamiętał jeszcze z podwórka, wychowywał się w tej okolicy. Niewiele

brakowało, a sam zostałby czarnym charakterem, miał czarne podniebienie i talent. W młodości trudno było odróżnić dobro od zła, zabawę od łamania prawa. Kradzież była czymś najzwyczajniejszym na świecie, a pobicia zwykłym elementem życia towarzyskiego. Każdy kiedyś porządnie dostał i zemścił się za to z nawiązką, niekoniecznie na tej samej osobie. Obowiązywała odpowiedzialność zbiorowa, a dzielnica poszatkowana była na strefy wpływów i powiązana skomplikowanymi siatkami relacji. Wszystkich łączyła jednak wspólna nienawiść do policji. Ta sama, którą odczytywał teraz z min rzucających mu rozdrażnione spojrzenia gości baru.

Napakowany chłopiec na posyłki przyszedł po niego po dziesięciu minutach. Claude znał drogę, mimo to grzecznie dał się goryłowi prowadzić. Minęli jaskrawo oświetlony korytarz i kuchnię, która kojarzyła się z rzeźnią dla policyjnych kapusiów i notorycznych dłużników. Dostępu do prywatnych pomieszczeń właściciela meliny broniły ciężkie stalowe drzwi przypominające śluzę schronu atomowego. Zanim je przed nim otworzono, z cienia wyłonił się drugi goryl, który unieruchomił Claude'owi ramiona w łokciach, podczas gdy ten pierwszy dokonał osobistej kontroli. Nie znaleźli niczego z wyjątkiem komórki i portfela. Kapitan przychodził w pokoju, nie miał przy sobie broni.

– U, la, la! – gospodarz przywitał go tuż za progiem. – Prędzej spodziewałbym się wizyty śmierci niż władzy. Kopę lat, Aryan! Co pijesz?

Obaj tolerowali swoje przezwiska przez wzgląd na stare dzieje. Chatte – Cipa jako nastolatek przechodził wyjątkowo intensywną i długą mutację, więc piszczął jak dziewczyna. Wybijał za to przezwisko zęby, więc wszyscy woleli z nim nie zaczynać. Ale Claude był jednym z liderów konkurencyjnej paczki, nie miał wyjścia. Stracił ząb, ale w rewanżu złamał przeciwnikowi nos, rozbił łuk brwiowy i zmasakrował twarz. On był silniejszy, Chatte bardziej uparty i nieustępliwy. Po bójkę zawarli rozejm i choć nigdy się nie zaprzyjaźnili, ciągle czuli wobec siebie stosowny respekt. Nawet kiedy Claude wstąpił w szeregi policji. Stare gangsterskie powiedzonko głosiło, że lepiej od wroga w policji mieć znajomego w policji.

Jedna z lał gospodarza naląła szkockiej i zajęła miejsce na wysokim stołku przy barku, eksponując niebywale długie nogi. Druga wiła się wokół rury na podświetlonym podeście, na widok gościa zaczęła energiczniej wywijać nagimi cyckami.

– Co cię sprowadza w moje skromne progi?

Cipa wyglądał dobrze, a powodziło mu się jeszcze lepiej, niż wskazywałby na to wygląd. Udało mu się wykroić dla siebie całkiem okazały kawałek miejskiego tortu, który dawał mu wystarczającą satysfakcję i odpowiednie pieniądze. Nie miał większych ambicji. Potrafił umiejętnie lawirować pomiędzy włoską mafią i lokalnymi gangami, dzięki czemu ciągle pozostawał wśród żywych.

– Ktoś mi robi koło dupy w sprawie domniemanych łapówek. Nie przedstawili mi źródeł informacji, ale parę ścieżek zdaje się prowadzić do ciebie. Dałeś im coś na mnie, Cipa?

– Co? Ja? – Gangster wyszczerzył porcelanowe zęby, na świadków swojej niewinności przywołując podobnie reagujących goryli. – Dobrze wiesz, że nigdy bym cię nie wsypał. Chyba żebyś mnie to tego zmusił, Aryan, i nie miałbym innego wyjścia. W końcu wszyscy jesteśmy jedynie ludźmi.

Goryle skwitowali tę uwagę, kiwając głowami.

– Próbują mi się dobrać do dupy, nie mam nastroju do żartów. Załóżmy więc, że udasz nagłą amnezję przed tymi, z którymi nigdy na mój temat nie rozmawiałeś, albo odwołasz kapusia, który rzekomo podsunął ci kit. Wysoko postawionym gnojom z komendy sprzedasz kogoś innego, żeby się nie wkurwili, w czym ci pomogę, a ja będę miał trochę spokoju.

– A ja?

Claude przygryzł górną wargę. Właśnie rozpoczął się targ o jego duszę. Do tej pory udawało mu się wykić z tarapatów drobnymi, tym razem gra szła jednak o dużo wyższą stawkę. Kariera zawodowa, rodzina, szacunek do samego siebie. Nawet jeśli Émilie miała rację i nie nadawał się pracy w policji, zwłaszcza w sytuacji, kiedy służba powodowała konflikt z własnymi wartościami, a sprawiedliwość definiowała pieczętka pod decyzją administracyjną jakiegoś bezdusznego urzędasza z merostwa. Ludzi segregowano i naznaczano jak bydło. Claude'a przepełniało zbyt wiele wątpliwości i pytań, by bez szemrania wykonywać rozkazy. I gdyby nie resztkę wiary, że wciąż służy jakiemuś wspólnemu dobru, te uczucia rozerwałyby go na strzępy. Jedyną alternatywą, która przychodziła mu do głowy, był powrót do strefy cienia, do marsylskiego półświatka. A to oznaczałoby wyrok śmierci.

– Będziesz miał swoją upragnioną prywatną wtykę w komendzie. Dziadkowie będą ci mogli naskoczyć.

Mężczyźni rozbłyły oczy. Nigdy nie udało mu się pokonać największego rywala z osiedla, lecz ostatecznie zdołał go przechrzyć. Kupić. A gnida pokroju Cipy mogła jedynie marzyć o takich układach. Z reguły kontakty z władzą należały do dziadków, starych gangsterów wyżeraczy, środowiskowej elity. Poważnie przytaknął głową na znak doniosłości tej chwili.

– I jeszcze jedno, Cipa. Słyszałeś o sprawie smoluchów? Prowadzę ją. Są silne naciski z góry, żeby to jak najszybciej rozwiązać, więc zaczynam nie wyrabiać nerwowo. Jak niczego nie dostanę do jutra, do sprawy przydzielą mi zębów z Paryża. Zaczną robić zadymę w mieście, a na pierwszy ogień pójdą lokalni bossowie. Wiesz, co to dla ciebie oznacza?

Mężczyzna nachylił się nad stołem, popił szkockiej, po czym z drewnianej szkatułki wyciągnął skręta, którego w podskokach przypalił mu stojący bliżej goryl. Zaciągnął się głęboko i na chwilę zniknął w tumanie dymu.

– Pomaga w myśleniu, Aryan, powinieneś spróbować.

– Dzięki, swoje już w życiu wyjarałem.

Chatte podał jointa długonogiej laluni, która przysiadła na oparciu sofa i zaczęła czubek szpilki o krawędź stołu. Zaciągając się, nie przestawała wpatrywać się w gościa z policji. Jej oczy zaszyły mgłą, a następnie dymem.

– Różne rzeczy się mówi na mieście, ale ja nie wierzę w plotki, więc nie powtarzam. W każdym razie ostatnio przybyło Ruskich, a to wyjątkowo wyrywane i zawzięte bydłaki. W naszych kręgach już dawno w ten sposób spraw się nie załatwia.

– W waszych kręgach? – Claude prychnął pod nosem. – Jasne, wy teraz garnitury, białe rękawiczki, krawaty, oszklone biura i eleganckie panienki. Nie bandyci, a biznesmeni, nie kurwy, a damy do towarzystwa.

Cipa poprawił poły marynarki i poklepał długonogą po tyłku.

– Popytam i dam ci znać. Czy można powiedzieć, że jesteśmy po słowie?

Kapitan przytaknął. Właśnie podpisał cyrograf z diabłem.

Wyszedł z wnętrza nocnego klubu przy Avenue des Goumiers i przeciął ulicę. Nie miał ochoty stać w tłoku palaczy oblegających wejście. Przystanął pod szybą wystawową zakratowanego na noc sklepu ze starociami, włożył do ust cienkiego marlboro i przypalił zapałką. Odbity płomień zatańczył w witrynie sklepu jak chochlik, idealnie wpisując się w zagracone wnętrze.

Z dyskoteki dobiegały dźwięki muzyki, stłumione, ale wciąż rozprasające myśli. Drażniące basy i świszczące w uszach soprany z tej odległości przypominające pocieranie szczotką o luźną blachę. Pragnął chwili spokoju, ciszy, potrzebował krótkiego czasu dla siebie. Dziewczyna przyjaciela włożyła mu w tańcu język do ust, lubieżnie wyssała mu całą ślinę. Nie odrywała od niego wzroku, choć jej chłopak siedział obok i tulił ją do siebie jak własność. Stan

posiadania, który mu się właśnie wymykał. Nie powinna się tak zachowywać, nawet jeśli zamierzała z nim zerwać. To nie było fair wobec ich obu. Dotychczasowego mężczyzny i tego, który miał go zastąpić.

Mała, głupia kurewka. Gorąca i inteligentna, z żadną dziewczyną nie rozmawiało mu się jeszcze tak dobrze. Wzbudzała w nim taką ochotę, że erekcja rozpoczynała mu się w żołądku, kończyła w palcach u stóp. Przeistoczył się w fiuta, w mózgu zamiast zwojów mózgowych chlupała mu sperma. Dlatego potrzebował oddechu, świeżego powietrza. Musiał ochłonać.

Skręcił za róg i stromymi schodkami dostał się do równoległej uliczki. Stamtąd udał się w stronę nabrzeża, wybrał zacienione miejsce i usiadł na murku. Rozświetlony Zamek d'If wyglądał jak unosząca się w ciemności mikroskopijna planeta. Uwielbiał ten widok, mógłby wpatrywać się w nocny pejzaż Marsylii całymi godzinami. Brudne, betonowe miasto zamienione w świetlne refleksy, odcienie żółci pływające w czarnej gęstwinie. Wyciągnął z ust papierosa i zakreślił nim w powietrzu wzór z kilku okręgów. Grudka żaru miała ten sam kolor, co odbijane w wodzie lampy nabrzeża. Mógł domalować w ten sposób brakujący fragment widoku.

Nie zareagował na zbliżające się kroki, ktoś przechodził wyludnionym zaułkiem. W jakimś naczyniu chlusnął płyn, jakby ktoś strząsnął do połowy opróżnioną butelkę. Z tym że ciecz nie wylądowała w niczym gardle, jak można się było spodziewać, tylko na jego plecach. Ciepła, lepiała się do skóry jak pot, paląca. W pierwszej chwili wziął to za głupi kawał kolegów i zeskoczył z murku z szerokim uśmiechem. Wtedy nozdrza zatkał mu duszący odór benzyny.

Kolejna struga paliwa trafiła go w twarz, wypełniając na wpół otwarte usta i zalewając oczy. Kontury budynków rozmazały się w wodniste, przytłumione kolory. Żółć i czerń, pomiędzy którymi majaczyły jakieś jasne postacie. Z tej nowej perspektywy niczym nie różniły się od zmoczonego papierosa, którego wciąż trzymał w palcach.

– Przypalić ci go?

– No co, wszarzu, nabrałeś wody w usta?

Śmiech podziałał na niego jak alarm. Dopiero teraz dotarła do niego powaga zagrożenia. Rzucił się do ucieczki. Na wpół oślepiiony ruszył przed siebie, próbując przypomnieć sobie rozkład nabrzeża. Powinien skierować się w stronę deptaku z nadzieją, że spotka tam spacerujących ludzi. Świadkowie byli dla niego jedyną szansą. Zamarzył o znalezieniu się w tłumie, od którego parę minut temu uciekał. Jedyny obraz, który odtwarzała mu w głowie wyobraźnia, pochodził z jakiegoś filmu i przedstawiał płonących ludzi. Szamoczące się, wirujące pochodnie. Z krtani wyrwał mu się krzyk przerażenia, a na skórze poczuł ból topniejącej tkanki.

Potknął się i przewrócił, podniósł, przebiegł kolejnych kilkanaście metrów i wpadł na betonową ławkę. Od uderzenia w czoło świat na kilka sekund zamienił się w jednolitą czerń, a wymaginowany ból zniknął. Wrażenia powróciły trzema nachylonymi nad nim postaciami, obłymi głowami bez jakichkolwiek rysów twarzy, asfaltowymi grudami.

Przeszyła go nagle odkrywczą myśl. Usłyszany przed chwilą głos wydał mu się znajomy.

– Pierre, to ty? To ty, Pierre? Przysięgam, ja nie ukradłem tych pieniędzy! Zapłacę wszystko, co do centa, obiecuję ci, Pierre!

– Zapłacisz, zapłacisz. Ale przed Bogiem, za swoje grzechy!

W oczach nagle pojaśniało mu jak w dzień. Dokładnie widział płomienie strzelające w powietrze z jego palącego się ciała. Najszybciej stopiły się i wyparowały gałki oczne, więc umierał w kompletnej ciemności. I ciszy, bo po kilkunastu sekundach przestał krzyczeć. Zanim zgasło w nim życie, rozbłysła nieprawdopodobnie trzeźwa myśl: czy jeszcze umiera, czy może już umarł i znalazł się w piekle.

– Bruno o mało dzisiaj nie wpadł pod samochód.

Isabelle przestała się czesać i odłożyła szczotkę na toaletkę. Odwróciła się i wyczekująco

wpatrywała w męża, który leżał na łóżku z laptopem na brzuchu. Twarz oświetlała mu niebieskawa poświata nadająca oczom niebezpieczny blask.

– Co się stało?

– To co zwykle! Czasami tracę już siły. Nie wiem, co w niego wstępuje, po prostu zaczyna biec, uciekać, jakby wpadał w jakiś dziwny szal. Bał się czegoś. Mnie?

– Daj spokój, Is, jak może się ciebie bać?

– Sama nie wiem. Może lekarz...

– Powiedziałem ci, żebyś dała sobie spokój z lekarzami. Ile razy już byłaś i czego się dowiedziałas?

– Może pójść do innego, dobre opinie ma jeden profesor z Lyonu...

– Przestań! Ma ADHD, to wszystko. Z wiekiem mu przejdzie, po prostu trzeba go bardziej pilnować...

Pokój wypełnił żaloszny szloch. Nie powinien był tego mówić, ale nie powstrzymał się w porę. Nitki rozdrażnienia, które rozpełzły się po nim na brzmienie słowa „lekarze”, natychmiast zniknęły. Nie miał prawa tak mówić, czegokolwiek sugerować. Był nie tylko niesprawiedliwy, był podły. Nienawidził tego określenia, które w takich sytuacjach często padało z ust Isabelle. Bolało zawartym w sobie ładunkiem prawdy. To ona poświęciła karierę i życie dla dzieci, nie on. Nie znał lepszej matki i żony.

– Przepraszam, Is, nie o to mi chodzi. Chodź tu, pogadamy. No już, przytul się do mnie.

Weszła na łóżko z ociąganiem. Przyciągnął ją do siebie i ułożył na boku, zamykając w objęciach ramion i nóg. Zagłębił twarz w jej włosach. Uwielbiał mieć ją tak blisko, jej zapach, smak, dotyk na swoim ciele, jakby były jego częścią. Mimo upływu lat nie przestawał odczuwać metafizyki ich zespolonych dusz. Będąc razem, stawali się jednością.

– Nie chciałem, kochanie. Jesteś najwspanialszą matką i najcudowniejszą kobietą na świecie. Monica Belluci mogłaby ci jedynie sprzątać mieszkanie.

– Naprawdę?

– Pod warunkiem że robiłaby to w fartuszkach bez majtek!

Parsknęła śmiechem i mocno przycisnęła do brzucha jego dłoń. Ten stary suchar wciąż ją rozśmieszał, choć wymyślił go jeszcze w okresie narzeczeństwa. Monica Belluci przybierała niekiedy postać innych aktorek, a sprząkanie zamieniało się w zmywak lub pralnię. Claude miał poczucie humoru posągu Ludwika XIV, ale żonę i tak rozśmieszał. Żyli we własnym świecie, który rządził się własnymi prawami. On był tam dowcipny, a ona dawała mu się rozśmieszać.

Narastająca erekcja zaczęła go krępować, ale nie potrafił jej opanować. Pojawiała się niezależnie od sytuacji, jak tylko czuł żonę wystarczająco blisko. Niekiedy w miejscach publicznych lub podczas wspólnej zabawy z dziećmi. Było mu wstyd, choć ona uznawała, że to urocze. Nie widział niczego uroczego w stojącej pale, ale w ich świecie fiut potrafił zamienić się w bukiet kwiatów. Właśnie w ten sposób go teraz ujęła, jakby brała do ręki kwiaty. Gestem tak naturalnym, jakby ścisnęła mu dłoń.

– Boję się, Claude.

– Niepotrzebnie, nic się nie stanie, to twardy chłopak.

– Nie mówię o Brunonie.

– Ja też nie.

– Przestań! Czytałam o tym dochodzeniu w sprawie korupcji.

Drgnął. Był pewien, że nie pisano akurat o jego sprawie, ta jeszcze się dobrze nie wyklęła, ale i tak połączenie przez żonę korupcji z jego osobą wywołało w nim lekki szok. Mogła coś wiedzieć?

– Wciąż kogoś oskarżają, nie przejmuj się. Nigdy nie brałem i nie biorę. Skąd ci to

w ogóle przyszło do głowy? Rozmawiałaś z kimś?

Pomyślał o funkcjonariuszach wydziału wewnętrznego. To była ich taktyka, nachodzić i nagabywać najbliższych. Udawać przyjaciół, wujaszków Dobra Rada, psychologów oferujących pomoc zbłąkanym owieczkom. Straszyć, grozić lub szantażować, w zależności od tego, co prognozowało najlepszy efekt.

– Nie, z nikim. Tak tylko się zastanawiałam... Liczyłam nasze wydatki, ale nie potrafię się w nich połapać. Ile ty tak naprawdę zarabiasz?

– Ja? A co to za pytanie? Nie płacą milionów, o to możesz być spokojna. Naprawdę mnie podejrzewasz?

– Nie, skądże. Ale...

– Ale co?

– Nic. Po prostu... nieźle nam się żyje z tej twojej pensji, a wszyscy naokoło się skarżą.

– I to powód do żalu? Staram się, przecież widzisz, jak dużo pracuję, ile mam nadgodzin. I co nas w ogóle obchodzą inni? Niech się zajmą swoimi sprawami.

– Dobrze, już dobrze. Po prostu się o ciebie martwię. O nas. Gdyby cię nagle zabrakło...

– Ciii, daj spokój. Nigdzie się nie wybieram.

Nie wierzył w przypadkowe połączenie ich sytuacji finansowej z doniesieniami o korupcji w marsylskiej policji. Drążenie tematu wywołałoby niepotrzebną awanturę, a i tak nie przyniosłoby pewnie większego efektu. Z drugiej strony gdyby wydział wewnętrzny złożył jej niespodziewaną wizytę, powiedziałaaby mu o tym. Nie mieli wobec siebie sekretów. Żeby przerwać niewygodną rozmowę, odszukał jej piersi. Sutki stanęły na baczność pod jego dotykiem, wierni żołnierze, na których mógł zawsze liczyć.

Przeturlała się i położyła na nim. Peleryna jej włosów zamknęła ich twarze w tytanowej klatce. Jej oczy stały się iskierkami lśniącymi w otwierającej się przed nim głębi, w wymiarze dostępnym wyłącznie dla niego. Tym razem jej podniecone, tajemnicze spojrzenie nabrało jednak dodatkowego znaczenia. Widział w nim tylko to, co zamierzała mu pokazać, drobny wycinek otchłani uczuć i myśli. Ukłuło go wrażenie niepewności. Sam skrywał kilka tajemnic, oszukiwał ją w pewnych sprawach od samego początku. Więc dlaczego ona nie miałaby czegoś przed nim zataić? Doskonale wiedział, że miłość nie ma z tym nic wspólnego, bywa równoległa do czynów. Im bardziej kochał Isabelle, tym silniej gotów był ją przed niektórymi sprawami chronić, nawet jeśli oznaczałoby to kłamstwo lub zbrodnię. Jeśli ona rozumowała w ten sam sposób...

Usiadła, nabijając się na niego z przeciągłym jękiem. Byli teraz jedną istotą. On był nią, a ona nim. A w takiej sytuacji potrafiła zamienić się z mężem miejscami, naśladować go. Chronić. Osłaniać siebie i dzieci.



Obudził się godzinę wcześniej niż zwykle. Słońce dopiero wychylało się zza pobliskich budowli, barwiło ściany odcieniem hiszpańskiej pomarańczy. Dokładnie rozpoznawał pojedyncze promienie wpadające przez okno do wnętrza sypialni, mieniły się jak pasemka włosów Isabelle rozrzuconych na poduszce.

Wykąpał się i bez śniadania pojechał do pracy. Ruch był jeszcze niewielki. Mijał głównie furgonetki dostawcze i zdezelowane auta źle opłacanych robotników spieszących na pierwszą zmianę do portu. A raczej do tego, co z tego portu zostało, bo większą część zaadaptowano na komercyjną dumę Marsylii, czyli centra handlowe i lśniąca biurowce. Przyszłością miasta, jak i całej Francji, ambitnie głoszoną przez polityków i przedstawicieli biznesu, miały być usługi. Najlepiej podsumował to radiowy komik w jednym ze swoich skeczów: nasza służba światu nagle zmieniła się w świat służby. Z dnia na dzień wszyscy staliśmy się sługusami.

Strażnik w bramie posłał mu zaspane, zdziwione spojrzenie, jakby obudził go z głębokiego snu. W biurach zastał tylko sprzątaczkę tępo wpatrzoną w okno wychodzące na północ. Nie ruszyła się nawet, gdy trzasnęła drzwiami swojego gabinetu. Zastygła jak kamień. Może też ciągle jeszcze spała.

Włączył komputer i natychmiast zalogował się do bazy danych przestępczości zorganizowanej. Zgodnie z sugestią Cipy wybrał lata 2008–2010 i gangi powiązane z rosyjską mafią. Wyniki zajęły prawie pięćdziesiąt stron, po kilkanaście trafień na każdej stronie. Zawęził poszukiwania do podpalen. Ciężko westchnął. Widocznie ten typ załatwiania spraw był bardzo popularny wśród wschodnioeuropejskich przestępców, bo na ekranie ciągle widniało osiemdziesiąt siedem spraw. Popatrzył na zegarek i wcisnął polecenie wydruku. Nawet pobieżne przeglądanie materiałów zajmie mu kilka godzin. Poranne podniecenie zamieniło się w zwątpienie i irytację. Udał się do kantyny, żeby zaparzyć kawę.

Po siódmej w drzwiach gabinetu stanęła dyżurna dyspozytorka z plikiem papierów w ręku. Tajemniczo zasłoniła nimi brodę i usta, opierając się o framugę. Gdyby miała na sobie szpilki i krótszą spódnice, wyglądałaby jak hiszpański trans z czerwonej dzielnicy Madrytu, w desperacji oferujący promocyjny numer. Z napięciem oczekiwała odpowiedzi na niezadane pytanie.

– Nie! – zakomunikował Claude, wskazującym palcem ucinając wszelką dyskusję.

– Jesteś w tej chwili najstarszy stopniem. A po drugie, to twoja sprawa, o ile się nie mylę.

Inkwizytor.

– Kto?

– Inkwizytor, tak go ochrzciła prasa. Nie czytasz gazet?

Pokręcił głową. Musiał wyglądać żałośnie z wyrazem błagania wyrysowanym zmarszczkami na czole, bo kobieta przewróciła z rozdrażnieniem oczami. Rzuciła mu papierki na biurko i odmaszerowała w swoich regulaminowych lesbijskich butach. Bez nadziei, że jakkolwiek mężczyzna mógłby śledzić ją wzrokiem, poprawiła sobie na tyłku gumkę od majtek. Gdyby była facetem, na pewno drapałaby się po dupie bez cienia wstydu.

Claude zerknął na pierwszą stronę i oparł głowę na dłoni. Wygrzebał spod sterty papieru komórkę i wybrał numer.

– Wyjechałeś już z domu, Rais? Jeszcze nie? To dobrze. Zagęszczaj ruchy i jedź na południe. Vieille-Chapelle, znajdziesz na miejscu mundurowych. Następny smoluch.

Z zacięciem powrócił do przeglądania wydrukowanych raportów z dochodzeń. Najczęściej pojawiały się podpalenia sklepów i samochodów, ewentualnie poparzenia związane ze stosowaniem tortur. Żeby przyspieszyć pracę, ograniczył się do metody działania przestępców, dzięki czemu do ósmej zdołał przejrzeć wszystkie raporty. Zaledwie kilka przestępstw pasowało do kryteriów poszukiwań. Były jednak na tyle przypadkowe i ze sobą niepowiązane, że nie



tworzyły jakiegokolwiek wzoru. Zniechęcony złożył papiery i wsunął je pod biurko, pozostawiając na wierzchu tylko kilkanaście wydruków. Najwyraźniej Cipa sobie z niego zakpił, kawał nieźle mu wyszedł. Ciekawe, w czym jeszcze sobie pogrywał. Być może na tyle zdołał się ułożyć z wydziałem wewnętrznym, że nie potrzebował już wtyków w kryminalnym, spokojnie mógł pozwolić sobie na wodzenie kapitana policji za nos. Miał doskonałą okazję, by po latach powetować sobie straty moralne z młodości. Pod tym względem Środowisko było jak kobieta, nie zapominało nigdy.

Zawołał przechodzącego korytarzem nielata, którego przydzielili mu niedawno do zespołu, i wysłał po żarcie. Jak tylko wyparowała z niego poranna adrenalina, żołądek skurczył się z głodu. Zamierzał wyładować się na Armandzie, ale ten trzymał w pogotowiu gotowy raport z działań śledczych. Zdając ustną relację z poprzedniego dnia, zadarł brodę wyżej niż Duce, pewnie miał nadzieję skończyć dużo lepiej. I wyżej, stanowisko kapitana mogło się w każdej chwili zwolnić. Rais nie miał szansy na awans ze względu na pochodzenie, chociaż był lepszym gliniarzem. W policji rzadko jednak chodziło o jakość, najważniejsze były układy.

Wygłosił nieudaną gadkę umoralniającą i rozdał zadania. Wrócił do siebie. Czekał na informacje od Raisa, na śniadanie, na rozwój wydarzeń i na dywanik u szefa. Czekanie zawsze doprowadzało go do furii, był niecierpliwy. Wolał działać, ale utknął w biurze jak w ciasnym zaułku. Drzwi były tylko jedne, a możliwych kierunków rozwoju wydarzeń wiele. Wyjrzał przez okno. Widok, który podziwiała przed dwiema godzinami sprzątaczką, niewiele się zmienił. Katedra oślepiła teraz odbitym słońcem, rozciągająca się za nią zatoka otwierała lazurowy horyzont. Katalogowe piękno, od którego on był odizolowany czarnym metalowym płótem. Poczł się niczym więzień czasu, którego uratować może tylko następny dzień. A wskazówka zegara stała w miejscu.

Z korytarza dobiegł go nagły hałas. Zaroilo się od funkcjonariuszy. Posterunkowy ze śniadaniem ledwo dopchał się do gabinetu kapitana, nie potrafił odpowiedzieć na zadane pytanie. Claude kazał mu zamknąć drzwi i zaczął pochłaniać kanapki. Intuicja podpowiadała mu, że wyczekiwane zdarzenie nadeszło. Ledwo zdążył włożyć do ust ostatni kęs i zapić kawą, tłum rozstąpił się i w przeszklonych drzwiach ukazał się Fabio Montale w okularach przeciwsłonecznych na łysiejącym czole. Spływające komisarzowi z twarzy krople potu kapwały na niebieską koszulę, pozostawiając granatowe zacieki.

Claude pomylił się, tym razem dywanik przyszedł do niego.

– Co ty tu jeszcze robisz, Aryan?

– Właściwie...

– Właściwie to cię tutaj nie ma, wiem. Zbieraj tę całą hałastrę i w miasto, zachodnia cywilizacja cię potrzebuje.

– Co?

– Gównu, Claude, idziesz na wojnę, barbarzyńcy u bram! Co się tak gapisz, nie słuchasz radia?

– Radia? Ja mam świeżego trupa na plaży...

– Zaraz będziesz miał cały cmentarz trupów, jak nie ruszysz dupy z za tego biurka. Do roboty, raz, raz!

Komisarz zniknął w zamieszaniu, a do gabinetu wpadł podekscytowany porucznik Douis, zapinając kamizelkę kuloodporną.

– Mamy rozkaz wyruszyć do akcji, szefie, ogłosili pospolite ruszenie. Mohamedy zlążą z gór, zamierzają wziąć centrum siłą. I pewnie, cholerni brodacze, wprowadzić prawo szariat.

Kapitan dopiero teraz uzmysłowił sobie powód alarmu. Musiały rozpocząć się dawno zapowiadane demonstracje przeciwko ograniczeniom wolności religijnej muzułmanów. Nie

o takim zdarzeniu myślał, czekając na rozwój sytuacji.

– Przydzielili nam rewir niedaleko merostwa, będziemy wspierać prewencję.

Znikł, a w drzwiach pojawił się Coq – Kogut, czyli podporucznik Avery. W obszernej kamizelce kuloodpornej wyglądał jak wychudzony żółw w skorupie po starszym bracie i doklejonym dla jaj irokezie. W chudych ramionach dzierżył śrutówkę. Fachowo przeładował ją w powietrzu, trzymając jedną ręką za rurę magazynku.

– Jesteśmy gotowi do boju, szefie.

Claude przeklął głośno. Brakowało mu tylko wojny.

Zerwała się z krzesła. Trzymaną w ręku kanapką rzuciła o drzwiczki szafki kuchennej. Bagietka rozpadła się, wypływając ze środka masę siekanych warzyw i kilka podłużnych plasterków szynki. Ślad po majonezie przypominał wymioty.

– Niech cię szlag, Patrick! – krzyknęła, waląc drobnymi piąstkami w stół.

Wybiegła z kuchni i zatrzymała się przy drzwiach wyjściowych. Odbezpieczyła zamek, ale po chwili wahania przekreśliła gałkę na powrót. W pierwszym impulsie zamierzała pójść kupić gazetę z nadzieją, że jej internetowa wersja kłamie, a papierowe wydanie „Le Méditerranéen” zawiera jej wczorajszy felieton. Cofnęła się do kuchni i usiadła przed komputerem. Strach był silniejszy od wściekłości. Tym bardziej że przed paroma minutami usłyszała pod oknem melodię *Marsylianki* śpiewaną piskliwymi głosami kilku podrostków. Gromadzili się w bandy i kierowali pod stadion, skąd ruszyć miała kontrdemonstracja. Internet aż kipiał od odezwo i nawoływań do walki. Jeśli tego dnia nie wybuchnie wojna, księża chyba ogłoszą dzień cudu.

Cholerny, tchórzliwy dziad! Patrick Battiston nie wydrukował jej artykułu, choć przesłała mu znacznie złagodzoną wersję materiału zamieszczonego w internecie. Nawet umiarkowanie lewicowe poglądy zaczęły być zbyt radykalne, podczas gdy prawica wytoczyła najcięższe działa. Niepotwierdzony przeciek policyjny o żywcem palonych ludziach natychmiast został zestawiony z podobnymi doniesieniami z wojny syryjskiej. Rozmazane zdjęcia z domniemanych miejsc zbrodni, które na dobrą sprawę mogły przedstawiać wszystko i nic, prezentowano obok doskonałej jakości ujęć z propagandowych egzekucji przeprowadzanych przez ISIS, a te z tabunami uchodźców. Obrazy rzeczywiście wywoływały ciarki. Ale jeszcze bardziej przerażały towarzyszące fotografiom nagłówki gazet. Najbardziej medialne było chyba *Barbarzyńcy u bram*. Goebbels mógłby się wiele nauczyć.

Céline otworzyła okienko Facebooka. Jej profil tonął w natłoku postów. Komentarze na stronie internetowej wyłączyła z samego rana. Ich liczba groziła unieruchomieniem serwera. Z zewnątrz dobiegł gromki krzyk kilkudziesięciu męskich głosów przypominający skandowanie piłkarskich haseł. Podeszła do okna. Widoczny z jej mieszkania fragment głównej ulicy zalany był tłumem ciemno ubranych mężczyzn wymachujących szalikami Olympique i reprezentacji Francji. Pobiegła do salonu po aparat, sfotografowała skrzyżowanie z maksymalnym zbliżeniem. Na ujęciu doskonale widać było wirujące szaliki i kilka twarzy z rozwartymi w śpiwnym wrzasku ustami. Procesji przyglądała się przytulona do ściany staruszka z reklamówką z Carrefoura. Jej usta ściśnięte były niemym strachem.

Céline wrzuciła zdjęcie na konto Twittera, skomentowała je parafrazą gazetowego nagłówka: *Fala barbarzyństwa zalewa Francję. Pamięć odżywa*.

Natychmiast zabrała się do redagowania wpisu na stronę. Nieważne, że straciła swoją kolumnę w „Le Méditerranéen”, wciąż mogła wyrażać poglądy, a liczba jej czytelników lawinowo rosła. Nieważne, że w większości byli to hejterzy i jej przeciwnicy. Stawała się z każdym dniem bardziej atrakcyjna. Wpływy z reklam pewnie wzrosły trzykrotnie, musiałaby sprawdzić. A w takim przypadku nie tylko zarobi na niezłe życie, ale i zaoszczędzi na przyszłość.

Z tego punktu widzenia niczym nie różniła się od brukowych hien, chaos jej sprzyjał. Mimo że jej dziennikarstwu przyświecało prawo prawdy, nie zamierzała stronić od prawa skandalu. Potrafiła wykorzystać i jedno, i drugie.

*Dzisiaj przez miasto przetaczają się dwa kataklizmy. Z gór spada lawina, a od morza zalewa nas fala tsunami. Hannibal nie stoi u bram, lecz dawno opanował nas od środka. Nie przybył z Afryki czy Azji, żeby nas zwasalizować, tkwi tutaj od dawna. To my staliśmy się barbarzyńcami. Wystarczy wyjrzeć przez okno, przypatrzeć się rzekom patriotów zalewających ulice, posłuchać ich mowy. Chcą odbierać prawa, zamykać w gettach, mordować i niszczyć. Aż kipią agresją i żądzą krwi. Brunatne oddziały zdyscyplinowanych nazistów były wobec nich ideałem cywilizacji i kultury. To ich powinniśmy się tak naprawdę obawiać.*

*Środowiska muzułmańskie domagają się tylko praw, które im odebrano. Reagują na atak, bronią się. Wznoszą hasła demokratyczne i republikańskie. To oni odwołują się do rewolucyjnej historii Francji, w ich ustach Marsylianka brzmi prawdziwie. Niech nam się nie myli konsekwencja z motywem. Nie wygramy tej wojny, którą staramy się wywołać. Zwycięży w niej barbarzyństwo, przegra cywilizacja.*

Wyemitowała wpis i spokojnie dopiła kawę. Poczowała pustkę, która zawsze towarzyszyła przelaniu emocji na papier. Zupełnie jakby się wyplakała, skopała worek treningowy lub rozbiła komuś szklankę na głowie. Jej mózg był jednak jak gąbka, chłonał wszystkie pojawiające się impulsy, zasysał wiadomości jak próżnia, błyskawicznie wypełniał się nowymi myślami.

Donesienia o prowadzonym przez policję dochodzeniu w sprawie palonych ofiar poruszyły w niej czułą strunę. Nie specjalizowała się w kronikach kryminalnych, ale intuicja zazwyczaj wiodła ją w dobrym kierunku. Teraz podpowiadała jej, że powinna powęszyć. Ogień, ludzie, rytuały i religia układały się w całkiem interesujące równanie.

Jeśli nie znajdzie lepszego tematu, postara się je rozwiązać.

Potok ludzi wylał się zza zakrętu niczym pierwsza fala powodzi. Tłum natychmiast wypełnił ulicę po brzegi, lampy sterczały kikutami starego falochronu, samochody zniknęły jeden po drugim. Chwila dostojnej ciszy, która towarzyszyła pojawieniu się czoła pochodu, pękła od gromko wykrzyczanego hasła. Demonstranci skandowali na zmianę: „Marsylia – nasze miasto” i „Jesteśmy Francuzami”. Dźwięk grzmiał echem w zamkniętej z trzech stron przestrzeni, zamieniał się w harmider, zanim ulotnił się w niebo. Gdyby miał wygląd, byłby gęstym, brunatnym dymem.

Widok maszerujących, krzyczących demonstrantów uzbrojonych we francuskie flagi na świeżych drzewcach, tabliczki i transparenty z politycznymi hasłami skojarzył się Isabelle z komiksem z „Charlie Hebdo”, który widziała na okładce ostatniego numeru wystawionego na stojaku w hipermarkecie. Nie brała tego szmatławca do ręki, ale obrazka nie sposób było nie zapamiętać. I nie uśmiechnąć się, mimo jego okrucieństwa i złego gustu, nawet wbrew sobie. Grupa ludzi o różnym pochodzeniu etnicznym w obrażonych pozach stała pod gmachem rządu. Napis głosił: „Nie zgadzamy się na taką Francję!”, a poniżej inną czcionką dopisano: „Zasiłki są zdecydowanie za niskie”.

Czoło pochodu zbliżało się w dziwnie zwolnionym tempie. Wpatrywała się w tych ludzi jak zahipnotyzowana, w rysującą się na twarzach pasję, wiarę w głoszone wartości. Nienaturalnie wielkie białka oczu rysujące się na czarnym tle hidżabów, burek i zarośniętych policzków rzucały błyskawice, zdawały się patrzeć ogniem. Dopiero uruchomiony alarm jakiegoś samochodu wyrwał ją z szoku. Stała przy krawędzi chodnika. Do salonu fryzjerskiego zostało jej jakieś dwadzieścia metrów. Zdążyłaby, gdyby zaczęła biec. Ruszyła, ale w drzwiach salonu pojawiła się młoda dziewczyna w firmowym kitlu, przekręciła klucz, z góry opadły rolety antywłamaniowe.

– Stój! – krzyknęła Isabelle, machając ręką. – Jestem umówiona na jedenastą!

Zwolniła po kilku krokach, salon fryzjerski odgrodził się od niej ścianą metalowych paneli. W przyływie paniki rozejrzała się po ulicy. We wszystkich lokalach jak na komendę w pośpiechu zabezpieczano witryny i drzwi wejściowe. Kilku przechodniów uciekało w panice, jakiś mężczyzna w garniturze wskoczył do mercedesa i cofał na pełnym gazie, dwie starsze kobiety nawoływały się z okien kamienic. Ratował się, kto mógł. Ewakuacja przywodziła na myśl zbliżającą się klęskę żywiołową, a nie zorganizowany pochód.

Isabelle podbiegła pod ścianę i wcisnęła się w odrzwia z bloczków podniszczonego kamienia. Nacisnęła klamkę i zakolatała pięścią w drzwi, ale nikt nie zamierzał otwierać, wpuszczać jej do środka. Nawet się nie zdziwiła, zaskoczyłaby ją inna reakcja. Nie oczekiwała od nikogo pomocy i nikogo nie winiła, że nie próbował jej pomóc. Przyłgnęła do chłodnej ściany i ścisnęła torebkę, jakby ktoś mógł jej ją w każdej chwili wyrwać. Przymknęła oczy, w duchu ganiąc swoją głupotę. Dlaczego akurat tego dnia musiała wybrać się do fryzjera? Przecież media huczały od samego rana na temat planowanych protestów, ostrzegały przed możliwymi utrudnieniami w komunikacji, straszyły rozruchami. Histeryczne wypowiedzi lokalnych polityków o nadchodzącym konflikcie skwitowała uśmiechem politowania. Teraz jednak lęk udzielił się również jej. Płynąca ulicą ludzka masa była na wyciągnięcie ręki, Isabelle w każdej chwili mogła zostać wessana w odmęt, utonąć w kipiących czeluściach.

Drgnęła, kiedy tuż przy jej głowie rozległ się ostry kobiecy krzyk. Podniosła powieki, natychmiast trafiając w spojrzenie wielkich, pięknie umalowanych oczu. „Jestem Francuzką!”, komunikowała kobieta piskliwym wrzaskiem, jakby zamierzała w ten sposób uciszyć mogące się pojawić przeczenia. Nie widać było ust pod płachtą burki, ale wzrok wyrażał więcej niż jakiegokolwiek słowa. Przytaknęła posłusznie, na co mużmanka cofnęła się i znikła w tłumie. Isabelle zrobiło się niedobrze, zwiotczałe kolana ugięły się. Usiadła, przyciągając nogi to piersi, skuliła się jak wystraszone dziecko. Zdrowy rozsądek spokojnym głosem powtarzał, że nie spotka jej nic złego, przecież każdy ma prawo do protestu, wyrażania poglądów. Emocje były jednak ze strachu i furii. Bała się tych ludzi gotowych walczyć o swoje, nie chciała ich tutaj.

Pierwszy raz w życiu tak wyraźnie zapragnęła, żeby ktoś zamknął ich w niewidocznym miejscu, wytoczył granice i wzniosł zabezpieczający mur. Pierwszy raz nienawiść do obcych była silniejsza niż nienawiść do siebie spowodowana brakiem empatii i siły do walki o sprawiedliwość. Nie chciała już sprawiedliwości, chciała spokoju.

Drżącymi rękami wyciągnęła z torebki telefon, wybrała numer męża. Po kilku sygnałach usłyszała jego głos, w tle rozbrzmiewał szum skandujących ludzi, jakby aż tam dochodziło echo przepływającej obok niej demonstracji. Uzmysłowała sobie, że przecież on też uczestniczy w tych wydarzeniach, pewnie postawili go na pierwszej linii obrony. Jest policjantem i ryzykuje znacznie więcej od niej. Nie ma innego wyjścia, to jego praca, jest w samym centrum zdarzeń. Ona sama prosiła się o kłopoty, zachowała się jak tępą, rozwydrzona gówniara, której wszystko wolno. W chwili gdy jedni ludzie walczą o swoje prawa, a inni bronią porządku, ona wybrała się do fryzjera.

– Halo, kochanie, co się stało? Jesteś tam?

Krzyczał do słuchawki zagłuszany wrzaskami na zewnątrz. Wyobraziła go sobie w hełmie i kamizelce kuloodpornej, z pistoletem w dłoni, naprzeciwko sunącej ulicą lawiny dziesiątek tysięcy ludzi. Poczowała zbierające się w kącikach oczu łzy, przygryzła wargę.

– Nic, najdroższy, chciałam tylko zapytać, czy wszystko w porządku.

– Co? Co to za hałas, gdzie ty jesteś?

– Nigdzie, w domu, włączyłam radio. Na razie, cześć.

– Cześć!

Schował komórkę. Słyszał tylko co drugie słowo i nie bardzo potrafił złożyć pojedyncze sylaby w całość, ale żona zdawała się wystraszona. Mówiła coś o radiu, więc pewnie zaniepokoiły ją doniesienia z miasta. Mimo tego jej telefon go zdziwił. Rzadko dzwoniła do niego w godzinach pracy, uważała to za przekraczanie granicy jego policyjnego świata, którego tak nienawidziła. Naprawdę musiała się martwić, skoro złamała swoją własną zasadę.

Demonstracja jak do tej pory przebiegała bez większych problemów. Choć niezapowiedziana i nielegalna, była całkiem niezłe przygotowana. Służby porządkowe złożone z młodych mężczyzn panowały nad tłumem, nie dochodziło do zbyt wielu ekscesów. Kilka zniszczonych sklepów i samochodów to w takich sytuacjach normalka. Zdziwiłby się, gdyby niczego nie zdemolowano. Widocznie organizatorom zależało na wizerunku, przecież to oni w tej chwili uznawali się za obrońców demokracji i republiki, musieli zachowywać się cywilizowanie.

Zaimprovizowane w furgonetce prewencji centrum kontaktowe skrzeczało zakłóceniami w komunikatach z krótkofalówek. Kordon funkcjonariuszy z tarczami bronił dostępu demonstrującym, na tyłach rozłożyły się posiłki z karabinami na gumowe kule i grupa antyterrorystyczna wyglądająca jak desant z innej planety. Ludzie kapitana kręcili się bez celu i konkretnego zajęcia, kilku posterunkowych siedziało na krawężniku i grało w karty, Rais schował się w cieniu i grzebał w komórce. Tylko porucznik Douis przechadzał się z przydupasem tuż za plecami prewencji na pierwszej linii, z zaangażowaniem wykrzykując jakieś uwagi i komentarze, jakby co najmniej dowodził jednostką. Jak na falsyfikat Duce przystało.

Claude przyjrzał się automatom zwisającym z ramion agentów grupy taktycznej. Bez wątplenia załadowane były ostrą amunicją, podobnie jak broń jego podwładnych. Będą strzelać? Pytanie było równie głupie, jak zasadnicze. Czy jeśli demonstrujący przerwą kordon i wtargną na chroniony teren wokół merostwa, otworzą ogień? Co jest ważniejsze, rozkaz czy własne sumienie? Życie ludzkie czy godność władzy? Kiedy służył w wojsku, nie zadawał sobie takich pytań, kwestie były zbyt oczywiste. Zresztą wtedy nie znalazł się w podobnej sytuacji, a misje ONZ poza granicami kraju, w których uczestniczył, były wyjątkowo spokojne. Wystarczało, że w miejscu zapalnym pojawiała się kolumna wozów opancerzonych w błękitnych barwach, a konflikt przygasał. Sama ich obecność budziła szacunek, żadna ze stron konfliktu nie chciała ryzykować zatargu z siłami pokojowymi ani związanych z tym konsekwencji politycznych.

Tu było zupełnie inaczej. Sama obecność policji powodowała wzburzenie, jak czerwona płachta rozwinięta tuż przed oczami rozjuszonego byka. Dotknął rękojeści pistoletu. Wczoraj niewiele brakowało, a strzeliliby do nastolatka. Najchętniej pozbyłby się broni, żeby go nie korciła, bo następnym razem może nacisnąć spust. Nie chodziło już o sytuację ostateczną, zagrożenie życia lub zdrowia, ale o jego kondycję psychiczną. Strzeliliby, bo tego podświadomie pragnął.

W kieszeni zaburczała komórka. Nieznany numer. Odebrał, zasłaniając drugie ucho otwartą dłonią. Mężczyzna się nie przedstawił, głosu też nie znał. Wyglądało to jak anonimowy cynk, ale Claude doskonale wiedział, kto stoi za przekazaną mu informacją. Schował telefon i podszedł do porucznika Taidera.

– Muszę się stąd na chwilę urwać, Rais, daj mi kluczyki.

– Co? Teraz?

– Muszę coś sprawdzić. W razie czego dzwoń. Jakby ktoś pytał, dostałem sraczkę.

Porucznik wzruszył ramionami i wrócił do gmerania przy klawiaturze telefonu.

Wyglądało to tak, jakby zdawał komuś bieżącą relację z wydarzeń lub robił notatki. Bardziej niż policjanta na posterunku przypominał w tym działającego pod przykrywką dziennikarza. Lub szpiega.

Kapitan wszedł do peugeot i ruszył z piskiem opon. Cały kwartał miasta był zamknięty,

więc pędził jak na ćwiczeniach w miasteczku treningowym. Bez problemu przejechał przez ostatni posterunek policji, za którym od razu wpadł w korek. Wschodnie dzielnice były stosunkowo spokojne, więc tam skierowano objazdy. Kierowcy wściekali się, co chwila krzycząc i wygrażając innym, klaksony aut zdawały się prowadzić równoległy dialog, jazgotliwą kłótnię. Kiedy Claude wcisnął się srebrnemu golfowi przed zderzak, kierowca wychylił łysy łeb przez okno i wrzasnął. Brak reakcji wywołał w nim furję, z auta wyskoczył tłuszcioch z rękawami koszuli podwiniętymi do połowy ramion, gotowy dać komuś po pysku.

Włączony kogut policyjny utemperował kierowcę golfa: wrócił do auta i tam kontynuował monolog. Claude dla zwiększenia efektu uruchomił syrenę. Mozolnie, ale skutecznie wbijał się klinem w rzędy unieruchomionych samochodów. Po dziesięciu minutach udało mu się przecisnąć przez główną ulicę, dalszą drogę przebył ciasnymi zaułkami i podwórkami. Po półgodzinie dojechał na miejsce. Radiowóz zostawił w bezpiecznej odległości, odpiął kaburę, a broń wsunął za pasek spodni na plecach. Wzorem dzielnicowego gangstera.

Warsztat, którego szukał, wyglądał dokładnie tak, jak go sobie wyobraził. Jak dziesiątki podobnych biznesów rozsianych po starej części Marsylii, przerobionych zakładów rzemieślniczych i magazynów, do których przyklejono wrota z blachy falistej, a ubytki tynku flekowano bezkształtnymi kleksami betonu. Syf z wnętrza warsztatów wyciekał na zewnątrz, zalewając najbliższe chodniki i jezdnie spalonym olejem, benzyną i ropą, a pod ścianami pięły się sterty zużytych części zamiennych, śmieci i szmat. Kilka stuczonych aut wepchnięto na ciasne podwórko, gdzie niemal całowały się lusterkami, corsa wisiała w powietrzu trzymana ramionami windy, na drugim stanowisku chudy mechanik w kombinezonie z odpiętą i dyndającą do kolan górą babrał się w silniku picassa z zadartą maską.

Nikogo innego nie było widać. Claude wślizgnął się do środka i zajrzał do biura. Grało radio, na stoliku stała prawie nieruszona kawa. Ktoś musiał zaparzyć ją przed minutą. Wszedł w drugie drzwi i korytarzem dotarł do magazynku na części. Na stalowych regałach stały pudełka i puszki, w rogu kilkanaście pustych butelek. Korpusy pocisków zapalających. Wszystko wskazywało na to, że człowiek Cipy dał mu prawdziwe informacje – warsztat był bazą wypadową Ruskich. Wystarczyło tylko znaleźć Jurija.

Pożałował, że nie wziął ze sobą Raisa. Albo choćby któregoś z młodych. Przydałby się ktoś do pilnowania pleców. Cofnął się na korytarz, za oszklonymi drzwiami usłyszał szum spuszczonej wody. Wyciągnął pistolet, szarpnął za klamkę i wpadł do łazienki. Przysadzisty blondyn z sumiastymi wąsami zapinał spodnie. Zanim wykrztusił słowo, ukląkł od uderzenia kolbą w szczękę. Pomieszczenie było tak ciasne, że mężczyzna wypadł na zewnątrz, tarasując częściowo przejście. Buchający ze środka smród zatykał nos, był jak reakcja obronna skunksa na zagrożenie życia. Claude przypiął nieruchome ciało kajdankami do rury i wrócił do hali warsztatu. Akurat w momencie, gdy trzeci mężczyzna wskakiwał do stojącego po drugiej stronie ulicy ford. Zniknął, wzbijając za sobą tuman kurzu, spalin i dymu palących się opon. Kapitan wybiegł za nim i wycelował w tylną szybę. Przechodząca chodnikiem starsza kobieta puściła siatki z zakupami i uniosła ramiona. Ciągle pewnie pamiętała wojnę.

Claude opuścił broń i wrócił do hali. Chudy mechanik stał przed naprawianym picassem z rękami upapranymi po łokcie w smarze. Zerknął na wystającą ze skrzynki narzędziowej łyżkę do ręcznego ściągania opon, mierzył dystans.

– Nawet nie próbuj. – Claude schował broń. Z takim chuchrem, nawet uzbrojonym w żelastwo, poradziłby sobie gołymi rękami. – Kto tutaj rządzi?

Mężczyzna wskazał brodą pomieszczenie biurowe. Schorowana, zapadła twarz nie wyrażała teraz nic poza pragnieniem ucieczki. Kapitan nie miał drugiej pary kajdanek, a nie zamierzał bawić się w zbędne aresztowania. Na posiłki nie było szans, więc postanowił

skoncentrować się na blondynie z kibla.

– Nazwisko!

– Andriej Szewczalenko.

Nawet nie próbował powtórzyć. Kazał mężczyźnie spierdalać i wrócił na zaplecze warsztatu. Wąsacz przebudził się i wolną ręką próbował zapiąć spodnie, żeby zachować chociaż odrobinę godności. Jakby zwisający fiut był ważniejszy od krwawiącej gęby. Claude nachylił się nad leżącym mężczyzną.

– Jestem z policji, prowadzę dochodzenie w sprawie podpaleń ludzi. Słyszałeś, trąbili o tym ostatnio w prasie. Nie? Nie rozumiesz, co mówię?

Podniósł się i kopnął wąsacza w niezapięty rozporek. Ten zawył z bólu, z rozdziawionych ust chlusnęło krwią.

– Możesz być lojalny i beknąć jako główny sprawca, dożywocie jak nic. I gównu mnie obchodzi, czy to zrobiłeś, czy nie, ja potrzebuję ofiary, nie sprawcy. Albo szybko nauczysz się francuskiego i mi opowiesz o swoim szefie. Wpierdol i tak dostaniesz, od ciebie tylko zależy, czy mniejszy, czy większy. Wybór należy do ciebie.

Mężczyzna poruszył ustami, przecięta warga rozchyliła się i po brodzie pociekła mu kolejna strużka krwi, wyrysowując na białym T-shircie roślinny kształt.

– Co mówisz?

– Dogadamy się.

Z poziomu szesnastego piętra sunąca boulevard de la Libération demonstracja wyglądała jak czarny cętkowany wąż, który wdarł się na tekturową makietę miasta. Ludzie wielkości dziecięcych żołnierzyków uciekali przed nim w popłochu, znikali w imitacjach budynków lub w zabawkowych resorakach, których długie, nieruchome rzędy odchodziły od zaatakowanej ulicy niczym potoki wielokolorowych klocków. Z daleka wyglądało to tak nierzeczywiście i odległe, że tkwiącym w oknach korporacyjnym szczyrom nudziło się już po paru minutach, absorbowało mniej niż wypalenie kolejnego papierosa. Po leniwych komentarzach i głupkowatych uwagach wracali do mikroskopijnych ojczyzn ciasnych boksów, gdzie mogli odetchnąć z ulgą. W reżimie korporacyjnego kieratu czuli się bezpiecznie i pewnie. Większość wołała śledzić rozwój wydarzeń w mediach, internet dostarczał dużo więcej rozrywki niż życie. Gdyby osądzać sytuację na podstawie dziennikarskich doniesień, koniec świata byłby niczym w stosunku do kataklizmu, który nawiedził miasto.

– Mówią, że będzie wojna – stwierdził notariusz, żeby przerwać przedłużającą się ciszę.

Nie miał zamiaru przeznaczać na klienta więcej niż standardową godzinę, a pierwsze piętnaście minut upłynęło na grzecznościach i obserwowaniu zająć.

– Wojna? Jak ją wywołamy, to będzie. Ostatnio nieźle nam to wychodzi, zaczynamy mieć wprawę.

– My?

Starszy mężczyzna z wyrazem zdziwienia na pociągłej twarzy spojrzął przez ramię na siedzącego za biurkiem notariusza. Fizycznie byli przeciwnościami. Prawnik był pękaty i prawie łysy, pucułowatość policzków podkreślały dziwaczne okrągłe okulary, które pewnie miały być oryginalne, a wyglądały komicznie, jakby wciąż wybałuszał oczy ze strachu lub ciągłego niedowierzania. Jego klient był wysoki i szczupły, z gęstą czupryną siwych włosów. Światopoglądowo też najprawdopodobniej stali po przeciwnych stronach barykady. Nie było więc sensu rozpocząć dyskusji.

Starszy mężczyzna ponownie zapatrzył się w okno.

– Ma pan stąd piękny widok. Widzi pan tę kamienicę na rogu? Mieszkała tam pewna dziewczyna, Adèle. Piękne, czarne, długie włosy prawie do pasa. Kiedy zawiewał wiatr, falowały

niczym czarny welon. Taki jakie noszą stare Włoszki z południa, wie pan? Nie? W każdym razie lubiła przesiadywać na tarasie od strony podwórka, czytała książki, coś notowała w zeszycie... Nie wiem, chyba pisała pamiętnik. Może wiersze? Co jakiś czas stawała przy balustradzie i wystawiała twarz na słońce. Jej skóra lśniła w oprawie włosów jak biała muszla na wulkanicznej skale. Była nierzeczywista jak syrena, nierealna niczym zjawisko, czasami zdawało mi się, że jest wytworem wyobraźni. Do tego stopnia, że bałem się jej nawet pomachać, choć obserwowałem ją z okna mieszkania kumpla prawie każdego dnia. Tylko po to do niego przychodziłem, żeby sobie popatrzeć. On był jeszcze bardziej onieśmielony niż ja, nawet nie fantazjował, w końcu to mnie uznawano za podrywacza. Ale romantycznego, zawsze bardziej interesowała mnie miłość do dziewczyny niż sama dziewczyna. Rozumie pan?

Notariusz sugestywnie spojrział na zegarek i zaczął przesuwac papiery na biurku, jakby udawał pracę przed swoim szefem, który złożył mu niespodziewaną wizytę.

– Tak, tak, romantyczny podrywacz, jak Alain Delon. Nie zechciałby pan może przejść do interesów?

– I tak ją obserwowałem, rozważałem scenariusze i możliwości, snułem marzenia.

I w końcu natknąłem się na nią przypadkiem w kawiarni. Takiej zwykłej budzie nad morzem, których kiedyś było pełno. Przesiadawali tam z nudów, bo rzadko mieliśmy pieniądze na kawę. Kiedy nas przeganiali, zmienialiśmy miejscówkę, i tak przez cały czas. I w takiej speluncie ją zastałem. Woda zalatywała zgniłymi rybami, mewy zagłuszały rozmowy, a starzy bywalcy czytali gazety lub grali w belotkę. Była z chłopakiem, na którego mówiono Escargot – Ślimak, taki był obślizgły i niekształtny. Nie należał do żadnej paczki, bo nikt go nie chciał. Szkoda było buta, żeby kopnąć go w dupę. Kompletny nikt. I ona z nim przyszła na kawę, obściskiwali się i całowali, nie zwracając uwagi na resztę świata. Piękna i bestia, jak z filmu. A wie pan dlaczego?

– Tak bywa, życie. Ale leci czas, a następny klient...

– On jedyny traktował ją jak człowieka. Jak dziewczynę z sąsiedztwa, nie nimfę z bajki.

Zgrywała się, to pewne, ale to on przeżył przygodę swojego życia, nie ja. Zobaczyć Neapol i umrzeć...

Mężczyzna niechętnie odwrócił się od okna i podszedł do biurka. Ciężko usiadł na krześle i upił niewielki łyk whisky z kryształowej szklanki. Na kilka sekund zapatrzył się w bursztynowe dno naczynia, po czym podniósł wzrok na notariusza. Niespodziewanie trzeźwe i ostre spojrzenie.

– Zapoznał się pan z dokumentami?

Notariusz kiwnął głową z taką intensywnością, że cały zafalował jak łóżko wodne.

Mężczyzna tak właśnie mu się przyglądał, jakby był wypełniony czymkolwiek, tylko nie walorami ludzkimi.

– Mam kilka sugestii, jeśli zechciałby pan...

– Do korespondencji dołączyłem wyraźne instrukcje.

– Oczywiście, tylko ludzie w tej chwili wyjątkowo rzadko przekazują majątek na taki cel, więc sugerowałbym...

– Lokatę w którymś z rajów podatkowych? Inwestycję w opcje bankowe, żeby nie płacić podatku?

Nienaturalnie powiększone okularami oczy notariusza skurczyły się do wielkości szparek, w których źrenice błyszcząły diodami ostrzegawczymi.

– Rynek zmierza w kierunku intensyfikacji zysku przy jak najmniejszych kosztach. Niby dlaczego ludzie mieliby się z kimś dzielić zebrany majątkiem? To chyba zrozumiałe.

Starszy mężczyzna przytaknął i dopił resztę whisky ze szklanki.

– Dobra. Wlicza pan w koszt usługi jedną czy dwie miarki szkockiej? Zresztą nieważne,



z takimi jak pan kiedyś nawet nie usiadłbym do stołu, co dopiero pić z jednej butelki. Nigdy nie miał pan marzeń o lepszym, sprawiedliwszym świecie? O równości?

Tym razem gałki oczne notariusza przekroczyły wielkością oprawki okularów. Mężczyzna miał rację, różnili się od siebie bardziej niż istoty z odległych planet zbudowane z zupełnie innych pierwiastków. Prawnik powstał na pewno na bazie złota.

– Wybacz mi pan, gadanie staruszka. Jak mówiłem, część majątku przeznaczam dla wyszczególnionych organizacji, resztę rodzinie. Wnukom. Gdzie mam podpisać?

Notariusz z ulgą podsunął klientowi dokumenty i wskazał wykropkowane miejsce. Testament został sporządzony i urzędowo potwierdzony. Mężczyzna wyszedł bez pożegnania, a po kilku minutach pojawił się przed wejściem do budynku. Mały i czarny jak robak. Karaluch. Notariusz stanął przy oknie i wycelował w niego palcem. Symbolicznie zgniótł tego robaka. Zdziwił się, jak mu to łatwo poszło.

Wybrała kolejny numer z listy pnącej się słupkiem przez całą wysokość ekranu komputera. Cyfry tańczyły i roily się niczym pochód mrówczego wojska, falowały jak potok. Komunikowały się między sobą, zamieniały miejscami, podskakiwały i wywijaly piruety. Walczyły między sobą lub kochały się w jakimś brutalnym akcie miłości.

– Dzień dobry, mówi Émilie Gomiz z Le Financier Avenir de France, jak w naszej reklamie: „Przyszłość finansowa, o tym ciągle jest mowa” – zanuciła radiowy dzingiel, co nakazywały nutki otaczające cytat zamieszczony w pojawiających się na ekranie wersach dialogu. W razie gdyby zapomniała, co ma mówić, lub pogubiła się w swojej roli pracownika obsługi klienta. – Czy mogę pani zająć minutkę?

Słuchawka trzasnęła z takim impetem, że Émilie aż podskoczyła na krześle. Tym razem zatańczył cały komputer, zatopił się w elastycznym biurku i spłynął olbrzymią kroplą na jej gołe kolana. Zerwała się z miejsca i poczuła natychmiastową nieważkość. Wyobraziłaby sobie rejs w kapsule statku kosmicznego, gdyby była w stanie skoncentrować na czymkolwiek myśli. Coś pulsowało w górze czaski, coś innego naprężało się i ciągnęło w dół. Unosiła się w powietrzu na setkach niewidzialnych nitek, jakimi ulicznicy sprzedawcy przymocowują swoje balony. Z tym że każda wywoływała nieokreślony ból, wszystkie razem przypominały nakłucia akupunktury. Przypominałyby, gdyby zdołała je sobie wyobrazić.

Praca tego dnia nie miała sensu. Nie żeby kiedykolwiek miała, zwłaszcza tak beznadziejna jak jej, ale tym razem jej starania nie dawały nawet minimalnego efektu, jakiego od niej wymagali zwierzchnicy. Żaden z potencjalnych klientów nie chciał rozmawiać, większość wprost okazywała jej wrogość. Przyzwyczaiła się do takiego traktowania, uodporniła na najgorsze nawet wyzwiska, a najbardziej prymitywne formy podrywu kwitowała słodkim *Au revoir!*, zgodnie ze szczegółową instrukcją. Dawała się szkolić jak szczur laboratoryjny, zawsze w prawidłowy sposób pokonywała wyznaczone przejścia w labiryncie.

Od rana dostawała jednak szału. Podobnie jak wczoraj, a wszystko zaczęło się dwa dni wcześniej. Zupełnie jakby coś zagłuszało ją od środka, infekowało jej układ nerwowy. Obcy, który załagł się w niej i próbował wydostać na zewnątrz.

Złapała się za brzuch i pokuśtykała do toalety. Uklękała przed sedesem, silnie obejmując jego chłodne porcelanowe brzegi. Nie miała czym wymiotować, torsje wycisnęły z niej tylko trochę mazi, gorzkie jak antybiotyk soki trawienne zmieszane ze śliną. Zwisaly jej z ust pajęczymi niciami, ohydnie ciągnącą się galaretą. Pływały w oczku wodnym sedesu jak mikroskopijne meduzy, półprzezroczyste, nadymające się w beznadziejnej szamotaninie.

Spuściła wodę i opłukała twarz, palącą żywym ogniem skórę. Od wczorajszego wieczoru się nie rozpoznawała, w lustrze odbijał się za każdym razem ktoś inny. Halucynacje, znała ten stan z eksperymentów z kwasami. Dlatego nie panikowała, po prostu coś złego działo się z jej

psychiką. Za wszystko winiła istotę rozwijającą się w środku, zagubioną między organami wewnętrznymi, warstwą mięśni, tłuszczu i skóry. Tak blisko otworu pochwowego, że gdyby zaparła się z całej siły, mogłaby ją wydalić z moczem. Próbowła, ale była za słaba. Nie chciała tego czegoś, brzydziła się, bała, że pożre ją od środka jak nowotwór.

Do ginekologa umówiła się dopiero na wieczór, nie było wcześniejszych terminów. Upewni się, ale nie miała wątpliwości, mimo że kolejne testy wskazywały na coś innego. Czasami tak jest, że się mylą, magazyny kobiece nieraz o takich sytuacjach pisały. Potwierdzi przypuszczenia, a następnie zarezerwuje termin na usunięcie. Im wcześniej, tym lepiej, nawet od razu. Gdyby to było możliwe, wsadziłaby sobie do środka rurę od odkurzacza i wysłała to do worka, a worek wyrzuciła do śmieci. Nie chciała potomstwa, które nie byłoby jego.

Wyszła z łazienki i skręciła w korytarz do stołówki. Wewnątrz panował gwar, pomieszczenie było wypełnione po brzegi. Ludzie w identycznych kostiumach i garniturach zadzierali głowy i wpatrywali się w wiszący pod sufitem monitor, na którym zazwyczaj wyświetlano wyniki finansowe i filmiki propagandowe o korporacyjnych gwiazdach. Jako wyjątek mecze reprezentacji Francji, a tego dnia informacje z pola bitwy, czyli doniesienia z przebiegu muzułmańskich protestów. Zamieszek, bo zgodnie z przypuszczeniami pokojowa manifestacja zamieniła się w walkę.

Rozsiani po stołówce pracownicy o południowych rysach w napięciu przygryzali nerwowo wargi. To ich uznawano za agresorów. Garstka rodowitych Francuzów zachowywała się podobnie, nie akceptowali kontrmarszu neonazistowskich bojówek. Obie grupy stanowiły wyraźną mniejszość, nie próbowały nawet dyskutować z napastliwymi komentarzami swoich kolegów. Praktykowali starą, nigdy niedającą efektu taktykę biernego oporu. Wycofali się, z góry zakładając swoją przegraną. Negatywne emocje wypełniły pomieszczenie jak hel balon, w każdej chwili mogło oderwać się od konstrukcji biurowca i odlecieć. Lub wybuchnąć, grzebiąc wszystkich w katastrofie wieżowca. I tego chyba najbardziej pragnęli – doprowadzić do kataklizmu, zagłady.

Powietrze przeszył głośny krzyk. Na ekranie eksplodował podpalony samochód, maska tylnego bagażnika wzbijała się na wysokość drugiego piętra i nurkowym lotem poszybowała na jezdnię. W drugim samochodzie rozpalila się i zgasła zwisająca z rozprutego wlewu do baku szmata, widocznie brakowało benzyny. Kolejne auta demolowano i wywracano, do zaimprovizowanych naprędce barykad z rozbitych pojazdów zbliżała się biegiem kolumna młodych mężczyzn w czarnych koszulkach. W ich dłoniach lśniły pałki teleskopowe, ogniwa łańcuchów i pierścienie kastetów. Po drugiej stronie wycofywała się jedna z odnóg demonstracji islamskiej. Kobiety w chustach pokazywały swoje bezkształtne tyły, mężczyźni przygotowywali się do obrony.

– Pierwszy atak odparli, naszych było za mało. Teraz przegrupowali się, wracają – skomentowała szeptem koleżanka Émilie z sąsiedniego biurka. – Ciapaci w ramach rewanzu zdemolowali ulicę, ale teraz się wystraszyli. Zobacz, z boku naciera policja.

Komentarze jak z meczu piłkarskiego, tylko że z regularnej bitwy. Na chodnikach widać było skulonych rannych i kilka bezładnie leżących ciał, może trupów. Widok z kamery z drugiego śmigłowca pokazywał szerszą perspektywę. Prostopadłą ulicą rzeczywiście posuwały się oddziały policji. W tak żółwym tempie, że ktoś musiał im wydać rozkaz utrzymania dystansu za wszelką cenę, żeby przypadkiem nie rozdzielić zwaśnionych grup. Pierwsza linia neonazistów już zaczęła wdzierać się na barykadę, w kierunku obrońców poleciały kamienie i butelki, eksplodowały petardy i zapłonęły race.

– *Merde!* – krzyknął długowłosa mężczyzna, kiedy na ekranie pojawiło się zbliżenie przerażonej kobiety w hidżabie.

Siedząca obok niego koleżanka o arabskiej urodzie drgnęła, ale nic nie powiedziała.

Émilie poczuła nagły ból, który przeszył ją tysiącami pęknięć. Upadła, rozsypując się w środku w drobiny stłuczonego szkła. Zanim straciła przytomność, usłyszała nad sobą aplauz i wrzask euforii. Komuś innemu pewnie także działo się w tym momencie krzywda. Jeśli umrze, nie będzie przynajmniej sama.

Przyspieszył na prostej niemal do setki, ledwo zmieścił się w zakręt. Punkt zaczepienia uciekł mu, jakby nagle zatrzęsła się ziemia. Płaszczyna szosy popłynęła w przeciwnym kierunku. Próbując opanować radiowóz, zahaczył czyjeś lusterko i otarł błotnik. Prawie urwał podwozie na progu spowalniającym, który wyrósł przed maską niczym czarno-zielony samobójca pragnący zginąć pod kołami rozpędzonego auta. Wbił się przodem w niewielką wyrwę między parkującymi wzdłuż chodnika samochodami, szarpnął drzwi i wyskoczył na zewnątrz.

Smugę czarnego dymu widać było z daleka, wzbijała się smolistą kolumną w niebo jak pozostałość po wysadzonym wieżowcu. Pole bitwy rozpościerało się kilometr na południe od ich stanowisk bojowych. To tam nastąpiło główne natarcie neonazistowskich bojówek, w tamto miejsce posłano większość policyjnych sił i środków. Jeśli walka nagle przeniesie się w okolice stacjonowania jego jednostki, nie będą się mieli jak bronić, zabraknie ludzi. Claude nie wierzył w eskalację konfliktu. Dotychczasowe zamieszki były wynikiem agresji ze strony kontrmarszu. Ale tłum rządzi się swoimi prawami, masami ludzkimi kierują emocje, nie zdrowy rozsądek.

Eryan wybiegł za róg, od strony pochodu uderzył go grzmot krzyku. Z rzeki słów nie dało się wychwycić jakiegokolwiek treści, ludzie zdawali się wyć i bulgotać, kipieli wściekłością. Transparenty i flagi wirowały i podskakiwały jak na wietrze, uniesione ręce zaciśnięte były w pięść. Policjanci, którzy przed jego zniknięciem czuli się jak na pikniku, byli w pełnej gotowości bojowej. Odwody prewencji sformowały drugą linię, ekipa taktyczna przygotowała broń i ustawiła tarcze, na środek drogi wtoczył się wóz bojowy z opuszczonymi kratami okiennic i działkiem wodnym wycelowanym w tłum. Tylko ludzie kapitana nie bardzo potrafili się znaleźć. Z wyjątkiem porucznika Douisa, który jeszcze intensywniej udzielał się w pierwszych szeregach. Teraz już z trzema pomocnikami.

Claude zatrzymał się przy poruczniku Taidrze i zaczął wkładać kamizelkę kuloodporną.

– Bardzo źle? – zapytał.

– Jak widać. Raczej nic z tego nie będzie, najwięcej zjebów zgromadziło się na południu.

W tym momencie z tłumy wystrzeliły jakieś przedmioty, na bruku wylądowały puszki i śmieci, potłukło się kilka butelek.

– Właśnie widzę, spokojnie jak na rozgrywkach ligi.

– Porzucają, pokrzyczą i się rozejdą. Stoją tu już prawie cztery godziny, pewnie nogi włożą im w dupę. Powiedzieli, co mieli do powiedzenia, czas zająć się normalnym życiem, wrócić do rodziny, szykować się do pracy.

– Albo zdemolować miasto.

Rais prychnął sarkastycznie i pokręcił głową.

– Jasne, bo barbarzyńcy przecież tylko niszczą, a europejscy obywatele budują.

Widać było, jak porucznik się miota. Z jednej strony podlegał policyjnej hierarchii i rozkazom, z drugiej chętnie przyłączyłby się do protestujących. Klasyczny konflikt między obowiązkiem a sumieniem, stary jak historia ludzka. Claude sam często musiał decydować w podobnych kwestiach. Dotąd zawsze wybierał służbę. Choć w obliczu ostatnich kłopotów zaczynał zmieniać zdanie.

– Duce jakoś nie przeżywa rozterek. Gdyby mu dali koszyk granatów, rzucałby nimi w tłum z taką, kurwa, hojnością, jakby to były jajka niespodzianki.

Rzeczywiście, Armand wdał się w pyskówkę z chłopakiem z tłumy. Wygrażali sobie

nawzajem, wciskając pięści pomiędzy tarcze prewencji. Wściekły buldog spuszczone z łańcucha, lepsze porównanie nie przychodziło kapitanowi do głowy.

– A jak tajemnicza wyprawa w nieznane?

Claude poprawił uwierający go pod pachą pas kamizelki i zdjął hełm, który z rozpędu włożył. W tej temperaturze był jak uderzenie rozgrzaną do czerwoności patelnią. Przypomniały mu się patrole w czasie misji pokojowych w Afryce. Wtedy przynajmniej golił głowę. I wierzył, że jego poświęcenie się liczy, ma znaczenie.

– Aresztowałem Ruska, który chce gadać. Ten drugi, ważniejszy, zwiął. Zajmiemy się nim, jak tylko skończy się ta awantura.

– Mafia?

– Może jakieś doły, obstawiali melinę. Znalazłem i szmaty, i puste butelki, a Rusek zdaje się sporo wiedzieć.

– Albo ratuje dupę.

Claude też brał pod uwagę taką możliwość. Okaże się, kiedy zaczną weryfikować zeznania. Przez krótkofalówkę wywołał Armanda. Odpowiedziało mu kilka zgrzytów i cisza. Przy drugiej próbie odpowiedział ktoś inny. Że może sobie równie dobrze pokrzyzczyć w powietrze. W harmidrze panującym na pierwszej linii nie słyhać nawet własnych przekleństw. Claude posłał po porucznika jednego z opalających się posterunkowych, który wykonał polecenie z miną straceńca wysłanego na samobójczą misję. Miał rację, Duce najpierw go regulaminowo obsztorcował, zanim zareagował na rozkaz.

Podszedł do kapitana wraz z całym orszakiem, czyli trzema przydupasami i wlekącym się w ogonie posterunkowym, który po niego poszedł.

– Coś ważnego? Bo mam robotę. – Stał w rozkroku z kciukami zawieszonymi na pasku, niczym John Wayne o nogach skróconych do kolan.

– Wkurwiać i tak już wkurwionych demonstrantów? Posiedź trochę na tyłach, odpocznij. Potrzebuję śledczego, nie stadionowej pałki.

– Poradzę sobie z jednym i drugim. Jakoś nie wydaje mi się, żeby ktoś miał mnie zastąpić. – Zerknął sugestywnie na Raisa, który puścił uwagę mimo uszu.

– Wyluzuj, Armand, mówię poważnie. Wyobraź sobie, że jesteś dla mnie w tej chwili zbyt cenny, żebym cię marnował na awantury uliczne. Mimo wszystko.

– Mam to potraktować jak rozkaz?

– Traktuj to, jak chcesz, ale daj sobie spokój, już się wystarczająco wykazałeś.

– Obawiam się, szefie, że tutaj podlegam jednak dowódcy posterunku, taka misja. Myle się?

Claude ledwo opanował odruch, żeby strzelić go z liścia w ten kwadratowy, tępy łeb. Akurat stał w zasięgu lewego ramienia. Wielka morda zakuta w hełm, ze szczęką o gabarytach i delikatności przyłbicy. Świńskie oczka wpatrywały się w zwierchnika ze słabo skrywaną kpina.

– Wyraziłem się jasno, poruczniku, a ty zrobisz, jak chcesz. Tylko nie ucz niesubordynacji niełatów.

Douis gestem głowy nakazał swoim przydupasom zostać na miejscu. Sam chwiejnym krokiem oddalił się na poprzednie stanowisko. Tym razem raczej jak spieszony rycerz niż kowboj. Kiedy był w połowie drogi do drugiej linii prewencji, kordon policji zafalował i zachwiał się z prawej strony. Grupa mężczyzn wybiła dziurę w tarczach i ugrzęzła w szamotaninie z odwodami prewencji. Brodaty chłopak zdołał przedrzeć się przez szereg, po kilku krokach stanął dezorientowany, dziwiąc się swojemu sukcesowi. Był sam, bardziej wystraszony swoim wybrukiem niż otaczający go funkcjonariusze.

Armand zareagował błyskawicznie. Płynnym ruchem wyciągnął i odbezpieczył broń, wycelował, przyjmując pozycję do strzału. Stał tyłem, więc ze stanowiska kapitana nie było widać jego twarzy, ale na pewno coś krzyczał. Chłopak odpowiadał, nerwowo machając rękami. Obejrzał się za siebie, jakby poszukiwał wsparcia u kolegów zajętych przyjmowaniem uderzeń policyjnych pał i podkutych butów. Niemy dialog tonął w grzmocie demonstracji. Gdyby nie naturalne skłonności porucznika Douisa, wyglądałby jak niewinna próba uspokojenia spanikowanego obywatela.

Claude bez zastanowienia ruszył na pomoc.

– Rais, bierz go z prawej strony! Ja zajdę z drugiej!

Zatoczył półokrąg, starając się zbliżyć do podwładnego pod odpowiednim kątem, żeby ten przypadkiem nie wziął go za kolejnego napastnika. Sam ledwo siebie słyszał. Jak tylko zrównał się z porucznikiem, zaczął dawać mu znak ręką, żeby opuścił broń. Tym razem był to wyraźny rozkaz, którego Duce nie mógł nie zauważyć. Zdawało się nawet, że porucznik zamierza usłuchać, kiedy nagle chłopak sięgnął do kieszeni sportowej bluzy, Claude dostrzegł kątem oka, jak coś załśniło mu w dłoni. Mógłby jeszcze spróbować wyciągnąć pistolet i strzelić w kamizelkę kuloodporną Armanda. Nabić mu siniaka, ale uratować demonstrantowi życie. Nie miał szans, nawet gdyby zdecydował się na ten krok natychmiast. Duce zadziałał jak na treningu – nacisnął spust. Ciałem chłopca rzuciło w tył, krew spryskała czerwonym aerozolem chodnik, delikatną poświatą zawisła w powietrzu. Upadł, a z ręki wypadł mu telefon komórkowy.

Huk wystrzału na sekundę zassał wszystkie inne dźwięki. Scena zamarła jak zdjęcie. Pierwszy zareagował Rais, stał najbliżej. Ruszył w kierunku Armanda i powalił go kopniakiem z rozbiegu, przydusił kolanami i okładał na oślep. Posterunkowi zaczęli rozdzielać poruczników, Claude ukląkł przy postrzelonym chłopcu. Nie miał więcej niż siedemnaście lat, brodę rzadką jak doklejona ze sztucznych kosmyków.

Nie żył.

– Wypierdalaj, Eryan, przejmujemy sprawę. Uszu nie myleś?

Mâchoire – Szczęka. Wszedł do sali przesłuchań jak do siebie, notes położył na biurku niczym teczkę na stole kuchennym po powrocie do domu z pracy. Jakby szykował się do wpięprzenia żonie za nieudany obiad. Za nim do sali przesłuchań weszła porucznik Dion. Jak Céline Dion, tylko jakieś dziewięć razy brzydsza, co w swoich normalnych czasach obliczył Armand. Nikt się nie zastanawiał, jakich użył kryteriów, bo trafił w dziesiątkę. Raczej w dziewiątkę, ale wystarczająco blisko. Ona przynajmniej zachowywała pozory, stanęła pod drzwiami i cierpliwie czekała, aż kapitan wyjdzie. Bez głupich tekstów i plucia testosteronem. Bił od niej urzędniczy chłód, którego wymaga się od funkcjonariuszy wydziału wewnętrznego. Kapitan żałował, że to nie ona prowadzi jego sprawę, przynajmniej mógłby się spodziewać minimum obiektywizmu. Jedyne, co oferował Szczęka, to pornografia emocjonalna i korsykańska wendeta.

– Masz kwity? Bo jak nie, to...

Na biurku wylądował dokument od sędziego śledczego. Porucznik Douis nachylił się nad papierkiem i prześledził treść wzrokiem, skinieniem głowy potwierdził autentyczność. Jak na sprawcę zabójstwa czuł się wyjątkowo pewnie. Zachowywał się profesjonalnie niczym wysoko postawiony członek mafii, po prostu wykonywał część swojej roboty. Nic dziwnego, że państwo określa się mianem organizacji przestępczej, jeśli zatrudnia takich agentów.

Claude chwycił nakaz sędziowski i rzucił na niego okiem. Tylko dla formalności, ani Szczęka, ani Armand nie oszukiwaliby w tak ewidentnej sprawie. Jeśli mógł im cokolwiek zarzucić, to na pewno nie amatorszczyznę.

– *Au revoir*, Aryan, możesz sobie popatrzeć z za lustra. I nigdzie nie odchodź, jesteś

ważnym świadkiem tego niefortunnego zajścia. Wiem, wiem, co mi grozi za Aryana. – Prawą dłonią objął zuchwę i poruszał nią, jakby sprawdzał zawiasy. – Tylko uważaj, żebym ja ci tym razem czegoś nie złamał.

Z krzywym uśmiechem zerknął kapitanowi w krok.

– Najpierw musiałbyś mi na niego wskoczyć!

– Skończyliście, panowie? – Porucznik podeszła do biurka i zajęła wolne miejsce przy Claudzie. Ten zerwał się z krzesła, jakby wypuściła z pudełka żmiję. – A może raczej chłopcy, bo zachowujecie się jak banda szczyli. Jak chcecie się zmierzyć na fiuty, to zapraszam, kończę o szóstej.

Zaden nie podziękował, choć obaj potraktowali zaproszenie jako szczerą groźbę. Szczęka zajął miejsce obok podwładnej, kapitan wyszedł z sali przesłuchań i skierował się do swojej części budynku. Jego ludzie porozsiadali się po kątach i przyglądali sobie nawzajem z byka. Rozpoznał co najmniej dwa wrogie obozy, ale pewnie od strzelaniny zdążyli się podzielić na cztery. Porucznik Taider wywalił swoje długie nogi na biurko i bezmyślnie gapił się w okno.

– Rais, do mnie! A wy bierzcie się do roboty. Tymczasowo zastępujesz porucznika Douisa, Ciak, macie mi znaleźć bezdomnego, którego szukamy. – Zamierzał wyjść z biura, ale odwrócił się w progu. – I tutaj nie uprawia się żadnej polityki, jasne? Jeśli usłyszę z czyjejś gęby etniczną gadkę, wypieprzę za drzwi z wilczym biletem. Macie najlepszy przykład, czym kończą się te rasistowskie bzdury. Zrozumiano?

Pięć głów przytaknęło, ale tylko Caroline spojrzała mu w oczy. Z wyrazem psiego oddania.

– Jeszcze dwie godziny temu gdyby ktoś zadał mi pytanie, kim jestem, odpowiedziałbym bez zastanowienia: Francuzem.

Rais niemal położył się na krześle dla gości w gabinecie zwierzchnika, ręce założył za głowę. Na nadgarstku miał niedomyty skrzep krwi, a kłykcie obite o hełm swojego kolegi. A może o jego zakuty łeb.

– Nie słyszałeś, co właśnie powiedziałem? Ciebie też się to tyczy, żadnej propagandy ani głupich tekstów. Tutaj się szuka przestępców, nie wrogów narodu.

– A wie pan, szefie, co odpowiedziałbym teraz?

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć!

– Nic! Nie odpowiedziałbym nic, bo nie wiem już, kim tak naprawdę jestem. Chyba już nie chcę należeć do tego narodu. Do brodatych zresztą też nie, w życiu nie byłem w meczecie. Srałem kiedyś na pochodzenie i kolor skóry, ale w takich okolicznościach...

– *Putain*, Rais, dość! Weź się w garść, mażesz się jak stara baba! Dobrze wiesz, co ja o tym myślę, a widzisz, żebym biadolił? Przed chwilą wewnętrzni przejęli Armanda, związkowcy też zaraz się zjawiają. Pewnie wróci jutro do biura, jakby się nic nigdy nie stało. I co ja na to? Bardzo dobrze, niech wraca. Bo jest, jak jest, a my mamy do wykonania robotę. I potrzebuję tego pieprzonego faszysty, tej zakłamej gnidy, bo jest dobrym gliniarzem. Ciebie też potrzebuję i gównu mnie obchodzi twój kryzys tożsamości, pierdolec, czy jak to teraz określają psychiatrzy.

Rais opuścił ręce i wyprostował się na krześle. Przybrał tak zaskoczoną minę, jakby siedzący przed nim kosmita po raz pierwszy przemówił ludzkim głosem.

– Coś nie pasuje?

– Właściwie to dużo, ale co do istoty rzeczy, to wszystko gra. Chyba muszę popracować nad obniżeniem standardów.

– Popracuj lepiej nad tym twoim informatorem, co wie niewiele więcej ode mnie, a kasuje za to stówę od zdania. Przy takiej stawce stałbym jak bankier. Przekazał ci coś nowego?

– Nowego nic, ale potwierdził parę starych rzeczy. Widzę się z nim dziś wieczorem,

obiecuję przełom. Taki o wartości pięćsetki.

– Weź z kasy, tylko żeby cię nie wydymał. Posadź też kogoś przy tym Rosjaninie, niech oficjalnie spiszą zeznania i sprawdzą nazwiska, które mi podałeś. Jak będzie ściemniał, niech skopią mu jajca. Sam próbowałem, działa. I pogadaj chwilę z Carol, podpowiedz jej parę rzeczy. Ja muszę się przejechać na miasto, zdzwonimy się później.

Rais kiwnął głową i wstał z krzesła. Do drzwi podszedł na sztywnych nogach, jakby mu zdrętwiały od niewygodnego siedzenia. Lub odmawiały współpracy w niesłusznej sprawie.

– Rais!

Porucznik wsunął głowę w niedomknięte drzwi gabinetu.

– Jesteś Francuzem, i to dużo lepszym ode mnie. Uwierz mi, wiem, co mówię.

Śledczy w odpowiedzi posłał uśmiech, który zmienił się w grymas, zanim jeszcze zamknął za sobą drzwi. Wyraźnie zachciało mu się rzygać na taki komplement.

Demonstrujący zniknęli z ulic Marsylii jak cofająca się powódź, pozostawiając po sobie grasujące grupki wandalów i apokaliptyczny pejzaż zniszczenia. Rozwarte drzwi do restauracji i sklepów, wyłamane kraty kołyszące się na powyginanych zawiasach, wytłuczone witryny, najeżone szkłem lamy chłodnicze, przewracane półki, podłogi zasłane podeptanym towarem. W kilku miejscach wciąż tlił się ogień, wypalone wraki samochodów przylgnęły stopionymi oponami do szosy, przez otwory w oknach i drzwiach zionęły toksycznym dymem. W zawirowaniach podgrzanego powietrza unosiły się foliowe woreczki po chipsach i papierki po lodach.

Przerażeni mieszkańcy jeszcze nie wrócili po chaotycznej ewakuacji, czas niepewności wykorzystywały bandy nieletnich złodziejasków i co odważniejsi bezdomni, oszołomieni nagłym dostępem do takich skarbów. Brudna kobieta w zimowej kurtce popijała prosto z kartonu zagęszczane mleko o smaku truskawki, w drugiej dłoni trzymała butelkę naturalnego soku z marchwi. Wbiła w przechodzącego mężczyznę wzrok pełen groźby i jednoczesnego błagania: zostaw mnie w spokoju, bo będę musiała się bronić. A uzbrojona w długie, czarne od brudu szpony i metalową rurę wystającą z wypchanego koszyka na zakupy nie wyglądała na taką, co łatwo ustępuje.

Starszy mężczyzna wszedł do sklepu z serami. Zalegające na podłodze grubą warstwą szkło z wytłuczonych szyb i lodówek chrzęściło pod nogami jak zamrożone liście. Przez chwilę wyobraził sobie, że spaceruje po lodowej krainie północnej Norwegii, gdzie kiedyś spędził zimowe wakacje. Zalewający miasto skwar z nieba i podpalonych ulic nie sprzyjał marzeniom o uporządkowanej, chłodnej i wyważonej północy. Rozrzucone kawałki serów topiły się i rozlewały jak upuszczone lody, z całych kręgów kapały olbrzymie krople przezroczystego tłuszczu. Jedna z gablot pod tylną ścianą była nienaruszona. Mężczyzna przejrzał jej zawartość, otworzył drzwiczki i wziął do ręki niewielki krążek przypominający źle wyrosniętą bułkę. Ugryzł, ale smak nie przypadł mu specjalnie do gustu, upuścił zdobycz prosto pod nogi i sięgnął po ząbek morbiera z Jury. Znacznie lepiej, smak przypominał jego ulubiony ser z czasów młodości. Wyszedł na chodnik, przymknął oczy i z przyjemnością przeżuwał lepką masę.

Po przeciwnej stronie ulicy dostrzegł elegancki butik z konfekcją skórzaną. W środku natknął się na bandę gówniarzy ogałających wieszaki z lśniących kurtek i spodnic przypominających lateks. Najmłodszy miał jakieś osiem lat, najstarszy nie więcej niż trzynaście, czternaście. Przywitali go przekleństwami i groźbami, w jego stronę poleciał kawałek dekoracji, jakaś niezidentyfikowana gruda oszlifowanego plastiku. Trafiła we framugę, odbiła się i zatrzymała tuż pod nogami. Schylił się po nią, zważył w dłoni. W dotyku była przyjemna i ciepła, pieściła skórę.

Zamachnął się i wycelował. Doskonale widział strach rysujący się w oczach

największego dzieciaka, w którego mierzył. Chłopak zastygł z przerażenia, widząc odrywający się od ręki starszego mężczyzny przedmiot. Nie zdołał nawet unieść dłoni w geście symbolicznej obrony. Dostał w czoło, parę centymetrów powyżej lewego oka. Zatrząsał się jak pod dotknięciem kawałka lodu, zachwiało, upadł dopiero po kilku sekundach. Z ranki wielkości pryszcza trysnęła krew, zalewając mu twarz podłużnymi kroplami. Pozostali chłopcy przesuwali wzrok z kolegi na plastikowy pocisk i dziadka, który niespodziewanie zaatakował. Powtórzy manewr, ruszy do ataku ponownie? Uciekać czy podjąć walkę? Przecież jest ich więcej.

Zerwali się do ucieczki niemal jednocześnie, przebiegli obok mężczyzny jak wiatr, stado przepłoszonych szczeniąt hien, które od małego uczy się przebiegłości i hierarchii opartej na kulcie siły. Mężczyzna nachylił się nad milczącym chłopcem, który siedział oparty plecami o ścianę z wyrazem oszołomienia na zakrwawionej twarzy. Upewnił się, że cios plastikowym przedmiotem nie wyrządził w organizmie młodocianego złodzieja poważniejszych szkód, i wyprostował się. Z perspektywy dziecka urósł na wysokość pierwszego piętra.

– Dobrze – zamruczał do siebie – bardzo dobrze.

W świecie, w którym to pokolenie będzie żyć, wyścig szczurów przybierze rozmiary wojny każdego z każdym, szczerze wypełni każdą sferę ludzkiego życia, ludzie będą dzielić się od siebie wszystkim, nie tylko kolorem skóry, pochodzeniem i zasobnością portfeli. O wszystko trzeba będzie walczyć na śmierć. Cywilizacja śmierci w pełnym rozkwicie.

Z kłbowiska pudełek, eleganckiego papieru pakowego i skórzanych ciuchów wybrał niewielki kartonik ze złotym nadrukiem. Rozerwał papierową plombę i otworzył wieczko. W czerwonej bibułę zawinięte były czarne rękawiczki. Przymierzył je, naciągały się na dłoń delikatnie jak pończochy na stopy kobiety. Pasowały idealnie, przylegały do skóry tak dokładnie, że tworzyły jej nową warstwę. Wyciągnął ramiona i przyjrzał się rękawiczkom pod słońce, błyszczały głęboką czernią. Zmaterializowany mrok. Druga, zła wersja jego prawdziwych dłoni.

Wyszedł na środek ulicy i powolnym krokiem zmierzał do najbliższego skrzyżowania. Z oddali dobiegały syreny alarmowe i warkot silników aut. Otaczająca sceneria pasowałaby do pierwszej części *Mad Maxa*, w której tytułowy bohater pozostawał jedynym sprawiedliwym. Właśnie w to zamienia się cywilizacja, która przestaje rozumieć pojęcia wspólnoty, solidarności i równości. Chaos, anarchię zawłaszczaną przez wzajemną nienawiść.

Na szczęście on tego nie doczeka.

To nie było tylko fałszywe wrażenie. Jej dzielnica stanowiła odrębną całość, inną krainę. Isabelle czuła się jak w zagubionej w odmęcie drugiej wojny światowej Szwajcarii, gdzie życie toczyło się nedorzecznie normalnie, z dala od zawieruchy wojennej i milionów zakopywanych w anonimowych grobach mordowanych ofiar. Jakby ludzkie cierpienie było pokazywaną w telewizji abstrakcją, o której wiadomo tylko tyle, że istnieje. Ponoć ktoś jej doświadczył na własnej skórze, podobno jest częścią tego samego świata, stałym elementem ziemskiej roślinności.

W przestrzeni jej zamkniętego osiedla nie było co do tego pewności. Gdyby nie przeżyła gniewu protestujących, gdyby nie zalała jej masa wyległych na ulice ludzi, nie uwierzyłaby w doniesienia medialne. Informacja o trwających protestach mogłaby równie dobrze pochodzić z jakiegoś azjatyckiego zadupia, co najwyżej z Europy Wschodniej. Ale Francja, Marsylia, niecałe pięć kilometrów od miejsca, gdzie żyła? Niewyobrażalne. A właśnie tak przyjmowali to jej sąsiedzi, starsze pary i matki z dziećmi snujące się po osiedlowych uliczkach czy kołyszące swoje pociechy na huśtawkach osiedlowego placu zabaw. Replika „Titanica” w skali całego miasta: zabawa trwa, choć kadłub okrętu coraz głębiej zanurza się w wodzie.

Spojrzała w niebo. Kilka białych obłoków nieruchomo tkwiło przymocowanych do błękitnej kopuły nieba. Pluszowe ozdoby z dziecięcego pokoju. Słońce paliło w twarz, lekki wiatr poruszał pojedynczymi kosmykami włosów, łaskotał. Szczekający pies i dokazujące dzieci,



urwany dialog przechodzących obok staruszków. Szarpnięcie drobnej rączki za rąbek spódnicy:

– Mamo, chce mi się pić. Idziemy wreszcie do tego domu?

Jej kochane, najdroższe dzieci. Cel życia, treść, którą była zapisana do ostatniej stronicy. Kiedy siedziała wtulona w masywne dębowe drzwi, szukając w nich ochrony przed nawałnicą rozwrzeszczanych ludzi, myślała tylko o nich. Co by się z nimi stało, gdyby jej nagle zabrakło? Lub, bardziej przerażające, co stałoby się z nią. Nigdy bardziej nie pragnęła czuć ich przy sobie. Wyobrażenie kompletnej, zamkniętej w silnych ramionach Claude’a rodziny dodało jej sił, dzięki temu nie zwariowała ze strachu. Poczucie wzajemnej bliskości, dotyk kochanych ciał, które dzieląc się swoim ciepłem, zamieniają się w jedność.

Uklękła i przyciągnęła je do siebie, objęła tak mocno, że Ivonne aż jęknęła. Patrzyły na nią zdziwione, z nieumiejętnie skrywaną podejrzliwością. Musiały wyczuć w niej panikę, której niedawno doświadczyła.

– No już, idziemy. Najecie się i napijecie, dostaniecie na obiad, na co tylko macie ochotę.

– Lody!

– *Macaroni cheese!*

– Zgoda, *macaroni cheese*, a na deser lody.

– Hurraa!

Weszli na klatkę schodową, windą wjechali na swoje piętro. Tym razem nie karciała nawet Brunona za manipulowanie przy guzikach, do których nie wiadomo jakim cudem zawsze sięgał, wyciągając się jak gumowa zabawka. Niech sobie dźwig pojeździ w górę i w dół, nic się nikomu nie stanie. W tej chwili pozwoliłaby nawet zrobić sobie krzywdę dla przyjemności potomstwa.

Zatrzymała się trzy kroki od drzwi do mieszkania, schowała dzieci za siebie. Za maskownicę klamki wciśnięta była biała koperta. Rozejrzała się, wychyliła i spojrzała w dół klatki schodowej. Wokoło panowała kompletna cisza. Po kilkunastu sekundach wpatrywania się w list i rozważania, co powinna zrobić, wiedzona nagłym impulsem chwyciła go w palce i wyrwała zza klamki, pozostawiając w szparce oddarty róg. Natychmiast upuściła przedmiot, jakby przez dziurkę miała się z niego ulotnić trucizna. Odskoczyła, kiedy upadł za blisko jej stóp, odsunęła od niego dzieci.

Oficjalną korespondencję listonosz wrzucał do skrzynki na listy. Nawet kurier nie zostawiał przesyłek w ten sposób, kto by go zresztą wpuścił do środka. Może coś dla jej męża, pogróżki lub... Zmroziła ją nagła myśl. Terrorysty zamykają w kopertach wąglik, organizacje przestępcze dostarczają mikroskopijne bomby ukryte w arkusikach papieru, które wybuchając, odrywają dłonie. Cofnęła się jeszcze bardziej, dzieci zaczęły marudzić. Wybrała numer telefonu Claude’a, ale odpowiedziała jej poczta głosowa. Jak zwykle, kiedy go najbardziej potrzebuje, nie można go złapać.

– Stójcie tu i nie ruszajcie się, ta koperta może być bardzo groźna.

Nie spuszczać ich z oka, podeszła do drzwi sąsiadki, wcisnęła dzwonek. Starsza pulchna kobieta pojawiła się w progu prawie natychmiast, jakby tylko czekała na wezwanie.

– Pani de Saint, przepraszam, ale znalazłam w drzwiach jakiś dziwny list... Nie kręcił się tutaj nikt podejrzany, nie widziała pani nikogo?

Kobieta obrzuciła Isabelle krytycznym wzrokiem. Nie lubiły się, staruszka wiecznie wtrącała się w cudze sprawy, a młode matki, nie tylko Isabelle, wpadały z tego powodu we wściekłość i odgrywały się chamstwem. W tej chwili nie było jednak bliższej sojuszniczki, a pani de Saint zazwyczaj wiedziała najwięcej.

– No był tutaj mężczyzna. Starszy, z siwymi włosami, wysoki i całkiem przystojny. Elegancki, nie wyglądał na zbira. Bardziej na emerytowanego prawnika.

Isabelle przycisnęła dłonie do piersi, tak często opisuje się wysłanników mafii.

– Co się tak pani boi, nie ma potrzeby. Z rodziną trzeba żyć w zgodzie, to wszystko będzie w porządku. A nie...

Ponownie zmierzyla Isabelle wzrokiem, tym razem z konkretną wymówką.

– Nie rozumiem, jaka rodzina?

– Jaka? Pani ojciec tu był, to zostawił. Pukał, ale nikt nie otwierał. A przedtem, ze dwa, trzy dni temu, też był. Mazgał się i powtarzał pani imię. Wykrzykiwał je głośno!

Isabelle oparła się o ścianę, żeby nie upaść. Ojciec? Skąd ma jej adres, jak ją znalazł? Czego chciał?

– Jest pani pewna, że to był on?

Kobieta sarknęła pod nosem i cofnęła się w głąb mieszkania, zamknęła drzwi i przekręciła zamek.

– Bruno, nie!

Rzuciła się w kierunku syna, który nie potrafił powstrzymać ciekawości i podniósł kopertę. Wyrwała mu ją z rąk i wsunęła do torebki. Wpuściła dzieci do mieszkania, zaryglowała zamki i wyjrzała przez judasza na zewnątrz. Nikogo nie było.

Oparła się ramionami o krzesło i zwiesiła głowę. Tego dnia przeżyła za dużo, emocje rozsadzały jej czaszkę. Piersi nadymała ciężka do opanowania furia. W oczach zakręciły się łzy, ale nie chciała płakać. Nie zamierzała się poddać, dawać mu satysfakcji. Tego człowieka nie było w jej życiu, on dla niej nie istniał.

Wybrała w komórce numer telefonu i przystawiła słuchawkę do ucha. Jedyne mężczyzna w jej życiu był wciąż nieosiągalny. Drugiego nie było i nie będzie, cokolwiek by sobie wyobrażał.

– List? Jaki list?

Claude zmarszczył czoło, podparł lewą dłonią głowę, wciskając palce w miękkie zagłębienia na skroni. Zawsze gdy się masował w ten sposób, odnosił wrażenie, że uda mu się dosięgnąć mózgu. Galaretowatej obolalej masy, którą wystarczyłoby objąć z odpowiednią czułością, aby przestała palić od wewnątrz. W tej chwili był tego wyjątkowo bliski, wbił palce z taką siłą, jakby próbował rozłupać czaszkę. Podziałało, męczący go od południa ból głowy na moment przygasł.

– Is, uspokój się, nic się nie stało.

Napór histerycznego krzyku przemieszanego ze szlochem nie ustawał. Jak gdyby Isabelle spotkało największe nieszczęście, tragedia, po której życie nie będzie miało sensu.

– Przestań, to tylko twój ojciec. Co w tym dziwnego, że rodzice próbują się pojednać z dziećmi. On nie ma nikogo innego...

W słuchawce zapanowała cisza. W tych kilku zdaniach wypowiedział więcej zakazanych słów niż podczas ostatnich lat małżeńskiego współżycia. Jean-Jacques istniał tylko w postaci złego wspomnienia, ciężkich, milczących chwil, kiedy jego temat się w jakiś sposób pojawiał. „On”, „ten człowiek”, „były mąż mojej matki”. Nigdy „ojciec”, „tata” czy choćby „rodzic”. Nigdy w połączeniu ze słowem „rodzina”, „dom” albo „wnuki”. Uśmiercony i pogrzebany za życia, prawie zupełnie wymazany z pamięci.

– Porozmawiamy później, Is. Miałem koszmary dzień. Załatwię jeszcze jedną sprawę i wracam do domu. Zgoda?

Cisza w słuchawce zamieniła się w sygnał zakończonego połączenia. Claude poczuł rozdrażnienie. Zaciśnął pięści. Krew odpłynęła ze skóry, pozostawiając po sobie białe plamy otoczone czerwonymi pręgami. Koniuszki palców delikatnie drżały jak struny poruszane delikatnym podmuchem, który w każdej chwili mógł zamienić się w poryw wichru.

Podniósł ze stołu pusty kieliszek po winie. Ledwo się opanował, żeby nie zmiażdżyć jego

filigranowej nóżki, pęcherzykowatego naczynka. Najdelikatniej, jak mógł, odstawił go, pozornie spokojnym gestem poprosił o dolewkę. Stary René pofatygował się do stolika osobiście, ciągnąc za sobą sztywną nogę. Turystom chwalił się, że to pamiątka po wojnie. Starzy bywalcy znali prawdę, w której nie było niczego wzniosłego. Ciężka robota w dokach, nocki, jak najwięcej nadgodzin, żeby utrzymać rodzinę. Błąd spowodowany zmęczeniem, źle ustawiona paleta przechyliła się i runęła na niego. Dla twardziela, prawdziwego mężczyzny jak on, kalectwo było dramatem. Dopóki nie dostał odszkodowania, bo związki zawodowe w tamtych czasach negocjowały twardo. Pieniądze zainwestował w kafejkę, wtedy jeszcze otwarcie takiego interesu nie wymagało fortuny. Po latach wywrócił kota ogonem, nieszczęście uznał za najlepsze, co go w życiu spotkało.

– Jakby co, Claude, zawsze możesz ze mną pogadać, wiesz o tym?

Nie wtrącał się bez potrzeby w cudze sprawy. Ale bez względu na okoliczności służył pomocą i radą.

– Jasne, René, dzięki za troskę. Nie jest tak źle, daję radę.

Tylko nie wiadomo, jak długo. Wiedzieli o tym obaj. Barman pokiwał głową i napełnił kieliszek żółtawym płynem. Odszedł, z cichym szelestem nogawki ciągnąc za sobą kontuzjowaną nogę.

Za dużo naraz. Claude cierpliwie znosił trudy policyjnej roboty, nawet takie parszywe dni jak ten, kiedy traciło się wiarę we wszystko, co tworzy podwaliny sprawiedliwego świata. Nie potrafił jednak znieść problemów rodzinnych. Choroby dzieci, humory żony, tragedie, które postronnemu obserwatorowi zapewne wydałyby się śmieszne. Niezrozumiałe nawet dla niego, choć bardzo się starał. Wobec ludzkich cierpień, jakich doświadczał w swojej pracy aż nadto, tak błahe, że wstydził się za nich oboje. Doskonale zdawał sobie sprawę, że właśnie tak kończą się miłość i uwielbienie, jakkolwiek byłyby czyste i szczerze. Na zwyczajnych, żałośnie małych i nic nieznaczących detalach prozy małżeńskiego pożycia.

Z zamyślenia wyrwał go dzwonek komórki. Aparat zatańczył na stole, więc Claude dopiero po chwili odczytał wyświetlający się kontakt. Nie potrafił powstrzymać sarkastycznego uśmiechu, poczuł się jak bohater przedpołudniowej noweli. Wyciszył dźwięk i obserwował, jak ruchy telefonu ustają, jaskrawy ekran zamiera. Nie miał zamiaru kontynuować tej farsy, teść przysparzał samych kłopotów, chociaż bardzo się starał. Szkoda mu było staruszka, ale musiał szanować zdanie żony. Jeśli nie z przekonania, to dla świętego spokoju. A i tak za dużo już zrobił bez jej wiedzy, choć dla dobra jej i rodziny. Bez względu na to, ile miałyby go to kosztować, Isabelle nie może się o tym dowiedzieć. Nigdy.

Telefon obudził się znowu.

– Po cholerę do mnie wydzwaniasz?! – niemal krzyknął w słuchawkę, podrywając aparat ze stołu, jakby zamierzał nim rzucić w dal. – Przez ciebie mam tylko same kłopoty. Co? Jeszcze pytasz? W ogóle nie powinienem się z tobą zadawać. Czy ty niczego nie rozumiesz, Jean-Jacques? Ona od ciebie niczego nie chce, ani twoich pieniędzy, ani twoich przeprosin. Nic! Daj sobie z tym spokój!

Rzucił aparatem z tą samą siłą, z jaką oderwał go od desek. Narastający gniew splukał łykiem zimnego wina, wraz z jego cierpkim owocowym smakiem do ust napłynął mu kwas wyrzutów sumienia. Wobec żony, że musi przed nią ukrywać niewygodne fakty; wobec teścia, że nie potrafi spełnić jego ostatniej prośby; wobec świata, że nie jest tak dobrym człowiekiem, za jakiego chciałby uchodzić. Wyrziste kolory przysłaniała w nim szarość. Rozmywał się, stawał coraz bardziej nieokreślony. A tego najbardziej u ludzi nie znosił. Braku konkretnego kształtu.

Pomyślał o Emilie. Niekiedy zastanawiał się, jak wyglądałoby życie, gdyby wolno im było się związać, być razem. Isabelle nigdy nie będzie w stanie pokochać go tak nieskończenie

jak kuzynka. Uczuciem kompletnie bezinteresownym, z nieograniczonym oddaniem. Odczuł smutek, prawie natychmiast zalany jadem niechęci i lęku. Émilie za dużo o nim wiedziała, za dużo mogła. I po to została w Marsylii – żeby uczynić z niego swojego zakładnika, trzymać go na łańcuchu, który mogła popuszczać i szarpać, w zależności od kaprysu. Przez to nie potrafił patrzeć na nią inaczej niż jak na zagrożenie, wroga. A pod tym względem nie miał skrupułów – nieprzyjaciół trzeba zwalczać.

Dawno nie wracał do takiej pustki. Wejście do domu przypominało gardziel jaskini, wewnątrz mieszkania lodową otchłań bez końca, kosmiczną próżnię. Z podłogi sterczały iglice stalagmitów, z sufitu zwisały sople, gotowe w każdej chwili rzucić się mu do gardła, zagryźć.

Dzieciaki spały bez najmniejszego ruchu lub przytłoczone atmosferą wołały markować sen, niż narazić się na gniew matki. Isabelle zastygła przed lustrem ze szczotką do włosów nieruchomą w ręce opartej łokciem o blat toaletki. Zwierciadło zamiast zwyczajowej odpowiedzi na pytanie, kto jest najpiękniejszy na świecie, zamieniło ją w kamień. A jej domowe królestwo w kamienistą pustkę.

Claude stanął w progu sypialni urzeczony obrazem uosobionej złości. Wściekłość, która wyrzeźbiła kształt jego żony, była doskonała, artystyczna w odzwierciedlaniu detali. Gdyby Isabelle była ogniem, płonęłaby każdym fragmentem ciała. Wodą – wyparowałaby w niebo i runęła na ziemię niszczycielskim żywiołem. Jednocześnie skupiła w sobie krzyk, ciszę, płacz i histeryczny rechot, zassała z otoczenia całą energię niczym bomba próżniowa, gotowa w każdej chwili wybuchnąć. Unicestwić ich świat w ciągu ułamka sekundy.

Zamiast cofnąć się i ująć z życiem wszedł do środka, wprost w zasięg jej wirującego gniewu. Sypialnia zawsze jest domeną kobiety, wszystko odbywa się tam na jej prawach. Usiadł na brzegu łóżka i zwiesił głowę, splatając nerwowo palce. Tak, żeby musiał je rozerwać na strzępy, gdyby odruch kazał mu nagle podnieść rękę, zareagować siłą. Spętał się, unieruchomił.

Pierwsze słowa były tak ciche, jakby tylko je sobie wyobraził, ale nie śmiał prosić o powtórzenie. Drugie zdanie zabrzmiało już wystarczająco zrozumiale. Zaciśnął oczy w pozorowanej obronie przed jej głosem, ten jednak nie raził blaskiem, a nienaturalnie spokojną falą wpływał prosto do uszu, w mózgu układał się w doskonale mu znaną historię. A przynajmniej jedną z jej wersji, bo każda odrobinę różniła się od poprzedniej. Odbierał ją jak dawno obejrzany, lecz nieco już zapomniany film, który potrafi zaskoczyć niektórymi scenami, zupełnie jak podczas pierwszego seansu.

– Zdradzał matkę, już kiedy była w ciąży. Ze mną, a później z moim bratem. Z tym, który urodził się jako kawałek niewykształconej tkanki cztery miesiące przed czasem. Diagnoza lekarzy była od samego początku błędna, matka nie poroniła. To on go zabił, mojego małego braciszka. Zabił całą naszą rodzinę, nas. Swoimi nikczemnymi zdradami, pogardą, z jaką traktował matkę swoich dzieci, najważniejszą kobietę swojego życia. Wciąż słyszę jego tubalny śmiech, kiedy ona płakała, sarkazm, z jakim przyjmował jej skargi. Cięte uwagi przy stole, gdy rozmawiali o polityce. Równie dobrze mógł ją policzkować, pluć w twarz. Katować brakiem szacunku.

Odwróciła się w stronę męża nagłym szarpnięciem. Włosy zakręciły się wokół twarzy, przysłaniając brodę, połowę ust i lewy policzek niczym źle włożony hidżab. Reszta twarzy błyszczała pulsującą czerwienią, od której zdawała się puchnąć. Oczy trawił powstrzymany płomień. Ścisłana w prawej dłoni szczotka była gotowa do zadania śmiertelnościanego uderzenia, gdyby napotkała godnego przeciwnika. Claude nim nie był, poddał się, nie przyjął wyzwania.

– Pierdolił te wszystkie kurwy właściwie na oczach matki. Koleżanki z uczelni, studentki, przypadkowo spotykane kobiety, sąsiadkę z górnego piętra... Każda zdrada była kosmykiem siwych włosów na głowie matki, posiwała w parę lat jak staruszka. Trzydziestoparoletnia

starszka, uzależniony od lekarstw wrak. Cień tej wspaniałej kobiety, którą wziął sobie za żonę. Jakby była rzeczą do wzięcia. Bez ceny, bez najmniejszej wartości. To ja uratowałam ją od samobójstwa. Ja karmiłam ją, kiedy przestała jeść. Tuż po tym, jak odszedł do innej kobiety. Znudziłyśmy się mu, zamienił jeden komplet zabawek na inny. Obserwowałam, jak uchodzi z niej życie. Wysychała, zamieniając się w pustynną łądygę. Blizny, które tłumaczyła wypadkami w młodości, okazały się efektem bicia. Katował ją, a ona to znosiła w milczeniu. Żeby mnie nie obudzić, bo miałam nic nie wiedzieć. Nie chciała się dzielić tym bólem. To miało być tylko jej piekło, ale ja też w nim żyłam. A śmierć matki tylko przypieczętowała rodzinny dramat. Wrócił do nas na tę jedną, króciutką chwilę. Po to, żeby ją zabić.

Claude poruszył się niespokojnie. Właśnie usłyszał dwa kłamstwa, jedno po drugim. Sprawdził akta śledztwa, które wszczęto po śmierci Bernadette Penverne. Wykluczono udział osób trzecich, matka Isabelle popełniła samobójstwo. Przez lata cierpiała na depresję maniacką, część swoich fobii przelała na córkę. Ojciec nie potrafił poradzić sobie z chorobą żony, dlatego odszedł. Prawdopodobnie nigdy jej nie uderzył, Bernadette kaleczyła się sama. Wciągnęła córkę w swój chory świat, a ojciec nie miał siły jej z niego wyrwać.

Claude, obserwując Isabelle w takich chwilach, odczuwał strach, że duch matki przeniknął do wnętrza córki i z czasem zacznie się w niej ujawniać. Coraz częściej zdawało mu się, że odnajduje w słowach i gestach żony ślady wykluwającej się choroby. W takich chwilach jak ta miał co do tego pewność. Pewność, którą później z siebie wypierał, zastępował wątpliwościami. Każdy od czasu do czasu świruje, w swojej pracy był tego świadkiem na co dzień. Sam dawno zwariował, inaczej nie dałoby się wytrzymać w tym niezrozumiałym, okrutnym świecie.

– Teraz chce to samo uczynić mnie, nie rozumiesz tego? Claude, kochanie, on pragnie nas zabić...

Płomienie wyparowały z jej oczu, zalał je strumień niezmiernego smutku pomarszczonego falami panicznego strachu. Patrzyła na niego wzrokiem dziecka, któremu miał zaraz zabronić ulubionej zabawy. Coś w nim pękło, przełamując go dokładnie na pół. Jedna połowa szalała wewnętrzną furią, druga zanosila się płaczem. Jednocześnie pragnął zmusić ją do rozsądnego myślenia, choćby siłą, i utulić w ramionach, powiedzieć, że kocha. Skłamać, że miłość potrafi przezwyciężyć wszystko. A oni będą się kochać na wieki.

Ukląkł przed nią, przytulił ją mocno do siebie. Dotyk był ich tajemnym językiem, który sięgał do samych uczuć, pozwalał obejść niedoskonałości, zagrożenia. Bez wzajemnej bliskości byłoby niczym.

Rais z trudem wcisnął się w ciasną zatoczkę pozostawioną przy chodniku przez jego sąsiadów. Stałe miejsce oznaczone wyraźnymi kreskami w pamięci, co do centymetra przestrzegane przez mieszkańców bloku. Odziedziczył je po ojcu, nie wszyscy dostąpili przywileju parkowania tuż przed swoją klatką schodową. Prawie tak samo cenne jak mieszkania często były przedmiotem handlu, a w grę wchodziły poważne pieniądze. Nie kupowało się w ten sposób nieruchomości, a prawo. Pozycję w lokalnej społeczności.

Wysiadł ze swojego renault i delikatnie pchnął drzwi. Marzył o większym aucie, ale wysłużone clio musiało mu na razie wystarczyć. Nic większego nie zmieściłoby się w przynależnej mu szparce pomiędzy innymi autami, w przytłaczającej większości o identycznych gabarytach. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu architekci z lat pięćdziesiątych nie przewidzieli miejsca na parkingi, projektując osiedla robotnicze. Widocznie nikomu nie przyszło do głowy, że kolorowych gasterbeiterów z byłych kolonii kiedykolwiek będzie stać na własny samochód. Przywileje ekonomiczne w zamierzeniu miały służyć rodzimej klasie średniej, nie napływowej sile roboczej.

Grupka wyrostków okupująca wejście do bloku rozsunęła się przed nim dopiero po kilku sekundach wahania. Bijący od nich odór shitu dosłownie piekł w nozdrza, z ust najwyższego ostentacyjnie zwisał niezdarnie zwinięty skręt. Wiedzieli, że im nie wolno, a porucznik policji może im z tego powodu nieźle dopiec. I o to im właśnie chodziło, ich pogarda dla prawa była demonstracją autonomii i siły. Minął ich, a kiedy trzasnęły za nim drzwi, usłyszał lekceważący chichot. Od kiedy wstąpił do policji, stracił większość przyjaciół i sympatię gówniarzerii ze swojego osiedla. Zyskał jednak szacunek, bo był uczciwym gliną. Nie czepiał się niepotrzebnie, pomagał. Należał do tego środowiska, był swój.

W ciągu ostatnich tygodni stracił jednak i to. Nawet największe łachy z okolicy wytykały go z pogardą palcami. Stał po drugiej stronie barykady, stał się wrogiem. Jedyne, co mu pozostało, to argument siły, który działa w każdych warunkach, jeśli niczego innego już nie ma. Wyraz desperacji i bezsilności.

Cofnął się. Jeśli podporządkuje się, przystanie na ich warunki, jego pozycja społeczna sięgnie chodnika. A wtedy wdepczą go w ziemię. Szarpnął drzwi i wyszedł przed kamienicę, stanął pomiędzy nimi. Przebiegł wzrokiem po zaskoczonych spojrzeniach, po czym błyskawicznym ruchem chwycił najwyższego za twarz i przycisnął go do ściany budynku. Wyszarpnął mu z ust skręta, rzucił pod nogi i przygniótł butem.

– Następnym razem powiesz na mój widok uprzejme *bonjour* albo spierdolisz przede mną w podskokach, żebym cię nie musiał oglądać. Rozumiesz?

Chłopak przymknął powieki na zgodę, bo z uwięzionych żelaznym uściskiem ust wydobywał mu się tylko nieartykułowany pisk. Rais pchnął go w stronę kompanów, którzy rozsądnie odsunęli się na bezpieczną odległość. Przerazenie w oczach chłopaka w ciągu sekundy zamieniło się w furję. Wyciągnął rękę z wycelowanym palcem w geście nieokreślonej groźby, bo za bardzo drżała mu broda, żeby wycisnąć z siebie odpowiednią wiązanekę.

– A teraz won mi stąd. Tutaj mieszkają spokojni mieszkańcy, nie lumpy!

Chłopcy jakby tylko czekali na odpowiednie hasło, które pozwoliłoby im na honorowy odwrót. Sypiąc cichymi komentarzami, ruszyli przed siebie. Zanim znikli za rogiem, odważyli się wyprostować środkowe palce i rzucić kilka arabskich przekleństw.

Rais kątem oka dostrzegł cienie przypatrujących się zajściu ludzi pochowanych za szybami okien. Normalnie sąsiedzi byłiby mu wdzięczni za utrzymywanie porządku na ulicy, ale w tych okolicznościach nie liczył na wiele. Był na straconej pozycji, cokolwiek by zrobił, i tak zinterpretowano by to opacznie. Był gliniarzem, marionetką znienawidzonej władzy.

Wbiegł po schodach na swoje piętro, jeszcze zanim otworzył drzwi do mieszkania, poczuł woń gotowanej kolacji. Zaraz za progiem zdjął buty, wszedł do kuchni i od tyłu objął stojącą przy garnkach matkę, pocałował ją w policzek. Usiadł przy stole i przez chwilę w milczeniu przypatrywał się jej zmęczonej twarzy. Nie musiała nic mówić, natychmiast domyślił się, że coś jej leży na sercu. Odczytywał to z jej ruchów, postawy, sposobu, w jaki mrugała oczami.

Milczenie przeciągało się, zaczęło gęstnieć.

– Nie musisz nosić tej chustki w domu, jest ci w niej niewygodnie, gorąco...

Nie doczekał się odpowiedzi, właściwie w ogóle na nią nie liczył. Nie pamiętał, żeby matka kiedykolwiek przykrywała głowę. Dopiero po śmierci męża zaczęła zarzucać chustkę na włosy, wychodząc z domu. Bardziej na znak żałoby niż wiary. Po represjach ze strony rządu zbuntowała się, jak wiele kobiet o arabskich korzeniach. Wiara stała się dla nich orężem politycznym, atrybutem walki o swoje prawa. I, co było niepojęte dla rodowitych Francuzek, krzykiem niezależności.

Po kilku minutach na stole pojawiły się dwa talerze z potrawką. Jedli w milczeniu otoczeni smugami pary i silnym zapachem przypraw. Nagle kobieta upuściła sztućce, które

z brzękiem uderzyły w porcelanę, nóż zsunął się i stoczył na krawędź stołu, spadł na podłogę. Odepchnęła od siebie talerz i wbiła wzrok w syna. Rais z zaskoczenia zapomniał przełknąć przeżuty kęs. Nie zdarzało się, żeby matka w ten sposób przerywała posiłek.

– Wiesz, że mnie te sprawy nie interesują, ja jestem tylko prostą kobietą. Nie chodziłam do szkół – zaczęła, powoli cedząc słowa. Po wstępie wypowiedzianym po francusku przeszła na arabski. – Zawsze byłam z ciebie dumna, wspierałam cię. Wiem, że to, co robisz, jest ważne, potrzebne. Ale ten chłopiec... Nie musieliście zabijać chłopca.

Powstrzymała go ruchem dłoni, kiedy zamierzał się bronić. Kontynuowała po kilku sekundach.

– Nie pokazali twarzy tego mordercy, ale ja go poznałam. To ten kolega z twojego wydziału, prawda? Prawda? – Przytaknął i spuścił głowę, jakby był winny udziału w zabójstwie. – Ja... Ja po prostu już tego nie rozumiem. Naprawdę, nie wiem już, co się dzieje. Co się dzieje, Rais?

Nawet gdyby chciał się obronić, nie potrafiłby. Nie znajdował argumentów, każda wersja opowiedzianej historii brzmiałaby fałszywie. Odczuwał winę za tę śmierć i nic na to nie mógł poradzić. Słowa matki bolały go, były niesprawiedliwe, ale przyjął je z ulgą. Przynajmniej nazwała rzeczy po imieniu. To nie Douis zastrzelił tego dzieciaka. Oni to zrobili, wspólnie.

Zadzwoił telefon. Wyciągnął aparat z kieszeni spodni, ale natychmiast odłożył go na blat stołu. Nie odebrał. Melodia zgasła po kilku sekundach, ale oboje wpatrywali się w wyświetlacz jak zahipnotyzowani, jakby stamtąd miała przyjść odpowiedź na nurtujące ich pytania. Przyszła, lecz nie taka, jakiej się Rais spodziewał. Ekran eksplodował blaskiem, napis zakomunikował otrzymaną wiadomość.

– Amir? – matka na głos odczytała kontakt. Spojrzała na syna z wyraźnym niepokojem. – Czy to ten Amir, Amir al-Said?

– Tak, mam, ale to nie jest...

Trzasnęła dłonią w stół, aż zadrżały talerze. Jeśli Rais miał wątpliwości, czy matka kiedykolwiek przerwała posiłek, to w tym przypadku ich nie miał. Jeszcze nigdy nie uczyniła podobnego gestu, który był zarezerwowany wyłącznie dla mężczyzn.

– Zabraniam ci rozmawiać z tym człowiekiem. Nie pozwalam ci na to!

– To jest związane ze śledztwem...

– Dostyc! Ty chyba postradałeś zmysły, synu. To źli, bardzo źli ludzie. To są mordercy. Gdyby twój ojciec żył... On nimi gardził, Rais, on nigdy by do tego nie dopuścił...

Podniosła się z krzesła i zaszlochła, przytrzymując dłonią piersi, jakby coś miało w niej pęknąć. Rais próbował ją objąć, ale go odepchnęła. Odwróciła się i podreptała na korytarz, zamknęła za sobą drzwi do sypialni.

Porucznik nerwowo spacerował wzdłuż ściany z półkami. Złamał matce serce dwukrotnie i chciało mu się z tego powodu wyć. Nie chciał, to wszystko działo się jednak bez jego bezpośredniego udziału, stał z boku i obserwował. Obowiązek wobec służby w policji nałożył się na zobowiązania wobec najbliższej rodziny. Na oba obciążenia wynikające z przynależności kulturowej. Ich ciężar przytłoczył go niemal do ziemi. Pierwszy raz w życiu zmuszony został do dokonania tak trudnego wyboru. Dwa razy łąpał za telefon i dwa razy go odkładał. Za trzecim razem jednak wybrał numer.

– To ja, Amirze. Będę u ciebie za pół godziny.

Poczuł się tak, jakby wpadł w zwój drutu kolczastego, który krępował i ograniczał ruchy. W którąkolwiek stronę próbował szarpać, przeszywał go przejmujący ból. Krwawił.

Salka katechetyczna na tyłach meczetu była ciemna i duszna jak sala gimnastyczna po zakończonym treningu. Szczelnie zamknięte okna dokładnie odgradzały zebranych od

zewnątrznego świata, zasunięte kotary dawały wrażenie separacji, żeby nie powiedzieć bariery. Klaustrofobiczną atmosferę dopełniał leniwie kręcący się wiatrak wentylacji szemrzący jak słyszane z oddali morze. Portowy basen w nocy, pomyślał Rais. Czarna falująca woda. Z tym skojarzył mu się zebrany tłum, podekscytowane szepty – z pomrukiem zbliżającego się sztormu. Większość zebranych uczestniczyła w spotkaniu po raz pierwszy, Rais sam dokładnie nie wiedział, czego się powinien spodziewać.

Wyglądał jak większość osób. Około trzydziestu mężczyzn w młodym wieku, kilka kobiet. Ubiorem wyróżniało się tylko paru, ich zwiewne białe galabije i modlitewne czapeczki rysowały się w półmroku jak podświetlone nienaturalnym blaskiem, wręcz gryzły w oczy na tle przeważającej czerni; brody podkreślały powagę twarzy. Raisowi też ten kolor wydał się najbardziej odpowiedni, jak większość naciągnął na siebie czarny T-shirt i ciemnoszare dżinsy.

Rozmawiano głównie o polityce, gdziekolwiek padało słowo Allah. Nie przyszli tutaj na nabożeństwo, a na wykład, więc Boga umieszczano w kontekście świeckim. Siedząca niedaleko dziewczyna o wielkich oczach gniewnym głosem perorowała o tożsamości, otyły facet, który z tyłu przypominał pękaty wór ryżu, scenicznym szeptem starał się udowodnić, że wojna jest święta, należy zabijać i ginąć. Chłopiec w obwisłej koszulce z jakimś amerykańskim raperem błyszczał szkiełkiem fałszywego diamentu w lewym uchu, tak samo fałszywie rozdawał nerwowe uśmiechy, nie mając pojęcia, w jaki sposób powinien się w tym miejscu zachować.

Rais przypomniał sobie raport sporządzony przez służby specjalne, który ostatnio czytał. Statystyki zdawały się mówić prawdę – młodzi ludzie wcale nie powracali masowo do wiary ojców. Odsetek osób deklarujących religijność był mniej więcej taki sam wśród chrześcijan i muzułmanów urodzonych we Francji. Meczety zapełniali zazwyczaj ludzie starsi, młodszy uczęszczali na nabożeństwa głównie w ramach wyrażanego buntu. Preferowali jednak nauki i tajne spotkania jak to, gdzie poruszano problemy polityki, kształtowano światopogląd. Nowoczesny islam to nie wiara, lecz projekt polityczny. Sposób na określenie tożsamości, odnalezienie zagubionych korzeni. Tym ludziom odmówiono uczestnictwa w społeczeństwie, w którym się wychowali, więc zaczęli tworzyć swoje własne. Na zasadzie negacji i buntu, agresji wynikającej z głębokiej frustracji.

Człowiek, na którego czekali, pojawił się w otoczeniu ponurych, dobrze zbudowanych mężczyzn, w których Rais natychmiast rozpoznał wyszkolonych agentów. Byłych policjantów do zadań specjalnych, może nawet członków służb wywiadowczych. Kilkoma uważnymi spojrzeniami przeskanowali uczestników spotkania, z całą pewnością wyłapując podejrzane jednostki. Czy on też do nich należał? Na wszelki wypadek nie podniósł wzroku, a zajmowane przez niego miejsce za workiem ryżu, niedaleko wyjścia, dawało mu niezłą osłonę. Wolał nie zostać zdemaskowany, w końcu przybył na zebranie w celach służbowych.

Imam Al-Bandżabi przebywał we Francji nielegalnie, znajdował się na liście osób wspierających terrorizm. Porucznik nie miał jednak wątpliwości, że swoje tournée odbywał za cichym przyzwoleniem polityków prawicy. Przy minimum zaangażowania aresztowaliby go już po pierwszym spotkaniu. Gówniarzeria przechwalała się udziałem w tajnych kompletach chętniej niż awanturami z policją. Kapusie wypaplabiby taką informację w lokalnym komisariacie za parę euro, nawet nie trzeba byłoby ich lać w pysk. Zaostrzenie się nastrojów w środowiskach muzułmańskich było wodą na młyn dla Frontu – to dzięki niepokojom społecznym wygrywał wybory, nie dzięki spokojowi i bezpieczeństwu. Paradoksalnie im gorzej, tym lepiej, a wróg narodowy zawsze jest najlepszym przyjacielem narodowców, udowodnił to już Hitler. Stary zły Żyd wracał w swojej nowej odsłonie – brodatego muzułmanina i jego kobiety w burce.

Al-Bandżabi był celebrytą dopracowanym w każdym szczególe. Stanowił wystudiowaną mieszankę wczesnego Fidela Castro ze współczesnym bojownikiem ISIS. Gniewny,



przeszywający wzrok, szkaradna blizna na czole, rozczochrana broda i wypływające spod czapki kufi szpakowate włosy. Niski, ale szeroki jak furgonetka, z poharatanymi od karabinów dłońmi, w które wsiąkała krew niewiernych. Podobno ścinał głowy maczetą, rozstrzeliwał jeńców z kaemu, palił, gwałcił i kamienował. W aktach miał tylko zarzuty nawoływania do udziału w dżihadzie, ale legenda szła w świat.

Grobowa cisza na widowni, która nastąpiła wraz z pojawieniem się duchownego, trwała niemal przez cały wykład, z kilkoma przerwami na pomruki niezadowolenia, chóralne wyznania nienawiści i chaotyczne oznaki aprobaty poglądów i stwierdzeń. Rais musiał przyznać, że imam doskonale przygotował się do występu. Mówił po cichu, chwilami wręcz szeptem, choć jego niski głos szczerze wypełniał pomieszczenie. Plastycznie i barwnie, poetycko, kiedy parafrazował teksty Koranu, w odpowiednich miejscach dosadnie, przy użyciu trafiających do młodych przekleństw i wulgarnych opisów. Kobietom płonęły źrenice, mężczyźni na przemian rozdziawiali usta i zaciskali pięści. Worek ryżu tak intensywnie naprężył mięśnie, że plecy falowały mu niczym flaga na wietrze. Chłopiec z diamentem w uszach zamarł, chłonąc przesłanie całym ciałem, jakby było anteną satelitarną. Poruszała mu się tylko grdyka, kiedy przełykał ślinę, i mrugające w tępej fascynacji powieki.

Było mało o religii, dużo o polityce, czyli dokładnie tak, jak Rais przypuszczał. O europejskim kolonializmie, amerykańskiej dominacji, przekonaniu białego człowieka o swojej rasowej i kulturowej wyższości, grabieży zasobów, planowanej eksterminacji ludzi zbędnych i sponsorowanej przez najbogatszych nędzy. O braku jedności w świecie muzułmańskim, o konieczności wspólnego projektu politycznego, o pokojowej odpowiedzi na teorię zderzenia kultur, o pokoju, który zawsze musi być poprzedzony przez wojnę. O prawach obywatelskich, równości i sprawiedliwości społecznej. O prawie wyboru i prawie oporu. Dar al-Islam, Dar al-Harb, Dar al-Sohl – ziemia islamu, ziemia wojny lub podporządkowanie się obowiązującemu prawu. Każdy wariant miał swój sens zależnie od okoliczności. Wbrew powszechnemu przekonaniu islam daje szeroki wybór. A jednocześnie nie pozostawia wyboru.

Rais zgadzał się z wykładowcą w niemal każdym punkcie, choć był niewierzącym socjaldemokratą. Geniusz Al-Bandżabiego polegał na tym, że potrafił przekonać do swoich racji ludzi o różnych poglądach. Sypał argumentacją jak mieszanką czekoladowych cukierków, każdy znalazł w niej coś odpowiedniego dla siebie. Populizm w najczystszej postaci, tyle że oparty na wartościach islamu. Tych najbardziej uniwersalnych, synkretycznych, pochodzących z czasów świetności, o bezsprzecznej wyższości teologicznej nad chrześcijaństwem. Porucznik poczuł wzbierającą w piersiach falę podekscytowania, pozytywnego napięcia. W tej chwili bez wahania zagłosowałby na tak. Wyszedłby na zewnątrz i przyłączył się do pochodu. Może nawet sięgnąłby za broń, przeładował i strzelił.

Przed oczami stanęła mu sylwetka zabitego chłopca. Nieruchoma, z rozrzuconymi rękami i podkurczonymi nogami. Z twarzą leżącą na szarym asfalcie, na którym bladej profil odznaczał się trupio na tle rosnącej kałuży krwi. Ponownie miał w dłoniach tę krew, dotykał bezwładnych mięśni, czuł pod palcami ulatujące życie. Podniósł ręce i przyjrzał się tym samym dłoniom, z których przed kilkoma godzinami zmywał bordowe lepkie skrzepy, zdrapywał je paznokciami. Obrócił je zewnętrzną stroną do góry i na dół, zwinął w pięści i wyprostował. Wyobraził sobie trzymany w nich pistolet, smród prochu i zastrzyk adrenaliny. Wzucie się w rolę zabójcy przyszło mu wyjątkowo łatwo. Na tyle łatwo, że sam mógłby nim być. Matka miała rację, to oni dokonali tej zbrodni, nie Douis. On, Rais, ponosił taką samą odpowiedzialność jak strzelec. Był zabójcą.

Zajęty swoimi myślami prawie nie zwrócił uwagi na słowa imama, które przepłynęły przez salę jak podmuch ze śmigieł wentylatora, nie pozostawiając w jego pamięci większego

śladu.

– Pamiętajmy o słowach proroka: „Bo żeby przyszedł pokój, musi wybuchnąć wojna, a żeby zapanowała cnota, należy się pozbyć grzechu. A grzech jest jak choroba, wirus, który musi zostać spalony, wypalony do ostatniego kawałka. To na nas spoczywa odpowiedzialność, żeby wzniecić ten ogień. W przeciwnym razie zainfekowane ciała zaczną gnić, tocząca je choroba będzie okrutna, zamieni ludzi w ochłapy mięsa. Męki doczesne dorównają mękom piekielnym, ludzie sami będą niszczyli swoje owrzodziałe, wyciekające ciała, rozdrapywali je, pożerali. Nie będąc już ludźmi, zamienią się w krwawe cienie. W duchy”.



Zamieniła się w cień. Biegła przez las. Noc lepiła się do jej spoconego ciała jak czarny puch, jak sadza. Gałęzie drzew pojawiały się znikąd, chwytając ją za ramiona i nogi. Najpierw pojedyncze, po kilku minutach tak gęste, że ledwo potrafiła się przez nie przedrzeć. Drapały i ocierały chropowatymi liśćmi, próbowały ją spętać. Czerń otaczała ją zewsząd, migające wokół gwiazdy mogły być równie dobrze ślepiami zwierząt, tajemniczy blask, który brała za poświatę niewidocznego księżyca – upiornym odcieniem przenikającym z innej rzeczywistości. Z innego świata.

Uciekała, ale nie wiedziała przed czym. To coś czaiło się w mroku, było tuż za nią. Oszałałe ze strachu serce tłukło w piersi jak młot, obce ciało żyjące własnym, szaleńczym życiem. Bała się odwrócić, żeby nie zgubić drogi, choć nie miała pojęcia, dokąd zmierza. Szum w uszach narastał, zdawał się przechodzić w szept, z którego wychwytywała niezrozumiałe słowa. Podpowiedź czy ostrzeżenie? Groźba? Kto do niej mówił i czego chciał?

Grunt pod nogami straciła tak nagle, że zorientowała się dopiero po kilku sekundach. Zawisała w powietrzu, wyobrażając sobie strome urwisko, z którego runie w bezmierną otchłań. Dół okazał się jednak płytki, miękki, jakby puch, przez który się do tej pory przedzierała, zamienił się w koldrę. Zanurzyła się w nim i wypłynęła, głęboko nabierając powietrza. Gwiazdy wciąż do niej mrugały, teraz widziała je dokładniej. Nachylały się nad nią, przypatrywały z chłodnym zaciekawieniem. Poruszały.

Wszystko się poruszało. Puch łaskotał ją dziesiątkami języków i łapek, okazał się legowiskiem szczeniaków. Ich sapania i pojękiwania były rozkoszne, uśmiechnęła się i przygarnęła je ręką. Było ich coraz więcej, lizwały mocniej, ssaly, gramoliły się na nią, kotłowały niczym mrowisko. Pierwsze ukąszenie odczuła jak ukłucie, następne przeszły ją niczym ciernie. Nabrała powietrza do krzyku, ale głos zamarł jej w krtani. Setki drobnych paszcz wgrzyzło się w nią i jednocześnie szarpnęło. Jej ciało zostało rozerwane na drobne kawałki, rozwleczone. A ona nagle zaczęła wiedzieć.

Jej ciało odpadło, pozostawiając огоłoczone kości.

Krzyk, który ją obudził, nie był wołaniem ze snu. Siedziała na łóżku odkryta, wpatrując się rozszerzonymi oczami we własne nogi. Wpadający przez okno snop porannego światła był wystarczająco silny, żeby nie budzić wątpliwości, nie angażować wyobraźni. Z krost na skórze wypływała ropna substancja, zalane prześcieradło przybrało barwę wymiocin. Drżące ręce miała umorusane w tej samej cieczy, spod paznokci wystawały kawałki zdrapanej skóry. Ból wypełzał z niej razem z torsjami, ale nie to było najgorsze. Pod skórą czuła przelewające się fale, podobne do tych, które nachodziły ją wcześniej, lecz dużo silniejsze. Topiła się od środka, w ciągu jednej nocy zamieniła się w nieszczelny worek z półpłynną substancją. Powoli podwinęła koszulę nocną. Brzuch pokrywały takie same wrzody, z większości jeszcze nie wypływały ohydne wybroczyny, nie zdążyła ich pootwierać.

Wrzasnęła ponownie, wybudziła się z odrętwienia. Do głowy przyszło jej jednocześnie kilka myśli, z których wybrała jedną. Pomoc, potrzebuje pomocy. Przechyliła się i spróbowała dosięgnąć telefonu. Straciła przyczepność, przesiąknięte krwawą ropą łóżko zrzuciło ją z siebie, z mokrym plaśnięciem spadła na podłogę. Podniosła się na kolanach i rękach, udało jej się strącić ze stolika nocnego aparat. Z trudem wybrała numer, rozmazując na klawiaturze smugi wybroczyn. W ustach miała tę samą maź, którą odczuwała w mięśniach, język zamienił się w rozmokłą kostkę mydła.

– Potrzebuję pomocy – wybulgotała w słuchawkę. – Pomocy, jestem... umieram. Ja chyba umieram!

Adres podała po kilkunastosekundowej przerwie, w której uświadomiła sobie, że naprawdę umiera. Jasność tej myśli ją poraziła. Wydarzenia z ostatnich dni wiodły do tego

jednego celu. To nie ciążyła się w niej rozwijała, a śmierć. Bardziej ze zdziwieniem niż strachem dotarło do niej, że naprawdę miała umrzeć.

Podpierając się na kolanach i łokciach, popęzła w kierunku łazienki. Pozostawiany przez nią czerwony ślad przypominał biegunkę czerwoni. Chłód kafelków w łazience podział na nią kojąco, piekąca od środka skóra łaknęła ulgi, tarzała się w uldze. W oczach stanęły jej łzy, ale siłą woli je powstrzymała. Z obawy, że płakałaby ropą.

W kolejnym przeblysku uświadomiła sobie, że musi przekręcić klucz w drzwiach, wpuścić sanitariuszy. Przeczółgała się na korytarz, chwytając krawędź futryny, uniosła się na tyle, by dosięgnąć do zamka. Zamarała w tej pozycji, zwisając z klamki jak krwawy łachman, gdy jej wzrok przypadkowo natrafił na ściennie lustro. Mimo panującego w korytarzu półmroku doskonale widziała twarz. Zapuchniętą masę pełną nabrzmiałych kraterów. Jeszcze się nie otwarły, twarz jeszcze nie wypłynęła na zewnątrz. Ześlizgnęła się na podłogę, schowała policzki w dłoniach. Mimo piekącego swędzenia nie przeorała ich paznokciami. Jeśli straci oblicze, straci siebie.

Zawyła ze strachu. Z jakiegoś powodu wydało jej się to dużo gorsze od śmierci.

Ocknął się szarpnięty za ramię.

Wpadające przez nieszczelny dach słońce zakłuło go w oczy jak piasek, w obronnym geście przysłonił powieki otwartymi dłońmi. Nie rozpoznawał stojących nad nim postaci, ale zdawały się tonąć w bieli. Demony powróciły, by go dopaść. Dokończyć to, czego nie udało im się dokonać tamtej nocy. Przenieść go żywcem do piekła.

Skulił się, plecami wcisnął w ścianę i zaczął skomleć. Po cichu, żałośnie jak przerażony pies, ze świadomością, że każdy głośniejszy dźwięk może rozjuszyć prześladowców. Rozlatujący się garaż nie chciał go w siebie przyjąć, popękany mur nie otwierał się, by pozwolić mu uciec, posadzka z odpadającymi grudami betonu nie rozstępowała się krecimi korytarzami. Wyfrunąłby, gdyby potrafił latać, sufit z niewielkimi strzępami powiewającej papy i nagimi żebrami porzewiałej konstrukcji przypominał porwany wicher parasol.

Zawsze zazdrościł dzikim zwierzętom ich dostosowania do nikczemności życia, umiejętności znikania i pozostawiania niewidocznym. Ale nigdy tak bardzo jak teraz nie marzył o przeistoczeniu się w mysz lub choćby parszywego karalucha, który zawsze znajdzie drogę ucieczki. Był w końcu niewiele mniej obrzydliwy i brudny, należeli do tej samej grupy szkodników żerujących na populacji ludzkiej. Tak samo roznosili choroby, byli symbolem miejskiego rynsztoka, społecznego odpadu. Dla insektów i zwierząt śmietniki były środowiskiem naturalnym, doskonale wpisywały się w każde warunki. Człowiek zepchnięty na margines zalegał na ulicy jak łach, ostentacyjnie wystawiał się na widok publiczny, zmuszał przechodniów do odbicia się w lustrze najgorszej nędzy, groził wizją alternatywnej, niższej egzystencji. Jednocześnie odpychał i przerażał.

– To na pewno ten? – padło pytanie.

– Ten, ten, przecież mówię. Paru chłopaków go zna, pomieszkuje w dokach.

Julian przez szpary pomiędzy palcami przyjrzał się stojącym nad nim mężczyznom. Postacie zamieniły się z białych w niemal czarne, wiły się niczym snopy dymu. Poczł nagłe kopnięcie w piszczel.

– Te, słyszysz, co do ciebie mówię? Rozumiesz po francusku, jesteś głuchy? Nie? Pytam się o nazwisko i dokumenty, kapujesz?

Ktoś nachylił się nad nim, przysłaniając słońce, siłą oderwał mu dłonie od twarzy, po czym zaczął przeszukiwać kieszenie. Próba obrony skończyła się grzmotnięciem w nos, od którego Julianowi zakręciło się w głowie. Krew trysnęła i spływała po nieogolonej twarzy, łaskotała jak pełzające robaki.

– Ma portfel, o ile można tę szmatę tak nazwać. Ty, patrz, jest dowód! Nieważny, ale wygląda na jego własny, ten sam osmolony pysk, tylko mniejszy i młodszy.

– Głupi i głupszy, normalnie. Wtedy wyglądał tylko na idiotę, a teraz patrz – skończony debil!

– Zdjęcia pasują, to może być on. Skuwamy i bierzemy ze sobą, zajmiemy się nim na dołku.

Słowa docierały do Juliana w postaci chaotycznych, przypadkowych sylab i dźwięków i tylko kilka ostatnich wyrazów zrozumiał dokładnie. „Bierzemy” i „na dół”, czyli piekło jest blisko. Przyszli po niego, a za moment spala go żywcem. To oznaczało koniec, nie było już dla niego żadnego ratunku. „Módl się, synku – często powtarzała mama. – Bóg może cię usłyszeć i przysłać na pomoc anioła”. W panice zaczął więc wypluwać z siebie potoki słów, wersy, nad którymi nie musiał myśleć, wypływały z niego w tak naturalny sposób, jakby się z nimi urodził. „Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękę, bo Ty jesteś ze mną...”

– Co on tam jęczy, coś purta? Pokaż mu, kto tu rządzi!

Ciężki but wbił się w miękkość brzucha z głuchym uderzeniem trzepaczki o dywan. Julian zakrztusił się, stracił oddech. Czarne smugi postaci przeobraziły się w czerwone punkty rojące się przed oczami. Ktoś wygiął mu do tyłu ramiona, plastikowe bransolety opięły się na nadgarstkach, zdrapując całe płyty naskórka. Jakaś duża siła wyrwała go z legowiska pod ścianą, ustawiła w pionie. Pchnięcie wyznaczyło kierunek, kopniak w tylek tempo marszu. Julian zwiesił głowę, żeby nie widzieć, dokąd idzie, nie wypatrywać śmierci. Skoncentrował się na śladach krwi, która kapiąc z nosa, znaczyła przebytą drogę brunatnymi kroplami.

– No ale nagroda, panie brygadierze, przecież wam go znalazłem.

– Nagroda? Słyszałeś, Pierre, coś o nagrodzie dla tego łacha?

– Jak to, obiecaliście, panowie, obiecaliście!

Histeryczny pisk mężczyzny wzbudził śmiech u przedstawicieli prawa.

– Zakablowałeś kolegę i jeszcze chcesz dostać za to nagrodę? Po mojemu to ci powinni mordę obiść, w ramach rewanzu i jako przestrozę dla innych.

– *Fils de pute!* Mieliśmy, chuju, układ! Pierdoleni złodzieje!

– Ty sobie lepiej uważaj! – Słowa policjanta natychmiast straciły ton ironiczny, stały się ostre i służbowe jak puszka z gazem łzawiącym.

– Daj mu, Pierre, te pięć dych i niech spierdala!

Julian dostrzegł lecący na ziemię zwitek pieniędzy, na które młody bezdomny rzucił się z drapieżnością głodującego szczura. Chwycił je i pobiegł w kierunku kępy chwastów wyrastających pomiędzy garażami a jakimś zapuszczonym podwórkiem. Potknął się i o mało nie wywrócił, wyciągając do tyłu pięści z wyprostowanym środkowym palcem.

– Pokazuj se, ile chcesz, gnojku – mruknął jeden z policjantów. – Prędzej czy później przyjdzie i twoja kolej, może nawet będziesz następny.

Kapitan nie uwierzyłby, gdyby jego wiara w system opierała się na zakłamanych dogmatach. Była znacznie głębsza, choć i tak niekiedy łapał się na naiwnym zaufaniu do instytucji demokratycznego państwa. Właśnie przeglądał kopię raportu z wczorajszych zamieszek, kiedy usłyszał na korytarzu znajomy głos. Spalone całe ulice, wybebeszone samochody, splądrowane sklepy. Kilkudziesięciu rannych, w tym kilku poważnie, dwie osoby zeszły na zawał serca. Jedno śmiertelne postrzelenie, którego sprawca swoim szerokim marynarskim krokiem zmierzał korytarzem do gabinetu szefa. Z każdej strony przyjmując gratulacje i słowa otuchy, rozdając uśmiechy i mrugając do bardziej wtajemniczonych. Dokładnie w ten sam sposób zachowywali się zwalniani z aresztu zbóje z dobrze zorganizowanych gangów, celebryci spod ciemnej gwiazdy. Porucznik Douis był jednak gorszy od zbója. Należał do

kategorii dużo bardziej niebezpiecznej, był wkodowanym w strukturę służby publicznej wirusem, który powodował jej gnienie od środka, coraz wyraźniejszy rozkład. I infekcja ta była nieuleczalna.

– Spierdalaj! – wysyczał na pełne zadowolenia powitanie, z którym porucznik przekroczył próg biura.

Promienny uśmiech natychmiast zniknął z jego graniastej twarzy.

– Ale z ciebie cham, szefie. Wiedziałem, że ta galanteria to tylko przykrywka. A ja przynoszę znakomite wieści.

– Jak dla mnie, Douis, to ciebie tu w ogóle nie ma, wciąż siedzisz na dołku. Więc lepiej mi zejdź z oczu.

– Spokojnie, już napisałem podanie o przeniesienie. Ale rozumiesz, szefie, biurokracja, terminy... Jakiś czas się jeszcze ze sobą pomęczymy. A poza tym mówią, że człowieka uznaje się za niewinnego, dopóki sąd nie zadecyduje inaczej, w związku z czym...

– Kpiny sobie, kurwa, urządzasz?! Srajaśmą sobie mordę wycieraj, nie zasadami, o których nie masz zielonego pojęcia!

– Nie mam? Czyżby, szefie? To może pogadamy o twoich problemach. Mówi się tu i ówdzie, że za twoje sprawy grozi ci znacznie więcej niż mnie za moje. Też się w pierwszej chwili zdziwiłem. Ale nastroje społeczne są, jakie są, życie brudasa jest dużo mniej warte niż brudne pieniądze. Nic na to nie poradzę.

Porucznik świdrował kapitana świńskimi oczkami, zaraz za żrenicami rozlewały się kałuże wyjątkowo trafionej ironii. Miał rację, a poza tym kilku wysoko postawionych kumpli, związki zawodowe i polityków Frontu za sobą. Za Claude'em nie stał zupełnie nikt.

– Jeżeli masz mi coś do powiedzenia, to słucham. W przeciwnym razie spieprzaj do siebie, mam robotę.

Douis obliznął wargi, jakby gotował się do konsumpcji ulubionej potrawy. Rekin, który nie ma innego wyjścia, jak tylko pożreć siedzącą po drugiej stronie biurka rybkę.

– Jedziemy na tym samym wózku, szefie. A w interesie policji jest, żebyśmy obaj dojechali do celu cali i zdrowi. No i naszym prywatnym, mam rację? Więc widzę to tak: ja zmieniam zeznania w sprawie dochodzenia korupcyjnego i odwołuję swojego psa, ty przypominasz sobie, że jednak widziałeś broń w ręku tego dzieciaka. Taka, wiesz, zbiorowa halucynacja, napięcie, stres, poczucie zagrożenia, te sprawy... Wszystko zresztą zgodne z prawdą, każdy psycholog potwierdzi. Więc jak, dogadamy się?

Kapitan nie odpowiedział. Najchętniej wykopałby tego nadętego faszystę z biura, pogruchotał mu kwadratową szczękę i wymodelował w coś bardziej ludzkiego, przyjemniejszego dla oka. Instykt samozachowawczy podpowiadał mu jednak coś innego. W tej chwili walczył o przetrwanie, a cel uświęca środki. Odwieczna mądrość i stare jak świat kompromisy, które prędzej czy później trzeba zawierać, ugniatając pojęcia dobra i zła w masę przypominającą mielonkę. Należy zjeść ją ze smakiem, choćby smakowała gównem. Nieważne, jak bardzo brzydki się więc swoim podwładnym i jakie obrzydzenie będzie czuł do siebie. Nie miał pewności, czy układ z Cipą był wystarczająco bezpieczny. Oferta Duce stanowiła atrakcyjną alternatywę. Może nawet jedyną.

Porucznik wziął milczenie szefa za dobrą monetę, wykrzywił twarz w tryumfującym uśmiechu.

– Zapomniałbym, szefie, po co przyszedłem. Dorwaliśmy tego bezdomnego psychola. Czekają na nas na dole z przesłuchaniem. Przyłącz się pan?

Wreszcie jakaś konkretna wiadomość, przełom. Claude zerwał się z krzesła i ruszył przodem, kierując się do sal przesłuchań na parterze komendy. Po drugiej stronie korytarza

mignęła mu sylwetka Fabia Montalego, który w swych wielkich czarnych okularach przypominał z daleka zmutowanego owada. Pojawił się i zniknął, jakby obawiał się wystawić na strzał. Żadna nowość, nikt lepiej nie potrafił unikać kłopotów od komisarza, z czym wcale się nie krył. Więcej, odczuwał z tego powodu prawdziwą dumę.

Aresztowanego ulokowano w tym samym pomieszczeniu, w którym poprzedniego dnia kapitan siedział ze swoim podwładnym. Weszli do środka, podporucznik Avery przywitał szefa skinięciem głowy z nieco oklapłym irokezem. Claude wyjął z teczki zdjęcie znalezione w rzeczach osobistych poszukiwanego i porównał je z siedzącą przed nim postacią.

– *Merde*, Marcel, wyszorujcie mu pysk, przecież nic nie widać! Na jakiej podstawie go zidentyfikowałeś?

Trójka policjantów skupiła wzrok na siedzącym po drugiej stronie biurka mężczyźnie. Sfilcowane kłaki opadały strąkami na twarz i szyję, czarna, brudna twarz nienaturalnie opuchnięta w stosunku do wychudzonego ciała bardziej przypominała karykaturę niż chłopaka uwiecznionego na fotografii. Rozbiegane oczy latały z szybkością muchy, usta co jakiś czas przebiegało drżenie niesłyszalnego słowa.

– Miał przy sobie dokumenty. Julian Soler, lat trzydzieści osiem. Niezatrudniony, miejsce zamieszkania nieznane. Kartoteka policyjna założona dziewięć lat temu, udział w bójkę. Odciski palców się zgadzają, to on.

Kapitan wziął do ręki po kolei dowód osobisty, raport z porównania odcisków palców i zdjęcie z akt. Podobieństwo wciąż było dalekie, nic dziwnego, że ludziom rzadko udaje się przekazać prawidłowy rysopis sprawców lub dokonać identyfikacji. Przekartkował akta i odłożył je na blat biurka. Wskazał Douisowi brodą drzwi i wyszli na zewnątrz, zajęli miejsca za szybą sali przesłuchań. Avery zaczął zadawać pytania. Po kilku minutach było jasne, że niczego z tego człowieka nie wyciągną. Był zbyt przerażony i roztrzęsiony, żeby wyartykułować pełne zdanie, najczęściej odpowiadał monosylabami, kilka razy wyrwał mu się jakiś zwierzęcy dźwięk.

– Widział pan jego dłonie? – zapytał Douis. – Ślady po poparzeniach. Nadpalone ciuchy. Oprócz odoru brudu wyraźnie czuć wachę. Jak dla mnie stuprocentowy podejrzany.

– Nie wiem. To może być za mało, połowa bezdomnych rozpała ogniska.

Kapitan wgniół przycisk interkomu i poprosił porucznika o zadanie pytania, dlaczego zostawił swoje rzeczy i po nie nie wrócił.

– Ogień – padła odpowiedź. – Ogień, paliło się. Człowiek krzyczał.

– Jaki człowiek, znałeś go?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Kto podłożył ten ogień, ty?

Ta sama odpowiedź.

– A kto? Widziałeś tam kogoś innego?

Bezdomny podniósł głowę i niespodziewanie trzeźwo spojrzął w oko kamery. Jego źrenice zatrzymały się, powiększyły.

– Duchy. Demony. Diabły. Chcą mnie spalić. Oni spalą nas wszystkich.

Marcel odwrócił się i spojrzął w stronę swoich zwierchników. Duce cofnęła zarejestrowany obraz i zatrzymała nagranie na wzroku mężczyzny, powiększył ujęcie. Teraz zdawało się, że w jego oczach rozbłysły płomienie.

– Jak dla mnie wystarczy, Inkwizytor jak ulał. Maniak z niezłym zajobem, na dodatek Murzyn. Prokuratora go zje na śniadanie. Trzeba nam czegoś więcej?

Claude zamyślił się, nerwowo stukając palcem o blat biurka. Żaden sąd nie skaże człowieka w takim stanie. Nie pierwszy raz jednak sprawca okazałby się nieznaczący psychicznie, tacy dopuszczają się najgorszych zbrodni, nie mając najmniejszego pojęcia o wadze



popelnianych czynów. Sprawca lub idealny kozioł ofiarny. W zasadzie kapitanowi było to obojętne, byleby zakończyć tę koszmarną sprawę. W najgorszym wypadku człowiek wylądował w zakładzie zamkniętym, na bezterminowych wakacjach z pełną opieką medyczną i czystym wyrem. Założyłby się, że w życiu tego typu rzadko bywało lepiej.

– Wykąpcie go, dajcie mu jeść, setkę wody czy czego tam potrzebuje. Załatwcie psychologa i zawiadomcie sędziego śledczego. Jak dobrze pójdzie, Armand, wieczorem będzie po sprawie.

Przed wyjściem z sali przesłuchań obrzucił podejrzanego wnikliwym spojrzeniem. W białym lekarskim kitlu wyglądał raczej na medyka niż pacjenta, choć swój zawód musiałby porzucić bardzo dawno temu. Wracając do swojego biura, poczuł się dziwnie lekki, po lawinowo narastającym ostatnio napięciu odetchnął z ulgą. Jak tylko usiadł w fotelu, zadzwonił telefon.

– Coś się stało, Is?

– Nie wiem, to znaczy chyba tak. Dzwoniła twoja ciotka Irène. Émilie wylądowała w szpitalu. Podobno jest źle, Claude, naprawdę źle.

Ciężar, który zdołał z siebie zrzucić, natychmiast zastąpił inny, jeszcze większy. Fotel pod Claude'em zajączkał.

Staneła przed regałem z płatkami śniadaniowymi. Przebiegła wzrokiem w górę i w dół, po czym przeszła się wzdłuż półek. Od feerii barw i kształtów dostała oczopląsu, nawołujące z pudełek postacie i przyciągające wzrok wykrzykniki zlały się w jeden wielki jazgot nadmiaru. Było tam wszystko z wyjątkiem tego, czego akurat szukała. Jej ulubione płatki zniknęły bez śladu. W ich stałym miejscu zawitał nowy produkt, żółto-zielony kartonik z wiewiórką zamiast żółto-różowego z pszczołką, który kupowała od lat. Grafika na zewnątrz ukazywała identyczną zawartość: miodowe pierścienie z pluskiem wpadające do miski mleka. Cena nie budziła jednak żadnych wątpliwości – sklep wybrał tańszy produkt w miejsce droższego. Céline założyłaby się o wypicie duszkiem butelki oleju, że nowy towar jest tylko marną podróbką poprzedniego.

Ze złością wrzuciła pudełko z wiewiórką do kosza, w końcu musi coś jeść. Pchnęła wózek w kierunku regałów z mlekiem, układając w głowie treść artykułu o pazerności akcjonariuszy i bezdennej głupocie ekonomistów ślepo wierzących w zbawienny charakter wolnego rynku. Gdyby sklepy mogły z zyskiem sprzedawać gówno, już dawno w hipermarketach pojawiłyby się gówniane czekoladki i kałowe lody. Co ich obchodzi, że wypychają ludziom odchody, skoro księgi się zgadzają? Konsument to termin marketingowy, nie człowiek. A najciekawsze w tej chorej logice jest to, że ten sam gnojek, który zajmuje się wciskaniem ludziom kitu, podrabianiem produktów i owijaniem ich w lśniące sreberka, idzie później do sklepu i sam te pozory kupuje.

Napisałaby ten artykuł, gdyby kogokolwiek w tej chwili interesowały problemy konsumenckie. To temat dobry na czas pokoju, teraz relacjonowała wojnę. Konflikt, w którym sama uczestniczyła, jej rola komentatora tym razem wzbogaciła się o pozycję ofiary. Céline posługiwała się w swojej pracy faktami, a fakty w tym przypadku nie dawały pola do jakiegokolwiek interpretacji. Została wchłonięta przez jedną ze stron walki, choć broniła się przed tym, jak mogła. Nie, to nie tak, nikt jej nie wchłoniął. Wepchnięto ją tam na siłę. Nikt nie staje się ofiarą z wyboru.

Starła się, żeby jej praca nie straciła na obiektywności. Każdy wpis analizowała kilkakrotnie, zanim umieściła go w sieci. Próbowwała nie działać pod wpływem emocji, ale ciągle poczucie strachu i niechęci wobec potencjalnych prześladowców mogło za bardzo wpływać na postrzeganie rzeczywistości. Nie da się tak oddzielić świata od przestrzeni własnej osoby, żeby patrzeć na wszystko z góry, z bezpiecznego dystansu kosmosu. Człowiek jest światem, ponieważ ten świat tworzy, składa się na ten świat. Jej upragnionej separacji miały pomóc mury

mieszkania, ale co jakiś czas musiała jednak wyjść na zewnątrz. Ucieczka oznacza jednocześnie poddanie się. A ona ciągle walczyła, nie zamierzała ustąpić tak łatwo.

Nie robiła zakupów od paru dni, lodówka opustoszała jak barek po całonocnej libacji. Zakupy przez internet byłyby najsensowniejszym rozwiązaniem, zawierały w sobie jednak zbyt duże pokłady pospolitego tchórzostwa. Céline postanowiła więc przełamać strach, wyjść na zewnątrz i wtopić się w tłum. Poczuć się częścią czegoś większego, udowodnić sobie, że walka ma jakiś sens.

Teraz wkładała do koszyka kartony mleka i zaczęła żałować tej decyzji. Ochroniarz, który obserwował ją przez chwilę ze stosowną dyskrecją, przykleił się jej do pleców jak plaster, posuwał się za nią krok w krok, wciąż przekazywał przez wkręcony w ucho mikroport jakieś uwagi. Biorą ją za złodziejkę? Nie zauważyła napisu zabraniającego wejścia kobietom z zakrytą twarzą? Pchnęła wózek, przyspieszyła kroku. Po drodze do kas wzięła jeszcze paczkę wędliny i kilka trójkątów sera, na chwilę zatrzymała się przed regałem z mięsem. Wybrała schab wieprzowy, ostentacyjnie prezentując go konwojującemu ją ochroniarzowi, jakby miał to być dowód na to, że nie jest muzułmanką. I w czymkolwiek jej pomóc.

Przy kasie usłyszała komentarze ze strony stojących przed nią kobiet, wygłaszane tak głośnym szeptem, że odbijał się echem od wysokiego sufitu. Młoda mama stojąca za nią schowała dziecko za siebie, jakby mogło się czymś zarazić. Kiedy kasjerka otaksowała ją swoim wrednym, wścibskim wzrokiem i wykrzywiła twarz z niewypowiedzianą naganą, Céline popłynęły z oczu łzy złości. Tylko w ten sposób udało jej się powstrzymać przed wybuchem, wszczynanie burdy byłoby najgorszym z możliwych rozwiązań. Najemnik w uniformie ochrony tylko czekał, żeby mu dała pretekst do interwencji. Nie tylko zresztą on, połowa klientów ucieszyłaby się, gdyby potwierdziła ich przypuszczenia, że jest jedną z terrorystek zakłócających ich zadolenie z życia.

Zapakowała zakupy i wyszła. Upał spłynął na nią jak wrzątek z przegrzewającego się prysznic, doskwierał zwłaszcza w kontraście z klimatyzowanym sklepem. Nie przeszkadzało jej to, na ulicy odzyskała pewność siebie, klaustrofobiczne wrażenie osaczenia nieco minęło. Zawahała się na skrzyżowaniu z boczną uliczką, którą ostatnio wracała do domu, by mniej rzucać się w oczy. Dlaczego? Czemu miałyby się kryć, podczas gdy oni pokazywali się ze swojej najgorszej strony, pysznili się swoją nietolerancją jak paw ogonem? Podniosła głowę i odważnie wybrała trasę biegnącą wzdłuż głównej drogi. Przez sam środek tłumy.

Zlekceważyła pierwszą zaczepkę, ale za drugim razem zrobiło się niebezpiecznie. Na głośną uwagę grupki nastolatków zareagowała dwójka wygolonych wyrostków. Na gołych ramionach nosili opaski z płomieniami Frontu Narodowego, na twarzach powagę służbistów wykonujących ważną pracę. Jeden z patroli milicji obywatelskiej, które po wczorajszych rozruchach zalały ulice miasta. Kibole, którzy znaleźli sobie nowy sposób na rozładowanie energii. Pogrobowcy Hitlerjugend żywcem przeniesieni do Marsylii z czasów, które skutecznie udało się Europie zapomnieć.

Przyspieszyła kroku, ale jeden z chłopaków chwycił ją za łokieć i przycisnął do ściany.

– Pani nie stosuje się do obowiązujących regulacji – usłyszała.

Przypatrzyła się im, próbując zachować spokój i nie panikować. Ten, który mówił, był wyższy i miał wytatuowany na ramieniu krzyż celtycki, którego dolna część wystawała spod rękawa białego T-shirtu. Drugi wciąż trzymał ją za ramię. Nosił koszulkę piłkarskiej reprezentacji Francji. I niech ktoś jej teraz spróbuje wmówić, że ten sport nie idzie w parze z chorym nacjonalizmem.

– Puszczaj mnie, smarku, bo wezwę policję! – Szarpnęła się, udało jej się wyrwać.

– Policję? Dobry pomysł, z chęcią wypiszą mandat.

– Chyba że zdejmie pani z głowy tę szmatę. Będzie, jak nakazują przepisy, a my zapomnimy o sprawie.

Céline roześmiała się nerwowo, na co ten wyższy zamachał w kierunku kręcących się przy skrzyżowaniu funkcjonariuszy policji. Ci nie dostrzegli gestu lub udali, że go nie widzą, i znikli za rogiem budynku z pulsującym na zielono neonem apteki. Niepowodzenie rozeźliło nazistów, kibic piłkarski zamierzył się, żeby siłą zerwać przysłaniającą twarz chustkę. Céline machnęła ręką jak kotka, rozdrapując mu dłoń do krwi.

– Łapy przy sobie!

Nic lepszego nie przyszło jej do głowy, choć pragnęła ich wyzwać od najgorszych, wykrzyzczyć cały swój ból, całą wściekłość i niemoc. Bardziej od strachu obezwładniał ją wstyd, że musi w tym uczestniczyć. Była główną aktorką przedstawienia cyrkowego, w którym wystawia się rozmaite dziwolągi. Niewielka grupka gapiów otoczyła ich i oczekiwała sensacji. Ani specjalnie nie kibicowali oprawcom, ani nie usiłowali bronić ofiary. Najwyraźniej liczyli na dobrą zabawę.

Nagle przy chodniku zahamował ostro samochód, wyskoczyło z niego trzech śniadych mężczyzn. Czwarty, kierowca, zawisł na skrzydle drzwi, gotowy do błyskawicznej ucieczki. Tłum gapiów rozsypał się i rozmył, chłopcy ze zdziwieniem spojrzeli za plecy. Ciosy spadły na nich z dziką furią, ten wyższy zdołał uciec, kibic piłkarski przewrócił się i skulił pod kopniakami. Akcja nie trwała dłużej niż dziesięć sekund. Céline pozwoliła się doprowadzić do auta, które ruszyło z piskiem opon.

Dopiero za trzecim razem zrozumiała pytanie i podała im adres. Nie było daleko, zatrzymali wóz pod jej kamienicą po niespełna minucie jazdy. Wsiadła, a jeden z mężczyzn przyniósł jej pod drzwi siatkę zakupów.

– Już po wszystkim, siostrze.

Patrzył jej głęboko w oczy i spróbował objąć, ale go odtrąciła.

– Nie jestem twoją cholerną siostrą!

– Przepraszam. Lepiej nie wychodzić do miasta samej, w razie czego możesz do mnie zadzwonić, przyjadę lub przyślę...

– Zostawcie mnie, po prostu zostawcie mnie w spokoju! Słyszysz?! Spierdalaj stąd!

Mężczyzna cofnął się, z zażenowaniem opuścił głowę. Przytaknął na znak, że rozumie. Była w szoku, co dotarło do niej, dopiero gdy zatrzasnęła drzwi do mieszkania. Usiadła pod ścianą w korytarzu i zanosła się szlochem. Z żalu, że musi znosić poniżenia ze strony innych i samej siebie. W gruncie rzeczy nie różniła się wiele od tych, którzy nie chcieli jej tolerować. Gdyby nie była ofiarą, najprawdopodobniej byłaby gapiem. Krytyczna, ale szczęśliwa, że jednak należy do tej części społeczeństwa, która uważa się za lepszą. Wciąż była białą, rodowitą Francuzką. Należała do „nas”, nie do „nich”.

Przypatrywał się Émilie przez drzwi, ale nie był w stanie przekroczyć progu sali szpitalnej. Dwa razy przeszedł obok, zanim w ogóle zdecydował się zatrzymać pod odpowiednim numerem. Nie potrafił jednoznacznie zdefiniować uczuć, paraliżowało go coś pomiędzy zmartwieniem i obawą a ulgą i wyrzutami sumienia.

Ciotka Irène, matka Émilie, była w drodze, TGV przyjeżdżał za dwie godziny. Dziewczyna nie miała nikogo innego, jak się okazało, nawet kochanka czy przyjaciela. Siedzenia przeznaczone dla krewnych były puste, na stoliku nie stały kwiaty, nie leżało pudełko czekoladek. Dopiero teraz Claude w pełni uzmysłowił sobie, że to on był tu dla niej jedyną rodziną. Więc może źle ją rozumiał, jej intencje nie były natury erotycznej, a po prostu potrzebowała bliskości, jakiejś emocjonalnej przystani. Wciąż jednak widział jej spojrzenie pełne spadających gwiazd, gęsią skórkę na ramieniu, gdy jej niechcący dotknął, przyspieszony oddech,

gdy stali zbyt blisko siebie. A jeśli właśnie w ten sposób okazywała potrzebę rodzinnych uczuć? Pod jakimkolwiek kątem by na to patrzył, zawiódł ją. Wykorzystał, porzucił, a następnie odsunął od siebie jak najdalej.

– Pan z rodziny?

Stała za nim postawna pielęgniarka o afrykańskiej urodzie. Podejrzliwie wbiła w niego białe okręgi oczu, jakby próbowała przeświecić myśli.

– Tak, jestem jej bratem ciotecznym. Nikogo innego tu nie ma, matka jeszcze nie dojechała...

– Wiem, to ja do niej łączyłam rozmowę. Proszę, niech pan wejdzie. Tylko niech jej pan nie niepokoi, jest bardzo słaba. No co się pan tak patrzy, nie ugryzie!

Pielęgniarka prychnęła pod nosem i z politowaniem pokręciła głową. Ruszyła przodem, przystanęła przy aparaturze i zaczęła sprawdzać odczyty. Claude w końcu zmusił się, żeby wejść do środka. Zatrzymał się przy nogach łóżka, z paniką w oczach objął wzrokiem nieskończoną liczbę kabli i węży oplatających dziewczynę. Zdawała się ofiarą żerującego na jej ciele mechanicznego zwierzęcia, robota o cielsku złożonym z urządzeń o nieznanym przeznaczeniu i ślepiów pulsujących ekranów. Wbite w nią żądła wysysały życie, którego pozostała w niej tylko resztką. Zbyt często oglądał poszkodowanych w wypadkach lub bójkach, żeby nie zdawać sobie sprawy z powagi sytuacji.

– Co jej jest? – Własny głos doszedł do niego jak mruknięcie zza ściany, nie poznałby go.

– O to musi pan zapytać lekarza, nie wolno mi udzielać informacji.

Ponownie wbiła w niego pierścienie białek, tym razem z wyraźnym oczekiwaniem.

Dopiero po długiej sekundzie zrozumiał jej intencje. Wiedziała, a on powinien ją nakłonić do złamania tajemnicy służbowej.

– Może mogłaby pani zrobić wyjątek... – wydukał, zupełnie nie wiedząc, jak podejść do sprawy.

W normalnych okolicznościach wykorzystałby swoją pozycję, ale nie prowadził oficjalnego śledztwa. Jedyne autorytet, jaki miał za sobą, to swoje metr dziewięćdziesiąt pięć i sto dwadzieścia kilogramów wagi. Nic, czym mógłby zrobić wrażenie na czarnoskórej big mamie.

– Chyba nie namawia mnie pan do złego, co?

– Nie, oczywiście, że nie. Ale...

– Ale co?

Splótnął dłonie jak uczeń niespodziewanie wywołany do tablicy. Odchrząknął.

– Proszę.

– Słucham?

– Proszę! A zresztą, jej matka będzie tu za niecałe dwie godziny, jeśli to taki problem, mogę poczekać.

– Ma jakąś dziwną infekcję. Robią badania, więcej będziemy wiedzieli po południu.

Podziękował skinieniem głowy i z ulgą zszedł z linii spojrzenia pielęgniarki. Powinien pytać dalej, ale stchórzył. Wiedział już, że choroba zagraża życiu. Wolał nie wiedzieć, jak bardzo.

Pielęgniarka pokręciła się i wyszła, zamykając za sobą drzwi. Zostali sami, Claude poczuł przypływ paniki. Najchętniej uciekłby i więcej tutaj nie wracał, zapomniał o całej sprawie, puścił swoją relację z tą dziewczyną w niepamięć. Podświadomie przyjmował takie rozwiązanie jako jedno z możliwych. Że Émilie po prostu umrze, a on będzie miał wreszcie spokój. Dla dobra rodziny był gotów z ulgą przyjąć wiadomość o śmierci osoby, która stanowiła dla niego zagrożenie. Liczyli się tylko Isabelle i dzieciaki, cała reszta była jedynie sumą zmiennych.

Bezkształtnym tłem.

Przymknął oczy, żeby nie widzieć okrutnie zniekształconej twarzy kuzynki. Nic nie pomogło, posiniaczone, opuchnięte oblicze tkwiło pod powiekami jak mikroskopijne zdjęcie. Nakładało się na obrazki z przeszłości, nawet tej najbliższej, na pamięć ostatnich spotkań. Starał się cofnąć dalej, do lat wspólnego dzieciństwa. Pofałdowana zatoczka o kamienistym brzegu, fale chlupiące o głązy obrośnięte glonami. Błyszczące rybki odbijające promienie słoneczne, mała, dziesięcio-, jedenastoletnia dziewczynka pluskająca się pod jego opieką. Kiedy zaczęła dojrzewać, rozrosło się między nimi uczucie. Chłopięce pożądanie z jego strony, ślepe zauroczenie z jej. Grzech, z którego powodu przez tyle lat żył w obawie i niepewności.

Uniósł powieki, jego wzrok natychmiast napotkał spojrzenie dziewczyny. Miała otwarte oczy, patrzyła na niego tak trzeźwo, jakby nie byli w szpitalu, tylko na jednej ze swoich rutynowych randek. Poruszyła napuchniętymi ustami.

– Émilie, co mówisz?

Nie słyszał. Przywołała go drgnieniem wskazującego palca, do którego przyczepiony był jakiś kabelek. Niechętnie podszedł do wezłowania łóżka, nachylił się nad nią. Owiął go zmieszany zapach lekarstw, wykrochmalonej pościeli szpitalnej, odoru chorego ciała i tej nieokreślonej nuty, którą często wyczuwał w prosektorium – śmierci. Coś mu się poruszyło w żołądku, wstrzymał oddech.

– To się stało parę dni temu, Claude. W metrze, coś mi się stało w metrze.

– W jakim metrze, Émilie?

– Kiedy jechałam w poniedziałek do pracy. Ten mężczyzna...

Majaczyła? Claude nie miał pojęcia, o co jej chodzi, ale nie zamierzał przerywać. To mogły być jej ostatnie słowa.

– Kto, Émilie, jaki mężczyzna?

– Dotknął mojej ręki, a później się dziwnie poczułam.

– Spokojnie, gwiazdko, coś ci się tylko przyśniło.

Gwiazdko, nie mówił do niej tak od czasu ich młodzieńczego związku. Wtedy była dla niego gwiazdką, która spadła z nieba. Uśmiechnęła się, a przynajmniej uśmiechem miał być grymas przecinający jej twarz. W jej oczach jak kiedyś pojawiło się nocne niebo, ale trwało tylko sekundę. Zaraz powróciła do poprzedniego wątku.

– Mężczyzna w metrze, Claude...

Zamknęła oczy. Claude zamarł, odniósł wrażenie, że przeniknęła go jej dusza, która według spirytystycznych teorii w chwili śmierci uwalnia się z ciała i ulatuje w górę.

Wyprostował się, głośno przełknął ślinę. Przeklął w myślach swoją tchórzliwość, przecież przyrzędy nie wskazywały na zatrzymanie akcji serca. Émilie tylko zasnęła.

Na korytarzu usłyszał nagły hałas, ktoś przebiegł, przetoczyły się nosze. Do sali wpadł niski lekarz w rozpiętym kitlu. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Co pan tu robi?

– Jestem z rodziny i...

– Proszę natychmiast opuścić oddział!

– Ale... Czy coś się stało?

– Natychmiast, bo wezwę ochronę!

Claude otworzył usta do kolejnego pytania, lecz szybko je zamknął. Nie chciał tam być i polecenie lekarza było mu jak najbardziej na rękę. Niczego bardziej nie pragnął, jak wyrwać się z tej atmosfery śmierci. Bez słowa minął mężczyznę i skierował się do wyjścia z oddziału.

W przeciwną stronę biegła pielęgniarka, gdzieś daleko kobiecy głos wydawał głośne polecenia.

Brakowało w tym chaosie jedynie rozpaczliwego krzyku kogoś, kto właśnie utracił bliską osobę.

W szpitalach zawsze jest tyle samo tętniącego życia, ile powolnego umierania.

Usiadł przy wolnym stoliku, przestawił krzesło tak, żeby jednocześnie podziwiać rozciągający się z tarasu widok na zatokę i obserwować kamienicę przy wąskiej uliczce schodzącej stromo w dół z boku. Zamierzał odwiedzić dawnego znajomego, który, jak niosła wieść, po latach tułaczki powrócił na stare śmieci i znów zaczął wykazywać się aktywnością w Środowisku. Nie zastał go w domu, więc postanowił poczekać, a knajpka La Rocher zapraszała zapachem świeżej kawy i cynamonowych ciasteczek.

Inny właściciel, lecz identyczna atmosfera. Dokładnie tak zapamiętał to miejsce, jako punkt spotkań mieszkańców najbliższych ulic, gdzie grało się w warcaby i karty, rozmawiało przy winie, czytało gazety lub leniwie wpatrywało w pejzaż poniżej. A było na co patrzeć. Zatoka wyglądała stąd jak starannie wyretuszowane zdjęcie, barwna, spokojna i nieruchoma, wręcz idylliczna. Była jak piękne wspomnienie przetrzymywane w pamięci, obietnica raj, który każdy potrafi sobie wyobrazić, ale wszyscy wiedzą, że nie istnieje.

Zamówił espresso, a po chwili wahania poprosił o ciastko cynamonowe. Nie jadł ich od wielu lat, nie potrafił sobie przypomnieć dlaczego. Zabronił mu lekarz czy po prostu przestały mu w pewnym momencie smakować? Teraz z przyjemnością wchłaniał świeży aromat, wsłuchiwał się w szelest pękających maślanych płatków, delectował się jego charakterystycznym, niemożliwym do podrobienia smakiem. Wystarczyło opuścić powieki, a natychmiast przenosił się w okres swojej młodości. Wtedy wszystko było przyjemnością, świat wydawał się nieprzeczytaną księgą, dopiero poznawaną. Wszystko zdawało się możliwe, marzenia nie były naiwnymi mrzonkami, lecz realnymi planami. Nikt nie przyjmował do wiadomości, że mogą się nigdy nie spełnić.

Otworzył gazetę, zaczął przeglądać nagłówki. Na dłużej zatrzymał się przy artykule o zapowiedzianej w związku z zaostrzającą się sytuacją w mieście wizycie premiera w Marsylii. Na zdjęciu zaprezentowano mężczyznę ze wzniesioną nad białym mównicy pięścią i zaciętą twarzą, z zaciśniętymi wargami. Gdyby zamienić garnitur na mundur, a trzy kolory Francji na hakenkreuz nazistowskiej Rzeszy, przerażająca karykatura straszyłaby swoją aktualnością. Podobnie jak fotografia na pierwszej stronie, gdzie brodaty imam chwalił się rychłym otwarciem Grande Mosquée, największej muzułmańskiej świątyni w Europie. Chytre oczka i jadowity uśmiech przywodziły na myśl warana, wystarczyło zamienić czapkę kufi na czarną jarmułkę i dokleić sprężynki pejsów, by dostrzec w obrazku Żyda. Jeden obcy zamienił innego, narzędzia propagandy pozostały podobne.

Ciszę zakłócił warkot rozregulowanego silnika. Biały citroën C5 przejechał obok i zajął miejsce na ciasnym parkingu po drugiej stronie ulicy, pomiędzy chudym jak ramię platanem a jego własnym mercedesem o lśniącej jak lustro karoserii. Starszy mężczyzna wytoczył się z wiekowego auta, trzasnął nienaoliwionymi drzwiami. Tak samo skrzypieli i kruszyli się od toczącej ich rdzy, skrzywiony właściciel i jego auto. Człowiek na odległość świecił niczym nieskalaną łysiną, dach pojazdu był porysowany i matowy. Nienaturalnie nachyleni do ziemi poruszali się głównie dzięki sile woli, pragnąc zasłużonego odpoczynku i niezakłóconego lenistwa.

Starszy mężczyzna wsunął banknot pod talerzyk i zwinął gazetę, założył okulary przeciwsłoneczne i ruszył w ślad za właścicielem ce piątki. Przeszli kilkadziesiąt kroków w dół stromej uliczki, przed ostrym wirażem skręcili w podwórko, ich kroki zachręściły na odpadającym od ścian tynku jak na ostrym żwirze. Śledzony, zaalarmowany odgłosem obcych butów, nerwowo obejrzał się za siebie, przyspieszył. Na chwilę znikł w objęciach suszącego się prania, mignął za rogiem werandy i wpadł do klatki schodowej, próbując zatrzaskać za sobą drzwi. Dawno nieużywane zawiasy jęknęły, klamka zapadła się na wyrobionej sprężynie, klucza

nie było w zamku od lat.

Mężczyźni naparli na drzwi z obu stron, przez chwilę siłowali się ze sobą w milczeniu, mimo wysiłku żaden nie ustępował.

– Czego chcesz? – z trudem wysapał łysy.

– Mam interes, Vogel, nic ci nie zrobię.

– Łaskawca! Żebym to ja przypadkiem nie zrobił czegoś tobie.

– Daj spokój, bo zaraz razem zejdziemy na zawał. Chcę tylko pogadać.

Łysy ostatkiem sił napał na drzwi, po czym z cichym przekleństwem ustąpił. Obaj oparli się plecami o przybrudzoną ścianę korytarza, wsparci ramionami na udach łapali oddech. Łysemu z ust zwisała pajęczyna śliny, oddech charczał mu jakimś głębokim zgrzytem z krtani, oznaką zacinającego się mechanizmu. Wyprostował się pierwszy i dał znać gościowi, żeby szedł za nim. Powoli wspięli się na drugie piętro, przytrzymując się podejrzanie rozchwianej i przeżartej przez korniki poręczy. Weszli do ciemnego mieszkania odstrasającego składających wizytę szarym korytarzem zakończonym komodą o wytłuczonej witrynie, która mogła ożyć i swymi szklanymi zębami rzucić się do gardła nieproszonym gościom.

Gospodarz wskazał przykryte kocami fotele w salonie.

– Napijesz się? Siadaj, coś przyniosę.

Wrócił po niespełna minucie, stanął w progu jak zamurowany, trzymane w lewej dłoni szklanki rozdzwoniły się.

– Odbiło ci? Po co ci to, do cholery, kto cię przysłał? Jeśli chodzi ci o te zakłady z poprzedniego tygodnia...

– Nikt mnie nie przysłał, Vogel. – Gość wymierzył trzymany w dłoni pistolet w drugi fotel, po czym odłożył broń na blat stołu. – Ale nie ufam takim skurwysynom jak ty, za dużo się swego czasu o tobie nasłuchałem.

Gospodarz odetchnął z ulgą, a następnie odchrząknął z zadowoleniem. Nalał do szklanek anyżówki i zatopił się w miękkim fotelu.

– Za dawne zwariowane czasy!

Napili się, po czym łysy zmrużył oczy jak stary jubiler przyglądający się grudce złota.

– Więc wspominałeś o interesie?

– Słyszałem, że ciągle kręcisz coś ze starymi kumplami.

– Zależy, kogo masz na myśli.

– Kogoś ważnego. Chcę, żebyś mnie skontaktował z pewnym człowiekiem. Ale nieoficjalnie, wiesz, o co mi chodzi.

– Może i wiem, może i kogoś znam. Muszę jednak wiedzieć, co zamierzasz.

– Rozwalić ci łeb, jeśli będziesz zadawał za dużo pytań.

Obaj spojrzeli na leżący na stole pistolet. Znajdował się w zasięgu ręki gościa, nawet gdyby wziąć pod uwagę starczy refleks i słaby wzrok, nie miałby on najmniejszego problemu, żeby chwycić za broń i trafić, zanim ofiara zdołałaby uciec. Łysy był jeszcze starszy i bardziej stetryczały.

– Dobra, mów, spróbuję ci pomóc.

Gość wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki kopertę z pieniędzmi i rzucił ją na stół po stronie gospodarza, któremu na ten widok rozbiegły się oczy.

– Drobny datek na realizację szczytnych celów. Połowa, druga połowa po załatwieniu sprawy.

– Jakiej sprawy?

– Potrzebuję dostać się na pewną zbliżającą się uroczystość. Od zaplecza i incognito.

Łysy nie potrafił powstrzymać uśmiechu, pozółkła sztuczna szczeka groteskowo

wysunęła mu się z otwartych ust. Przez długie lata uznawano go za terrorystę, musiał zniknąć z radaru służb specjalnych. Do kraju wrócił dopiero na starość. Nawet nie marzył, że przytrafi mu się jeszcze taka akcja.

Gość schował broń i wstał, minął gospodarza chciwie wpatzonego w białą kopertę i bez pożegnania skierował się do wyjścia.

– Hej! – Łysy pobiegł za nim, kiedy schodził już po schodach. Wychyli się zza barierki.  
– A kim ty w ogóle jesteś?

– Wyrzutem sumienia tego konającego miasta.

Wrócił tą samą drogą, wsiadł do swojego mercedesa i otworzył dach. Przymknął oczy i przez długą chwilę delektował się padającymi na twarz promieniami słońca, świszczącym w uszach ciepłym wiatrem.

– „Rozwalić ci łeb, jeśli będziesz zadawał za dużo pytań” – powtórzył szeptem.

– „Wyrzutem sumienia konającego miasta”.

Uśmiechnął się do siebie. Podobały mu się te zaczerpnięte z gangsterskich filmów teksty. Odgrywanie roli oprycha było niezłą zabawą. Tym bardziej że miało zakończyć się autentyczną draką.

Isabelle stanęła w progu pokoju i uporczywie wpatrywała się w nachylonego nad papierami męża. Widział ją kątem oka, dokładnie czuł na sobie wyrzut spływający na niego wraz z wyczekującym spojrzeniem.

– Dzieci czekają. Nie pocałujesz ich na dobranoc?

– Nie wiem, kochanie, mam jeszcze tyle roboty.

– Roboty? One czekają na swojego ojca całym dniami, a ty... Przecież nigdy nie przynosiłeś tego do domu. Co się dzieje, Claude?

Nic. Wszystko. Za dużo, żeby o tym mówić. Żadna odpowiedź nie byłaby prawidłowa, Claude schował twarz w dłoniach, głośno westchnął. Kłamstwo byłoby w tym przypadku prostsze niż prawda i mniej bolesne dla nich obojga. Ale za dużo pojawiło się ostatnio w ich związku oszustwa, brzydził się tego.

– Nie pójdę dzisiaj do nich, nie mogę.

– Jak to nie możesz? Jesteś ich ojcem, wynikają z tego określone zobowiązania, musisz...

– Wiesz, ile ja muszę, Is? Co ja muszę? Chcesz wiedzieć, opowiedzieć ci, czego się ode mnie wymaga? Popatrz na mnie, widzisz? Jest na mnie taka warstwa brudu, że nie mogę jej zmyć. Boję się... – Załamał mu się głos. Przeczesał włosy, opuścił nisko głowę. – Boję się, że je sobą pobrudzę.

Isabelle przestąpiła z nogi na nogę, splótła ramiona na piersi. Przez chwilę przytakiwała głową swoim myślom.

– Jasne, każdy pretekst jest dobry. Tylko mnie nie budź, jak będziesz wracał do łóżka, ja też jestem tym wszystkim zmęczona.

Zniknęła, a po chwili usłyszał szept dobiegające z dziecinnego pokoju. Zdawał sobie sprawę, że one nigdy tego nie zrozumieją. Sam nie potrafił się do końca określić, niewystarczająco próbował. Brakowało mu czasu i siły, cały w tej chwili wtopił się w otoczenie, był częścią prowadzonych spraw i problemów, które musiał rozwiązać. Jak tylko się z tym wszystkim upora, wróci do prawdziwego świata, do rodziny. Wynagrodzi zaniedbania, da z siebie więcej niż kiedykolwiek przedtem. Będzie wspaniałym ojcem i doskonałym mężem.

Wrócił do przeglądanych papierów. Raport sądowego psychologa był jednoznaczny – zatrzymany rano mężczyzna cierpiał na poważne zaburzenia osobowości, zaawansowaną schizofrenię oraz depresję maniackalną, praktycznie nie był w stanie normalnie funkcjonować. Z drugiej strony ekipa śledcza zebrała sporo dowodów, na podstawie których mogli spokojnie



postawić go w stan oskarżenia. Poszlaki były na tyle silne, że komendant policji zwołał konferencję prasową i ogłosił sukces, którego im tak brakowało. Plamy benzyny na ciuchach, popalone i osmolone dłonie, biały płaszcz, taki, jakie, według jego własnych zeznań, nosili sprawcy podpałek – bliżej nieokreślone demony. Może sam widział się w drugiej osobie. Sędzia śledczy kierował się tą samą logiką co Duce, kiedy wymieniał korzyści z oskarżenia bezdomnego o te brutalne morderstwa. Byli w stanie udowodnić mu sprawstwo czynów, ale nie winę, w związku z czym podejrzany wylądowałby w wariatkowie. Na czym skorzystaliby wszyscy. O sprawiedliwości nikt jakoś nie wspominał.

Wątek Rosjanina utknął w martwym punkcie, kiedy niespodziewanie pojawił się prawnik w drogim garniturze i zaczął uprawiać prawniczą demagogię. Informacje, które zdołali od niego wyciągnąć, w niczym im nie pomogły, prowadziły do kradzieży samochodów i przemytu. Przekazali je do innego wydziału i znów zostali z niczym.

Litery zaczęły się roić na kartkach, a następnie opadać z wersów, tworząc chaotyczne rumowiska niezrozumiałych treści. Był zbyt zmęczony, żeby analizować fakty. Złożył dokumenty na kupkę, zamknął laptop. Rozsiadł się wygodnie w fotelu, głowę zwiesił za oparcie, aż poczuł ból w rozluźnionych ścięgnach. Przydałby mu się masaż, a później dobry seks. Pomyślał o żonie, ale wyobrazenie jej nagiej sylwetki na łóżku nagle przeszło w wizję młodziutkiego ciała Émilie. Zawisł nad nim, nachylił się, czując bijący od niej żar pożądania. Przesunął językiem od pępka w górę. Kiedy doszedł do zagłębienia w szyi, skóra zaczęła się ciągnąć jak kozuch zdejmowany z mleka. Oderwał się od niej, a wtedy zobaczył rozkładającego się trupa o opuchniętej twarzy. Wciąż żywe oczy wpatrywały się w niego z niemym wyrzutem.

Ocknął się, zerwał z fotela. Przysnął, ale koszmar ze snu działał się naprawdę. Émilie była chora, a on nie potrafił poczuć żalu z tego powodu. Zdawał sobie sprawę, że ból przyjdzie później, pewnie wgrzyzie się w serce i będzie tam tkwił już na zawsze. W tych okolicznościach umiał jednak myśleć wyłącznie o sobie i swojej rodzinie. Zagrożenie życia kuzynki rozpatrywał jako rozwiązanie problemu, podobnie jak układy zawarte z Duce i Cipą. Poćwiartował się i posprzedawał na kilogramy jak tuszę. Dwumetrowy, odlany z żelaza monolit, za jaki chciał do tej pory uchodzić, okazał się źle pospawaną tandetą podatną na wahania pogody. Był w końcu przez parę lat żołnierzem. A dobry wojownik potrafi polec i podnieść się z pola bitwy, wylizać z ran i walczyć dalej. Claude był potrzebny sobie i swojej rodzinie, kompromisy i upadek wartości oznaczały przetrwanie.

Przeszedł do łazienki. Oplukał wodą twarz, przyjrzał się jej w lustrze. Nie było jeszcze tak źle, skoro ciągle wytrzymał własny wzrok. Dużo bardziej przeszkadzał mu zapach wydzielany przez ciało, odór całodziennego wysiłku, zmęczenia, fizycznie odczuwanej zgnilizny moralnej. Wszedł pod prysznic, odkręcił gorącą wodę, która parzyła go prawie jak wrzątek, długo szorował się gąbką i twardą szczotką do czyszczenia paznokci. Mydło nie było w stanie zmyć tego brudu, do tego potrzebował odkupienia, wielu naprawdę dobrych uczynków.

Kiedy wyszedł z łazienki, dobiegła go melodia dzwoniącej komórki. Odebrał.

– Właśnie oglądam nocne wiadomości, Eryan. Ten wasz komendant opowiada bardzo ciekawą historię.

– Czego chcesz, Cipa? Uzgadnialiśmy, że nie będziesz do mnie wydzwaniał.

– Spokojnie, tylko ten jeden raz, jakoś nie potrafiłem się opanować. Prawdziwy pech, bo akurat miałem ci sprzedać ciekawy tip.

Claude przełknął głośno ślinę, w dołku poczuł skurcz podniecenia.

– Jesteś tam, kapitanie? Halo!

– Mów, co wiesz, nie pajacuj.

– Dzielnica przemysłowa przy rue du Cavalier, hala magazynowa numer dwanaście. Masz

być sam.

– Sam? Chcesz mnie w coś zrobić?

– Nazwijmy to kwestią zaufania, ktoś tam będzie na ciebie czekał. Reszty dowiesz się na miejscu. Chyba kapitan policji z takim osiągnięciami nie boi się byle zakapiora z dzielnicy?

Claude bez pożegnania przerwał rozmowę. Nie miał ochoty wysłuchiwać idiotycznych uwag Cipy. Wybrał w telefonie numer Raisa, ale ten nie odbierał. Przez głowę przeszła mu myśl o Armandzie, ale nie zamierzał wplątać się w jeszcze większą aferę. Młodzi z jego ekipy odpadali, a na nikogo innego nie mógł liczyć. Nie ufał słowu zbója za grosz, ale nie miał innego wyjścia.

Ubrał się, do kabury włożył pistolet, drugi, mniejszy, schował w nogawce spodni. Do lewego przedramienia przyczepił pochwę z myśliwskim nożem. Włosy schował pod czapkę z daszkiem. Przejrzał się w ściennym lustrze na korytarzu. Był czarny jak noc i tylko twarz odznaczała mu się w półmroku jasną plamą. Ostatni widoczny fragment jego dawnej świetności.

Właśnie oglądała w telewizji nocne wiadomości. Komendant policji puszył się przed kamerą jak paw, choć ze strzechą rozwianych siwych włosów i tendencją do pompacyjnej błazenady przypominał raczej koczodana. Mimika jego kościstej twarzy i ożywiona gestykulacja nie pozostawiała pola do spekulacji – wydział kryminalny aresztował podejrzanego w sprawie tajemniczych podpałek, ta sprawa jest rozwiązana i wkrótce zostanie zamknięta.

Zdziwienie wśród dziennikarzy wywołał nie tyle komunikat o aresztowaniu, ile samo przyznanie się policji do powtarzających się w ciągu ostatniego tygodnia przypadków podpałek, potwierdzenie, że Inkwizytor rzeczywiście istnieje. Informacja ta pozostawała tajna do tego stopnia, że przecieki do prasy były znikome, a wszelkie domysły i przypuszczenia natychmiast ucinane przez wysokich rangą funkcjonariuszy komendy miejskiej. Rozwiązano więc sprawę, która dla opinii publicznej nie istniała. Równocześnie przekazano informację o przestępstwie i ujęciu sprawcy, problemie i antidotum na problem. Céline ten model współpracy z prasą dziwnie przypominał metody stosowane przez służby specjalne. Więc albo to one mieszały w tym palce, albo policja zamieniała się w tajną organizację działającą poza publiczną kontrolą.

Nie to jednak bulwersowało najbardziej. Céline zachłysnęła się herbatą, kiedy na ekranie pojawiła się fotografia domniemanego sprawcy. Był jakby żywcem zdjęty ze stron faszystowskich gazetek: czarny, o zniekształconej twarzy, obłąkanym spojrzeniu, z brudnym kołnierzem białego kitla wokół szyi. Sparszywiła, skundlona wersja rodzaju ludzkiego, doskonały podczłowiek. Wystarczyłoby rozdać ulotki z tą fotografią, a tłuszcza uliczna bez cienia wahania rozszarpałaby go na strzępy, wymierzając karę zgodną ze sprawiedliwością tłumu. Céline wzdrygnęła się, sama chętnie rzuciłaby w niego kamieniem, gdyby fałsz przedstawienia odgrywanego przez policję nie był zbyt ewidentny.

Podejrzanego aresztowano na czas dochodzenia, a prokuratura już zdołała zebrać pokaźny materiał dowodowy, pozwalający niezwłocznie postawić mężczyznę w stan oskarżenia. Sprawa przed sądem miała być rutynowa, wyrok skazujący powinien zapaść w ciągu kilku tygodni. Bez wątpienia, stwierdziła Céline, z marną pomocą obrońcy z urzędu i nadając sprawie priorytet, posadzić można przypadkowego przechodnia za spowodowanie wypadku samochodowego, do którego doszło cztery przecznice dalej.

A może była po prostu złośliwa. Bo wściekła była na pewno, a żądza rewanzu paliła ją w żołądku jak zgaga, nie chciała się dać ugasić. Najchętniej rozmontowałaby całą tę zakłamaną strukturę państwa na części i każdą z nich utopiła w miejskim szalecie. A gnojków z Frontu Narodowego ustawiła w kolejce na szafot. Gilotyny z czasów rewolucji francuskiej wciąż jeszcze zalegały w kazamatkach muzeów narodowych. Wystarczyłoby przejechać ostrza osetką do noży, a ponownie zalśniłyby żądzą krwi. Na razie jednak to politycy Frontu pałatali się po

najważniejszych mediach, a ich bojówki po ulicach Marsylii, podczas gdy ona siedziała zamknięta w domu, zaszczuta i odstawiona na bok.

Nie zamierzała odpuszczać. To już nie była zwyczajna robota, ale misja dziejowa. Pozostała co prawda sama na polu bitwy, nie oznaczało to jednak konieczności poddania się. Rozejmów taktycznych też nie uznawała. Planowała prowadzić swoją kampanię bez względu na okoliczności. Ostatnia sprawiedliwa, mała myszka piszcząca z mysiej dziury i kásająca po piętach. Roześmiała się z tej wizji siebie, osuszona do kolacji butelka wina wyrwała ją z przygnębienia. Sięgnęła po notes i zanotowała najważniejsze wiadomości. Powinna skoncentrować się na zaplanowanej wizycie premiera i zbiegającym się z nią otwarciem Grande Mosquée. Idealny temat do zaczepek i politycznych analiz. Naprędce ułożyła plan artykułu, który zamierzała podzielić na części i emitować codziennie, z wielkim finałem z okazji obu wydarzeń.

Spokoju nie dawała jej jednak sprawa podpaleń. Zaczęła grzebać w internecie, ale znalazła niewiele, parę notek na temat domniemanego Inkwizytora, które nie zawierały nawet pomocnych domysłów. Napisała e-mail z prośbą o pomoc do dziewczyny z biura prasowego komendy, z którą utrzymywała dobre kontakty, a następnie zalogowała się do cyfrowego archiwum „Le Méditerranéen”, wpisała do wyszukiwarki odpowiednie hasła. W kolejności zmieniła zakres czasowy, terytorialny i wyszukiwane słowa. Za każdym razem efekt był raczej mizerny, nie znalazła praktycznie nic. Miała za mało danych. Najpierw powinna przeanalizować bieżące dochodzenie, by mieć na czym oprzeć dalsze poszukiwania. Musiała czekać, czyli nie robić nic, co w pracy dziennikarza jest równoznaczne z medialną śmiercią.

Céline nie miała zamiaru umierać w tak prozaiczny sposób. Otworzyła kolejną butelkę wina, ząbek sera pokroiła w niewielkie kostki i usiadła przed białą tablicą, na której rozrysowywała wątki bardziej skomplikowanych śledztw, jakie zdarzało jej się prowadzić. Biel była dla niej najbardziej zniechęcającym kolorem, oznaczała pustą kartkę, czekający na zapisanie ekran laptopa, brak jakiegokolwiek pomysłu. Tabula rasa, na której mogłoby się znaleźć wszystko, a przynajmniej cokolwiek. Nie o to jej jednak chodziło, ona potrzebowała konkretnego. Tego jednego zdania, od którego pisarze rozpoczynają bestsellerową powieść, genialnej myśli leżącej u podstaw przełomowych wynalazków.

Wypiła kieliszek wina i zagryzła go kilkoma kostkami sera. Do głowy przychodziło jej wiele, ale nic wartego zanotowania na tablicy. Podeszła do regału z książkami i wyciągnęła stary egzemplarz *Zabić drozda* Harper Lee, zaczęła przerzucać kartki. Przepisała jeden cytat, a po chwili wahania jeszcze jeden. Podobały się jej, klasyczna, prosta mądrość przemawiająca do rozsądku, alegorycznie odnosząca się do rozważanych ostatnio kwestii. Postanowiła wstawić je na swój blog bez komentarza, nie wymagały dodatkowego opisu.

*Ale jeśli istnieje tylko jeden rodzaj ludzi, to dlaczego nie możemy żyć ze sobą w pokoju? Skoro wszyscy są tacy podobni, czemu schodzą czasem z dobrej drogi i zaczynają gardzić sobą nawzajem? Skaucie, mam wrażenie, że zaczynam coś rozumieć. Zaczynam rozumieć, dlaczego Boo Radley od tylu lat nie wychodzi z domu... To dlatego, że on chce tam zostać[6].*

*Gdy będziesz starszy, przekonasz się, że biali oszukują czarnych na każdym kroku, ale pozwól, że coś ci powiem, i nigdy o tym nie zapomnij: zawsze, gdy biały człowiek czyni coś takiego czarnemu, bez względu na to, kim jest, jaki jest bogaty i z jak znakomitej rodziny pochodzi, ten biały człowiek jest śmieciem[7].*

Nie czekała na pierwszy nienawistny komentarz, od razu podeszła do białej tablicy. Podzieliła ją na kolumny, w pierwszej umieściła listę motywów, w drugiej korzyści, w trzeciej potencjalnych sprawców przyporządkowanych do określonych grup. Połączyła to wszystko kreskami. Usiadła i obejrzała swoje notatki z dystansu. Z narastającego podniecenia duszkiem opróżniła kolejny kieliszek wina.

Uśmiechnęła się zadowolona. Może i ten biedny mężczyzna miał coś wspólnego ze zbrodniami, może nie, to było w tej chwili najmniej ważne. Udało jej się chyba odnaleźć prawidłowy schemat.

Zatrzymał samochód na skrzyżowaniu rue du Cavalier i rue San Miguel. Palila się tylko jedna latarnia, która i tak co kilkanaście sekund przygasała, jakby łapała ją czkawka. Z oddali dobiegało szczekanie psa, za ścianą baraku grał telewizor. Poza tym Claude słyszał jedynie swój oddech przyspieszony nadmiarem adrenaliny. Był zaledwie kilka kilometrów od centrum miasta, ale czuł się jak na wsi. Cisza była nienaturalna, jakby ktoś olbrzymią dłonią przysłonił usta całej dzielnicy, żeby nie zdradziła swej obecności.

Wyszedł z auta i delikatnie zatrzasnął drzwi. Skręcił w lewo, trzymając się blisko ścian starych biurowców, skierował się do dawnej fabryki czekolady. Po drugiej stronie zniszczonej jezdni piętrzyły się magazyny pokryte blachą falistą, większość z nich nie miała numerów. Dokładnie sprawdził lokalizację na Google Earth, ale układ budynków był zbyt zagmatwany. Dotarł do bramy wjazdowej na plac manewrowy, dalej musiał improwizować.

Cienie hangarów kładły się jeden na drugim niczym arkusze czarnego papieru. Gdzieś z tyłu świeciła lampa przemysłowa, jej ostry blask tworzył na niebie białą lunę. Na jej tle rysowały się wyraźnie kontury dachów, linia drabinek, kominów wentylacyjnych i porwanych odgromników. Z jakiegoś powodu zniknął księżyc, może po prostu nie chciał mieć z tym nic wspólnego, umywał ręce. Promienie gwiazd zassała jakaś czarna dziura.

Człowiek Cipy miał na niego czekać przy tylnym wejściu. Tylko Claude za cholerę nie wiedział, przy której hali ani gdzie jest przód, a gdzie tył. Skradał się schylony pod rampą, pod nogami chlupotała mu woda nigdy niewysychających kałuż. Przeszedł całą długość placu, ale nie zauważył ani jednego numeru. Cofnął się, przemknął zaułkiem pomiędzy byłą strażnicą z wytłuczonymi szybami a boczną ścianą pierwszego hangaru, pod butami zaszeleściły mu zeschnięte kępy karłowatych chwastów. Pomylił strony. Dopiero teraz znalazł się na tyłach budynków.

Jak na tę część każdego obiektu przystało, było tam jeszcze ciemniej. Do połowy skryty za rogiem Claude próbował coś wypatrzeć przed sobą, ale dostrzegał tylko jednolitą masę skondensowanej nocy. Przy każdym kolejnym kroku mógł stracić przyczepność i runąć z krawędzi ziemi wprost w lodowate odmęty kosmosu. Nigdy nie wiadomo, świat mógł równie dobrze kończyć się właśnie tutaj. Tak to przynajmniej wyglądało.

Błyskawicznie przylgnął do ściany, gdy obraz zafalował. Fale przybrały pozory kształtu, nieco innego odcienia wyłaniającego się z mroku. Regularny oddech należał do cudzych płuc, wydychał powietrze w innym rytmie niż jego własny. Claude wyjął z futerału pistolet, wycelował i odbezpieczył. Zgrzyt zamka huknął w tej ciszy jak piorun.

– Jeżeli to ty, glino, to lepiej odłóż pukawkę. Też trzymam gnata w dłoni, w najlepszym wypadku padniemy obaj.

– A w najgorszym?

– Spudłujemy, a wtedy dostaną nas Ruscy.

Trzasnęło krzesiwo zapalniczki, jaskrawy płomień wdarł się w noc, pozostawiając po sobie żar papierosa. Rozświetlona nim twarz była ponura i zarośnięta, poryta głębokimi zmarszczkami. Claude podszedł bliżej, ukląkł obok siedzącego mężczyzny, gotowy w razie czego do błyskawicznego skoku.

– Na co czekamy?

– Ja na kasę, którą Cipa obiecał mi za wsypanie Ruskich. Ty nie wiem, pewnie na medal. Kto tam za wami gliniarzami nadąży. Kumpłowałem się kiedyś z jednym. Urwało mu w pościgu ulicznym nogę, dostał rentę niższą niż moja matka, sprzętaczką w kamieniołomach, za pylicę

pluc. I wiesz, co jeszcze?

– Medal?

– Skąd wiedziałeś? – Na widocznej połowie twarzy mężczyzny zarysowało się autentyczne zdziwienie. Wyglądał się albo Cipa przysłał mu skończonego ćwoka.

Przez kilka minut siedzieli bez słowa. Papieros zgasł, przysłaniając ich jeszcze cięższą kotarą nocy niż przedtem. Dobrze w tym było to, że nikt nie miał szans ich zlokalizować. Niestety, oni też nie widzieli nikogo.

– Jada.

Claude wsłuchał się w ciszę i po chwili rzeczywiście wychwycił niski dźwięk silnika o dużej mocy. Chyba nie docenił tego człowieka, zdawał się lepszym wywiadowcą od niego. Warkot ciężarówki stał się wyraźny. Zasycały pneumatyczne hamulce, włączył się sygnał cofania. Jakies głosy zaczęły się nawoływać, w hangarze rozbłysło światło, rozświetlając tyły budynku żółtawą poświatą rzucaną przez podłużne okno, pod którym znajdowały się blaszane drzwi.

– Zamierzasz tam iść?

Claude obrzucił siedzącego pod ścianą mężczyznę zaskoczonym spojrzeniem.

– A niby po co się tutaj pchałem, na romantyczny spacer?

– Jak chcesz, ale pamiętaj, że oni najpierw strzelają, a dopiero później zadają pytania.

I gównie ich obchodzi, czy jesteś menelem, czy gliniarzem. Mają wielkie jaja i jeszcze większe plecy, boją się tylko samych siebie.

Claude wstał i zmierzył odległość do krawędzi okna. Podskoczył, zaczepił się palcami o kilkucentymetrowy gzymś, który z dużą dozą wyobraźni można było nazwać parapetem. Bez wysiłku podciągnął się i zajrzał do środka. Zeskoczył z powrotem na ziemię.

– Cholera, nic nie widzę. A ty dokąd?

– Sorry, panie władzo, dostałem zlecenie na kablowanie, nie przyjmowanie kulek. Idę do domu.

– Poczekaj, ilu ich tam jest? I co tak właściwie robią?

Mężczyzna odwrócił się i zaczął oddalać w kierunku ulicy. Po kilkunastu krokach znikł z pola widzenia, zatopił się w głębi nocy. Claude przeklął, odprowadziwszy go wzrokiem. Stał przy drzwiach i nacisnął klamkę. Drzwi nie ustąpiły, ale zamek był stary i prymitywny. Kapitan przez chwilę nasłuchiwał dźwięków ze środka, ale oprócz odgłosów rozładowywania ciężarówki niczego innego nie usłyszał. Wyciągnął z kieszeni spodni uniwersalny wytrych i pewnym uderzeniem wbił jego ostrze w zygzak dziurki od klucza. Odpowiednio nim poruszał, po czym przekręcił zamek.

Sięgnął po klamkę, ale w ostatniej chwili cofnął rękę. A jeśli ten dziwak miał rację i Ruscy naprawdę zaczną do niego strzelać? Nie miał pojęcia, ilu ich tam jest, co robią ani kim w ogóle są. Jeżeli przeładowują jakiś cenny trefny towar, nie będą mieli skrupułów, żeby go posłać do piachu. Przy odrobinie szczęścia może mu się uda przyskrzyńić jednego, najwyżej dwóch mniej ważnych, reszta zanurkuje w nocy i nigdy ich nie wyłowią. Akcja zakończy się jak w tamtym warsztacie. Na wojnie zawsze przeżywają najważniejsi. Mięso armatnie gnije anonimowo w zbiorowych mogiłach.

Wyciągnął telefon i ponownie wybrał numer Raisa, z tym samym skutkiem co przedtem. Wyszukał kontakt do Armanda, w tej sytuacji podpisałby nawet rozejm z diabłem.

Odpowiedziała mu poczta głosowa. Pomyślał o grupie taktycznej, ale najpierw powinien się upewnić, czy ma tu po co przyjeżdżać. Jeśli będzie ją fatygował na darmo, zasłuży na kolejną burę. A to mogłoby się dla niego źle skończyć. Nie miał innego wyjścia, niż działać solo.

Nacisnął klamkę, zawiasy odezwały się cichym zgrzytem. Wszedł na korytarz

rozjaśniony światłem padającym z hali. Minął szereg drzwi po obu stronach, przystanął w progu. Magazyn wypełniony był z jednej strony jakimiś beczkami na paletach, które sztaplarka wyładowywała z ciężarówki. Z drugiej strony znajdowały się regały z mniejszymi pojemnikami. Na rampie rozładowniczej stał facet z kajetem w dłoni, liczył towar. Przy stoliku za regałami siedziało dwóch gości, jeden wyglądał jak idealna kopia bandyty, który zwał podczas akcji w warsztacie.

Claude cofnął się w cień, wyciągnął telefon i wybrał numer dyżurnego oficera RAID. Zdołał przedstawić się i wyrecytować numer legitymacji, kiedy wstrząsnęło nim uderzenie w głowę. Aparat upadł, syjąc wokół piskliwym głosikiem kobiety po drugiej stronie linii. Claude runął twarzą na brudną posadzkę hali.

Cios kolby karabinu ogłuszyłby go, gdyby nie został zamortyzowany włosami zwiniętymi pod czapkę. Kapitan zerwał się i wskoczył za róg przybudówki biurowej. Przyjął pozycję do ataku i wyprowadził cios akurat w chwili, gdy napastnik wyłonił się z głębi korytarza. Nie trafił czysto, ale na tyle silnie, że mężczyzna stracił równowagę. Kopniak w splot słoneczny złamał bandytę w pół, facet zwał się ciężko na kolana, zanim jednak oparł czoło o beton, wypuścił z karabinu chaotyczną serię. Hangar wypełnił metaliczny dźwięk, kule odbiły się od posadzki i rozsypały wokół, przebijając kadzie z cieczą i kilka puszek z oleistymi płynami. W nozdrza wdarł się smród chemikaliów, po drugiej stronie magazynu rozkwitł ognisty kwiat wystrzału.

Naboje przedziurawiły blachę pół metra nad głową kapitana, który zdołał wyciągnąć pistolet i przyjąć pozycję do strzału. Posłał krótką serię w zrywających się zza stołu mężczyzn. Któryś z nich zachwiał się, ale obaj zanurkowali pod regał. Claude wstał, aby przebiec kilka metrów i zmienić pozycję, ale w tej samej chwili rozbrzmiała kolejna seria z automatu. Kule dopadły policjanta, kiedy mijał wejście do korytarza. Impet uderzenia pchnął go do środka. Upadł, czując w plecach przeszywający ból. Z wysiłkiem dźwignął się, otwierając drzwi do pierwszego z brzegu pokoju. Zamknął się w środku, podpełzł pod przeciwległą ścianę i wycelował broń. Zapanowała cisza.

Uciekli? Claude przeprowadził błyskawiczną analizę sytuacji. Nie była tak beznadziejna, na jaką wyglądała. Taktyczni pewnie zdołali już namierzyć lokalizację komórki, ruszyli w drogę. On sam miał dwa pistolety, po dwa zapasowe magazynki na sztukę, da radę się bronić do przyjazdu posiłków. Niepokoił go tylko smród chemikaliów, który gryzł w nos z podejrzaną siłą. Rozświetlił wnętrze pomieszczenia latarką. Było to zwykłe biuro z kilkoma szafkami, biurkiem i komputerem stacjonarnym, na ścianie wisiały tandetne grafiki z hipermarketów. Nie to jednak zaniepokoiło Claude'a. Konstrukcja pomieszczenia wykonana była z kontenerowych modułów, przez nieszczelny panel od strony hali do środka wpełzały jęczory jakiejś cuchnącej substancji. Nie mógł tam zostać, jak najszybciej powinien uciec z budynku.

Dźwignął się, sycząc z bólu. Kiedy był w połowie drogi do drzwi, powietrze znów wypełnił huk strzałów z karabinu. Pociski przeszły blachę jak papier, trafiając Claude'a w pierś nieco powyżej serca. Runął na pokrytą wykładziną podłogę i rozwarł usta, próbując złapać oddech.

Znieruchomiał.

Pokój zalewała poświata telewizora, wielobarwne plamy obrazu padały na podłogę i ściany. Głośniki wydobywały z siebie stłumione tony, które z ledwością układały się w słowa i zdania. Rais wpatrywał się w ekran, ale nie zwracał uwagi na akcję filmu. Dialogi docierały do niego tylko dźwiękami, obcą, niezrozumiałą mową.

Matka przysnęła w swoim fotelu. Głowa opadła jej na bok, sylwetka z nienaturalnie podkurczonymi i wykrzywionymi nogami ułożyła się w nieforemne „S”. Zakutana w czarny hidżab wtapiała się w ciemne tło, stając się prawie niewidoczna. Przez to niezwykle wyraźnie

rysowała się jej twarz, maska wycięta z innego oblicza i nałożona na postać o nieokreślonym kształcie. Jasna i wyraźna, pozornie poruszająca się w cieniach i barwach telewizora, odgrywająca przed nieobecną widownią tajemniczą, pełną emocji pantomimę. Powinien obudzić ją i zaprowadzić do łóżka, rano znów będzie się uskarżała na ból pleców. Obawiał się jednak kolejnej konfrontacji. Jeszcze nie zakończyli poprzedniej kłótni, która wybuchnęła przy kolacji.

Problemy, których nie potrafił rozwiązać, wątpliwości, których nie potrafił wyjaśnić. On ją rozumiał, do niej nie trafiały jednak żadne argumenty. Prosta, niewykształcona kobieta, cały swój światopogląd opierająca na poglądach męża, po którym pozostała pustka nie tylko w domu, ale i w jej umyśle. Nikt nie był w stanie wytłumaczyć jej tych gwałtownych zmian, wydarzeń, które się wokół niej działy. Jej syn znalazł się za blisko epicentrum tego konfliktu, w orbicie wciągającej go czarnej dziury polityki, której sam nie rozumiał. Czuł, że unosi się w nieważkości bez jakiegokolwiek punktu odniesienia. Nie poddawał się, ale kierowały nim siły, na które nie miał żadnego wpływu. Jeszcze nigdy nie czuł się taki słaby.

Z zamyślenia wyrwała go wibracja dzwonka, telefon rozświetlił się i zatańczył na szklanym stole. Sięgnął po niego, ale nie przyjął połączenia. Nie miał najmniejszej ochoty na rozmowę z Eryanem, który wyjątkowo uparcie próbował tego wieczoru nawiązać kontakt. A raczej tej nocy – dochodziła północ. To było jak na jego zwierzchnika wyjątkowe. Co jak co, ale wieczory z rodziną stanowiły dla niego świętość, starał się w tym czasie nie zawracać bez powodu głowy ani sobie, ani innym.

– Coś się stało?

Matka ocknęła się z drzemki i wpatrywała w syna nienaturalnie rozszerzonymi oczami.

– Nic, mam. Jest późno, powinnaś położyć się spać. Chodźmy, zaprowadzę cię.

– Ale ojciec jeszcze nie wrócił, musimy poczekać.

– Nie, mam, dzisiaj ma nockę, nie pamiętasz? Chodź, położysz się do łóżka.

Delikatnie podniósł ją z fotela i objął w pasie, poprowadził do sypialni. Dreptała małymi kroczkami jak zagubiona staruszka, której pomyliły się czas i miejsce. Nie było sensu tłumaczyć jej, że mąż nie żyje i nigdy nie wróci, rano i tak nie będzie tego pamiętać. Podobne majaki zdarzały się stosunkowo często, musiała mieć tak intensywne sny z udziałem męża, że zamazywały jej poczucie rzeczywistości.

Rais wrócił do salonu i sięgnął po telefon, który w tej samej chwili rozdzwonił się znowu, prawie wypadł mu z dłoni.

– Czego chcesz? – warknął do słuchawki. – Jest noc. A co może być niby takiego ważnego... Co? Dobra, zaraz będę.

Przeklął pod nosem i zgasił telewizor. Pokój wypełnił gęsty mrok, noc była wyjątkowo ciemna. Wyjrzał przez okno, w parkującym w niedozwolonym miejscu citroenie rysowały się cienie kierowcy i pasażera. Podszedł do drzwi wyjściowych, ale znieruchomiał z ręką na klamce. Przez głowę przebiegło mu nieskonkretyzowane uczucie, szary, deszczowy obłok, od którego dostał ataku dreszczy. Cofnął się i wyciągnął z szafy szelki z kaburą. Założył je, a chłodny dotyk rękojeści pistoletu dodał mu pewności siebie. Narzucił lekką kurtkę i wyszedł. Zamykając za sobą drzwi, pomyślał o późnym telefonie od szefa. Albo analizował śledztwo i na coś wpadł, albo stało się coś nieoczekiwanego. Rais mógł tylko mieć nadzieję, że nic złego.

Usiadł na tylnym siedzeniu, samochód ruszył.

– Dokąd jedziemy?

– Chyba nie chcesz gadać pod własną klatką schodową? – odezwał się mężczyzna siedzący w fotelu pasażera.

Rais nie znał go, ale wyglądem nie różnił się od przeciętnego Meteka. Wąsy doskonale komponowały się z rzadkimi włosami i materiałową kurtką z bazaru. Prowadził Amir, jego

najlepsza wtyczka w dzielnicach północnych. Tylko dlatego Rais zgodził się na spotkanie, choć okoliczności były co najmniej podejrzane.

Zatrzymali się przy nieoświetlonym skwerku za byłym boiskiem szkolnym, które po obcięciu funduszy na edukację zamieniło się w płacheć zielska. Pordzewiałe konstrukcje do koszykówki nocą pięły się w górę jak ruiny po bombardowaniu. Z krzaków kwitnących śmieciami po czekoladzie i chipsach wyłonił się kształt. Wsiadł do samochodu, zanim Rais zdołał zadać stosowne pytanie.

– Widziałem cię na zebraniu – zaczął bez wstępu mężczyzna. – Ludzie godni zaufania ręką za ciebie.

Amir z rękami na kierownicy wpatrywał się w przednią szybę, pasażer utkwiał wzrok w tylnym lusterku. Jedną rękę trzymał pod kurtką, pod którą rysował się przedmiot o tępej końcówce. Rais pomyślał o swojej broni, grzecznie spoczywającej w kaburze pod lewym ramieniem. Wyjęcie jej, odbezpieczenie i wycelowanie zajęłoby mu mniej więcej tyle czasu, ile wąsaczowi wystrzelenie połowy magazynku. Może jednak nie był na straconej pozycji. Obok niego siedział sam Al-Bandżabi.

– Chce się pan oddać w ręce policji?

W samochodzie zapanowała kilkusekundowa, pełna napięcia cisza. Przerwał ją cichy śmiech imama.

– Zapunktowałbyś, Rais, gdyby udało ci się zaciągnąć mnie na dołek. Podwójnie, złapałbyś terrorystę i oddał w ręce policji jednego ze swoich. Twoim szefom z Frontu by się to spodobało, może nawet przyjęliby cię w swoje szeregi. Ty jednak jesteś na to za mądry, Rais.

– Jestem wystarczająco mądry, żeby nie łąpać się na tanie komplementy. A ty raczej nie fatygowałeś się, żeby mi je prawić. O co więc chodzi?

– Nie lubisz marnować czasu, podoba mi się to. Ja, wbrew pozorom, też jestem człowiekiem czynu.

– Co nieco słyszałem.

– Bzdury, jak się domyślasz. Ale ludzie potrzebują bohaterów i legend. Ja jestem intelektualistą i politykiem, po prostu podróżuję i zbieram informacje, niekiedy przekazuję je dalej.

– Jeśli wydaje ci się, że coś wiem, to się mylisz. Ja jestem, chłopie, prostym gliniarzem, staram się bronić dobrych ludzi przed tymi złymi. Nie interesuje mnie polityka.

– Ale mnie właśnie o to chodzi, Rais. Chciałbym cię poprosić o pomoc w sprawie, która może pomóc w walce ze złem, przysłużyć się dobru ogółu.

Rais parsknął pod nosem, ale poczuł przyspieszone tętno, żołądek ścisnął mu się w przypiływie podniecenia. Czyżby próbowali go zwerbować do udziału w zamachu? Jego, który czuł organiczną awersję do przemocy i zabijania? Al-Bandżabi sięgnął pod kurtkę i wyciągnął sporą kopertę, położył ją na siedzeniu przed Raisem.

– Za parę dni wydarzy się w mieście coś ważnego. Chciałbym, żebyś na to zerknął, prawdopodobnie będziesz blisko tej sprawy. To informacje zebrane przez wywiad, nie pytaj, jak je zdobyłem.

Uśmiech niedowierzania nie schodził Raisowi z twarzy. Niemożliwe, żeby to działało naprawdę.

– Robicie sobie ze mnie jakieś jaja. To taki żart, prawda?

Miny mężczyzn były ponure jak popiersia rzymskich cesarzy. Biło od nich śmiertelną powagą. Rais wziął do ręki kopertę i zważył ją w dłoni. Była ciężka i całkowicie realna.

Terrorysty naprawdę zwrócili się do niego o pomoc.

Chrupnięcie pocieranej o draskę zapalki poprzedziła nienaturalna cisza, jakby nagle



wyłączono odgłosy całego świata. Podobno tak dzieje się przed potężnym kataklizmem – uderzenie żywiołu zawsze poprzedzone jest doskonałym milczeniem. Wszelkie życie zamiera, a po chwili zanika.

Spodziewał się jakiegoś wielkiego wybuchu, ale nic takiego nie nastąpiło. Ogień oznajmił swoje nadejście szeptem przypominającym powiewy hulającego wiatru. Do pomieszczenia wpełził płytkim, pomarańczowozłotym kożuchem i zatrzymał się na krawędzi plamy benzyny. Cofnął się po kilku sekundach, kiedy zabrakło paliwa, ale zaraz zaczął wdrapywać się na ścianę, pożerając farbę olejną. Wnętrze pomieszczenia zatańczyło, kąty zaokrągliły się, poustawiane pod ścianami przedmioty zafalowały, powoli unosiły się i zawisały w powietrzu. Temperatura podskoczyła, rozgrzany tlen buchał w twarz i piekło podczas oddychania.

Zastłonił się łokciem. Drugą ręką chwycił grabie i odsunął od siebie karton z gazetami, wokół którego podskakiwały pojedyncze płomienie. Podpierając się narzędziem jak kulą, pokuśtykał do drzwi. Dotknął klamki i natychmiast oparzył sobie skórę. Schował dłoń w rękawie i ponowił próbę, drzwi były zamknięte. Tego się spodziewał: zaraz po tym, jak wpadł do środka, słyszał, jak coś ciężkiego opada z głuchym uderzeniem na blachę. Ktoś zabarykadował jedyne wejście, żeby się nie wydostał na zewnątrz. Miał spłonąć żywcem.

W nagłym przyptywie paniki zaczął walić pięściami w ścianę. Blacha bębniła, ale nie ustępowała. Mógłby spróbować w miejscu, gdzie pokrywała ją warstwa przezroczystego ognia, od którego cienkie żelazo gięło się i pękało. Pokonać strach, z rozpędu rzucić się na nią, przebić i wylądować po drugiej stronie, na otwartej przestrzeni. Na wolności.

Lub nie dać rady i pozwolić, by jężory polizały go, przeskoczyły na ubranie i potraktowały skórę jak nowe paliwo, z sykiem wżarły się w jego żywą tkankę. Za duże ryzyko. Miał jeszcze kilka chwil, zanim pożar pochłonie wszystko. Myśli goniły jedna drugą, krzyżowały się, zderzały ze sobą i pryskały. Nadzieja zniknęła wraz z zasysanym powietrzem, które zastępowały kłęby toksycznego dymu. Dusił się, gorąco i popiół dotarły do płuc, konsumowały go teraz od środka. W panice przyspieszył ruchy, szukał czegoś, czego nie potrafił określić, miotał się, błędził rękami po omacku, wpatrzony w zbliżający się żywioł.

Gałki oczne schły, z rozdziawionych ust wydobył się chrapliwy krzyk, oszalały wrzask bez znaczenia i treści. Włosy kurczyły się i zawijały w sprężynki, brwi i powieki zniknęły. Wyciągnął przed siebie ramiona w obronnym geście, ale rozżarzone powietrze odtrąciło je niczym lepszy bokser gardę gorszego, otaczało i zaciskało w uścisku. Już nie chciał żyć, pragnął umrzeć. Teraz, w następnej sekundzie, zanim dopadnie go piekło. Upadł na kolana i zaczął modlić się o śmierć.

Myśli wyparowały zastąpione zdjęciami i fragmentami filmów. Mówi się o całym życiu przebiegającym przed śmiercią od początku do końca w postaci przewijanej taśmy. W jego przypadku było odwrotnie, cofał się w przeszłość, jakby w ten sposób próbował uciec do łona matki, znów stać się pojedynczą komórką bez świadomości i uczucia. Równolegle rozgrywała się scena, która doprowadziła go do tego miejsca. Ostatnie chwile przed wpadnięciem w tę morderczą pułapkę, sens tego, co się wydarzyło.

Starał się przypomnieć sobie twarze tych ludzi, ale zamiast głów widział płomienie. Buchały prosto z korpusów, wijące się łby węzowatych hydr. Zastanawiał się dlaczego, po co im była jego krzywda, na co miała się złożyć jego ofiara. Nie uczynił nic, za co trzeba byłoby go w ten sposób ukarać, robił wszystko, by być dobrym człowiekiem. Nie wierzył w los ani przeznaczenie, ale zdawało mu się, że rozumie pojęcie celu, sensu egzystencji. Dostrzegał związki przyczynowo-skutkowe, każda akcja niosła za sobą reakcję. Więc dlaczego miał zginąć w płomieniach, jeśli nic nie zawinił? Czy właśnie na tym się to wszystko opiera, na przypadku i braku jakiegokolwiek znaczenia?

Co dziwne, wspomnienia rodziny, żony i dzieci, przepłynęły mu przed oczami jak kra, szybko znikły. Na końcu drogi był tylko on sam, nikt inny nie miał z nim nic wspólnego, podobnie jak on z resztą ludzi. Miłość i inne więzy, które go przedtem łączyły z bliźnimi, wyparowały w wysokiej temperaturze, pękły jako pierwsze. Pozostał tylko on i jego własne życie, jego własna śmierć.

Kiedy poczuł na policzkach i czole bąble topiącej się skóry, wyrwał się ze swojego kąta i ruszył na oślep przed siebie. Celował głową, w wyobraźni przebijał ścianę jak byk i wypadał na zewnątrz. Trafił silnie, blacha wygięła się, ale nie ustąpiła. Upadł w sam środek szalejącego żywiołu, natychmiast zalany ciepłym pomarańczowym powietrzem. Oszolomiony uderzeniem na kilka długich sekund stracił przytomność, ocknął się tylko na mgnienie oka. Ból rozerwał go na drobne atomy niczym eksplozja, po której nastąpiła ciemność.

Przeniósł się w nicość.



Rais wybrał numer telefonu Eryana, ale znów włączyła się skrzynka głosowa. Nie zostawił wiadomości, nie było sensu. Znał kapitana, skontaktuje się, jak tylko będzie mógł. W głowie kołatała mu jednak myśl, że tym razem może nie oddzwonić. Niepokój podsycany nocnymi telefonami rósł z każdą chwilą, choć starał się go ugasić prostymi tłumaczeniami. Ludzie znikają na chwilę z radaru, powody można mnożyć i wymieniać w nieskończoność. Każdy, tylko nie Claude.

Rozdzielił zadania i zbliżył się do pogorzelniska. Ściany magazynu pogięły się od temperatury niczym zdeptany karton. Potężna mechaniczna dłoń zacisnęła się na blaszanym pudle i bez najmniejszego wysiłku zgmiotła je, jakby było puszką po coca-coli. Odłaząca podłużnymi płatami zwęglona farba przypominała czarną skórę, wiatr przewiewający pomieszczenie na wylot wzbijał w powietrze tumany sadzy i wióry popiołu o fantastycznych kształtach. Zwęglona bryła magazynu stanowiła czarną wyrwę w rzędzie identycznych budynków, zaatakowany próchnicą przedni ząb w ustach wykrzywionych w szyderczym uśmiechu.

– Aż dziw, że nie zajęły się te sąsiednie budy – skomentował technik, ściągając z twarzy maskę i kaptur. Osmolona skóra tworzyła ramę wokół śnieżnobiałego środka ze spiczastym nosem i silnie przekrwionymi wargami, jakiś rodzaj afrykańskich barw wojennych. Krople potu wypłynęły z poklejonych włosów i przecięły biel brunatnymi ciekami, jeszcze bardziej podkreślając groźbę bijącą z wojowniczego oblicza. – Co jest, chyba nie wpadłem ci w oko?

Rais zmieszał się, wyminął technika i po metalowych podestach wszedł do środka.

– Co za menda narobiła tych śladów? – Wskazała na ścieżkę wydeptaną przez podeszwy czyichś butów. Wielkie niczym odciski eliptycznego wiadra.

Żaden z zajętych robotą techników nie zareagował, w odpowiedzi tylko wiatr zagwizdał w szparze pomiędzy rozłączającymi się arkuszami blachy.

Z czarnych zasp w paru miejscach sterczały kikuty powykręcanych stelaży regałów lub innych niezidentyfikowanych konstrukcji. Na wydętej od temperatury ścianie wisiała zniekształcona rama od obrazu z osmolonym jęzorem stopionej pleksi, nienaturalnie wydłużony hak zamienił się w kruczy szpon. Siedząca w rogu postać bardziej przypominała mebel niż człowieka, zarwane, tapicerowane grubym aksamitem krzesło o ekstrawaganckim oparciu udekorowanym mahoniową rzeźbą. Jedynym ludzkim motywem były przerażająco białe zęby wyszczerzone w szympansim uśmiechu. Popiół skrzył się w promieniach światła. Wywołujący gęsią skórę piekielny śnieg.

Rais wyszedł na zewnątrz, stanął przy szefie ekipy technicznej, który głośno prychnął, oplukiwał twarz wodą z butelki.

– Podobno ludzka sadza jest najgorsza, klei się do skóry jak olej i nie chce zleźć. Kiedyś wpadła mi w ręce książka opracowana na podstawie badań prowadzonych w obozach koncentracyjnych. Fe! – Strzepnął z rąk zabarwioną na czarno wodę. – Chyba nie dałbym rady się przyzwyczaić.

– Tak samo jak ludzkie pieprzenie, jak już przylgnie do czyjejś mordy, to koniec.

– Że niby masz do mnie jakieś wąty, poruczniku? – Mężczyzna wyprostował się i przybrał bojową pozę.

Z wojennych barw na twarzy pozostała mu tylko pajęczyna brudu. Z piegami na policzkach i długim nosem przypominał umorusany ziemią świński ryj.

– Skąd, szefie. Poproszę o wstępny raport i już mnie nie ma, zostawiam całe to krematorium do waszej dyspozycji.

– *Connard!* – Technik odwrócił się i podszedł do służbowego busa. Usiadł w otwartych drzwiach, wziął do ręki notatnik i przerzucił kartki własnoręcznych notatek z ciemnymi

odciskami palców. – Strażacy wykluczyli zwarcie instalacji, wykryli za to ślady benzyny i chemikaliów. Właściwie mogłoby to być przypadkowe zaproszenie ognia, facet przelewał wachę i palił fajkę. Ale wybuchu nie było, więc ciecz musiała zostać rozlana wcześniej. I biorąc pod uwagę ostatnie przypadki...

– Czyli następny smoluch do naszej kolekcji?

– Tego nie powiedziałem. Co mnie to zresztą obchodzi, to wasza broszka. Ale za cholere nie wiem, czemu ofiara nie uciekła na zewnątrz, drzwi były otwarte. Nawet przy założeniu, że wypchnął je ogień, nikt ich nie zatrzasnął.

– Czad?

– Albo pałka, nóż czy nawet kulka. Stwierdzi patolog. Jeśli w ogóle cokolwiek stwierdzi.

Rais podziękował skinieniem głowy i zbliżył się do Caroline przesłuchującej właściciela obiektu. Wianuszek włosów na jego łysej głacy sterczał jak natapirowany, tłusta twarz drżała, kiedy próbował udowodnić swoją niewinność. Policjantka uspokoiła go gestem dłoni, przywołała posterunkowego w mundurze i nakazała mu pilnować świadka.

– Magazyn należał do niejakiego Alberta Turaifa. Właśnie sprawdzamy adres. Właściciel obiektu nic o tym człowieku nie wie, a przynajmniej tak twierdzi. Zwykły, nierzucający się w oczy Beur około czterdziestki. Czynsz płacił na czas, pokazywał się tu regularnie co tydzień. Pewnie jeden z tych, co szukają ucieczki od bachorów i żon.

Mouche – Mucha wypowiedziała ostatnie zdanie z sarkazmem, jakby pragnienie wolnego czasu było najobrzydliwszym męskim grzechem. Nie przepadała za mężczyznami, co było tak samo jasne jak to, że faceci nie zwracali na nią większej uwagi. Nawet specjalnie nie kryła się z tym, że bierze w ten sposób odwet na męskim rodzaju. A ponieważ to właśnie mężczyźni stanowili większość rozpatrywanych przez nich przypadków, działała wyjątkowo skutecznie. I tylko dzięki temu Rais był w stanie znieść jej pyską, wiecznie nabzdyczoną gębę.

– Zauważył kogoś obcego w nocy, coś nietypowego?

– Nie było go na obiekcie, dobytku pilnował cieć. Wysłałam po niego radiowóz, mają go przywieźć do komendy.

– Ofiara robiła coś w magazynie z chemikaliami? Facet majsterkował, eksperymentował, nie wiem... kombinował coś?

– Właściciel nic nie wie, ale według niego nic na to nie wskazywało. Pewnie zamykał się i oglądał pornole, walił konia.

– I za grzechy pierdolnął go grom z jasnego nieba, Mouche?

– Nie, spalił się kutas ze wstydu. Kogut cię woła, chyba coś znalazł.

Rais nakazał jej dalej maglować właściciela obiektu, a sam szybkim krokiem ruszył w stronę kępy krzaków, przy których stał podporucznik Avery w koszulce jakiegoś satanistycznego zespołu. Pomimo spawalniczych okularów przyklejonych do oczu w zaskakujący sposób rozpoznawał nawet najmniejsze detale. Tym razem wskazywał na rzucony w zarośla plastikowy kanister. Przez chwilę obaj kontemplowali ten widok, po czym Coq krzykiem przywołał szefa ekipy technicznej.

Porucznik bez słowa oddalił się i wyciągnął telefon, wybrał numer.

– Dzień dobry, szefie, mówi Taider. Jak leci? Żle, komisarzy. Claude się odzywał? Nie? To jeszcze gorzej. Chyba mamy kolejnego smolucha.

W pierwszej chwili myślała, że to budzik. Wyrwana ze snu pozostawała zawieszona gdzieś między rozplywającymi się w powietrzu majakami a odstręczającą rzeczywistością. Kolory i kształty wyśnionego świata przeistaczały się w kanciaste meble i doskonale jej znany beż przeciwległej ściany poszatowanej cienkimi kreskami słońca wpadającego przez źle zaciągnięte żaluzje. Na chwilę skoncentrowała wzrok na tańczących w świetle iskrach

szybującego kurzu, tak bardzo przypominających fragment umykającego z pamięci widoku. Było w nim morze i kamienisty brzeg, ale nie widziała już ludzi. Choć wciąż czuła ich bliskość. Jego – śniło jej się rozpalone upałem ciałem męża. Leżała na nim, a woda łaskotała im stopy.

Przy szóstym sygnale uświadomiła sobie, że jako budzik ustawiła przecież *Wake Me Up* starego dobrego Wham, a dochodziły ją akordy gitary Stinga. Nie budzik, lecz dzwonek. Na pamięć sięgnęła po leżący na stoliku nocnym telefon i bez patrzenia na wyświetlacz przyłożyła słuchawkę do ucha.

– Halo – odezwała się zasnym głosem. – Tak, przy telefonie. Kto? Tak, kapitan Eryan to mój mąż. Co się stało? Tak, oczywiście, już jadę. Tak, tak, znam adres. Ale co się stało? Halo? Halo!

Powoli podniosła się na łóżku, usiadła. Przez długą chwilę wpatrywała się w wyświetlacz telefonu, jakby oczekiwała dalszego ciągu. Poruszając delikatnie ustami, jeszcze raz powtórzyła całą rozmowę, aby upewnić się, że nie nastąpiła pomyłka. Zły sen? Koszmar był zbyt realistyczny, logika wydarzeń nie pozostawiała cienia nadziei. Chodziło o jej męża. Rozmowa nie była na telefon. Głos oficera był pełen powagi i umiejętnie skrywanego napięcia. Wystarczyło połączyć te fakty, by wynik był jednoznaczny.

Wyskoczyła z łóżka. Złapała się za głowę, zdezorientowana rozejrzała po sypialni. Roztrzaskane myśli uleciały gdzieś poza mury mieszkania, pogubiły się w zakamarkach miasta. Otworzyła szafę i rozdygotanymi rękami próbowała wyszukać rzeczy, ubrania spadały z półek. Zapominając o staniku, włożyła na siebie pierwszą bluzkę, która nie uciekła jej z rąk. Naciągnęła dres, nie trafiwszy stopą w nogawkę, o mało nie zwała się na podłogę. Rozbieganymi palcami poprawiła włosy, wybiegła na korytarz.

Dzieci, prawie zapomniawszy o dzieciach. Zbudziła je krzykiem, w ogóle nie zdając sobie sprawy, że krzyczy. Zaspane twarzyczki z przerażonymi oczami wykonywały sprzeczne polecenia matki, bojąc się zadawać pytania. Buty nie do pary i brak skarpetek, krzywo zapięta koszula i sukienka włożona tył na przód. Nic z tego nie rozumiały, matka zawsze kazała im się ubierać samym, miały być samodzielne. A teraz naciągała na nie rzeczy jak szalona, mamrotała coś przy tym pod nosem, a z oczu płynęły jej łzy. Ivonne także zaczęła płakać, tak samo bezgłośnie, wyczuwając w powietrzu coś złego.

Nie zjedli śniadania, gnali do przedszkola tak szybko, że matka prawie pourywała im rączki. Na korytarzu uklękła i objęła ich z taką siłą, że odebrało im oddech. Uścisk trwał o wiele dłużej niż zwykle, ale znieśli go dzielnie, bez najmniejszego pisku. Kiedy za matką zamknęły się drzwi, Bruno przygarnął siostrzyczkę. Intuicyjnie wyczuwał, że to jego rola. Że teraz on będzie musiał się o nią zatroszczyć.

Taksówka wlokła się w rzędach leniwie poruszających się aut, grzęzła w korkach. Isabelle błagała somalijskiego kierowcę, żeby przyspieszył, ale ten zdawał się nie zwracać na nią najmniejszej uwagi. W niezmiennie tym samym rytmie kiwał głową w takt muzyki reggae niczym samochodowa maskotka. Dopiero kiedy szarpnęła za klamkę drzwi, żeby wyskoczyć z auta, zareagował z niespodziewaną energią. Wrzasnął i nadusił przycisk blokady drzwi. Wzburzony po swojemu skomentował jej postępowanie, po czym spokojnie wrócił do słuchania muzyki.

Nawet droga na porodówkę nie dłużyła jej się bardziej, wtedy była zbyt skoncentrowana na sobie. Teraz jej myśli pędziły do męża, pozostawiając ją daleko z tyłu. Nie nadążała, brakowało jej oddechu i sił, ledwo powstrzymywała napływające falami ataki paniki. Klaustrofobiczne wnętrza taksówki i napierający na nią z każdej strony tłok ludzi i maszyn, zgiełk godzin szczytu doprowadzały ją do granic wytrzymałości. Tylko jakąś resztką zdrowego rozsądku broniła się przed hiperwentylacją i eksplozją szaleństwa. Przez kilkanaście minut jazdy

zdążyła obgryźć większość paznokci, paroma pozostałymi rozdrapała sobie skórę dłoni do krwi.

Rzuciła kierowcy banknot i wyskoczyła na chodnik, zanim taksówka zdążyła stanąć. Wbiegła do wnętrza budynku głównym wejściem, zatrzymała się na zamkniętych drzwiach prowadzących do izby przyjęć. Pielęgniarka wybiegła zza lady recepcyjnej, strofując ją, przyprowadziła do swojego stanowiska. Opowiadana przez Isabelle historia nie miała początku ani końca, ale często padające nazwisko policjanta wystarczyło, żeby odgadnąć cel jej wizyty. Kobieta wykonała telefon i już po minucie w windzie pojawił się funkcjonariusz policji w polowym mundurze.

– Pani Eryan, proszę za mną.

– Ale co się stało? On nie żyje prawda, nie żyje?

– Niech się pani uspokoi, zaraz porozmawiamy.

– Dlaczego mi pan tego po prostu nie powie?! – wrzasnęła Isabelle i zaniósła się głośnym szlochem, uderzając pięściami w szeroką pierś policjanta.

W holu szpitala na chwilę zatrzymał się wszelki ruch, zapanowała cisza. Oficer objął ją i gestem nakazał pielęgniarce odłożyć telefon, przez który zamierzała wezwać pomoc.

Wprowadził Isabelle do windy, wjechali na trzecie piętro.

– Zaraz będziemy na miejscu, pani Eryan, proszę się nie martwić. Pani mąż to twardy zawodnik.

Czując podtrzymujące ją ramię policjanta, przestała walczyć, zupełnie opadła z sił. Zawisła na nim, ledwo powłóczyła nogami. Dla niej sprawa była już jasna, więcej nie chciała wiedzieć. Nie obchodziło ją, jak i dlaczego, wołała nie widzieć zwłok. Pragnęła zapamiętać go takim, jakiego go kochała, jaki przyśnił jej się przed niespełną godziną. Piękny, gorący, wpatrzony w nią szczerymi oczami w kolorze nieba, jakby patrzył na nią całą swoją duszą. Wiedziała, że tak to się kiedyś skończy, ale nie sądziła, że tak szybko. Byli ze sobą dopiero te kilka lat, parę chwil wobec wieczności, którą zamierzała z nim spędzić.

Przemierzyli długi, niemający końca korytarz pełen drzwi, snujących się bez celu pielęgniarek, pacjentów obwiązanych kabelkami i węzami oraz duszącego, sterylnego zapachu, nieodmiennie kojarzącego się z chorobami i śmiercią. Funkcjonariusz wprowadził ją do jednej z sal, gdzie wokół łóżka zgromadziła się grupka mężczyzn. Na jej widok rozstąpili się, robiąc jej miejsce. Wszyscy mieli ten sam kamienny wyraz twarzy cmentarnych posągów. Pełen współczucia i ulgi, że nieszczęście przytrafiło się komuś innemu. Isabelle minęła ich na gumowych nogach i z jękiem upadła przed łóżkiem.

Łóżko było posprzątane i puste.

W ciasnym gabinecie komisarza Tigany'ego mimo otwartego okna panował zaduch. Rais wszedł ostatni, zabrakło dla niego miejsca. Rozejrzał się za wolnym krzesłem, ale sekretarka zmierzyła go znad monitora niechętnym wzrokiem, nosem wskazała na gości szefa, którzy zajęli wszystkie dostępne meble do siedzenia, i wzruszyła ramionami. Chcąc nie chcąc, zamknął za sobą drzwi i oparł się o nie plecami, czując, jak koszula klei się do chłodnej płaszczyzny szyby.

– Możemy zaczynać, komisarzu, za pół godziny mam następne spotkanie.

Sędzia śledczy przyjął najbardziej służbowy ton, na jaki było go stać, mimo upału zebranych przeszły ciarki, jakby ktoś zazgrzytał zębami. Sędzia poprawił złote okulary na chudym nosie i wydał usta w geście najwyższej pogardy. Brakowało mu tylko białej peruki, rajstop i trzewików na wysokim obcasie, a stanowiłby idealne uosobienie dworskich manier z okresu Ludwika XIV. Rais wcale nie dziwił się rewolucjonistom, sam chętnie zaprowadziłby go na szafot.

– Jean, wszystkim się spieszy, nie jesteście jedynymi zajętymi ludźmi na świecie – ze skwaszoną miną odparował komisarz. – Dawaj, co masz, Rais, i niech to będzie lepiej coś warte.

Cztery pary oczu zwróciły się w kierunku porucznika, który wyprostował się automatycznie, odklejając koszulę od szyby w drzwiach. Poza sędzią i Louisem Tiganym w pomieszczeniu tłoczyli się Armand Douis i kapitan Paul Benzema, najbliższy przydupas komendanta miejskiego, mikroskopijny mężczyzna o aparycji insekta, którego po cichu nazywano Pou – Wszą.

– Technicy w tej chwili jeszcze badają miejsce zdarzenia, ale moim zdaniem pożar można zakwalifikować jako przestępstwo.

– Czyli co, poruczniku, sugeruje pan kolejną ofiarę Inkwizytora? Przecież to absurd, sprawcę trzymamy za kratkami! – Wesz wlepił w porucznika swoje owadzie oczy o setkach lusterek, każde z nich odbijało gotującą się w nim wściekłość.

Rais wzrokiem poprosił o pomoc komisarza, ten jednak nawet nie mrugnął. Porucznik poczuł się jak w sali sądowej, gdzie ława sędziowska w każdej chwili może się zamienić w pluton egzekucyjny. Nie miał doświadczenia politycznego. Tego typu sprawami zawsze zajmował się Eryan. No właśnie, gdzie on się, do cholery, podziewa?

– Obawiam się, że nie mamy przekonujących dowodów. Ani na winę przedwcześnie oskarżonego Juliana Solera, ani na wskazanie jakiegokolwiek innego sprawcy. Jednakże wszelkie poszlaki wskazują na zorganizowane i celowe działanie...

– *Fils de pute!* – Wesz aż podskoczył na krześle. Ślina z jego rozwartych ust trysnęła na policzki najbliższej siedzących. Duce zachował kamienną twarz, sędzia śledczy z obrzydzeniem sięgnął po bawelnianą chusteczkę i osuszył policzek. – Przecież komendant ogłosił już sukces! I co, teraz mamy zakomunikować pomyłkę? W dupie mam te wasze poszlaki, poruczniku, ja chcę zobaczyć jakieś konkrety, dowody, i to natychmiast!

Rais nerwowo wbijał kciuk w opuszkę palca wskazującego, jakby искаł niewidoczną czuprynę. Komisarz zmienił pozycję w fotelu, wystukał rytm jakiejś melodii na blacie stołu. Milczenie przedłużało się, mimo że sędzia sugestywnie zerkał na zegarek.

– Zróbmy z tego szajkę – zaproponował Armand, ostrożnie modulując głos. – Czyli że mamy jednego, ale jego kumple ciągle działają.

– Szajka? – Sędzia przybrał uśmiech poirytowanego wilka. – Panowie chyba sobie ze mnie żartują. Przecież ten mężczyzna podobno popełniał zbrodnie w wyniku choroby psychicznej. To teraz co, będziemy mieli zorganizowaną akcję schizofreników?

Duce zacisnęła szczękę, która przez to stała się jeszcze bardziej kwadratowa. Wysłannik komendanta zasępił się, a komisarz spuścił wzrok, uciekając przed jego natarczywym spojrzeniem.

– Mamy dane ofiary, w tej chwili analizujemy ewentualne powiązania ze światem przestępczym i aktywnością fundamentalistów islamskich, jak w przypadku poprzedniego smolucha. Jeśli coś odkryjemy, będziemy mieli wzór, a wtedy...

– A wtedy co, poruczniku? – Głos Wszy zafalował zjadliwym sarkazmem. Rais natychmiast pożałował swojej żalosnej tyrady. Nie wytrzymał napięcia, imperatyw podwładnego nakazał mu powiedzieć cokolwiek, po prostu wypełnić grożącą wybuchem ciszę.

– Zakomunikujemy obywatelom, że brodaci terroryzują nam miasto? Niezwykle odkrywczą propozycja, nigdy bym nie pomyślał.

Armand parsknął śmiechem, ale natychmiast zamilkł, spiorunowany wzrokiem przez komisarza.

– No nic, panowie. – Sędzia podniósł się z krzesła i z trzaskiem zapiął lśniąca jak lustro teczkę z logo Diora ostentacyjnie lypiącym pozłacaną żrenicą na biedniejszych i gorszych.

– Proszę mnie informować o postępach w dochodzeniu. Żegnam.

– Chwileczkę, a co niby mamy począć z zatrzymanym?



– Jak to co, wypuścić.

Rais otworzył przed sędzią drzwi i przepuścił go w progu. Wzrostem przewyższał go prawie o głowę, bez problemu mógłby mu napluć za kołnierz, a nawet na wyzierającą spomiędzy rzadkich włosów łysinę.

– A wy macie przerąbane. – Wesz zatrzymał się przed wyjściem z gabinetu i omiół pozostałych mężczyzn swoim owadziim spojrzeniem. – Wszyscy! Pod koniec dnia poproszę pełen raport. I lepiej, żebyście mieli do tego czasu jakiś konkret, inaczej posypią się głowy.

Temu kurduplowi Rais mógłby nawet nasikać do butonierki, gdyby się bardzo postarał. Zamknęły się drzwi, pracownicy wydziału zabójstw zostali sami. Armand zagadnął pierwszy.

– To co robimy, szefie?

– Ty? Przede wszystkim wypierdalasz mi z oczu, to był twój pomysł z tym bezdomnym. Dlatego usiądziesz na dupie za biurkiem i wypocisz raport dla komendanta. Jazda!

Duce podniósł się z krzesła z grobową miną, bez słowa przemaszerował do wyjścia i zamiast komentarza odrobinę za mocno trzasnął za sobą drzwiami, aż zadrżała szyba. Przez otwarte okno do wnętrza wpadały odgłosy ulicy, bardzo blisko rozległ się donośny skrzek mewy. Ktoś się śmiał, płakało dziecko.

– Prawie jak na wakacjach, nie? Siadaj, Rais, musimy pogadać.

– Jeśli chodzi o dochodzenie...

– Pał licho to dochodzenie, prędzej bandytom się znudzi, niż ich namierzymy. Czasami tak jest, chłopcze, że za cholerę nie idzie.

Porucznik zawahał się, zanim wybrał miejsce. Brzydził się siadać po każdym, ale w końcu wybrał krzesło sędziego. Przynajmniej była jako taka gwarancja, że jest czysty.

– Mam pewne informacje wskazujące na prawdopodobieństwo udziału radykalnych muzułmanów naśladowujących metody ISIS, kwestia jest rozwojowa. No i ruskie bandy, które infiltruje kapitan, ale na tę chwilę to wszystko.

– No właśnie, kapitan. Ani widu, ani słyhu, chociaż rozpuściłem wieści po wszystkich wydziałach komendy. Możliwe, żeby nikogo nie informując, pogonił gdzieś za zbójami? Albo zwyczajnie poszedł w długą?

Obaj pokręcili głowami. Nie on, nie Eryan.

– I nie przychodzi ci do głowy nic, co wskazywałoby na jakikolwiek ślad?

Rais nie wytrzymał wzroku zwierzchnika. Tigany patrzył, jakby wiedział, i tylko potrzebował potwierdzenia. Przygryzł wargę, rozłożył ramiona w bezradnym geście.

– Nic – skłamał.

– Dzwoniłem do Isabelle, też nie odbiera. Może zrobili sobie nieplanowany wypad za miasto? Trudno, poczekajmy, sprawa się na pewno wyjaśni.

Rais przytaknął i podniósł się z krzesła.

– Mogę się odmeldować?

– Jasne, leć do roboty. Jaki masz plan dnia?

– Wypuszczeniem podejrzanego zajmie się Armand, jak przypuszczam. Ja mam smolucha do ogarnięcia.

Komisarz zrobił nieokreśloną minę i gestem odprawił porucznika. Zdjął z czoła okulary przeciwsłoneczne i zaczął masować skronie. Pulsowały, jakby miały pęknąć. I chyba wolałby, żeby tak się stało. Jakiś lekki udar, z którego wyszedłby bez większego szwanku. Zwolnienie lekarskie i wcześniejsza emerytura, z pełnym uposażeniem. Rozmarzył się, ale zaraz zszedł na ziemię. Bez niego wszystkich chłopaków, których wychował, wysłał do wypisywania mandatów. Już od dłuższego czasu przestał być zwykłym szefem. Był dla nich wszystkich ojcem. Wyrodnym, ale jedynym, jakiego mieli.

Pieczenie skóry było nieznośne. Podwójna dawka leku nie pomogła, wwiercające się w skórę owady były coraz bardziej agresywne, żarłoczne. Céline doskonale знаła ten stan, choć zdołała już prawie zapomnieć, jak bardzo jej choroba może uprzykrzyć życie. W pierwszych latach, zanim intensywne kuracje zaczęły przynosić efekty, praktycznie nie zdejmowała z rąk rękawiczek. Nigdy nie zdołała nauczyć swojego ciała, że nie powinno się drapać. Ono działało niezależnie od woli, w skrajnych przypadkach potrafiło nocą ściągnąć rękawiczki i zmasakrować całe połacie skóry, zanim obudził ją przeszywający ból. Jak gdyby nie pragnęło niczego innego, tylko pozbyć się swojej zainfekowanej powłoki. Nawet kosztem samookaleczenia, wyrachowanego samobójstwa.

Robaki pełzły po niej, łaskotały i drażniły, kłuły i gryzły. Wdzierały się w nią, drążąc mikroskopijne kanały, by po kilku chwilach wyleźć na wolność w innym miejscu, rozrywając żywą tkankę. Oblazły ją całą, czuła je wszędzie, zdawały się penetrować wszystkie otwory: usta, nos aż do samego końca zatok, roily się w uszach poza zasięgiem palców, na tylnej części gałek ocznych, głęboko w pochwie, w odbycie, aż po żołądek. Nie trzymała w domu środków uspokajających, zbyt łatwo mogłaby się od nich uzależnić. Lecz bez nich w każdej chwili groziło jej przekroczenie granicy szaleństwa, utrata rozumu.

Z jakiegoś powodu telefon lekarza był wyłączony, automatyczna sekretarka informowała o braku abonenta w sieci. W recepcji przychodni dowiedziała się, że jest chory. Chory? Nie zdołała powstrzymać histerycznego śmiechu. Jak lekarz może być chory? A żaden inny nie był w stanie jej pomóc, wizyta wymagała wcześniejszego umówienia się. Naturalnie, każdy przecież może przewidzieć z odpowiednim wyprzedzeniem, kiedy dostanie ataku choroby. Spodziewać się niespodziewanego. Recepcjonistka nie zamierzała dyskutować o biurokratycznych absurdach, po oschłym pożegnaniu odłożyła słuchawkę.

*Merde!* – Céline uderzyła pięścią w oparcie fotela. – *Merde, merde, merde!*

Złapała się za głowę i zaczęła gorączkowo chodzić wokół stołu w salonie. Próbowwała zebrać myśli, opracować jakiś plan, znaleźć wyjście z sytuacji. Bez recepty nie dostanie silniejszych leków, nie kupi nawet nic na uspokojenie. Jeśli zapali skrepta, badania wykryją obecność THC we krwi, co utrudni dalsze leczenie. Najbliższy termin u doktora to cztery dni, i to za pieniądze. Nie wytrzyma, rozdrapie się w tym czasie do gołych kości. Izba przyjęć w szpitalu za każdym razem niesie ze sobą traumę, lekarze dyżurni mnożą tylko diagnozy i problemy zamiast je rozwiązywać.

Wyskoczyć z okna na bruk i rozbić czaszkę, więcej nie musieć znosić tych upokorzeń. Dlaczego musiało to przytrafić się właśnie jej?!

Usiadła na sofie i wybuchnęła krótkim, intensywnym płaczem. Wielkie krople łez kapąły na deski podłogi, zabarwiając ją delikatnymi kolorami rozszczepionego światła. Poruszały się, mrugały do niej, zdawały się nawet uśmiechać. Nie szyderczo ani złośliwie, jak robiłaby sama, patrząc na siebie z boku, lecz próbując ją podnieść na duchu. Jak źle musiało z nią być, skoro nawet łzy były weselsze od niej?

Wstała i przeszła do łazienki. Unikając zniechęconego odbicia w lustrze, opłukała twarz, wyczyściła nos. W szafce na dokumenty wyszperała kopię karty lekarskiej z określeniem choroby i stosowanych kuracji. Zarzuciła torebkę na ramię i stanęła przed drzwiami. Zewnętrzny świat ją przerażał, ale choroba to był strach zupełnie innego kalibru. Nabrała głęboko powietrza i nacisnęła klamkę.

Taksówkę złapała tuż za rogiem. Najgorsze poranne korki minęły, ulice przeredziły się, kierowca pokonał drogę do szpitala w niespełna dziesięć minut. Wpatrywał się przy tym w tylne lusterko z wyrazem twarzy zawodowego idioty. Pewnie chciał jej zwrócić uwagę na nakrycie głowy, ale bał się stracić napiwek. A może nie wiedział, jak złożyć zdanie. Wyglądał na Polaka

lub Ukrainca, którzy po francusku dukali jak niedorozwinięte dzieci, co nie przeszkadzało im wyrażać niechęci wobec ciemnych i czarnych, choćby mieli to robić samą mimiką twarzy. Lub po swojemu pod nosem, co taksówkarz uczynił, kiedy otrzymał dokładnie odliczoną należność. Nawet wydając ostatnie tchnienie, Céline chuchnęłaby jadem, żeby tylko zrewanżować się tego typu palantom.

Mimo wczesnej pory w izbie przyjęć jak zwykle panował chaos. Poczekalnia była w połowie pusta, ale i tak personel nie potrafił sobie poradzić. Na rejestrację czekała dobre piętnaście minut, wpatrując się w wypięty zad pielęgniarki, z maniakalną pasją przeglądającej szafy z dokumentami. Druga siedziała przy biurku za oszkloną ścianą, wzrokiem bez jakiegokolwiek wyrazu przyglądała się chorym. Jakby była ślepa lub przynajmniej nauczyła się tak dobrze udawać ślepotę. I głucha, bo w poczekalni wciąż wybuchała jakaś awantura.

Cuchnący facet w podartej zimowej kurtce spacerował pomiędzy rzędami krzeseł, mamrocząc coś bezustannie pod nosem, modlił się albo deklamował wiersze. Przynajmniej tak się wydawało z daleka, z bliska były to słowa głupkowatego monologu, człowiek po prostu gadał do siebie. Na szmacie, którą miał owiniętą lewą rękę, wykwitowała ciemna plama krwi. W prawej trzymał reklamówkę wypchaną śmieciami. Inni chorzy posyłali mu wrogie spojrzenia, matka przytuliła do siebie płaczące dziecko, demonstracyjnie odwracając się do mężczyzny tyłem i kierując twarz do ściany, jakby to miało ją ochronić przed oparami smrodu.

Przywołany przez pielęgniarkę bezdomny podszedł do recepcji, z reklamówki wyszperał zawiniątko i położył je na blacie kilkanaście centymetrów od Céline. O mało nie zemdlął, gdy z gałgana wytoczył się pokrwawiony palec z długim, czarnym jak smoła, zakręconym paznokciem z jednej strony, a strzępami skóry i ścięgien z drugiej. Matka z dzieckiem krzyknęła, oburzona recepcjonistka wezwała pielęgniarzy, wybudzona z letargu kobieta z za szyby wpadła do recepcji i zaczęła w przyspieszonym tempie rejestrować pacjentów.

Pielęgniarze odprowadzili broniącego się nie wiadomo przed czym mężczyznę w głąb korytarza. Céline obleżona przez piekący świąd nie była w stanie usiedzieć na krześle, krążyła po poczekalni śladami bezdomnego. Kiedy przystanąła przed wejściem do sal zabiegowych, po drugiej stronie rozwarły się dwuskrzydłowe drzwi, wypadły z nich nosze pchane przez medyków w czerwonych strojach. Zatrzymali się przed pokojem lekarzy, jeden z nich wszedł do środka, reszta wróciła wahadłowymi drzwiami do karetki. Pacjent nie ruszał się, jego głowa była pokryta strupami, z niektórych ciągle sączyła się krew. Z innych części ciała widocznie też, bo z noszy kapą na podłogę bordowa ciecz z domieszką ropy.

Céline zbliżyła się, dziennikarska intuicja podpowiadała jej interesujący przypadek. Zatrzymała się, kiedy chory drgnął. Poruszył nogą, potem ręką, podniósł głowę i usiadł na noszach. Céline widziała jego plecy w podartej, przesiąkniętej krwią koszulce i poklejone włosy. Mężczyzna objął twarz dłońmi i nagle zerwał się z miejsca. Wpadł na ścianę, z przenikliwym wrzaskiem upadł na podłogę. Zanim z pomieszczenia lekarzy nadbiegła pomoc, przeczołgał się prawie dwa metry. Wyciągnął otwartą dłoń w kierunku Céline, jakby błagał o pomoc lub zamierzał podzielić się z kimś swoją paniką i bólem, w obłąkanym spojrzeniu dostrzegła szaleńczy lęk. Bez zastanowienia wyciągnęła telefon, zrobiła zdjęcie. Nadbiegający ochroniarz zaczął krzyczeć, pchnął ją w kierunku poczekalni, swoją zwalistą posturą zasłonił widok. Mimo tego była niemal pewna, że rozdrapane rany na ciele mężczyzny były ropnymi wrzodami. A pełzną po posadzce z terakoty, pozostawiał za sobą śluz rozpuszczonej tkanki i strzępy skóry.

Przez chwilę mierzyła się z ochroniarzem wzrokiem. Miała wrażenie, że czyta w niej, jakby była gazetą z krzykliwym nagłówkiem. Wyraz jego oczu zmienił się z surowej nagany w zdziwienie, a następnie nieokreśloną podejrziwość.

– Proszę odsłonić głowę i twarz, to miejsce publiczne – nakazał, wielkim paluchem

wskazując jej filigranową głowę. – I wykasować to zdjęcie, natychmiast!

Nie miała wątpliwości, dlaczego to zrobił. Nie chodziło mu wyłącznie o prawo, dostrzegł coś jeszcze. Prześwietlił materiał chustki i zbadał jej twarz. Widział to, z całą pewnością to widział. Wyczuł bijące od niej zagrożenie.

Cofnęła się do poczekalni, odwróciła i szybko ruszyła do wyjścia. Wciąż czuła na sobie jego przenikliwe spojrzenie, w każdej chwili mógł zacząć ją gonić, wszcząć alarm. Zatrzymaliby ją, zarekwirowali telefon, zerwali z głowy chustę. Odkryli skrywający się za nią sekret.

Wypadła przed szpital i biegiem przecięła parking. Nie gonili jej, ale i tak uciekała. Przed samą sobą, przed tym, czym w każdej chwili mogła się stać. Przed oczami miała ludzką masę wierzgającego mięsa. Nie rozumiała, nie potrafiła jeszcze tego opanować rozumem. Odległość pomiędzy jej stanem a efektem końcowym, jak u człowieka pełzającego po korytarzu w szpitalu, odpowiadała długości jej największego pokoju. Paru metrom życia. Kilku niewielkim krokom do śmierci.

Ból minął. Pożerające jej ciało zwierzęta odeszły, świat głębokiego koszmaru znikł. Sterylna biel szpitalnej sali zamieniła się w lazur morza, klaustrofobicznie ciasne ściany w masywne, oddalone od siebie setkami metrów skały nabrzeża. Sufit otworzył się niebem, po którym leniwie sunęły postrzępione obłoki, pod nimi wisiały sylwetki mew, niemal czarne kreski na tle oślepiającego słońca. Posłanie rozpląnęło się w falującą wodę. Leżała w niej, wznosząc się i opadając w rozkosznej nieważkości. Duszący odór środków odkażających i leków docierał do nozdrzy zapachem wodorostów, ryb i soli, jedyną w swoim rodzaju wonią Lazurowego Wybrzeża.

Pokonała czas, zwyciężyła chorobę. Warto było cierpliwie czekać. Ten, dla którego poświęciła życie, wygrzewał się teraz w słońcu, wyciągając swoje wysportowane, piękne ciało na kocu rozłożonym na skrawku plaży wciśniętej między zaokrąglone głazy. Był jej i niczym więcej, mogła go obserwować bez strachu, że jakaś kobieta przyjdzie i go ukradnie. Wyznał jej miłość. Obiecał, że nigdy jej nie opuści. Ukłąkł i prosił, by pozwoliła mu się przy niej zestarzeć, a jego szczerze oczy odbijały wody zatoki, mieściły w sobie cały jej świat.

Wyniósł ją ze szpitala na rękach. Białe prześcieradło zwisało do samej ziemi, ciągnęło się korytarzem jak tren ślubnej sukienki. Zjawił się nagle, znikąd, po prostu stanął przy łóżku i pocałował ją w rękę. Wyglądał jak anioł w aureoli swoich lśniących włosów, od jasnej skóry bił nadnaturalny blask. Spokojny i pewny siebie, wpatrzony w nią, jakby była dla niego wszystkim, jedyną drogą do szczęścia. Był duchem oderwanym od cielesnego balastu, składającym się z tkanki swoich najlepszych cech. Słabości i odcienie zła, które w nim wcześniej dostrzegęła, pozostawił za sobą, zrzucił je niczym wąż swoją starą, zużytą skórę.

Postawił ją na ziemi, dopiero kiedy opuścili budynek. Bez zastanowienia obrali drogę na południe. Nie spiesząc się, przemierzali ulice miasta. Paranoiczne szaleństwo ludzi dziwiło ich, nie rozumieli gorączkowego pośpiechu, dojmującego smutku, który czynił z nich karykatury. Samochody pędziły komicznymi skokami: od świateł do świateł, od skrzyżowania do skrzyżowania. Duszący smród spalin unosił się w powietrzu szarą barwą, tonęli w niej. Harmider dziesiątków niezrozumiałych dźwięków ogłuszał, nie miał w sobie żadnej treści. Krzykliwe tablice reklam i pstrokate wystawy sklepowe ogłupiały, przypominały hałdy śmieci.

Kamienice zamieniły się w domy jednorodzinne z ogrodami pełnymi smukłych palm i eksplodującymi klombami kwiatów. Po nich pojawiły się hale produkcyjne i magazyny, brudne fabryki i sklecone z byle czego warsztaty. Rzeka autostrady niosła ze sobą śnięte wraki aut. Zamiast niej wybrali kamienistą ścieżkę pnącą się serpentyną po potarganych skałach wybrzeża. Na miejsce doszli tuż po południu, ich krótkie cienie wyglądały jak niemowlęta wyciągające do siebie zaciekawione dłonie.

Ta sama zatoka, ten sam spokój, ta sama obietnica przyszłości. Ostatni raz byli tu w jej osiemnaste urodziny, w drugą rocznicę ich związku. Z tym że wtedy nie powiedział tego, co tak bardzo pragnęła usłyszeć. Wtedy jeszcze się nie martwiła, bo on nie potrafił mówić o swoich uczuciach, niewielu chłopców to umiało. Kochali się, a wieczorem poinformował ją, że musi się zaciągnąć do wojska, wyjechać. Nie rozumiała, co to znaczy „musi”. Dlaczego musi. Kto mu każe. Nie chciała zrozumieć.

Teraz wiedziała. Po prostu musiał dorosnąć, dojrzeć. Uświadomić sobie, co ważne, ona to wiedziała od dawna. Kochali się zaraz po przyjeździe na miejsce, bez słów. Kochali się kilka razy, aż zabrakło im tchu. Byli jednym ciałem, a ona wpatrywała się w biel rozpalonych skał, w błękit morza. Widziała w nich nieskończoność, kosmiczną wielkość. Orgazmy oślepiały ją, ale wzrok za każdym razem wracał tą samą harmonią kolorów i kształtów. Znajdowała się w swoim pragnieniu, stała się swoim pragnieniem.

Wyszła z wody, podeszła do Claude'a i położyła się obok niego. Przyglądała się swoim mokrym śladom na kamieniach, kurczyły się od gorąca, po kilkunastu sekundach znikły całkowicie. Wtuliła się w rozgrzane ciało swojego mężczyzny, ciągle wilgotna i chłodna. Objął ją, odgarnął z policzków kosmyki włosów.

– Musiało się stać tyle zła, zanim mogliśmy zostać razem – powiedziała.  
– Nie mogłem postąpić inaczej, uwierz mi – odparł. – Wierysz?  
– Wierzę, kochanie.  
– Jeśli nie poszedłbym do wojska, zamknęliby mnie w więzieniu. Gdybym nie ożenił się z Is, wciąż bym cię oszukiwał. A nasza miłość wtedy nie miała sensu, to byłby związek bez szans.

– Wiem, Claude, ja to wszystko wiedziałam.  
– Kłamałem. Okłamywałem siebie, żeby móc okłamywać ciebie. Przecież nie wolno nam było się kochać, jesteśmy prawie rodzeństwem. Kochałem cię, a jednocześnie nienawidziłem tej miłości. Szczęście z naszego pierwszego razu tak szybko przemieniło się w ból, że zapragnąłem umrzeć. Uciekałem od ciebie, ale nie potrafiłem uciec. Tyle samo razy planowałem samobójstwo, co twoją śmierć. Naprawdę, Émilie, zamierzałem cię zabić. Teraz to wszystko zdaje się takie odległe, małe. Musieliśmy tyle przeżyć...

– Tak, Claude. I musieliśmy umrzeć.  
– Nienawidzę cię...  
Do głowy przychodziło jej dużo więcej myśli, ale wyrazić potrafiła tę jedną. Zadławiona szczęściem przez długą chwilę dawała się obejmować, ale szok po widoku pustego łóżka i zmartwychwstałego męża wyłaniającego się zza drzwi sali szpitalnej szybko minął. Zastąpiła go furia.

– Nienawidzę cię!  
Odepchnęła go i zaatakowała zwiniętymi w nieudane pięści dłońmi. Policjanci stojący w pomieszczeniu niczym pracownicy zakładu pogrzebowego odsunęli się, a następnie dyskretnie ulotnili. Ustawili się w szeregu na korytarzu, w zawodowej gotowości do natychmiastowego wtrącenia się w cudze sprawy, gdyby tylko zaszła taka potrzeba.

– Nie mogłeś chociaż zostawić mi wiadomości, zadzwonić?!  
– Sprawy potoczyły się nie po mojej myśli...  
– A jak ci się wreszcie coś stanie, jak cię zabiją?  
– ...nie bardzo miałem jak, a później zjawili się chłopcy z RAID...  
– A nawet jeśli cię oszczędzą, to ja to zrobię, Claude, przysięgam!  
– ...no i wylądowałem w szpitalu, jednocześnie przesłuchiwali mnie i badali...  
– Zabiję cię! Zabiję cię, jak nie przestaniesz gadać!

Obszukała go pod czarną koszulką z napisem RAID, którą dostał od jednego z agentów, obmacała tors i brzuch, przeciągnęła dłońmi po ramionach, by upewnić się, że na pewno tam są. Pociągnęła za włosy, palcami przebadła twarz: oczy, usta i nos, zacisnęła je na policzkach. Z uwagą popatrzyła mu w oczy, po czym z całej siły uderzyła otwartą dłonią. Poprawiła, po czym ze szlochom opadła na jego pierś, wbijając mu paznokcie w plecy. Objął ją i przyciskał do siebie mimo zatykającego bólu w obolałych żebrach. Trzy krwiste siniaki wylewały się spod podwiniętej koszulki, ślady cudem uratowanego życia.

– Nic mi nie jest, Is, trafili mnie w kamizelkę i...

– Zamknij się, Claude, nic więcej nie chcę wiedzieć! Nic, nie mów mi ani słowa, ani jednego słowa...

Pocałował ją w czoło. Jej dłonie przestały go kaleczyć, teraz pieściły go delikatnie i czule. Gdyby miał zginąć i obudzić się w innym świecie, właśnie w ten sposób wyobrażałby sobie raj, bliskość i dotyk ukochanej osoby.

Porucznik RAID stanął w progu sali szpitalnej, z jego kamiennej twarzy w dziwny sposób dało się wyczytać wyraźny komunikat. Puszczali go wolno, ze statusu podejrzanego powrócił do grona jednego z nich, uczciwego gliniarza. Weryfikacja przebiegła poprawnie, choć trwała o kilka godzin za długo. Claude kolejny raz w ciągu ostatnich dni znalazł się po drugiej stronie stołu przesłuchań. I czuł się tak samo parszywie jak przedtem.

– Chodźmy, odwiezę cię do domu, zjemy śniadanie.

Kiwnęła głową, ale nie przestała go obejmować. Delikatnie zdjął z siebie jej ramiona, odsunął ją na odległość kroku. Przypatrywała mu się z tym samym wyrzutem, oskarżeniem tylko częściowo wyartykułowanym na głos. Ale i z ulgą. Wytarła wierzchem dłoni mokrą od łez twarz, palcami przeczesła włosy. Pociągnęła nosem.

Wyszli na korytarz, ruszyli za znikającymi za zakrętem czarnymi sylwetkami agentów taktycznych. Na klatce schodowej Isabelle przystanęła, zacisnęła dłoń na przedramieniu męża.

– Czy to nie ten szpital, gdzie leży ta twoja kuzynka?

Claude wstrzymał oddech.

– Émilie? Tak, ale...

– Jak się czuje, jest jej lepiej? Nie powinniśmy jej odwiedzić?

Zadała jedno z tych pytań, które zawsze zawierają w sobie zakamulowany rozkaz.

– Nie wiem, teraz nie mamy przecież czasu, na pewno jest przy niej matka.

Isabelle przyjrzała się mu zza zmrużonych oczu. Nie potrafił rozszyfrować tego spojrzenia. Sprawdzała go, próbowała na czymś przyłapać? Podejrzewała coś?

– Chciałem cię odwiedzić do domu, a później muszę przecież wracać do pracy, zważyło mi się na głowę jeszcze więcej spraw niż dotychczas.

– Claude! – Głos żony był chłodny jak głos oficera podczas przesłuchania przez RAID.

– Dobra, ale tylko na chwilę. Jeśli w ogóle nas wpuszczą, wciąż nie potrafia zdiagnozować choroby.

Isabelle nie skomentowała jego szczeniackich reakcji. W milczeniu poczekali na windę, wjechali na wyższe piętro w towarzystwie wychudzonego pacjenta w pasiastej piżamie, którego odbicie w wypolerowanej blasze przypominało więźnia obozu koncentracyjnego z czarnymi otworami w głowie w miejscach oczu. Na oddziale panował chaos, korytarzem biegli pielęgniarki z noszami, których przykryta prześcieradłem zawartość tylko z kształtu przypominała człowieka. Ktoś przeraźliwie krzyczał, niewidoczny spanikowany lekarz zachrypłym głosem wydawał polecenia. Zaaferowany personel nie zwracał na nich uwagi, bez trudu odszukali właściwą salę szpitalną.

Émilie leżała całkiem sama, jakby o niej zapomniano. Drzwi nie były zamknięte na

zamek, weszli do środka. Z łóżka na podłogę spływały strużki cieczy o kolorze zgniłych owoców. Twarz dziewczyny z daleka zdawała się całkiem zabandażowana i przesiąknięta krwią. Z bliska okazało się, że po prostu mięśnie i skóra spłynęły z czaszki, zupełnie zamazując rysy, zamieniając ją w chropowatą powierzchnię, która mogła być kawałkiem drewna o dziwnym kształcie lub bardzo niedokładnie oszlifowanym kamieniem. A najbardziej tuszą ciemnego mięsa z kościstym nosem, ustami wyszczerzonymi w diabolicznym uśmiechu i szeroko rozwartymi oczami.

– Boże! – Isabelle odskoczyła od łóżka, schowała twarz w dłoniach. – Nie!

Chwyciła Claude'a, który wyciągnął ramię, by dotknąć kuzynki. Sprawdzić, czy ciągle żyje, bo w groteskowym spojrzeniu było więcej śmierci niż śladów życia. Spojrzał na wyłączone przyrządy, które stanowiły o ludzkiej kondycji. Ekran były głuche i martwe, zgasły razem z życiem, które powinny chronić. Zupełnie jakby je wyssały przez przewody elektryczne i rurki. Lub same dały się przez nie wciągnąć, zabić.

– Proszę cię, Claude, ona nie żyje! Chodźmy stąd.

Dał się zaciągnąć do drzwi. Słowa żony były dla niego jak komunikat o bombie zamachowca, która została w ostatniej chwili rozbrojona. Oprócz grozy wywołanej wstrząsającym widokiem poczuł, jak opada z niego balast, który tak długo ciążył mu na sumieniu.

Wyszli na korytarz. Isabelle ciągnęła go w stronę klatki schodowej, ale on z jakiegoś powodu odwrócił się, spojrzał w przeciwnym kierunku. W pierwszej chwili nie zdał sobie sprawy z tego, co widzi. Zupełnie niepasujący do szpitala obraz zabrał ze sobą do windy, przetwarzał te informacje mozolnie jak wyciągnięty z piwnicy archaiczny komputer. Porozrzucane fotografie zaczęły w końcu układać się w jedną całość, stworzyły logiczny ciąg. Przyspieszył, teraz to on ciągnął za sobą przerażoną żonę. Wypadli z budynku szpitala, podbiegli do postoju taksówek i wsiedli do pierwszej z brzegu.

– Jesteś pewien, że to była ona, Claude, że to Émilie? Claude, słyszysz mnie, co tam się dzieje? – Wbijiała mu palce w posiniaczone żebra, ale nawet nie poczuł bólu.

Przed oczami ponownie stanął mu ten sam widok, tym razem w pełni powiązany z treścią, której mu wcześniej brakowało. Dwóch mężczyzn w pomarańczowych skafandrach przeciwbiologicznych. Dwie istoty nie z tego świata. Jeźdźcy apokalipsy oznajmiający nadejście końca ludzkości.

– Nie wiem, kochanie. Ale chyba nic złego – skłamał.

Próbował przemknąć obok gabinetu komisarza niezauważony, ale musiałby wymazać z siebie kolory lub skurczyć się do wielkości karła, żeby nie zwrócić na siebie uwagi. A Montale wciąż miał oczy naokoło głowy, jak na starego gliniarza przystało. I nawet jeśli na wszystkie założyłby okulary przeciwsłoneczne, nie przeoczyłby stu dwudziestu kilogramów w czerwonym T-shircie rozmiaru XXL, przemieszczających się korytarzem jego wydziału. Zastukał w przeszkloną ścianę i gestem przywołał podwładnego do siebie.

– Odbiło ci, Aryan? Gdzieś ty się, u diabła, podziewał?!

Claude przysiadł na krześle w gotowości do natychmiastowej ewakuacji, jeśli szefowi przyszłoby do głowy wykopać go z biura.

– Wiesz, jaki ja tu miałem chlew? Ta świnka ze sztabu darła się jak zarzynana.

– Wiesz?

– A niby kto? O tam, widzisz? – Wskazał niewidoczną plamę na podłodze. – Kapało mu z ryja na pół pokoju. Brzydzą się teraz podejść do okna.

Komisarz przesunął czarne okulary na czoło i dokładniej przyjrzał się podwładnemu. Znali się wystarczająco długo, by dostrzegać w sobie więcej niż zawodową maskę obojętności.

– Coś się stało w domu? Claude, jeśli masz jakieś problemy...

– Nie, nic, szefie. Chciałbym tylko zameldować, że zostałem oficjalnie przesłuchany przez RAID z powodu udziału w niezgłoszonej akcji. Stosowny raport jest już najpewniej w drodze.

– Jakiej, kurwa, akcji? Claude, do jasnej cholery! I tak jesteś już jedną nogą za burtą, aż się prosisz, żeby cię wypieprzyli na dobre. – Odwrócił się bokiem i zapatrzył w okno z obrażoną miną. Kapitan nie potrafił odpędzić od siebie skojarzenia, że przełożony przypomina emeryta kłócącego się z żoną dla zasady. – Posunąłeś się przy okazji w dochodzeniu?

Eryan pokręcił głową, po czym w kilku zdaniach zdał relację z ostatniej nocy.

– *Crétin!* Mam nadzieję, że wszystko boli cię tak, jak mnie wkurwia. Już chyba Duce ma więcej rozumu w tym swoim kwadratowym łbie. Na rano chcę pełny raport. Na szczęście mamy jeszcze Taidera, bez niego byłbyś w czarnej dupie. Ja zresztą też, a wtedy sam bez mrugnięcia okiem wypieprzyłbym cię na zieloną trawkę. A teraz do roboty, dajcie mi tu wreszcie jakieś efekty, bo te hieny z góry rozszarpia mnie na drobne strzępy.

Claude zamarkował policyjny salut i wyszedł z biura. Sekretarka patrzyła na niego z większym oburzeniem niż sam szef, w jakiś dziwaczny sposób zawsze potrafiła przebić humor komisarza co najmniej dwa razy. Kiedy zdarzało mu się być wesołym, zanosila się śmiechem na całe piętro. Kiedy się wkurzył, dobijała wzrokiem ofiary gniewu niczym giermek pokonanych przez swojego rycerza.

W openspejsie zastał tylko Pauline Salagnac, Chardon – Oset. Z wyrazem twarzy zbitego psa wklepywała coś do komputera, poruszając przy tym bezdźwięcznie ustami. Wolał z nią nie zaczynać, z całą pewnością nie zaprzepaściłaby okazji, by wylać mu na łeb wiadro pomyj. Wpadała w szał, kiedy kazali jej wykonywać prace biurowe, ambicjami sięgała co najmniej stopnia generalskiego.

Po krótkich telefonach do obu poruczników zorientował się w przebiegu spraw. Armand wyjechał w teren robić niepotrzebną zadymę, czyli to, co wychodziło mu najlepiej. Sprowadził go z powrotem i wysłał na przeszpigi do chłopaków z narkotykowego, którzy przejęli sprawę nocnej strzelaniny w magazynie. Dzięki aktywności w związkach i znajomości we Froncie miał kumpli prawie wszędzie, całkiem nieźle porozumiewał się na swoim głupkowskim poziomie z innymi ćwierćinteligentami z komendy, nadawali na identycznych, faszystowskich falach. I podobno zawsze przydzielano ich do pracy czwórkami, żeby skompletować chociaż jeden mózg o zwykłej objętości.

Rais właśnie wracał z miasta. W niespełna dziesięć minut jego wysoka, szczupła sylwetka z twarzą ostro rysującą się w kontraście do białej koszulki polo pojawiła się na korytarzu wydziału zabójstw. Caroline sięgała mu ledwie do ramienia, z trudem nadażała za jego długimi, pospiesznymi krokami. Bez słowa skierowała się do swojego biurka, nie racząc pozdrowić szefa choćby jednym spojrzeniem. Claude nie zareagował, nie obchodziły go humory podwładnych, dopóki dobrze wykonywali swoją robotę.

Rais wszedł do środka i zajął wolne krzesło. Siedział prosto jak struna. Jego napięta twarz upodabiała go do drapieżnego ptaka o ostrym dziobie, gotowym szarpać na strzępy mięso upolowanej ofiary. Nic dziwnego, że niektórzy nazywali go Griffon – Sępem. Obaj sprawiali wrażenie zwierząt zastygłych w oczekiwaniu na łów, przy czym starszy stopniem policjant takiego, które ledwo wyrwało się z zastawionych wnyków. Poturbowane, przez co jeszcze groźniejsze.

– Już co nieco do mnie zdążyło dotrzeć – rozpoczął porucznik.

Kapitan przytaknął.

– Złe wieści rozchodzą się jak smród w windzie. Dobre zresztą niewiele wolniej.



– A ta jest dobra czy zła?

– Zależy, co nas czeka na końcu. Masz coś w sprawie tego nowego smolucha?

Rais najpierw przytaknął, zaraz po tym pokręcił głową.

– Mamy ofiarę, która siedem lat temu była notowana za paserstwo. Pod jego adresem zamiast rodziny zastaliśmy bałagan jak po źle przeprowadzonym przeszukaniu. Żona nie odbiera telefonu, nie udało nam się jej namierzyć. Mamy podobny scenariusz jak w przypadku poprzednich podpaień. W krzakach znaleźliśmy kanister z benzyną. Ciec zauważył pożar, jak już nie było czego zbierać. Pewnie skubany odsypiał jakiś melanz, jeszcze dzisiaj ma pół promila we krwi.

– Czyli powiązanie z poprzednią ofiarą. Tamten miał długi u mafii.

Rais głośno westchnął, po czym wzruszył ramionami. Jego nos nieco stracił na drapieżności.

– Może tak, może nie. Badamy sprawę. Mam nadzieję, że rodzina też zniknęła, zbóje sprzątają po nieudanych transakcjach.

– Nadzieję?

– Niestety, szefie, nadzieję. Jeśli ten trop okaże się ślepy, wracamy do punktu wyjścia.

Claude obawiał się, że źle ocenił podwładnego. Porucznik nie koncentrował się tak w gotowości do skoku, ale z obawy przed upadkiem. Całą siłą woli próbował trzymać się w kupie, by nie rozkleić się i nie rozpaść jak chińska laleczka na południowym słońcu.

– Wciąż mamy przecież Ruskich.

– Mamy?

– Cholera jasna, co się z tobą dzieje, Rais? Mamy albo zaraz będziemy mieć. Odszukajcie żonę tego smolucha, a ja na wieczór umówię nas na spotkanie na szczycie. Przygotuj się, będzie gorąco.

Porucznik kiwnął głową, obiecał przesłać raport w ciągu dwóch godzin. Wstał i zakołysał się na piętach, splótł dłonie.

– Te nocne telefony... – Zapowietrzył się, właściwie nie miał wytłumaczenia, dlaczego nie odbierał. Przez niego prawie zginął bliski mu człowiek, świetny gliniarz.

– Daj spokój, Rais, spieprzyłem to od początku do końca. Ja, nikt inny, jasne?

Podwładny pokręcił głową, ale nie potwierdził swojego przeczenia stosownymi słowami. Odwrócił się i odszedł jeszcze sztywniejszy, niż przybył do biura. Claude dawno go w takim stanie nie widział. I nie bardzo chciało mu się wierzyć, że był to wynik nadmiaru pracy czy niepowodzeń. Wyrzuty sumienia, że mu nie pomógł? Tego uczy się każdy policjant rozpoczynający służbę, części dochodzeń nigdy nie udaje się doprowadzić do końca, bez względu na podejmowane wysiłki. Działania poza protokołem często kończą się draką, nawet nieszcześciami. Pokora to jedna z najważniejszych cnót dobrego gliniarza i Rais do tej pory posiadał jej wystarczające pokłady. Może jakieś problemy osobiste, coś z matką? Powinien zapytać, ale powstrzymywała go wrodzona dyskrecja. Nie zwykł przeplatać życia zawodowego z prywatnym, daleko mu było do ojcowskiej postawy komisarza.

Choć intuicja podpowiadała mu, że później może tego żałować.

Alex zrobił sobie przerwę na lunch. Szybciej niż zwykle, ale i tak tego dnia nie miał wielu klientów. Zapłakana babuleńka, której z ciężkim sercem wcisnął zbyt drogą trumnę, i elegancka kobieta wybierająca usługi, jakby uzgadniała menu na przyjęcie z okazji swoich pięćdziesiątych urodzin. Ze złością na świat, który brał od niej więcej, niż dawał. Nie pieścił jej i ona też nie miała zamiaru pieścić innych. Alex zastanawiał się, czy zmarłemu mężowi miała za złe samą śmierć, która przysporzyła jej tyle kłopotów, czy życie, które u jego boku zmarnowała. Wolałby nigdy nie oglądać takich obrazków, zachowałby więcej szacunku do żyjących i zmarłych.

Po chwili wahania zrezygnował z wyjścia do miasta. Ostatnie rewelacje podziały na niego przygnębiająco, choć nie bardzo wierzył w Inkwizytora traktującego przypadkowe ofiary ogniem. Media uwielbiały rzucać publice na żer takie sensacje, a politycy od razu odnajdowali w nich tematy zastępcze dla recesji gospodarczej i kryzysu imigracyjnego. Były zrobić ludziom wodę z mózgu, potraktować ich jak stado baranów. Co najgorsze, każdorazowo z oczekiwanym skutkiem.

Wystawił w drzwiach tabliczkę z napisem „Zamknięte” i skierował się na zaplecze, gdzie zamierzał zjeść przyniesione z domu kanapki, spokojnie poczytać prasę i porównać fakty, wyciągnąć z nich własne wnioski. Coraz bardziej skłaniał się jednak do poszukiwania informacji w internecie, był regularnym czytelnikiem blogów. To sieć stała się teraz platformą wymiany myśli. Tylko tam pozostały resztki niezależnego dziennikarstwa. Z jakością publikowanych materiałów było różnie, najczęściej kiepsko, ale zdarzały się wyjątki. Na przykład blog Céline Dumerc, której nie znosił za wyrażane poglądy, ale uwielbiał za dobór tematów i świeżość spojrzenia. Dzielnie wkładała kij w mrowisko, a Alex cenił sobie taką odwagę.

Ledwie usiadł na krześle, dobiegł go dźwięk dzwonka u drzwi. Nie zatrzasnął zamka, wywieszka stanowiła zazwyczaj wystarczającą informację dla potencjalnych klientów. Lunch to świętość, której nie potrafili uszanować tylko poborcy podatkowi z lokalnych gangów i desperaci. Ci pierwsi nie nękali go już od kilkunastu lat, odkąd starzy bandyci wymarli lub odeszli na emeryturę, a ich następcy znaleźli dużo łatwiejsze i bardziej lukratywne źródła dochodu.

Pozostał więc desperat, ale w fizjonomii starszego mężczyzny, który wszedł do środka, Alex nie odnalazł ani jednej cechy załamanej tragedią żałobnika. Wręcz przeciwnie, było od niego dystynkcją i chłodem, pewnością siebie, jakby przyszedł robić zakupy na długie życie, a nie z powodu nagłej śmierci.

– Niestety, proszę pana, mam przerwę na lunch. Nie zechciałby pan przyjść za godzinę?

Mężczyzna omiótł go wzrokiem bez śladu zainteresowania, jak zgromadzone w holu eksponaty. Alexa ubodła bezczelność klienta. Nie był przecież zwykłym sprzedawcą trumien, za jakiego chcieli go uważać niektórzy. Był Charonem przeprowadzającym ciała umarłych przez granicę światów. Przewodnikiem na ich ostatniej drodze.

– Naprawdę, w tej chwili nie przyjmujemy klientów, więc jeśli nie miałby pan nic przeciwko temu...

Rozłożył bezradnie ręce, kiedy gość rozsiadł się w fotelu przy stole, gdzie załatwiał się ten wyjątkowo delikatny interes. W komforcie i atmosferze najwyższej dyskrecji. Nie w przerwie na żarcie, pomiędzy jednym a drugim gryzem kanapki, z mięsem w zębach i okruszkami na połach marynarki.

– Będę nalegał, obowiązują w końcu jakieś zasady...

– Przeszanie pan wreszcie biadolić i z łaski swojej usiądzie przy mnie? Chyba poświęci pan nieszczęsnemu nieboszczykowi pięć minut swojego cennego, wciąż płynącego czasu?

Alex dokładnie znał ten argument, jakkolwiek rozmowa by się potoczyła, zawsze wracano do tego miejsca. Powołanie się na dramat śmierci, który odrzuca wszelką możliwość dyskusji. Jest punktem ostatecznym, kropką w zdaniu. Zaciśnął szczęki, aby się opanować, przez twarz przelala mu się fala umiejętnie maskowanej złości. Jednak w tym interesie nie wolno mu było się unosić, najważniejsze są cierpliwość i wyrozumiałość. Obsługiwał co prawda trupy, którym z zasady wszystko jest już obojętne, płacili mu jednak żywi. Nie marnymi obolami, ale równie żywą gotówką.

Usiadł w fotelu naprzeciwko klienta i rozpoczął standardową procedurę sprzedaży. Starszy mężczyzna zdawał się zupełnie nieobecny duchem, jego puste oczy wypełniała nicość.

Alex wzdrygnął się, po plecach przeszły mu dreszcze. Ten człowiek przypominał denata, nawet wystroił się jak do trumny. Jakby na chwilę z niej wylazł, żeby ostatni raz doprowadzić spadkobierców do szału.

Nagle klient ocknął się z zamyślenia.

– Skończmy z tymi bzdurami, niech je pan zachowa dla wdów oplakujących mężów. Proszę pokazać mi swoją najtańszą trumnę i wybrać z cennika najprostszą formę ceremonii pochówku. Żadnego księdza, żadnego pastora, żadnego głupekowego gadania. Krematorium i jedna z tych urn, które się likwiduje po kilku latach. Słucha mnie pan?

– Tak, tak, oczywiście. – Alex wstał i podszedł do ekspozycji trumien, które piętrzyły się w szklanym regale wzdłuż przeciwległej ściany. – To jest najtańszy model, tektura lakierowana na kolor sosny. Jednak namawiałbym na coś lepszego, mówimy przecież o ceremonii niezwyklej wagi.

Wzrok sprzedawcy chciwie przemiescił się do trumien z twardego drewna, ale napotkawszy chłodne spojrzenie klienta, powrócił do pierwotnego wyboru.

– Biorąc pod uwagę kremację, jest to rzeczywiście trafny wybór. Jednakże w trakcie wystawienia zwłok na widok publiczny...

– Niczego takiego nie będzie. Zwłoki mają być po prostu załadowane do środka i spalone, nie spodziewam się konduktu żałobnego.

Alex poczuł, że złość zaczyna mu się wymykać spod kontroli. Nie dość, że facet zepsuł mu przerwę na lunch, to jeszcze skąpił grosza. A nie wyglądał na biedaka, wręcz przeciwnie. W normalnych okolicznościach na pewno udałoby się go naciągnąć przynajmniej na trumnę z buku i stypę. Ale okoliczności były co najmniej dziwne. Rzadko spotykał ludzi z taką pogardą podchodzących do ostatniej posługi. Wręcz wyczuwało się nienawiść, z jaką ten starszy mężczyzna traktował zmarłego, mimo że w obliczu śmierci wszelkie waśnie odchodzą najczęściej w zapomnienie. Poczul się z tego powodu osobiście dotknięty.

– Czy mogę więc wiedzieć, kogo będziemy chować? – zapytał oschle.

– Oczywiście. – Klient nieco się rozluźnił, założył nogę na nogę, strzepnął z nogawki spodni niewidoczny kurz. – Mnie.

Alex przelknął głośno ślinę, usiłował zapanować nad drżeniem twarzy. Teraz rozumiał. Tak bardzo nienawidzić można wyłącznie siebie.

Ludzi nietrudno znaleźć, jeśli nie potrafią zacierać za sobą śladów. Lub nie chcą, co przydarza się najczęściej kobietom obrażonym na bezgraniczną niesprawiedliwość świata, który nie funkcjonuje po ich myśli. Uciekają na zawsze, ale złość przechodzi im po pierwszej samotnie spędzonej nocy. Ukrywają się tak, by łatwo je było znaleźć, nie planują nic innego, jak tylko wyniośle przyjąć żalosne przeprosiny, z godnością pozwolić się zawieźć z powrotem to domu.

Jakkolwiek ten obraz zdawał się Raisowi uproszczony i zbyt stereotypowy, najczęściej odpowiadał rzeczywistości. Zabójstwa w przytłaczającej większości zdarzają się w rodzinie lub w gronie najbliższych przyjaciół. Bite kobiety nie odchodzą od swoich oprawców nie dlatego, że się ich tak bardzo boją, lecz ze strachu przed życiem w pojedynkę. Eksplozje wściekłości i domowe burdy nie są oznaką rozpadu związków, ale buzującej w kochankach miłości. Logika zamiera, kiedy ma do czynienia z żywą tkanką ludzkich namiętności.

Dlatego zapukał do wskazanego przez sąsiadów mieszkania na trzecim piętrze wieżowca w dzielnicy zachodniej, na obrzeżach Marsylii. Grzecznie poinformował o celu wizyty, zanim gospodarze odbezpieczyli zamek. Pozdrowił starszą panią, która z zaciętą miną usiłowała kłamać, i bez wdawania się w zbędne dyskusje odsunął ją, przekonując do swoich racji argumentem siły. Znał te mieszkania w blokach, wszystkie budowane według kilku prymitywnych schematów, więc bez wahania wybrał pierwsze drzwi na prawo, gdzie przeważnie

znajdowała się sypialnia. Najbardziej intymne miejsce pani domu, które zazwyczaj wydaje się najpewniejszą kryjówką. Nie trafił, tym razem uciekiniarka chowała się w kuchni.

Nie trafiła też ta, której szukali. Ciśnięty z wprawą talerz przeleciał parę centymetrów nad głową Caroline, prześlizgnął się Raisowi po karku i rozbił o ścianę korytarza. Drugi, rzucony mniej sprawną, lewą ręką, chybił celu o co najmniej pół metra. Roztrzaskał się o próg niczym krzyk rozpaczony wymierzony w daleką przestrzeń. Mouche była bliżej, obezwładniła kobietę w kilka sekund, przyduszając szamotające się ciało kolanem do podłogi. Kiedy obrona okazała się bezskuteczna, mieszkanie wypełnił wściekły wrzask. Prawie natychmiast przyłączył się do niego ryk dziecka, a tuż po nim żalospny lament starszej pani, która zaczęła szarpać porucznika za ramię.

– *Merde!* Użarła mnie, pizda – syknęła Caroline, próbując zatkać kobiecie usta.

– Zamknij pysk, bo cię oskarżę o atak na policjanta!

Kobieta umilkła, wybałuszając wypełnione histerią oczy. Rais nie miał pewności, czy zakrzusiła się i zaczęła dusić, czy tak silnie podziałała na nią groźba Muchy. Starsza pani przestała się na nim uwieszać, a wycie dziecka przeszło w monotony jęk.

– A ty, stara, nie stój tak, zajmij się, do cholery, dzieckiem! No, czego się gapisz, mam wezwać obyczajówkę?

Gospodyni splunęła na podłogę, ale karnie przeszła do salonu, skąd po kilku sekundach doszły dziwaczne dźwięki niemowlęcego języka w wykonaniu troskliwej babki. Rais z wdzięcznością spojrział na koleżankę, która w odpowiedzi spiorunowała go wzrokiem.

– I co, będziesz teraz snuł fantazje o damskim wrestlingu czy weźmiesz się do roboty?

Doskoczył do niej jak na komendę, choć to on powinien wydawać rozkazy. Razem dźwignęli kobietę z podłogi i posadzili na krześle. Przypominała mysz o pulchnym, workowatym tułowiu, z którego wyrastały cieniutkie kończyny i wredny ryjek ze spiczastym noskiem. Rais poczuł niespodziewany przyływ sympatii do jej męża, smolucha. Na jego miejscu wprowadziłby się do garażu na stałe.

– Nazywa się pani Juliette Turaif? Albert to pani mąż? Hej, słyszy mnie pani?

Kobieta dwa razy kiwnęła głową. Wściekłość zaczęła schodzić z jej twarzy purpurowymi plamami, pomiędzy którymi wykwitły kleksy trupiej bledności. Oczy też jakby wyblakły, przebijał przez nie nieokreślony strach.

– Mam pani do przekazania coś bardzo ważnego. Jest pani gotowa? Pani mąż, Albert Turaif, nie żyje. Zmarł wczorajszej nocy, znaleziono go w wynajmowanym magazynie. Podejrzewamy udział osób trzecich. W związku z tym zamierzamy...

Wzrok wdowy znieruchomiał i znikł za gęstą mgłą. Zemdlała, nie przymykając powiek, zsunęła się z krzesła na podłogę jak niedbale zawieszony sweter z grubej wełny. Policjanci stanęli nad nią i popatrzyli na siebie. Caroline wzruszyła ramionami i wyciągnęła z kieszeni telefon, wezwała karetkę pogotowia i patrol.

– A co, miałam ją pogłaskać po głowie i szepnąć namiętnie w uszko?

Kobieta odzyskała przytomność po krótkiej chwili, ale natychmiast zalała się łzami. Lament koszmarnie wykrzywił jej usta, z których wydobywały się nieartykułowane głoski. Jako świadek była bezużyteczna, Rais zostawił na miejscu naburmuszoną podwładną, a sam udał się na wybrzeże. Miał spotkać się z informatorem od Al-Bandżabiego w jednym z lokali w starym porcie, gdzie aż roiło się od emigrantów z Armenii i Gruzji. Nic do nich nie miał, pod warunkiem że zostawiali go w spokoju. Tak zwykle było, ale tylko dzięki policyjnej odznace. Mógł próbować zrozumieć białych, którzy ze swoich pokrętnych powodów nie tolerowali ciemniejszych od siebie, ale jednych ciemnych nienawidzących drugich z powodów rasowych? To tak, jakby szczury zżerały się nawzajem tylko dlatego, że są szczurami. Jako gatunek nie

przetrwałyby roku.

Często próbował postawić się w roli rasisty. Potrafił wyobrazić sobie siebie w różnych sytuacjach, ale w tym jednym przypadku kompletnie brakowało mu fantazji. Musiałby rozumować w zupełnie innych kategoriach myślowych. Wychować się w innym środowisku, być może od małego przesiąknąć nienawiścią do ludzi. Być nieudacznikiem na własne życzenie, ofiarą losu z wyboru. Tak naprawdę nikim i niczym, bo tak właśnie by się czuł. Śmieć bez szacunku do siebie i innych, zupełne zero.

Z trudem przychodziło mu od nowa pogodzić się ze swoim miejscem w szeregu. Robił przecież to, co mu kazano, osiągnął już sporo, a czekało go jeszcze więcej. Tak mu się przynajmniej do tej pory zdawało. Nie był w stanie przewidzieć swojej reakcji, jeśliby stracił wszystko, co miał. A poza pracą miał tylko matkę. Zmiana w jej zachowaniu bolała go najbardziej. Do nowych okoliczności przywykłyby albo nie, mógł rozpatrywać różne warianty. W przypadku matki nie było alternatywnych opcji. Gdyby się miała z jakichkolwiek powodów od niego odwrócić, nie dałby rady. Pękłoby mu serce. Skończyłby na wysypisku zniszczonych osobowości, ludzkich odpadków.

Z zamyślenia wyrwał go pisk opon. Jakiś rowerzysta wyskoczył z chodnika na jezdnię. Uniknął zderzenia z furgonetką tylko dzięki refleksowi kierowcy. Slalomem przemknął się pomiędzy innymi samochodami i zniknął na skrzyżowaniu. Kierowca wydzierał się przez opuszczone okno i wygrażał pięścią, srebrny peugeot toczył się tuż za nim. Ten sam, którego Rais zauważył, ruszając spod bloku wdowy.

A może inny? Skąd w ogóle pomysł, że go śledzą? Od czasu dziwnego spotkania z Al-Bandżabim częściej oglądał się za siebie, stał się bardziej uważny. Nie miało to żadnej racjonalnej przesłanki, ale niepewność podmywała mu grunt pod nogami. Myślał o najgorszym, choć nie umiał określić, czym to najgorsze miałyby być. Do głowy przychodziła mu tylko krzywda matki. Jej niezrealizowana ambicja – on.

Skręcił w prawo i zaraz w lewo, zatoczył koło, a następnie ósemkę. Srebrny kolor zniknął i pojawiał się znowu, w różnych wcieleniach. Citroeny, golfy, seaty i fiaty. Peugeot 406 z kierowcą w zielonkawej koszuli i pasażerem w marynarce noszonej mimo panującego upału znikł na samym początku drogi, by nagle pojawić się tuż przed maską. Rais esemesem odwołał spotkanie. Gwałtownie wjechał na parking, gdzie zajął ostatnie miejsce. Wyskoczył z auta, zbiegł po schodkach na niżej położoną uliczkę, podwórkami przedostał się na tyły parkingu. Wszedł na najwyższe piętro zniszczonej kamienicy i przez chwilę obserwował peugeota. Stał na zakazie, dwoma kołami na chodniku, blokując przejście. Nikt z niego nie wysiadał, nie widać było żadnego ruchu.

Konkurencyjny wydział policji? Skurwysyny z Frontu? Al-Bandżabi dał mu plaster, żeby znaleźć na niego haczyk? Rais wyciągnął komórkę i wybrał telefon alarmowy policji. Przewidywał numer legitymacji, zgłosił niebezpieczeństwo na drodze i zagrożenie życia. Po niespełna minucie z góry ulicy dobiegło wycie syreny. Peugeot ożył, lekko zadrżał od wibracji silnika, nagle skoczył do przodu i pozostawiając za sobą tuman kurzu, znikł pomiędzy ciasną zabudową nabrzeża. Rais spokojnie wrócił do auta. Teraz miał pewność.

Śledzili go.

Od godziny siedziała w ciszy wpatrzona w matowy ekran telewizora. Przez ten czas nawet nie drgnęła, przypominała woskową lalkę ze strachem wyrysowanym na twarzy kilkoma pionowymi kreskami. Poruszał się tylko naelektryzowany kosmyk włosów w prawie niewyczuwalnym strumieniu przewiewu i gałki oczne, które drżały jak porażone prądem. Ciało Isabelle zamarło.

Wyobraźnia szalała. Mózg gotował się od nadmiaru myśli, kipiał, doprowadzony do

wrzenia umysł parował, wypełniając mieszkanie projekcjami scen, które zamieniły ściany pokoi w koszmar jak z Hieronima Boscha. Demony kłębiły się, falowały, układając się w coraz straszniejsze konstelacje ze śmiercią czającą się w tle. Miała nieokreślony kształt rozkładającego się ciała, przy czym cielesność była czysto umowna, gdyż rozlewała się po podłodze lepką substancją. Głęboką, oleistą cieczą z setek gnijących organizmów, ochłapami opadających z kości skóry i mięśni, zsuwających się groteskowych ubrań. Maż zalewała mieszkanie bagnem pełnym toksycznych wyziewów i zgubnych topieli, wirów.

Isabelle tonęła w nim. Wśród półprzezroczystych stworów nie dostrzegała nawet cienia nadziei. Rękę wyciągała w pustkę, chwytając raz za razem obrzydliwe powietrze, którym nie potrafiła oddychać. Dusiła się i jednocześnie topiła. Porastające jej skórę wrzody pęczniały, czuła przelewające się przez nią obce życie, które ją pożerało od środka. Powoli i metodycznie przeżuwało tkankę i wydalało ją w formie półpłynnej galarety. Nie tylko śmierć nie miała rozpoznawalnego kształtu, ona sama stawała się amorficzna. Rozpuszczała się niczym lody o smaku krwawej mielonki.

Podskoczyła na dźwięk telefonu, ale dopiero piąty sygnał wyrwał ją z koszmarnego letargu. Rzuciła się na słuchawkę i odpowiedziała krzykiem wdzięczności, który elektronicznie zniekształcony dopłynął światłowodami do odbiorcy w postaci wrzasku paniki.

– Halo, czy rozmawiam z panią Eryan? – zapytała z wahaniem kobieta po drugiej stronie.

– Tak, tak, to ja. – Isabelle rozpoznała wychowawczynię z przedszkola. – Czy coś się stało, Mimi?

– Jezu, Is, nie poznałam cię. Wszystko w porządku?

– Tak, tak. Dlaczego? – Isabelle przecesała włosy i pochyliła się nad stołem z czarnego szkła, w którym jej sylwetka była widoczna jak w lustrze. Też by się siebie wystraszyła, wyglądała jak topielica. – Przysnęłam, miałam ciężki poranek.

– Przysnęłaś i chyba trochę zaspasałaś. Dzieciaki się niecierpliwiają, powinnaś je już dawno odebrać.

Isabelle odsunęła telefon i odczytała godzinę. Rzeczywiście, powinna była po nie wyjść prawie godzinę temu. Jednak sama myśl o maluchach wywołała w niej dreszcze. Nie mogła ich przyprowadzić do tego domu, jeszcze nie teraz.

– Słuchaj, Mimi, mam małą prośbę. Dałabyś radę zatrzymać je jeszcze z godzinkę? Mam coś do załatwienia i tylko by mi w tym przeszkadzały. Pliiis...

– Jasne, nie ma problemu, ja jestem w pracy do ósmej. Gorzej z nimi, już zaczynają mi strasznie marudzić.

– Wytrzymają, obiecuj im jakiś prezent czy coś innego. Będę około czwartej. Dzięki!

Zakończyła rozmowę, zanim przedszkolanka się rozmyśliła. Odłożyła telefon i wyciągnęła ręce. Obejrzała je dokładnie z każdej strony, od koniuszków palców do barków, najwyżej jak sięgnęła wzrokiem. Zrzuciła spodnie od dresu, które miała na sobie od rana, i wyciągnęła nogi na stole. Zajrzała na podeszwy i pod kolana, wykonując karkołomne ewolucje, sprawdziła tyłek. Zerwała się z sofy i pobiegła do łazienki, w ostrym świetle jarzeniówki przed lustrem skontrolowała resztę ciała. Jej skóra była doskonała jak zwykle, poza kilkoma pieprzykami, które znała na pamięć.

Zbliżyła się do lśniącego odbicia twarzy, dokładnie zbadała oczy, odsłaniając różowe wnętrza oczodołu, dziurki w nosie i usta, starając się zajrzeć głęboko w gardło. Żadnych zmian, choć gołe mięśnie jamy gębowej wyglądały tak, jakby zaczęły się już rozkładać. Przemieliała językiem, ale nie wyczuła cierpkiego smaku krwi. Gdyby skóra tak nie swędziała, uznałaby się za czystą i nieskazitelną. Świąd opanowywał ją jednak od dłoni przez ramiona do piersi i pleców, po brzuchu i kręgosłupie ześlizgiwał się na nogi, po drodze wtykał swoje ohydne paluchy do

pochwy i w odbytu. Zaczęła się drapać, z satysfakcją obserwowała postępującą pokrzywkę, podrażnione miejsca puchły i jeszcze bardziej piekły.

Nagle przestała, zatrzymała się w połowie ruchu. A jeśli w ten sposób umożliwia wirusowi wtargnięcie w głąb ciała? Z obrzydzeniem oderwała od siebie dłonie, wyobraziła sobie pokłady zdrapanego naskórka zalegającego pod paznokciami, zainfekowaną tkankę. Odkręciła wodę i namydliła się, wygrzebała z szafki szczoteczkę i zaczęła się trzeć jej plastikowymi igłami. Wskoczyła pod prysznic, wylała na siebie prawie całą butelkę mydła, metodycznie szorowała szczotką całe ciało. Nieważne, że sprawiało jej to ból i zrywało naskórek, kaleczyło najdelikatniejsze miejsca. Musiała zmyć z siebie chorobę, która przyłgnęła do niej w szpitalu. Nie miała wątpliwości – Émilie zmarła przez jakiś egzotyczny wirus. A ona przyniosła go na siebie do domu. Nieważne co, jak bardzo zakaźne i w jaki sposób przenosi się na inne organizmy, fakty nie miały większego znaczenia. Wystarczyły wyobrażenia podsycane przez rozpedzone emocje. Nawet niewielkie prawdopodobieństwo infekcji stanowiło dla niej śmiertelne zagrożenie. Hipotetyczna śmierć doprowadzała ją do hysterii.

Kłębły pary wypełniły łazienkę po brzegi, falowały jak tłum upiórów w podartych szatach. Przypomniała sobie wizję sprzed kilkunastu minut, z trwogą postawiła nogę na kafelkach podłogi. Były chłodne i twarde, nie otworzyły się bulgoczącą tonią płynnego mięsa, by wessać ją do środka.

Wyciągnęła spod umywalki plastikową miednicę i napeściła wody. Dodała olbrzymią porcję wybielacza i naciągnęła na dłonie rękawiczki. Ruszyła do ataku, w zapamiętaniu pucując, trąc i pocierając, dezynfekując i odkażając. Pokój Claude'a zamknęła na klucz, futrynę zakleiła taśmą, jego brudne rzeczy wrzuciła do worka na śmieci i postawiła przy drzwiach. Dokładnie prześledziła drogę, którą przebył rano, od wejścia do ulubionego miejsca przy stole w kuchni. Ewentualne ślady, jakie po sobie zostawił, wyczyściła dwukrotnie. Nie miało znaczenia, że już dawno minęła godzina i powinna wyjść do przedszkola po dzieci. Liczyła się teraz wyłącznie czystość. Bezpieczeństwo rodziny.

A jej mąż stanowił dla niej w tej chwili największe zagrożenie, to on miał najbliższy kontakt z chorobą. Jeśli ma ich zarazić, lepiej, żeby się nie pokazywał w domu. Prędzej go zabije, niż pozwoli mu wyrządzić im krzywdę.

Dostrzegł ją już z daleka. Wyróżniała się z tłumu turystów przemierzających się w obie strony ścieżki biegnącej do bazyliki Notre Dame de la Garde. Stała w najlepszym miejscu punktu widokowego, wpatrując się w morze. Stłoczeni wokół ludzie okrążyli ją niczym pomnik, który otacza się kultem. Wydawała się unosić nad ziemią na niewidocznym cokole, wyprostowana i nieruchoma przyjęła kształt starożytnej bogini. Naznaczonej tragedią i umęczonej, a jednocześnie pełnej nieprzemijającego piękna, któremu składa się hołdy zarówno za życia, jak i po śmierci. Zza półprzymkniętych powiek lśniły perłowe oczy, po wysuszonych przez wiatr łzach pozostały wilgotne ślady. Wiatr był dla niej w tej chwili najwierniejszym przyjacielem, obejmował ją, pocieszał, dodawał otuchy. W jego ramionach poruszała się, mimo że pozostawała w bezruchu. W każdej chwili mogłaby unieść się i poszybować w nieznaną.

Claude zatrzymał się kilka metrów od niej. Uczucie, którego nie potrafił nazwać, odpychało go niczym magnes o takim samym ładunku. Ugrzązł w nagle stężałej wodzie, nie potrafił wykonać tych kilku ostatnich kroków. Wstyd, że nie zdołał pomóc. Strach, że to on zawinił w największym stopniu. Wyrzuty sumienia, ponieważ w głębi duszy pragnął tej śmierci. Dzięki niej uwolnił się od niepokoju ciężącego niczym nadwaga, której nie mógł się pozbyć. Od ciągłego stanu zagrożenia, jak wtedy, gdy był na wojnie. Pozornie bezpieczny za niebieskim emblematem ONZ, lecz wciąż narażony na przypadkową kulę. To nic, że teraz czuł w sobie nieskończoną pustkę bezgranicznej straty, a żal wypełniał go prawie w całości. Było za późno,

nic nie zdoła wskrzesić do życia tego, co umarło. Ukoić duszy.

Przedarł się przez pole magnetyczne smutku z najwyższym trudem. Stanął tak blisko ciotki, że od zapachu jej perfum dostał zawrotu głowy. Przytrzymał się balustrady, żeby nie runąć w dół.

– Bardzo mi przykro, ciociu Irène – wydukał, zanim krtań skleiła się na dobre. Wtedy nie wydobyłby z siebie nawet pomruku. Naprawdę stężałby w kamień.

Kobieta odwróciła głowę w jego stronę, wiatr przykleił rozpuszczone włosy do wilgotnego policzka. Zaczesała je za ucho tym samym gestem, który tak lubił u Émilie. Spojrzała na niego jej zawsze lekko zaskoczonymi oczami. Ułożyła usta w jej uśmiechu. Zaraz jednak ściągnęła wargi, a spod rzęs posypały się koraliki łez. Przywarła do niego, wtulając twarz w pierś. Dłonie z całej siły zacisnęła na plecach. Teraz całkiem zamieniła się w córkę.

– Tak bardzo żałuję, że nie potrafiłem zrobić więcej. Może gdybym...

– Ciii... – Odsunęła się i położyła mu palec na ustach.

Czerwień paznokcia była w ostrym świetle tak intensywna, że w miejscu dotknięcia rozżarzył się ogień. Natychmiast spłynął przelykiem do żołądka i zamienił się w pożar. To właśnie ciotka wzbudzała w nim kiedyś takie emocje, że zainteresował się Émilie. Nie mógł mieć matki, więc wziął sobie w zamian jej kopię, laleczkę do zabawy w miejsce nieosiągalnej kobiety.

– Jeśli w jej śmierć był zamieszany ktoś trzeci, to obiecuję, że zrobię wszystko, co w mojej mocy... – Potrząsnął głową i nabrał głębokiego oddechu. – Nie, ciociu, zrobię więcej. Zabiję, jeśli będzie trzeba.

Zacisnął pięści z taką siłą, że paznokcie wbiły mu się w skórę. W tej chwili byłby w stanie zmiażdżyć czyjąś czaszkę. Porwać obce życie w strzępy jak arkusz papieru. Zredukować do atomów, anihilować.

– Tak, Claude, kochany, wiem. – Ujęła bezkształtne grudy jego pięści w swoje delikatne dłonie, otworzyła je. – Ale wolałabym, żebyś przeniósł się w czasie i z nią tu wrócił. Albo cofnął nas wszystkich do niej i tam pozostawił.

Stanąła przy balustradzie. Zapatrzyła się w pejzaż zatoki z szarym zamkiem otoczonym falami lazuru, znieruchomiła, ponownie wstępując na swój piedestał. Wzrok Claude'a powędrował w tę samą stronę. Wciąż istnieją miejsca, z których Marsylia wydaje się spokojna i piękna. Robi się ich coraz mniej, bo ludzie systematycznie wszystko niszczą. A koniec świata nastąpi wtedy, gdy na ziemi nie będzie niczego innego, do ostatniego fragmentu pokryją ją ludzie. Nie potrafił wyobrazić sobie większego koszmaru.

– Długo nie mogłam zrozumieć, dlaczego ona tutaj została. – Głos kobiety stał się twardy, niemal metaliczny. – Nie znalazłam ani jednego powodu, który trzymałby ją w Marsylii. W Bordeaux miałyby lepszą pracę, nie musiałyby mieszkać w tej mikroskopijnej dziupli, wykonywać tych odmóżdżających telefonów, od których można zacząć gardzić samym sobą w ciągu jednego dnia. Najpierw myślałam, że po prostu kocha to miasto. Ale nie, tego upadającego molocha nie da się kochać. Z każdym rokiem staje się bardziej obrzydliwy. Zauważyłeś to, Claude? Jakby te mury pękały od starości i zaczęły się sypać. Wystarczy jeden większy wstrząs i wszystko runie. Zostanie sam gruz.

Claude kiwnął głową, ale nie odwzajemnił spojrzenia ciotki. Bał się tego, co mógłby zobaczyć w jej oczach. Do czego zdawała się zmierzać.

– Towarzystwo? Tak naprawdę z nikim się blisko nie przyjaźniła. Oczywiście, było mnóstwo koleżanek i kolegów, bliższych lub dalszych znajomych. Nic, czego nie miałyby w Bordeaux.

Claude usłyszał tuż obok głośny krzyk. Jakiś skołowany Japończyk wpadł mu na plecy, cofając się w poszukiwaniu miejsca do zdjęcia. Prawie tego nie poczuł, ale filigranowy



mężczyzna wystraszył się, jakby co najmniej potracił go samochód. Zadarł głowę i przez chwilę wpatrywał się w olbrzyma wąskimi szparkami opuchniętych oczu, po czym w paru nerwowych ukłonach przeprosił. Oddalił się na kilka kroków, ale wtedy do głowy przyszedł mu lepszy pomysł. Krzyknął do partnerki: „Thor!” i znieruchomiał, daszek na czarnej gumce oplatającej głowę odchylił do tyłu jak ptasi dziób, przyjmując pozę do zrobienia zdjęcia. Claude skrzywił się z irytacją i wyciągnął dłoń w obronnym geście: barbarzyńca z północy, który zapomniał wziąć swego śmiertelnościanego oręża.

Irène mówiła dalej, w zamyśleniu nie zauważając nawet krótkiego zajścia.

– Przez długi czas miałam nadzieję, że chodzi o jakiś związek. Mężczyznę lub mężczyzn, jeśli nie długotrwałą miłość, to przynajmniej próbę znalezienia tego jednego. Oczywiście, chłopaków było mnóstwo, młodość rządzi się swoimi prawami. Ale Émilie nie poszukiwała miłości, Claude. Ona starała się ją czymś zastąpić, chowała się w hałasie, bo nie potrafiła wytrzymać w ciszy.

– Chyba trudno jej było pogodzić się ze stratą ojca...

Irène nagle odwróciła się do Claude’a przodem i z rozmachu uderzyła go w twarz. Jej pomarszczona broda drżała. Z lewego oka wypłynęła strużka łez, która w słońcu przybrała kolor srebra.

– Milcz, po prostu się zamknij, Claude! Myślisz, że ja nic nie wiem? Wiedziałam od dawna, ale... to by zabiło Berna. A później, gdy odszedł... Myślałam, że czas coś zmieni. Czekałam, bo to wydawało mi się najsensowniejsze. Okłamywałam się, bo prawda mnie przerażała. Prawda byłaby bolesna, ale zniosłabym to. Gdybyście mi wtedy powiedzieli, że chcecie być razem, lub choćby razem uciekli, zrozumiałabym. Zaakceptowałabym tę miłość.

Pokręciła głową, pojedyncza łza oderwała się od lewego policzka i kapnęła Eryanowi na dłoń. Wzarała się w skórę jak jad, sparaliżowała go.

– Ja...

– Nie, Claude, proszę cię, wystarczy. Dostyc zepsuliśmy. Gdybyś tylko spróbował z kimś pogadać, żeby oddali ciało, a raczej to, co z niej zostało...

Pod Irène załamały się nogi. Gdyby Claude nie zareagował błyskawicznie i jej nie przytrzymał, złożyłaby się jak uwolniona z linek kukielka. Opierała się o niego nieco zbyt długo, by służyło to tylko utrzymaniu równowagi. Zmarszczki na twarzy, które dodawały jej rysom dojrzałości i ponadczasowego piękna, zamieniły się w bruzdy. Eryan nie zdołał rozszyfrować spojrzenia, przed którym nie potrafił się obronić. Może próbowała na nim wymusić jakąś przysięgę. Może nakłaniała go w ten sposób do wyznania, którego nie umiał ułożyć w słowa.

Zarzuciła torebkę na ramię i ruszyła w dół drogą prowadzącą do miasta. Szła tak, jak chodziła Émilie, od tyłu były nie do odróżnienia. Pozostawiła po sobie zawieszinę z perfum i smutku, a także truciznę, która infekowała układ nerwowy. Claude był oszołomiony tym, co usłyszał. Rozdarty na pół, jakby stał obok siebie w dwóch sprzecznych wersjach. Pękał i kruszył się, w czym przypominał swoje miasto. Wietrzył, a morze występowało z brzegów i pochłaniało ład. Jeśli znikną, to razem: on i Marsylia. Być może ani jedno z nich nie zasłużyło, by być.

– A pan dokąd, kapitanie, szef jest zajęty! Cholera jasna!

Claude bez pukania wpadł do gabinetu komisarza, zatrzasnął drzwi tuż przed szarżującą za nim sekretarką. Jej oburzona mina przenikała szybę na wylot, więc opuścił żaluzje, by jakimś cudem nie udało jej się teleportować do środka. Na wszelki wypadek przekręcił klucz w zamku, dla pewności nacisnął na klamkę i szarpnął.

– Co to ma znaczyć, Aryan, znowu wariujesz?

Fabio Montale zastygł zdumiony z ciemnymi okularami zwisającymi w zatrzymanej w połowie gestu dłoni i rozdziawionymi ustami. Jakkolwiek starał się utrzymywać w wydziale

relacje towarzyskie, pewnych granic nie nawykł przekraczać, przynajmniej nie w godzinach pracy. Claude przestawił krzesło oparciem do przodu i dosiadł go okrakiem, opierając skrzyżowane ramiona na zaimprovizowanej półce.

– Lepiej, żeby to było coś ważnego, bo przysięgam, jakem Louis Tigany, nasram ci w aktach taką naganę, że smród będzie się za tobą ciągnął do końca kariery.

– To raczej niedługo, szefie, wytrzymam.

– *Merde!* – Komisarz upuścił okulary i walnął pięścią w stół. – Co się z tobą, do diabła, dzieje?!

Claude przez kilkanaście sekund mierzył się z komisarzem wzrokiem, jakby próbował przekazać mu coś telepatycznie. Zaczął prawie szeptem:

– Zmarła moja kuzynka Émilie.

– Émilie?

– Najprawdopodobniej na jedną z tych ohydnych afrykańskich chorób, praktycznie rozlała się po podłodze jak pomyje. Widziałem w szpitalu ekipę w skafandrach, coś chyba jest na rzeczy.

– Epidemia?

– Nie wiem, na razie o niczym nie słyhać.

– Z całą sympatią, Aryan, jak przyszedłeś mi sprzedać bakcyła, to lepiej spierdalaj.

Montale zmrużył oczy i uważnie zmierzył wzrokiem mężczyznę siedzącego po drugiej stronie biurka. Claude wyglądał tak samo jak zwykle: Thor w cywilu i bez swojego młota.

Komisarz odruchowo odsunął się na fotelu na kółkach i zatrzymał na tylnej ścianie gabinetu.

– Spokojnie, nie miałem z nią bliższego kontaktu od bardzo dawna – skłamał kapitan.

Dokładnie pamiętał dotyk dłoni podczas ich ostatniego spotkania. Wolał to jednak zostawić dla siebie. – Zresztą, cholera wie, co to tak naprawdę jest. Może nic nie ma?

– To po coś tu przylazł, nie masz się komu zwierzyć?

Zaprzeczył gwałtownym ruchem głowy, ale właśnie tak było. Isabelle wpadła w stupor i nie mógł się z nią porozumieć, a Rais zachowywał się ostatnio wyjątkowo dziwnie. Jemu i tak pewnie by nic nie powiedział, nie byli ze sobą na tyle zżyci. Właściwie to wszystko, podsumował, jego wieloletnie starania przyniosły przewidywalny skutek. Nie miał żadnych przyjaciół.

– Mam wewnętrzne informacje w sprawie tej epidemii.

– Tej, której jeszcze nie ma?

– Ale może będzie, czuję to w kościach.

– No to tym bardziej wypieprzaj z gabinetu, jeśli już ci coś łązi pod skórą.

– Na razie zakładamy, szefie. Wie pan, że mam nosa do takich rzeczy. Da mi pan pięć minut na wyjaśnienia i wtedy podejmie pan decyzję.

Komisarz sięgnął po leżące na biurku ray-bany. Wsunął zausznik do ust i po chwili namysłu wymierzył jego obślinioną końcówkę w podwładnego.

– Masz trzy, przy czym pół już minęło.

– No więc zakładamy, że coś jest na rzeczy i mamy do czynienia z epidemią. Émilie wspominała w szpitalu, że ktoś jej dotknął w metrze, kiedy jechała do pracy. Chciała przez to powiedzieć, że została przez kogoś zarażona. Można spróbować namierzyć typa, sprawdzić teorię. Jeśli nic z tego nie będzie, stracimy parę godzin roboty. Ale jeśli trafimy w dziesiątkę...

Komisarz prychnął pod nosem. Przyjął szyderczy wyraz twarzy cynicznego kocura, którego interesuje wyłącznie miska z żarciem i miękki fotel.

– Wtedy okażesz się bohaterem ratującym świat przed zagładą. Sławy ci się zachciewa?

– Mnie nie, szefie. Ale komendant nie miałby nic przeciwko temu. A po drugie,

identyfikacja ogniska zarazy może ograniczyć rozprzestrzenianie się choroby.

– Jezus, chłopie, czytałeś raport Lekarzy bez Granic z Afryki czy co? Nawet jeśli, to nie jest to nasza sprawa. Zapomniałeś już, czym się tu zajmujemy?

– Ktoś może zarażać ludzi celowo, a to ma znamiona zabójstwa.

– Zabójstwa! Weź się lepiej do tych twoich smoluchów. Rusków już namierzyliście?

Kapitan zerwał się z miejsca, płynnym ruchem dźwignął krzesło i cisnął je w róg pokoju. Montale upuścił okulary na podłogę, szparki oczu rozszerzyły się do wielkości przepołowionych jajek. Zostały przekroczone wszelkie granice! Podwładny dyszał jak byk gotowy staranować pół wydziału, jeśli dostrzeże choćby rąbek czerwonej płachty. A twarz komisarza przybrała barwę flagi pierwszomajowej.

– Hej, co się tam dzieje! Słyszycie mnie?! – Sekretarka szarpnęła za klamkę i zaczęła pukać w szybę.

Claude nie ustępował, stał się teraz prawdziwym Thorem. A wyimaginowany młot lśnił w promieniach wpadającego słońca i oślepił Montalego, który nie potrafił wytrzymać miotającego pioruny spojrzenia podwładnego. Sekretarka nie przestawała dobijać się do zamkniętych drzwi. Komisarz schylił się po okulary, założył je. Prawa ręka zadrżała mu, musiał ją objąć lewą. Nie chodziło już o podważenie autorytetu i złamanie wszelkich obowiązujących w policji zasad. Zwyczajnie pękło mu serce.

– Przygotuj kwity i wyślij paru ludzi do centrali metra. Tylko wymyśl coś innego, z tą epidemią osrają nas śmiechem.

– Dziękuję, szefie. I przepraszam, ale... – Rozłożył ramiona w bezradnym geście.

Jak każdy gliniarz nie potrafił przepraszać. Przekręcił klucz i otworzył drzwi. Do gabinetu wpadła wściekła sekretarka. Płonęła żywym ogniem jak stadionowa rasa. Claude wyminął ją i ruszył do swojego biura. Nie było czasu, miał do wykonania nowe zadanie.

Émilie przyglądała mu się i oczekiwała efektów.

Po raz kolejny miała rację. Gdyby umiejętność czytania pomiędzy wierszami była w cenie, Céline błyszczałaby silnym blaskiem na firmamencie gwiazd, a nie mrugała nikłym światełkiem gdzieś z rubieży wszechświata. Była iskierką, która wyskoczyła z ogniska dużej redakcji i wciąż znajdowała się w ruchu pomiędzy źródłem a swoim celem. Jeśli padnie na podatny grunt, wzniesi pożar. W przeciwnym razie zgaśnie, zamieni się w grudkę popiołu.

Właśnie odnalazła odpowiednie paliwo. Więcej, natrafiła na materiał wybuchowy, który wysadzi w powietrze fundamenty władzy. A ona przynajmniej przysłuży się do zmiany optyki, szalejącym politykom i ogłupiałym mediom wytrąci z ręki najsilniejszy argument. Pozwoli ludziom jeszcze raz przemyśleć sytuację, popatrzeć na świat z innej strony. Otworzy oczy tym, którzy ślepo wpatrują się w jeden punkt, napluje w twarz swoim zaciekłym wrogom. Przystanie przyjmować na siebie hektolitry hejtu, sama będzie mogła z czystym sumieniem wskazać inną ofiarę. I będzie pierwszą, która rzuci kamieniem.

Brakowało jej jeszcze kilku konkretów, ale teorię właściwie miała gotową. Jej wywód był zwarty, logiczny i uderzająco prawdziwy. Jeśli uda jej się zdobyć choć jeden dowód, nikt nie zdoła podważyć jej argumentacji. Choć nawet i bez tego odwaliła kawał dobrej roboty, dawno nie była z siebie tak zadowolona. Potrzebowała tego tematu jak ryba wody, teraz mogła do woli taplać się w nim i nurkować. Był wystarczająco obszerny i wielowątkowy, żeby starczyło jej pracy na długie tygodnie. Zasobów miała pod dostatkiem, zbierała je już od lat. Jeśli chciałaby je zmieścić w jednym artykule, musiałby mieć objętość książki. Napisze ich więc co najmniej kilka. Serię, dzięki której ponownie znajdzie się w centrum wydarzeń. Na podium, z którego została tak tchórzliwie zepchnięta.

Nie potrafiła tylko zrozumieć zachowania policji. Kręcili się w kółko, choć rozwiązanie

sprawy pozostawało w zasięgu wzroku. Naprawdę nie dostrzegli ewidentnych powiązań czy nie chcieli ich dostrzec? Zdawała sobie sprawę, że w służbach państwowych zawsze ktoś pociąga za sznurki i wyznacza sposób myślenia. W zwykłych sprawach pomiędzy prostymi ludźmi rozwiązanie jest proste: należy odnaleźć i ukarać winnego. Kiedy w polu widzenia pojawia się polityka, związki przyczynowo-skutkowe przestają istnieć, droga z punktu A do punktu B zamienia się z linii prostej w serpentynę wijącą się meandrami pomiędzy stacjami pośrednimi. Wszystko po to, by zabłądzić lub jechać jak najdłużej. A najlepiej ugrzęznąć w ślepej uliczce lub wsiąść gdzieś po drodze i wrócić pieszo. Dać za wygraną.

Nie była w stanie uwierzyć, że policja nie doszła do informacji, które jej udało się wygrzebać. Miała co prawda swoje źródła, często nielegalne, a na pewno nieufne czy nawet wrogie państwu, ale mundurowi dysponowali przecież całymi wyspecjalizowanymi komórkami, które regularnie inwigilowały internet, w poszukiwaniu zagrożeń i anomalii przeczesywały wszystkie podejrzane strony. A może tylko tak twierdzą? W rzeczywistości trzepią całymi dniami w gierki i masturbują się przy portalach z zakazaną pornografią, a jak im się znudzi, namierzą od czasu do czasu jakiegoś pedofila albo gówniarza nieudolnie próbującego zostać hakerem.

I dobrze, przynajmniej miała temat. Materiał był już prawie gotowy, czekała jeszcze tylko na potwierdzenie paru faktów, co mogło niestety zająć trochę czasu. Dzień, dwa, czyli jedna, może dwie dodatkowe ofiary. Nie był to zresztą jej problem. Każdy miał do wykonania swoją robotę, ona wyciągała tajemnice na światło dzienne, informowała ludzi. Bandyci krzywdzili lub zabijali, policja próbowała im w tym procederze przeszkodzić. Sądy skazywały lub uniewinniały, naród oddawał władzę politykom i udawał, że podejmuje decyzje. Hipokryci robili interesy na wszystkim, cynicy drwili ze wszystkiego. I nikt nie miał z tego powodu wyrzutów sumienia, dlaczego niby ona miałaby mieć?

*Fuck it!* Jeśli zadzwoni na komendę, zwiną w pierwszej kolejności ją samą. Jeśli nie oberwie rykoszetem, to przynajmniej zarekwirują jej materiały, może nawet wygaszą źródła. Nici z artykułu i sensacji, którą miał wzbudzić. Żegnaj, sławo i chwało, szeroki świecie! Pozostałyby jej ściany mieszkania, które powoli zamieniało się w norę. A ona w kreta – już miała wrażenie, że ślepnie i porasta aksamitnym futerkiem. *Dégage!*

Wstała i ruszyła do kuchni, by nalać sobie szklankę wody. W ściennym lustrze mignęła jej sylwetka w luźnej, szerokiej sukni, z włosami do ramion otaczającymi głowę. Zatrzymała się i cofnęła. Podeszła do lustra, dotknęła jego powierzchni w miejscu, gdzie rano odkryła wyprysk inny od pozostałych. Krostę, która zdawała się przeistaczać we wrzód. Pęcnieć, jakby pod skórą coś rosło, larwa złożona przez muchę końską. Zbliżyła się i przyjrzała się swojej twarzy dokładniej. Nie było wątpliwości, coś się w tej opuchliźnie zbierało. Ruszało albo wyobraźnia pragnęła, żeby się ruszało.

Kolejny raz pamięć przywołała obraz konającego mężczyzny. Céline nie mogła dojść do siebie całe rano, pomogła jej dopiero odpowiednia dawka haszyszu. Swędzenie zelzało, ale psychoza zaczynała wracać. Kobieta zsunęła sukienkę, która opadła na stopy. Przejrzała się cała, jak miała w zwyczaju od dawna. Lustreczko, powiedz przecie, kto jest najbrzydszą dziewczyną na świecie? Najpierw odpowiadała sobie z płaczem, później z niemym smutkiem. Nigdy nie pogodziła się ze swoją ułomnością, choć musiała nauczyć się z nią żyć. I żyła, zaszywając się w ciasnym mieszkaniu, chowając pod płachtami chust i workami szczelnych sukienek, które czyniły z niej żywą mumię.

Dzisiejszego ranka jej przypadłość nabrała jednak nowego wymiaru. Kondycja jej skóry niewiele różniła się od postrzępionej powłoki umierającego faceta. A wypryski zaczęły przeistaczać się we wrzody. Ich nabrzmiałe kraterzyki przerażały ją i fascynowały jednocześnie. Czy jeśli spróbuje to wycisnąć, na zewnątrz wypłynie całe jej wnętrze? Może w środku była

półpłynną substancją, która czekała tylko na drogę ujścia, by rozlać się na podłodze jak rdzawa woda z zepsutej kanalizacji. Może to tylko wyobraźnia, a ona znowu zaczyna dostawać obłądu?

Z zamyślenia wyrwał ją gong przychodzącego e-maila. Ubrała się i wróciła do komputera. Otrzymała wiadomość od Alca, jednego ze współpracujących z nią hakerów z Anonymous. Udało mu się włamać do systemu szpitala, do którego próbowała się rano dostać. Do korespondencji dołączone były kopie raportów i dokumentacji wewnętrznej. Zanim je otworzyła, doczytała do końca treść e-maila.

Z wrażenia przestała oddychać na tak długą chwilę, że zakrztusiła się powietrzem. Podciągnęła rękawy i popatrzyła na swoje ręce całe w ropnych wypryskach. Z obrzydzeniem odepchnęła się od biurka, zerwała z krzesła i stanęła na środku pokoju. Usta wykrzywiła w niemym krzyku. Uklękła, po czym przycisnęła głowę do zimnej podłogi, objęła ją dłońmi. W mieście wybuchła zaraza, a ona mogła być jedną z ofiar.

Nagle przestało chodzić o to, aby rozbłysnąć. Najważniejsze stało się to, by nie zgasnąć.

Wysłuchał się w tykanie kierunkowskazu, jakby to był sekundnik zegara odmierzającego czas pozostały do końca świata. Zielona strzałka na tablicy rozdzielczej pulsacyjnie wskazywała kierunek, nadając mu cel. Kraj, miasto, dzielnica, dom. Powinien w tej chwili chronić wszystkich obywateli, ale myślał tylko o swojej rodzinie. Jeśli ktokolwiek miałby ocaleć z kataklizmu, to tylko oni. Jego własny los go nie interesował. Liczyli się tylko najbliżsi.

Z zamyślenia wyrwał go klakson. Kierowca stojącego za nim opla gestykulował agresywnie, z ruchu ust łatwo było wyczytać pytanie: „Jedziesz, do cholery, czy nie?”. Ruszył, zegar kierunkowskazu przestał odliczać czas. Zagrożenie minęło lub dopiero się pojawiło na dobre, bomba wybuchła gdzieś poza polem widzenia. Wciąż nie mógł być pewien, czy intuicja go nie zmyliła. Może po prostu zwariował, odbiło mu z nadmiaru emocji. Jeszcze nigdy nie działał wokół niego tak wiele i z taką intensywnością. Czuł się jak w jednym z absurdalnych filmów sensacyjnych z Jasonem Stathamem, których tempo akcji wciska w fotel, a fabuła wywołuje uśmiech politowania. Właśnie ten grymas dostrzegł, kiedy spoglądał w lustro.

Biegł po rozkołysanej linii rozpiętej ponad Zatoką Marsylską. Jeden fałszywy ruch i spadnie w lazur wody zdającej się nie mieć dna. Jeśli nie potknie się sam, to strąca go w przepaść okoliczności lub któryś z czyhających na okazję nieprzyjaciół. Jego własny cień, czarna strona osobowości próbująca przejąć nad nim kontrolę. Emilie miała rację, z powodzeniem walczył ze sobą tyle lat, ale ostatecznie był skazany na porażkę. Tym większą, im bardziej się starał. Ale nic innego mu nie pozostało. Miał zbyt dużo do stracenia, by tak po prostu się poddać. Przegrać swoje życie walkowerem, z dnia na dzień stracić wszystko, co czyniło go dobrym człowiekiem. Policjantem, mężem i ojcem dwójki wspaniałych dzieci.

Na parkingu przed swoim domem zatrzymał się z piskiem opon. Nie mógł doczekać się windy, wbiegł na górę, pokonując schody po dwa stopnie, wpadł do mieszkania i zdyszany stanął na środku holu. Dzieci bawiły się pośród gromady rozrzuconych zabawek, żona kroїła warzywa w kuchni, z salonu dobiegał głośny dźwięk wiadomości France 24 Live. Prezenter informował o przygotowaniach do wizyty premiera w Marsylii.

– Wszystko w porządku? – zapytał zbity z tropu.

Żona nigdy nie słuchała wiadomości, nienawidziła ich. Dzieci na widok ojca poderwały się z podłogi i rzuciły w jego stronę.

– Nie! – Matka wybiegła z kuchni i zatrzymała je, zanim dobiegły do taty.

Eryan dopiero teraz zauważył, że cała trójka nosi gumowe rękawiczki. Na mikroskopijnych rączkach dzieciaków, przewiązane w nadgarstkach tasiemką, by nie pospadały, przypominały worki na śmieci.

– Co tu się dzieje, Is, coś się stało?

– Do siebie, raz-dwa, i nie wychodzić!

Matka zagoniła wystraszone maluchy do pokoju dzieciennego i zamknęła za nimi drzwi. Cofnęła się, kiedy mąż próbował się do niej zbliżyć.

– Nic nie rozumiem, Isabelle, próbujesz mnie ukarać za szpital? Przecież o mało co nie zginąłem!

Kobieta nieznacznie, jakby bez przekonania, pokręciła głową.

– W łazience przygotowałam dla ciebie detergenty i środki do odkażania. Wykąp się porządnie, nasmaruj, ubrania wrzuć do plastikowego worka i dobrze zamknij. Niczego po drodze nie dotykaj.

Popatrzył jej w twarz, ale nie dostrzegł cienia ironii. Czasami posyłała go do kąpieli, kiedy wracał z treningu. Zawsze jednak z błakającym się na twarzy uśmiechem, zadziornym błyskiem w oku. W tej chwili nie żartowała, jej kamienna twarz przybrała barwę białego marmuru, źrenice zionęły chłodem. Eryan rozejrzał się po mieszkaniu, głęboko wciągnął powietrze. Jeszcze nigdy nie było u nich takiego porządku. Zapach wybielacza, który niekiedy dobiegał z łazienki, teraz gryzł błonę śluzową nosa.

– Nie bądź śmieszna, ty chyba nie myślisz, że ja...

Nie dokończył, spojrzenie żony było wystarczająco wymowne. Roześmiał się sztucznie, ale natychmiast umilkł. Bezwiednie opuścił wzrok na swoje dłonie, które zaczęły drżeć pod jej pełnym wyrzutem spojrzeniem. Pozornie czyste, nieskalane niczym widocznym, poza ciemniejszymi półksiężycami brudu za nieco zbyt długimi paznokciami, których pochłonięty pracą zapomniał obciąć. Niedopowiedziana treść komunikatu Isabelle uderzyła go teraz całą siłą. Musiał oprzeć się o ścianę, by nie upaść. Własne dłonie stały się dla niego nagle czymś obcym, protezami lub kończynami amputowanymi obcej osobie. Na zewnętrznej stronie lewej dłoni poczuł rozżarzony ślad dotyku Émilie sprzed kilku dni, dokładnie widział strumienie bakterii przepływające z jednego ciała na drugie, przenikające do środka. Był zarażony?

– To jeszcze nic pewnego, może jakiś pojedynczy przypadek, jakaś nietypowa infekcja...

Isabelle ciągle patrzyła na niego tym samym lodowatym wzrokiem. Oskarżała go i osądzała bez cienia wątpliwości. Jeśli miała rację...

– Dotykałeś jej.

– Nie, nie dotykałem! – zareagował zbyt impulsywnie, zbyt panicznie.

Czy chodziło jej tylko o chorobę, czy próbowała powiedzieć coś więcej? Wiedziała o nich, dlatego tak bardzo bała się potencjalnego zakażenia?

– Ja... ona... My nie...

Przyznałby się, wyrzucił to z siebie raz na zawsze, oczyścił się. Nie potrafił jednak sklecić sensownego zdania, nie wiedział, jak ma jej to powiedzieć.

– Nie teraz, Claude. Idź się umyj, zdezynfekuj. Porozmawiamy spokojnie.

– Powinnaś wyjechać. Zabierz dzieci, spakuj się, wyjedź z miasta. To jeszcze nic pewnego, ciągle snujemy przypuszczenia. Émilie coś wspominała o człowieku, który mógł ją zarazić. Oddelegowałem kilku moich ludzi do zbadania sprawy, przeglądają zapis z monitoringu w metrze. W szpitalu zamknięto cały oddział, ale nie mamy żadnych konkretów, blokują informacje.

– Wyjechać? Dokąd?

– Nieważne, do jakiejś ciotki, przyjaciółki... – Doskonale zdawał sobie sprawę, że Isabelle nikogo takiego nie ma. Poza najbliższą rodziną i odrzuconym ojcem była sama jak źdźbło trawy pomiędzy betonowymi płytami wydeptanego chodnika. – Do hotelu, zaimprovizuj wakacje na zachodnim wybrzeżu. Gdziekolwiek, Is, jeśli to epidemia...

Oboje spojrzeli na jego wyciągnięte dłonie. Sterczały niczym ramiona wózka widłowego,

śmiercionośne ręce zbrodniarza. W naiwnym geście schował je za siebie, udał, że nie są jego, że nigdy ich nie miał. Wszedł do łazienki i zamknął za sobą drzwi, oparł się o nie plecami. Dotyk, który był dla niego najważniejszym przejawem ludzkiej bliskości, stał się przepaścią, pęknięciem w skorupie ziemi. A oni zostali na przeciwległych końcach, bez szans na ponowne zbliżenie. Ich jedność pękła, rozsypali się na czynniki pierwsze. Eryan nagle uświadomił sobie, że może im się nie udać. Miłość nie jest monolitem, jest wyjątkowo kruchym spoiwem. I właśnie zaczęła wietrzeć.

„Głupcy! Nie rozumieją mocy demonów, nie potrafią uwierzyć. Nie boją się, a strach jest oznaką szacunku. Uległości”.

Julian szedł wolno chodnikiem w kierunku nabrzeża. Ludzie rozstępowali się przed nim, odsuwali z wyraźną odrazą. Niektórzy wznosili oburzone okrzyki, inni wygłaszali komentarze, w których porównywali go do śmierdzącego zwierzęcia i obślizgłego robaka. Nie mieli racji, w więzieniu został wykąpany i odkażony, ogolili go, dostał świeże ubrania i kilka porządnych posiłków. Od rana trochę się spociał, a na nowe ciuchy narzucił swój biały fartuch, ale i tak daleko mu było do nędznej istoty, jaką pozostawał w chwili aresztowania. Za dziesięć euro wciśniętych mu przez jednego z policjantów do kieszeni spodni kupił dwie pękate butelki. Jedną wypił niemal do dna, choć prawie nigdy nie brał alkoholu do ust. Drugą niósł przed sobą jak drzewce pochodni mającej rozświetlić mrok. Brakowało mu tylko płomienia.

Roztaczał wokoło smród rozlanej nafty. Zapach gorszy od odoru niemytego ciała, bo dużo bardziej agresywny, toksyczny. Niepokojący, bo zwyczajny ludzki fetor każdy rozumie, potrafi sobie z nim poradzić. Obcy zapach nieokreślonych chemikaliów zawsze wywołuje obawę. Może oznajmiać coś złego, nieprzewidywalne wydarzenie, niespodziewany wypadek. Dlatego wokoło sypały się przekleństwa i inwektywy, nikt jednak nie próbował zaatakować niebezpiecznego obiektu fizycznie, trzymano bezpieczny dystans.

Julian nie spieszył się, kroczył w obranym kierunku powoli. Nie musiał już uciekać, nie miał dokąd. Niewiele rozumiał z otaczającego go świata, ale tę prostą prawdę uświadomił sobie w całej pełni. Nie było dla niego ratunku, nikt nie mógł mu pomóc. Stara, biedna matka nie miała racji, dobro nie zwycięża zła. Prześladowające go potwory okazały się zbyt silne, nikt nie był w stanie sprostać ich piekielnej potędze. Nie miał innego wyjścia, musiał się poddać. Niech go wezmą do siebie, niech i on stanie się jednym z nich. Przeróżającym upiorem.

Parł naprzód, nie zważając na reakcje ludzi. Był przyzwyczajony do obelg i słów nienawiści, już dawno przestano go akceptować jako członka ludzkiej wspólnoty. Nie był ani pracownikiem, ani mieszkańcem, ani konsumentem. Był co najwyżej obywatelem, choć jego prawa człowieka skurczyły się do minimum – zachował jedynie prawo do życia. To mniej więcej tyle, ile niektóre zwierzęta. Stał się więc czymś na pograniczu naczelnego i bestii, hybrydą ich obu. Nie przeszkadzało mu to, nie był w tej formie w końcu odosobniony. Nie miał też zbyt wygórowanych oczekiwań, pragnął po prostu być.

Potrącił nieuważną parę zakochanych, którzy obściskiwali się na samym środku deptaka, zapatrzeni w siebie jak w bezmiar bogactwa. Dziewczyna krzyknęła i odskoczyła w bok, chłopak wyrwał się z jej uścisku i zaczął wygrażać zaciśniętymi pięściami. Kilkunastu przechodniów stanęło, ciekawych, czy młody człowiek zrealizuje swoje groźby. Czując na sobie presję tłumu i imperatyw obrony czci swojej ukochanej, chłopak podbiegł do sunącego przed siebie mężczyzny. Szarpnął go za ramię, z butelki trysnęła struga żółtawej cieczy, rozbryzgując się atakującym na twarzy i barkach, błyskawicznie rysując na białej koszuli plamę sięgającą paska u spodni.

– Głupcy! – wrzasnął bezdomny. – Wypuściliście na wolność demona! Będziecie cierpieć, bo świat zamieni się w piekło, a zło pochłonie ludzkość! Będziecie płonąć, spalicie się

wszyscy!

Julian chlusnął z butelki, nafta z głośnym mlaskaniem tryskała na zewnątrz, w drugiej dłoni pojawiła się zapalniczka. Dziewczyna krzyknęła panicznie, kurczowo przyciskając ręce do piersi, chłopak stanął jak wryty, rozszerzonymi oczami wpatrując się w niedoszłą ofiarę swojego gniewu. Plama powiększyła się, liżąc nogawki spodni, z mokrej twarzy nafta zaczęła kapać na ziemię.

– Uciekaj! – wykrzykiwał instrukcje jakiś mężczyzna, intensywnie gestykulując.

Starsza kobieta przysłoniła ramieniem oczy. Większość gapiów w napięciu czekała jednak na rozwój wypadków. W powietrzu czuć było nadchodzącą tragedię, a nic bardziej nie podnieca motłochu niż rozgrywająca się publicznie ludzka krzywda. Wszyscy w tej samej chwili przypomnieli sobie doniesienia medialne o grasującym po mieście seryjnym podpalaczu, Inkwizytorze. Każdy z identyczną nadzieją, że doświadczy kolejnej zbrodni osobiście, na żywo. Dobyto smartfonów i tabletów, rozświetlono arenę przyszłej zbrodni reflektorami fleszy.

Zapalniczka rozbłysła kilkucentymetrowym płomieniem. Dziewczyna upadła na kolana przyduszona szlochem, chłopak skurczył się jak sprężyna, ale nie skoczył w górę, nie zdołał uciec. Zapadł się w siebie, pękł, zmniejszył się przez zasysający go od środka strach przed zbliżającą się śmiercią. Julian podniósł wzrok wysoko ponad głowy obserwujących go ludzi, ponad dachy najbliższych kamienic. Wchłonął widok wznoszącej się w oddali bazyliki Notre Dame de la Garde, która na zacienionej skale zdawała się unosić w powietrzu, oświetlona promieniami z samego nieba, pomost pomiędzy światem żywych a światem umarłych.

Zaczął mamrotać modlitwę, ale przerwał po słowach: „...jako w niebie, tak na ziemi”. Jeśli w niebie było tak źle, jak jest tutaj, to raj nie mógł istnieć. Zrozumiał to nawet on, który rozumiał tak niewiele. Niebo było tak naprawdę piekłem.

Opuścił rękę, przez tłum przeszła fala jęku. Kilka osób krzychało, mężczyzna wydający chłopakowi instrukcje rzucił się w jego kierunku, wpadł w niego wagą masywnego ciała i razem upadli na ziemię tuż przed klęczącą dziewczyną. Nikt nie zwracał na nich uwagi, bo ludzie z zapartym tchem obserwowali rozgrywające się na ich oczach widowisko.

Julian płonął otoczony zwiewną szatą pomarańczowego jedwabiu. Topił się, zlewał w jedną całość ze spopielałym ubraniem, pęczniał i zarazem kurczył, zmieniając barwę i konsystencję ciała. Przeciągły pisk wydobywający się z czarnej jamy ust mógł być sykiem ulatniających się gazów, wpatrzone w niebo oczodoły portalami do innego wymiaru. Z najbliższego lokalu wybiegł kelner w białej koszuli i czarnym fartuchu z gaśnicą w ręku, strumień białego gazu zdmuchnął aureolę płomieni, przyprószył mahoniową figurę warstwą szronu. Oniemiały wpatrywał się w nieruchomy posąg, który utrzymywał się w pionie niczym zakotwiczony w ziemi, jakby wspomnieniem po sobie bronił się przed upadkiem na sam dół, gdzie czekały na niego czeluście wiecznej gehenny.

Runął dopiero po kilku długich sekundach, wzbijając w powietrze tuman czarnego popiołu przypominającego rój much. Nigdy nie będąc do końca człowiekiem, po śmierci zamienił się w rachitycznego owada.

– To on – powiedział do słuchawki telefonu ktoś z tłumu, trzeźwo wybierając numer do lokalnego radia. – Inkwizytor właśnie zginął od swojej własnej broni. Spłonął.

Weszli do lokalu we trzech, kapitan i obaj porucznicy po bokach. Eryan potrzebował tej akcji bardziej, niż wymagało jej prowadzone śledztwo. Nie bardzo wierzył w teorię, że Cipa okazałby się aż tak głupi, żeby wystawić na odstrzał oficera policji. Nie miał jednak wątpliwości, że nie zwierzał się ze wszystkiego, co wiedział, i utrudniał pracę organom ścigania. Wystarczyło oczywiście oficjalnie wezwać go na przesłuchanie do komendy, załatwić sprawę po cichu. W tym jednym przypadku Eryan nagiął swoje własne zasady i postanowił stoczyć bitwę. Im więcej



padnie trupów, tym lepiej. Musiał rozładować emocje, zanim nastąpi eksplozja. Łaknął krwi.

Nie musiał się już kryć ze znajomością z Cipą, w ich układ i tak nikt by nie uwierzył. Sprawę domniemanej korupcji przehandlował na zmianę zeznań przeciwko Duce, w pakiecie otrzymując neutralność ze strony związków zawodowych i ludzi Frontu. Strony szachownicy się odwróciły, teraz on grał czarnymi. Cipa stracił ochronę, choć pewnie jeszcze o tym nie wiedział. Zamach na życie gliniarza zawsze wywołuje porozumienie między podziałami, wszyscy zaczynają solidarnie kopać do jednej bramki, zamieniają się w zespół. Nie było więc problemu z pozwoleniem na przeprowadzenie operacji. Sztab wręcz przyklasnął temu pomysłowi. Komendant potrzebował sukcesów.

Grupa taktyczna RAID stała w odwodzie w pełnej gotowości do akcji. Kilku funkcjonariuszy wydziału do spraw przestępczości zorganizowanej otoczyło budynek. Ale to Claude miał porachunki do wyrównania. Poszedł na pierwszą linię ze swoją strażą przyboczną i pukawką w kieszeni. Nikt w La Coquille nie miał wątpliwości, kim byli. W ciszy, która zawisła pod niskim sufitem pomiędzy kłębam dymu tytoniowego i ciężkim zaduchem potu wymieszanego z męskimi perfumami, pojawiło się tylko jedno pytanie: czego chcieli?

Ochroniarze natychmiast zagroździ im drogę, jeden niski i szeroki jak szafa, drugi tylko niewiele węższy, ale za to łysą głacą sięgający Eryanowi niemal do nosa. Obaj w marynarkach regulaminowo o numer za małych, ze złotymi łańcuchami zwisającymi z byczych karków jak u zerwanych z pala buldogów.

– To zamknięta impreza, panowie – przemówił ten niższy, widocznie mózg akcji obronnej.

Claude ze zrozumieniem kiwnął głową.

– Jasne, bawcie się dobrze. Rozejrzymy się tylko i spadamy, chyba że coś wpadnie nam w oko.

– Nasi goście nie życzą sobie towarzystwa z zewnątrz, więc będę nalegał.

– Możecie wpaść kiedy indziej. Proszę, to wizytówka kierownika lokalu, wystarczy się umówić telefonicznie. – W groteskowo wielkich łapach wyższego ochroniarza pojawił się mikroskopijny kartonik.

Claude w rewanżu mógłby zaprezentować gorylom nakaz sądowy, który czekał złożony na cztery w wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki. To znacznie ułatwiłoby sprawę i otworzyło przed nimi wszystkie drzwi. Nie chodziło jednak o to, żeby było łatwo. A drzwi mieli zamiar wyważyć.

– Doceniam panów gościnność, ale nie skorzystam. Jedna wizyta w tej norze wystarczy. Barman, trzy razy podwójna szkocka, z lodem!

Przepchnął się pomiędzy ochroniarzami, rozsuwając ich barkami na boki niczym dwie kłody litego drewna. Przez krótką chwilę wyobraził sobie spadające na kark uderzenie kolby pistoletu, które poczuł niemal fizycznie. Goryle nie ryzykowali jednak starcia z policją, nie z powodu takiej błahostki. Byli tak samo przyzwyczajeni do dawania, jak i brania po pysku, pokornie przyjęli więc także wyraźną prowokację ze strony poruczników, którzy odepchnęli ich, torując sobie drogę do baru. Policjanci we trójkę oparli się plecami o szynk i zmierzli zebranych wyzywającym spojrzeniem. Goście lokalu po kolei wstawali i wychodzili, mieląc pod nosem tłumione przekleństwa. Niektórzy przechodząc obok, pluli funkcjonariuszom pod nogi. Pozostali klienci popijali powoli drinki, zaciekawieni dalszym rozwojem wydarzeń.

– Dobrze wiesz, Aryan, że bez nakazu jesteś tu tylko kawałkiem brudu z podeszwy buta – odezwał się zza swojego stolika brzuchaty zakapior w czerwonej skórze, znany wymiarowi sprawiedliwości alfons, kontrolujący sporą część ulic Marsylii.

– To podejdź tu, Alish, i mnie posprzątaj. Barman na pewno znajdzie za ladą szufelkę

i zmiotkę, a dryg masz, to widać.

Kilku mężczyzn się roześmiało, na co Ormianin wstał i wyszedł, trzaskając drzwiami.

– A ty nas zaanonsuj Cipy, mam do niego interes – polecił Claude barmanowi, który spokojnie przygotowywał zamówione drinki. – I dzięki za fatygę, ale jesteśmy porządnymi, uczciwymi glinami, nie pijemy na służbie. Żartowałem.

Barman wykrzywił chudy, zarośnięty siwymi kłakami pysk w szyderyczym uśmiechu, w rzędach zębów w kolorze tynku błysnęły złote protezy i metalowa nitka mostka. Wskazał brodą wejście na zaplecze, Eryan już znał drogę. Drzwi otworzyły się, jak tylko się do nich zbliżyli, jakby działały na fotokomórkę. Przywitał ich goryl przypominający wychudzonego lemura. Marynarka wisiała na nim, jakby odziedziczył ją po starszym bracie. Zaprowadził ich do sali, gdzie urzędował Chatte. Dwie dziewczyny w rytm ledwo słyszalnego przeboju disco ćwiczyły na rurze, ocierając się o siebie sutkami, efekty świetlne leniwie omiatały sufit i ściany, szef zajmował swoje stałe miejsce na sofie za kawowym stolikiem. Obok niego rozsiadło się dwóch przydupasów w jaskrawych dresach.

– U, la, la, co za niespodziewana wizyta! Proszę, rozgośćcie się. – Chatte wskazał fotele naprzeciwko. – Drinka, kreskę, a może małe ruchanko? Nie? Szkoda, niektórzy byli ostatnio w bardziej imprezowym nastroju.

Zmierzyli się wzrokiem z porucznikiem Douisem, który stanął na linii głowicy świetlnej, przez co na zmianę zabarwiał się granatowymi i czerwonymi rombami, jakby to płoń, to chował się w cieniu.

– A z tym panem jeszcze nie miałem przyjemności. Poinformowaliście go, jak mniemam, o naturze naszej znajomości. Nie? Co za nietakt! Chętnie jednak zdradzę szczegóły.

Claude przewidział, że Chatte zacznie rozgrywać tę partię znaczną kartą. Jeśli myślał, że cokolwiek w ten sposób wskóra, grubo się mylił. Karty pozostały te same, ale zmieniły się reguły gry. Teraz to Eryan je ustalał.

– Przez twoje trefne informacje, Cipa, prawie mnie odstrzelili na akcji.

– Hola, hola! Ja dotrzymałem umowy, to ty spartoliłeś sprawę, nic mnie to nie obchodzi.

– A powinno. Z mojego punktu widzenia po prostu mnie wystawiłeś. Równie dobrze mogłeś sam pociągnąć za spust. A mnie to nie robi różnicy, kto beknie, ty czy twoi rosyjscy kumple. Więc albo mi ich w tej chwili sprzedasz, albo cię zabieramy na dołek.

– Czyżby? Ciekawe, co sędzia powie na kilka interesujących nagrań, które jakimś dziwnym trafem udało mi się zrobić w moim lokalu. Ciekawe, kogo my na nich mamy, jak myślicie, panowie?

Rechot kumpli Cipy ledwo zdążył zazgrzytać, a już zamarł, zassany lejami ust półotwartych z oszołomienia. Duce wyłonił się z cienia ognistą kulą i niczym eksplodujący pocisk kopniakiem wyrzucił stół w powietrze. Kolano tej samej nogi wbił w rozwartą gębę najbliższego goryla, po czym z trzaskiem złamał wyciągniętą w obronnym geście rękę. Rais w tym czasie doskoczył do drugiego dresiarza, który próbował podnieść się z niskiej sofy. Trafił go w szczękę niczym bezbronną kukłę na treningu w policyjnej siłowni, mężczyzna zawisł na oparciu i więcej nie drgnął. Lemur z przerażeniem w oczach sięgnął za połą marynarki po broń, ale już w momencie podejmowania tej decyzji musiał jej bardzo żałować. Przed sobą miał największego z policjantów. Dostał cios mierzony na swoją wagę, inaczej pewnie zginąłby na miejscu. Mimo to wylądował pod drzwiami, kuląc się w panice na widok zbliżającego się napastnika. Claude kopnął upuszczony pistolet na środek sali, zaryglował wejście, pod klamkę podstawiając najbliższe krzesło.

– Teraz twoja kolej, Chatte, wstawaj. – Podeszedł do herszta bandy, który zapadł się w sofie na głębokość ramion. Duce zrzucił kurtkę i zaczął podwijać rękawy koszuli. – No, nie

bądź pizdą, Cipa, taki biznes. Chyba nie zapomniałeś, że dobry gliniarz jest jak Kamasutra, zawsze znajdzie dla siebie najlepszy układ.

– Cisza! – wrzasnął Rais, kiedy striptizerki podniosły krzyk, ocknąwszy się z pierwszego szoku. – Cycki w garść i do kąta!

Duce podniósł z podłogi szybę, która oderwała się od ramy stolika. Zakręcił nią i z rozmachu rzucił w stronę baru, rozbijając stojące na szklanym regale butelki wódki. W tle ciągle grała przyciszona muzyka, wybijając taneczny rytm, pod ścianą zwijał się goryl z połamaną ręką, lemur świecił spod drzwi ślepiami wielkości efektów świetlnych. Chatte wyprostował się na sofie, przyjmując bardziej godną pozycję.

– Odbiło wam? Nie mogę sypnąć Ruskich, przecież mnie zamienią w pochodnię. Kurwa, panowie, przecież jakoś się dogadamy!

– Jasne, ale najpierw wstawaj. No co, chyba nie będę ci wręczał nakazu aresztowania na siedząco?

– Aresztowania? Za co?

Mężczyzna był autentycznie wystraszony, podniósł się powoli, uważnie badając wzrokiem zachowanie policji. Nie pomogło mu to uniknąć ciosu, którym poczęstował go kapitan. Osunął się na kolana. Trzech funkcjonariuszy stanęło nad nim, zajmując dogodne pozycje, i przez kilkanaście sekund kopali go metodycznie, z zacięciem policyjnych służbistów. Pomieszczenie wypełnił tępy dźwięk garbowanej skóry.

– Jutro z samego rana złożysz panu kapitanowi oficjalne zeznania w sprawie konszachtów z Ruskimi: nazwiska, interesy, meliny, wszystko, co wiesz. A mnie przyniesiesz te nagrania, którymi się chwalisz. W zębach! – Porucznik Douis nachylił się nad zmasakrowaną twarzą mężczyzny, z obrzydzeniem wskazując na wypluwane z mokrym bulgotem paciorki. – A jeśli nie załatwisz do jutra nowych, może być nawet w dziąsłach.

Roześmiał się ze swojego dowcipu i wytarł prawy but w tapicerkę sofy, znacząc ją krwawym podpisem. Eryan dał znak do odwrotu, sam wyszedł z pomieszczenia ostatni. Na podłogę rzucił złożoną na cztery kartkę z sądowym nakazem przeprowadzenia rewizji.



Ledwo kapitan zamknął za sobą drzwi gabinetu i zaciągnął się aromatem porannej kawy, do środka wpadł Fabio Montale. Przez długą chwilę stał, w napięciu wpatrując się w podwładnego.

– Wyglądasz jak gównno, Claude – skrytykował. – Czy ty w ogóle ostatnio sypiasz?

Sypiał, ale urywanym, gównianym snem, akurat w tym komisarz nie mylił się wiele. Czuł się rozerwany na dwie części przez żarzący się gniew i marznący smutek i nie wiedział, co było gorsze. Émilie odeszła na zawsze, a teraz mógł jeszcze stracić Isabelle. Wczorajszej nocy nie wpuściła go nawet do sypialni. Miał zakaz wchodzenia do kuchni i dziecięcego pokoju, łazienkę musiał po sobie odkażać jak trędowaty. Tak właśnie się czuł, brudny, zainfekowany, z ciałem odchodzącym od kości, a uczuciami od duszy. Mnożył się, występował w coraz to nowszych wcieleniach. Każde kolejne gorsze od poprzedniego.

– Dziękuję, szefie, ale pan nie prezentuje się dużo lepiej.

Montale skinął głową, w rytm tego ruchu zafalowała zwiotczała skóra twarzy. Worki pod oczami zwisały tak nisko, że wyzierały spod czarnych ray-banów.

– Wiek, Claude, wiek. Jak nie będziesz się o siebie troszczyć, skończysz tak samo. Albo i gorzej. – Pogroził podwładnemu palcem niczym niegrzecznemu synowi.

– Czy coś się stało?

Kapitan mógłby zliczyć na palcach jednej ręki osobiste wizyty szefa w swoim gabinecie. Zazwyczaj kryła się za nimi jakaś specjalna okazja. Tym razem nie miał pojęcia, o co mogło chodzić, ale dałby głowę, że oczy zza okularów przeciwsłonecznych przepaliłyby go intensywnością spojrzenia na wylot.

– Ta twoja wczorajsza teoria, no, z tą epidemią... Masz już coś?

– Czekam na raport, moi ludzie siedzieli przed monitorami do nocy. Podobno namierzyli potencjalnego sprawcę, jeżeli w ogóle mówimy tu o zarazie.

– Tak, tak, wiele na to wskazuje. Miałem nadzieję, że nigdy tego nie powiem, ale chyba się nie myliłeś, Claude. Na kiedy możesz mieć dane tego człowieka?

– Nie wiem, ujęcia z monitoringu praktycznie na zaraz, natomiast identyfikacja potrwa.

– Dawaj je, za pół godziny spotykamy się u komendanta. I niech twoi ludzie prowadzą dalej poszukiwania, zaraz ci przyślę kogoś do pomocy, to absolutny priorytet. Rozumiesz?

Skinął głową wstrząśnięty. Co innego snuć przypuszczenia, co innego otrzymać potwierdzenie swoich domysłów. Epidemia, powtórzył w myślach. Brzmiało jak tytuł filmu science fiction lub nagłówek w tabloidzie opisującym kraje Trzeciego Świata. Epidemia...

– No jazda, do roboty. Wydaj odpowiednie dyspozycje i od razu wal do mnie, musimy omówić parę kwestii. I, Claude... – Komisarz zatrzymał się w progu. – Ta informacja nie opuszcza murów tego budynku.

– Oczywiście, szefie.

– Nie, nie oczywiście. To tajemnica państwowa, rozumiesz?

Nie musiał odpowiadać. Doskonale wiedział, czym grozi złamanie tajemnicy państwowej. I miał to gdzieś. Jak tylko Montale zniknął na korytarzu, wybrał numer telefonu żony. Nie odebrała. Po minucie zadzwonił jeszcze raz, z podobnym skutkiem. Była na niego wściekła, ale nie miał czasu spędzić przy komórce całego dnia. Napisał wiadomość. Nie było ani chwili do stracenia. Jeśli nie opuści miasta w tej chwili, wkrótce może być na to za późno.

Przeredagowali z komisarzem raport, który mieli zaprezentować na zebraniu, i wjechali windą na górę. W sali konferencyjnej siedzieli już członkowie sztabu policji, szef sztabu kryzysowego i wysocy rangą urzędnicy merostwa i prefektury. Kilkunastu smutnych panów z kamiennymi minami i dwie panie ściskające wargi w identyczne dziobki, które według kobiecych magazynów nadają twarzom wyraz inteligencji i zادیorności. Tylko Pou – Wesz robił

głupkowate miny, poprawiając jakieś notatki w pliku drukowanego tekstu. Wyglądał jak parodia urzędnika z niemego filmu.

Przedstawiciele armii wprowadzeni zostali przez komendanta policji. Pułkownik oraz kilku oficerów, w tym dwóch z marynarki wojennej. Wszyscy bardziej sztywni i nieruchomi niż starożytnie figury. Po chwili wpadli jeszcze zdyszani przedstawiciele straży granicznej i żandarmerii, którym spod regulaminowych czapek z paskiem leciały strugi potu. Rolę gospodarza pełnił komendant policji, ale już po kilku zdaniach wstępu o nieokreślonej treści wtrącił się pułkownik wojska. Nie ulegało wątpliwości, że ma do powiedzenia coś ważnego, pociągnął po zebranych wzrokiem o sile rażenia karabinu maszynowego.

– Szanowni państwo, to nie są ćwiczenia. W mieście zidentyfikowano ognisko zapalne wirusa z grupy V-ssRNA, stanowiącego odmianę rodziny filowirusów, których najpopularniejszym przedstawicielem jest *Ebolavirus*. Tak, proszę państwa, ten wywołujący gorączkę krwotoczną ebola. Niestety, badany przypadek stanowi mutację znanej choroby, prowadzi do rozkładu struktur tkanki mięśniowej. Do tej pory stwierdzono kilkanaście zgonów, co najmniej dwadzieścia pięć następnych osób jest zarażonych i hospitalizowanych. Nie znamy faktycznego zasięgu epidemii, ale możemy mówić o co najmniej kilkudziesięciu dalszych przypadkach. Może nawet kilkuset.

Przerwał, salę ogarnął szmer podnieconych szeptów.

– Czy wiemy już, w jaki sposób rozprzestrzenia się wirus? – zapytał jeden z kapitanów ze sztabu policji.

– Nie ma stuprocentowej pewności, ale wszystko wskazuje na to, że wirus przedostaje się poprzez kontakt z ciałem zakażonego.

– Stosunek płciowy?

Pytanie jednej z kobiet wywołało pomruk tłumionego śmiechu.

– Nie to miałem na myśli, proszę pani. Choroba rozprzestrzenia się przez dotyk.

Claude popatrzył na swoje dłonie, które trzymał na stole splecione ze sobą palcami.

Powoli rozplótł je, palce zdrząły. Obserwował, jak bez udziału jego woli ześlizgują się z blatu stołu i nikną z zasięgu wzroku. Nie jego, a czyjeś inne dłonie, ciała obce, narośle żerujące na jego organizmie.

Pułkownik kontynuował:

– W pierwszej kolejności należy zidentyfikować i odizolować wszystkie osoby, które mogły mieć styczność z zarażonymi, w szczególności rodziny i krewnych, również przyjaciół i współpracowników.

Eryan czuł, jak kotłująca się w czasie lawa znajduje ujście porami skóry, wypełza i spływa, piekąc niczym odkażana alkoholem rana. Dziesiątki ran. Wielka kropla potu kapnęła mu z kosmyka włosów na stół. Zdziwił się, że nie jest wrzącą z gorączki krwawą ropą.

– Przewidujemy niepokoje społeczne, jak tylko wiadomość przedostanie się do opinii publicznej. Należy więc przedsięwziąć wszystkie możliwe środki ostrożności, w tym wyekspediować odpowiednie siły służb mundurowych, także wojska. Armia w porozumieniu z prezydentem wydała już stosowne dyspozycje. Ponieważ mamy do czynienia z zagrożeniem zdrowia publicznego na znaczną skalę, to właśnie armia przejmuje dowodzenie operacją.

Po sali przebiegła fala sprzeciwu. Reakcja uczestników zebrania na informację o ograniczeniu ich prerogatyw była dużo intensywniejsza niż w przypadku samej wiadomości o epidemii.

– Ale my i tak mamy tutaj same problemy. Pojawienie się żołnierzy na ulicach wywoła prawdziwą burzę!

– No właśnie, będziemy tutaj mieli trzecią wojnę światową!

– Albo jeszcze co gorszego, rewolucję!  
– Spokojnie, zgodnie z dyspozycjami rządu mamy prawo użyć wszelkich koniecznych środków dla utrzymania w mieście spokoju.

– To znaczy? – Druga kobieta podkreśliła swoją wątpliwość mimiką twarzy. Okulary w grubej czarnej oprawie zsunęły się na sam koniec nosa.

– To znaczy, że w razie konieczności będzie nam wolno użyć broni.

Okulary zsunęły się kobiecie z nosa i z trzaskiem spadły na blat stołu. W sali konferencyjnej zapanowała cisza.

Cień zwisającej nad kawałkiem płaskiej powierzchni skały cofał się z sekundy na sekundę. Promienie słońca stopniowo oświetlały ustawione na kawałku deski butelki. Budziły je ze snu, ożywiały nagłym błyskiem spojrzenia, lśnieniem rozjaśnionego wnętrza. Niczym kobiety, pomyślał starszy mężczyzna, które ściągają szaty, ukazując swoje powabne ciała. Aktowi rozbierania przed sceną miłosną towarzyszy ten sam blask, w oczach budzą się identyczne gwiazdy, rozgrzewająca się od środka powłoka gładkiej skóry rozpala się ogniem. Świeci.

Wycelował z pistoletu i strzelił. Odbity od skalnej ściany huk na chwilę ogłuszył, po czym uleciał ponad krawędź przepaści w stronę oddalonej zatoki. Niewidoczny obłok kurzu zmiatanego przez wiatr, para zabieranej przez ranne światło nocnej wilgoci. Szkło eksplodowało dziesiątkami płaskich, kanciastych odłamków przypominających nieudolnie oszlifowane rubiny. Denko pozostało na miejscu, odcięta szyjka wylądowała metr dalej.

– Chyba zwariowałeś na stare lata – rozległ się głos z tyłu, ze ścieżki biegnącej od szosy do półki skalnej. – Ogłuchniesz od tej pukawki jak pień. A jeszcze nas tutaj ktoś, cholera, usłyszysz i ściągnie gliny.

– To będę mniej więcej taki głuchy jak ty, Vogel. A gliniarzami się nie przejmuj, mają teraz ważniejsze sprawy na głowie niż ganiecie za dwoma starymi dziadami z jednym gnatem.

– Mów za siebie. Mój gnat jest jeszcze ciągle w porządku.

Roześmiali się krótkim, suchym, wymuszonym śmiechem, który brzmiał niemal służbowo. Vogel podszedł do siedzącego na zaokrąglonym kamieniu mężczyzny i rozprostował plecy, podtrzymując krzyż wygiętymi ramionami.

– Aleś sobie wybrał miejsce na biznes. Ledwo tu doszedłem. Że też ci się jeszcze chce łązić po skałach.

Mężczyzna wycelował pistolet ponad krawędzią półki skalnej i brodą dał znak towarzyszowi, że ma tam pójść. Vogel niechętnie podreptał we wskazanym kierunku, zatrzymał się kilka metrów od krawędzi przepaści. Marsylia z tego miejsca rysowała się kremowym rozlewiskiem nieokreślonej masy, jak spływający z gór jezior lodowca. Wylaniały się z niej plamy pomarańczowych przebarwień dachów starego miasta i sześciany najwyższych budynków, z bazaltowym monstrem CMA CGM Tower, które wynurzało się z mlecznej otchłani jak wieża okrętu podwodnego. Z tego punktu nawet zatoka wydawała się wyblakła i rozmyta, wyspa zamkowa naszkicowana była kilkoma pospieszonymi ruchami pędzla, nie do odróżnienia z tej perspektywy od ruin lub złomowiska skał.

Vogel podskoczył ze strachu, gdy starszy mężczyzna wystrzelił ponownie. Odłamki następnej butelki rozprysły się w promieniu kilku metrów, drobne okruchy szkła posypały się na nogawki Vogla.

– *Fils de pute!* Mogłeś mnie trafić!

– Mogłem, ale całkiem nieźle mi idzie, musisz przyznać. Aż dziw, zważywszy, że nigdy wcześniej nie miałem w ręku broni.

– Nie byłeś w wojsku?

– Jakimś cudem mnie nie wzięli, bardziej im byłem potrzebny w instytucjach badawczych.

– To co ty, kurwa, wiesz o życiu, staruszk? Ja widziałem kolegów ginących w pół zdania od kul karabinów, gaśli jak świece. Kazali mi strzelać do cywilów, gwałcić algierskie kobiety, okaleczać pojmanych.

– Kazali?

– Żebyś wiedział, kazali. Gdyby nie ta cholerna wojna, byłbym teraz normalnym facetem z rodziną i gromadką wnuków. A tak co, nic innego nie potrafiłem robić poza ranieniem ludzi. Sam byłem zraniony na duszy i lepiej by było, żebym od tego zdechł zawczasu.

Starszy mężczyzna nie zareagował na niespodziewane zwierzenia towarzysza. Sam nigdy nie doświadczył takich okrucieństw, ale i tak miał poranioną duszę. I ranił wszystkich, którzy mu tylko stanęli na drodze. Słoneczne światło rozżarzyło kolejną butelkę, wycelował i strzelił.

– Te butelki są kobietami, które w życiu kochałem.

– Osiem? Ja kochałem każdą lalunię, w którą udało mi się zapuścić swój korzeń.

– Bo jesteś kretynem, Vogel, a istoty o prymitywnej osobowości nie są zdolne do wyższych uczuć.

– *Branleur!* Masz szczęście, gnoju, że potrzebuję kasy, bo nasłałbym na ciebie ogary.

Starszy mężczyzna podniósł pistolet i skierował lufę w stronę gangstera, wycelował. W promieniach niskiego słońca postać Vogla zamieniła się w ciemne przebarwienie krajobrazu, obły kształt o niewiadomym pochodzeniu, pionowy cień. Wystarczyło pociągnąć za spust, a wrażenie optyczne by znikło, prawdopodobnie nikt by go nawet nie zapamiętał. Sprawca poczułby tyle, ile po zlikwidowaniu szkodnika ogrodowego, którego wynosi się na szufelce do najbliższego śmietnika. Poczucie dobrze spełnionego obowiązku.

– Nieźle się tutaj bawicie, dziadki! – krzyknął na powitanie niski mężczyzna w białej koszuli w kilku miejscach przyklejonej do owłosionego ciała. Z wianuszka włosów kapały mu przy każdym ruchu krople potu, w prawej dłoni ścisnął słomiany kapelusz, którym co chwila się wachlował. – Nie przeszkadzajcie sobie, mnie się nie spieszy.

– O, jesteś, Maxime! – sapnął Vogel z wyraźną ulgą. Korzystając z okazji, zszedł z celownika pistoletu i zbliżył się do przybyłego gościa. – A tak w ogóle to swoją robotę już wykonałem. Jeśli nie macie nic przeciwko temu, zostawię was samych.

Vogel zmrużył oczy, patrząc pod światło. Wyćwiczony dekadami praktyki przyjął pozę wierzyciela oczekującego na należność lub, lepiej, żołnierza mafii wyciągającego rękę po haracz. Starszy sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki po kopertę z pieniędzmi i rzucił ją od niechcenia. Upadła pod nogi emerytowanego gangstera, który podniósł ją z grymasem na pomarszczonej twarzy, mruknął przekleństwo i ruszył wąską ścieżką do szosy. Starszy mężczyzna wycelował i strzelił, Vogel skurczył się w sobie i wygiął wpół. Serce mu stanęło i zabiło dopiero po kilku sekundach. Potłuczone szkło z brzękiem posypało się po skałach.

– *Connard!* Obyś się smażył w piekle!

Maxime zarechotał jak hiena, lewą ręką przytrzymując spazmatycznie drgający brzuch. Otarł pot z czoła i podszedł do starszego mężczyzny, przysiadł na zrębie skały pod półką, w stosownej odległości od ostatniej butelki.

– To co mogę dla ciebie zrobić, przyjacielu? Ten stary dureń nie potrafił mi niczego wyjaśnić.

– Mam zamiar zrobić dobry uczynek.

– Jak my wszyscy, wciąż poświęcamy się dla dobra narodu.

– Tak, my wszyscy. Chciałbym jednak przypieczętować te nasze starania, dokonać czegoś ważnego.

– I co niby miałyby to być?

– Słyszałeś o zbliżających się wydarzeniach?



- Co nieco.
- Potrzebuję dostępu do pewnego obiektu.
- Po co?

Starszy mężczyzna wycelował w ostatnią butelkę, ale nie pociągnął za spust. Symbolizowała ostatnią miłość, a jej jeszcze nie stracił. Zamiast tego rozwarł rękę i wydał dźwięk imitujący wystrzał. Lub eksplozję.

– Przerwywamy wiadomości pilną informacją, która właśnie pojawiła się w internecie. Sophie, co wzbudziło taką sensację?

– Dziękuję, Juliette. Kilkanaście minut temu na profilu Céline Dumerc, jednej z najpopularniejszych marsylskich blogerek, pojawił się artykuł sugerujący, że w mieście panuje epidemia jakiejś nieznanej choroby. Nie wiem, na ile ta informacja jest rzetelna, ale o ile autorka uznawana jest za postać kontrowersyjną, o tyle jej materiały zawsze prezentują najwyższy poziom dziennikarskiego kunsztu. Céline nie pozwoliłaby sobie na emisję fałszywych lub niepotwierdzonych informacji.

– Czy udało się uzyskać jakiś komentarz ze strony władz?

– Z tego, co wiem, nie. Stoję właśnie przed szpitalem, w którym według doniesień Céline hospitalizuje się chorych. Rzeczywiście, nie tylko oddział został zamknięty, ale cały budynek jest w tej chwili zabezpieczony kordonem służb mundurowych, w tym wojska.

– Czyli poranne komunikaty, zgodnie z którymi patrole wojskowe miały służyć jako dodatkowa ochrona zbliżającej się wizyty premiera i jednoczesnego otwarcia Grande Mosquée, są tylko zasłoną dymną dla prawdziwych powodów uruchomienia oddziałów armii.

– Właśnie tak, Juliette. Jeśli przypuszczenia, że w mieście wybuchła epidemia, okażą się prawdziwe, rząd prawdopodobnie ogłosi stan wyjątkowy, a władzę w mieście de facto przejmie administracja wojskowa.

– Powiedz mi jeszcze, Sophie, co wiemy na temat potencjalnego zagrożenia. Czy wiadomo już, czym jest ta choroba?

– Niestety nie, Juliette. Dokumenty zdobyte przez Céline sugerują, że mamy do czynienia z jakąś odmianą eboli. Na zdjęciu, które zostało zrobione w szpitalu, widać chorego, który bardziej przypomina ofiarę upadku z ostatniego piętra wieżowca niż człowieka zainfekowanego wirusem eboli.

Na ekranie pojawiła się fotografia rozlewającego się na podłodze szpitala pacjenta, a zaraz po niej dla porównania czarnoskórej kobiety na czerwonej ziemi któregoś z miast w Sierra Leone. Isabelle wzdrygnęła się i wyłączyła wiadomości. Sięgnęła po laptop, w wyszukiwarce wprowadziła nazwę bloga Céline Dumerc, ale komputer poinformował ją, że strona jest niedostępna. Najlepszy dowód na to, że opublikowała prawdę. Władze nie kłopotowałyby się filtrowaniem informacji wyspanych z palca.

Podniosła się z łóżka i zaczęła krążyć po sypialni. Przez korytarz zerknęła na dzieci bawiące się w swoim pokoju, wbiła palce w nieuczesane włosy i oparła czoło o ramę drzwi. Starła się intensywnie myśleć, ale w głowie wirowały jej same obrazy. Widok potwornie zniekształconego ciała Émilie mieszał się z fotografiami z wiadomości, wyciągnięte do niej dłonie męża z uzbrojonymi w karabiny żołnierzami otaczającymi szpital. Odepchnęła się od chłodnego drewna, podeszła do biurka, gdzie leżał telefon.

Kilka nieodebranych rozmów od Claude'a. Historyczne polecenia, że ma się pakować i uciekać z miasta. Nie wierzyła mu czy po prostu nie chciała wierzyć? Wściekłość i strach odebrały jej zdolność racjonalnego działania. On miał kontakt z zainfekowaną, nie była pewna jaki. Sama przebywała z nią w sali szpitalnej, ale zachowała stosowną odległość, zarazki raczej nie zdołały się na nią przedostać. Zdezynfekowała mieszkanie i swoje ciało, ale Claude mógł

mieć już to coś w sobie. Ucieczka przed chorobą oznaczała więc ucieczkę przed nim. Od niego.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie oddzwonić albo przynajmniej odpisać na ostatnią wiadomość. Wyobraziła sobie jego złamaną, zmartwioną sylwetkę, wielką i kruchą niczym zwietrzały pomnik. Z kosmykami włosów opadającymi na twarz, z roztrzęsionymi z nerwów rękami. Zaciśniętymi w pięści dłońmi, które tak uwielbiała. Poddawała się ich pieścizdom jak promieniom słońca. Mogły ją rozgrzewać godzinami, nigdy nie przestać. Teraz samo wspomnienie jego palców na skórze wywołało w niej dreszcz obrzydzenia. Były jak umazane zgnilizną i ekskrementami, porozrywane resztki rąk trędowatego starca. Cała miłość, którą w sobie do tej pory nosiła, w jednej chwili zamieniła się w strach, pożądanie w odrazę.

W przyptywie nagłej energii wytargała z szafy walizki i zaczęła wrzucać do nich rzeczy z półek i szuflad. Zaczepiła się o wieszak na płaszcze, szarpnęła, rozrywając bluzkę, w ataku szału zrywała z wieszaków garnitury i kurtki i miotała nimi po pokoju, darła sukienki, biła o podłogę obcasami butów.

– Mamo, czy coś się stało?

Dzieci stały w progu, kurczowo ścisnęły się za ręce w za dużych gumowych rękawiczkach. W ich wytrzeszczonych oczach błakał się lęk. Isabelle wstała z podłogi, w lustrze ściennym dostrzegła wariatkę w podartej bluzce, z rozczochranymi włosami i bladą, opuchniętą od płaczu twarzą i popękany ustami drżącymi jak u staruszki.

– Nic, dzieci, mamusia musi zrobić porządku. Idźcie się bawić.

Ivonne wykrzywiła buzię, spod zaciśniętych powiek wysypały się na policzki drobne łzy.

– Ja chcę do taty!

– Tatusz, kochanie jest... – Chciała powiedzieć „chory”, ale w ostatniej chwili zdołała się przed tym powstrzymać. – Jest w pracy, ma teraz bardzo dużo na głowie.

– Musi tak dużo pracować, żeby nas chronić! – zakomunikował Bruno, dumnie zadzierając brodę.

– Tak, synku. Chodźcie, zrobimy coś do jedzenia, na pewno jesteście głodni.

– A później gdzieś pojedziemy?

– Tak, Bruno, później gdzieś pojedziemy...

Ciszę panującą w pomieszczeniu multimedialnym zakłócał tylko świszczący oddech majora. Dwa tony powtarzały się w odstępie trzech sekund, z jednosekundową pauzą pomiędzy nimi: wysoki wdech i nieco niższy wydech. Przypominały zgrzyt paska klinowego w aucie lub rozklekotany wentylator, oba doprowadzające do szału, ale znoszone z powodu wyższej konieczności. Teraz też Claude najchętniej uciszyłby wwiercający się w mózg pisk jednym uderzeniem łokcia. Nachylona głowa żołnierza akurat znajdowała się w odpowiedniej pozycji. I oczywiście nie mógł.

Sześć osób w skupieniu śledziło obraz emitowany na pięćdziesięciocalowym ekranie. Mężczyźni w bezruchu, z zaciśniętymi ustami, jedyna kobieta bez emocji, nawijając sobie na palec kosmyk włosów, ze śladem znudzenia, jakby oglądała powtórkę serialu telewizyjnego. Postacie nagrane w niskiej rozdzielczości, o wyblakłych kolorach i niewyraźnych twarzach, poruszały się w rwanym tempie, co jakiś czas drgając lub przeskakując w czasie. Zupełny brak dźwięku dodawał oglądanej scenie grozy, tajemniczości. Poruszające się niemo usta bohaterów zdawały się coś ukrywać, przekazywać sobie niebezpieczne sekrety, snuć jakiś zabójczy plan.

– O, tutaj – wskazała czerwonym punktem lasera Caroline, która prezentowała nagranie.

– To Émilie Gomiz, prawdopodobnie pierwsza ofiara choroby.

Claude wstrzymał oddech. Nie rozpoznałby swojej byłej kochanki, gdyby nie komentarz podwładnej. Rysy twarzy były oczywiście znajome, ale jakby zupełnie obce, należące do kogoś widzianego tak dawno, że twarz stała się symbolem zdarzenia, a nie rzeczywistym kształtem,

prawdziwą postacią. Czyżby tak łatwo udało mu się wyprzeć z pamięci jej oblicze? Niemożliwe, przecież tkwiła w nim niczym cierni, nie dawała spokoju. Po prostu widział ją teraz inną, Émilie z okresu ich związku. Szczęśliwą i pełną wiary w świat, nie złamaną i zagubioną.

– Dostaniemy kiedyś wreszcie porządne kamery? – skomentował retorycznie Wesz oddelegowany do tej sprawy przez komendanta. – Na tym nagraniu widać same upiory, nie ludzi!

Nikt nie rozwinął uwagi przedstawiciela sztabu, która nie wносиła niczego do omawianej sprawy, a tylko wywołała u zebranych grymas irytacji. Mucha ciągnęła dalej:

– A to ten typ, o którym wspominała ofiara. – Czerwona kropka przesunęła się z dziewczyny na mężczyznę w szarym garniturze, o aparycji starzejącego się urzędnika. Rzadkie siwe włosy doskonale uzupełniały okulary w złotych oprawkach, zupełnie pospolita twarz upodabniała go do każdego i do nikogo jednocześnie. Doskonały wizerunek szpiega lub zamachowca, idealnie wtapiającego się w tłum. – Wyciąga Biblię i zaczyna coś mówić, prawdopodobnie cytuje jakiś jej fragment, trudno cokolwiek wyczytać z ruchu warg. Ludzie się odsuwają, jak to od wariata. Po kilku minutach nawiązuje się kłótnia z jednym z pasażerów, o teraz, ten chłopak w dresie. Tutaj nie ma większych problemów z odszyfrowaniem komunikatu, prawie same przekleństwa. No i najważniejsza część. – Nagranie zatrzymało się na scenie wychodzenia pasażerów z wagonu. Wygenerowane powiększenie obrazu zawierało fragment zaznaczony czerwonym okręgiem. – W tym momencie mężczyzna chwyta ofiarę za ramię.

Z obu twarzy, mimo że zniekształconych powiększeniem cyfrowym, dokładnie dawało się odczytać uczucia. Furii i fanatycznej agresywności mężczyzny przeciwstawiał się irracjonalny strach kobiety, która jak gdyby przeczuwała swój los.

– Czy udało się zidentyfikować mężczyznę? – zapytał major, dzięki czemu na chwilę umilkł irytujący świst w nosie.

– Sporządziliśmy portret pamięciowy na podstawie kilku dodatkowych ujęć, które zebraliśmy z monitoringu. Okazuje się, że typ krąży po metrze od pewnego czasu i straszy ludzi. Nie ustaliliśmy niestety tożsamości podejrzanego, pracujemy nad tym.

– Jesteśmy w stałym kontakcie z ochroną transportu publicznego – wtrącił się Fabio Montale. – Umieściliśmy też w pociągach i autobusach patrole w cywilu. Jeśli nic nie stanie na przeszkodzie, powinniśmy namierzyć i ująć podejrzanego w krótkim czasie.

– O ile nie zmienił taktyki – zauważył major.

– I jeśli jeszcze żyje, co wydaje się w tych okolicznościach bardzo wątpliwe.

Uwaga Wszy była wyjątkowo merytoryczna. Pełne rezygnacji milczenie, które po niej zapanowało, przerwał reprezentant wojska, który zdawał się mieć więcej informacji, niż był skłonny udzielić. Typową metodą armii reglamentował je niczym wodę na pustyni, skąpymi kroplami.

– Ten człowiek może być po prostu nosicielem wirusa, częsty przypadek. Tym bardziej jeśli mamy do czynienia z celowym działaniem, a wszystko na to wskazuje.

– Czyli co? – zdziwił się kapitan ze sztabu, jakby nigdy jeszcze nie słyszał pojęcia zbrodni. – Mamy do czynienia z terrorystą?

– Być może – odezwał się mężczyzna w czarnym garniturze, który do tej pory zachowywał milczenie. – Dlatego to sekcja antyterrorystyczna powinna przejąć sprawę. Jak tylko uda się zatrzymać domniemanego sprawcę, natychmiast proszę go nam przekazać.

– A niby czemu? – zbulwersował się major. – O ile się nie mylę, to armia otrzymała od rządu odpowiednie pełnomocnictwa.

– Ale nie do prowadzenia tego śledztwa!

– Spokojnie, spokojnie, panowie! – wtrącił się komisarz Tigany, odgrywając rolę rozjemcy. W pomieszczeniu zapalono światło, a wyrwani z półmroku skonfliktowani mężczyźni

stali naprzeciw siebie jak kowadło i młot, pomiędzy które policjant próbował wcisnąć palec.  
– Jak na razie to my kierujemy sprawą. Obiecuję, że będziemy składać bieżące raporty o jej przebiegu, a sprawcę chętnie prześlemy dalej. Oczywiście zgodnie ze stosownymi rozkazami.

Przedstawiciel komendanta otworzył drzwi i pożegnał się z gośćmi, zaraz jednak wrócił do środka.

– Ujmiemy sprawcę, he? – zaatakował komisarza. – A niby na jakiej podstawie? Jeśli wam się wydaje, że sędzia klepnie nakaz na podstawie tych waszych mrzonek z szemranego źródła, to się rozczarujecie. Informacje posłyszane w szpitalu, co, Eryan? Śmiechu warte! No i co, kto zadzwoni do sędziego?

Przebiegł swoim lisim wzrokiem po nieruchomych twarzach śledczych. Obu nie drgnęła nawet powieka, tego właśnie oczekiwał.

– No tak, jak zwykle, cała brudna robota spłynie na mnie. Zobaczę, co da się zrobić, ale niczego nie obiecuję. I lepiej, żeby tym razem wam się udało, komendant ma już dość tego partactwa. – Wycelował palec w kolegów, jakby brał ich na muszkę. Z groźbą oddania strzału, jeśli tylko powinie im się noga. – Za to panienka wykonała kawał dobrej roboty – z rozanielonym uśmiechem zwrócił się do opartej o ścianę Caroline. – Oby tak dalej, a zajdzie pani wysoko.

– Do sztabu? – prychnęła i wygięła twarz w odwrotności uśmiechu. – Wolałabym chyba łapać kurwy przy autostradzie, dużo czystsza robota.

Wesz nie przestał szczerzyć kłów, jakby obelgi spływały po nim jak krople deszczu. Ukłonił się i zniknął na korytarzu.

– Ty lepiej sobie uważaj, Ciak, niektóre życzenia szybko się tutaj stają rozkazem – surowo ostrzegł podwładną komisarz, ale dziewczyna tylko wzruszyła ramionami. Zakręciła się na pięcie i wyszła. – I co teraz, Claude?

– Nic. Wyruszamy na łowy.

Montale zatwierdził plan kapitana skinieniem głowy, przez kilka sekund nie spuszczał z niego wzroku.

– Jaki miałeś kontakt z Émilie?

Eryan spodziewał się tego pytania.

– Przez szybę, była zamknięta w izolatce – skłamał.

Komisarz znów skinął głową, ale nadal świdrował go spojrzeniem.

– Zgłosisz to sam czy ja mam to zrobić?

Podwładny zwiesił głowę, zacisnął dłonie w pięści. Przyznanie się do kontaktu z ofiarą wirusa oznaczałoby kwarantannę, kompletne wyłączenie z akcji. Claude wolałby umrzeć, a Tigany doskonale to wiedział.

– No jazda, do roboty, na razie zapominamy o sprawie.

Kapitan ożył jak golem, z wdzięcznością błysnął ognistymi oczami i ruszył do drzwi.

– Ale jak mi przez ciebie zgnije dupa, dorwę cię choćby w piekle, zrozumiano?

– Jeśli to nie jest koniec świata, to co?

Słowa policjanta z patrolu zabezpieczającego miejsce zdarzenia długo dźwięczały w powietrzu, zanim przytłumił je warkot przejeżdżającego skutera. Rais sam nie ująłby tego lepiej, wątpliwości miał podobne. Chyba wszyscy zadawali sobie teraz to samo pytanie. Seria wyjątkowo brutalnych zabójstw przez spalenie, zamieszki, wybuch epidemii. A teraz w powietrzu wisiała wojna domowa, inaczej nie dało się tego nazwać. Wszędzie roiło się od patroli wojskowych, a grupki wyrostków stawały się coraz liczniejsze i bardziej agresywne. W dzielnicach północnych podobno stawiano barykady, każdy każdego o coś oskarżał, każdy każdemu groził.

Raisowi przypomniał się wykład imama. Były tam ogień, śmierć, plagi i ostrzeżenie przed

wojną. A może właśnie groźba wojny? Zwykła gadanina nawiedzonego fundamentalisty czy zapowiedź przyszłych wydarzeń? Zaplanowanych i przeprowadzonych z przerażającym rozmachem. Wszystko pasowałoby do siebie, gdyby nie było tak proste i ewidentne. A na dodatek sam czuł się zaangażowany w sprawę, której nie rozumiał. Ktoś próbował mu przekazać informacje o absurdalnej treści, śledzono go. Gdyby nie wrażenie, że tkwi w tym czymś po same uszy, już dawno złożyłby stosowny raport zwierzchnikom. To coś, czego nie potrafił nazwać, powstrzymało go przed tym krokiem. Strach? Wiara w wyższe dobro?

– Brakuje nam ludzi, poruczniku, a gapie pchają się jak do cyrku – zakomunikował sierżant z patrolu. – Obiecali posiłki, ale nikogo jeszcze tu nie ma. Co, mamy wziąć na chybił trafił paru ludzi z tłumu i mianować zastępcami szeryfa?

– Przestań biadolić, sierżancie – warknął Rais, zatykając nos, bo powiew wiatru dmuchnął w ich stronę śwędem spalonego mięsa. – Ma tutaj być porządek i koniec, jak nie potraficie zapanować nad ludźmi pyskiem, to spróbujcie rękami.

Policjant obruszył się i urażony wrócił na linię walki z napierającym tłumem. Rzeczywiście, jeszcze nigdy nie było tylu gapiów. Może to miejsce przy handlowej ulicy, a może mieszkańcy miasta zaczęli intensywniej niż zwykle poszukiwać sensacji. Pragnęli być świadkami grozy, jaka wionęła z podkręcających atmosferę terroru mediów. Społeczeństwo było tak bardzo podczepione do wirtualnego świata internetu, że brakowało mu tylko symbolicznych gniazdek w kręgosłupie i przewodów z wtyczkami jak w Matriksie. Poprzedniego dnia hitem mediów społecznościowych okazały się filmy z samospaleniem domniemanego Inkwizytora, bezdomnego biedaka, z którego próbowano uczynić kozła ofiarnego. Dzisiaj kto żyw nagrywał trupy leżące przed spalonym sklepem w centrum Marsylii. Kolejnych smoluchów.

Rais nie potrafił ukryć irytacji i znużenia powtarzającą się historią. Choć tym razem nie było pewności, że atak należy do przypadków objętych śledztwem. Ofiarą nie był mężczyzna, lecz rodzina z dzieckiem. Napad nastąpił w ciągu dnia, nie w nocy. Co prawda użyto butelek z benzyną, ale celem mógł być sam sklep, nie przebywający w nim ludzie. Nieszczęśliwy wypadek? Rais przestał rozumieć znaczenie tych słów. Jeśli ten związek frazeologiczny miał kiedyś jakikolwiek sens, utracił go dawno. Wszystkie zdarzenia, z którymi porucznik zetknął się w ciągu dziesięciu lat kariery w policji, były wynikiem celowego działania. Przypadkiem i nieszczęśliwie można sobie połamać nogi, nie spalić rodzinę z dzieckiem.

Sierżant przepuścił pod taśmą policyjną starszą kobietę i szedł z nią w stronę Raisa.

– Panie poruczniku, ta kobieta twierdzi, że widziała zdarzenie.

– Tak twierdzi? – mruknął sceptycznie Rais, nie kryjąc lekceważenia. Nawet nie spojrzał w kierunku świadka, dokonując oględzin miejsca przestępstwa.

– Proszę, niech pani powtórzy oficerowi to samo, co powiedziała pani mnie.

– Podjechało trzech takich samochodem – rozpoczęła kobieta skrzeczącym głosem.

– Wybiegli, a jeden rzucił w witrynę sklepu kamieniem. Tamci dwaj w tym czasie podpalili szmaty w tych swoich butlach i cisnęli nimi do środka. Wskoczyli z powrotem do samochodu i odjechali, prawie mnie potracili, bo stałam przy krawężniku, na jezdni.

Rais na końcu języka miał pytanie, co robiła na jezdni w niedozwolonym miejscu, ale ugryzł się w język. Technika czynienia podejrzanego z ofiar i świadków przestępstw była tak powszechna, że stosowano ją automatycznie, bez jakiegokolwiek refleksji.

– Jak wyglądali?

– Chyba młodzi, poruszali się jak sportowcy. Ale widzieć, to nie widziałam, mieli na twarzach chustki, a na głowach naciągnięte kaptury. Wszyscy mieli na sobie białe bluzy.

– Białe bluzy? – Rais wreszcie zaciekawił się słowami świadka. O białych strojach wspominał podejrzanym o podpalenia, późniejszy samobójca. – Były na nich jakieś napisy,

oznaczenie marki, znaki szczególne?

– Białe, bez niczego. Co ja tam zresztą mogłam za szczegóły zobaczyć, to trwało wszystkiego parę sekund, może z dziesięć, piętnaście. Szybcy byli.

– A samochód pani zapamiętała?

– Samochód? Niebieski, dosyć duży, z wysuniętym bagażnikiem.

Rais westchnął głośno, po raz kolejny zawiedziony możliwościami świadków.

– Tylko kierowca nie miał na twarzy chustki, kaptura też nie miał.

W śledczego wpłynęła nowa nadzieja.

– Zapamiętała go pani?

– Od przedniej szyby odbijało się słońce...

– Białe, czarne, grube, chude? Coś, do cholery, musiała pani przecież widzieć?!

Zastraszenie świadków i ofiar było kolejną metodą powszechnie stosowaną przez policję.

Im mniej zgłaszało się poszkodowanych, tym było mniej roboty. Kobieta zassała obwisłe policzki, jakby zamierzała je połknąć i w ten sposób zakorkować sobie na wieczność usta. Ale życie bez możliwości gadania oznaczałoby dla niej torturę.

– Miał jakąś plamę na policzku i skroni.

– Plamę?

– No tutaj. – Kobieta przeciągnęła pomarszczoną dłonią od siwych włosów do szyi, jakby szkicowała bokobrody.

– Co to było, niech sobie pani przypomni. Znamię, brud? Tatuaż?

– No, to mógłby być tatuaż.

– Świetnie. Proszę się nigdzie nie ruszać, zaraz przyjedzie po panią radiowóz.

– Jestem aresztowana? Ale ja przecież nic...

– Jeszcze nic, ale jak będzie pani gderać, to mogę to potraktować jako ukrywanie dowodów w śledztwie, a to poważne przestępstwo. Proszę więc czekać na transport, w komendzie zajmie się panią inny officer.

Rais nie zwracał uwagi na przerażoną minę starszej kobiety i wyrzut w spojrzeniu sierżanta. Wyciągnął telefon i wybrał numer.

– Cześć, Armand. Czy Cipa pokazał się już na komendzie? Ma kogoś przysłać?

Nieważne. Zapytaj go, czy zna Ruska z czarną dziarą na ryju. Wysyłam na komendę świadka, może uda się zidentyfikować rodzaj tatuażu, pociśnij sprawę. Dobra, działam dalej.

W tej chwili na miejscu zdarzenia pojawił się policjant na motocyklu. Nie zdążył jeszcze zaparkować maszyny, a Rais gwizdnął i przywołał go do siebie.

– Zawieziesz tę panią na komendę, ma się zgłosić do porucznika Douisa. Ale jazda, pędem, nie ma czasu!

Motocyklista zmierzył starszą kobietę zdumionym wzrokiem i posłał porucznikowi pytające spojrzenie. Ten jednak już prowadził kolejną rozmowę z telefonem przyklejonym do ucha.

– Tak, szefie, to może być kolejny przypadek. Czekam na posiłki i ekipę techniczną, jak tylko przyjadą, wracam. Co? Gdzie, w wiadomościach? Nie widziałem, zaraz spojrzę.

Zakończył rozmowę i uruchomił internet. Wyszukał stronę [www.France24](http://www.France24) i włączył wiadomości na żywo. Podniecona reporterka w studiu przekazywała zdjęcia z helikoptera i kilku wozów transmisyjnych rozsianych po ulicach Marsylii. Zdjęcia uderzyły go obuchem niczym młot kowalski, musiał usiąść na masce swojego wozu, żeby nie upaść. Leżące kilkanaście metrów od niego zwłoki nie były jedynymi. Ludzie płonęli w całej Marsylii.

Sierżant miał rację. To był koniec świata.

Płonący ludzie przypominali drzewa zajęte ogniem podczas pożaru lasu. Na ekranie

telewizora ujęcia tej okrutnej metody śmierci nie były nawet drastyczne, łatwo można je było wziąć za urywki filmów. Dużo silniej działały amatorskie nagrania wstawiane przez przypadkowych przechodniów, gdzie zwierzęcy krzyk konających i oddech ognia wpadały wprost w obiektyw smartfona, zdawały się oglądane na żywo.

*Cywilizacja straciła przytomność, ludzka percepcja ograniczyła się do mroków średniowiecza, mózg skurczył do wielkości pięści, tsunami emocji zalało nasze miasto. Ratunku, toniemy!*

– napisała Céline na naprędce utworzonym koncie Facebooka. Kilka godzin temu wyszukiwarki zablokowały jej stronę, konta na mediach społecznościowych przestały działać. Tyle w kwestii neutralności światopoglądowej międzynarodowych korporacji, ich niezależności od władzy państwowej. Nie żeby Céline kiedykolwiek była na tyle naiwna, by wierzyć w medialne deklaracje polityków i akcjonariuszy, ale pierwszy raz tak brutalnie doświadczyła rządów silniejszych od siebie. Do tej pory wylano ją z gazety i krytykowano na konferencjach prasowych, groźnie kiwając palcem. Teraz prawie zupełnie odcięto ją od świata mediów. Czuła się jak w celi o zamurowanych oknach i drzwiach lub jak rozbitek wypuszczony na pełne morze w szalupie wielkości łupiny orzecha. Widziała tylko horyzont wypełniony kompletną pustką.

A na dodatek na dole trzasnęły drzwi.

Zerwała się z miejsca. Znieruchomiała z okiem przyklejonym do judasza, który zakrzywił widok niczym denko od butelki po wódce, była pijana strachem. Spodziewała się wizyty od czasu zamknięcia jej bloga, każdy hałas na zewnątrz brała za początek inwazji. Nic dla nich prostszego wysłać oddział taktyczny i siłą wdrzeć się do mieszkania, wywlec ją w kajdankach z workiem na głowie i zamknąć w areszcie. Ustawa antyterrorystyczna w zasadzie pozwalała im na wszystko, wystarczył cień podejrzeń. A ona w tej chwili rzucała nie cień, lecz całą górę podejrzeń. Pewnie mogliby ją nawet zastrzelić i nikt nie kiwnąłby palcem. Niby w trakcie utrudniania czynności śledczych lub próby ucieczki. Jej trupowi byłoby to obojętne.

Ktoś wbiegał schodami na górę, podeszwami ciężkich butów bił o kamienne stopnie. Jeden, ale za to duży i silny? A może kilku poruszających się w doskonałej synchronizacji, perfekcyjnych niczym jeden organizm. Cofnęła się od drzwi, panicznie rozejrzała po mieszkaniu. Ani nie miała dokąd uciec, ani gdzie się schować. Chwycić za nóż, próbować się bronić? Przynajmniej zniszczyć materiały w komputerze, sformatować dysk twardy. Nie zdąży, kroki były tuż-tuż, do ich stukotu dołączyło ciche sapanie. Stłumiony metaliczny klang – broni? Trzymanych w pogotowiu kajdanków?

I nagła cisza. Rytmiczny odgłos za drzwiami został zastąpiony stukotem serca. Céline nie spodziewała się, że mięsień wielkości pięści może robić tyle hałasu. Próbowała go stłumić dłońmi, bezskutecznie. Czekala, ale nic się nie działo. Cisza przedłużała się, co było jeszcze gorsze niż hałas. Podeszła do drzwi i ostrożnie odsunęła klapkę judasza, wyjrzała na zewnątrz. Twarz stojącego na klatce schodowej mężczyzny miała wielkość okrętowego bulaju wyściełanego ludzką podobizną. Céline pisnęła, odepchnęła się od drzwi i przyłgnęła plecami do ściany. Nie pamiętała, na jak długo wstrzymała oddech, ale kiedy ponownie zaczęła wciągać powietrze, kroki mężczyzny rozbrzmiały znowu. Szukał mieszkania na wyższym piętrze, zamknęły się za nim drzwi u sąsiadów.

Roześmiała się, a zaraz potem zaczęła szlochać. Z nagłą siłą powrócił świąd skóry, najchętniej zdarłaby ją z siebie całymi płatami, wrzuciła do klozetu i spuściła wodę. Wymięta i rozbita poczłapała do kuchni, sięgnęła po niedokończony skręta i przyłożyła zapalną. Zaciągała się chciwie raz za razem, aż żar poparzył jej palce. Fala znieczulenia uderzyła ją niczym obuch miękkiego młota, oparła się głową o stół i napawała swoją lekkością. Na chwilę zapomniała o chorobie i strachu, o burzy, którą niedawno wywołała. Wyfrunęła przez dach

i szybowała po niebie, a ogniska z płonących ofiar zdawały się z jej wysokości błędnymi ogniami. Spadła na krzesło w kuchni z hukiem, kiedy w salonie rozległ się gong przychodzącego e-maila. Podniosła głowę, na lśniącym blacie stołu została niewielka kropla. Dotknęła jej palcem, na tle jasnej skóry ciecz miała kolor brązowej krwi. Przyłożyła wewnętrzną stronę dłoni do czoła, poczuła wilgoć pękniętej rany. Wzdrygnęła się, wstała i otarła ropę papierowym ręcznikiem. Szybkimi, ukradkowymi ruchami, jakby ktoś ją podglądał. Jakby na jaw mogła wyjść jakaś skrywana prawda.

Podeszła do komputera. W wiadomościach transmitowano wypowiedź prominentnego przedstawiciela Frontu, który w spokojnych, ale dobitnych słowach za wybuch epidemii oskarżał imigrantów z Bliskiego Wschodu i całą muzułmańską społeczność Marsylii. Czarno-biała masa zwolenników Frontu wrzała jak gotowana smoła, opary wściekłości roztopiały powietrze niczym topiący się asfalt, od którego rozklejają się budynki i słupy. Ktoś z tłumu rzucił szmacianą lalkę wielkości człowieka, która po chwili stanęła w ogniu.

Céline odebrała wiadomość: „Znalazłem na silnie zabezpieczonym portalu i rozkodowałem”. Nacisnęła link do podanej witryny internetowej. Film uruchomił się automatycznie. Najpierw były same głosy i ciemność, obraz powoli wyłaniał się z mroku i nabierał kolorów. Białe plamy zmieniły się w zamaskowanych ludzi w białych bluzach, z kapturami na głowach. W rękach trzymali pochodnie, które rzucały diaboliczne cienie na precyzyjnie ułożony stos z drewna. Nie potrafiła dostrzec, co leżało na szczycie, choć wyobraźnia podpowiadała najgorsze. Kamera zbliżyła się do jednego z mężczyzn, który wystąpił z szeregu.

– Ta religia jest jak herezja, chwast, który należy wyplenić ogniem. Ta religia to rak, którego nie da się już uleczyć. Należy ją unicestwić, zmieść z powierzchni ziemi, wypalić do gołej ziemi. Niewiernym okazać gniew Pana.

Mężczyzna cofnął się do szeregu, a kamera skoncentrowała się na stosie z drewna z obłym kształtem na górze. Pochodnie po kolei lądowały pomiędzy kłodami, języki ognia zaczęły mnożyć się i rosnać. Céline powiększyła obraz, starała się dojrzeć, co tam leży. Znieruchomiała, gdy podmuch wiatru odsłonił na chwilę grzywę płomieni. To nie był człowiek. Zobaczyła zwitek szmat, w których dało się rozpoznać liturgiczne szaty. Centralną pozycję zajmował stary egzemplarz księgi w drewnianej, obitej skórą okładce owiniętej koralami różańca.

Puzzle, które wcześniej pozbierała, lecz brakowało jej kilku elementów, ułożyły się teraz w jedną całość. Sięgnęła po telefon i wybrała numer naczelnego „Le Méditerranéen”, Patrick Battiston odebrał po trzecim sygnale.

– Céline, wszelki duch! Akurat o tobie myślałem, aleś wszystkim dała popalić tym newsem! Słuchaj, jestem teraz trochę zajęty, ale...

– Zamknij się, Patrick, i słuchaj. Mam jeszcze jeden materiał, ale położyli mi bloga i profile, potrzebuję waszego portalu.

– Nie wiem, musiałbym skonsultować się z prawnikami. No i zależy, co to jest.

– *Merde!* Jestem teraz więcej warta niż cała wasza posrana ze strachu redakcja, z tobą na czele. Słyszałeś coś o Inkwizytorze?

– Masz mnie za durnia?

– Tak, ale nie o to chodzi. Słuchaj uważnie, bo daję ci jeszcze jedną szansę. Jesteś gotowy?

Zaczęła streszczać artykuł. Kiedy skończyła, poczuła się tak, jakby osobiście była zamieszana w tę sprawę, i to po niewłaściwej stronie. Nie dość, że wywołała epidemię, to jeszcze czuła się winna podpaleń. Gdyby nie to narodowe szaleństwo, wokoło nie działałoby się tyle krzywdy. Ona też była częścią tego narodu, czy tego chciała, czy nie. Przełknęła ślinę, jakby była



długo warzoną goryczą. Nie miała wątpliwości, była winna.

Wydarzenia pączkowały w mieście jak grzyby, każde rozdmuchiwane do rozmiaru gigantycznych baniek mydlanych eksplodowały paniką. Już chyba wszyscy zdawali sobie sprawę, że w Marsylii wybuchła wojna, tylko nikt jeszcze nie potrafił zidentyfikować wroga. A w takiej sytuacji nieprzyjaciół jest wszędzie, przybiera najróżniejsze formy, od tych najbardziej spektakularnych, jak islamscy fundamentaliści, po z pozoru zupełnie niewinne: sąsiedzi, których się znało od lat, przypadkowi przechodnie na ulicy, koledzy z pracy. Strach generuje konflikt totalny, walkę wszystkich przeciwko wszystkim.

Wiadomości telewizyjne nie nadały transmitować tego, co się działo, doniesienia zdawały się nie mieć końca, nachodzić na siebie, cofać się i zataczać kręgi niczym rozhisteryzowany tłum. Po tym, jak przedstawiciele władzy przyznali, że w mieście panuje epidemia, teorie spiskowe zaczęły święcić tryumfy. Wachlarz podejrzeń i posądzeń rozpościł się pomiędzy wzgórzami a zatoką niczym potężny gad, który na chwilę zastygł w ziemi, by zaraz się z niej wynurzyć, rozsadzić skorupę ziemską, jakby to była skorupka jajka, uruchomić proces zagłady. W wielkim kotle ludzkich emocji mieszały się tragedia z komizmem, fakty z zupełną fikcją, realizm z abstrakcją.

Mimo to Isabelle nie wyłączała telewizora. Wpatrywała się w ekran jak zahipnotyzowana, doniesienia medialne karmiły ją, połączyły ją ze sobą pępowiną, której nie dawało się zerwać. Ocuł ją dopiero widok postaci w pomarańczowych skafandrach przeciwbiologicznych, które mignęły w jednym z ujęć z okolic szpitala. Na długą chwilę skamieniała, wpatrzona w swoje dłonie prześwitujące zza cienkich niebieskich rękawiczek i odkryte ramiona. Popelniła błąd, którego ustrzegły się służby epidemiologiczne. Należy całkowicie zabezpieczyć się przed kontaktem z innymi ludźmi, odseparować się.

I uciec tam, gdzie jeszcze nie ma wirusa.

Tym razem jej ruchy były płynne i precyzyjne, analiza logiczna i jasna. Spakowała się do jednej średniej walizki i dwóch małych, zmieściła w nich same najpotrzebniejsze rzeczy. Starczą na kilka dni, resztę dokupi gdzie indziej. Jedzenia nie zamierzała zabierać w ogóle, poza podstawowym prowiantem na jeden dzień, na czas dojazdu w zaplanowane miejsce. Trochę słodczy dla dzieci, gdyby zaczęły marudzić. Parę zabawek, które maluchy miały już wybrane i zabezpieczone w tornistrach. Gotówka schowana w kieszeniach spodni, dokumenty w dziecięcej torebce na skarby zawieszona na szyi, zabezpieczone foliowym workiem. Ale nie one były w tej sytuacji najważniejsze, najbardziej należało zadbać o zdrowie. Lub, co nagle zaczęło narzucać się w myślach samo, o życie. Walka toczyła się teraz o życie.

Dzieci ubrała w stroje zakrywające całe ciała, na głowy naciągnęła im czapki, twarze obwiązała chustkami, które tłumili szlochy i utyskiwania. W ciągu jednego dnia zmieniła metody wychowawcze, po raz pierwszy nie dopuszczała do jakiegokolwiek dyskusji. Po raz pierwszy uderzyła syna, ponieważ sprzeciwił się jej woli i wyraził własne zdanie. W tych okolicznościach nie liczyło się nic innego poza podporządkowaniem się regułom prostej dyscypliny, nawet jeśli oznaczało to stosowanie przymusu i przemocy fizycznej. Demokracja jest systemem na czas pokoju, nie wojny. A oni musieli przetrwać.

Wyłonili się z klatki schodowej jak narciarze w drodze na stok, zmuszeni pokonać zacinającą śnieżycę. Słońce zaatakowało ich z osłepiającą siłą, piekąc i podduszając. Kiedy doszli do samochodu, Isabelle czuła wypływające spod chustki zakrywającej głowę strużki potu, które zaczęły najpierw łaskotać skórę, a chwilę później palić. Isabelle wyobraziła sobie przesuwanie się pieszczotliwie z ramion na plecy palce swojego męża, z których przełazi na nią śmiertelna zaraza. Mimo upału przeszły ją lodowate ciarki, ledwo opanowała ręce, które zamierzały przypuścić atak na własny organizm, zdrapać zainfekowaną powłokę.

Wrzuciła walizki do bagażnika, zapakowała dzieci i otworzyła drzwi od strony kierowcy. Cień wdzięczności do Claude'a, że zostawił samochód, szybko przerodził się w kolejną falę odrazy, kiedy spojrzała na fotel. Jego wytarta welurowa powierzchnia aż buzowała życiem drobnoustrojów, Isabelle dokładnie widziała ich potoki i morza zalewające siedzenie, wzbijające się kaskadami na kierownicę i drążek kierunkowskazów, opadające wodospadami na wajchę zmiany biegów i ręcznego hamulca. Skórzana przesiąknięta potem gałka lśniła codziennym brudem, milionami zarasków. Nie miała teraz jednak czasu na dezynfekcję auta, pokonując obrzydzenie i lęk, wsiadła do środka, pozwoliła się pochłonąć bezdennym odmętom.

Przez kilkanaście sekund siedziała bez ruchu, próbując obrać w głowie jakiś sensowny kierunek. Nitka autostrady przesywała jej umysł niczym matematyczna linia bez początku i końca. Dzieci jak gdyby wyczuły jej wahanie, Ivonne zapytała pierwsza:

– Dokąd jedziemy, mamusiu?

Jak najdalej, przysłała jej na myśl pierwsza odpowiedź. Zbyt abstrakcyjna, żeby zadowoliła nawet maleńkie dzieci.

– Brest – szepnęła, bo nie wyobrażała sobie bardziej oddalonego skrawka Francji niż Bretania.

– Gdzie?

– Brest, kochanie, to takie miasto na północy.

– A tatuś nas tam znajdzie?

– Nie wiem, córeczko. Mam nadzieję, że nic nas tam nigdy nie znajdzie – dodała cicho.

Nagłówek na portalu informacyjnym „Le Méditerranéen” krwawił tłustą czerwoną czcionką niczym wół zarzynany zgodnie z koszerным obrządkiem. Metoda żywcem przejęta z bulwarówek sprawdzała się, już same litery sprawiały wstrząsające wrażenie, zanim człowiek wczytał się w treść. Wystarczyło w pośpiechu prześledzić tekst wzrokiem, łapiąc podkreślone fragmenty, aby w kilkanaście sekund zdać sobie sprawę z grozy komunikatu. Głębsza analiza artykułu nie wносиła wiele więcej niż naszkicowana w paru zdaniach teza: Céline Dumerc rozwiązała sprawę, z którą policja męczyła się od tygodnia.

Caroline włączyła dołączony do tekstu film. Płomienie pochodni trzymany przez zamaskowanych mężczyzn odbiły się w oczach nachylonych nad monitorem policjantów pomarańczowymi iskrami. Słowa wypowiedziane przez herszta bandy zabrzmiały w małych głośnikach laptopa niepoważnie, śmiesznie, jak głupi żart. Dopiero przy zbliżeniu kamery na rozpalony stos widzowie wstrzymali oddech. Pierwszy odetchnął komisarz Tigany, z wyraźną ulgą.

– To tylko kupa szmat i papieru!

– Ta kupa szmat i papieru, jak pan twierdzi, to muzułmańskie burki i Koran. Celowa profanacja i nawoływanie do nienawiści rasowej – ponurym tonem wyrecytował Rais.

Na sile przybrała teraz śpiewana przez zakapturzonych mężczyzn *Marsylianka*.

*Słyszycie, jak żołdaków hordy*

*W nieludzkich wrzasków wyją ton,*

*Nie szcędząc waszych cór i żon,*

*W obliczu waszem sieją mordy?*

*Do walki, ludu, stań!*

*Mąż z mężem, z bronią broń,*

*Na bój, na bój –*

*Nieczysta krew*

*Niech wsiąknie w waszą błoń!*

– *Conneries!* Przecież to tylko Ku-Klux-Klan, idiotyczna zabawa gromadki głupków!

– parsknął porucznik Douis wyraźnie rozbawiony.

– *Va te faire foutre!* To są pierdoleni naziści, skurwysyny twojego pokroju, Armand!  
A może sam między nimi stoisz, co?!

Rais pchnął kolegę z zespołu i obaj stanęli naprzeciw siebie w bojowych pozach.

– E, ee! – wrzasnął komisarz. – Spokój mi tu! To wy przede wszystkim jesteście banda idiotów. Sprawdzić mi te rewelacje, i to natychmiast. *Merde!* Komendant nas wywiesi za jaja z najwyższego balkonu.

Wyszedł, trzaskając za sobą drzwiami. Wibracja drżącej szyby podkreśliła jeszcze napięcie panujące w biurze zespołu kapitana Eryana. Porucznicy wciąż mierzyli się wzrokiem, podwładni przypatrywali się im nerwowo w oczekiwaniu na reakcję szefa. Claude stał odwrócony plecami, ze wzrokiem wbitym w bryłę katedry. Cisza przedłużała się, gotowa w każdej chwili wybuchnąć regularną burdą.

– Mnie się to wszystko składa w sensowną całość.

Rais i Armand nawet nie drgnęli.

– No co? – mówił dalej Marcel Avery. – Wszystkie zidentyfikowane ofiary były pochodzenia arabskiego, nie znaleźliśmy innego motywu, o zakapturzonych sprawcach ubranych na biało wspominał ten bezdomny biedak i świadek ostatniego pożaru, starsza kobieta. Dzisiaj mamy sześciu kolejnych smoluchów, wszyscy zginęli w ten sam sposób.

Caroline głośno stuknęła zębami, które ześlizgnęły się z obgryzanego paznokcia.

– Mnie pasuje. Co pan na to, szefie?

Nawet gotowi do walki porucznicy spojrzeli w kierunku okna. Eryan wyglądał, jakby karmił przelatujące za szybą mewy. Zgarbiony, złamany wpół gliniarz na wcześniejszej emeryturze.

– Szefie?

– Tak, jasne. – Kapitan ocknął się ze swojego snu na jawie. Odwrócił się do podwładnych i zmierzył ich zaskoczonym wzrokiem. – Wam jeszcze się chce skakać sobie do gardeł, mało macie roboty? Zbierz, Mucho, do kupy akta smoluchów i skontaktuj się z komórką do spraw zwalczania terroryzmu, to teraz ich działka. Ty, Rais, jedziesz w teren, weź każdego, kto tylko się nadaje do pracy, komisarz dał nam pełnomocnictwa. Trzeba znaleźć tego cholernego psychola z metra.

Ruszył do wyjścia, ale zatrzymał się z dłonią na klamce.

– A ty, Douis, co tak właściwie ciągle robisz w moim wydziale? Już dawno miałeś stąd iść w cholerę.

– Melduję, kapitanie, że jeszcze nie ma wakatów na stanowisku komendanta, więc czekam.

– To jazda w teren.

– Czyli że oficjalnie nie ma już sprawy Inkwizytora? – zapytał Kogut, kiedy kapitan zniknął w swoim gabinecie.

– Inkwizytora nie, ale inkwizycja działa w najlepsze – odpowiedział Duce, a z tonu jego głosu można było wyczytać coś między ironią a tryumfem.

Rais zlekceważył kolejną zaczepkę, odwrócił się i usiadł za swoim biurkiem. Z któregoś komputera ponownie popłynęły słowa *Marsylianki*. Pieśń, która kiedyś była światowym symbolem rewolucji, walki o wolność, stała się narzędziem zniewolenia. Uzmysłował sobie, jak bardzo alegorie mogą być fałszywe i mylące, jak łatwo hasła zmieniają swoją treść i znaczenie. Jeśli czegokolwiek kiedyś był pewien, to teraz zwątpił nawet w niezmiennie fakty. Na przykład w to, że ciągle pozostawał Francuzem.

Hymn Francji zagłuszyły nagle wrzaski rozsierzonego tłumu, które popłynęły z głośników innego komputera. W nagraniu pojawiły się arabskie słowa: „Na bój, na bój!”. Obie

strony konfliktu wykorzystywały tę samą treść, każda w swoim własnym kontekście. Ale zgadzały się w jednym – ruszały do walki.

– Barbarzyńcy schodzą z gór – skomentował któryś aspirant.

Rais zerwał się fotela, gotowy rzucić się na autora tych słów, kiedy do biura wpadł kapitan Eryan.

– Przygotować salę przesłuchań. Właśnie ujęto psychola z metra.

Isabelle wbiła się w sznur aut na autostradzie jak pojedyncza karta wsunięta w pękata talię, zniknęła w nim bez najmniejszego śladu. Jechała do przodu z zadowalającą prędkością, wskazówka szybkościomierza osiągnęła prawie sto kilometrów na godzinę i tylko minimalnie drżała. Ruch zdawał się większy niż zwykle, ale typowy wieczorny tłok jeszcze nie zamienił się w korek. Histeria, która udzieliła się mediom, nie rzucała się w oczy, nic nie odbiegało od normy.

Nakreślona w wyobraźni mapa podróży była prosta i składała się z jednej długiej pomarańczowej linii oznaczonej symbolem A7, która miała zawieść Isabelle do miejsca docelowego w ciągu niespełna dwunastu godzin. Powinna dotrzeć na miejsce wcześniej rano, jeśli uda jej się jechać jednym ciągiem. Kilka przerw na toaletę, kawę i rozprostowanie kości załatwi sprawę, dzieci jakoś to wytrzymają. Ona też da sobie radę, a w razie czego staną gdzieś na krótki nocleg. Poza nazwą miejscowości, do której zmierzała, cała reszta była płynna i zmienna, otwarta, jakby cały świat stał przed nią otworem. Koszmar za chwilę miał minąć.

Po dwudziestu minutach dotarła do potężnego rozjazdu dróg na wysokości La Caillole, gdzie wstęga autostrady darła się na pojedyncze nitki. Ruch niespodziewanie zwolnił, niemal się zatrzymał. Musiała gwałtownie zahamować, by nie uderzyć w tył jadącego przed nią fiata, który krzykliwie ostrzegał ją czerwonymi ślepiami przed nieokreślonym zagrożeniem. Wypadek? Rozejrzała się wokoło, reakcje kierowców sąsiednich aut były podobne. Wzruszano ramionami, wykrzywiano twarze w niemych pytaniach, rozbrzmiały wściekle sygnały klaksonów, ktoś wyjrzał przez okno i krzychał w przestrzeń, ale jego słowa ginęły wsysane przez warkot silników i lepkie, nagrzane słońcem i spalinami powietrze.

– Co się stało, mamusiu, czemu stoimy? – zapytała Ivonne, a w tonie jej głosu można było wyczuć wibrację płaczu.

– Nic, kochanie, zaraz ruszymy dalej. To pewnie korek.

Sama nie bardzo wierzyła w swoje słowa, z niepokojem wyciągała szyję nad kierownicą, próbując dostrzec coś w rzędach stojących przed nią samochodów. Ale perspektywa rozmazywała się jak w obrazie fowisty, pełna pofałdowanych kształtów i przypadkowych kolorów. Oleiste powietrze przeciekało do środka. Isabelle podkreśliła klimatyzację, z niepokojem zerkając na wskaźnik stanu paliwa. Planowała zatankować za miastem, ale teraz zaczęła się martwić. Miała zapas na prawie sto kilometrów, nie wiadomo jednak, jak długo będą stać w korku. Wzywanie pomocy drogowej w tych warunkach byłoby ukoronowaniem złego snu, z którego nie mogła się obudzić.

Włączyła radio. Spikerka grobowym tonem komentowała wypowiedź prefekta, która musiała być na tyle wstrząsająca, że co chwila załamywał jej się głos. Isabelle wychwytywała z enigmatycznego komentarza co drugie słowo, więc trudno było jej zrozumieć sens, tym bardziej że wokoło roztrąbiły się samochody, kakofonia klaksonów zmieniła się w jeden, ciągły sygnał o różnej częstotliwości. Ivonne znowu zaczęła płakać, a Bruno skarżył się na ból głowy.

– Cicho, dzieci, nic nie słyszę, a w radiu mówią coś ważnego! Cisza!

Lamenty urwały się jak w wyłączonym odbiorniku, a z głośników popłynął monotony, niski głos prefekta departamentu Deltę Rodanu, powtórka wcześniejszego komunikatu. Widocznie wszyscy słuchali transmisji radiowej, bo na chwilę zamilkło też wycie klaksonów. Isabelle odnosiła wrażenie, że znalazła się nagle na pogrzebie, a przemówienie dotyczy tragicznie

zmarłego kawałka kraju. Marsylia poległa, a teraz wygłaszano mowę nad jej grobem. Za chwilę przysypią jej trumnę ziemią, pogrzebią.

Niewiele zapamiętała ze słów prefekta: przed paroma minutami ogłoszono stan wyjątkowy, a mieszkańcy otrzymali zakaz opuszczania miasta. Było też coś o epidemii, walkach ulicznych i zagrożeniu bezpieczeństwa narodowego. Wyrazy współczucia i żalu, prośba o wyrozumiałość i siłę. Siłę, która ulatniała się z Isabelle niczym powietrze z przekłutego balonu. Nieświadomie uderzyła w kierownicę dłońmi, zaszlochała. Sąsiednie auta zaczęły na nią napierać, piętrzyć się, najeżdżać na maskę i taranować, upalne powietrze przygniotło ją niczym morskie głębiny tonami nieprzebytych warstw skoncentrowanych cząstek. Coś przebijało się przez świst ciśnienia w uszach, jakiś odległy, znajomy dźwięk.

– Mamo, ja się źle czuję! – dotarł do niej głos Brunona.

Przestawiła klimatyzację na max, chciwie wchłaniała strumienie lodowatego powietrza, z którymi wracała jej świadomość. Nie tylko ona wpadła w histerię, kobieta z sąsiedniego renault rozwarła usta w przeciągłym wyciu, co chwila szarpiąc kierownicę, mężczyzna stojący za nią schował głowę w zgiętych ramionach i zmarł.

– Wiem, małpko, zaraz coś zjemy. Musimy jeszcze chwilę poczekać. Chcecie sobie pośpiewać jakąś piosenkę?

– Mamo, popatrz na tego pana! – Ivonne wskazała paluszkami kierowcę ciężarówki z prawego pasa, który wyszedł z kabiny i krzyczał coś, stojąc na najwyższym schodku.

Isabelle śladem kilku innych osób opuściła szybę. Do wnętrza wpadły smród spalin, ryk klaksonów i urywane słowa mężczyzny.

– Czołgi, tam stoją czołgi!

Ludzie po kolei wychodzili z aut i patrzyli do przodu między rzędami samochodów. Isabelle też wyszła, zbliżyła się do stojącego przed nią kierowcy fiata.

– O tam – wskazał palcem mężczyzna. – Widzi pani?

Isabelle wyciągnęła szyję, przykładając dłoń do czoła w ochronie przed słońcem, stanęła na palcach. Z płynnego powietrza wyłoniły się jakieś obłe kształty. Brunatne ludzkie kontury.

– Żołnierze – szepnął mężczyzna, odwracając do niej zalęknioną twarz.

Cofnęła się i wsiadła do auta. W radiu wciąż słychać było grobowy ton reporterki, przerywany pełnymi powagi i hamowanych emocji wypowiedziami jakichś ważnych ludzi, których nie знаła. Pomyślała o mężu, który próbował zmusić ją do wyjazdu dawno temu, a ona wahała się, powodowana złością na niego i przekorą. Jej głupia, małostkowa babska zadziorność zamknęła jej teraz drogę ucieczki. Oczy zaszklily się jej łzami bezsilności, ale gdzieś w głębi rósł pusty, szydery śmiech z samej siebie.

Do samochodu zbliżył się żołnierz, zapukał w szybę. Młoda, szczupła twarz w łupinie wielkiego hełmu zdawała się karykaturalnie mała. Jego kolega nachylił się nad tylną szybą i zaglądał do środka.

– Uprzejmie przepraszamy, ale nie wolno opuszczać miasta. Właśnie zmieniamy kierunek ruchu, już wkrótce będzie można nawrócić i jechać do domu. Mieszka pani w Marsylii?

Kiwnęła głową. Uświadomiła sobie, że mężczyzna na jej widok wyszczerzył zęby i przyjął postawę barowego podrywacza. Zrobiło jej się niedobrze.

– Temu dziecku coś jest! – dobiegł z tyłu podniesiony głos drugiego żołnierza.

Otworzył drzwi, by przyjrzeć się bliżej. Isabelle odwróciła się i spojrzała na tylne siedzenie. Najpierw zderzyła się ze spanikowanym wzrokiem szeregowego, który cofnął się, jakby natrafił na odbezpieczoną minę. Dopiero wtedy przypatrzyła się swojemu synowi.

Na całej twarzy miał czerwoną wysypkę.

– A co z Rosjanami?

Pytanie komisarza zabrzmiało w wygłuszonym pomieszczeniu za lustrem weneckim jak wypowiedziany na głos fragment jakiegoś dłuższego monologu, nieudany żart.

– Nic – z ociąganiem odpowiedział kapitan, któremu nie chciało się toczyć więcej debat nad tą historią. – Nigdy nie było żadnych Rosjan.

– I pomyśleć, że Cipa zdążył nam już sprzedać typa z dziarą na ryju. Pewnie teraz siedziałby w areszcie. Za nic.

Claude zdziwiony przyjrzał się zwierzchnikowi przez zmrużone powieki. Dawno nie słyszał w jego głosie takiej melancholii. Zrobiło mu się nagle szkoda zbójów? Nawet jeśli któryś nie był winny w tej sprawie, z pewnością miał coś innego na sumieniu. Równowaga między dobrem a złem nie zostałaby przez to zmałowana. Jeszcze chwila, a zaczną uważać się nad rozbitym pyskiem i połamanymi żebrami Cipy. Zamiast tego Fabio Montale pokazał na ekranie telefonu zdjęcie falangi rozszalałych neonazistów, z których kilku rzucało w stronę niewidocznych obiektów butelki z benzyną. Prychnął pod nosem i pokręcił głową.

– Atakują wojsko, które zabroniło im dostępu do dzielnic muzułmańskich. Słyszałeś przywódców? Chcą puścić wszystkich z dymem.

– Swoją drogą ciekawe, jak służby zwalczające terroryzm zwalczą faszystów, skoro sami są faszystami. Swój swego?

– To jakby rzucić butelkę z benzyną i próbować ją ugasić następną!

Uśmiechnęli się po usłyszeniu tego żartu, obaj tak samo kwaśno, z zaciśniętymi zębami. Do sali przesłuchań wprowadzono aresztowanego mężczyznę. Ze względów bezpieczeństwa eskortowali go policjanci w skafandrach przeciwbiologicznych, a część budynku, gdzie przetrzymywano podejrzanego, została zamknięta i zabezpieczona ścianką z pleksiglasu. Nikt nie miał prawa wstępu do pokoju. Paradoksalnie człowiek, którego ujęto przed kilkoma godzinami, wyglądał na zdrowego. Claude ukradkiem spojrzął na swoje dłonie. To, że nie znajdował na nich śladu infekcji, jeszcze o niczym nie świadczyło. Czuł się tak chory, jakby miał w każdej chwili umrzeć.

Thierry Guetta, psycholog wyspecjalizowany w kontaktach z przestępcami, rozpoczął przesłuchanie standardową formułką. Po potwierdzeniu głównych faktów zadał pierwsze pytanie:

– Panie Dropsy, czy potwierdza pan wcześniejsze oświadczenie, że zaraził pan wielu ludzi?

Mężczyzna poprawił na nosie poślacane okulary i potakująco skinął głową. Zebrani w pomieszczeniu za lustrem weneckim przedstawiciele służb popatrzyli na siebie, Wesz Benzema zatarł z zadowoleniem ręce. Przesłuchiwany bezdźwięcznie poruszył ustami.

– Proszę zbliżyć usta do mikrofonu, niczego nie usłyszeliśmy.

– Zaraziłem wielu ludzi wiarą w życie wieczne. I lękiem przed piekłem.

Major wojska rzucił komisarzowi wściekle spojrzenie.

– Ten człowiek robi sobie z nas jaja!

Psycholog uciszył go gestem dłoni, zbliżył usta do mikrofonu.

– Czy celowo zarażał pan ludzi śmiertelnym wirusem?

Mężczyzna nie odpowiedział, nieruchoma twarz księgowego kontemplującego w skupieniu tabelki Excela nawet nie drgnęła.

– Czy pana działania miały wywołać społeczną panikę i strach?

– Tak. Wzbudzam strach gniewem bożym. Przed apokalipsą.

– A jak ta apokalipsa miałyby według pana wyglądać?

– Jak? – Mężczyzna zdjął okulary i popatrzył w obiektyw kamery wodnistym wzrokiem krótkowidza. – Ona już nastąpiła, wystarczy się przejść ulicami miasta.

– Czyli przyznaje pan, że próbował pan wzbudzić niepokoje społeczne.

– Ja? To szatan przez lata siał ziarno zła, a teraz zbiera plony. Ja głoszę tylko słowo boże, ostrzegam przed najgorszym.

– *Merde!* Przecież to jest jakiś kolejny kretyn! – Wesz zerwał się z krzesła i przycisnął dłonie do skroni. – Skąd wyście go wzięli, szukacie ich w domach wariatów?!

Wszystkie spojrzenia skupiły się na komisarzu, który z kolei utkwiał wzrok w swoim podwładnym. Kapitan otworzył leżącą przed sobą teczkę na dowód, że nie przyszedł z pustymi rękami.

– W tej chwili badamy podejrzanego pod kątem zarażenia śmiertelnościami wirusem, sprawdzamy jego tożsamość, background i powiązania. Pierwsze tropy prowadzą do sekty o nazwie „Przyszłość”, która stanowi odłam „Wiecznego Życia”, organizacji fundamentalistów chrześcijańskich wieszczących rychły upadek cywilizacji europejskiej. Kilka lat temu jeden z jej członków próbował wysadzić w powietrze klinikę aborcyjną.

– Pamiętam! – Wesz Benzema klasnął w dłonie z sarkastycznym uśmiechem. – Za szybko zaproszył ogień i z oderwanej rury gazowej uzyskał olimpijski płomień zamiast wybuchu. Też mi terroryści!

– Ze wstępnej analizy dokumentacji otrzymanej z sekcji monitorującej sekty religijne wynika, że „Wieczne Życie” od dawna przygotowywało jakąś dużą akcję, a przez lata byłoby w stanie odpowiednio udoskonalić metody działania...

– I doprowadzić z wojskowego ośrodka badawczego wirus, o którego istnieniu wiedziało zaledwie kilka osób w całym cholernym kraju!

W pomieszczeniu zapanowała cisza. Przedstawiciel sztabu niechcący złamał tajemnicę, do której dostępu nie mieli średniej rangi policjanci uczestniczący w dochodzeniu. Major odchrząknął i wstał z krzesła.

– Testowanych próbek nie da się wynieść, ale dokładny skład chemiczny badanych związków dostępny jest na serwerach. A notujemy co najmniej jedną próbę włamania w miesiącu. Być może któraś była udana.

Claude zamknął teczkę i odłożył ją na stolik przed sobą. Przesłuchiwany założył okulary i zaczął przyglądać się oszklonej ścianie z wyraźnym zainteresowaniem, jakby odgadł, że mowa jest o ściśle strzeżonych tajemnicach państwowych. I zastanawiał się, czy śledczy wpadli już na właściwy trop.

Major podszedł do wyjścia i zatrzymał się w drzwiach.

– Proszę kontynuować postępowanie z podejrzanym. Jeśli do północy nie uzyskacie zadowalających efektów, wojsko przejmie tego człowieka i całą sprawę. Proszę mnie informować na bieżąco. Do widzenia.

Wyszedł, a Wesz Benzema ruszył pospiesznie w ślad za nim.

– Macie czas do północy, komisarzu! – rzucił w progu, zamykając za sobą drzwi.

Nigdy wcześniej nie zdarzało mu się tak wolno wchodzić po schodach do mieszkania. Mimo że nie powinien marnować nawet minuty, a spędzając godzinę na kolacji z matką, kradł czas przeznaczony na służenie społeczeństwu. Raisa dręczyły z tego powodu najprawdziwsze wyrzuty sumienia, bo ciągle odczuwał imperatyw służby. Nie był tylko pewien komu. Pogubił się.

Schodek za schodkiem, krok za krokiem wspinał się na trzecie piętro z takim móżdżkiem, jakby przedtem pokonał już jakąś niebotyczną wysokość, a na szczycie czekały go tortury. W pewnym sensie tak było, każda chwila spędzana z matką wydawała się w ostatnich dniach męką. Wspomnienie lat, gdy wbiegał na górę uskrzydłony szczęściem powrotu do bliskich, wywoływało teraz uśmiech niedowierzania. Rais przegapił właściwy moment na wyprowadzkę z domu, kiedy nie byłoby to jeszcze uznane za dezercję. Teraz nawet nie powinien rozważać tej

opcji, nie w zaistniałych okolicznościach.

Nie mylił się, domowa atmosfera runęła na niego przez otwarte drzwi niczym woda przez pękniętą tamę, odbierając mu oddech i swobodę ruchów. Kuchnia czekała już na jego przybycie, witała go znajomymi zapachami egzotycznych przypraw i smażonego mięsa. Duch matki krzątał się cicho przy garnkach, niknął w oparach strawy, pojawiał się przy stole smętny i szarobury, doskonale ucieleśnienie widm z hollywoodzkich horrorów.

On jadł, ona przygotowywała jedzenie. Podział obowiązków domowych był jasny i precyzyjny, praktycznie nienaruszalny. Był fundamentem tego domu, ich miniaturowej rodziny, filarem wzajemnych relacji, treścią bytu. Matka nie miała niczego innego poza synem, synowi niczego innego mieć nie było wolno. Przywiązani do siebie jak nabrzeże i statek cumą skomplikowanych uczuć i przyzwyczajień. Bez nich Rais odpłynąłby w nieznanne. Bez latarni morskiej nie odnalazłby drogi powrotnej.

Jadł niewielkimi kęsami, a i tak jedzenie pęczniało mu w ustach. Kątem oka bez ustanku obserwował matkę, która przycupnęła na rożku krzesła, opierała się łokciami o brzeg stołu. W każdej chwili mogła zacząć płakać, jak ostatnio miała w zwyczaju, przez co potrawa ożywała mu w żołądku kłębowiskiem pijawek wysysających go całego od środka. Dlatego się spieszył. Zdażył, ostatni kawałek mięsa przełknął z westchnieniem ulgi. Mimo zjedzonego posiłku poczuł się nieco lżejszy, z obowiązku zaczął opowiadać anegdotkę z komendy. Wtedy zadzwonił telefon, rozsypując kruchą równowagę. Na blat stołu kapnęła matczyzna łza, a Rais poczuł w żołądku jej gorzki, palący smak.

– Natychmiast opuść mieszkanie – usłyszał w słuchawce nieznany głos.

Odsunął telefon i jeszcze raz spojrzął na wyświetlany numer.

– Słucham? Kto mówi?

– Przyjaciel. Nie ma czasu, Rais, zbieraj się i uciekaj, oni zaraz u ciebie będą.

– Co, jacy oni? Jaja sobie ze mnie robisz, *connard*? *Dégage*!

Rozłączył się i odłożył telefon. Napotkał ostry wzrok matki, w jej oczach wyschły łzy, a źrenice szklily się niemą naganą. Przeprosił, ale nie potrafił znieść tego spojrzenia. Żachnął się i wstał od stołu, przeszedł do salonu, z precyzją mierząc każdy krok. Kontrolował się, żeby nie uciec. Może facet miał rację, musi zwiewać, póki czas? Matka szantażowała go emocjonalnie, a on nie powinien sobie na to pozwolić, miał już przecież powyżej trzydziestki. I poprzekłuwane setkami szpilek serce strachliwego zająca.

Okrążył stół i ponownie zerknął na wyświetlacz. Rozmowa była tak absurdalna, że poczuł wątpliwości. Bo niby kto i dlaczego miałby sobie urządzać kpiny? Na całej liście osób, które miały jego telefon, nikogo takiego nie znalazł. Jeszcze raz sprawdził nieznany numer, nie potrafił jednak niczego z tych cyferek odczytać. Podeszedł do okna i wyjrzał przez szybę, rutynowo chowając się za zasłoną. Zrobił to dokładnie w chwili, gdy na jezdni zatrzymała się granatowa honda. Wyszło z niej dwóch mężczyzn, niespiesznym krokiem podeszli do wejścia do kamienicy.

Rais zadziałał jak na treningu, wielkimi susami ruszył w kierunku drzwi.

– Nie odpowiadaj na domofon, zamknij drzwi i nikomu nie otwieraj! – krzyknął, w biegu chwytając kurtkę.

Wypadł na klatkę schodową i automatycznie zaczął wspinać się w górę. Nawet jeśli ścigający go mężczyźni nie dostaliby się do środka, odcieśli mu drogę ucieczki przez parter. Nie miał innego wyjścia, jak spróbować przedostać się na dach, a stamtąd do któregoś z pobliskich budynków. Tym bardziej że w młodości nieraz ćwiczył takie manewry, znał dachy i strychy wszystkich sąsiednich kamienic. Jeśli nic się nie zmieniło przez ostatnie piętnaście lat, bez trudu zdoła wydostać się z pułapki.

Poddasze zaatakowało go stadem gołębi i rojem drobinek kurzu poszatkowanych



strunami światła. Linki, na których niegdyś suszyło się pranie, zwiślały nisko pochylone do ziemi, ospale kołysały się w niewyczuwalnym przewiewie. Śmierdziało ptasimi odchodami i słodkawą nutą wysuszonej padliny. Okno na podwórze, przez które zazwyczaj wychodził z domu lub do niego wracał, dało się łatwo otworzyć. Rais podciągnął się i delikatnie wskoczył na framugę. Przyłgął do dachówki, która przy każdym kroku wydawała głuchy stukot obluzowanych kafelków. Ostrożnie, ale wciąż sprawnie przczołgał się do szczytu, gdzie jego kamienica łączyła się z sąsiednią. Różnica w wysokości była niewielka, przeszedł przez gzyms i kontynuował ucieczkę. Na chwilę zatrzymał się przy kominie i obejrzał do tyłu, czy nikt go nie śledzi. Nikogo nie zauważył, a nie było jeszcze tak ciemno, by chować się w cieniu. Dla pewności postanowił wejść do następnego budynku, więc do pokonania zostało mu jeszcze dwadzieścia metrów. Tym razem dach był niższy i musiał się opuścić na rękach, zahaczywszy palcami o krawędź gzymsu.

Poślizgnął się. W ułamku sekundy wyobraził sobie upadek z czwartego piętra, dwusekundowy lot, po którym zostałby zredukowany do worka pogruchotanych kości, upuszczonej bezładnie kukły z nienaturalnie wykrzywionymi kończynami i przekręconą głową. Jedynym ratunkiem byłoby uchwycenie się pamiętającej drugą wojnę światową rynny, ledwo wytrzymującej opór deszczu, która pod jego prawie stu kilogramami porwałaby się niczym zwierzka guma.

Upadł na łokcie. Jedna z dachówek pękła, wzbijając miedziany pył. Łokieć zapadł się w pustkę, ciało Raisa zakotwiczyło na zabytkowej konstrukcji. Serce wzniosło się ponad klatkę piersiową i histerycznie zatrzepotało, zanim wróciło do gniazda. Oddech wciąż ledwo nadążał za tętnem, ale nie było czasu na odpoczynek. Dźwignął się i ruszył dalej. Pierwsze okno było solidnie zamknięte, drugie udało mu się otworzyć silnym kopniakiem, od którego pękła na pół szyba. Nie wypadła.

Strych nie różnił się niczym od tego w rodzinnej kamienicy, zdawał się tylko ciemniejszy. Rais na pamięć wyszukał wejście na klatkę schodową, na szczęście nie było zamknięte na klucz. Przystanął na półpiętrze i wyjrzał na zewnątrz, auto wciąż stało na ulicy. Z tej odległości dostrzegł jedynie tył hondy, nie potrafił rozszyfrować numerów rejestracyjnych. Postanowił zakraść się bliżej po wyjściu z kamienicy, sprawdzić wóz w policyjnej bazie. Nawet nie było sensu wzywać patrolu, policja miała teraz co innego na głowie.

Zbiegł, pokonując po trzy stopnie naraz. Z budynku wychodziło akurat starsze małżeństwo, które znał z widzenia. W odpowiedzi na zdumione spojrzenia ukłonił się grzecznie. Przepuścił oboje w drzwiach, korzystając z kamuflażu ich lilipucich ciał, ogarnął wzrokiem prawą stronę ulicy.

Siedzący na masce silnika mężczyźni akurat kończyli palić papierosy. Zsynchronizowanym gestem upuścili pety na jezdnię i przydeptali je obcasami. Zadarli głowy w górę, wzruszyli ramionami, porozumiewając się wzrokiem. Z rezygnacją wsiedli do auta, spokojnie odjechali w przeciwnym kierunku. Źle ubrani Beurowie w średnim wieku, jeden z wąsem, drugi z obwisłym brzuchem. Rais spisał numer rejestracyjny i znów rozejrzał się po okolicy. Ktoś go ostrzegł, co oznaczało, że był ciągle obserwowany. Al-Bandżabi? A w takim razie od kogo byli ci dwaj? Czego chcieli?

Wbiegł po schodach do swojego mieszkania, matka czekała na niego w progu.

– Rozmawiałaś z nimi?

– Tak. – Głos starszej kobiety był oschły, chłodny jak dotyk żelaznej klamki.

– Tak, i co, kim byli?

– Nie wiem, nie przedstawili się.

– Nie zapytałaś? Czego chcieli?

– Rais, ja się boję.

Drżący głos matki sparaliżował go.

– Mamo, czego oni chcieli, powiesz mi wreszcie czy nie?! Grozili ci?

– Nie, nie, nic nie powiedzieli.

Brak informacji jest najgorszą informacją ze wszystkich. Rais w dalszym ciągu nie miał pojęcia, co się dzieje, jaka toczy się wokół niego gra.

– Ja się boję o ciebie, synku. Zanim twój ojciec miał wypadek, było tak samo.

– Wyciągnęła w jego kierunku ramiona zakończone żylastymi, szponiastymi dłońmi. – Tak samo trzęsły mi się wtedy ręce.

W oczach kobiety dostrzegł czarny wir błagania i lęku. Cofnął się, nie potrafił ująć tych dłoni w swoje. Zamknęłaby go w klatce matczynego uścisku, przekręciła kościstymi palcami kluczyk w sercu. Klatkę postawiłaby na reprezentacyjnej komodzie i więcej nie zdjęła. Nigdy nie wypuściłaby go na wolność.

Cofnął się, kręcąc niemo głową. Nie mógł jej na to pozwolić, miał do wykonania zadanie.

– Słucham!

Claude odebrał połączenie automatycznie, nie sprawdzając numeru. Spodziewał się kolejnej służbowej rozmowy z serii tych, które przeprowadził w ciągu ostatnich godzin. Oschłych, pełnych pretensji i źle skrywanej krytyki efektów pracy jego zespołu. Nie dziwił się, że oczekiwano od niego cudów, do tego zdołał się przyzwyczaić. Trudno mu było jednak przyjąć do wiadomości, że ktoś w te cuda naprawdę wierzył.

Głos żony zaskoczył go podwójnie: Claude stracił już nadzieję, że Isabelle wreszcie do niego zadzwoni, a poza tym nigdy dotąd nie zachowywała się tak histerycznie. Ledwo wypowiadała słowa, a przerywane kaskadami szlochów zdania nie układały się w żadną treść. Ze słuchawki wionęło przerażeniem, które zmroziło mu ucho, pętając głowę pajęczyną lodowych nitek. Nagle rozmowa została przerwana. Komórka Isabelle umarła, jakby dopadła ją ta sama fala arktycznego zniszczenia. Być może żona całkiem zamieniła się w lód. Próbował oddzwonić kilka razy, z tym samym skutkiem: „Abonent znajduje się poza zasięgiem lub ma wyłączony telefon. Spróbuj później...”.

– *Merde!* – wrzasnął, wściekle waląc pięścią w stół.

Stosy teczek zadrżały, najwyższy zachwiał się i rozsypał lawiną płaskich tekturowych kamieni. Młodszy funkcjonariusze siedzący przy stole asekuracyjnie wstali z miejsc, gdyby kolejne uderzenie miało ich trafić rykoszetem. Nawet żółtodzioby znały legendę o Thorze i jego magicznym młocie, dla którego żadne skupienie materii nie stanowiło przeszkody. Potrafił każdą rzecz przemienić w ruinę.

Eryan zmierzył spojrzeniem zebranych w biurze podwładnych, jakby wybierał cel ataku. Jedynie Armand wytrzymał wyzwanie, ale i on zwiesił głowę po trzech sekundach.

– Gdzie Rais?

Odpowiedziała mu ciężka cisza, dopiero po przedłużającej się chwili przerwana kobiecym chrząknięciem.

– Pojechał do domu na kolację, ale powinien już wrócić, obiecał być niedługo – wydukała Caroline, przemykając wzrokiem gdzieś obok potężnej sylwetki kapitana.

– Zadzwoń do niego, niech się pospieszy. Dopóki nie wróci, ty przejmujesz interes. Armandzie, przez jakiś czas mnie nie będzie. Tylko żeby mi tu nie wisiła swastyka, jak wrócę, jasne?!

Duce skrzyżował ramiona na piersi w obronnym geście, ale kiwnął głową.

W pomieszczeniu nie rozległ się nawet szmer śmiechu.

– I dzwonić tylko w ostateczności, będę w Mordorze.

I ten dowcip pozostał bez echa. Czarny humor kapitana szybko przeradzał się w czarną

rozpacz, jeśli ktoś nie uszanował wagi sytuacji. A nikt nie mógł mieć w tej chwili wątpliwości, że sytuacja była wyjątkowo trudna. Wieści musiały być złe albo i jeszcze gorsze.

Claude wpadł do gabinetu po kurtkę, pobiegł do windy. Jak tylko włączył się do ruchu, uruchomił w radiowozie koguta i sygnał. Znał najświeższe komunikaty i zdawał sobie sprawę, że przejazd przez całe miasto w korkach, które powstały w wyniku stanu wyjątkowego, był praktycznie niemożliwy. Marsylia znieruchomiała, jakby to samo przerażenie, które słyszał w słuchawce smartfona, zatrzymało czas swoim lodowym oddechem. Poruszał się skokami, kicał między rozstępującymi się samochodami, których wściekli kierowcy odwracali głowy, kiedy spotykali się wzrokiem z szaleństwem bijącym z oczu Eryana. Z trudem dostał się na autostradę, wpadł na pas techniczny podzielony patrolami mundurowymi na równe etapy, jak w wyścigu, którego stawką mogło być życie. A on zamierzał ten wyścig wygrać.

Trudniej było z wojskowymi pojazdami opancerzonymi blokującymi przejazd niczym kanciaste głązy, tak samo trudne do ruszenia, jak tępe. Żołnierze wpatrywali się w jego legitymację służbową bez cienia inteligencji. Maszyny o fizjonomii człowieka. Impuls zrozumienia musiał wędrować w ich zwojach mózgowych jakimiś określonymi ścieżkami, bo docierał do ust po czasie odpowiadającym nauce psa jednej komendy. Claude przez to więcej stał, niż jechał, nie wybuchał tylko dlatego, że masę krytyczną furii zastąpiła przytłaczająca rozpacz. Na ostatnim punkcie kontrolnym gotów był błagać starszego sierżanta na klęczkach, bić czołem w stygnący asfalt. Na parkingu przed opuszczonym biurowcem zamienionym w miejsce kwarantanny zaparkował z piskiem opon, wybiegł z radiowozu, nie zamykając drzwi.

Tym razem legitymacja służbowa na nic się nie zdała, wartownicy bez słowa wycelowali w niego lufy regulaminowych FAMAS-ów, absurdalnie cienkie i krótkie w stosunku do masywnego korpusu, przez co przypominały napełnione smołą gigantyczne strzykawki. Jeden z nich wskazał brodą sztab zaimprovizowany w metalowych barakach. Dyżurujący kapitan kazałby czekać na audiencję pół nocy, gdyby Claude nie wdarł się do gabinetu siłą.

– Wezwałem strażników! – zapiszczał młodzieńcy rekrut z białym meszkiem na twarzy, pełniący rolę sekretarki.

Oficer podniósł się, ale prawie natychmiast opadł na fotel, jakby brakowało mu sił. Głośno westchnął i odprawił podwładnego machnięciem ręki. Z grymasu na twarzy wynikało, że ma ochotę opluć intruza, tylko brakuje mu w ustach śliny.

– Jakbyśmy jeszcze, cholera jasna, mało mieli tutaj problemów – warknął. – Czego pan chce?

– Przetrzymujecie moją żonę z dziećmi. Bezpodstawnie, jak się domyślam!

– Bezpodstawnie? – powtórzył major z rozbawioną miną. – Z księżycą pan spadł?

Przecież mamy tu epidemię.

Claude położył przed nim swoją legitymację.

– Claude Eryan, marsylska komenda policji. Prowadzę dochodzenie w sprawie źródeł tej epidemii, więc coś niecoś wiem na ten temat. Dla dobra prowadzonego śledztwa muszę mieć dostęp do tego obiektu.

Major nawet nie spojrział na zaprezentowany dokument.

– Czyjego dobra, detektywie? Już zarażonych czy broniących się przed zarażeniem? A tak swoją drogą, to kiedy ostatni raz miał pan kontakt z rodziną?

Powieki oficera zamieniły się w szparki, patrzył podejrzliwie. Claude czuł, jak zalewa go pot. W jednej chwili zdał sobie sprawę z własnej głupoty. Mogli go ująć i również zamknąć w ośrodku, a wtedy straciliby szansę nie tylko, by pomóc najbliższemu, ale w ogóle by podjąć jakiegokolwiek działania. Stałby się żukiem przypiętym szpilką do ściany, mógłby tylko majtać beładnie kończynami. Zwiesił głowę.

– Żyjemy od roku w separacji, nie widziałem się z nimi od tygodni. Wie pan, jak to jest, robota w policji pożarła cały nasz związek. Zdziwiłem się, że w ogóle do mnie zadzwoniła, zaczęła się już spotykać z gachem. Nawet bym na sukę nie naszczał, gdyby nie dzieci. Bądź pan człowiekiem, chciałbym je zobaczyć chociażby z daleka...

Nawet opancerzone serce żołnierza mięknie w obliczu krzywdy mężczyzny, zwłaszcza gliniarza wielkiego jak dąb o złamanej koronie. Major głęboko westchnął i wyciągnął spod biurka szufladę z klawiaturą.

– Jak to było, Er-yan? Mamy tu taką, Isabelle Eryan plus dwójka dzieci, Ivonne i Bruno. Chłopiec z podejrzeniem infekcji. Bardzo mi przykro.

Nie tylko korona, ale i pień dębu pękł teraz z głuchym trzaskiem. Claude cofnął się i oparł plecami o ścianę. Ciasny gabinet kapitana zaczął wirować, jakby kołował do lotu w nieznane.

– Może pan ich zobaczyć, ale tylko przez pięć minut. Przez szybę. I proszę mi nie wariować, i tak robię dla pana wyjątek. Jeden głupi wybryk i wyląduje pan w pace, zrozumiano?

Wezwani strażnicy eskortowali policjanta na tyły biurowca. Odpowiedni komunikat przekazali obsłudze budynku przez krótkofalówki. Isabelle z dziećmi pojawiła się w przeszklonej werandzie po paru minutach. Cała trójka rzuciła się na szybę z płaczem, Claude podbiegł do nich, zanim zareagowali strażnicy. Objął ich, przytulił, w wyobraźni chłodna tafla szkła zamieniła się w bańkę mydlaną o elastycznej powierzchni, która zamknęła ich w środku. W swoich wielkich dłoniach zmieścił najpierw małe dłonie dzieci, następnie splótł się z delikatnymi palcami żony. Nic ich już nie obchodziło, że kontakt fizyczny groził infekcją. Claude, gdyby mógł, wycalałoby wysypkę na twarzy syna. Isabelle przestała się brzydzić i bać, dotknęła go, nie zważając na szybę i silikonową powłokę rękawic, jak robiła to dawniej, jak uwielbiała robić. Pocałunku nie zatrzymała przezroczysta przeszkoda, dokładnie poczuli swoją wilgoć i żar, przez chwilę byli w sobie.

Żołnierze próbowali go odciągnąć od szyby, ale stracił ich z siebie jednym szarpnięciem ramion. Za plecami usłyszał klang odbezpieczanej broni.

– Dwa metry do tyłu albo zaczniemy strzelać!

Wykonał polecenie tylko dlatego, że ujrzał przerażenie na twarzy żony. Dzieci wybuchnęły jeszcze głośniejszym płaczem. Słyszał tylko echo ich głosu, jakby próbowali się z nim skontaktować z zaświatów. Nie mógł ich tam zostawić, za wszelką cenę musiał im pomóc. Nie dopuszczał do siebie możliwości choroby syna, nie mógł go przecież zarazić. Nikt nie mógł.

– Mam pieniądze – zakomunikował, nie przestając wpatrywać się w żonę.

– Słucham? – Jeden z żołnierzy poprawił na ramieniu karabin.

– Mam na koncie pieniądze, dużo pieniędzy. Pół miliona euro, po dwieście pięćdziesiąt tysięcy na głowę. Wypuście ich, a dostaniecie je jutro rano. Nikt nie zobaczy, wytłumaczycie się moim niespodziewanym atakiem, jesteśmy tutaj tylko we trójkę...

Claude usłyszał za plecami chrzęst żwiru pod zbliżającymi się butami i poczuł paralizujące uderzenie kolby karabinu. Upadł na kolana, a razem z nim na podłogę rzuciła się żona. Klęczeli z wyciągniętymi ku sobie rękami. Tak samo jak kilka lat temu, gdy obiecywali sobie wieczne uczucie.

Obraz rozmazał się i znikł zassany przez ciemność. Claude stracił przytomność.

Obudził ją pocałunek. Otworzyła oczy powoli, stopniowo wylaniając się z otulającego ją ciepła snu. Pięknego – przyśniła jej się przyszłość. Dorosłe dzieci, wnuki i starzejący się mąż o lwiej grzywie posiwiałych włosów. Jedli wspólny niedzielny obiad, opowiadając przygody z mijającego tygodnia, śmiejąc się i żartując. Ona jedna nic nie mówiła, tylko słuchała. Mimo to nigdy nie była bardziej szczęśliwa.

Najpierw oślepiło ją słońce wlewające się do środka przez wielkie, sięgające sufitu okna.

Barwy tęczy zafalowały i rozbiły się na pojedyncze punkciki, z których zaczęły się wylaniać postacie. Dzieci, wciąż małe, mąż z burzą pofalowanych włosów, jeszcze bez śladu siwizny. Tło składające się ze ścian zabarwionych jednolitą farbą o metalicznym odcieniu, z rzędem połowych łóżek, przypominało szpital, ale doskonale wiedziała, gdzie przebywa. Nie pomyliłaby swojego więzienia z niczym innym. Stary biurowiec zaadaptowany na miejsce kwarantanny miał pojawiać się w sennych koszmarach już do śmierci. Grobowiec, w którym zostali pochowani za życia. Trumna z przybitym wiekiem, gdzie życiodajny tlen z każdą minutą zamienia się w trujące cząsteczki dwutlenku węgla.

– Zatrzymali cię? Wdarłeś się tutaj siłą?

Rzuciła się mężowi na szyję, jakby wrócił z wieloletniej podróży. Poniekąd tak było, oddalili się od siebie na odległość lądów dryfujących po bezmiarach wód oceanów. Potrzebna była katastrofa, by na nowo złączyć ich w całość.

– Nie, najdroższa, nic się nie stało. Sprawa się wyjaśniła, jesteście zdrowi, wracamy do domu.

Spojrzała przez ramię męża na dzieci stojące w przejściu między pryzcami. Bruno dumnie zadzierał gładką jak u niemowlaka, nieskazitelną twarz, zabawnie mrużył oczy od zalewających ich promieni słońca. Oboje w nim tonęli, jakby unosili się w naczyniu wypełnionym po brzegi światłem. Wyglądali niezmiernie pięknie, nigdy nie zdawali się doskonalsi, zdrowsi.

– No już, zbierać rzeczy i zamykamy, nic tu po nas. Bruno, Ivonne, szukajcie plecaków. Mieliście coś więcej prócz jednej walizki?

Isabelle rozejrzała się wokół swojego łóżka. Poczuli się nagle zagubiona, jakby jakaś jej część wciąż jeszcze dryfowała na morzu. Jej ulubiona czerwona walizka leżała pod stolikiem nocnym przy łóżku. W rozdziawionej krokodylej paszczy z drobnym zębami widać było rzeczy złożone w cegiełki, tak składać je umiał wyłącznie Claude. Wokoło panował idealny porządek, wszystko zostało pochowane, kołdry wygładzone jak w wojsku. Tylko ona ciągle w proszku, zaspana i nieuczesana, w barłogu rozmemłanej i wygniecionej pościeli.

– Jezu, Claude, jak ja wyglądam! Muszę doprowadzić się do porządku, wziąć prysznic...

– W żadnym wypadku, nigdy nie byłaś bardziej ponętna!

Claude pocałował żonę w usta i postawił na nogi. Na stopy włożył jej czekające pod łóżkiem japonki, na koszulę nocną narzucił szlafrok, pasek zawiązał z taką finezją, jakby to była wstążka do włosów, a ona wybierała się na swój pierwszy bal przedszkolaków.

– Idziemy? Powiedźcie tej norze *au revoir!*, nigdy więcej tu nie wróćcie.

– *Au revoir*, głupia noro! – wykrzyknęły dzieci zgodnym piskliwym chórem.

Claude podniósł walizkę i wyprowadził rodzinę z budynku, na parkingu z betonowych płyt poprzerastanych suchym perzem stało zaledwie kilka aut. Ich peugeot odpowiedział na sygnał z pilota radosnym psim szczeknięciem. Posadzili dzieciaki w fotelach, zajęli miejsca i ruszyli w drogę. Isabelle obserwowała przez tylną szybę oddalającą się bryłę szarego biurowca z setkami oczu prostokątnych okien. Nie dostrzegła ani śladu wojska, które jeszcze w nocy zabezpieczało całą posesję ścisłym kordonem. Może sobie to wyobraziła, a tak naprawdę nigdy go nie było?

– Zwinęli się wcześniej rano – poinformował mąż, odgadując jej myśli.

– Rano?

– Wrócili do baz, sytuacja została opanowana. Nic więcej nam nie zagraża, epidemia okazała się fałszywym alarmem, kilka osób przywlekło wirusa z Afryki. Jesteśmy bezpieczni.

– Boże, jakbym się obudziła z koszmaru.

– Tak właśnie jest, kochanie. Koszmar pozostawiliśmy już za sobą.

Spletli dłonie i nie puścili się, aż dojechali do domu. Biegi zmieniali razem, tak jak to

robili w pierwszych miesiącach znajomości, kiedy wyjeżdżali za miasto w poszukiwaniu trudno dostępnych zatoczek, gdzie nikt nie zakłócał bliskości. Kiedy nie potrafili od siebie oderwać wzroku i rąk, stanowili jeden organizm.

Na osiedlu panował zwykły, leniwy poranek, nieliczni staruszkowie ciągnęli torby na kółkach do najbliższego marketu, matki odprowadzały maluchy do przedszkola lub pchały przed sobą wózki, gaworząc wesoło z pociechami. Choć Isabelle wyjechała zaledwie wczoraj, zdawało jej się, że wraca z wyjątkowo długiej podróży. Detale klatki schodowej i mieszkania uleciały z pamięci, zaskakiwały ją. Jeszcze nigdy nie czuła się w swoim domu tak obco.

– Teraz w spokoju weź prysznic i zajmij się sobą, ja pobawię się z dziećmi. No, jazda, brygada, zbudujemy krainę z waszej wyobraźni!

– Legoland?

– Nie, Bruno, farmę dla świnki Peppy! – zdecydowała Ivonne, od czego już nie było odwrotu.

Zniknęli w pokoju dziecięcym, zza drzwi dobiegały śmiech i przekomarzania. Isabelle wzięła długą kąpiel, wysuszyła włosy i nałożyła delikatny makijaż. Na widok stosów rzeczy na środku sypialni załamała ręce, ale postanowiła zrobić porządek później. To był dla ich rodziny zbyt ważny dzień, żeby marnować go na codzienną harówkę. Włożyła letnią sukienkę, którą kupiła zeszłego roku i wcisnęła w niedostępny kąt szafy. Zupełnie o niej zapomniała. Na tę okazję była wręcz idealna, kwiecista i kolorowa, dekorowała jej ciało szczęściem. Na palcach podeszła do drzwi pokoju dziecięcego i przyłożyła ucho. W środku panowała zupełna cisza. Uśmiechnęła się, na pewno tak zapamiętali się w zabawie, że nawet przestali rozmawiać.

Wtedy poczuła pod bosymi stopami wilgoć, coś wylewało się pod drzwiami ze środka. Brązowawy, ciepły i lepki płyn przypominał lody. Przewrócili kubki i nie zauważyli, że się topią i cieknie? Głuptasy, cała trójka! Jednym szarpnięciem otworzyła drzwi, żeby przyłapać ich na gorącym uczynku, i zamarła z dłonią na klamce. Nogi ugięły się pod nią, na chwilę bezładnie zawisała na klamce, by zaraz upaść wprost w bagno brunatnej mazi. Krzyknęła z obrzydzenia, a kiedy uświadomiła sobie, czym jest klejąca wydzielina, z rozpacz. Jej dzieci leżały na podłodze zamienione w gromadkę szmat i rozpuszczonej tkanki, ich twarze przypominały obdarte ze skóry kościotrupy.

Claude siedział pomiędzy nimi po turecku i wznosił z klocków jakąś budowlę, wylaniającą się z morza ludzkiej magmy niczym wysepka wulkaniczna. Podniósł na nią swoje piękne błękitne oczy, niewinne i pełne spokoju. Pokręcił gładką, opaloną twarzą z blond lokami opadającymi na policzki. Uosobienie boga starożytnych Germanów, doskonałego i nieomylnego w swoim osądzie zdarzeń.

– To nie ja, Isabelle. – Wyciągnął w jej stronę ramiona, demonstrując gładkie, czyste dłonie. – Ja jestem zdrowy.

Ze snu wyrwał ją jej własny wrzask. Usiadła na łóżku, próbując złapać oddech. Rozdygotane dłonie kurczowo zaciskały się na cienkiej pościeli, z oczu ciurkiem płynęły słone, żrące łzy. Dzieciaki dostrzegła dopiero po chwili, stały w nogach łóżka wczepione w siebie chudymi rękami. Powiększone ze strachu oczy zajmowały im pół twarzy, wykrzywione w grymasie płaczu usta nie wydawały żadnego dźwięku.

– To tylko zły sen, mamó. Nic się nie stało.

– Sen... – powtórzyła automatycznie za Brunonem.

Nic się nie stało. Krosty na policzkach i szyi Brunona nie znikły, ściany pomieszczenia miały ciągle tę samą metaliczną barwę obudowy peceta. Poranne słońce wpadało przez okna, topiąc ich w swoich wesołych falach, jakby świat miał się nigdy nie skończyć. Trwać wiecznie, choć dla nich nie było żadnego ratunku. Ich marne życie miało wkrótce zgasnąć, a ich wątek

zakończyć się w tej bezdusznej, niesprawiedliwej fabule.

– Czy tatuś przyjdzie nas dzisiaj odwiedzić?

– Tatuś?

Claude stanął jej przed oczami, posągowo piękny, doskonały i nienaruszalny mitologiczny bóg. Symbol wieczności świata i ulotności życia. Jak w ogóle mogła z nim wczoraj rozmawiać? Dotykać go choćby przez szybę, patrzeć mu w oczy z prawdziwym uczuciem? Na tego, który sprowadził na ich rodzinę nieszczęście, najprawdopodobniej śmierć. Zabił żonę i własne dzieci.

– Wy już nie macie tatusia, dzieci – zakomunikowała płaskim głosem.

A ja nie mam męża, jestem sama jak palec. Poruszona nagłą myślą chwyciła torebkę i wygrzebała ze środka list, który zapomniała wyrzucić. Eleganckie, pochylone pismo starszego mężczyzny, jej ojca. Przycisnęła kartkę do piersi.

– Teraz, tato, mam tylko ciebie...

Fabio Montale stanął tyłem do drzwi, oparł się dłońmi o biurko, zwiesił głowę. Z perspektywy, z której obserwował go Eryan, wyglądał jak zwisająca z oparcia krzesła marynarka, wygnieciona i pofałdowana na wychudzonym ciele. Wydymała się od zbyt głębokiego, przyspieszonego oddechu, który zdawał się wiać w całym biurze, świstać w szczebelkach mebli.

Komisarz nagle się odwrócił i machnął ramieniem. W kierunku kapitana poleciał ciężki metalowy wizytownik, rozsiewając w powietrzu rój kartoników, niby wrogi bombowiec obwieszający rozpoczęcie natarcia. Przedmiot zbliżał się w dziwnie zwolnionym tempie, Claude dokładnie rozpoznał geometryczne kształty i jego wirujący ruch, dzięki któremu oszlifowane płaszczyzny omiały sufit i podłogę feerią promieni. Nawet nie drgnął, kiedy żelastwo minęło jego głowę o kilka centymetrów i uderzyło w przeszklone drzwi. Odbiło się do pancernej szyby, wylądowało na podłodze tuż przy prawym bucie kapitana.

Komisarz celował, by trafić, Claude nie miał co do tego wątpliwości. Mógł spokojnie zrobić unik, ale nie miał też wątpliwości, że zasłużył na karę. Ból, który z taką siłą szarpał nim od środka, potrzebował zewnętrznej ingerencji, uśmierzenia. A nic nie działa lepiej na cierpienie duszy od krzywdy fizycznej.

– Mało mamy jeszcze problemów, Aryan, co?! W innych okolicznościach bym cię normalnie...

Montale zacisnął rozdygotane dłonie, jakby teraz zamierzał rzucić się na podwładnego z pięściami. Żrenice iskrzyły mu zza powiek jak niedomknięty piec, w którym roztopiają surówkę.

– Świat się wali, a tobie wariacje w głowie, romantyczne wyprawy!

– Moja rodzina, szefie...

– Co twoja rodzina, co? Chciałeś jej pomóc siłą? Przekupstwem? Jeszcze, do cholery, nie wycofali wobec ciebie zarzutów o korupcję, a ty wywijasz taki numer! Wojsko tak ci obsra teraz akta, że się w tym gównie utopisz! A ja cię więcej nie będę wyciągał, o nie!

Komisarz pomachał palcem niczym wahadłem zegara wystukującym przyspieszone sekundy. Właśnie tak pędził dla Eryana czas, biegł z poczwórną prędkością.

– Z całym szacunkiem, ale gówno mnie to w tym momencie obchodzi, szefie. Moja żona i dzieci...

– Przystaniesz sobie wreszcie obcierać mordę rodziną? Po prostu jest mi za ciebie wstyd...

Ostatnie słowa wypadły z ust komisarza jak z dziurawego kranu, cienkim, prawie niesłyszalnym strumieniem, pozostawiającym po sobie rdzawy osad. Fabio Montale wyraźnie

opadł z sił, zupełnie jak na ostatnich kartkach swojej historii. Tuż przed niespodziewaną śmiercią. Smutek przemknął mu przez twarz i zniknął przywalony ciężarem zmarszczek. W obliczu nagłego załamania swojego szefa Claude poczuł, jak uchodzi z niego ciśnienie. Poczul wstyd, ale nie ten, o którym wspominał komisarz. Trudno mu było pogodzić się z faktem, że nie wyciągnął rodziny z zamknięcia. Nie zdołał przekupić ani pokonać żołnierzy. Zawiódł.

– Słucham? – Nie zrozumiał szeptu zwierzchnika.

– Wypieprzaj mi stąd, jeszcze tu stoisz?

Powracającą furię komisarza Claude poczuł tym razem na własnej skórze. Kropelka śliny wylądowała mu na lewym policzku, inwazyjna niczym ukąszenie komara. Stojący przed nim mężczyzna napluł mu w twarz i nie cofał natarcywego spojrzenia. Kapitan otarł się wierzchem dłoni, ale jad nie przestawał szczytać. Rozniósłby tego starca na strzępy, gdyby nie widział w nim własnego ojca. Który opuścił go, zanim zdążył wyjawić mu sekret życia: w jakim celu tak naprawdę żyjemy? Bo jeśli dla pozoru, on się poddaje. Niech ktoś inny udaje tego dobrego, on próbował.

Wyszedł i skierował się prosto do sali przesłuchań. Mimo godzin nocnych w pomieszczeniach komendy wrzała praca, zazwyczaj leniwi i flegmatyczni policjanci uwijali się jak w ukropie. Podejrzany wciąż trzymany był za szklaną kurtyną, kwarantanna trwała.

– Powiedział coś?

Specjalista od przesłuchań podniósł wzrok znad ekranu laptopa i wzruszył ramionami.

– Bóg zesłał na nas plagę, abyśmy się opamiętali, koniec świata jest bliski... Tego typu bzdety.

– A jacyś jego kumple, współpracownicy, zwinęliście kogoś?

– Mnie się pytasz? Ja tylko zadaję pytania, dupy nie ruszyłem sprzed biurka od paru godzin.

Claude skrzywił się na nadąsaną minę psychologa, który zdążył się już najwyraźniej zarazić wszawicą od Wszy Benzemy. Wyciągnął telefon i wybrał numer Raisa. Poczekał siedem sygnałów, po czym przerwał próbę połączenia. Co się z nim, do cholery, dzieje? Nie poznawał swojego podwładnego. Na nieskazitelnej figurze wzorowego policjanta, doskonałego śledczego, zaczynały pojawiać się pęknięcia i rysy. I to akurat w momencie, kiedy był mu najbardziej potrzebny. Jakież problemy rodzinne, coś z matką? Sypali się wszyscy, a końca tej zawieruchy ciągle nie było widać. Wybrał numer Armanda.

– To ja, jakieś postępy w śledztwie?

– Gównno, szefie, bokujemy się z wojskiem i kontrwywiadem o paru typów. Praktycznie zwijają nam wszystkich sprzed nosa, kopią nas po tyłku jak trzecioliłowca. Bierze mnie już na to kurwica, kapitanie. Co ja jestem, dyżurna ciota do wypinania dupska?

– Działajcie dalej do odwołania, Armand, innych dyspozycji nie ma. Na razie.

Ciota w formie grudy łysego cielska o kwadratowej szczęce Mussoliniego. Nawet przez najgłębsze pokłady gniewu Claude nie opanował kącików ust unoszących się w złośliwym uśmiechu. I oddział wojska w kamizelkach kuloodpornych i hełmach, z fiutami sterczącymi z rozporków niczym lufy przewieszonych przez ramię automatów. Zaraz przeszły go jednak ciarki odrazy. W jednym musiał im przyznać rację, szeroki zad porucznika Douisa najlepiej nadawał się do kopania.

Spojrzał na wyświetlacz smartfona, minęła północ. Wojsko pewnie było już w drodze po aresztowanego. Nachylił się przed laptopem z nagraniami wideo, wybrał scenę z metra, na której podejrzany trzymał Émilie za ramię. Wszedł do pomieszczenia przerobionego na magazyn sprzętu do kwarantanny. Naciągnął na siebie jeden z pomarańczowych skafandrów. Poczul się w nim jak kosmita, oddech szumiał mu w uszach niczym pompa tlenowa.



– Tam nie wolno, trzeba mieć odpowiednią przepustkę! – zakomunikował stojący na straży funkcjonariusz, którego Eryan bez słowa podniósł z podłogi i cisnął w głąb korytarza. Na śliskiej podłodze przejechał aż do windy, wymachując kończynami przypominającymi odnóża żółwia.

Claude odbezpieczył służę i wszedł do środka, zbliżył się do siedzącego przy stoliku przesłuchań mężczyzny, który przyjął minę wieśniaka nawiedzonego przez czyste zło.

– Patrz! – Wskazał gumowym palcem obraz wyświetlony na ekranie plazmy. – Poznajesz dziewczynę?

Przez kilka sekund obaj wpatrywali się w niewyraźne zdjęcie. Twarz Émilie uchwycona w chwili najwyższego strachu zamieniła się w szkaradną maskę z wytrzeszczonymi oczami, nienaturalnie obniżona broda odsłaniała niemal czarny otwór, przez który zdawała się wsysać w siebie coś mrocznego. Kapitanowi do głowy przysła niedorzeczna myśl, że może naprawdę ludzi opanowały demony, a choroba nie jest powodowana przez wirus, ale przez zło rozkładające żywą tkankę mocą swojej nienawistnej agresji.

– Ja ją kochałem, wiesz? – szepnął mężczyźnie do ucha, a jego głos zniekształcony filtrem przybrał barwę demonicznego zaklęcia. – I poprzysiąłem zemstę temu, kto ją zabił. Więc, panie Dropsy, odpowiadasz za to? Nie? Więc może wiesz kto?

Mężczyzna intensywnie pokręcił głową, ze strachu policzki zapadły mu się do wnętrza twarzy, a powieki obwisły, odsłaniając przekrwione oczy.

– Nie? Nie szkodzi. – Claude chwycił podejrzanego za gardło i zaczął dusić. – Wystarczy mi samo podejrzenie. Moją duszą również zawładnęły demony. Domagają się krwi.

– Proszę natychmiast puścić aresztowanego i usunąć się z sali przesłuchań.  
– W głośnikach pojawił się przyzwyczajony do wydawania rozkazów głos oficera armii.  
– Zgodnie z ustaleniami przejmujemy dochodzenie, nakazano wam wydać podejrzanego.

Claude nie poluzował uścisku, wsłuchany w echo swojego oddechu w skafandrze liczył sekundy. Z każdą kolejną z zatrzymanego ulatniało się życie, dokładnie widział jego opary unoszące się nad purpurową głową. Iskry w przerażonych źrenicach gasły jedna po drugiej, umysł umierającego wypełniał mrok.

– Claude, na miłość boską, co ty znowu wyczyniasz! Puszczaj go, ale już!

Głos, który powinien być głosem ojca. Obcy, a zarazem jedyny męski głos, który pozostawał mu bliski. Zarazem mniej niż ojcowski i więcej. Gdyby miał do czynienia ze starym, mógłby po prostu dokonać aktu pokoleniowej rewolty, zbecześcić jego męskość, aby samemu stać się mężczyzną. Na to było za późno, już dawno został mężczyzną. Tak dawno, że zapomniał, o które wartości powinien walczyć. Tak dawno, że zboczył z trasy, cofnął się w czasie. Na powrót stawał się zagubionym chłopcem.

Odepchnął podejrzanego, który zsunął się z krzesła i opadł bezwładnie na podłogę. Grzecznie uklonił się do lustra weneckiego na znak, że wykonuje rozkazy karnie, choć z małą zwłoką. Wyszedł, mijając na korytarzu żołnierzy w skafandrach i poturbowanego policjanta, który cofnął się przed nim aż pod ścianę, choć twarz pałała mu pragnieniem rewanzu.

– Dziękuję, że zostawiliście coś dla nas, kapitanie. – Porucznik, którego przysłano po aresztowanego, naprawdę zdawał się wyrażać wdzięczność. – Nie wiem, czy na pana miejscu zdołałbym się powstrzymać. Dobra, chłopcy, zabierajcie to ścierwo i wracamy do bazy, nie ma czasu. Może zdążymy jeszcze zbawić ludzkość.

Fabio Montale przesunął wzrok z wariata w pomarańczowym skafandrze, o świszczącym oddechu Dartha Vadera, na oficera w polowym mundurze. Pokręcił z niedowierzaniem głową, nie potrafił stwierdzić, któremu bardziej odbiło.

Pierwszy raz, od kiedy uświadomiła sobie swoją ułomność, nie musiała się bać. Ani

wstydzić. Ani czuć zepchnięta w kąt, z którego mogła przemykać się okupowanymi przez normalnych, zdrowych ludzi ulicami miasta bocznymi przejściami. Oddałyby wszystko, by być taka jak oni, niespodziewanie jednak to oni upodobnili się do niej. Jeśli nawet w dalszym ciągu nie była częścią ich świata, oni zawitali w jej świecie. Teraz wszyscy byli tacy sami – chorzy.

Epidemia zrównała wszystkich. Ludzie albo już zdążyli zachorować i umierali, albo umierali ze strachu, że zachorują. Psychoza dopadła każdego, lęk przed dotykiem ograniczył kontakty do minimum, redukując człowieka do istoty pierwotnej, dla której jakikolwiek kontakt z innymi stanowił śmiertelne zagrożenie. Nawet jaskiniowcy czuli się bezpiecznie w swojej wspólnocie, pomiędzy bliskimi. Tymczasem strach przed zarażeniem rozbił w Marsylii rodziny, które zamieniły się w grupy jednostek związane ze sobą nieustającą groźbą. Kochankowie podzielili sypialnie i łóżka, matki odgradziły od siebie dzieci powłoką z lateksu i wielu warstw ubrań, ofiary przestały być katowane przez sprawców. Przychodzące na świat dzieci witano płaczem, dostawiano do piersi uzbrojonych w gumowe smoczki. Wpadających w panikę nikt nie uspokajał w objęciach, mdlejących nikt nie cucił.

Tkanka społeczna stanowiąca skomplikowany wzór delikatnej koronki rozsypała się najpierw na nitki, następnie cząstki nitek.

*Atomizacja społeczna osiągnęła swą doskonałość – pisała Céline notatkę do mediów społecznościowych – jak gdyby ktoś większy i mądrzejszy od nas poddał Marsylię eksperymentowi, prowadząc badania nad zachowaniem istot ludzkich w warunkach kryzysu. Przegrywamy na każdej linii, popełniamy wszystkie możliwe błędy, nie jesteśmy w stanie podjąć żadnej racjonalnej decyzji. Logika naszego postępowania jest zdumiewająca: mimo że jesteśmy istotami stadnymi, gramy tylko i wyłącznie na siebie. Zostaliśmy tak bardzo wyprani ze świadomości wspólnoty, że nie potrafimy zrozumieć najprostszycy mechanizmów przetrwania. Jesteśmy lawicą rybek w obliczu ataku rekina, a zachowujemy się, jakbyśmy wszyscy z osobna byli rekinami. Zamiast bronić się przed wspólnym wrogiem, atakujemy siebie nawzajem. Nie uciekamy przed zagrożeniem, ale przed sobą. Natura współczesnych społeczeństw wycieka z nas jak krew z rany: jesteśmy bezwolnym planktonem, na którym żeruje każdy, kto ma siłę. Hoduje nas się w stawie o horyzoncie z betonu, skąd trafiamy wprost na linię produkcyjną gigantycznej fabryki. Z taką samą skutecznością konsumuje nas mechanizm rynku, jak mechanizm choroby.*

Stała na środku szerokiego chodnika przy Saint-Ferréol i wzniosła ręce ku niebu, które przykrywało miasto czarną kopułą rozproszoną poświatą nocnych lamp i reflektorami taksówek. Nie musiała już szukać cienia, teraz mogła tańczyć i krzyczeć, okręcać falbanami swoich szczelnych sukien, odgrywać każdą rolę transmitowanej na cały świat rewii. Nie ucieszyła jej fala wolności, lecz ciężar zniewolenia, który przytłoczył wszystkich. Teraz każdy zajmował swoją celę w tym milionowym więzieniu. Wykrzyczałaby hymn ku czci zniewolenia, gdyby kiedykolwiek taki stworzono. Odważnie spojrzała w oczy ludziom ukradkiem zerkającym w jej stronę, tym razem to oni uciekali spłoszonym wzrokiem. Garbili się, starając skurczyć się w sobie, zniknąć. Kleili się do murów budynków, bezszelestnie przemykali na palcach. Byli nią – wszyscy zapragnęli nagle być niewidocznymi.

Spółeczność miasta wykazała się postawą absolutnego buntu, kolegiąlnie łamiąc najnowsze prawo. Najbardziej ci, którzy je przedtem tak ochoczo popierali, z taką pewnością siebie podkreślając konieczność odbierania praw w celu poszanowania praw. Pierwsi zaczęli zakrywać ciała ci, którzy najbardziej boją się innych ludzi. Ich śladem natychmiast poszli następni, a niesubordynacja obywatelska urosła do rozmiarów kolejnej epidemii. Szczelnie przysłaniano każdy skrawek tak dumnie wcześniej obnoszonej białej skóry. Twarz zasłaniano chustką, głowę czapką, oczy chowano za czarnymi szklami. Mieszkańcy miasta w ciągu kilku godzin przeistoczyli się w mumie swojej dawnej siły i zafałszowanej wielkości.

*Paradoksem nienawiści rasowej jest to, że jest mieczem obosiecznym gotowym siekać w dwie strony. Opresja wobec muzułmanów przerodziła się w opresję wobec wszystkich. Obcy zainfekował swoich obcością, przez co wszyscy stali się nagle obcy. Miasto z taką zapalczliwością walczące z islamem całe stało się nagle muzułmańskie, wszyscy zakrywają ciała przed wzrokiem wspólnego, straszego, rozgniewanego Boga.*

Tak, dodała Céline w myślach, teraz wszyscy możecie być muzułmanami. Białymi, oliwkowymi lub czarnymi. Ładnymi i brzydkimi, młodymi i starymi. Zarażonymi lub zdrowymi. Lęk zrównał nas wszystkich, wszyscy jesteśmy równi. Osiągnęliśmy stan ostatecznej unifikacji, o jakiej marzyli utopiści, snując wizje lepszego świata. Bo jeśli wszyscy wyglądają tak samo, nie ma obcych. Znienawidzony kult ciała zastąpi upragniona władza naszych prawdziwych charakterów i cech osobowości. Brzydzy staną się piękni, piękni przestaną sprawować rządy. Rasy ludzkie przestaną istnieć, supremacja białych przejdzie do kanonu skompromitowanych żartów.

Céline skrzywiła się złośliwie pod chustką zakrywającą twarz. Pośród rzadkich przechodniów wypatrzyła kobietę z głową owiniętą czarną opończę.

– Hej, jesteś muzułmanką? – wykrzyknęła, wskazując ją palcem. – Tak, do pani mówię, halo!

Kobieta przyspieszyła kroku, jeszcze szczelniej opatulając się szmatą, która upodabniała ją do owada.

– Ludzie, to muzułmanka! Przyszła tutaj zarażać, roznosi wirus!

Grupka młodych mężczyzn przypominających kowbojów z wyprawy rabunkowej na bank zainteresowała się hałasem, przystanęli i z zaciekawieniem obserwowali kobietę. Najodważniejszy wystąpił do przodu, również wymierzył palec.

– Pokaż się, nie jesteś przypadkiem chora?

Kobieta błysnęła przerażonymi oczami, biegiem ruszyła do stojącej przy chodniku taksówki. Wskoczyła do środka, kierowca włączył wewnętrzne światło. Opończa opadła, odsłaniając rozczochrane blond włosy. Mężczyźni skomentowali sytuację pomrukiem, Céline wyszczerzyła pod chustką zęby w szyderczym uśmiechu. Znowu spojrzała w niebo.

– Twój eksperyment wyszedł na szóstkę – zakomunikowała, nie bacząc, że teraz ona przyciąga uwagę innych. – Kimkolwiek jesteś. W jakimkolwiek celu to robisz.



Dla Claude'a zabrakło miejsca w sali konferencyjnej, więc stanął w progu, z jedną nogą na korytarzu. Na symbolicznej granicy pomiędzy salonami a pomieszczeniami dla służby, niczym odzwierciedlenie w oczekiwaniu na rozkaz jaśnie państwa. Po fiasku dochodzenia w sprawie Inkwizytora i przejęciu przez wojsko ostatniego śledztwa pozostało mu łatanie dziur po innych i idące za tym ostatnie miejsce w szeregu. Fabio Montale miał rację, że się w końcu doigra. Z korytarza można już tylko trafić do wyjścia, innej drogi nie ma. Hol na szczęście był dosyć długi, kończył się schodami na parter. Jedyna więc pociecha, że nie wywałą go za drzwi natychmiast, trochę im to zajmie.

Klimatyzacja nie nadążała chłodzić rozpalonego powietrza, które buchało tropikalnym przewiewem. Kilkudziesięciu oficerów stłoczonych w sali konferencyjnej sphywało potem i parowało złością, tylko zmęczenie morderczą intensywnością ostatnich dni tłumilo wybuch. Jeszcze nigdy na odprawach u komendanta nie było takiego spokoju, nie znalazł się nawet jeden pyskacz. Ponura obojętność skrywała pod tonami żelbetu ładunek gotowy rozsadzić połowę miasta, ale nie tej bomby się w tej chwili obawiano. Prawdziwe zagrożenie tykało na ulicach, w osiedlach i za murami domów. Wystarczyłaby iskra, a kataklizmu nikt już by nie powstrzymał.

Komendant w kilku słowach próbował dodać podwładnym otuchy, jego wypowiedź dziwnie przypominała jednak mowę pogrzebową, co jeszcze bardziej przytłoczyło słuchaczy. Musiał zdawać sobie sprawę z wywołanego efektu, bo szybko przekazał głos Wszy Benzemie, który zabrał się do sprawy z typową dla siebie żarłocznością, jakby dobierał się do świeżej padliny. Jego słowa podziały na zebranych jak sole trzeźwiące. Nie z zainteresowania komunikatem czy porwani charyzmą mówcy, po prostu wszyscy poczuli się nagle autentycznie dotknięci faktem, że taka menda przekazuje im polecenia.

Niczego innego nie należało się spodziewać, Claude doskonale przewidział następstwo wydarzeń. Nic to, że szaleje zaraza i jest ryzyko wybuchu wojny domowej, ogień jak zwykle postanowiono gasić benzyną. Premier nie odwołał swojej wizyty, a na dodatek do programu jego pobytu dołożono tryumfalny przejazd ulicami miasta. Niby dla dodania otuchy mieszkańcom i odważnego stawienia czoła wrogom Francji. Nie określono tylko którym. Wirusom, bakteriom czy imigrantom? Zgodnie z logiką Frontu pewnie wszystkim po trochu. Kapitan był ciekaw, którzy z nich się tą demonstracją najbardziej przejmą. Główna uroczystość miała się odbyć przed pałacem prefektury i być konkurencją dla organizowanego równolegle otwarcia Grande Mosquée. Czyli premier zamierzał wystąpić w roli świeckiego imama narodu francuskiego – białej chrześcijańskiej większości. A stróże prawa mieli mu zapewnić ochronę.

– *Mange me bite* – syknął przez zęby stojący obok Eryana porucznik, kumpel Duce.

I kapitan nie skomentowałby tego lepiej. Nawet sympatycy Frontu po kryjomu kazali sobie ciągnąć druta. Nie tylko rewolucja zjada swoje dzieci, faszyzm też.

Zespół Claude'a przydzielono do grupy północnej, mieli osłaniać plac i stację metra Canebière. Z wyjątkiem Duce, któremu za zasługi dla kraju przyznano zaszczyt zabezpieczenia samego premiera w siedzibie prefekta. Może nawet balkonu, z jakiego miał przemawiać do narodu, czyli swych wiernych. Jedynym plusem z tego układu wydało się Eryanowi to, że nie będzie musiał wysłuchiwać idiotycznej odezwy szefa rządu. Reszta to same minusy, z honorowym miejscem na pierwszej linii oporu, jeśli dojdzie do walki. Samo to, że centrum miasta zostanie zamienione w poligon wojskowy, jeszcze nie gwarantowało spokoju. Wręcz przeciwnie, mogło podziać na imigrantów jak płachta na byka.

W bojowy nastrój wprowadził podwładnych komendant, trzykrotnie wałąc pięścią w stół. Wolność, równość, braterstwo – chciałby usłyszeć Eryan. Szef zawarczał jednak zupełnie coś innego: „Siła, odwaga i nieustępliwość”. Podobnie jednak jak jego prawa ręka Wesz, wzbudził w słuchaczach jeszcze większy gniew. Wylali się na korytarz niczym spieniona rzeka

z przerwane go koryta. Ponurzy, szarzy i z głuchym pomrukiem niewyartykułowanej groźby. Doprowadzone do granicy wytrzymałości psy, którymi szczuje się przypadkowe ofiary.

– Claude! – Komisarz sadził w jego stronę długimi susami, przepychając się między oficerami policji. Ray-bany opadły mu z czoła na nos, przez co wyglądał jak terminator zamierzający dokonać zaplanowanej eksterminacji. Zatrzymał się w odległości metra i z dołu spojrzął na wyższe piętro, gdzie znajdowała się głowa Eryana. Różnica wzrostu w żaden sposób nie deprymowała zwierzchnika, a nawet dodawała mu charyzmy, bo w takich przypadkach zwykły puchnąć niczym nadymka. Dla podkreślenia siły wyrazu wymierzył w podwładnego palec.

– Tylko bez żadnych kawałów, więcej nie będę za ciebie nadstawiał dupy, rozumiano!?

– Tak jest, szefie. – Claude wyprostował się w regulaminowej pozycji, dzięki czemu urosł jeszcze o parę centymetrów. Teraz różnica między nimi wynosiła już prawie dwa piętra.

Komisarz wyminął go i ruszył do gabinetu, pokonując korytarz z tą samą prędkością co przedtem, lecz teraz wyglądał, jakby przed kimś uciekał.

Kapitan powlókł się do swojego biura i przekazał podwładnym nowe rozkazy. Mieli grobowe miny i tylko młody Coq Avery parsknął śmiechem, przeczesując prawą dłońią grzebień irokeza. Chyba też zamierzał skończyć za drzwiami komendy.

– Za dwie godziny ruszamy do akcji, więc radzę się zacząć szykować. Bierzymy kamizelki i ostrą amunicję, może tam być gorąco.

Głowy opadły na znak przyjęcia instrukcji, ale się nie podniosły. Claude zamknął się u siebie, zamierzał spędzić ten czas w ciszy i spokoju. Prawie warknął, kiedy ktoś zapukał do drzwi i do środka weszła Mucha.

– Bo tak sobie myślałam, szefie... – Zamilkła, zbita z tropu wrogim spojrzeniem kapitana.

Poirytowana sięgnęła do klamki, ale cofnęła rękę. Skrzyżowała ramiona na piersi i naburmuszyła się. Jeszcze chwila, a urządzi tu pantomimę. Claude'owi zachciało się śmiać.

– Niech wam będzie, podporucznik, co tam macie? – Pozwolił jej mówić, choć w jego słowach nie było cienia zachęty.

– Z tego całego Dominique'a Dropsy'ego nic nie będzie, nie? W sensie, to nie on. Ma facet jobla, jakby mnie kto pytał.

– Sama go wypatrzyłaś, więc teraz nie świruj. Jeśli to wszystko...

– Nie! To znaczy... Jeszcze raz przejrzałam te taśmy i myślę, że mogliśmy się pomylić. Niech będzie, ja się pomyliłam, co za różnica? Staralam się przecież, nie? Niech pan lepiej spojrzysz na to.

Podala kapitanowi pendrive, który ten uruchomił po długim wahaniu. Poczł się nagle tak senny, że zasnąłby nawet z głową na klawiaturze laptopa. Caroline okrążyła biurko i nachyliła się nad ekranem.

– O tutaj. – Zatrzymała nagranie i wskazała palcem mężczyznę w ciemnym kapeluszu i sportowej marynarce. Znalazł się tuż obok Émilie i podejrzanego w chwili, gdy ten chwycił ją za ramię. – A teraz stoi i odprowadza wzrokiem dziewczynę. Nie wydaje się to panu podejrzanego?

Nie, nie wydawało. Claude też gapił się na odchodzącą kuzynkę, która zaraz miała zniknąć na schodach. A on więcej jej żywej nie zobaczy. Smutek ogarnął go na nowo, ze zmęczenia ledwo powstrzymał wykluwający się w gardle jęk.

– Daj spokój, Caroline, to już nie nasza sprawa. Będzie, co będzie, musimy się zdać na żywioł.

– Ale...

– Nie! To polecenie służbowe, macie skończyć z tą sprawą, jasne?!

Dziewczynie zatrzęsa się broda, ale bardziej ze złości niż smutku. Wymaszerowała

z biura, trzaskając za sobą drzwiami jak obrażona nastolatka. Pod tym względem kobiety nigdy się nie zmieniają. Claude wzruszył ramionami i oparł głowę na łokciach. Jeszcze raz przypatrzył się mężczyźnie wytypowanemu przez podopieczną. Bardziej niż podejrzenie zaintrygowało go coś innego. Mimo ronda kapelusza rzucającego cień na twarz mężczyzna kogoś mu przypominał. Człowieka, którego widywał od czasu do czasu. W żaden sposób nie potrafił sobie jednak skojarzyć, kto to jest.

Tego ranka postanowiła zjeść śniadanie na mieście. Zajęła miejsce w kawiarni za rogiem, skąd swego czasu przegoniły ją niedobre spojrzenia innych klientów i obcesowość obsługi. Zebrała jej się wtedy w ustach ślina obrzydzenia, którą chciała wypluć na stół, między rozłożone sztuce. Gula w krtani odebrała jej jednak moc, z gardłem ściśniętym powstrzymywanym szlochom wybiegła na zewnątrz, poryczała się dopiero na chodniku przed domem. Nie zamierzała dać im satysfakcji, a przede wszystkim tam wracać. Przeklęła ten lokal i obiecała sobie, że jej noga tam więcej nie postanie. Przeklęła też resztę, całe to miasto, a jej słowo stało się ciałem. Zaraziła ich sobą, teraz wszyscy cierpieli na jej chorobę.

Patrząc kelnerowi głęboko w oczy, zamówiła kawę i croissanta z dżemem. Mężczyzna miał źrenice w kolorze bursztynu i długie rzęsy. Resztę ciała szczelnie zakrywał, ale domyśliła się, że jest jednym z tych pięknych, młodych mieszańców, którzy przejęli najlepsze cechy urody Europejczyków i Arabów. Zawsze o takim chłopcu marzyła, a poranna dawka marihuany wprowadziła ją w melancholijny nastój. Czy zainteresowałby się nią teraz, gdy wygląd nie ma większego znaczenia? Zwróciłby uwagę na to, jaka naprawdę jest, na jej duszę? Potrafiła znokautować inteligencją równie skutecznie, jak jej arabskie rówieśniczki egzotycznym spojrzeniem. Wyobraziła sobie, że nagle ludzie przestaną się sobie przyglądać, a zaczną się słuchać. Ona stanie się atrakcyjna i rozchwytywana przez mężczyzn. Kochana.

Powrót kelnera wyrwał ją z rozmarzenia, stawiane hałaśliwie na stole naczynia obudziłyby umarłego. W pierwszej chwili zdziwiła się, dlaczego chłopak nie postawił talerza przed nią, tylko na miejscu obok. Myślała zbyt wolno, przecież ludzie pozamykali się w bańkach mydlanych, ograniczyli kontakt do minimum. Analizowała tę sprawę z takim dystansem, jakby problem epidemii jej nie dotyczył. Jakby to ona w tej chwili wyznaczała reguły, a świat na niej się zaczynał i na niej kończył. Czowała się panią życia i śmierci.

Sięgnęła do stojaka po „Le Méditerranéen” i przejrzała tytuły. Pierwszą stronę zajmował artykuł o dzisiejszych wydarzeniach, przy czym otwarcie meczetu z jakiegoś powodu przyćmiło wizytę premiera. Niosło pewnie większe ryzyko kolejnej rozróby, a nic bardziej nie syci prasy niż tania sensacja. Zresztą media nie miały w ostatnich dniach na co narzekać, w kraju nie działo się tyle od czasu zamachów w Paryżu. Przerzuciła kilka kartek, ale nic nie zainteresowało jej w szczególności, zwyczajna papka dla znużonego czytelnika. W końcu była gwiazdą żurnalistyki o wyrobionym guście, której nie dało się zadowolić byle czym, a już na pewno nie pomyjami po jej własnych, dawno wyeksploatowanych faktach.

Poprosiła o podkręcenie głosu w telewizorze, bo akurat transmitowano na żywo wystąpienie premiera. Prawie podskoczyła na krześle, kiedy jego włochata pięść opadła na blat mównicy. Ze złości pluł, a pożyczka źle przykrywająca łysinę zmierzwiła się, zamieniając w rozdarcie z wystającymi nitkami.

„Wszystkie ślady zdają się prowadzić do religijnego ekstremizmu, więc i my zmuszeni jesteśmy pójść w tym kierunku. Posiadamy siłę uderzeniową i zdolność infiltracji, której jeszcze nigdy nie mieliśmy. Rozbijemy fanatyzm w pył, wyrwiemy go z korzeniami. Nie wolno im na to pozwolić, ja nie pozwalam!”

Tym razem na blat mównicy spadła druga pięść, impet zrzucił na ziemię butelkę wody mineralnej, której upadek śledziła jedna z kamer. Przez dwie długie sekundy pod nogi oficjeli

łała się woda, a widzowie mogli podziwiać obuwie polityków. I dowolnie interpretować bałagan, jaki wywołał gniew premiera.

Céline bez emocji zjadła śniadanie, odsunęła talerzyk i położyła przed sobą laptop. Sprawdziła pocztę z doniesieniami od swoich informatorów. Premier nie mylił się, o wywołanie epidemii podejrzewano religijnych ekstremistów. Pomyliły mu się tylko religie, ponieważ w tej chwili przesłuchiowano członka jednej z bojowych sekt chrześcijańskich. Co nie przeszkadzało kontynuować nalotów na meczety i siedziby organizacji islamskich, dzielnice zamieszkałe przez imigrantów z Maghrebu zamieniono w getta i otoczono armią z wozami opancerzonymi i ciężkim sprzętem. Jeśli to nie okupacja, to co? Naziści również zwalczali żydowski terroryzm. Według własnej logiki nie eksterminowali ludzi, lecz przeciwdziałali zagrożeniu. Ale to już opisała na swoim blogu. Dopóki nie dostanie potwierdzenia, że aresztowano chrześcijańskiego bandziora, nie miała niczego do publikacji. Mogła więc robić to, na co jej tylko przyszła ochota. Na przykład wybrać się na zakupy do drogich sklepów przy głównej ulicy. Jeśli jeszcze jakieś pozostały otwarte.

Zamówiła sok z grejpfruta i z poczuciem satysfakcji zaczęła przyglądać się kobiecie wpatrzonyj w filiżankę kawy. Na białym porcelanowym brzegu pozostał ślad wyszminkowanych ust, przypominający malutki ząbek dojrzałej czerwonej pomarańczy. Kobiecie drżały położone na stole dłonie w białych balowych rękawiczkach z cienkiego materiału. Właśnie dotknęła wargami obcego ciała, na którym mogły się znajdować zarazki. Wirus mógł już przedostać się do skóry, zainfekować organizm. Céline założyłaby się, że w czarnej czeluści filiżanki kawy kobieta dostrzega swoje ostatnie chwile. Zapada się w mrok niczym w studnię, której dno to brama do piekła.

Przeanalizowała sens wygłoszenia stosownego komentarza, w tej sytuacji mogłaby sobie na niego bezkarnie pozwolić. W końcu była u siebie, to ona teraz ustalała zasady. Przymknęła oczy, ale jej myśli odpłynęły na kolejnej fali marihuany. Z krótkiego amoku wyrwał ją gong nadchodzącego e-maila. Otworzyła długą wiadomość z linkiem do strony internetowej katalogu biblioteki uniwersyteckiej. Przebiegła tekst wzrokiem, ale prawie natychmiast wróciła do początku i rozpoczęła wnikliwą lekturę. Nadawca streszczał fabułę książki, od której przeszły ją ciarki po plecach. Historie lubią się powtarzać, nawet te kiedyś przez kogoś zmyślone, przewidziane. Powiększyła zdjęcie okładki z nazwiskiem autora. Jeśli to, co sugerował nadawca e-maila, było prawdą, miała przed sobą nazwisko sprawcy.

Musiała jak najszybciej dostać się na uniwersytet, odszukać książkę. Przedtem jednak postanowiła wykonać gest, który w jej profesji uchodził za zdradę. Wybrała numer telefonu i poczekała na zgłoszenie się operatora.

– Dzień dobry, nazywam się Céline Dumerc, chciałabym rozmawiać z kapitanem Claude'em Eryanem.

Starszy mężczyzna starł z twarzy resztkę pianki i przyjrzał się sobie z bliska. Ogolił się dokładniej niż zwykle, dwukrotnie, przez co skóra zaróżowiła się jak po wiosennym spacerze na pełnym słońcu. Pomarszczona, zniszczona skóra doświadczonego życia człowieka. Nie spodobało mu się swoje odbicie, wykrzywił usta w zniesmaczonym grymasie. Nie lubił się, ani swojego wyglądu, choć nie mógł narzekać na brak powodzenia u kobiet, ani tego, co znajdował w swoim spojrzeniu. Czarnych dziur pochłaniających wszystko, co kiedyś było w nim dobre.

Oddalił się od lustra. Chudy tors poprzecinany wiązkami słabych mięśni, na których wisiała niepasująca powłoka. Źle uszyta opończa z taniego materiału. Nie urósł mu nawet brzuch, jak przystało na dobrze sytuowanego człowieka po siedemdziesiątce. Nędzny wzgórek przypominał raczej balon, z którego przez źle zacerowane rozdarcie ulotniło się powietrze. Wyrostek robaczkowy, jedyny fragment ciała, jaki mu usunięto. A powinni usunąć go całego, już



dawno. Byłoby łatwiej i bezpieczniej dla wszystkich. Widocznie jednak tak musiało być, że został sam spośród najbliższych przyjaciół. Tylko on mógł więc dokonać tego, o czym tak długo rozprawiali. Niektóre czyny nie są konsekwencją wyboru, a konieczności. Mężczyzna czuł się odpowiedzialny wobec umarłych i żywych, musiał to zrobić.

Zapiął koszulę i zawiązał krawat, precyzyjnie układając węzeł pomiędzy trójkątami kołnierzyka koszuli. Poprawił nieistniejące zmarszczki i wyprostował się, stanął na baczność. Zasalutował przed tymi, których wciągnęły czarne dziury wzroku, oddał im hołd. Ich walka nie skończyła się w sześćdziesiątym ósmym, wraz z upadkiem żelaznej kurtyny ogłoszono jedynie rozejm. Wojna dobra ze złem ciągle trwa, on też ma w niej do stoczenia bitwę. Nie może pozwolić, żeby Francję zalała kolejna fala barbarzyństwa, a wody szaleństwa wezbrały do niebezpiecznego poziomu. Pływał w nich, próbując odnaleźć w dnie korek, upuścić trochę frustracji i gniewu, uświadomić ludziom pomyłkę. I znalazł, musiał tylko przekazać swoje przesłanie, przemówić.

Usiadł w fotelu i wziął do ręki telefon. Trudno mu było przyzwyczać się do ekranu dotykowego, do tej pory uparcie korzystał ze starych modeli z klasyczną klawiaturą. Mówił o sobie „tradycjonalista”, bo jak ognia unikał określenia „konserwatysta”. Był bardziej nowoczesny i spoglądał znacznie dalej do przodu niż inni ludzie, nawet dużo od niego młodszy. Ale w niektórych kwestiach był nieugięty. W przypadku aparatu musiał się przemóc, potrzebował jego funkcjonalności. Odbezpieczył wyświetlacz, wybrał aplikację galerii. Wyświetlił zdjęcie i wpatrywał się w nie przez długą chwilę. Jedyne, co mu pozostało po bliskich – fotografie. Nosił je zawsze przy sobie, kiedy tylko odczuwał znużenie i brak wiary, spoglądał na nie. Za każdym razem ładowały mu akumulatory, rozświetlały drogę, którą obrał.

Odłożył telefon, wstał i przymierzył marynarkę. Gruba, specjalnie wszyta podszewka sztucznie go powiększała, dodawała grubości, powagi. Właśnie taki był w swoich najlepszych latach, umięśniony i wysportowany, o cały rozmiar cięższy niż teraz. Wyciągnął ramiona, nieco przydługie rękawy wciąż nachodziły na dłonie. Dokładnie tak, jak to zlecił krawcowi. Bez problemu sięgał środkowym palcem do guzika. Skinięciem głowy do lustra potwierdził gotowość do akcji. Usiadł wygodnie w fotelu, odchylił głowę do tyłu.

Włączył telewizor, wybrał kanał wiadomości. Transmitowano akurat debatę pomiędzy członkiem Frontu a przedstawicielem islamskich integrystów. Gdyby miał wybrać stronę bardziej cywilizowaną, bez wątplenia wskazałby na muzułmanina. Rzeczowe argumenty, idee odwołujące się do sprawiedliwości społecznej i równości, przy każdej okazji wyrażane pragnienie pokoju. Zupełne przeciwieństwo rozmówcy, który pienił się i rzucał inwektywami. Wymachiwał ręką jak na treningu szermierki. Gdyby dzierżył teraz w dłoni szablę, z pewnością uczyniłby z niej użytek. Starszy mężczyzna uśmiechnął się ironicznie, widząc wysiłki obydwu. Rozbawili go, zaczął się głośno śmiać. Niebawem pogodzi ich obu, pozszywa rozerwane więzi społeczne. Przywróci porządek.

Przebitki z helikoptera pokazywały tłumy zbierające się przed prefekturą i nowym meczetem. Z daleka pomiędzy zwolennikami zwaśnionych stron trudno było zauważyć różnice. Opatulone w metry materiału mumie, które równie dobrze mogły być mechanicznymi, zdalnie sterowanymi kukłami przebranymi za ludzi. Obie grupy powiewały proporcami z francuską flagą, obie na transparentach wypisały hasła wolności i walki o swoje prawa. Wszyscy byli w równie bojowym nastroju. Północne przedmieścia przypominały poligon. Oddziały młodzieży paliły olbrzymie ogniska z samochodów i śmieci, rozpruwały witryny sklepów, rzucały w posterunki wojska butelkami i kamieniami. Sceny żywcem wyjęte ze Strefy Gazy, głupie, bohaterskie małolaty i niewzruszeni żołnierze w kabinach czołgów i za pancernymi osłonami kaemów. Napięcie w każdej chwili mogło pęknąć salwą karabinową połączoną z wyciem bólu

i przerażenia. Bliski Wschód przeniesiony na Zachód. Koszmar wdzierający się w sielankowy sen o potędze i nietykalności.

Przełączył na inny kanał. Reporter w terenie komentował jakieś zajście. Na środku chodnika leżały zakrwawione zwłoki nieokreślonej płci, otoczone policyjną taśmą i nielicznym zbiorowiskiem gapiów, również ludzi o trudnym do odgadnięcia rodzaju. Dopiero po chwili słowa dziennikarza nabrały dla starszego mężczyzny jakiegoś sensu. Wobec ofiary rzucono oskarżenie o przenoszenie choroby, spanikowani przechodnie wszczęli alarm. W pobliżu znalazł się patrol bojówek Frontu, podczas próby zatrzymania osoby użyto niedozwolonych środków przymusu. „Niedozwolonych środków przymusu”, powtórzył starszy mężczyzna i z niedowierzaniem pokręcił głową. Przecież człowiekowi rozwalono łeb pałami bejsbolowymi. Właściwie co za różnica zginąć od pały chuligana, kuli żołnierza czy maczety islamisty? Śmierć za każdym razem jest tak samo niehonorowa i parszywa. Temu, co odchodzi, nie sprawia to najmniejszej różnicy.

Spojrzał na zegarek. Wyłączył telewizor, nadchodził zaplanowany czas. Na dłonie naciągnął skórzane rękawiczki ukradzione ze sklepu, przylegały do palców jak druga skóra. Gładsza i bardziej atrakcyjna, dużo młodsza. Czarna, obca. Nie mógł brać za nią odpowiedzialności, nie kontrolował jej czynów. Nie on sięgnął po leżący na stole pistolet, nie on zważył go w dłoni, przeładował i odbezpieczył. Nie on wbił zmrożoną stal lufy w miękką poduszkę podbródka.

Przymknął powieki i oczyma wyobraźni wyłowił z pamięci obraz dawnych towarzyszy, przyjaciół. Oddał im honor.

– Życzcie mi szerokiej drogi – wyszeptał.

Telefon zatrzymał go tuż przed punktem kontrolnym niedaleko dworca kolejowego. Nie tyle sam telefon, ile słowa, które usłyszał w słuchawce. Dwie wiadomości, jedna gorsza od drugiej. A wydawało mu się, że już znalazł się na dnie razem z resztą mieszkańców miasta. Mylił się, Marsylia zamieniła się w lej bez dna prowadzący wprost do wnętrza ziemi. Do piekła.

Żeby nie wzbudzać podejrzeń żołnierzy, zjechał na najbliższej krzyżówce w prawo, wykonał półokrąg zapyziałymi uliczkami i przebił się do rue de Lyon. Co chwila grzązł w korkach, w żadnym miejscu nie udało mu się przyspieszyć powyżej czterdziestki, więc przebycie kilkukilometrowego dystansu zajęło mu prawie godzinę. Jedna z najdłuższych tras w jego życiu. Zdażył przez ten czas przemyśleć całą swoją przeszłość i stwierdzić, że tak naprawdę niczego nie przeżył. Jeśli miałby w tej chwili umrzeć, jego śmierć nie byłaby dla nikogo stratą. Ojciec odszedł już dawno, nie miał rodzeństwa ani żadnej dalszej rodziny. Podobno żyli jeszcze jacyś krewni w Algierii, ale więzy krwi nie załatwiały wszystkiego, a on potrzebował dużo więcej, by poczuć się z kimś związany. Z kilkoma dziewczynami, które miał w życiu, zawsze był zbyt krótko, by się do nich zbliżyć. Nie umiał się przed nimi otworzyć, przez to od niego odchodziły. Nie dopuszczał ich do siebie, nie potrafił. Tylko matka coś dla niego znaczyła, ją kochał miłością bezwzględną. Bez niej byłby połową siebie, a może nawet nie to. W ogóle by go nie było, pozostałby cień żerujący na blasku innych.

Regularnie zerkał w tylne lusterko. Nie dostrzegł ani granatowej hondy, ani srebrnego peugeota. Być może tym razem śledzili go lepiej, profesjonalnie, zmieniali się etapami, za każdym razem jadąc innym autem. Oba numery rejestracyjne, które udało mu się zidentyfikować, okazały się fałszywkami. Niewiele mu to pomogło, na tej podstawie nie był w stanie zawęzić poszukiwań do jakiegokolwiek grupy, tak postępowali i gangi, i terroryści. Nawet służby specjalne, żeby zapracować na swoje miano tajnych. W tej chwili nie miało to jednak większego znaczenia. Starał się skoncentrować na czymś zupełnie innym.

To miało się stać dzisiaj. Dawno zapowiadany Armagedon, zwieńczenie gniewu bożego.

Plagi może i nie były biblijne, ale stanowiły wystarczające znaki. Ludzie paleni na stosach, umierający na zarazę, brat mordujący brata. Brakowało już tylko ostatniego czynu, by pchnąć ludzkość ku zagładzie, zatopić w morzu krwi. Ten dzień miał zdecydować o przetrwaniu jednych i zagładzie drugich. Miał być godziną Sądu Ostatecznego. A on, Rais, ramieniem sprawiedliwości, ostatnią nadzieją niewinnych i ogłupionych. Nie zamierzał tego zrobić dla tych, którzy mu nakazali działać. Nawet nie dla matki, choć nikogo innego nie miał. Z jakiegoś powodu panicznie bał się potępienia na wieki, czym groziłoby zaniechanie. Nie wierzył w grzech ani w zbawienie, w nic tak naprawdę nie wierzył. Pragnął po prostu życia w zgodzie z własnym sumieniem. Nie miał więc innego wyjścia, musiał spróbować.

Na ostatnim odcinku trasy zdołał się na tyle rozmarzyć, że dostrzegł szczęśliwą przyszłość. Kobietę, którą ułożył sobie z fragmentów innych kobiet, miłość doskonałą. Dzieci, wspólne wieczory, pikniki za miastem w letnie weekendy. Proste, spokojne życie mieszkańca Marsylii. Powolne starzenie się, oddawanie pola młodym z nadzieją, że będą lepsi od nich, starych. Emerytura i stopniowe wtapianie się w tło, znikanie. Przechodzenie w nicość.

Na ziemię ściągnął go wrzask żołnierza, który z groźną miną mierzył do niego z broni. Przyjrzał się legitymacji policyjnej jak rachunkowi z nocnego klubu, z niedowierzaniem i niechęcią. „Sprawa wagi państwowej, mam tutaj ochraniać ważnych ludzi” – poinformował go Rais, lekceważąc kolejne pytania. Szeregowiec skonsultował sprawę z przełożonym przez radiotelefon, po czym lufą karabinu nakazał mu jechać dalej. Do obiektu dostał się drogą techniczną, wcisnął radiowóz w szparę pomiędzy dwoma busami dostawczymi. Od południowej strony dobiegał zgiełk wielu tysięcy głosów, pomruk morza gotującego się do sztormu stulecia. Radio informowało o pięćdziesięciu tysiącach zebranych, a jeszcze nie wszyscy doszli na miejsce. Gdyby nie wojskowe blokady, tłum z całą pewnością przekroczyłby sto tysięcy. Uczestniczenie w uroczystości nie było kwestią wiary ani uległości. Wręcz przeciwnie, chodziło o demonstrację nieposłuszeństwa, deklarację gotowości do walki. Jeśli zaszłaby taka konieczność, także do wojny.

Rais zatrzymał samochód. Gdy tylko wyłączył silnik, zadzwoniła komórka, numer niezapisany w książce telefonicznej, jak ostatnio.

– Mamy twoją matkę – informował go głos w słuchawce – jest bezpieczna. Nie masz się czego obawiać, spokojnie możesz wykonywać swoje zadanie. Nie bój się śmierci, w zaświatach czeka na ciebie raj. Na ziemi chwała, jeśli uda ci się przeżyć. *Allahu Akbar!*

Spokojny głos człowieka przyzwyczajonego do kierowania ludzkimi losami. Bez śladu niepewności albo skrupułów. Z równą swobodą skazywał na śmierć i zmieniał życie. Dla niektórych pomazaniec boży, dla innych groźny terrorysta. Dla Raisa kolejny palant zabawiający się w mesjasza.

Przez chwilę siedział bez ruchu, wsłuchując się w przyspieszone bicie własnego serca. Hałasowało, jakby chciało mu coś powiedzieć. Nie posłuchał, uciszył je kilkoma głębokimi wdechami. Wyszedł z kabiny, zapatrzył się w alejkę prowadzącą do bocznego wejścia. W ostatnią prostą.

Poszarzały, niepozorny tom o czarno-białej okładce przypominającej negatyw fotografii miasta leżał na dnie plecaka Céline. Niecałe trzysta stron opowieści, której prawie nikt nie przeczytał. Karta biblioteczna była niemal pusta, zawierała zaledwie parę wypożyczeń, wszystkie z początku lat siedemdziesiątych, kiedy powieść była nowością. Bibliotekarka w szarych rogowych okularach jęknęła z obrzydzenia, ściągając jeden z dwóch egzemplarzy książki z najwyższej półki regału w odległym kącie, dokąd nigdy nie dochodziło naturalne światło. W czarnym kaftanie okalającym jej ciało wyglądała jak zakonnica. Tak jak mniszka nisko opuszczała wzrok, kiedy rozmawiała z klientami. Widocznie obawiała się zakażenia za

pośrednictwem oczu.

Nieco ponad dwieście gramów starego papieru ciążyło w plecaku niczym sztabka złota. Miało tę samą wartość, a jednocześnie było równie zbrukane krwią. Autora powieści dałoby się postawić w jednym rzędzie z właścicielami kopalni diamentów, choć kiedyś prawdopodobnie utożsamiał się z wyzyskiwanymi. Źle pojęte poczucie sprawiedliwości i jeszcze gorsza egzekucja swojego przesłania. Sprawa kiedyś krystalicznie czysta, skalana latami frustracji i niemocy. Idea wprowadzona w życie przy zastosowaniu najgorszego z możliwych środków – terroru. Broni nędzarzy i fanatyków, przegranych w wyścigu o prawdę i powodzenie.

Céline tylko przejrzała książkę. Strony wydrukowane na topornym papierze przypominały w dotyku tynk lub kiepsko oszlifowany kamień.

*Kamienne tabliczki z odległej przeszłości – zaczęła notować w myślach – na których przepowiedziano koniec świata. Armagedon, który nie nadszedł z odmętów kosmosu, ale z naszych prymitywnych umysłów. Stworzona przez nas cywilizacja przerosła nasze umiejętności pojmowania. W gruncie rzeczy wciąż nie wyszliśmy z epoki kamiennej, ciągle żyjemy w tym samym strachu przed obcymi z innego plemienia, bogami i siłami natury. Słowo „ludzkość” w tym kontekście wcale nie brzmi dumnie, brzmi komicznie. Irracjonalne paradoksy na każdym kroku rozdzierają nas na strzępy, a my biernie obserwujemy się w wielu przeczących sobie postaciach. Jesteśmy istotami stadnymi, lecz chowamy się przed wspólnotowością w indywidualizmie. Z uwielbieniem obserwujemy jednostki gromadzące fortunę, zawzięcie mordując się o pozostałe ochłapy. Marzymy o podboju kosmosu, a nie potrafimy objąć rozumem malej cząsteczki świata. Mówimy o dobrobycie i pokoju, a zsylamy na siebie wojnę i nędzę. Rozprawiamy o szczęściu, a gonimy za pieniędzmi jak szczury. Nienawidzimy się za swoją niedoskonałość, a jednocześnie bezgranicznie się w sobie kochamy. Czy może zmienić nas jakiś wielki kataklizm? Czy w ogóle jesteśmy w stanie się zmienić?*

Céline uważała, że żadna zmiana nie jest możliwa. Jako dziennikarka analizowała i przedstawiała fakty, nie zamierzała czynem zmieniać biegu historii. Profesor, który przesłał jej informację o książce, miał rację. Weteran sześćdziesiątego ósmego roku, wieczny idealista, niespełniony bojownik o wolność i sprawiedliwość. Energię swą spożytkował na działalność naukową, podobnie jak wielu przedstawicieli przegranego pokolenia '68, jak autor książki. Świata nie da się zreformować, ponieważ człowiek nie dojrzał do swojego poczucia wielkości. Jesteśmy dziećmi bawiącymi się w życie dorosłych, ale karanie nas niczego nie zmieni. Człowiek to gatunek zwierzęcia, istota, a nie figura etyczna. Nikomu nie dano prawa dyscyplinować ludzkości przy zastosowaniu śmierci. Nie ma to też żadnych logicznych następstw, celem jest tylko sianie brutalnego terroru.

Profesor mylił się jednak w jednej kwestii. Ludzkość miewała swoje przebliski wielkości. Jednostki puchły i rosły poza przeciętność, głowami sięgały obłoków, patrząc na całe to przedstawienie z góry. Jak Céline, wracając z biblioteki do domu. Posiadła kolejną tajemnicę świata. Miasto jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zmieniło się z niedostępnej krainy w jej własne miejsce. Była wielka, a oni wszyscy byli maluczcy. Wymazano ich z krajobrazu niczym szkice ołówkiem, pozostawiając tylko puste powłoki, skorupki szczelnie zamykające w sobie opustoszałe wnętrza. Ślimacze muszle. Potrafili się już tylko bać i nienawidzić, a w krainie bez wyższych uczuć każdy przejaw miłości jest cudem. Céline była lśniącym brylantem gotowym zapalać miłością do wszystkich, którzy spojrzą jej z zainteresowaniem w oczy. Stanowiła żywą dekorację umierającego miasta.

Ze stacji metra wyszła wprost w strumień pochodu zmierzającego całą szerokością boulevard de la Libération w kierunku Canebière, gdzie miał się rozpocząć przejazd premiera. Pary, rodziny z dziećmi, paczki przyjaciół. Zamaskowani jak anarchiści podczas walk ulicznych,

gdzieniegdzie błyszcząły tylko odkryte oczy. Niektórzy nieśli narodowe flagi, z rzadka wznoszono hasła, które zamierały po paru słabnących powtórkach. Ludzie zbierali siły na później lub nie chodziło im o rozładowanie emocji, a jedynie o współuczestnictwo. Dużo łatwiej organizuje się gromadę dla potępienia wspólnego wroga niż dla podjęcia konstruktywnego czynu. Chyba że byłaby nim czyjaś zagłada.

Masa bezosobowych ciał porwała Céline, kobieta utonęła w niej. Przez chwilę przepychała się pod prąd, następnie próbowała pokonać tę rzekę w poprzek. Ugrzęzła w samym środku, pchana nurtem niczym dryfujący kawałek drzewa. Zabrakło jej tchu, z trudem łapała powietrze ściskana napierającymi ciałami. Wyobraźnia wyrysowała w głowie wawóz z pionowymi skałami, z niewielkim świetlikiem nieba u góry, przez który zaraz przestanie dopływać powietrze. Atak klaustrofobii dopadł ją trzepoczącymi dachami pobliskich kamienic, które odrywały się od brył domów i wirowały w stadzie monstrualnych insektów, w każdej chwili mogły zwalić się w dół, jej na głowę.

Ostatkiem tchu krzyknęła, pchnęła ramionami na oślep. Zacisnęła dłonie na czymś ubranu, szarpała resztą sił. Naparła na ścianę, która rozwarła się przed nią, zakotłowała, przemieliła, a na końcu wypuła Céline na zewnątrz. Upadła na bruk, zdzierając z siebie ubranie, pragnąc wchłaniać powietrze całą powierzchnią ciała jak skrzelami. Elementy otoczenia powoli wracały na swoje miejsca, rozpoznawała kształty i detale. Z odkrytą głową i twarzą leżała na chodniku przy drzwiach zamkniętego sklepu. Jednokierunkowa, częściowo rozkopana uliczka nie była szersza niż największy pokój w jej mieszkaniu, w połowie przecięta linią światła i cienia. Ona znajdowała się w słońcu, w cieniu zgromadziło się kilkanaście osób, które przypatrywały się jej w milczeniu. Nie widziała ich oczu za ciemnymi okularami, ale zdawały się ją osądzać, a nawet wydawać już jakiś wyrok. W pierwszej chwili zamierzała przeprosić za zamieszanie, jak to miała w zwyczaju. Tego zawsze od niej wymagano, kajania się i żałowania za bycie gorszą od innych. Nie teraz, nie w swoim świecie. Tutaj ona dyktowała warunki.

– No i czego się tak gapiacie? – Podniosła się, otrzepując luźną sukienkę. Schyliła się po chustkę, ale nie przysłoniła nią twarzy, zwinęła i wcisnęła do plecaka. Hardo uniosła głowę.  
– Coś nie pasuje?

Usłyszała niezrozumiały szept, który wywołał pomruk.

– Jesteś chora – usłyszała kobiety głos. – Ona jest chora!

Céline automatycznie dotknęła twarzy. Tak, była chora, co ujawniła w całej okazałości. W całym okropieństwie zniekształconego ciała. Pogubiła się, straciła orientację w społeczeństwie chwilowo opętanym paniką. Pośród ludzi jeszcze bardziej wystraszonych odmiennością niż zwykle.

– Nie zbliżaj się! Słyszysz? Sprowadźcie patrol, ona może zarażać!

Céline spojrzała w dół uliczki. Wybebeszony chodnik po drugiej stronie częściowo tarasował przejście. Jeśli ruszy do ucieczki, może nie będą jej ścigać. Często musiała w życiu uciekać, rzadko organizowano pogoń. Za bardzo napawała odrazą, żeby ją bić, ograniczano się głównie do szyderstw i wyzwisk. Czasami czymś w nią rzucano.

– Hej, nie ruszaj się! Zostań tam, jesteś aresztowana!

Zrobiła dwa kroki i stanęła. Jej wzrok podążył śladem kilku głów kierujących się w stronę wykopu otoczonego pryzmą kostki brukowej. Powinna zacząć biec, nie zatrzymywać się, jak kazali, pędzić przed siebie ile tchu, ale nie potrafiła się ruszyć. Wrosła w chodnik, zamieniając się w żdźbło rachitycznego perzu. Nie chciała widzieć, jak pierwsza dłoń zaciska się wokół kamienia, ramię wykonuje w powietrzu łuk. Nie chciała poczuć ostrej krawędzi granitowego klocka, zdzieranej skóry i pękającej kości. Pragnęła wystawić się na promienie słońca, cała, wchłaniając jego życiodajną energię, której nie wolno jej było czuć na zdeformowanej skórze.

Chciała powiedzieć coś ważnego, co pozwoliłoby jej przetrwać. Zdążyła jednak tylko pomyśleć, zanim trafił ją pierwszy pocisk. Myliła się. Rację miał autor książki, nie profesor. Ludzkość zasługuje wyłącznie na terror.

Tarcza słońca do połowy schowała się za szczytem budynku. Przez kilka sekund cudownie wypalała jej oczy, zanim te zamieniły się w czarną otchłań. Czwarty cios zgasił w niej światło, kolejne wstrząsały nią tylko niczym kukłą. Kamienowanie ma swój ustalony porządek, dlatego ludzie nie przestawali, dopóki z przeciwnej strony nie nadjechał patrol policji. Oficer wyskoczył z radiowozu i podbiegł do ofiary, nachylił się nad nią. Wtedy w leżącym obok plecaku zadzwonił telefon.

– Hej, Claude, podejdź no tu na chwilę!

Dyżurna funkcjonariuszka była tak wielka, że ledwo mieściła się za ladą recepcyjną. Dyszała jak miech kowalski nawet przy dźwiganiu słuchawki telefonu z widełek, choć na siłowni wyciskała tyle, ile niejeden mężczyzna. Przypominała ciężarówkę ciągnącą ostatkiem sił zdezelowanego silnika, ale wobec kolegów wciąż usiłowała uchodzić za raketę.

– Te cholerne upały mnie wykończą, a mamy dopiero czerwiec. I jeszcze te pieprzone zamieszki...

– Co jest, Honorine, bo się spieszę.

– Gonią was wszystkich na akcję, co? Biały czy czarny?

Eryan domyślił się, że chodzi jej o zabezpieczaną osobę. Nie miał tylko pojęcia, zgodnie z jaką paletą kolorów imam Marsylii miałby być czarny, jeśli jego skóra kolorem przypominała arkusz papieru.

– Premier – rzucił poirytowany. – Słuchaj, jeżeli masz ochotę na gadkę...

– Tak, tak, wiem, służba wzywa, honor, ojczyzna, czy z jakiego tam jeszcze powodu chce się wam ganiać po tym gównianym mieście za policyjne grosze. Poczekaj. – Przez chwilę przrzuciała na biurku jakieś notatki. – Znasz niejaką Céline Dumerc, dziennikarkę?

– No znam, ze słyszenia. A niby czemu?

– Chciała z tobą gadać jakiś czas temu. Odesłałam ją do sztabu kryzysowego, ale upierała się, żeby zostawić wiadomość. Obchodzi cię to coś czy idzie do kibla?

Złapała karteczkę w palce obu rąk, przygotowując się do demonstracyjnego rozdarcia. Claude zerknął na czekających przy wyjściu ludzi ze swojej ekipy, skrzywił się poirytowany.

– *Merde*, Honorine! Trzeba było mi o tym w ogóle nie wspominać.

Wyrwał kobiecie kartkę z rąk i ruszył do wyjścia, odprowadzony jej obrażoną miną oraz środkowym palcem nieśmiało wystającym ponad ladę recepcji.

– Co jest, szefie, nowe rozkazy? – zainteresowała się Caroline z wyraźną nadzieją, że jednak mają dla nich lepsze zadanie.

– Nic z tego, pakujcie się i jedziemy. I tak już jesteśmy spóźnieni.

W biegu zerknął na treść wiadomości i zatrzymał się w połowie kroku.

– *Mouche!* – Dziewczyna spojrzała na niego zza drzwi radiowozu. – Rais się odzywał?

– Nie, próbowałam z dziesięć razy, jest nieosiągalny. Pewnie ugrzązł gdzieś w korkach i siadła mu bateria w komórce.

– Próbuje dalej. Dopóki się nie pojawi, przejmujesz dowodzenie. Marcel, jedziesz ze mną. No jazda, na co czekacie, do roboty!

Trzasnęły drzwi, samochody ustawiły się do wyjazdu z parkingu. Na końcu Claude z podporucznikiem za kierownicą.

– Dokąd jedziemy, szefie?

– Rue Fonderie, numer dwadzieścia pięć. Ale gazem!

– Czyli jednak nowe rozkazy? – bąknął niepewny odpowiedzi, którą mógł uzyskać.

– Tak, Marcel, moje. Wystarczy? – Wklepał numer telefonu zapisany na kartce. Przeczekał siedem sygnałów, ale nikt nie odbierał. Wybrał kontakt do komisarza, ten prowadził jednak rozmowę. – Ale dawaj, dawaj, nie jedziesz z jajkami na rynek!

Kogut przyspieszył, koncentrując się na drodze, grzebieniem irokeza dotykał niemal przedniej szyby. Wybrał okrężną trasę, gdzie ulice były praktycznie opustoszałe. Pozamykane sklepy i śmieci zmiatane przez wiatr przywodziły na myśl scenierię z amerykańskiej produkcji o końcu świata. Marsylia wymarła. Jeśli nie dosłownie, to w przenośni. W jej murach zostały jedynie resztki tłącego się życia. Kapitan co chwila podnosił telefon do ucha, dopiero za trzecim razem udało mu się złapać Fabia Montalego.

– To ja, szefie, nastąpiła zmiana planów. Dostałem ważny cynk w sprawie epidemii, chyba uda mi się ustalić sprawcę. Halo, jest pan tam?

Milczenie przedłużało się, w słuchawce rozbrzmiewało tylko ciężkie sapanie. Przerwał je przytłumiony głos komisarza, prawie szept.

– Zgłosisz się na ochotnika do raportu, Aryan. Po wszystkim, teraz rób, co zamierzasz. Ja mam to wszystko gdzieś, umyвам ręce. Działasz solo, ja nic o tym nie wiem. Jasne?

Rozłączył się, zanim Claude odpowiedział. W żargonie policyjnym oznaczało to „mam cię w dupie”. W ustach Montalego skowyt, żeby nie odbierać mu szansy na pełną emeryturę. I odpowiednio zakamuflowaną zachętę do działania.

– To będzie tutaj, szefie – zakomunikował Marcel, zatrzymując radiowóz na środku ulicy. Krawężniki po obu stronach były zastawione autami. – Które piętro?

– Trzecie. Zostań na dole i dzwoń do Muchy, zapytaj o Raisa.

Claude wybiegł i szarpnął drzwi, były zamknięte. Przeciągnął palcem po przyciskach domofonu, po chwili odezwała się jakaś staruszka.

– Policja!

Zamek został odblokowany natychmiast. Wbiegł do góry, pokonując po dwa stopnie naraz, na trzecim piętrze były tylko jedne drzwi. Zadzwoił, zabębnił pięścią.

– Policja! Próbowwała się pani ze mną skontaktować, proszę otworzyć! Halo!

– Czy coś się stało? – zaskrzeczała staruszka z dołu, drepcząc powoli po schodach.

– Kiedy ostatni raz widziała pani Céline Dumerc? Jest w domu?

– Ja? Nie wiem, w ogóle jej nie widuję. Ona jest jakaś dziwna, tak jakby jedna z nich, ale żyje samotnie. Jak cień!

– Z jakich „nich”? Kogo ma pani na myśli?

– Islamistów! – zdradziła w konspiracji, oglądając się ze zgrozą za siebie. – Najwyższy czas, żeby się nią poważnie zająć!

– *Conneries!* Ktoś ma klucz do tego mieszkania?

– Broń Boże! Nie chcę mieć z tym nic wspólnego!

Claude zachnął się i zbiegł schodami w dół, mijając zdezorientowaną kobietę. Kolejny raz wybrał numer telefonu zanotowany na kartce.

– Słucham? – odpowiedział mu pewny siebie męski głos.

– Czy to aparat Céline Dumerc? Kto mówi?

– Brygadier Jean Piceut. Z kim mam przyjemność?

– Kapitan Claude Eryan, wydział zabójstw, numer legitymacji osiem dwa cztery sześć pięć. Proszę o natychmiastowe przedstawienie sytuacji. Skąd wziął pan ten telefon?

– Wyjąłem z plecaka poszkodowanej.

– Poszkodowanej?

– Tak. Kobieta nie żyje.

Nazwisko odczytane przez policjanta z książki znalezionej w plecaku Céline udało się

łatwo zidentyfikować i wyszukać w książce telefonicznej. Wyludnione ulice sprzyjały operacji, Claude dojechał pod odpowiedni adres w dzielnicy Roucas-Blanc w ciągu dziesięciu minut. Z pompą, na jaką stać było ich mikroskopijny oddział śledczy, dwóch gliniarzy w nieoznaczonym peugeotcie o pulsujących granatowych żrenicach policyjnych kogutów i przenikliwym jazgocie syreny, która wymarłym krętym uliczkom nadawała klimat hollywoodzkiego studia. Wszyscy znikli, na świecie pozostali tylko oni. Ostatni sprawiedliwi w swojej straceńczej misji. Tylko że Claude nie był ani ostatnim, ani sprawiedliwym, był jednym z wielu, którym się w życiu niewiele udało.

Radiowóz zahamował z piskiem opon, wypłaszając stado papug barszkujących w koronach palm, które porastały skraj drogi. Marcel obiegnął maskę peugeota i otworzył bagażnik, zarzucił kamizelkę kuloodporną i kask, ujął i przeładował automat z długą cienką kolbą. Opuścił na twarz szybkę i stanął przed zwierchnikiem w gotowości bojowej. Kapitan przyjrzał mu się jak swojemu sześciolletniemu dziecku, z dozą niedowierzania i wyrozumiałości. Promienie słońca odbiły się od pancerza i załamały w szybie hełmu, nadając podporucznikowi bohaterski wygląd.

– Będziesz mnie osłaniał, Marcel, pójdę przodem. Tylko zabezpiecz ten miotacz, żebyś mi przypadkowo nie przypalił dupska, jasne?

Marcel intensywnym kiwnięciem głowy potwierdził przyjęcie rozkazu i z trzaskiem przesunął dźwignię zabezpieczającą zamek automatu. Przy każdym ruchu z twarzy skapywały mu krople potu, które znikwały natychmiast po zetknięciu z rozgrzanym chodnikiem.

– I zdejmij ten złom z głowy, nie jesteśmy na wojnie.

Aspirant z ulgą pozbył się balastu i bez przekonania schował go z powrotem do radiowozu. Irokez oklapł mu i przylepił się tłustymi strąkami do wygolonej czaszki.

– Nie będziemy musieli strzelać?

– Nie wiem, czy będzie do kogo. Co byś zrobił na miejscu psychopatycznego bandziora?

Marcel wzruszył ramionami. To, że tracili czas na pogadanki, zamiast oblegać mieszkanie, wywoływało w nim bunt.

– Zniknął w cholerę i nigdy się nie pojawił. Albo zamienił chatę w fortecę i czatował za zabarykadowanymi drzwiami z arsenałem broni, żeby dokończyć dzieła z wielkim hukiem.

Claude zmierzył podwładnego z jeszcze większym niedowierzaniem niż przedtem. Tym razem jednak bez wyrozumiałości. Młodzieńcza wizja gliniarza przypominającego żołnierza na linii frontu agresji wkurzała go. Do tej pory żył w przekonaniu, że ich zadaniem było wygaszanie konfliktów, a nie podkładanie do ognia. Cicha, dyskretna eliminacja zgniłków bez wywoływania wojny domowej. Widocznie jednak się mylił.

– Idziemy!

Przeskoczyli płot i podbiegli do domu od tyłu, gdzie kapitan spodziewał się łatwiejszego dostępu. Znał te stare wille z niewielkimi, ale zalanymi zielenią drzew ogrodami, dającymi pozór otoczenia ścianą niezamieszkanego lasu. Sąsiadów praktycznie nie widać, wrażenie odosobnienia jest na tyle silne, że daje poczucie intymności. Złudne jak próba zachowania indywidualności w dwudziestopiętrowym bloku, wszyscy i tak śledzą ruchy wszystkich, dyskretnie szpiegują. Bezpieczeństwo to tylko eufemizm zastępujący zwykłą iluzję radzenia sobie ze strachem. Paranoję, która w bogatych dzielnicach urasta do poziomu psychozy. Claude doskonale rozumiał tych ludzi, obrobił w swojej młodości kilka podobnych domów dzianych burżujów. Zastrzeliliby go za te parę zwiniętych drobiazgów z zimną krwią niczym lisa w kurniku, szkodnika dobierającego się z głodu do ich inwentarza. Ci ludzie do rzeczy mieli dużo większy szacunek niż do obcego życia.

Dlatego nie było wątpliwości, że już zostali namierzeni i rozpoznani. Ktokolwiek przebywał we wnętrzu willi, miał wystarczająco dużo czasu na ucieczkę lub przygotowanie



obrony. Tyle że Claude nie liczył na czyjąkolwiek obecność. Drzwi na werandę otworzył jednym kopniakiem, te właściwe, wyglądające na dużo mniej solidne niż frontowe, dwoma. Huk wyłamywanego drewna przelał się echem po domu i wsiąkł w ściany, przywitała ich absolutna cisza.

– Policja! – zawołał bez wiary w reakcję, przechodząc korytarzem do głównego holu.  
– Wyjdź z rękami uniesionymi do góry!

Gestem głowy nakazał podwładnemu przeszukać parter, sam wszedł po schodach na piętro. Z grubsza sprawdził wszystkie pokoje, oprócz nieporządku w dwóch reszta nie nosiła nawet śladu niczyjej bytności. Gospodarz uczynił więc dokładnie to, co uczyniłby każdy zbrodniarz na jego miejscu, wyparował po popełnieniu zbrodni. Posiadał odpowiednie zasoby i środki, żeby wyjechać na koniec świata, ukrywać się przed wymiarem sprawiedliwości do końca życia. Gdzieś na bananowym zadupiu, gdzie nędzarze będą go witać z honorami, bo przywiezie ze sobą forszę, którą podtrzyma ich marne, nikomu niepotrzebne istnienie.

Zatrzymał się przy ścianie z wywieszonymi zdjęciami w stylowych, zdobionych ramach w stylu art déco. Starsi ludzie, najprawdopodobniej rodzice. Piękna, posągowa kobieta o włoskiej urodzie, przypominająca z profilu Claudię Cardinale – żona. Szczęśliwa rodzina z dzieckiem i psem wesoło merdającym ogonem. Naburmuszona dziewczynka z aparatem na zębach. Żle skadrowana, jakby zrobiona z ukrycia fotografia dorosłej kobiety obejmującej parę maluchów, cała trójka rozbawiona i roześmiana. Tę ramkę Claude zdjął ze ściany i z furją cisnął na podłogę. Ekspłodowała dziesiątkami odłamków szkła, które wypełniły wnętrze domu szklanym echem. Zdusił krzyk wykluwający się w krtani. Jeśli zacznie wrzeszczeć, nie skończy, otworzy się niczym śmiertelna rana i wykrwawi. Isabelle miała rację, jego naiwność była patologiczna. Ale w innym przypadku nie mógłby zostać gliniarzem, tylko księża potrafią karmić się większymi mitami i bardziej wierzyć w kłamstwa. Albo być bardziej cynicznymi gnojami.

– Szeffie!

Wychylił się przez balustradę schodów, Marcel stał w holu i zadzierał głowę, wskazał coś poza polem widzenia.

– Lepiej, żeby to pan zobaczył.

Młody policjant zbladł, kolorem upodobił się do białej marmurowej posadzki, grzywa czarnych włosów i groteskowo wielka kamizelka kuloodporna zdawały się same unosić w powietrzu. Claude zbiegł po schodach i ruszył we wskazanym kierunku. Przez salon urządzonej w formie biblioteki przechodziło się do sporego gabinetu z olbrzymim mahoniowym biurkiem obstawionym stosami książek i skoroszytów. Wyrastały niczym skalne iglice z purpurowego morza. Plama zakrzepłej krwi rozlewała się prawie na całą podłogę, odbijając kontury stromego brzegu ścian i pojedynczych głazów w lustrze ciekłokrystalicznego wspomnienia życia. Pod oknem spoczywał korpus trupa, zza biurka wystawała tylko zmasakrowana głowa bez twarzy. Pozostała z mózgu galaretowata maź tworzyła bagno, które w pamięci Claude'a wzbudziło obraz martwej kuzynki.

Oparł się o framugę drzwi, żeby nie upaść.

– To on?

Pytanie Koguta brzmiało jak z marnego horroru, ale pozwoliło kapitanowi oderwać się od obrazów z przeszłości.

– Skontaktuj się z majorem, przekaż mu dobrą nowinę. I trzymaj się od tego ścierwa z daleka.

Marcel cofnął się na środek salonu, przysiadł na stoliku kawowym. Wyjął telefon, ale przez dłuższą chwilę wpatrywał się biernie w martwy wyświetlacz.

– Hej! Weź się w garść, robota czeka!

Krzyk, który wyrwał się z gardła kapitana, ale zdawał się pochodzić z niewiadomego źródła, otrzeźwił ich obu. Podporucznik dźwignął się ze stolika i wyszedł do holu, Claude wybrał w smartfonie numer komisarza, ale po chwili wahania zmienił zdanie.

Po piątym sygnale włączyła się poczta głosowa.

– Kochanie, to ja. Miałś rację, okłamywałem cię przez ostatnie miesiące. To od niego dostawałem pieniądze, które spowodowały zarzut korupcji. Dla zachowania tajemnicy przelaliśmy je przez zagraniczną spółkę, nikt nie miał prawa się dowiedzieć, ale... Jezu, ależ ze mnie tępy idiota. Założyłem konta na dzieci, część wydaliśmy. Myślałem, że jest ci to winien, że w ten sposób chociaż częściowo odkupi swoje grzechy. Nawet nie wyobrażasz sobie, czego on się dopuścił. Ale skurwysyn nie żyje i mam nadzieję, że trafił na samo dno piekła. Is, twój ojciec nie żyje.

Isabelle szczelnie opatulona w ręcznik wyszła z kabiny. Kłęby pary wodnej przysłaniały sufit, udając obłoki, lustra zaszyły powłoką mgły, na której można było rysować i pisać. Wyciągnęła ramię z wyprostowanymi palcami, lecz nie dotknęła szkła, przycisnęła piąstkę do piersi. Wszędzie mógł czaić się wirus.

W kupce zwiniętych na umywalce rzeczy zawibrował telefon. Przetarła rąbkiem ręcznika jego matową powierzchnię, ścierając wodę. Przez chwilę wpatrywała się w pulsujący napis z imieniem męża. Nie odebrała. Upewniając się, że w łazience nikogo nie ma, zsunęła ręcznik i włożyła szlafrok. Jej piękne ciało zamajaczyło w lustrze pośród ściekających kropeł rozmazany odbiciem. Poświęciła mu tylko jedno spojrzenie, wołała nie przyglądać się sobie, tak jak robiła to wcześniej. Bała się tego, co mogłaby dojrzeć. Czerwonych, zaognionych zwiastunów śmierci.

Zwinęła rzeczy w kłębek i ruszyła do wyjścia. Korytarzem przechodził akurat młody mężczyzna, jego otępiła twarz natychmiast rozbłysła zaciekawieniem, które w ułamku sekundy zamieniło się w żądzę. Przyspieszyła kroku, czując na sobie krępujące spojrzenie, poczuła się naga i zagrożona gwałtem. Z jakiegoś powodu przystanęła jednak przed drzwiami pomieszczenia, w którym ją zakwaterowano. Odpowiedziała spojrzeniem. Młody mężczyzna spuścił głowę, speszony odwrócił się i odszedł, znikając na klatce schodowej. Nie był ani brzydki, ani ładny, nosił koszulkę zespołu metalowego, którego kiedyś słuchał Claude. Właściwie dlaczego nie miałyby posmakować innego mężczyzny? Teraz, kiedy przyszłość była taka niepewna? Przypomniała sobie fabułę *Miasta ślepców*, gdzie ludzie w podobnym położeniu zwracali się ku najprostszym instynktom. Przetrwaniu i pragnieniu seksualnej rozkoszy. Ale tam wszyscy i tak byli zarażeni, tutaj pozostawała nadzieja.

Z zamyślenia wyrwał ją krzyk dzieci, Bruno szarpał się z Ivonne o zabawkę.

– Spokój! – wrzasnęła. – Daj siostrze spokój, to nie twoja zabawka!

Chłopiec zareagował zbyt impulsywnie, za bardzo histerycznie: znieruchomiał z posępną miną, której zdążyła się już nauczyć. Ostatnio miał taką, zanim o mało nie wpadł pod samochód. Wcześniej uderzył w ścianę i rozbił wargę. Szał połączony z imperatywem ucieczki, którego lekarze nie byli w stanie zdiagnozować. Przypadłość określana jako przejściowa, o ile uda się ją przejść bezpiecznie. Bez zagrożenia życia.

Był szybszy. Isabelle rzuciła się w jego kierunku, ale objęła powietrze, chłopiec wystartował pełnym biegiem, wyskoczył na korytarz i ruszył przed siebie. Po drugiej stronie holu były tylko zaryglowane drzwi na nieczynny taras i klatka schodowa, gdzie przed minutą znikł młody mężczyzna. Z balustradą, na której nie zamontowano szklanych paneli, odkrytą studnią o głębokości trzech pięter biurowca, co najmniej dwunastu metrów.

– Bruno, stój!

Jakaś kobieta wyłoniła się z sali przy schodach i uczyniła ruch, jakby próbowała schwytać

pędzące dziecko. Zawahała się jednak i cofnęła, przecież chłopiec stanowił widoczne źródło zarazy. Isabelle pognąła za nim, jednocześnie modląc się, przeklinając los i próbując znaleźć odpowiednie słowa, którymi udałoby się jej zatrzymać syna. Był szybki, za szybki jak na swój wiek, odległość między nimi zdawała się zwiększać, nie zmniejszać. Hamulec nie działał. Chłopiec wszedł w zakręt zbyt ostro, wyciągnięta w panice rączka nie odnalazła zaczepienia na ścianie, nóżki poślizgnęły się na wypolerowanej podłodze, drobne ciało z całym impetem wpadło w niedokończoną konstrukcję, runęło w dół.

– Nieee!

Isabelle dobiegła do schodów z histerycznym krzykiem, z sal rozmieszczonych wzdłuż korytarza wylegli gapie. Kobieta, która nie zatrzymała chłopca, stanęła w progu, żal mieszał się w jej spojrzeniu z ulgą. Że dziecku działa się taka krzywda. Że jej własna krzywda została odsunięta w czasie.

– Łap go, trzeba go złapać! – komenderował blondyn o tłustych włosach, który podszedł najbliżej.

Tylko on widział wiszące dziecko, którego maleńkie dłonie kurczowo zaciskały się na stalowym pręcie. W szeroko rozwartych oczach malucha widać było dno komina, w który zaraz miał wpaść – betonową posadzkę parteru wyłożoną kamiennymi kaflami. W ustach – nieme pytanie, którego nie potrafił wyrazić. Co się stało? Co teraz?

Matka dostrzegła jeszcze wyrysowane na twarzy błaganie o pomoc. Rzuciła się na podłogę, uknęła. Na widok zwisającego z krawędzi schodów synka nakładały się wizje z jej wyobraźni: spadające ciało, krwawiący trup, zmaterializowany krzyk rozpacz. I swoje własne dłonie, wyciągnięte Brunonowi na ratunek. Gołe, bez rękawic profilaktycznych, których nie zdążyła naciągnąć po kąpieli. Jej dłonie zaraz miały dotknąć zainfekowanego ciała. Przenieść chorobę na siebie.

– Trzymaj go, kobieto, co ty robisz?!

Blondyn nie przestawał wydawać instrukcji, choć zachowywał stosowny dystans. Podobnie jak reszta ludzi przechodzących kwarantannę. Zaaferowani wypadkiem wylegli na korytarz, obserwowali akcję z bierną fascynacją. Isabelle czuła ich wbity w siebie wzrok, słyszała pytanie, którego nie zadawali głośno: dotknie go czy nie dotknie? Jej dziecko, które pewnie i tak wkrótce umrze, czy ona? Dokonywali kalkulacji, ważyli szanse na szali życia: rozsądek czy irracjonalne uczucie, przecież miała jeszcze jedno dziecko, przed sobą długie lata. Miłość własna czy miłość do dziecka?

Spojrzała za siebie. Jej wzrok natychmiast wyłowił spojrzenie kobiety, którą przed chwilą surowo osądziła. Dostrzegła w nim szyderstwo i moralną wyższość, ale też cień zrozumienia. Przecież ona postąpiłaby na miejscu Isabelle tak samo. Nie oceniała jej, w obecnej sytuacji najważniejsze było przetrwanie.

Uścisk malutkich dłoni słabł, palce osłonięte porwaną gumą zaczęły się ześlizgiwać z pręta, twarz Brunona zamieniła się w esencję strachu, jądro bólu, który miał nim za moment wstrząsnąć, być ostatnim wspomnieniem odchodzącego życia. Isabelle klęczała jak sparaliżowana, nie była w stanie wykonać ruchu. Wysypka na rękach syna odrywała się od skóry jak czerwone owady, zaczęła obsiadać jej ramiona. Z oddali przyglądał się temu Claude z tą swoją poważną, wszystkowiedzącą miną zawsze prawego gliniarza, perfekcyjnego męża i ojca. To wszystko jego wina, on przywłókł do domu tę zarazę, wydał na swoją rodzinę wyrok.

Robaków było coraz więcej, roily się wokół jej ramion, coraz gęściej obsiadały jej skórę, zaczęła odsuwać od nich ramiona, wycofywać się.

– Mamusiu, nie!

Piskliwy krzyk Ivonne podziałał na nią niczym policzek. Wyrzuciła ręce do przodu,

objęła dłońmi nadgarstki syna i szarpnęła, zapierając się stopami o pręty balustrady, wyciągnęła go na schody, zamknęła w uścisku. Jego przerażenie piekło jak lód, wymrażając jej na piersi znamię, które będzie ją szpeciło do końca życia. Wybuchnęła suchym, bolesnym szlochem.

Niewiele brakowało, a zabiłaby własne dziecko.

Przez bramkę do wykrywania metalu przeszedł zlany potem. Już samej drogi na miejsce omal nie przyplącił zawałem, taksówkę zatrzymano prawie dwa kilometry przed obiektem, resztę dystansu musiał pokonać pieszo. W czarnym garniturze absorbującym w lejącym się z nieba popołudniowym żarze każdą wiązkę energii świetlnej. A chciał wyglądać możliwie najlepiej, godnie, stosownie do pozycji społecznej i swoich naukowych osiągnięć.

– Coś nie pasuje, chłopcze? – ze złością wypalił w twarz ochroniarzowi, który dla pewności badał go ręcznym skanerem. – Jak będziesz w moim wieku, to pogadamy inaczej.

Ochroniarz nie zareagował na zaczepkę, gestem nakazując mu iść dalej. Starszy mężczyzna ściągnął z taśmy tackę z portfelem, zegarkiem i telefonem komórkowym i podszedł do windy. Wybrał przycisk drugiego piętra. Drzwi otworzyły się na hol pełen ludzi, pomiędzy którymi kręcili się dyskretni agenci z kabelkami radiotelefonów w uszach i dużo mniej dyskretni policjanci w mundurach. Na końcu holu stał patrol w pełnym rynsztunku oddziałów taktycznych, z karabinami maszynowymi wymierzonymi w marmurową posadzkę.

Na nieme pytanie w oczach najbliższego policjanta wyciągnął z kieszeni specjalne zaproszenie. Natychmiast przeprowadzono go przez drzwi do sąsiedniego pokoju przeznaczanego dla VIP-ów. Najbardziej zasłużonych członków wspólnoty i najhojniejszych darczyńców. Starszy mężczyzna zainwestował w tę przyjemność pięćdziesiąt tysięcy euro, nie licząc dodatkowych łapówek. Należał więc do tej drugiej kategorii. Nic dziwnego, że prawdziwi, lojalni aktywiści patrzyli na niego i jemu podobnych z odcieniem pogardy. Na szacunek należy sobie zasłużyć, wiarą trzeba się wykazywać na co dzień, nie wystarczy dokonać jednorazowego przelewu. Dobro sprawy zacierało jednak różnice, wymagało jedności. Dla opinii publicznej tworzyli zwartą masę bez skazy, monolit. To było dla nich gwarancją sukcesu.

Starszy mężczyzna przeszedł przez salę, zamienił kilka słów z chętnymi do rozmowy, ucisnął kilka wyciągniętych w swoją stronę dłoni. Przedstawiał się, nie przysłonił sobie jak inni oblicza, nie krył niczego. Teraz już nie musiał, prawie zrealizował swoją misję. Do osiągnięcia celu pozostała mu co najwyżej godzina i kilkadziesiąt metrów dzielących salę VIP od miejsca, gdzie mieli zasiąść tuż po prawicy mistrza dzisiejszej ceremonii. Autentycznego bojownika o prawa tych, którzy uważali się za uciskanych. Kapłana nowego porządku, mesjasza nadchodzących zmian. Proroka najwyższej prawdy. Tłumy wyznawców skandowały na zewnątrz jego imię, śpiewy poruszały fundamentami budynku. Wędrowały po murach, wgryzały się w kości, wywołując gęsią skórkę. Mieli rację, ta wspólnota stanowiła potęgę.

Podszedł do stołu bufetowego i nałożył sobie trochę zimnych zakąsek. Kelner usłużnie nalał mu wina, kiedy tylko zajął miejsce przy stole. Na faszerowane małże i zapiekane w cieście krewetki patrzył z odrazą, a miały stanowić jego ostatnią wieczerzę. Nawet skazani na śmierć mogli wybrać sobie wyszukaną potrawę, on nie był w stanie przełknąć kęsa. Kelner zapytał go, czy może mu zaoferować coś jeszcze.

– Lepsze życie... – wymamrotał do siebie. Takie, w którym miałby prawdziwą rodzinę, potrafiłby sobie lepiej radzić z uczuciami, nie popełniał tylu błędów, których nie da się nigdy naprawić. Wytrwałość. Nawet jeśli uda mu się odkupić część win zaplanowanym czynem, nie wystarczy go na siedemdziesiąt lat jałowej wegetacji. Może i było w tym kilka sezonów walki o sprawiedliwszy świat, później jednak wstąpił na drogę donikąd. Kilka odkryć naukowych, zyskowne patenty, konsumująca wszelki zapał nuda, niepoliczalna liczba bardziej lub mniej przypadkowych kobiet, zdradzeni i oszukani przyjaciele z młodości.

– Czuję w tym miejscu dotyk czegoś wzniosłego, absolutu! – ekscytowała się kobieta bez twarzy.

Usiadła naprzeciwko, ale czarne jak węgiel źrenice oczu skierowała ku widocznym przez okno skrawkom nieba. Pod warstwami materiału nie potrafił rozpoznać jej wieku, energia w oczach wskazywała na gówniarę lub zdziwaczalą raszplę. Miał w swoim życiu je wszystkie, każda wzbudzała w nim teraz tę samą odrazę. Jak czekające na konsumpcję żarcie. Przejadł się tym światem, nie był już w stanie przełknąć nawet okruszka.

Na zawieszonej na ścianie plazmie transmitowano na żywo wydarzenia z miasta. Zarówno premier, jak i imam zmierzali na miejsce swoich przemówień. „Pojedynek w słońcu”, jak konkurencyjne wydarzenia określił jeden z komentatorów politycznych. W dzielnicach północnych wrzało, wokół Grande Mosquée i pałacu prefekta zgromadziły się tłumy z lotu ptaka przypominające rozgwiezdy, o mackach sięgających w głąb ulic dojazdowych. Pozostałe części Marsylii zamarły w oczekiwaniu na rozwój wydarzeń. Podobnie jak reszta Francji i Europy. Dla krajów Zachodu było to starcie o hegemonię wartości, dla państw muzułmańskich zapowiedź powrotu konfliktów religijnych, krucjat. Gdzieś tam przebąkiwano o zagrożeniu nazizmem, ale tym nikt się za bardzo nie przejmował. Nazizm stanowił immanentną cechę kultury Zachodu, mniejsze zło, został na tyle oswojony, że przestał straszyć. Więcej, w obliczu potencjalnego konfliktu dawał nadzieję.

Zebrani w pomieszczeniu goście zamarli, kiedy prezenterka przekazała sensacyjną wiadomość. Co najmniej cztery organizacje terrorystyczne zapowiedziały tego dnia przeprowadzenie zamachu.

Bez trudu przeszedłby przez bramki z detektorami metalu, gdyby na stanowisku nie pojawił się akurat wyższej rangi menedżer ochrony. Rais ledwo zdążył schować broń do kabury, kiedy barczysta sylwetka rzuciła na niego głęboki cień.

– Pan pozwoli z nami, poruczniku – polecił ochroniarz głosem nienawykłym do powtarzania rozkazów. Były wojskowy lub gliniarz z oddziałów taktycznych, z całą pewnością twardy zawodnik.

– Jestem tutaj na wyraźne polecenie zwierzchników, posiadam stosowne dokumenty.

– Nie wątpię. Wolałbym jednak przyjąć pana z odpowiednimi honorami, a przy okazji zweryfikować parę faktów.

Jeden z jego ludzi wskazał windę ramieniem o obwodzie pięciolitrowej beczułki piwa. Nie było sensu prowadzić dyskusji, tym bardziej że Rais i tak wybierał się w tym samym kierunku. Przynajmniej znajdzie się bliżej celu. Nie miał pewności, czy posiadane papiery wystarczą, by dostać się do sali głównej, a tylko tam miał szansę zrealizować zadanie. Być odpowiednio skuteczny.

Wjechali na drugie piętro, przeszli korytarzem pełnym ludzi szczelnie owiniętych odświętymi strojami w kolorze czerni lub bieli. Czarno-biały film bez żadnych odcieni szarości, jak na pogrzebie. Z jakiegoś powodu przeszły go ciarki, przecież przybyli na taką uroczystość powinni się cieszyć, a nie sprawiać wrażenie przygotowanych na śmierć. Być może szalejąca w mieście epidemia zamieniła wszystkich w upiory chwiejące się na krawędzi klifu, pod którym kotłowały się piekielne odmęty. A może nikt już nie potrafił się cieszyć. Mieszkańców Marsylii zamieniono w istoty złożone z samego strachu i nienawiści wobec siebie nawzajem. Świat w pigułce, ludzkość w swej najbardziej reprezentacyjnej postaci. Gatunek o krok przed ostateczną zagładą.

Ochroniarze, którzy obstawiali wejścia do poszczególnych pomieszczeń, różnili się od gości wyłącznie posturą i posągowymi minami. W projektowaniu ich twarzy zapomniano o funkcji uśmiechu, w skrajnych przypadkach pozwalali sobie na grymas, który bardziej kojarzył

się z bólem. Rais próbował zapamiętać rozmieszczenie patroli, ich sieć oplatała piętro niczym pajęczna pułapka. Praktycznie nie do sforsowania, jeśli już się w nią wpadło. Chyba że ofiara sama była pajakiem.

Przeszli z holu do wąskiego korytarza pełnego drzwi, za szklaną ścianą mieściło się centrum zarządzania ochroną obiektu. Mijali biura kierowników, menedżerów i specjalistów, wystarczyłoby ich do zarządzania niewielką armią. Weszli do gabinetu, gdzie przywitała ich sekretarka o głowie dopiero co ożywionej mumii, której oczy ciągle jeszcze nie przyzwyczyły się do dziennego światła.

– Pańska broń, poruczniku.

Beczułka piwa ponownie się uniosła, ale Rais zareagował błyskawicznie. Odskoczył w tył, za plecami miał tylko ścianę. Wielokrotnie ćwiczoną gestem wydobyl z kabury na piersi pistolet, odbezpieczył i wycelował w trójkę mężczyzn. Kobieta za biurkiem wstała z tłumionym krzykiem, z blatu zsunęły się luźne kartki i poszybowały na podłogę.

– Jestem oficerem policji, żaden cywilny funkcjonariusz nie ma prawa odebrać mi broni. Dalszą próbę rozbrojenia mnie uznaję za atak. Strzelę bez ostrzeżenia.

Zignorował napinające się mięśnie ochroniarzy, obserwował wyłącznie ich szefa. Mierzyli się wzrokiem przez cztery niekończące się sekundy, na zewnątrz wybuchnął grom krzyków i zamienił się w nuty monotonnej pieśni.

– Zostaw, Naim! – menedżer zwrócił się do swojego człowieka jak do psa. – Ma pan rację, panie Taider, nie mam do tego prawa. Ale wolno mi zweryfikować pana tożsamość w odpowiedniej instancji. Zapraszam do siebie, to zajmie tylko minutkę.

Odprawił goryli gestem dłoni, przepuścił gościa w progę. Sekretarka rzuciła się na kolana i zaczęła zbierać z podłogi rozrzucone papiery. Te z naklejonymi żółtymi kartkami przypominały dziwaczne kwiaty. Drzwi gabinetu zamknęły się z cichym trzaskiem, mężczyzna minął policjanta i na krótką chwilę ustawił się do niego plecami. Błąd wynikający z nadmiernej pewności siebie, zbyt długiego życia bez realnego zagrożenia mimo wykonywanego zawodu. Menedżer kieruje operacją, ale nie uczestniczy w akcji, z praktyką staje się teoretykiem, skapciałym biurokrata.

Rais nie zamierzał marnować okazji, kolejna mogła się nie pojawić. A nie miał czasu do stracenia, nie przyjechał tam na jałowe pogaduszki z idiotami udającymi, że potrafią obronić tę masę ludzi. Podobno zdefiniowali zagrożenia, udaremnili wszelkie próby infiltracji i prawdopodobieństwo zamachu, nie dawali wiary zapowiedziom i ostrzeżeniom. Pozjadali wszystkie rozumy, a nie wiedzieli nic, nie mieli pojęcia, co ich czeka. Nie potrafili słuchać. Poczucie bezpieczeństwa jest tak samo subiektywne jak świadomość zagrożenia. Jest figurą medialną, wrażeniem. Wiarą.

Zanim ponownie wziął do ręki pistolet, pomyślał o matce. Powinna przeżyć, nawet jeśli on zginie. A możliwości przeżycia ograniczały się dla niego do zbiegów okoliczności i nadziei. Czyli wszystko, co zamierzał uczynić, opierało się na wierze. A przecież w nic nigdy nie wierzył, poza istnieniem dobra i zła. I miał prawo je definiować według własnego sumienia.

Nie trafił czysto, mężczyzna zachwiał się i przytrzymał biurka. Od dwóch kolejnych razów pękła skóra, krótkie włosy na głowie pokleły się krwią. Upadł na twarz, ciągle zaciskając palce na krawędzi biurka. Rais kopniakiem oderwał rękę od drewnianego blatu, zacisnął mu na nadgarstkach plastikowe kajdanki, umocował je do kaloryfera, do ust wcisnął krawat, który zdjął mu z szyi. Uchylił okno, śpiewy wdarły się do środka i wypełniły wnętrze. Wziął do ręki aparat radiotelefonu, wywołał goryli. Hałas na tyle tłumiał głos, że nie dało się go odpowiednio rozpoznać. Rais zagrał *va banque*.

– Naim, wracajcie na stanowiska, sprawa jest czysta.

– Przyjąłem, szefie.

Podszedł do biurka i wcisnął na telefonie numer opisany jako sekretariat. W głośniku zabrzmiał melodyjny kobiecy głos.

– Poproszę do mnie – polecił.

Zawahał się z ręką uniesioną nad głową, jeszcze nigdy nie uderzył kobiety. Tak długo, że wyczytał z głębi nienaturalnie rozszerzonych oczu dziewczyny błaganie. Trafił w czoło, słabiej niż zaplanował, sekretarka upadła i zaczęła się trząść w jakimś niespodziewanym ataku. Przydusił ją kolanem, by założyć kajdanki, zamocował je do nogi oszklonego regału. W usta wcisnął rąbek chusty osłaniającej głowę. Obnażona twarz była doskonała. Przez kilka sekund nie potrafił oderwać od niej wzroku. Odczuł niepewność. Wciąż jeszcze zdołałby uciec, przeżyć długie lata u boku równie ślicznej dziewczyny. Jeśli zostanie, być może nigdy nie zobaczy już nic piękniejszego. Pocałował ją w policzek i dźwignął się z ziemi. Schował broń do kabury i wyszedł z biura. Wyrzwał na pusty korytarz. Droga była wolna.

Wiwaty zamieniły się w grzmot nadchodzącej burzy. Przywódcę witały fanatyczne krzyki i przewalające się ponad głowami tłumy pieśni. W budynku zapanowało poruszenie, podniecenie wykazywali nawet ochroniarze i policjanci. Kobiety z odsłoniętymi twarzami szczerzyły zęby, inne wyrażały szczęście oczami. Mężczyźni zacierali dłonie i klepali się po ramionach, bez określonej przyczyny ściskali sobie prawice. Gratulując lub składając wyrazy szacunku. Wszyscy członkowie ekskluzywnego klubu zdawali się być tego dnia braćmi, członkami solidarnego plemienia.

Na hasło hostessy goście ruszyli do wyjścia, stłoczyli się zwartą grupą przed zamkniętymi drzwiami. Mimo odgórnie ustalonej hierarchii każdy chciał być pierwszy, szybciej niż inni przywitać się z tak długo wyczekiwany człowiekiem, spędzić tę wzniosłą chwilę nowego otwarcia w bliskości energii płynącej z charyzmy i dostojeństwa. Szept przerodził się w harmider głosów i coraz słabiej tłumionych śmiechów nieskrywanego szczęścia. Najważniejszy gość znajdował się już w budynku, za moment znajdą się z nim w jednej sali.

Drzwi otwarły się jak bramki startowe, ludzie ruszyli z boksów jak charty w pogoni za ścierwem królika.

– Szybciej! – krzyknął starszy mężczyzna, pchnąwszy najbliższego faceta. Histeria rozpalila się jak stóg siana od iskry. Na to liczył, na chaos, który on wykorzysta dla zaplanowanego porządku następujących po sobie aktów.

Tłum zakolysał się, zakotłował, po czym ruszył biegiem przed siebie, korkując się w progu drzwi do niewielkiego holu, gdzie miało nastąpić spotkanie z guru. Krótkie przywitanie i wspólne wyjście na zewnątrz, prosto w ramiona tysięcy wiwatujących ludzi. Ochroniarze instynktownie zamknęły przejście swoimi zwalistymi ciałami, nie mieli jednak szans utrzymać napierającej masy. Starszy mężczyzna atakował w pierwszej linii, wpadł na agenta i razem zostali rzućni na ścianę. Ukradkiem wcisnął mu dłoń pod marynarkę, wyciągnął z kabury broń.

– Spokój!

Głos najważniejszego gościa zatrzymał ludzi w połowie ruchu, tłum zamarł. Oto pojawił się, stał przed nimi z ręką uniesioną w pozdrawiającym geście. Jego przyboczna straż rozpoczęła akcję pacyfikacyjną, dzieląc znieruchomiałą masę na sektory i rzędy, wprowadzając akceptowalny porządek. Gdyby nie mieli do czynienia z elitą, z całą pewnością na pomoc wezwaliby grupę taktyczną z tarczami, gazem łzawiącym i gumowymi kulami. Wystarczyło jednak dobre słowo ich szefa, a pokój został natychmiast przywrócony.

– Moi kochani, nie należy się spieszyć. Jestem tu przede wszystkim dla was, dopiero w następnej kolejności dla naszych wyznawców. Pamiętajmy, że walczymy za Francję, dzisiaj otwieramy przed naszym krajem nową przyszłość. Wiara we wspólne wartości pozwoli nam pójść dalej, ze sobą weźmiemy tylko tych, którzy podzielą z nami tę solidarność idei i ducha.

Resztę zmusimy do posłuchu, nawet jeśli będzie to oznaczało wojnę. Czy jesteście gotowi na świętą wojnę?

Z pomruku aprobaty można było wyłowić pączkujące wielogłosem „tak”, „jesteśmy gotowi”, a także różne nawoływania do boju. Gość honorowy uniósł ramiona jak podczas nabożeństwa, jakby chciał nimi objąć wszystkich zebranych.

– Dzisiaj jest naszym nowym jutrem! – zakomunikował, wywołując kolejną salwę okrzyków.

Szef ochrony dał znak głową, że można rozpocząć kolejną część programu – przywitania z przywódcą. Starszy mężczyzna rzucił się do przodu, wyprzedzając innych. Dopadł wyciągniętej dłoni najważniejszego gościa, zanim zareagowała ochrona. Uścisnął prawicę i nagłym gestem zawinął ramię wokół ciała, przywierając do jego pleców. Odbezpieczony pistolet wbił łufą w brodę ofiary. Kilku agentów jak na komendę dobyło broni, wymierzając ją w napastnika, oficerowie zaczęli wzywać posiłki. Okradziony agent stał w kącie, z przerażeniem obmacując pustą kaburę. Od ścian niewielkiego holu odbiło się echo wspólnego jęknięcia, po czym zapanowała grobowa cisza.

– Każ im odłożyć broń i pozamykać drzwi – zwrócił się mężczyzna do kierownika ochrony.

Ten wbił wzrok w obezwładnionego, który sugestywnie mrugnął oczami. Rozkaz z zaciśniętych ust wydobył się po chwili wahania psim warknięciem. Agenci specjalni byli sforą psów, które niespodziewanie podszedł stary lis. Bardziej zaboląła ich zraniona duma niż ryzyko utraty zabezpieczanej osoby.

– A teraz połóżnię prawą rękę – wyszczał starszy mężczyzna do ucha ofiary. – Jeśli drgniesz, nacisnę na spust. Pamiętaj, że jestem stetryczały i roztrzęsiony, mogę nie zapanować nad ruchami.

Wiotkie ze strachu ciało prawie straciło równowagę, gdy starszy mężczyzna połóżnił uścisk, tylko wbita w brodę stal pozwoliła mu ustać w pionie, ostatni filar walącej się budowli. Strzęp pysznego, ogarniętego manią wielkości człowieka, gotowego jednym gestem skazać miliony na cierpienie i śmierć. Bohater ślaniający się pod ciężarem paraliżującego tchórzostwa.

Starszy mężczyzna wolną ręką naciągnął na głowę opuszczoną na ramiona czarną chustę, owinął nią głowę sobie i pojmanemu, pozostawiając tylko niewielki świetlik do patrzenia. Przywódca duchowy drgnął, przylegające do siebie ciała rozgrzał strumień tryskającego moczu. Słodko-kwaśny smród lęku uderzył w nozdrza, nosił w sobie nutę przewidywanej śmierci.

– Boisz się ciemności, koleżko? – szyderczo wyszeptał liderowi w ucho starszy mężczyzna. – A teraz udamy się na taras – zakomunikował na głos. – Poinformuj snajperów, żeby nie próbowali strzelać.

Kierownik ochrony tym razem nie szukał potwierdzenia rozkazu u zabezpieczanej osoby. Wzrok wbił w napastnika, jakby w ten sposób usiłował przestrzelić mu głowę. Rzucił odpowiednią informację do radiotelefonu, jednemu z agentów nakazał otwarcie drzwi. Czteronożna pokraka z tułowiem o nieokreślonym kształcie i niewidoczną głową zaczęła powoli skradać się do wyjścia na balkon. Kiedy ukazała się oczom zebranych na placu, śpiew ustał. Powietrze stężało i pękło świstem zawodu. Tłum zaszeleścił pytaniem, zaszemrał głosem sprzeciwu. Starszy mężczyzna doprowadził przywódcę zebranych mas do mikrofonu.

– Nie będzie dzisiaj żadnego nowego otwarcia, początku – zaryczały głośniki słowami starszego mężczyzny. – Niniejszym oznajmiam zamknięcie tego poronionego projektu. Obwieszczam koniec!

Odnosił wrażenie, że to koniec.

Stanął przed domem, kiedy na ulicy pojawiły się radiowozy służb wojskowych. Major



wyskoczył z auta pierwszy, zatrzymał się dwa metry przed nim, jakby mieli ustalić warunki czekającego ich pojedynku. Słońce świeciło Eryanowi wprost w oczy. Z całą pewnością przegrałby tę strzelaninę. Nie wiadomo tylko, o co niby mieliby walczyć. Obaj przegrali wyścig o schwytanie sprawcy zarazy, stracili szansę odpowiedzi na wszystkie pytania. Policjant dodatkowo mógł stracić rodzinę. Nawet jeśli przeżyje, pewnie nigdy już do niego nie wróci. Zapodział też gdzieś coś bardzo ważnego, co pozwalało mu do tej pory podążać we właściwym kierunku. Poczucie sprawiedliwości i realizacji misji. Przestał rozpoznawać i dobro, i większe dobro. Nie dostrzegał już nawet mniejszego zła. Otaczał go czyściec, gdzie każda decyzja jest błędna, a każdy czyn kończy się karą. Pozostała mu jego własna męka lub męka zadawana innym. Koniec.

Pokręcił głową w odpowiedzi na nieme pytanie żołnierza.

– Nic nie wiem i niczego więcej nie chcę wiedzieć. Denat jest cały twój, złożę zeznania później.

– Jakież ślady osób drugich, ktoś mu pomagał?

– Miał wiedzę i umiejętności, swego czasu był jednym z lepszych biologów w kraju. Miał dostęp do technologii i sprzętu, czy czegoś więcej potrzeba?

– Chorego umysłu.

– I wizji. Chyba to właśnie w nim było najgorsze. Skurczybyk miał swoją cholerną wizję.

W kieszeni poczuł wibrację smartfona. Skinieniem głowy pożegnał się z majorem i odebrał połączenie, zmierzając do zaparkowanego przed posesją teścia radiowozu.

– Znasz lokalizację Raisa Taidera? – Głos komisarza był bardziej grobowy niż ostatnio, jakby spełnił swoje obietnice i zdechł, ale wciąż musiał pracować z zaświatów.

– Nie, od rana nie mogę go złapać. Coś się stało?

– Oj, stało się, Aryan, stało się. I pomyśleć, że to był twój najlepszy człowiek, najbardziej zaufany oficer.

– Nie rozumiem...

– Taki z ciebie widać detektyw, Claude. Ze mnie zresztą nie lepszy, też niczego nie zauważyłem.

– *Merde!* Nie chce mi się słuchać tych rebusów, mam dosyć, więc...

– Więc dostaniesz jeszcze więcej, kapitanie. Rais został zidentyfikowany jako współpracownik jednej z islamskich organizacji terrorystycznych.

– Nie!

– Tak. Służby specjalne mają go na oku od paru dni, śledzili go za pośrednictwem swoich lumpów, ale w tym całym zamieszaniu zniknął im z oczu. I nagle pojawił się w rejestrze wejść nie tam, gdzie powinien być. A nieznani sprawcy zapowiedzieli na dzisiaj zamachy. Mówi ci to coś?

– Niemożliwe, szefie, Rais to...

– To przede wszystkim Algierczyk, potomek muzułmanów! Terrorysta! Masz zapakować dupę do wozu i zapierdalać na miejsce! Po drodze otrzymasz szczegółowe instrukcje. Claude – dodał ściszym głosem komisarz. – On ci ufa. Jeśli komuś uda się odwieść go od najgorszych zamiarów, to tylko tobie. Ja też ci ufam, powodzenia.

Fabio Montale rozłączył się, ale Eryan przez dłuższą chwilę nie był w stanie się ruszyć. Przez głowę pędziły mu sceny i strzępy dialogów, składające się nagle w niespodziewaną całość. Dziwne zachowanie Raisa, wstrząs spowodowany śmiercią chłopca, dylematy tożsamościowe. Działania wywiadowcze prowadzone w środowisku islamskim, tajemnicze spotkania, podejrzani informatorzy. Właśnie w ten sposób odbywa się rekrutacja zamachowców, a oficer policji byłby dla komórek terrorystycznych doskonałym nabytkiem. Musieli trafić w jego czułe punkty

w odpowiednim czasie i miejscu. A Marsylia była więcej niż wylęgarnią fundamentalizmu, sama w sobie stanowiła zagrożenie dla świata. Claude uzmysłowił sobie, że tak naprawdę w ogóle nie zna kolegi, przez te wszystkie lata współpracy byli jedynie kilka razy na piwie. Mógł prowadzić podwójne życie pod doskonałą przykrywką, poza podejrzeniami.

Zacisnął pięść i grzmotnął nią w dach samochodu. Marcel zbliżył się do niego od strony posesji.

– W porządku, szefie?

– Nie, poruczniku, nic nie jest w porządku, kompletnie nic. Zdarzyło ci się uważać kogoś za przyjaciela?

Młody policjant przybrał zdumioną minę. Kiedy otwierał usta do odpowiedzi, przełożony odwrócił się i podszedł do wojskowego dżipa.

– Pożyczam od ciebie wóz, muszę pilnie dojechać w pewne miejsce. Może być z kierowcą lub bez, wybór należy do ciebie.

– Słucham? – Kogut uśmiechnął się, jakby usłyszał dobry żart.

Kapitan odepchnął go od drzwi i siadł za kółkiem, żołnierz wymierzył w niego pistolet.

– Strzelaj albo zejdź z drogi, ja mam to w tej chwili w dupie. – Przez kilka sekund mierzył się wzrokiem z pojedynczym okiem kalibru 9 milimetrów, który odpuścił pierwszy.

– Tak myślałem. Pakuj się, Marcel, jedziemy na akcję!

– Nie będziemy mieli kłopotów, szefie?

– Będziemy, ale już gorzej i tak być nie może. Rais jest podejrzany o terroryzm. I tylko my jesteśmy go w stanie powstrzymać.

Al-Bandżabi miał rację, nikomu nie wolno ufać. Życie ludzkie nie ma żadnej wartości, niezależnie od koloru skóry czy wyznania. Liczy się tylko idea, wizja. Nie to, co istnieje, lecz to, co podpowiada wiara i wyobraźnia. Koniec świata, przedczesny Sąd Ostateczny, przyspieszony raj dla wybranych.

Rais zbiegał schodami przeciwpożarowymi, przeskakując po trzy stopnie naraz, niemal sfruwał z drugiego piętra. Jakimś cudem udało mu się dostać do wnętrza budynku, teraz potrzebował jednak większego cudu. Modliłby się, gdyby potrafił, ale w jego przypadku religia nie polegała na klepaniu monotonnych fraz, na biciu grzeszną głową w betonową posadzkę. Swój stosunek do sprawy wyznawał czynem, działanie stanowiło dla niego wyznanie wiary. Jeśli w ogóle w ten sposób dawało się zdefiniować to, co odczuwał. Więż, która łączyła go z ludzkością, a jednocześnie z czymś znacznie większym, nie do ogarnięcia umysłem. Z transcendencją zamieniającą ciasną wyobraźnię w nieskończoność kosmosu. W absolut.

Zatrzymał się przed drzwiami, które powinny prowadzić do sali głównej. Łapał oddech, zastanawiając się nad kolejnym ruchem. Czas pędził nieubłaganie, główne przemówienie miało rozpocząć się lada chwila. Doskonale dostrzegał przed sobą ós czasu, na której zostało już tylko kilka krescetek do wypełnienia. I zmierzającą w przeciwnym kierunku linię prawdopodobieństwa, które zmniejszało się coraz bardziej. Szanse na odnalezienie właściwego miejsca malały z każdą minutą, bez odpowiednich wskazówek nie wykona swojego zadania. A telefon wciąż milczał.

Wbrew instrukcji wybrał podany mu wcześniej numer i przyłożył aparat do ucha. Pomiedzy pojedynczymi sygnałami tworzyły się wyrwy szerokości kanionów, w których ginęła wszelka nadzieja.

– Kazałem ci czekać na telefon! – warknął męski głos po szóstym sygnale.

– Pierdol się! Za chwilę będzie za późno, rozumiesz?! Rozumiesz?

Cisza podobna do tej pomiedzy sygnałami. Rozumiał, wszyscy rozumieli konieczność. Prawie nikt jednak nie wiedział, co z nią zrobić, jaką decyzję podjąć. Milczenie przerywał świst

przyspieszonego oddechu, zegar bomby ustawionej na wcześniejszą eksplozję.

– Głośniki kolumn basowych – zakomunikował głos z dużym wahaniem. – Nie możemy namierzyć naszego człowieka, musieli go dorwać. Może też już to wiedzą, czekają na nas. Jeśli...

Rais zakończył połączenie. Wsunął telefon do kieszeni i szarpnął drzwi. Nie interesowało go żadne „jeśli”, nie przyjmował warunków. Podjął decyzję i nie zamierzał jej zmieniać. Była to kwestia sensu istnienia. Swojego i swoich najbliższych. Matki.

Szybkim, pewnym krokiem minął posterunek ochrony. Jeden z agentów podejrzliwie przyjrzał się dyndającemu na szyi identyfikatorowi z mikroskopijnym zdjęciem. Trudno było spodziewać się penetracji ze strony centrum dowodzenia, największą uwagę zwracano na przybywających z zewnątrz. Rais znał zresztą ten wyraz twarzy, sam dostrzegał go często w lustrze. Te kilka zmarszczek na czole oznajmiających brak złudzeń i wiary w drugiego człowieka. Zawodowa nieufność ludzi, którzy na co dzień obcują z najgorszymi cechami charakteru i osobowości. Ciągły stan zagrożenia ze strony przedstawicieli tego samego gatunku.

Minął szereg kolumn, od strony dziedzińca dobiegał śpiew, który z każdym krokiem przybierał na sile. Dźwięk gęstniał, jego intensywność zamieniała się w ciśnienie powietrza. Kiedy wyszedł na wolną przestrzeń niemal zgmiotła mu głowę, z bólem wciskając bębunki w głąb czaszki. Harmider tysięcy ludzkich strun głosowych krępował ruchy, dezorientował w przestrzeni i ograniczał widoczność. Rais ogłupiałym wzrokiem przebiegł po ścianie zastawionej olbrzymimi ekranami i klockami kolumn nagłośnieniowych, z kilometrami przewodów pnących się po murze.

Odepchnął mężczyznę w uniformie służby informacyjnej, który próbował mu coś wyjaśnić, ruszył biegiem w kierunku ogrodzeń z barierkami antyterrorystycznymi. Wpadł w tunel techniczny, potknął się o źle zamontowane najazdy, stracił równowagę, przytrzymał się płotka, by nie upaść. Podniósł wzrok wprost na szereg ciągnących się na długości kilkunastu metrów kolumn wielkości zamrażarek do mięsa. Kilka z nich było tymi właściwymi, o bebechach wypełnionych uzbrojonym semteksem. Połączone w jeden śmiertelny ładunek gotowy zmieść z powierzchni ziemi budynek o gabarytach pałacu. I wymordować tysiące stłoczonych ludzi jednym jadowitym splunięciem.

Ból ze skroni spłynął w dół, ciśnienie miażdżyło mu płuca i zaczynało obejmować serce. Stalowy uścisk mroził łzami i jednocześnie palił miłością, matka na spółkę z wymarzoną kochanką wtulały się w nie, nie chcąc puścić. Wyrwał im się ze świadomością, że mogą to potraktować jak zdradę. Zrozumieją, kiedy już będzie za późno.

Wskoczył pomiędzy kable, zaczął gorączkowo sprawdzać łączenia. Na te właściwe trafił po kilkunastu sekundach, nie wydawały dźwięków. Martwe i gotowe zarazić swoją martwością ziemię, skazać ją na zagładę. Zapalnik był na pewno połączony na sztywno, do awaryjnego odpalenia ręcznego. Musiał go znaleźć, zanim ochrona zorientuje się w sytuacji i ruszy do kontrataku. Kostka wielkości switcha zbierała w sobie kilka przewodów. Chwycił ją i zatrzymał się w połowie ruchu. Nie wyglądała stabilnie – aluminiowe pudełko, mała elektroniczna ośmiornica z wijącymi się czarnymi mackami. Jednym pociągnięciem wyrwie ją, w ten sposób realizując misję. Wybuchnie lub nie wybuchnie. Przeżyje albo pójdzie w zaświaty. Czekają go raj albo piekło.

Kątem oka zauważył zmierzający w jego kierunku patrol. Szarpnął.

– Odłóżcie broń i wyjdźcie tamtymi drzwiami – polecił starszy mężczyzna agentom, którzy zabezpieczali balkon. – Operacja skończona.

Wyższy, o krótkiej, idealnie przystrzyżonej brodzie upodabniającej go do postaci komiksowej, kucnął, odkładając pistolet na marmurową posadzkę. Wstał z rękami wzniesionymi do góry i małymi krokami zaczął oddalać się w kierunku wskazanych drzwi. Wykonywał

dokładnie to, do czego go wyszkolono, ochraniał przydzielony mu obiekt. W tej sytuacji oznaczało to pasywną uległość, gdyż tylko współpraca z porywaczem dawała szansę na powodzenie akcji – uratowanie zakładnika.

Niższy, o wygolonej głowie i kwadratowej szczęce, wciąż trzymał broń w gotowości. Mierzył w miejsce, gdzie jego zdaniem znajdowała się głowa bandyty. Czarna chusta okalająca stojących na środku platformy mężczyzn próbowała oszukać snajperów, ale on był pewny swojego strzału. Trafiał do celu zawsze.

– Mam go na muszce – szepnął do mikrofonu radiotelefonu. – Proszę o pozwolenie na egzekucję.

– Nie, Douis, nie zezwalam na strzał! – padła odpowiedź od kierownika ochrony. – Masz wykonać polecenie porywacza! Wypełnić rozkaz!

Armand obniżył nieco ramię, ale w ułamku sekundy powziął inną decyzję. Nadszarpnięta duma i kotłująca się w środku wściekłość nie pozwalały mu tak łatwo odpuścić. Poza tym trudne czasy wymagały poświęceń, a stan wyjątkowy bohaterów. Był jednym z nich, nigdy w tę prawdę nie wątpił. Lojalny i wierny, twardy i nieustępliwy.

Błyskawicznie wymierzył. Padł strzał, a zaraz za nim następny. Pierwszy upadł agent zbliżający się do wyjścia, kula trafiła go w pierś i wytrąciła z trajektorii skoku, którym próbował dopaść upuszczony pistolet. Armand przysiadł, pocisk wbijający się w czoło odrzucił go nieco do tyłu, ale nie powalił natychmiast. Pozostał w pozycji siedzącej przez kilka sekund, przyglądając się upiornemu dwugłowemu zabójcy, który rósł, wznosił się coraz wyżej, potężniał. Wkrótce przysłonił cały widok swoją czarną chustą, kojarzącą się z burką. Armand zmarł z panicznym lękiem, że został pokonany przez islam. Przegrał.

– Nie strzelać! – z głośników radiotelefonów wydobywał się zniekształcony krzyk kierownika ochrony. – Wstrzymać ogień!

Starszy mężczyzna wbił rozgrzaną lufę pistoletu na powrót w brodę ofiary, która w odpowiedzi na eksplozję dziesięć centymetrów od twarzy popuściła kolejną porcję moczu. Wydobywający się z krtani pisk przez chwilę przypominał świński. Kiedy echo strzałów ulotniło się w przestrzeń, przeszedł w świst wiatru w dziurce od klucza, nie ustawał. W nagle nastącej ciszy brzmiał równie żenująco, jak wypuszczane ukradkiem gazy. Żaloszny i kompromitujący. Wzbudzający odrazę.

– Widzisz, ile z was pozostaje, salonowych herosów toczących wojny obcymi rękami? – starszy mężczyzna wysyczał mu w ucho. – Szczyny i zafajdane gacie.

Przysunął się bliżej mikrofonu, zaczerpnął powietrza.

– Zamieniłem was w kukły szczelnie owinięte nienawiścią i lękiem – rozpoczął przemówienie. – Uczyniłem z was masę cieni bez przyszłości i twarzy. Zesłałem na was chorobę, o jakiej istnieniu tylko słyszeliście w mediach. Uzmysłowiłem wam trwogę przeżywaną codziennie przez nędznych i wyzyskiwanych, uciskanych przez religię i pieniądz. Niechcianych uciekinierów, pogardzane mniejszości. Dałem wam szansę ponownego odszukania w sobie człowieczeństwa i solidarności. Fanatyzm powinien odejść w ten sam sposób, w jaki unicestwia niewiernych, obcych.

Wolną ręką sięgnął po telefon komórkowy. Wyciągnąwszy go z marynarki, opuścił na ramiona chustę. Wprowadził na klawiaturze kombinację cyfr, wykrzykując ostatnie słowa. Na ekranie wyświetliło się zdjęcie kobiety z małymi dziećmi.

– To bomba! – rozległ się głos kierownika ochrony. – On uruchomi bombę!

Wojskowy dżip przemierzał puste ulice Marsylii z rykiem pięciolitrowego silnika, który zagłuszał nie tylko wyjąca syrenę, ale i myśli. Te pojawiające się równolegle, niepotrzebnie rozpraszające koncentrację. O przechodzącej kwarantanną rodzinie, zainfekowanym chorobą

synu i rozgoryczonej żonie. O teściu, który okazał się psychopatycznym mordercą, choć niewiele brakowało, żeby się z nim zaprzyjaźnił. O mieście rozdartym na pół ludzką nienawiścią. O rozpędzonym świecie, nad którym straciliśmy wszelką kontrolę, który dryfuje ku swojej własnej zagładzie.

Teraz liczył się tylko jeden cel – powstrzymać Raisa. Następnego w kolejce niedoszłych przyjaciół – zbrodniarzy. Ileż furii musiało skrywać w sobie to społeczeństwo, żeby wybuchnąć erupcją gniewu w tak nieprzewidywalnych miejscach? W jaki sposób ludzie, którzy tyle dobrego wnosili do wspólnoty, decydowali się na tak ostateczne czyny? Nie wystarczy powiedzieć, że ten kraj zwariował. Choroba, która ogarnęła Francję w takim nasileniu, była nieuleczalna, Francja wręcz kipiała obłędem. A z nią Europa, cały zachodni świat. Próbowaliśmy stworzyć sobie raj kosztem piekła innych. Teraz sami wylądowaliśmy w piekle.

Protektory kół wyły, trąc o powierzchnię miasta. Pęd dżipa połykał jezdnie i domy, pochłaniał kształty i kolory. Marsylia chwiała się, jakby została odlana z gumy, karykaturalnie rozciągała się i kurczyła. Roztopiała w morderczym słońcu, rozpływała lodem, którym skute było jej serce. Coś zapowiadało koniec, choć w jazgocie jazdy trudno było zrozumieć słowa. Ktoś skazywał ludzkość na zagładę, ale nie dawało się rozpoznać języka ani miejsca, skąd wypływały głosy. Z góry lub z dołu, a może po prostu wisiały w powietrzu gęstą, cuchnącą zawiesiną, mieszaną zapyziałych podwórek, wilgoci i spanikowanych oddechów.

Blokada wojskowa pojawiła się tuż przed nimi, strażnik wyszedł przed szlaban i skrzyżował ramiona nad głową. Jego pancerna postać zafalowała w rozgotowanym powietrzu, przybrała kształt brunatnej pochodni. Marcel wychylił się z okna i zaczął krzykiem nawoływać do otwarcia szlabanu, odblokowania przejazdu. Jego wściekle wymachiwania ramionami nie przynosiły efektu, na widok rozpędzonego dżipa z policjantami za szybą drogę zatarasował samochód opancerzony, wieżyczka obróciła się w ich stronę, opuszczając działko niczym oko cyklopa. Zahamowali, o mało co nie potrącając strażnika, który odskoczył, ujął broń i przyjął pozycję do strzału.

Policjanci wyskoczyli z kabiny z rękami uniesionymi do góry, przez kilka sekund przekrzykiwali się z żołnierzami, którzy nakazywali im klęknąć na ziemi. Claude za zgodą sierżanta połączył się z szefem, podał telefon. Sierżant po chwili rozmowy kiwnął głową, zwrócił aparat. Claude nie był już w stanie znieść wrzasku intuicji, która zagłuszała wszystko dokoła, nakazywała się spieszyć. Ruszył biegiem, ominął wianuszek żołnierzy i wóz pancerny, długimi susami zbliżał się do kordonu ochrony otaczającego budynek. Kilku wojskowych z niepokojem poruszyło się na widok biegnącego w ich kierunku mężczyzny w bojowym uniformie policji. Któryś przyłożył do ucha radiotelefon, inny zaczął nawoływać stacjonujący opodal patrol grupy interwencyjnej.

W niebo wzbijała się melodia adhanu wyśpiewanego przejmującym falsetem muezina. Ziemia zareagowała na ten sygnał skierowany do Boga przekleństwem. Powietrze stężało i zagaściło się niczym szklany odlew, fundamenty zadrżały i zafalowały, masyw wspaniałego budynku zakołysał się, uniósł kopułą w górę, a następnie przekrzywił się na prawy bok, ukląkł. Strzelista iglica minaretu pękła jednocześnie w dwóch miejscach, składając się jak laska teleskopowa. Dźwięk erupcji ziemi przyszedł w drugiej kolejności, grom kataklizmu, tektonicznego pęknięcia skorupy lądu, pomruk Tartaru pożerającego ludzkie dusze. Wspaniała konstrukcja Grande Mosquée rozłupana eksplozją na parę sekund zawisła w szklanym powietrzu podzielona na kilka fragmentów gigantycznych puzzli, po czym runęła w dół, zabierając za sobą piętkno tworzenia i sens życia.

Podmuch zmiótł przylegające do świątyni tereny rozszalałym cyklonem, zamienił je w pobojozisko przysłonięte całunem kurzu i sadzy, wypełnił zmysły zmaterializowaną śmiercią.

Claude poczuł uderzenie fali i upadł. Próbował podnieść się, oderwać od lepkiej płaszczyzny parkingu i wypłynąć na powierzchnię, wydostać się z tego oka cyklonu. Stracił orientację w przestrzeni, przestawał rozpoznawać kierunki, górę i dół. Oślepl zamurowany betonowym kurzem, odór spalenizny palił mu płuca, poszukujące punktu zaczepienia dłonie zaciskały się na zmianę na czymś rozpalonym i twardym albo mokrym i miękkim. Gwizd w ogłuszonej głowie przeszedł stopniowo w przeciągłe wycie oszołomionych i rannych.

*Zwęgleni ludzie. Zło się szerzy. Cała planeta stoi w ogniu. Za późno. Piekło.*

Kiedy uświadomił sobie, że pływa w zawieszaniu z ludzkich szczątków, przyłączył się do chóralnej melodii bólu i rozpacz. Miał nadzieję, że tonie i wkrótce zabraknie mu tchu. Stracił rodzinę, cel istnienia i resztki wiary w człowieka. Wolał odejść z innymi niż pozostać w tym świecie. Choćby do piekła. Tam nie może być gorzej.

– Faszyzm nie jest początkiem niczego nowego, jest początkiem naszego końca!  
Próbowaliście walczyć ogniem, niech więc was ogień pochłonie!

Porywacz zsunął chustę przysłaniającą podwójną postać. Zbliżenie twarzy przyklejonych do siebie strugami potu wypełniło całą powierzchnię ekranu. Isabelle zerwała się z miejsca i podeszła do telewizora, wyciągnęła ramię i dotknęła opuszkami palców powierzchni plazmy, pomarszczonej skóry szaleńca.

– Tato... – wyszeptła, ledwo poruszając wargami.

Za plecami usłyszała pomruk niezadowolenia, zabierała widoczność. Cofnęła się, ale nie wróciła na miejsce. Usiadła na podłodze pod telewizorem, zadarła głowę, patrząc na drżący obraz transmisji telewizyjnej. W dzieciństwie, kiedy jeszcze mieszkała z ojcem, robiła podobnie. Mościła się na dywanie tuż przy fotelu, który zazwyczaj zajmował. On brał do ręki książkę i zaczynał czytać, ona wpatrzona w niego jak w jakieś bóstwo chłoneła każdą minę, niewidzialnym dotykiem penetrowała załamania i wyżłobienia na ukochanym obliczu. Wtedy ojciec był dla niej wszystkim.

– Mamo, co się stało? – Ivonne podeszła i z płacziwą miną objęła jej szyję. W tej pozycji były prawie równego wzrostu.

– Nic się nie stało, córeczko. To jest twój dziadziuś, widzisz?

– Przecież mówiłaś, że my nie mamy dziadka.

– Tak, tak mówiłam, bo nie mieliście. Ale teraz macie. Być może nie mamy nikogo innego oprócz dziadka. Ale ciii, nikt się nie może o tym dowiedzieć.

Nie powinna pozwolić oglądać tej sceny dzieciom. Nikt nie powinien, ale mimo to zorganizowana naprędce świetlica pękała w szwach, sensacyjne wydarzenia rozgrywane się w mieście elektryzowały wszystkich. Nawet przechodzących kwarantannę podejrzanych o chorobę i ich rodziny, których perspektywa życia rozmazywała się we mgłę kilku najbliższych dni.

Kamera przeskoczyła na telefon komórkowy, a następnie na widoczne z daleka stanowiska snajperów.

– Dlaczego oni, kurwa, nie strzelą? – gorączkował się jakiś mężczyzna.

– Podpucha! – zasugerowała chorobliwie chuda kobieta z uśmiechem wyrażającym ulgę.

– Zaraz uwolnią premiera i będzie po krzyku, chodzi o popularność!

– *Crétin!*

– Co, co? Kto to powiedział?

– Zamknijcie się! – wrzasnął postawny mężczyzna, pełniący w ich zamkniętym świecie funkcję nieformalnego przywódcy.

Głosy ucichły, by prawie natychmiast wybuchnąć krzykiem. Kamera ponownie dała zbliżenie mężczyzn stojących na tarasie siedziby prefekta, środkowy palec porywacza wykonał

niewielki gest, dotykając guzika marynarki. Ekran telewizora wypełniła przezroczysta pomarańczowa poświata. Języki ognia zatańczyły na słabym wietrze, nadając rozgrywającej się scenie pozór jakiegoś nierealnego, abstrakcyjnego przedstawienia.

– Tato, nie! – wykrztusiła Isabelle.

Przysłoniła usta dłońmi, zagryzła palce. Niemal smakowała cierpienie wczepionych w siebie ciał szamoczących się na tarasie. Agonia, a równocześnie walka z nieuchwytnym wrogiem, odrywające się pióra czarnego popiołu i trzepoczące skrzydła ognia. Spotworniałe oblicza, topiąca się skóra, pochodnie włosów, gotujące się oczodoły, bezdenne studnie czarnych jak mrok otworów gębowych. Wyszczzerzone zęby porywacza w diabolicznym grymasie, dusze z sykiem wyparowujące z ciał.

Postacie oderwały się na chwilę od siebie, zatańczyły solowy taniec. Starszy mężczyzna upadł na kolana, po czym powoli przechylił się na bok i zamienił w dogasające ognisko, znieruchomiał. Premier ruszył przed siebie z rozłożonymi ramionami, zanim jeszcze przesadził barierkę ochronną, zdawał się unosić nad posadzką balkonu. Pofrunął niczym ognisty ptak, upadły feniks, który nie miał prawa nigdy odrodzić się z popiołów. Zgasł.

Isabelle zwinęła się w kłębek i położyła na boku. To on odpowiadał za zarazę, jej własny ojciec. Przez niego wylądowała w tym ośrodku, jej syn zachorował, ona prawie pozwoliła mu zginąć. Nie potrafiła jednak czuć nienawiści, on miał rację. To społeczeństwo potrzebowało otrzeźwienia, nowej drogi. Uświadomiła sobie, że sama pchnęła go do tak okrutnego czynu, odmawiając zdesperowanemu człowiekowi ostatniej nadziei. Odrzuciła wszystko, co było jej bliskie, kiedy miała zbyt wiele. Teraz nie miała nikogo. Mogła odrzucić tylko siebie.

## **EPILOG**



Claude oparł się o drzewo, z dystansu obserwując ceremonię pogrzebu. Raisowi Tanderowi towarzyszyło w ostatniej drodze zaledwie kilku żałobników, starszych ludzi o nisko zwieszonych głowach. Czarna postać pogrążonej w rozpacz matki przypominała przecinek pomiędzy słowami duchownego a wypowiedzianą w swoich myślach modlitwą.

Uczestnicy skromnego pochówku rozeszli się wolno po złożeniu krótkich kondolencji, uściskach zrozumienia i otuchy. Kobieta została sama, chwiała się na krawędzi grobu, wpatrując się w jego zacienione wnętrze. Trumnę bez ciała, w której złożyła kilka pamiątek po synu. Z nadzieją, że może nie jest prawdą to, co jej powiedziano. Rais nie zginął w wybuchu, ale po prostu zniknął. Jeszcze kiedyś wróci, pocieszy samotną matkę.

Claude podszedł bliżej, stanął kilka metrów od wykopu. Kobieta podniosła głowę, zatrzymała na nim wzrok na długą chwilę. Nie wykonała najmniejszego gestu zezwolenia, zaproszenia obcego do kręgu swojej zadumy. Widocznie przedstawiciel świata, który doprowadził jej jedyne dziecko do tragicznego końca, nie zasługiwał nawet na grymas nienawiści, splunięcie pogardy. Jej syn żyłby, gdyby nie został zmuszony do interweniowania w sprawach o wiele za trudnych jak na możliwości jednej osoby. Niezrozumiałych i przekraczających granicę jej imigranckiej percepcji.

Kapitan cofnął się, przywarł do tego samego drzewa, o które opierał się wcześniej. Kiwnięciem głowy przyznał kobiecie rację, nie zasłużył na więcej. Nie ochronił jej syna, a na dodatek zdradził go brakiem zaufania i wiary.

– W ten sposób odchodzą prawdziwi bohaterowie, po cichu.

Dopiero teraz zauważył obecność Fabia Montalego, który podszedł od tyłu i stanął z boku. Nie odpowiedział, przez chwilę w milczeniu wpatrywali się w rozdzierającą serce scenę pożegnania. Uczcili pamięć kolegi symboliczną minutą ciszy.

– Nie dziwię się, że zabroniła pochować syna z całą tą polityczną pompą i medialnym hałasem. Ci sami ludzie, którzy przyczynili się do jego śmierci, teraz chcieliby skraść jego pamięć. Złodzieje dusz.

– Sami jesteśmy jednymi z nich, komisarzy, pan i ja. Nie mam racji?

Fabio Montale przytaknął.

– Louis, Aryan, właśnie przyjęto moją rezygnację. Teraz jestem osobą prywatną i mogę ich mieć oficjalnie gdzieś.

Aryan. Znienawidzone przezwisko przestało dotykać Claude'a jak wcześniej, w ciągu ostatnich dni zyskało nowy wymiar. Był arianinem, czy tego chciał, czy nie. W toczącej się wojnie rasowej i religijnej nie mógł zająć innego miejsca niż należne mu z racji narodzin. Mógł stanąć w szeregach białych chrześcijan lub zdradzić. Ewentualnie zdezerterować, ale i tak każda z tych decyzji byłaby błędna. To okoliczności kształtowały jego postawy, on mógł się tylko bardziej lub mniej nienawidzić.

– Też bym tak chciał, ale czeka na mnie góra roboty. Trup nie wybiera miejsca i czasu, po prostu się ściele.

Odwrócili się i ruszyli w kierunku głównej alejki cmentarza prowadzącej do krematorium. Claude kuśtykał, lewa noga ciągnęła się po ziemi niczym obce ciało, nie chciała słuchać. Poraniona twarz wciąż się goiła, ogoloną głowę porały bruzdy po uderzeniu odłamków. Jego masywna sylwetka skurczyła się i zapadła w sobie, postarzała o długie lata.

– Ciągłe próbują dojść do tego, dlaczego zlekceważono komunikaty o podłożonej bombie. Gdyby zastosowano regulaminową procedurę, może udałoby się uniknąć tragedii.

– A co w tym dziwnego, szefie? – Podopieczny jakoś nie potrafił się przestawić i zwracać do swojego mentora po imieniu. Dla niego komisarz zawsze pozostanie szefem. Namiastką ojca.

– Informacja wyszła od złych islamistów, którzy okazali się dobrymi islamistami. Kto dałby

wiarę takiemu cudowi?

– Masz rację. A zamach przeprowadzili dobrzy naziści, działający ze złych pobudek.

– To już pewne?

– Gdzie tam, ale ja wiem swoje. Sprawę zamiotą pewnie pod dywan, jak tę z podpaleniami. Przecież nie istnieje zjawisko białego chrześcijańskiego terroryzmu, no nie?

– Właściwie nie ma żadnego terroryzmu, jest tylko brak perspektyw, bezsilność i bójka o resztkę zarcia, które ktoś nam próbuje odebrać. Jeszcze niedawno nędzarze mogli walczyć o socjalizm, teraz pozostała im tylko religia. Średniowiecze powraca.

– „Bicie to dyktatura biedaków”[8] – skomentował były komisarz jednym z ulubionych cytatów z ukochanego Izzo.

Stanęli przy rzędach ścian kolumbarium, tworzących wokół budynku krematorium dziwaczne blokowiska umarłych.

– Mam jeszcze coś do załatwienia. Zobaczymy się później?

– Chętnie, Claude. Musisz wpaść do mnie na grilla, udało mi się kupić ruderę w Les Goudes, biorę się ostro do remontu.

– Dom Fabia?

– Prawie, he, he. Brakuje mi tylko jeszcze łajby, ale też mam już jedną na oku.

– I powodzenia u kobiet.

– Z tym gorzej. Trzymaj się, Claude!

Uścisnęli sobie ręce i komisarz ruszył do bramy głównej. Odeszli wszyscy: Émilie, Rais, Fabio Montale, Isabelle. Pozostały trupy.

Zaczął krążyć pomiędzy murami nekropolii, które kojarzyły mu się z ruinami przeszłości. Wspaniałej cywilizacji, która pozostawiła po sobie jedynie urny z prochami. Mosiężne tabliczki z numerami kwater i mikroskopijnymi nazwiskami umarłych. Zastanowił się, ile ofiar niedawnego zamachu udało się zidentyfikować i pochować. Wstępnie mówiono o prawie pięciu tysiącach, ale szacunki rosły. Ogłoszona w kraju żałoba powoli mijała, szok ustępował, odsłaniając pole po bitwie. Zapowiadano początek wojny, choć nie brakowało też głosów rozsądku. Claude, spacerując pośród rzędów umarłych, nie potrafił być dobrej myśli. Dostrzegał co prawda pasek błękitnego nieba pomiędzy szczytami bloków z prochami, ale słońce zawsze tak samo świeci żywym i nieboszczykom, w czasie pokoju i wojny.

Stanął jak wryty, kiedy wyrosła przed nim postać kobiety w czarnej sukience. Rozpoznał swoją żonę dopiero po dłuższej chwili. Stała się dla niego tak nierealna, jakby jej w ogóle nie było, a on po prostu wyobraził sobie jej postać i za bardzo uwierzył w marzenia.

– Szukałem Jeana-Jacques’a i...

– Właśnie przyniosłam kwiaty. Tam, rząd czwarty, szereg sto ósmy. – Wskazała ręką wiązanek, która wyglądała na ziemi jak porzucona przypadkiem.

– Dzięki, już teraz znajdę. Fajnie było cię widzieć, na razie.

Odszedł kilka kroków, ale Isabelle się nie ruszyła. Kochał ją tak samo jak wcześniej, potrzebował do życia jej dotyku niczym energii słońca. Ale nie zamierzał łamać zasad, które mu narzuciła. Jednostronnego, kruchego rozejmu.

– On to zrobił dla dobra sprawy, Claude. Rozumiesz? Rozumiesz, czego próbował dokonać?

Rozumiał. Ale nie tolerował metod, które wywołują cierpienie i śmierć. Terror to nie jest antidotum na terror, ogień gasi się wodą, nie ogniem.

– Gdybym mu wtedy wybaczyła, kiedy błagał o litość... – Zaniósł się głośnym szlochem, ale szybko uspokoiła oddech, wierzchem dłoni otarła łzy. – On umierał na raka i chciał nadać życiu jakiś głębszy sens, coś światu zakomunikować. Wierzył w idee sześćdziesiątego

ósmego roku, przed śmiercią zapragnął je zrealizować.

– Umarła Émilie i wielu innych. Niewiele brakowało, a umarłby też nasz syn, może nawet my wszyscy. Dla mnie śmierć nie ma nic wspólnego z ideą.

– Bzdura! Bruno dostał zwykłej wysypki, a ja... My...

Wzruszyła ramionami, jakby słowo „my” przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie, umarło. Wirus roznoszony przez towarzysza Jeana-Jacques’a, którego trupa znaleźli w willi, nie był zaraźliwy, przenosił się tylko z pierwotnego nosiciela na pojedyncze ofiary. Największe spustoszenie spowodował nie w populacji miasta, ale w psychice ludzi. Strach przed dotykiem ciągle nie minął, będzie trwał jeszcze długo. Pod tym względem komunikat trafił do swoich odbiorców, przesłanie było niezwykle trwałe. Przestaliśmy być społeczeństwem, jesteśmy tylko gromadą wystraszonych jednostek, ziaren piasku miotanych podmuchami agresji i pasji.

– On zapragnął na nowo połączyć ludzi, uzmysłowił nam potrzebę wspólnoty, jedności.

Claude bezwiednie uczynił krok do przodu, ale Isabelle cofnęła się automatycznie, naprężyła w gotowości do odparcia potencjalnego zagrożenia. Widocznie wspólnota nie oznaczała ich związku.

– Ucałuj ode mnie dzieci, Is. Kocham cię.

Jego wyznanie zawisło pomiędzy ścianami kolumbarium, chłodne i obce, zenujące dla nich obojga. Za późno ugryzł się w język. W ich nowym świecie nie było miejsca dla miłości, należało skoncentrować się na przetrwaniu.

Odwróciła się i odeszła, rezygnując ze słów pożegnania. Claude przykuśtykał do odpowiedniego stanowiska i usiadł, zapatrzony w prostokąt kwatery teścia. Z tej perspektywy tabliczki nie miały końca, mnożyły się, zabierały mu cały widok, otaczały go, obejmowały swoim betonowym uściskiem. Zapraszały w odwiedziny, do środka. Czarne okna blokowisk zamieszkałe przez duchy.

[1] J.C. Izzo, *Solea*, przeł. Maryna Ochab, Warszawa 2007.

[2] Posterunek policji.

[3] *Apokalipsa św. Jana 18,2–3, Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu (Biblia Tysiąclecia)*, Poznań-Warszawa 1990.

[4] Tamże, 6,16–17.

[5] Straty w ludności cywilnej, zniszczenia uboczne.

[6] Harper Lee, *Zabić Drozda*, przeł. Maciej Szymański, Poznań 2015, s. 341.

[7] Tamże, s. 331.

[8] J.C. Izzo, *Solea*, dz. cyt.